Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

ROMAIN ROLLAND

DUSZA ZACZAROWANA

Tom III i IV

TYTUŁ ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO
«L'AME ENCHANTEE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

TOM TRZECI:

MATKA I SYN

Pax: enim non belli privatio,
sed virtus est,
quae ex animi fortitudine oritur.

Pokój bowiem nie oznacza
braku wojny.
To cnota zrodzona z siły ducha.

S p i n o z a. ***Tractatus Politicus V. 4***

TYTUŁ ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO
.«MÉRE ET FILS
PRZEŁOŻYŁ
FRANCISZEK MIRANDOLA

Część pierwsza

Wojna nie mogła przerazić Anetki. Myślała:

„Wszystko jest wojną..."

Wojną zamaskowaną...

„...Nie boję się spojrzeć ci prosto w twarz."

Wszyscy bliscy Anetki przyjęli to wydarzenie również niemal bez buntu, ona sama zaś – z fatalistyczną uległością zdobytą w dniach niedawnej próby:

„Jestem gotowa! Niech się, co chce, dzieje!..."

Siostra jej Sylwia – z tajonym wyczekiwaniem, zaledwie mogąc stłumić okrzyk niecierpliwości:

„Nareszcie!"

Nareszcie! Rozszerza się monotonny strumień upływających dni. Rozszerzy się krąg miłości i nienawiści...

Syn jej Marek przyjął nowinę z posępnym zachwytem, którego na zewnątrz nie okazuje, zdradzają go jednak rozpalone ręce i gorączkowy blask oczu... Objawił się więc ów tragiczny ideał, którego Marek lękał się w swojej słabości, a jednocześnie pragnął, opanowany przez ciemne, nie znane jeszcze młodości instynkty, ideał, który budził siły spętane, przytłumione nudą epoki pozbawionej sensu istnienia. Widzi teraz, jak starsi od niego wyruszają z domów, upojeni żądzą czynu i poświęcenia. Fala ta nieść będzie wkrótce wiele błota, w pierwszych jednak dniach źródło jest czyste, o ile naturalnie czysta być może dusza młodzieńcza skażona niepokojem. Pochylony nad strumieniem, Marek chwyta wargami i czystość płomienną ofiary, i denny muł. Zazdrości odchodzącym jutra, którego zakosztują, i lęka się go zarazem. Podnosząc oczy napotyka spojrzenie matki. Oboje odwracają wzrok. Zrozumieli i się na tyle, by nie pragnąć się lepiej zrozumieć. Wiedzą dobrze, iż kroczą oboje pod tym samym chmurnym niebem. Jedynym człowiekiem, który wcale nie brał udziału w owym pełnym egzaltacji podnieceniu, był Leopold, mąż Sylwii: on jeden z całej rodziny poszedł na front. Liczył na to, że rocznik jego, należący do najstarszych w armii terytorialnej, nie od razu będzie powołany, że pobór następować będzie stopniowo. Nie śpieszyło mu się wcale. Przeczucie jednak mówiło, że wojna więcej od niego okaże pośpiechu i że o nim nie zapomni. Przypomniała go sobie rychlej, niż przypuszczał. Pochodząc z Cambrai, znalazł się na pierwszej linii frontu. Dla człowieka w jego wieku był to zaszczyt niemały, ale doskonale obszedłby się bez niego. Mimo to w chwili wyjazdu nadrabiał miną. Było to zresztą konieczne: Sylwia zachowywała się po bohatersku, daremnie również szukałby współczucia w oczach innych kobiet. Każda miała wśród zmobilizowanych męża, kochanka, syna czy brata. Ten gromadny odjazd nadawał sprawie niezwykłej pozory normalnego zjawiska. Gdyby ktokolwiek z nich zechciał to podawać w wątpliwość, zmąciłby tylko spokój kobiet; nikt więc nie próbował protestować, a Leopoldowi nie przyszło to nawet do głowy. Powołanie nie podlegało dyskusji i tak też przyjęła ten fakt jego rodzina. Marek – niby młody wilczek – śledził Leopolda podejrzliwym i zawistnym wzrokiem, wypatrując momentu słabości. Udawał więc zucha. Podczas pożegnalnej kolacji przepijał, poczciwiec, do całego personelu. Z ciężkim sercem jednak opuszczał pracownię, choć o interesy mógł być spokojny: Sylwia będzie umiała ich dopilnować. O reszcie... może lepiej nie myśleć. Na razie była Lukrecją... Co za baba! Przy pożegnaniu uronił łzę na jej policzek, ona zaś powiedziała:

– Toż to po prostu wycieczka! Takie piękne lato! Strzeż się tylko kataru!

Anetka pocałowała go. (Tyle przynajmniej zyskał!) Żal jej go było, ale żalu tego nie okazywała nie chcąc odbierać mu sił. „Nieprawdaż? Skoro tak trzeba!...” Szukając błagającym wzrokiem spojrzenia starszej siostry odczytał w nim tylko życzliwe, lecz nieugięte:

„Tak trzeba!”

Wszędzie mur. Jedyna droga – iść prosto przed siebie. Więc poszedł.

*

Cały dom, od góry do dołu, wyroił się niby ul pszczeli. Ani jedna komórka nie odmówiła daniny. Każda rodzina składała w ofierze swych mężczyzn.

Z samej góry, z poddasza – dwaj robotnicy, ojcowie rodzin; z piątego piętra – syn wdowy, trzydziestopięcioletni stary kawaler; z piętra Anetki – młody urzędnik bankowy, od niedawna żonaty; z niższego – dwaj synowie urzędniczej rodziny; jeszcze z niższego – jedyny syn profesora prawa; z dołu – syn właściciela szynku mieszczącego się na parterze. Razem ośmiu wojowników, wojowników nie z własnej woli. Ale o zdanie nikt ich nie pytał. Państwo nowoczesne odciąża swych wolnych obywateli od kłopotu posiadania własnej woli, a obywatele uważają to za bardzo wygodne – jeden kłopot mniej!

W całym domu, od piwnic do strychu, zupełna jednomyślność, z jednym tylko wyjątkiem (nie dostrzeganym zresztą). Ten wyjątek – to pani Chardonnet, sąsiadka Anetki, owa młoda mężatka; zbyt słaba jednak, by protestować. Niemal wszyscy pozostali nie rozumieją wcale, dlaczego swą wolność osobistą i prawo do życia złożyć mają w ofierze jakiemuś tajemniczemu władcy. Poza paroma wyjątkami nie usiłują nawet tego zrozumieć, nie potrzebują rozumieć, by się z tym pogodzić, wszyscy są bowiem z góry na to przygotowani przez wychowanie. Kiedy tysiące zgadzają się na coś, nie potrzeba im żadnych dowodów: każdy czyni po prostu to, co czynią inni, a cały mechanizm ducha i ciała funkcjonuje sam przez się, bez wysiłku. Miły Boże! Jakże łatwo jest pędzić trzodę na targ. Wystarczy jeden tępy pastuch i kilka psów. A im liczniejsza trzoda, tym łatwiej daje się pędzić, tworzy bowiem masę, w której toną poszczególne jednostki. Naród jest miazgą krzepnącej krwi. Aż przychodzą krytyczne chwile wielkich wstrząsów, regularna odnowa narodów i pór roku, a wówczas zamarznięta rzeka druzgoce powlokę lodową i pustoszy kraj zalewając go spienioną i rwącą falą...

Mieszkańcy domu różnią się wierzeniami, tradycjami, temperamentem. Każda z tych komórek duchowych, każda z tych rodzin ma odrębny wzór chemiczny. Mimo to wszyscy jednakowo przyjęli wojnę.

Wszyscy kochają swych synów i podobnie jak dziewięć dziesiątych rodzin francuskich złożyli w nich wszystkie swoje nadzieje. Już od dwudziestego piątego czy trzydziestego roku, od progu swego życia, za cenę tajemnych, codziennych ofiar, przenosili na dzieci radości, które ich ominęły, ambicje, z których zrezygnowali. I oto teraz na pierwsze wezwanie oddają tych synów bez słowa skargi...

Wdowa Cailleux mieszka na piątym piętrze. Ma blisko sześćdziesiąt lat. W chwili śmierci męża liczyła lat trzydzieści trzy, a synek jej osiem czy dziewięć. Od tego czasu żyli zawsze razem, nie rozłączając się nigdy, i przez ostatnie dziesięć lat nie było ani jednego chyba dnia, którego by nie spędzili pod wspólnym dachem. Istna para starych małżonków. Mimo że Hektor Cailleux nie ma jeszcze czterdziestki, wygląda już na emeryta, a życie jego, nim się rozpoczęło, już było skończone. Nie żali się na swój los i nie pragnie innego.

Ojciec był urzędnikiem na poczcie, teraz z kolei jest nim syn. Drugie pokolenie nie doczekało się awansu i Hektor stoi w tym samym miejscu, co jego ojciec. Ileż jednak wysiłków potrzeba, by utrzymać się i nie spaść niżej. Człowiek słaby i nie mający szczęścia zyskuje już, jeśli nic nie traci. Aby wychować syna, matka, nie mając żadnych dochodów, musiała chodzić

na posługi. Było to przykre dla osoby, która prowadziła niegdyś swój własny, drobnomieszczański dom; nie narzekała jednak. Z biegiem lat odzyskała swój skromny raj utracony i teraz odpoczywa, pracując wprawdzie, ale dla siebie i syna, u którego czuje się obecnie „jak w domu". Jej poczciwa, krowia twarz wieśniaczki z Berry lepiej by wyglądała w białym czepeczku z falbankami niż w miejskim kapeluszu, którym co niedziela przystraja swe siwe włosy, uczesane w mały koczek. Szerokie, bezzębne usta nie mówią nigdy głośno, mają jednak dla syna i znajomych serdeczny, trochę znużony uśmiech. Jest nieco przygarbiona. Rano wstaje pierwsza i przynosi synowi do łóżka kawę, a kiedy on jest w biurze, starannie sprząta mieszkanko i gotuje: jest dobrą kucharką, a on lubi dobrze zjeść. Wieczorem syn opowiada to, co słyszał w ciągu dnia, a matka słucha go niezbyt uważnie, szczęśliwa jednak, że mówi. W niedzielę ona chodzi na ranną mszę, on – nie. Tak się już u nich utarło. Hektor nie jest niewierzący, ale i nie wierzy. Religia to sprawa kobiet, matka zajmuje się tym za dwoje. Po południu spacerują trochę, rzadko jednak opuszczają swoją dzielnicę. On zestarzał się przedwcześnie i oboje zadowalają się skromnymi, niekosztownymi radościami, które powtarzają się zgodnie z ustalonym porządkiem. Związek tych dwojga jest tak silny, że syn nie ożenił się i nigdy się nie ożeni: nie odczuwa potrzeby tego. Żyje bez przyjaciół, bez kobiet, niemal nic nie czyta i nigdy się nie nudzi. Kupuje ten sam dziennik, który czytywał jego ojciec. Dziennik ten zmienił wiele razy przekonania, on jednak ich nie zmienia: niezmiennie wyznaje zawsze poglądy swego dziennika. Nic go nie interesuje, wiedzie życie automatu. Najmilsze są im monotonne pogawędki, a także milczący, przewidziany z góry bieg codziennych, drobnych czynności i uświęconych obrzędów. Ludzie ci nie mają namiętności – poza ową bliskością, która stała się drogim nawykiem. Oby życia tego nic nie zmąciło! Jak najmniej zmian! Jak najmniej myśli... Żyć spokojnie razem...

Nie spełni się jednak to skromne pragnienie. Wojna, powołanie do wojska rozłączają ich. Matka wzdycha i spiesznie pakuje rzeczy syna. Nie protestują. Silniejszy ma zawsze rację, a tym razem przemówiła potężna siła.

Rodzina Cailleux mieszka nad Anetką o piętro wyżej. O piętro niżej mieszka rodzina Bernardinów: ojciec, matka, dwóch synów i dwie córki. Katolicy i rojaliści, rodem z południa, z Akwitanii.

Ojciec – urzędnik, mały, korpulentny, krępy człowieczek, kosmaty jak dzik, o krótkiej, gęstej brodzie, w której ginie twarz – jest żywy i krewki. Coś w nim stale wre, temperament go roznosi. Ten zdrowy, silny wieśniak dusi się w mieście. Lubi dobrze zjeść, śmieje się rubasznie, a przy najmniejszej przeciwności ów stary grubas tupiąc rzuca się ze spuszczonym łbem, niby odyniec, w ataku wściekłości równie krótkim jak gwałtownym. Nagle przypomina sobie o swoim stanowisku i o spowiedzi. Gniewnie chrząkając opanowuje się i przybiera postawę pełną namaszczenia.

Młodszy z dwu synów, dwudziestodwuletni student, kształci się na archiwistę. Ma bródkę w klin, dyskretny, złośliwy uśmiech, podkrążone oczy i zagadkowe spojrzenie widywane na portretach z końca XVI wieku. Poczciwy chłopak, chciałby wyglądać na pełnego perwersji faworyta pokroju pana d'Epernon[1]. Starszy, dwudziestoośmioletni, o pełnej, wygolonej twarzy, artystycznie odrzuconych do tyłu i ułożonych w szerokie fale włosach, stylizujący się na Berryera[2], zaczyna zdobywać rozgłos jako adwokat w procesie Kamelotów[3]. Po powrocie króla zostanie ministrem sprawiedliwości.

[1] d'E p e r n o n Jean Louis de Nogaret de la Valette (1554–1642) – faworyt króla Henryka III, zdolny i ambitny, wyróżnił się w czasie wojen domowych na początku jego panowania.

[2] B e r r y e r Pierre Antoine (1790–1868) – słynny adwokat i mówca polityczny, członek Akademii Francuskiej, o przekonaniach katolickich i rojalistycznych, w ciągu całej swej kariery oratorskiej występował w obronie legitymizmu.

Trzy kobiety, matka i córki, są zepchnięte na drugi plan. (Anetka pozna je później.) Żyją w cieniu, czytają mało, wychodzą rzadko, nie bywają w teatrze, często są za to w kościele, a czas upływa im na pobożnych zajęciach.

Trzej mężczyźni mają gruntowne i dokładne wykształcenie klasyczne. „Rzym, jedynie godny uwagi..." Łatwiej by im przyszło dyskutować po łacinie niż za granicą zapytać o drogę po niemiecku lub po angielsku. Nie raczą zniżać się do tego. Barbarzyńcy Północy powinni znać nasz język. Żyją ideałami przeszłości i wszyscy trzej, choć dobrzy chrześcijanie, podziwiają bez zastrzeżeń pogaństwo Maurrasa[4]: cóż to za Rzymianin! Weseli, umiejący się cieszyć życiem, w zamkniętym kółku nie czują niechęci do tłustych anegdotek. Cała rodzina – w sześcioro – chodzi na mszę, dając tym widok wysoce budujący. Widnokrąg mają ciasny, ale wyraźnie zarysowany, co przypomina owe charakterystyczne krajobrazy Francji o jasnych, harmonijnych liniach: krąg wzgórz otaczający małe, od wieków niezmienione miasteczko. Parafiańszczyzna w Paryżu – to także jakby miasteczko prowincjonalne. Nie żywi się tu niechęci do świata spoza murów, a tylko, nie znając, traktuje się go a priori[5] z odrobiną ironii. Zresztą kto by dbał o to – żyje się w ciasnym, zamkniętym kółku, mając nad sobą Boga i skrawek nieba z białymi wieżami Św. Sulpicjusza, na których śpiewają dzwony.

Mimo to, skoro rząd Republiki domaga się dwu synów na mięso dla armat nieprzyjacielskich, nikt się nie sprzeciwia. W obrzucanej błotem Republice jest teraz coś świętego. Wszyscy sześcioro cierpią, ale nikt tego nie okazuje. Wiedzą, że trzeba oddać cesarzowi, co cesarskie. Bóg nie jest wymagający i wystarczy mu dusza; ciało go nie obchodzi i nawet nie rości sobie prawa do czynów, zadowalając się dobrymi chęciami. Cesarz zaś korzysta z tego i zabiera wszystko.

Na drugim piętrze mieszka z synem owdowiały przed kilku laty profesor prawa Girerd. Pochodzi także z południa, ale to zupełnie inny typ. Jest protestantem z Sewennów i uważa się za wolnomyśliciela (wspólne złudzenie wielu biretów naszego uniwersytetu). W duszy jednak jest to „heretyk", jakby powiedzieli (jak mówią) młodzi Bernardinowie, którzy w rodzinnym kole pokpiwają z jego pełnej namaszczenia miny i wyglądu kaznodziei. Człowiek to bardzo czcigodny, surowy, obowiązkowy i pełen moralnych przesądów. (A tacy właśnie są najgorsi, gdyż nie znają litości.) Sąsiadom z góry mimo szacunku i całej, nieco sztywnej, ale nienagannej kurtuazji płaci tą samą co oni jemu monetą. Wbrew szczerej chęci zachowania bezstronności katolicyzm wydaje mu się wadą i ułomnością organiczną, wyciskającą na najzacniejszych ludziach, mimo wszelkich wysiłków z ich strony, niezatarte piętno. Katolicyzmowi też przypisuje bez wahania upadek narodów łacińskich. Jako skrupulatny historyk, broni się przed namiętnością we wszystkim, co mówi i pisze, narażając się na zarzut chłodu i nudy. Jest rzeczywiście chłodny i nudny w swych wykładach dobrze udokumentowanych, naszpikowanych odsyłaczami i przeciążonych cytatami, które wygłasza głosem monotonnym i nosowym. Jego krytyka zjawisk historycznych jest nieświadomie wypaczona przyjętymi z góry założeniami, których nawet nie zauważa, tak są dla niego oczywiste. Brak giętkości intelektualnej uniemożliwia mu przy tym przyswajanie sobie myśli odmiennych niż jego własne. Człowiek ten, który czytał dużo, widział wszystko w książkach, a niemało także i w życiu, zachował jednak pod siwą czupryną naiwność komiczną, rozrzewniającą... przerażającą,

---

[3] K a m e l o c i k r ó l a (*Camelots du roi)* – nazwa nadana młodzieży grupującej się wokół monarchistycznej „Action Francaise" i rozprzedającej tę gazetę na ulicach.

[4] M a u r r a s Charles (ur. 1868) – francuski pisarz i publicysta, założyciel grupy neomonarchistycznej, od roku 1908 redaktor „Action Francaise". w roku 1945 skazany na dożywotnie więzienie i usunięty z Akademii Francuskiej za kolaborację z okupantem w czasie drugiej wojny światowej. W końcu XIX wieku założył wraz J. Moréas szkołę literacką nawiązującą do tradycji literatury rzymskiej (tzw. École romane).

[5] *A p r i o r i* (łac.) – z góry, niezależnie od doświadczenia, w przeciwstawieniu do *a posteriori* – na podstawie doświadczenia.

bo ona właśnie jest źródłem wszelkich odmian fanatyzmu. Zmysł moralny ma silnie rozwinięty, przy jednoczesnym zaniku zmysłu psychologicznego. Nie rozumie zgoła tych, którzy nie są do niego podobni.

Syn jest zupełnie taki sam jak ojciec. Niedawno, mając lat trzydzieści, bronił swej wybitnej rozprawy naukowej i uzyskał tytuł doktora Sorbony. Historyk ten widzi świat przez okulary idei, swoich oczywiście, a to, że okulary powinny być sprawdzone przez okulistę, nigdy mu nie przyszło do głowy. Dla niego, podobnie jak dla ojca, „na początku" był nie fakt, lecz „zasada". Republika jest zasadą, zwycięstwa pierwszej rewolucji posiadają oczywistość teorematu, rozpoczynająca się zaś wojna jest nieuniknionym dalszym ciągiem wywodu. Ma za zadanie ustanowić w świecie Pokój i Demokrację. Ani syn, ani ojciec nie uświadamiają sobie, że mądrzej byłoby może zacząć od zachowania tego pokoju. Nie wątpią natomiast, że ludy, które go łamią, są zapóźnione, niezdolne do ujrzenia i przyjęcia prawdy. Należy więc zmusić je do tego dla ich własnego dobra oraz dla dobra całego świata.

Dwaj ci mężczyźni, ojciec i syn, niby dwaj bracia w różnym wieku – podobni do siebie i kochający się wzajem – wysocy, wyprostowani, szczupli i dumni żyją w szczelnej powłoce ideologii, przez którą nie przenika bodaj cień wątpliwości. Wiedza tych ludzi, przy całej wewnętrznej uczciwości, służy ich demokratycznej wierze. Nie mają świadomości tego, bo świadomość ich kształtowana jest przez ich wiarę. Wierzą... Wierzą. Wierzyliby nawet mi stosie. (Stosem tym będą dla syna okopy, a ojciec będzie mu tam towarzyszył swoim krwawiącym sercem...) Wierzą... I ludzie ci twierdzą, że są wolnomyślicielami!

Młody Girerd ma narzeczoną, uroczą, dzielną dziewczynę z zamożnej rodziny genewskiej, Lidię Murisier, która jest w nim zakochana, a którą on czci religijnie. Miłość jej nie ma może tego religijnego charakteru, jest nawet bardzo świecka. Ale chcąc się upodobnić do narzeczonego Lidia usiłuje nadać swemu uczuciu ów charakter, a śmiejącym się błękitnym oczom – wyraz powagi. Z natury swojej będąc istotą jak najbardziej świecką, żądałaby od życia radości naturalnych: ziemi, wody i powietrza, urody wszystkich pór roku, zdrowia, słońca i miłości swego ukochanego – gdyby tylko ów ukochany nie szukał szczęścia poza życiem, w świecie idei. Lidia usiłuje tedy szukać go z nim razem. I w ten sposób młoda Szwajcarka, która nie potrzebowałaby wcale zajmować określonego stanowiska w sporze narodów, uczy się potulnie na pamięć republikańskiego katechizmu francuskiego, rewolucji roku I[6] i Praw Człowieka uzbrojonego, gdyż w to wszystko wierzy narzeczony... Ach! Gdyby mogła pójść za głosem swych pragnień, uniosłaby go w ramionach z dala od tej zawieruchy! Jakże ta wojna ją przygnębia, jak daleka jest od jej myśli! Ponieważ jednak ukochany widzi i sądzi inaczej, czyni sobie wyrzuty; jest słaba, nie ma racji. Aby być godną jego miłości, winna zamknąć swoje oczy i patrzeć jego oczyma... O, drogi mój, chcę wierzyć, bo ty wierzysz, i oto już wierzę...

Sąsiadka Anetki z tego samego piętra, Klarysa Chardonnet, jedyna w całym domu nie chce wierzyć. Nie, nie... Miłość jej nie należy do tych, które skłonne są poświęcić siebie i ukochanego jego fałszywej wierze!... Zresztą to nieprawda! On nie wierzy, liczy się tylko z szacunkiem ludzkim i boi opinii publicznej. Jest to urzędnik bankowy, przeciętny, miły chłopiec o jasnych wąsikach i wyblakłych oczach, trochę mdły. Sprawy szerokiego świata, bank, polityka i – wyznajmy to – ojczyzna, wszystko jest mu doskonale, całkowicie obojętne. Jedyną ważną dla niego sprawą jest ta kobietka, którą wziął (a może to ona go wzięła?) przed trzema zaledwie miesiącami. Cóż za miesiące! Wciąż nie mają ich dość. Splecione palce drżą im na wspomnienie minionych nocy. Jakże mocno trzyma go przy sobie ta namiętna młoda robotnica paryska! Czci go jak bóstwo, swoje własne bóstwo, własne dobro, zabawkę, kota, zwierzę domowe, duszę – jeśli ją posiada – wnętrzności swe, swoje wszystko, swoją własność!... Jest

[6] R e w o l u c j a r o k u I – według kalendarza rewolucyjnego rok 1792 (rok detronizacji króla i ogłoszenia republiki) został uznany za I rok nowej ery.

chudą, wiotką, nerwową brunetką o aksamitnych oczach i wąskich jak czerwona nitka ustach na bladej, starannie uszminkowanej twarzy, z której namiętność wyssała całą krew. On zaś pozwala się łaskawie adorować, nie dziwi się i ulega tej nienasyconej kobiecie. Każde z nich staje się na przemian łupem drugiego. Żadne nie przypuszcza, że to mogłoby się skończyć. Życie nie ma dla nich innego sensu...

On jednak na pierwsze wezwanie wojny staje bez protestu. Nie jest to wcale wesołe, a on nie jest wcale odważny. Płakałby niezawodnie nad tym, co traci, i nad tym, co przyniesie mu przyszłość, lęka się jednak, że okazując swą słabość naraziłby się na śmieszność i wzgardę ludzką. Nie przystoi mężczyźnie zbyt mocno kochać. Ona zrozumiała go doskonale, krzyczy:

– Tchórz, tchórz!

I wybucha łkaniem.

On się buntuje i szydzi, oburzony:

– Tchórz? To mi nazwa dla człowieka, który ma być bohaterem! „Umrzeć za ojczyznę!"

Ona błaga, by przestał tak mówić – wzmianka o śmierci przeraża ją. Prosi go o przebaczenie, on zaś ma doskonałą .okazję do popisania się deklamowaniem patriotycznych frazesów, a zarazem dodaje tym sobie odwagi. Ona nie śmie dłużej protestować; jest zbyt osamotniona, nie może powiedzieć, co myśli. Cały świat (to nie ma znaczenia) i on (to jedynie istotne!) uznaliby to za herezję. Wie jednak dobrze, iż w tajemnicy, w głębi duszy, i on myśli tak samo jak ona... biedaczysko! „Umrzeć za ojczyznę!" Nie, nie, to dobre dla galerii!... Mężczyźni są tchórzami, nie mają odwagi bronić swego szczęścia! Biedacy! Biedacy!... Ociera oczy. Jest przecież na scenie, trzeba się uśmiechać, skoro on tak chce. Wypłacze się za kulisami... „Tak, i ty także!... Nie oszukasz mnie. I tobie serce zamiera w piersiach, tak jak mnie. O, tchórzu, tchórzu, po co idziesz?" On zaś czyta w jej myślach i zastanawia się głośno:

– Cóż robić?

Ale ona jest kobietą, i to namiętną. Nie słucha. Nie słucha niczego, co jest nie po jej myśli.

– Co robić? Zostać.

Ze zniechęceniem wzrusza ramionami.

Ach, cały świat jest przeciw niej!... Świat jest także przeciw niemu. Ale ona czuje żal do męża, ponieważ przyznaje on światu rację i ulega. Dlaczego?...

Ulegają także dwaj robotnicy z poddasza. Perret (galanteria skórzana) i Peltier (elektromonter). Gotowi byli wystąpić przeciw wojnie. Ponieważ jednak nikt przeciw niej nie występuje, trzeba iść razem z wszystkimi. Nie ma wyboru. Obaj są socjalistami i w przekonaniach swych wyszli z tego samego punktu. Lecz jakikolwiek byłby punkt wyjścia, ludzie oddalają się od siebie i dziś oni dwaj nie są już na tym samym etapie.

Perret gotów był jeszcze tydzień temu dać głowę, że wojny nigdy nie będzie.

– Wszystko to tylko banialuki dziennikarskie, bluff tych graczy przy zielonym stoliku, ministrów i dyplomatów. A zresztą jeśli ci handlarze ludów zagalopują się, osadzimy ich. Mamy coś na ten temat do powiedzenia. My z Międzynarodówki[7], Jaurès, Vaillant[8], Guesde, Renau-

[7] M i ę d z y n a r d ó w k a – mowa o II Międzynarodówce.

[8] V a i l l a n t Edouard (1840–1915) – członek Komuny Paryskiej i I Międzynarodówki, jeden z inicjatorów stworzenia socjalistycznej partii Francji, zwolennik Jaurèsa. Przed pierwszą wojną światową zacięty przeciwnik militaryzmu i wojny, w roku 1914 zajął stanowisko nacjonalistyczne.

G u e s d e Mathieu Bazile, pseudonim Jules (1845–1922) – członek Komuny Paryskiej, założyciel Francuskiej Partii Robotniczej, od 1905 roku przywódca Zjednoczonej Partii Socjalistycznej, jeden z przywódców II Międzynarodówki. Był to jeden z pierwszych marksistów francuskich, w 1914 roku przeszedł jednak na pozycje nacjonalizmu i przyjął postawę oportunistyczną.

R e n a u d e l Pierre (1871–1935) – przywódca skrajnie prawicowego skrzydła socjalistów francuskich, przedstawiciel kierunku reformistycznego. W roku 1914 jako redaktor „Humanité" zaczął na jej łamach głosić poglądy nacjonalistyczne.

del, Viviani, i wszystkie związki zawodowe. Żelazna brygada. A także towarzysze z tamtej strony muru, z Niemiec... Posłuchaj, Peltier! Ostatnio spotkaliśmy się, my (to znaczy nasi) i oni[9]. Wszystko jest już zorganizowane, ustalono hasło. I jeśli łotry ośmielą się zarządzić mobilizację, wtedy my zrobimy mobilizację nie ruszając nawet palcem.

Ale Peltier śmieje się szyderczo, pogwizduje przez zęby i mówi do Perreta:

– Młody jesteś, towarzyszu!

Perret wpada w gniew. Ma trzydzieści siedem lat, a trzydzieści siedem lat pracy warte są pięćdziesiątki niejednego nieroba. Peltier jednak odpowiada spokojnie:

– Otóż to właśnie! Za dużo pracowałeś, nie miałeś czasu myśleć.

Perret protestuje streszczając towarzyszowi na gorąco artykuł z czytanego przez siebie dziennika, jedynego, który łże po jego myśli. Peltier wzrusza ramionami i mówi ze znużoną miną:

– Tak, tak... gadać łatwo!... Ale jak przyjdzie do czynów, wywiną się wszyscy.

Istotnie, wszyscy się wywinęli. Jaurès został powalony jednym ciosem, jak byk zabity przez tchórzliwie kryjącego się za. węgłem pikadora. Ogromny kondukt ciągnący przez posępny Paryż, ponura ceremonia pogrzebowa i mowy, mowy, deszcze mów nad tym, który już nie mógł mówić. Zebrali się wszyscy: ci, co opłakiwali człowieka złożonego do trumny, i ci, co myśleli:

„Lepiej, że tam jest..."

Lud zaś czekał słowa zemsty, hasła kładącego kres trwodze, błyskawicy rozdzierającej ciemności. Lecz upojeni pogrzebową elokwencją, mówcy mieli na ustach tylko jego śmierć – wypierając się jego spuścizny. Mówili:

– Przysięgamy, że Jaurès będzie pomszczony.

Nie przebrzmiały jeszcze słowa przysięgi, a oni już zdradzali Jaurèsa, popierając wojnę, która go zamordowała. Mówili ludowi:

– Idźcie zabijać. Złączmy się świętą unią na ciałach naszych braci.

To samo mówiono w-Niemczech.

Lud zamilkł, zdezorientowany. Potem zaczął wznosić okrzyki i poszedł w ślady przywódców. Rozumowanie to nie jego sprawa. Skoro przywódcy, ci, którym zlecił, by myśleli zamiast niego, wiodą go na wojnę, widocznie iść trzeba. Perret jest teraz przekonany, że idąc na wojnę służy sprawie ludu i Międzynarodówce. Po wojnie nastanie wiek złoty!... (To dla osłodzenia pigułki!)

Lecz pozbawiony złudzeń Peltier powiada:

– Zobaczymy, jak to będzie! Mam wyżej uszu tej sprawy ludu. Spróbuję zająć się własnymi sprawami. Trzeba tylko robić to, co oni (ma na myśli wielkich matadorów socjalizmu, którzy go zdradzili) – urządzić się wygodnie...

Peltier urządzi się wygodnie...

W całym domu, od piwnic do strychu, nastrój jest względnie spokojny. Wszyscy mają za złe Niemcom, ze są napastnikami (są nimi, to rzecz pewna i nie podlegająca dyskusji). Nikt nie lubi wojny, ale idą wszyscy, by ich nauczyć rozumu. Na dnie milczącego, zaciętego cierpienia leży świadomość ofiary, która rodzi zapał. Ale nie narodziła się jeszcze nienawiść.

V i v i a n i René Raphaël (1863–1925) – francuski działacz polityczny, wraz z Jaurèsem współzałożyciel „Humanité". W roku 1911 stworzył republikańsko–socjalistyczną partię podległą wpływom burżuazji, odrywając się od Partii Socjalistycznej. W roku 1914, w chwili wybuchu wojny, był premierem rządu. Oddalił się całkowicie od idei marksizmu i podporządkował militarystycznej ideologii burżuazji.

[9] Mowa tu o Kongresie Partii Socjalistycznej w Paryżu, w dniu 16 lipca 1914 r., na którym Jaurès i Vaillant przeprowadzili wniosek żądający zaprotestowania przeciw wojnie strajkiem powszechnym.

Można by znaleźć jej ślady chyba u Ravoussata (Numy), właściciela „Handlu drzewem i wyszynku wina" na parterze. Ten podagryczny grubas, powłóczący chorymi nogami, zawsze w brudnych bamboszach i rozchełstanej koszuli, gada ciągle o Szwabach, miota przekleństwa i zazdrości swemu synowi Klodwigowi, że będzie tym brzuchaczom dziurawił kałduny. Chłopiec cieszy się z miłej wycieczki: spróbuje piwa i niemieckich dziewcząt! Obaj śmieją się i krzyczą. Ale czytam w tobie, grubasie, niepokój, który zagłuszasz wymyślaniem, i gniew na myśl o niebezpieczeństwach, na które musisz narazić syna, twego jedynego syna...

„A gdyby on... Gdyby oni... Na miły Bóg!... Gdyby mi go skrzywdzili!..."

Mniejsza o to! Ogólny nastrój całego domu jest godny, wolny od gniewu i słabości, a przepojony pobożnym i męskim poddaniem się. Wszyscy okazują ufność skierowaną, jak łuk napięty, ku nieznanemu Bogu. Niepokój każdy zachowuje dla siebie.

Czy aby odwiedziłem wszystkich? Czy w wędrówce po domu nie pominąłem nikogo?

Owszem! Na piątym piętrze obok rodziny Cailleux mieszka młody, dwudziestodziewięcioletni pisarz Józefin Clapier, zwolniony od służby wojskowej z powodu choroby serca. Kryje się, instynkt przestrzega go przed zbyt częstym pokazywaniem się sąsiadom. Na razie wszyscy go żałują. Ale litość jest pożyczką, której człowiek ostrożny nie powinien nadużywać. Clapier jest ostrożny. Nie ma spokojnego sumienia. To czujne oko na dole – Brochon, którego pominąłem... A przecież trudno przechodzić nie widząc go; to mąż dozorczyni, tajny policjant. On nie idzie na wojnę, jego oko i pięści potrzebne są tutaj. Obowiązek zatrzymuje Brochona na brzegu płynącej rzeki ludzkiej. Tym bardziej staje się wojowniczy, czuwa nad podejrzanymi, nad nieprzyjacielem na tyłach. Dom swój jednak traktuje po ojcowsku, bo jest to dom lojalny i przynosi mu zaszczyt – stąd wyjątkowa pobłażliwość dla mieszkańców. Lecz obowiązek przede wszystkim! Clapiera ma na oku – to pacyfista!

Teraz to już naprawdę wszystko. Kończę przegląd na psie pilnującym domu. Byłem wszędzie z wyjątkiem pierwszego pietra. Mieszkanie na pierwszym piętrze jest zamknkniete. Pierwsze piętro to świętość nietykalna - mieszka tam właściciel. Państwo Pognon, ludzie bogaci, starzy, znudzeni, wyjechali na wakacje. Czynsz pobrali w lipcu, wrócą w październiku. Minie tymczasem karnawał...

I milion istnień ludzkich.

*

Ośmiu wojowników wyruszyło w pole, ci zaś, którzy pozostali, wstrzymują oddech, by usłyszeć z dala ich kroki. .Ulice są gwarne, ale nocą w całym domu ciąży sercom tragiczna cisza.

Anetka jest spokojna. Nie ma w tym jej zasługi, gdyż o nikogo się nie lęka. Wie o tym i czuje się upokorzona. Nie ulega wątpliwości, że gdyby była mężczyzną, poszłaby na wojnę bez wahania. Czy miałaby jednak tę samą siłę ducha, gdyby syn jej był starszy o pięć lat? Trudno wiedzieć! Powiedziałaby zapewne, że taka myśl obraża ją. Czoło jej oblewa rumieniec gniewu na siebie samą, takie kobiety bowiem jak ona zdolne są żałować, że rzucając się w niebezpieczną grę nie mogą rzucić wraz z sobą wszystkiego, co kochają. Żałować?... tak... może... ale rzucić rzeczywiście?... Czy jest tego pewna?... Udawajmy, że wierzymy. Gdyby jej zaprzeczono, zmarszczyłaby gniewnie swe brwi Junony. Ale kiedy chłopiec przechodzi koło niej, z trudem powstrzymuje się, aby nie porwać go gwałtownie w ramiona. Trzyma go. Nie puści...

Mimo drzemiących w. niej możliwości Anetka nie ma pola do działania. Jest na razie – wraz z synem – poza zasięgiem niebezpieczeństwa. I korzysta z tego czasu, jaki los udzielił

jej na obserwację. Spojrzenie ma swobodne, nie zmącone żadną ideologią, a problemy wojny i pokoju nie zajmowały jej aż do tej chwili. Od lat prawie piętnastu absorbuje ją problem najbliższy: walka o chleb, i najbardziej palący: walka z samą sobą. To jest prawdziwa, podejmowana każdego dnia wojna, a zawieszenia broni są tu tylko świstkami papierń. Wojna na terenie międzynarodowym, polityka światowa omijały Anetkę z dala. Dzięki bowiem Trzeciej Republice, a raczej może szczęściu Europy, którego Europa nie była godna (bo gnuśny rząd, podobnie jak jego partner, gadatliwy cesarz, pragnął równocześnie dwu sprzecznych rozwiązań: zachwalał proch, a zarazem suchą jak proch gałązkę oliwną), utrzymywał się przez lat czterdzieści (czterdzieści lat życia Anetki) niczym nie zmącony pokój; a wojna wydawała się całemu jednemu pokoleniu czymś dalekim, niewyraźnym, niby dekoracja teatralna – czy idea – niby widowisko romantyczne lub temat do dysput moralnych i metafizycznych.

Przesiąknięta niewzruszalnością nauk ścisłych, jaką dawało oficjalne wychowanie w czasach, kiedy względność nie zachwiała jeszcze wszystkim, nawykła Anetka przyjmować to, co jest, jako z góry dany układ zjawisk kierowanych stałymi prawami. Wojna stanowi część praw natury, Anetce zaś nie przyszło nigdy do głowy na serio przeczyć lub sprzeciwiać się prawom natury. Nie są one wytworem serca czy rozumu, ale rządzą jednym i drugim – trzeba je przyjąć. Anetka przyjmuje wojnę, podobnie jak przyjmuje śmierć i życie. Ze wszystkich konieczności, które narzuca nam natura wraz z zagadkowym i dzikim darem życia, wojna nie jest może koniecznością najbardziej absurdalną ani – może – najokrutniejszą.

W jej uczuciu do ojczyzny nie ma nic wyjątkowego, nie jest ono zbyt płomienne, lecz Anetka nie podawała go nigdy w wątpliwość. W codziennym życiu nie myślała o nim nigdy, nie popisywała się swym patriotyzmem ani go nie analizowała. Był również po prostu faktem.

I oto teraz, gdy zadźwięczał pod pierwszymi ciosami wojny, niby wielki zegar wybijający godziny, wydaje się Anetce, że budzi się jakaś część jej samej, jakaś wielka uśpiona kraina. W pierwszej chwili odczuła to jak wzbogacenie swej istoty. Dusząca się dotąd w klatce swego indywidualizmu, wymyka się teraz i prostuje zdrętwiałe członki. Budzi się ze .swego odosobnienia jak ze snu. Jest narodem...

Wszystko, co porusza naród, i w niej znajduje oddźwięk. Od pierwszej chwili ma mglistą świadomość, że otwarła się wielka brama Duszy, zazwyczaj zamknięta – świątynia Janusa...[10] Natura bez osłonek, siły obnażone... Cóż zobaczy? Co się ukaże?... Cokolwiek by to było, jest gotowa, czeka, czuje się w swoim żywiole...

Większość otaczających ją dusz nie jest stworzona do tego upalnego życia. Rodzi się ferment. Nie upłynął jeszcze pierwszy tydzień sierpnia, a ogarnia je gorączka, która będzie trawić bezbronne organizmy. Skórę pokrywają żyłki krwi skażonej nagłym naporem ostrych, trujących zarazków. Chorzy milkną, pochłonięci sobą. Zamykają się w domu. Choroba dojrzewa.

Anetka jest spokojna. Jedyna z całego swego otoczenia nie jest wytrącona z równowagi, ale raczej „normalnieje". Straszne to, ale trzeba przyznać, że oddycha swobodnie. Podobna jest teraz do owych kobiet – matek jej rodu – i z czasów Wielkich Najazdów. Gdy fale wrogów obaliły częstokoły koczowniczych osiedli, wstępowały one na wozy wojenne, by wesprzeć obrońców, a obnażone ich piersi oddychały swobodniej na potężnym wichrze wolnej przestrzeni. Bijące powoli a mocno serca ich pragnęły walki, nawałnicy wrogów ruszających do ataku. Ogarniały spojrzeniem spustoszone pola poryte kołami wozów, ciemny krąg lasów na horyzoncie, łagodne linie wzgórz i kopułę wolnego nieba, które czeka na wolne dusze.

Stojąc na swym wozie Anetka patrzy i rozpoznaje:

„A więc to tak..."

[10] Ś w i ą t y n i a J a n u s a – w mitologii rzymskiej Janus to bóg początku i końca, odźwierny Olimpu. Na forum Rzymu znajdowała się poświęcona mu brama, zwana świątynią. Z chwilą zaczęcia wojny konsul otwierał tę bramę i zamykał ją dopiero po zakończeniu wojny.

Jak mówi mądrość Indyj:

„A tym wszystkim jesteś ty, o dziecię moje."

Arenę świata wypełniła Dusza zdobywcza. Rozpoznaje w niej siebie... To ja – te dusze w gorączce... Ja – te siły ukryte, obnażone nagle, demoniczne, te poświęcenia, okrucieństwa, uniesienia i gwałty... Ja – te potęgi złowieszcze a święte, które, wyjdą z otchłani...

Wszystko, co jest w innych, jest we mnie. Kryłam się, ale dziś odkrywam siebie. Byłam dotąd tylko cieniem tego, czym jestem. Żyłam dotąd snem tylko. A rzeczywistość była w snach, które spychałam w Nieświadome. Lecz oto ona! Świat w ogniu wojny... To ja...

Jakże wyrazić słowami to, co niby winny zacier w kadzi fermentuje w milczeniu i w marzeniu tej duszy Bachantki? Owo wzmagające się wrzenie, które widzi, wchłania... i ów spokojny, lecz zawrotny wir... Rozgrywa się dramat straszliwy, ona jest jedną z aktorek, ale nie nadeszła dla niej jeszcze chwila wyjścia na scenę. Jest gotowa, ale potok akcji nie porwał jej jeszcze i może przyglądać mu się z brzegu. Poi się tym momentem jedynym. Schylona nad prądem, czuje zawrót głowy, trzyma się jednak brzegu czekając słów:

„Teraz kolej na ciebie! Skacz!"

*

Potok huczy i wzbiera. Wszystkie zapory zerwane. To powódź... Odwrót, rzezie, płonące miasta. W ciągu piętnastu dni ludzkość Zachodu zapadła w głębie... Piętnaście wieków wstecz... I oto – jak w dawnych czasach – wyrwane z własnej ziemi, jakby pędzone zamiecią, ludy cofają się przed najazdem...

Nieskończony *exodus* uciekinierów z północy spadł na Paryż jak deszcz popiołu zwiastujący potoki lawy. Dzień po dniu dworzec północny niby ściek wylewał strumienie tych nieszczęśników. Okryci błotem, wymoczeni do ostateczności, gromadzili się, tworząc cuchnące grupy, w pobliżu Placu Strasburskiego.

Pozbawiona pracy a szarpana żądzą wyładowania niezużytych sił, Anetka krążyła wśród tego stada ludzkiego, owej wyczerpanej do cna i bezsilnej ciżby wstrząsanej nagłą falą okrzyków i gwałtownych gestów. Serce jej tętniło oburzeniem i litością. Wśród tego nawału bezimiennych nieszczęść, gdzie – zda się – traciła grunt pod stopami, czuła potrzebę znalezienia jakiejś istoty, na której mogłaby zatrzymać swoje krótkowzroczne oczy i namiętnie ofiarować pomoc.

Wszedłszy do hali dworcowej ujrzała i wybrała natychmiast (a raczej instynkt wybrał) grupę złożoną z dwu osób widoczną w załomie muru pomiędzy dwoma filarami. Mężczyzna leżał na ziemi, kobieta siedziała obok, trzymając jego głowę na kolanach. Opuściwszy wagon, wyczerpani, padli tu zaraz przy wejściu. Fala przechodniów rozbijała się o siedzącą kobietę, która chroniła leżącego. Pozwalała się deptać; widziała jedynie tę twarz o zamkniętych powiekach. Anetka przystanęła osłaniając ją sobą i przyglądała się, pochylona. Widziała tylko kark, silną, mlecznobiałą szyję, rude, gęste włosy, pociemniałe od brudu, jakby pozlepiane strużkami potu, i dłonie ściskające woskowo blade policzki leżącego mężczyzny. Mężczyzna? Był to młody chłopak osiemnasto– czy dwudziestoletni. Ledwo oddychał; początkowo Anetce wydało się, że dopiero co skonał. Słyszała, jak kobieta niskim i żarliwym głosem powtarzała namiętnie bezładne słowa:

– Nie umieraj! Ja nie chcę!...

Zabłoconymi i podrapanymi dłońmi wodziła po oczach, policzkach i wargach nieruchomej jak maska twarzy. Anetka dotknęła ramienia nieznajomej. Nie odwróciła się. Ukląkłszy Anetka odsunęła jej ręce, by dotknąć twarzy chłopca, kobieta jednak zdawała się nie dostrzegać jej obecności. Anetka powiedziała:

– Ależ on żyje! Trzeba go ratować.

Wówczas kobieta chwyciła ją kurczowo, wołając:

– Uratuj mi go!

Uniosła głowę i Anetka tuż przed sobą zobaczyła piegowatą o kanciastych konturach twarz, w której uwagę zwracały przede wszystkim mięsiste usta i krótki nos, tworzący wraz z wywiniętymi wargami zarys ryja. Dziewczyna była brzydka, miała niskie czoło, a szczęki i kości policzkowe silnie rozwinięte. Ale cóż za zuchwały wyraz ust, jaka masa rudych włosów, nadających czaszce wydłużony kształt niby wieży ponad wąskim czołem. Dopiero potem dostrzegało się oczy, wielkie i niebieskie, oczy flamandzkie, oczy – zwierciadło ciała.

Anetka spytała:

– Ale on nie jest ranny?

Kobieta szepnęła:

– Szliśmy po całych dniach, długo. Jest wymęczony.

– Skąd jesteście?

– Z C... z samej północy. Oni przyszli, wszystko spalili... Zabiłam... Zdjęłam strzelbę ze ściany i zza płotu strzeliłam do pierwszego. Uciekliśmy. Ile razy zatrzymywaliśmy się, aby odetchnąć, słychać było, jak lecą za nami... jak dudni... Jakby toczył się ogromny wał. Całe niebo czarne. Jakby szła burza gradowa... Biegniemy... biegniemy, on pada... Niosłam go.

– Kto to jest?

– Mój brat.

– Nie możecie zostać w tym kurzu. Ludzie depczą po nas. Proszę wstać! Czy zna pani kogoś w Paryżu?

– Nie znam nikogo. Nie mam nic. Wszystko zniszczone. Uciekliśmy bez grosza, bez odzieży, prócz tego, co na grzbiecie.

Anetka nie zawahała się.

– Zabieram was.

– Dokąd?

– Do siebie.

Wzięły leżącego, siostra pod ramiona, Anetka za nogi. Obie były silne, a wychudzone ciało niewiele ważyło. Na placu znalazły nosze, a jacyś dwaj ludzie: stary robotnik i wyrostek podjęli się je zanieść. Siostra uparła się trzymać brata za rękę, choć przeszkadzało to niosącym, a przechodnie potrącali ją. Anetka wzięła ją pod ramię; przy każdym ruchu noszy palce kobiety kurczyły się nerwowo, gdy zaś niosący stawiali je, by odpocząć, klękała na trotuarze i gładziła twarz brata, wyrzucając z siebie potok słów szorstkich a pieszczotliwych, w których język francuski mieszał się z narzeczem flamandzkim.

Dobrnęli wreszcie do domu. Anetka umieściła nowoprzybyłych w jadalni. Bernardinowie pożyczyli łóżko jednego z synów, a kobiecie posłano na podłodze na materacu Anetki. Chory nie odzyskał przytomności; rozebrano go i zawezwano lekarza; zanim jednak przybył, siostra, która uparcie nie chciała odpocząć, padła powalona zmęczeniem i zasnęła kamiennym snem na piętnaście godzin.

Przy chorym czuwała Anetka.

Przenosiła spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Obie podobne do masek: jedna woskowa, o zapadłych policzkach, jak gdyby życie uciekało z niej widomie, druga obrzmiała, namiętna, z ustami otwartymi, skąd dobywał się charczący oddech i wybuchały raz po raz potoki słów bez związku. Anetka drzemała w ciszy nocnej czuwając nad snem śmierci i snem szaleństwa. I z drżeniem zadawala sobie pytanie, po co wniosła pod dach swego domu upiorną płonącą pochodnię.

*

Aż dotąd mieszkańcy domu nie utrzymywali ze sobą żadnych prawie stosunków. Znano co najwyżej nazwiska najbliższych sąsiadów. Pierwsze tygodnie wojny zbliżyły ich i w końcu wszystkie te maleńkie dzielnice, otwierając granice celne, połączyły się we wspólny naród. Nadzieje ich i obawy po raz pierwszy tworzyły jedno; nie mijano się już nie dostrzegając nawzajem na schodach: patrzono spotkanemu w twarz i poznawano się, zaczęto nawet zamieniać po kilka słów. Chmurny indywidualizm nie odgradzał się już murem miłości własnej od spraw, które dręczyły wszystkich. Dzielono się wiadomościami o tych, którzy poszli na front, i o tej, która była wspólną krewną wszystkich – zagrożonej ojczyźnie. W godzinach nadejścia poczty tworzyła się u stóp schodów mała grupka, a samotny niepokój każdego z czekających tajał w cieple wzajemnej ufności. Duch uprzejmego wygodnictwa, skory zarówno do stwarzania przesądów jak do zapominania o nich, gdy trzeba, obalił milcząco na jakiś czas owe uprzedzenia, które niby krata dzieliły dotąd sąsiadów. Girerd utrzymywał teraz stosunki z Bernardinem, a panie Bernardin, osoby pobożne a płochliwe, odpłacały uprzejmością na uprzejmości Anetki. Uśmiechały się, zdecydowane – aż do odwołania – zapomnieć o wątpliwościach, jakie miały w stosunku do zagadkowej sąsiadki i jej nieuświęconego może prawem macierzyństwa. Nie nastąpiło rzeczywiste zbliżenie, ludzie nie stali się bardziej tolerancyjni, nie uznano niczego, czego nie uznawano wczoraj, ale udawano teraz, że się nie wie o tym, czego się nie uznaje.

Jedna tylko młoda pani Chardonnet zamknęła się w swoim cierpieniu. Nie chciała dostrzegać serdecznych spojrzeń Lidii Murisier, która widząc jej mękę gotowa była podzielić się z nią własnym bólem i własną nadzieją.

Od piwnic do strychu wszyscy byli pasażerami tego samego okrętu; a tajfun był coraz bliżej. Niebezpieczeństwo równało ich... Czemuż cała ziemia nie jest zagrożona!... (A tak będzie.) Wszystkie narody w walce z Naturą utworzyłyby wówczas nareszcie jedną ludzkość. Konieczne są jednak po temu dwa warunki: po pierwsze, by nikt nie miał szans własnego tylko ocalenia, po drugie zaś, by istniała nadzieja ocalenia dla wszystkich. Gdyby jej zabrakło, człowiek zaprzestałby walki. Warunki takie nigdy długo nie współistnieją, ale istniały właśnie wtedy.

Nawała niemiecka biła już prawie o bramy Paryża. Rząd dał drapaka. Wszyscy mieszkańcy domu oburzali się z powodu tej ucieczki do Bordeaux i wyrażali swą wzgardę. Sylwia szalała z wściekłości, podobna do swoich babek z czasów, kiedy król Ludwik dał podobnego drapaka. Niedobrze by było naszym bohaterom z Chateau–Margaux[11] zetknąć się z jej nożycami. Ale był to rachunek do wyrównania na potem. Wszystkich zajęły pilniejsze troski. Ciotka i siostrzeniec, Sylwia i Marek, kopali i sypali szańce; były to prace nakazane przez Gallieniego[12] dla zajęcia rozgorączkowanych paryżan. Nie było zresztą paniki; czekano żywiąc najlepsze nadzieje, a gotując się na najgorsze. Marek ściskał w kieszeni swój sławetny rewolwer, pragnął nawet wkroczenia Niemców do miasta, by go wypróbować. Anetka miała dłonie gorące; na zewnątrz spokojna, czuła się dobrze jak nigdy. Wie wreszcie, na co jest narażona wraz z synem!... I to jej sprawia ulgę. Inni doznają podobnego uczucia. Niepokoje rodziców łagodzi myśl, że biorą po trosze udział w niebezpieczeństwach synów.

Lidia Murisier przychodzi do Anetki czytać listy narzeczonego. Te dwie kobiety poczuły ku sobie pociąg wzajemny, zanim do siebie przemówiły. Anetka usłyszała jakby ukryty śpiew źródełka na łące, a Lidia wyczytała pełnym tkliwości uśmiechu starszej siostry, że ona jedna

[11] C h â t e a u – M a r g a u x – aluzja do podwójnego znaczenia tej nazwy: miejscowość w okolicach Bordeaux (do Bordeaux schronił się rząd po ucieczce z Paryża), a także marka wina.

[12] G a l l i e n i Joseph Simon (1849–1916) – generał francuski, w roku 1914 został gubernatorem Paryża i kierował pracami fortyfikacyjnymi.

w całym domu posiada klucz do tej muzyki. Słodko jej myśleć, że ktoś ją słyszy, ale obie nie wspominają nic o tym śpiewie serca. Nie wolno wśród szczęku broni wsłuchiwać się nadmiernie w melodię dni pokoju, w dźwięk fletni opłakującej szczęście. Lidia odczytuje listy ukochanego, który mówi o szczytnym obowiązku żołnierzy Cywilizacji. Młody stoik wciąga dziewczynę w lodowaty krąg swego promieniowania, Lidia, zakochana, kąpie się w nim radosna i drżąca, a żar jej łona topi śnieg idei. To jeszcze dziecko; pozwala złudzeniom kłaść swą pozłotę na okrucieństwo ofiary, a bohaterstwo jest jeszcze dla niej na poły igraszką. Wie o niebezpieczeństwie, ale wierzy, chce wierzyć w opiekę jakiegoś bóstwa... jego własnego... które czuwa nad jej własną miłością. (Czyż jej bóstwo i jej miłość nie mają tego samego oblicza?) Wydaje się ufna, szczęśliwa i śmieje się jak dziecko serdecznym, gardłowym śmiechem. Potem nagle płacze i nie chce powiedzieć dlaczego. Anetce żal jej. Widzi, jak się podnieca zdaniami, które recytuje z zapałem, jednym tchem, aż utyka, niepewna... (Czyżby zmyliła jakieś słowo? Prosi o przebaczenie spojrzeniem i zmieszanym, uroczym uśmiechem.) Anetka ma ochotę wziąć ją w objęcia i powiedzieć:

„Dzieciaku, powtarzasz cudze myśli. Oprzyj czoło o moje usta! Kiedy milczysz, słyszę twoje serce..."

Ale Lidia nie powinna tego usłyszeć. Ma słuszność. Niech recytuje wyuczone słowa, które dają jej zapomnienie! Idee usypiają serce.

Cały dom jest nimi upojony. Egzaltacja dochodzi do szczytu podczas owych dni – pięciu dni – w których rozgrywa się bitwa narodów. Naturalne instynkty samoobrony, wzajemnej pomocy, sławy i poświęcenia nabierają nowej siły... I oto nadchodzi dzień, kiedy na placu Notre Dame tłum zanosi błagania do Dziewicy Orleańskiej. A z galerii bazyliki kardynał rzuca okrzyk:

– Zwycięstwo!

*

I nagle wszystko ustaje. Porywy załamują się. Dusza obniża lot.

Począwszy od października sprawy nie posuwają się wcale. Największe niebezpieczeństwo minęło, ale cierń na długo pozostał w ropiejącym ciele. Trzeba się przygotować, by żyć tak może całe lata. Któż by jednak potrafił odważnie spojrzeć tej prawdzie w oczy? Wszyscy okłamują siebie i drugich. Dla podtrzymania zapału używa się środków sztucznych, harapa prasy, jej przynęt i okrucieństw (są one rzeczywiście specjalnością prasy: podchwytuje je ona i rozwija pomysłowo z radością ludożercy). A opinia publiczna zrywa się z otępienia niby pijak w napadzie krwawej nienawiści.

Cały dom kiśnie w atmosferze przesyconej cierpieniem, irytacją, niecierpliwością i nudą. Zima się wlecze, a w jej ponurym świetle coraz bardziej widoczna staje się chorobliwa fermentacja dusz.

Dwoje uciekinierów z północy, Apolonia i Aleksy Quiercy, zostali u Anetki. Przyjęła ich na kilka tygodni, aż do chwili kiedy on wyzdrowieje i kiedy znajdą mieszkanie oraz pracę. Nie szukali jednak wcale: uważali za rzecz całkiem naturalną, że Anetka ich przygarnęła, i nie krępowali się zupełnie: nie ich rzeczą było liczyć, ile wydaje! Uważali się za ofiary, a całą Francję za swą dłużniczkę. Doszło do tego, że Apolonia zaczęła narzekać na mieszkanie: w jadalni było im ciasno. Nie posunęła się tak daleko, by żądać pokoju Anetki, ale gdyby go ona jej dała, powiedziałaby co najwyżej: „dziękuję!" Marek był rozdrażniony do najwyższych granic. Czuł do tej kobiety jakąś fascynującą odrazę.

Dziwni to byli goście! Aleksy leżał po całych dniach, Apolonia również nie wychodziła z mieszkania i trudno ich było skłonić do wietrzenia pokoju. Zamknięci, trwali w bezruchu. Aleksy był z natury ociężały, a od czasu straszliwej ucieczki w sierpniu nie odzyskał całkowicie sił. Miał jasne kędzierzawe włosy zarastające nisko wąskie i wypukłe czoło, małe męt-

noniebieskie oczy i obrzmiałe, wiecznie otwarte usta, którymi chwytał oddech. Podobny był do siostry; ale z nich dwojga ona była bardziej mężczyzną. Aleksy, małomówny z natury, zapadał w szklistą senność albo przeżuwał słowa modlitwy miętosząc w ręku różaniec. Modlitwa bywa kołyską dla drzemiącego umysłu. Brat i siostra byli na swój sposób pobożni: Bóg stanowił ich własność, mieszkali u niego jak u Anetki. Niech inni się stąd wynoszą! Bierny, ale uparty Aleksy zaszywał się w to schronienie, pozostawiając działanie siostrze.

Dziewczyna ta, pełna brutalnej energii, tłumiła ją; całymi godzinami siedziała pochylona nad szyciem, podczas gdy niecierpliwe jej palce poruszały się szybko a niezawodnie. Nagle rzucała. robotę i zaczynała chodzić, chodzić w kółko, po ciasnej przestrzeni pomiędzy oknem a łóżkiem. Przystawała wygrażając pięściami niewidzialnemu wrogowi, krzycząc, że mu wydrapie paznokciami oczy. Mówiła coś, mówiła bez końca, jękliwie, groźnie, gwałtownie, to znów cicho i uparcie. W końcu rzucała się z nagła na łóżko brata i ściskała go, zasypując gradem namiętnych słów., Wówczas odzywał się jego głos – płaczliwy, monotonny, i wreszcie nastawała cisza. Zdawało się, że to śmierć weszła do pokoju...

Takie sąsiedztwo nie było zbyt wygodne. Nie śmiano jednak głośno narzekać, żałowano biedaków i usiłowano zdobyć się na cierpliwość. Cierpieli wszyscy, im zaś przypadły w udziale rzeczy straszne. Zanim uciekli, widzieli płonący dom rodzinny, w którym zamknięta była chora matka; na ich oczach rozstrzelano służącego u nich od dawna parobka. Rozumiano tedy, że doznali wstrząsu nerwowego. Anetka, wolna dotąd od brzemienia ofiar, uważała, że powinna znosić ciążącą obecność tych gości. Z nią jedną tylko Apolonia raczyła rozmawiać, stosunki ich nie były zresztą zbyt głębokie. Ta wytrącona z równowagi natura przechodziła bezpośrednio od cierpkiej wrogości do pewnej jakby sympatii, by znowu wrócić do pierwszego nastroju. W rzadkich chwilach, kiedy Apolonia zbliżała się do Anetki, zdawało się, jakby odczuwała w niej pokrewne sobie cechy. Były to jednak te właśnie, do których Anetka niechętnie się przyznawała, i była tym skrępowana. Toteż czuła ulgę, gdy pomiędzy nimi znów wyrastała przegroda. Owe momenty zbliżenia były zresztą rzadkie; najczęściej Apolonia, sobą tylko zajęta, zapadała w trzęsawisko własnej niespokojnej i gwałtownej duszy, skąd bił żar gorączki. Marek – niby młody węszący psiak – wchłaniał go ze wstrętem a zarazem pożądaniem. Nienawidził tej kobiety, a podglądał ją. Ta atmosfera cuchnącej namiętności ciążyła Anetce w czasie bezsennych nocy.

Przez szpary drzwi płynęły schodami, rzec by można, bagienne wyziewy. Na tym samym piętrze, w mieszkaniu tuż obok mieszkania Anetki, drżąc z zimna siedziała, zamknąwszy się, Klarysa. Nie chciała nikogo widzieć, miała żal do wszystkich. Były w niej noc i chłód. Krew jej przestała – zdawać się mogło, że przestała – krążyć; Klarysa czuła się jak skamieniała z zimna kora zmarzłego drzewa. Czasem tylko, gdy nadchodziły wiadomości od nieobecnego, owiewał ją ciepły podmuch. Odczytywała listy z suchymi oczyma i ściśniętym sercem: odjeżdżając skradł jej to, co było słońcem jej nocy. Przeczytawszy, mięła papier w kulkę .i trzymała go długo w zaciśniętej dłoni. Lecz odpowiadała krótko, bezbarwnie; w listach jej nie znajdowała odbicia ani boleść, ani pragnienie, by cierpiał tak jak ona. Nie udawała wcale: należała do osób, dla których pisać znaczy mówić o tym, co jest wokoło, a nie w nich samych, o tym, co się robi, nie zaś, co się myśli ani czym się jest. Nie mówiła o tym nawet z samą sobą: by mówić ze swym sercem, musiałaby czuć jego bicie. Serce jej zaś było ścięte mrozem. Samo nawet cierpienie zastygło, a uraza odgradzała ją od świata jak murem.

Lecz z wiosną lód stopniał. Pewnego dnia Marek usłyszał śmiech Klarysy. Chodziła po pokoju spoglądając w lustro; spotykano ją na schodach, wychodziła późnym wieczorem. Ubrana była ze smakiem, gdyż jako prawdziwa paryżanka posiadała tę wrodzoną umiejętność. Ciało jej zgrabne, o zwinnych ruchach przypominało w liniach kotkę, miała też w sobie, jak kotka, uśpiony żar i chłód w oczach. Przechodziła cicho, nie zatrzymując się, pozdrawiała

spotkanych skinieniem głowy; gdy mówiono do niej, odpowiadała z rezerwą, grzecznie i oddalała się; nie chciała nic dzielić i z nikim.

„Idę swoją drogą, idźcież wy swoją!..."

Była niby obca, a ludzie przebaczą raczej wszystko inne niż odmowę jadania z tego samego półmiska. Krąg niechętnych myśli otoczył młodą kobietę, ona jednak nic sobie z tego nie robiła. Co innego było zresztą do roboty, jak baczyć na jej kroki. Jeden tylko Marek śledził jej nocne powroty i wyobraźnia jego pracowała. On zawsze... Piękne miał otoczenie! Na prawo i na lewo od jego łóżka owe „panny głupie". Ciała ich płoną... Powiew rozpusty wieje nad Paryżem, a rozpusta jest siostrą nienawiści.

Nienawiść może być także czysta. W rodzie Bernardinów łączy się ją z kultem Ukrzyżowanego. Zarówno państwo jak i duchowieństwo walczyło z rozprzestrzenianiem „modlitwy o pokój", którą papież wystosował do świata chrześcijańskiego. Pokumali się i zgodzili szybko: należało co prędzej zatuszować tę wypowiedź Najwyższego Dostojnika. Wierni podnieśli bunt. Krew galicka wrzała: stary Bernardin, pobożny, ale popędliwy, piorunował na papieża cudzoziemca. Na szczęście, nie brakło we Francji mężów świątobliwych, którzy umieli nałożyć kaganiec Słowu...

„Ojcze Święty! Wasza Świątobliwość poleca nam modlić się o pokój... Doskonale! Zaraz to wyjaśnimy... Niech się dzieje Wasza wola, byleby była również naszą! Pokój, pokój, drodzy bracia..."

– Pokój to zwycięstwo! – posłusznie powtarzają za kardynałem arcybiskupem sklepienia katedry Notre Dame.

A złocone stiuki Św. Magdaleny wtórują:

– Pokój, o Panie... prawdziwy pokój, Twój... to znaczy nasz pokój... Ale nie tamten pokój, pokój wrogów, których wybijemy do nogi!

Chodzi tylko o „definicję"...

W ten sposób ukojono sumienia chrześcijańskie, a rodzina Bernardinów oświadczyła, że jest najzupełniej zadowolona z papieża i jego pasterzy. Stary prawnik – jakkolwiek przykładny katolik – ze szczególną złośliwością cieszy się jednocześnie tym, że zdołano tak zręcznie zinterpretować tekst prawa, odwracając jego sens na opak. Klęcząc u ołtarza z pochylonym czołem i pobożnie spuszczonymi upartymi oczyma nie może powstrzymać przelotnego uśmiechu, który ginie w jego twardej jak szczecina brodzie...

„To było dobrze zrobione... – *Fiat voluntas tua!...*[13] Ojcze Święty, okpili cię..."

A ojciec Sertiiianges[14] wyciskał łzy ekstazy z oczu biednych kobiet, które widziały Chrystusa razem ze swymi synami, jako jeszcze jednego *poilu*[15] – w okopach Getsemane. Na skutek straszliwej przemiany pole rzezi wydawało się zaczerwienionym oczom i przerażonym sercom ołtarzem, na którym w kielichu z klejnotów i błota, bólu i sławy składana jest ofiara krwi boskiej.

A pierwszą, która ustami stworzonymi do pocałunków wychyliła ten kielich upijając się rozpaczą, była Lidia Murisier.

Ukochany jej poległ już w pierwszych dniach września, ale długo o tym nie wiedziano. W zamieszaniu ustawicznych starć dwóch armii, które niby ludzkie trzody, z pochylonym karkiem parły naprzód, cofały się i nacierały znowu, podczas gdy mur żywych ciał deptał ciała

---

[13] *Fiat voluntas tua* (łac.) – bądź wola twoja.

[14] Sertillanges Antonin Gilbert (ur. 1863) – dominikanin francuski, słynny kaznodzieja i filozof katolicki.

[15] *Poilu* – dosłownie: owłosiony; nazwa nadawana żołnierzom francuskim w czasie pierwszej wojny światowej.

zmarłych, brakło czasu na liczenie tych, którzy padli. Lidia ufnie czytała listy żyjącego, gdy tymczasem od dwu już tygodni znikł nawet ślad jego istnienia. Ojczyzna była ocalona, z trudem więc przychodziło wyobrazić sobie, by nie dzielili jej losu ci, którzy ją ocalili. W październiku padł na dom wyrok śmierci, a okrucieństwo jego nie pozostawiało żadnej wątpliwości: jeden z towarzyszy broni oznaczył dzień, godzinę i miejsce. Wyrok zapadł. W domu nie zaszła pozornie żadna zmiana. Girerd zamknął się na cztery spusty. Nikt by o niczym nie wiedział, gdyby nie dozorca, który wiedział wszystko. Lidia snuła się jak cień, sprowadziła się do teścia, mieszkała teraz u niego, ale mieszkanie wydawało się opustoszałe. Nie dolatywał stamtąd żaden szmer. Schodząc po schodach Anetka mijała drzwi, cisza dławiła ją, ale przerwać jej nie śmiała...

Zapukała jednak. Po chwili Lidia otworzyła – rysów jej nie było widać w ciemnym korytarzu. Dwie kobiety pocałowały się bez słowa. Lidia płakała w milczeniu, a Anetka czuła, jak po jej policzkach spływają gorące łzy dziewczyny. Lidia wzięła ją za rękę i zaprowadziła do swego pokoju. Była szósta wieczór. Przez uchylone drzwi padało światło z- drugiego pokoju: zapewne był tam pan Girerd, choć żaden szelest nie świadczył o jego obecności. Usiadły trzymając się za ręce i rozmawiały po cichu. Lidia powiedziała:

– Wyjeżdżam dziś wieczór.

– Dokąd pani jedzie?

– Chcę go odnaleźć.

Anetka przez chwilę nie śmiała spytać.

– Gdzie?

– Tam, gdzie śpi mój ukochany.

– Jak to?

– Tak, pole bitwy jest już dzisiaj dostępne.

– Jakże pani zdoła odnaleźć pośród tylu tysięcy?...

– On sam mnie poprowadzi. Wiem, że go odnajdę.

Anetka chciałaby krzyczeć:

„Nie jedź! Nie jedź! On żyje w tobie! Nie szukaj go tam wśród fetoru rzeźni."

Rozumiała jednak, że Lidia nie była wolna. Anetka dotykała jej rąk, ale zmarły je trzymał w uścisku. Powiedziała:

– Moje biedne dziecko, czy mogłabym pani towarzyszyć?

Lidia odrzekła:

– Dziękuję.

A pokazując oświetlone drzwi dodała:

– Ojciec jedzie ze mną.

Pożegnały się.

Wieczorem Anetka usłyszała na schodach ciche a ociężałe kroki odjeżdżających.

W dziesięć dni później wrócili równie niepostrzeżenie, jak wyjechali. Anetka nie wiedziała o tym. Zadzwoniono, a kiedy otworzyła drzwi, ujrzała przed sobą Lidię w żałobie, z bolesnym uśmiechem na ustach. Wydała jej się Eurydyką wracającą bez Orfeusza[16]. Ucałowała ją i zaprowadziła, niosąc niemal, do swego pokoju, po czym zamknęła drzwi. Młodziutkiej narzeczonej pilno było opowiedzieć swą podróż do krainy umarłych. Nie płakała już, w oczach miała nawet radosne uniesienie, ale było to jeszcze straszniejsze. Szeptała:

[16] Eurydyka wracająca bez Orfeusza – aluzja do mitu greckiego, według którego poeta Orfeusz po śmierci swej żony Eurydyki ubłagał Plutona, władcę świata zmarłych, by mu ją oddał. Pluton jednak postawił za warunek, ażeby Orfeusz przed powrotem z żoną na ziemię nie spojrzał na nią. Dochodząc do wyjścia z otchłani Orfeusz odwrócił się – i na zawsze utracił Eurydykę.

– Znalazłam go... On mnie prowadził... Błądziliśmy po zrytych polach, pośród grobów, byliśmy znużeni, straciliśmy już nadzieję. Zbliżyliśmy się do małego zagajnika i nagle wydało mi się, że on mnie wzywa: „Chodź!" Lasek karłowatych dębów... Na ziemi walało się mnóstwo okrwawionej bielizny, listów i strzępów ubrania. Cały pułk został tu otoczony... Szłam. Prowadził mnie. Ojciec mówił: „Nie idź dalej, nie ma po co! Wracaj!" Pod jednym z drzew, na uboczu, zobaczyłam na mchu kawałek papieru. Podniosłam... To był mój list! Ostatni, jaki przeczytał!... A na papierze jego krew... Ucałowałam ziemię i położyłam się tam, na miejscu, gdzie on leżał... było to nasze ślubne łoże... Czułam się szczęśliwa... Rada bym spać tam zawsze. Powietrze przepojone było bohaterstwem...

Uśmiechnęła się w bolesnej ekstazie, Anetka nie śmiała na nią spojrzeć...

Stary Girerd wydawał się skamieniały. Niezłamany ciosem, podjął swą pracę. Nie rozmawiał z nikim, ale w wykładach swoich, przemówieniach i gwałtownych artykułach głosił nieubłaganą krucjatę; z całą zażartością zabijał duszę nieprzyjaciela, policzkował ją, wyrzucał poza nawias ludzkości. W domu wszyscy pozdrawiali go, ale usuwali mu się z drogi: spojrzenie jego zdawało się wyrażać potępienie dla tych, którzy jeszcze żyją. Czuli się winni wobec niego, a instynkt zbiorowy w poszukiwaniu kozła ofiarnego zbierał niejasne oskarżenia i kierował je jednomyślnie przeciw człowiekowi z najwyższego piętra, temu, który nie poszedł.

Clapier (Józefin) chory na serce... To choroba-symulantów! Serce dobrego Francuza jest zawsze dość zdrowe, by umrzeć w boju za ojczyznę... Ale on zalicza się do tych ludzi, którzy ściągnęli na nas wojnę i inwazję – pacyfiści!...

Był to młodzieniec wykwitny, nieśmiały; dobry pisarz, który pragnął jedynie żyć w spokoju, z piórem w ręku, pośród książek. Ilekroć wychylał się na klatkę schodową, czuł, że płynie ku niemu jakby cuchnący powiew podejrzeń. Gdy przechodził, uchylano drzwi, by go śledzić, nie dostrzegano natomiast jego ukłonów; dozorca Brochon siedząc w głębi portierki patrzył w inną stronę. Ale gdy Clapier oglądał się na ulicy, widział o trzydzieści kroków za sobą togo samego Brochona bacznie go śledzącego. Na swoim piętrze czytał szyderczą wzgardę w spojrzeniach żon robotników.

Wyobrażał zaś sobie jeszcze drugie tyle, wyobrażać sobie było bowiem jego zawodem. Fantazja jego szumiała jak palnik gazowy Auera. Ogarnęła go trwoga.. Żył samotnie, a estetyzm nie wystarcza na długo, gdy trzeba znosić osamotnienie myśli. Na to potrzebny jest charakter, a tego towaru nie ma na dnie kałamarza. W dodatku piękne słowa zmuszają do pięknego postępowania, jeśli zaś postępuje się źle – zmuszają do kłamstwa. Bez trudu też skłoniły Clapiera z całym jego pacyfizmem do podjęcia męskiego zadania, jakiego się odeń domagał surowy duch domu. Wstąpił do cenzury, a urzędową jego funkcją stało się otwieranie listów. Nie był złym chłopcem i nie chciał niczyjej krzywdy, ale jak każdy człowiek słaby, zboczywszy raz z prostej drogi, posunął się na niej dalej niż silny: stał się zbyt gorliwy i zaczął przesadzać. Denuncjował działalność pacyfistów tak długo, póki nie zmusił dawnych współtowarzyszy, by jak on szli do Kanossy. Renegat czuje żądzę zdradzania pospołu z innymi i biada temu, kto by mu się chciał opierać. Clapier – dobry chłopiec o miękkich rękach – czuł, jak u palców wyrastają mu szpony Państwa. Pobudliwe serce zaczęło bić niby serce bohaterów wielkiego Corneille'a. Stał się Rzymianinem. Gotów był złożyć w ofierze – gdyby ją tylko miał – własną rodzinę.

Za tę cenę pozyskał łaski Brochona. Nie zrozumiał natomiast nigdy, dlaczego dobrzy patrioci, jak Anetka, na jego widok odwracają się teraz plecami.

*

Anetkę ogarnął niepokój. Utraciła dawną pewność siebie. W miarę jak mijały dni i miesiące, zaniepokojenie jej ciągle wzrastało. Miała mało pracy, a zbyt wiele czasu na myślenie; czuła wokół siebie istnienie czegoś potwornego, czegoś, co zagarniało pod swą władzę wszystkie te istoty, od najbardziej wulgarnych do najbardziej uroczych. Wszystko stało się anormalne, zarówno występki jak i cnoty. Egzaltowana miłość, bohaterstwo, strach, wiara, egoizm i pełne poświęcenie, wszystko miało odcień chorobliwy. A choroba ta szerzyła się nie szczędząc nikogo.

Anetka przeżywała to tym silniej, że nie sądziła, by zło wynikało z jakiejś przypadkowej przyczyny; nie przyszło jej nawet na myśl oskarżać o to czyjąś wolę, przypisywać bieg spraw intrygom, czynić kogoś odpowiedzialnym. Nie znała tej wojny, ale wiedziała, co znaczy wojna. Była z dala od bitew, narad, nie widziała oblicza Bestii, ale czuła na twarzy jej zatruty oddech. Bardziej niż kiedykolwiek, wojna wydawała się jej teraz faktem naturalnym (rozkład jest naturalny z tego samego tytułu, co integracja organiczna), ale faktem patologicznym, zarazą duszy. Nikt nie zwykł pokazywać swoich chorób, tymczasem tę właśnie chorobę wystawiano na widok publiczny niby *Sanctissiinum*[17], zdobiąc ją nimbem ideału i Boga, jak kwiatami i złotym papierem ozdabia się mięso u rzeźnika. Ani jedna z ich myśli, nawet najszczersza, nie była wolna od kłamstwa i służalczości wobec tego potwora, który zaraził je żrącym trądem. Anetka sama odczuwała podobne symptomy: i ona płonęła żądzą morderstwa i niesienia zagłady, pożądaniem tego wszystkiego, na co nie zgadza się serce i zmysły, a co kłamliwy rozum otacza aureolą. Nocami wydana była na łup ciężkich, zbrodniczych snów.

Gdyby szło o nią tylko, Anetka nie byłaby może nic przedsięwzięła przeciw owemu zatruciu. Stan ten był stanem ogółu i podobnie jak w niebezpieczeństwach, przypadał jej w nim udział. Dlaczegóż miałaby go odpychać? Zniosłaby wszystko z wyniosłością i odrazą, zabraniając sobie tylko zakłamania. Zniosłaby, gdyby nie zastraszające objawy u tego, który był jej droższy niż światło własnych oczu.

Marek uległ zarazie, i to znacznie łatwiej niż dorośli, gdyż ciało jego było wrażliwsze. Nic z tego, co się działo w domu i na mieście, nie uchodziło jego uwagi. Jego oczy, uszy, węch, całe ciało – niczym pudło rezonansowe – chwytało nerwowo drgnienia fal wysyłanych przez owe dusze naładowane elektrycznością. Posiadał niepokojący, dojrzalszy od jego inteligencji instynkt, który podchwytywał mętne dramaty sumienia.

Na długo przed innymi wyczytał okryty czarną mgłą los dwojga sąsiadów, brata i siostry; wyczytał nie rozumiejąc, ale wyczytał całą prawdę. Na długo przed matką dostrzegł przemianę, jaka zachodziła w Klarysie Chardonnet. Anetka litowała się jeszcze nad zrozpaczoną samotną kobietą, kiedy on widział już, że niby wąż zmieniła skórę. Podglądał ją stale: gdy wychodziła, stał już na schodach pojąc się wonią piżma, która zostawała po jej przejściu. Zauważył najdrobniejsze zmiany w stroju i zachowaniu Klarysy. Nie zajmowałby się nią na pewno gorliwiej, gdyby był mężem lub kochankiem. Lecz nie kochał jej wcale, a tylko kierowała nim gorączkowa ciekawość, nie całkiem zresztą niewinna. Dusze i ciała kobiet... Zobaczyć, co tam jest w środku!... Domyślał się, że jest występna, wcześniej, niż się nią stała, i odtąd tym silniej zaczęła go pociągać. Czy chciałby iść za nią? – nie! – raczej być w niej... Co się dzieje w tej piersi?... Chciał zakosztować jej pożądań, poznać tajemne drgnienia, zakazane myśli... Zmysły jego nie były jeszcze w pełni rozwinięte. Chłopiec czy dziewczyna?... I nie wiadomo wtedy jeszcze, czy pragnie się dziewczyny, by nią być, czy też, by ją posiadać.

Pewnego wieczora wracał dość późno z matką. Nagle w źle oświetlonej ulicy ujrzał – tak mu się przynajmniej wydało – błyszczące źrenice... Klarysa szła w towarzystwie. Wyrwało mu się zdziwione:

– Ach!

[17] *S a n c t i s s i m u m* (łac.) – dosłownie: najświętsze; tu: Eucharystia.

i zdjęty dziwaczną wstydliwością, spuścił oczy, by nie spostrzegła, że ją widział. Anetka dosłyszała ten okrzyk i spytała o powód, ale spiesznie odwrócił uwagę matki. Wydawało mu się, że obowiązkiem jego jest ochraniać Klarysę, potem jednak uczuł żal, że nie przyjrzał się lepiej. Czy to była ona? Nie miał już pewności. Pożerał ją myślami... Ją? Nie. Kobietę nieznaną.

Noce jego stały się niespokojne, nawiedzane upartym majakiem. Ten dom, wojenna atmosfera tego miasta, które było niby rozgrzana upałem ziemia pod kloszem brzemiennego burzą, rozpalonego do białości nieba – sączyły opętanie. Oczekiwanie, niepokój, nuda, żałoba i śmierć rodziły żądze. Klarysa nie była jedyną opętaną przez nie duszą.

Córka Perreta nie wraca już na noc do domu: nie ma ojca, który by przepędzał kłusowników; kiedy zaś zwierzyna. została wypłoszona z kryjówki, matka nie zdobyła się na nic poza wymysłami i wyrzuceniem córki za drzwi. Z tego wszystkiego także nie stracił Marek ani jednego szczegółu. Na imię jej prawie tak jak jemu – Marcelinka. Bezczelna dziewczynina, o roześmianych oczach pod zmiętymi powiekami, miała pyszczek małpeczki i zadarty nosek, tłuściutki podbródek i wydatne, nieco wywinięte wargi. Chciałby je całować, ale na samą myśl zetknięcia swoich ust z nimi dreszcz go przebiega od kolan do karku. Gdy się spotykają na schodach, ona woła go po imieniu i patrzy wprost w oczy, by wprawić chłopca w zakłopotanie. On zaś, chcąc ukryć wzburzenie, staje się zuchwały i nazywa ją Perretką. Śmiejąc się wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

Peltier nie ma córki. Ale honor jego – jeśli w tym go widzi – niemniejsze ma rogi. Żona jego, niebrzydka kumoszka, wesoła i sprytna, nosi jedwabne pończochy i wysoko sznurowane buciki. Zarabia na to, pracuje bowiem w fabryce. Ale co flet zarobił, to wytrząsa bęben... Przysłowie wcale odpowiednie na czas wojny! Peltier jest dobrym patriotą, pani Peltier także: zdradza męża tylko z aliantami. Czyż mu się dzieje krzywda? To prawie tyle, co wojować z nim razem; mówi to ze śmiechem. Ta zuchwała w języku Galijka nie pozwoli się wystrychnąć na dudka. Zresztą, miły Boże! Biedny jej mąż nie ma się gorzej przez to, że ona ma się lepiej. Mniejsza o nieobecnych, mniejsza o to, co było i co będzie! Chwila bieżąca ma dobry „spust". Łyka wszystko, chce wszystkiego, jest wszystkim... a jest niczym. To otchłań.

Marek stacza się w nią. Głupiec tylko troszczy się o przyszłość! Kto wie, czy w ogóle będzie jakaś przyszłość? Jeśli liczysz na nią, oszukasz się. Bierz, co pod nosem, nalewaj sobie sam, nie czekając, aż ci naleją! Masz zęby, ręce, oczy, cudowne ciało, tak usiane oczyma jak ogon pawi, ciało, które wchłania życie wszystkimi porami. Bierz, bierz!.., Kochaj i poznawaj, nienawidź i używaj!...

Biegał po Paryżu, opuszczał lekcje, rozgorączkowany, ciekawy, wykolejony. Wojna, kobieta, nieprzyjaciel, pożądanie... Proteusz[18] płomienisty o tysiącu języków... A Ileż jest tych napojów upajających, które pije się z pośpiechem... aż do obrzydzenia! Ileż rzeczy podniecających aż do chwili, gdy człowiek pada zmięty, znużony na całe życie!... Trudna to rzecz pilnować wypuszczonego na wolność źrebięcia. Każdy wydany był na łup własnych myśli, Anetka także, choć długo nic nie podejrzewała. Czując się coraz to gorzej, nie mogła pozostawać bezczynna, tymczasem lekcji zbrakło: rodziny drobnomieszczańskie ograniczały teraz nieubłaganie swój budżet, pozbawiając zarobku tych darmozjadów – nauczycielki! Anetka wzięła kilkutygodniowe zastępstwo w nocnym pogotowiu w Paryżu.

Marek skorzystał z tego. Uciekał z domu, węsząc wałęsał się z bijącym sercem, bardziej zajęty patrzeniem niż próbowaniem, zbyt niedoświadczony, by się odważyć na cokolwiek, zbyt dumny, by zdradzić swą nieświadomość i narazić się na szyderstwo... Znużony, z wyschłymi ustami i płonącymi dłońmi, krążył nieprzerwanie, zawracając raz po raz na te same miejsca... Zostałby niezawodnie wciągnięty w to trzęsawisko, gdyby nie miał szczęścia. Dru-

[18] P r o t e u s z – w mitologii greckiej jeden z bogów morza, pasterz trzody Posejdona, obdarzony przezeń zdolnością odgadywania przyszłości i przybierania dowolnej postaci.

giej nocy swych wędrówek po Puszczy, kiedy znalazł się-w bardzo podejrzanym barze, wśród zgoła nieodpowiedniego dla siebie towarzystwa, nagle czyjaś ręka, mała, ale silna, chwyciła go za ramię i usłyszał głos na poły gniewny, na poły roześmiany:

– A czegóż ty tu szukasz, chłopcze?

Ciotka Sylwia... Ale co ona tu robiła? Nie brakowało mu pewności siebie, spytał więc:

– A ty?

Wybuchnęła śmiechem, nazwała go bezczelnym smarkaczem i biorąc pod ramię oświadczyła:

– Stracę przez ciebie wieczór. Ale obowiązek przede-wszystkim! Mam cię i nie puszczę, aż będziesz w domu.

Daremnie protestował. Zgodziła się w końcu na krótką wspólną przechadzkę przed powrotem do domu. Kiedy znaleźli się sami, oboje – ciotka i siostrzeniec, zaczęli miotać na siebie pociski sarkazmu. Sylwia rozumiała dobrze, że-młode zwierzątko miało ochotę biegać, ale posiadała dość zdrowego rozsądku, by rozumieć niebezpieczeństwo przedwczesnej swobody...

– Czy sądzisz, cielątko, że jesteś panem siebie i możesz sobą dysponować? Ani słowa! Jesteś naszą własnością, własnością matki. Przedmiot muzealny, pod kluczem... Wiedz o tym!

Błaznowała tak, dając mu burę, on zaś stawał dęba i rżał z oburzenia. Jak to? Nie jest wolny, czemuż to? A ona?

– Bo ja jestem zamężna, mój miły panie!

Oniemiał na te zuchwałe słowa. Spojrzała nań z ironią. Chciał coś odburknąć, ale potem roześmiał się:

– Zgoda, złapałaś mnie! Ale i ja ciebie złapałem!

Odpowiedziała śmiechem. Oboje byli winni na równi i teraz grozili sobie palcami i oczyma. Sylwia odprowadziła go do domu, nie zdradzając jednak nic przed Anetka, lękała się bowiem surowości siostry i jej powagi. W duchu myślała sobie:

„Nikt nie zatrzyma strumienia w biegu. Połóżcie kamień na jego drodze – tym pewniej przeskoczy."

I nagle Anetce otwarły się oczy. Spostrzegła, że nie dobrze jest zostawiać pisklę w gnieździe samo. Porzuciła swoje zajęcie, czując wstręt do tej ciżby bab tłoczącej się wokoło rannego mężczyzny, do tej miłości zmieszanej z litością, miłości wśród krwi, miłości krwi!...

„Nie udawaj dumnej! Sama to czułaś..."

Najdziksza to ze wszystkich obłud, kiedy ucywilizowane zwierzę ludzkie zaprawia swe drapieżne instynkty wonią kłamstwa. Poczuła tę woń w swoim synu, jakby ubranie, włosy, nawet delikatny puszek okrywający jego ciało były nią przepojone... Oby tylko ta woń śmierci nie zdążyła . przeniknąć, aż do serca!

Przerażało ją nie tylko owo mgliste jeszcze przebudzenie zmysłów chłopca, okres pokwitania, oszołomienie, którego mały faun nie mógł ukryć. Każda matka znająca życie czeka tej godziny i choć wita ją nie bez wzruszenia, nie dziwi się jej wcale. Czuwa w milczeniu i czeka ze smutkiem, dumą i politowaniem, czeka, by młody samiec przeszedł konieczną próbę, która zrywa więzy i oddziela go ostatecznie od ciała matki. Ale chwila ta, która w czasach pokoju brzmieć może jak wiejskie dzwony bijące na Anioł Pański w pogodne, kwietniowe, miłością rozkwitłe południe – nadchodziła z twardym warkotem bębnów wśród burzy ogarniającej rozszalałe narody.

Pewnego wieczoru, znużona pracą i całodzienną bieganiną, Anetka usiadła na ławce w Ogrodzie Luksemburskim. Marek przechodził właśnie opodal w grupie kolegów z liceum; przystanęli pośrodku alei i zaczęli dyskutować. Kępa drzew oddzielała ich od ławki, tak że Anetka mogła słuchać niedostrzeżona. Usłyszała namiętny i szyderczy głos syna wielbiącego

niedaleką przyszłość, kiedy odpłaci się Szwabom: dwoje oczu za jedno, a za jeden ząb całą paszczękę. Ci smarkacze węszyli już z dala krew, jak sfora psów czekająca na odprawę przy patroszeniu zwierzyny; udawali ludzi mocnych, którzy nie mają niepotrzebnych skrupułów i nie poddają się słabości. Marek z fanfaronadą pochwalał zbrodnie:

– Niemcy gwałcili, dusili, palili. Mieli rację! My potrafimy to jeszcze lepiej! Jak wojna, to wojna! Użyjemy sobie. Oczywiście w dziennikach będziemy pisali dla idiotów o ideałach cywilizacji. Będziemy cywilizować.

Potakiwano mu, on zaś był dumny z uznania. Chłopcy gadali bez końca, smakując zawczasu przyszłe wyczyny, o „kobietach i dziewczętach, które będą zapładniać – (tego istotnie szkoda!) – szlachetnym nasieniem francuskim!...” Ci smarkacze nie wiedzieli, co mówią, byli niemal mężczyznami. Mężczyźni nie zdają sobie sprawy ze zła, jakie czynią. Ale czynią je.

Anetka czuła się tak, jakby ją spoliczkowano: Obelga, która padła z roześmianych ust jej chłopca, trafiła ją w serce – w brzuch... *„Feri ventrem!...”*[19] Oto kogo wydała na świat! Szczenię wilcze! Nie wiedział... „A gdyby wiedział, czyż nie byłby gorszy? W jaki sposób uchronić go od ohydnego zewu Puszczy?”

Innego dnia wysłuchała, tym razem w bezpośredniej rozmowie, jak bezwstydnie kpił ‘z fałszerzy pokoju i wojny, sług Kościoła i Prawa. Przenikliwym oczom jego nie uszło nic z bohaterskiej obłudy Girerdów i Bernardinów, którzy by wygrać rozpoczętą partię, szachrowali Krzyżem i Ideą. Nigdy w to nie wierzył, nie wierzył w ogóle w nic (na razie). Dzieci nabierały wówczas wstrętu do słów, do lepkich słów, jakie płynęły z ust starszych: Sprawiedliwość, Republika, Bóg – słowa, słowa... Duchowni czy świeccy, wszyscy są z tej samej mąki.

– Nie nas brać na kawał! Nie dam się!

Miast się oburzać, Marek wybuchał śmiechem. Bufonada ta podobała mu się jak dobra zabawa – sam gotów był wziąć w niej udział. Idealizm i religia to rzeczy doskonałe do mydlenia oczu – obezwładniają jak duszący gaz. Kto najmocniejszy, ten największym łotrem...

– Góra nasi! Nie brak nam kaznodziejów, profesorów, szarlatanów Kościoła, prasy i parlamentu! Pięknie jest kłamać „w imię Boga, cara i ojczyzny” (Michał Strogoff). Bozia to najpiękniejszy, ze wszystkich ludzkich wynalazków!...

Ten nieletni Machiawel popisywał się i bawił swoim cynizmem. Anetka oburzyła się. Należało raczej zachować spokój, ale trafił ją w czułe miejsce; krzyknęła z uniesieniem:

– Dość tego!

Marek zdziwił się:

– Dlaczegóż to?

– Nie kpi się z tych rzeczy!

Chłopiec odparł z przekorą:

– Wszyscy to właśnie robią!

– Za to się umiera!

– Ach, zapomniałem, że w twoich czasach łykało się wszystko, co podano. Proszę o przebaczenie.

– Nie przebaczam! – zawołała Anetka unosząc się coraz bardziej. – Przestań raz ironizować!

– Jest to mój sposób traktowania rzeczy serio – odrzucił.

Miał złe spojrzenie i złośliwy uśmiech zaczajony w kącikach ust. Po chwili dodał z naciskiem:

– Bądź łaskawa zauważyć, że składam właśnie hołd... tym rzeczom.

---

[19] *F e r i v e n t r e m* (łac.) – uderzaj w brzuch.

– Tego właśnie darować ci nie mogę! – odparła. – Te r z e c z y: ich Bóg, ich wiara... nie wierzę w to wszystko. Niestety. Ale szanuję tych, którzy wierzą. I kiedy widzę, jak chytrze szachrują tą wiarą, wiarą, której ja nie mam, gotowa jestem bronić jej. Cierpię za nią.

Marek powiedział:

– Masz widać za dużo czasu. Praktyczniej jest tą wiarą się posługiwać. To równie wielka siła jak głupota ludzka. Używajmy jej więc, posługujmy się nią. Wszystko musi służyć zwycięstwu! A mam prawo posługiwać się tym, skoro nie wierzę!

Anetka pochyliwszy głowę zbliżyła czoło do twarzy syna i patrząc, mu w oczy powiedziała:

– Nie zmuszaj mnie do tego, bym tobą gardziła!

Marek cofnął się o krok.

Stała z gniewnymi oczami i wysuniętym do przodu czołem. Była to dawna Anetka, Junona–jałowica, gotowa do ataku. Nozdrza jej drgały. Powiedziała twardo:

– Dużo znieść mogę, siedem grzechów głównych, występki, a nawet okrucieństwo. Jednej jednak rzeczy nie przebaczam – obłudy. Grać komedię wiary, której się nie ma, kłamać wobec siebie i idei, być Tartufem wiary... lepiej by się nie rodzić! W dniu, w którym bym spostrzegła, że się aż tak poniżyłeś, otrząsnęłabym cię z siebie jak błoto z mych trzewików. Bądź nawet wstrętny, nikczemny, ale bądź prawdziwy! Wolę cię nienawidzieć niż gardzić tobą.

Marek milczał oddychając z trudem. Oboje dygotali ze wzburzenia. Twarde słowa siekły go jak chłosta. Chciał odpowiedzieć tym samym, chłostać ją z kolei, ale brakło mu tchu. Nie był przygotowany na taką burzę. Matka i syn patrzyli na siebie jak wrogowie. Po chwili jednak jego spojrzenie musiało się ugiąć: spuścił powieki, by ukryć z trudem wstrzymywane łzy wściekłości. Udawał, że szydzi, wytężał wszystkie siły, by .nie dostrzegła jego słabości. Nagle wyszła. On zazgrzytał zębami. Byłby ją zabił!...

Słowa jak rozpalone żelazo zostawiły głębokie piętno. Wyszedłszy z pokoju Anetka natychmiast pożałowała swej gwałtowności. Była przecież przekonana, że nauczyła się panować nad sobą, od kilku miesięcy jednak burza wzbierała i teraz czuła, że nie jest to wybuch ostatni. Wypowiedziane słowa wydały się jej wstrętne, wstydziła się ich brutalności prawie tak samo jak on. Spróbowała uzyskać jego przebaczenie. Gdy znów znaleźli się razem, była serdeczna i tkliwa, jak gdyby wszystko poszło w niepamięć.

Ale on nie zapomniał. Trzymał ją z dala, czuł się obrażony. Wiedział, że ona chce, by był szczery, i mścił się mówiąc i czyniąc wszystko, co ją mogło ranić...

„Ach, prawda! Wolisz okrucieństwo?..."

Wtrącał w rozmowę pewne słowa lub umyślnie zostawiał na swoim stole listy i notatki przeznaczone do jego pamiętnika, a zawierające rzeczy wprost straszne o wojnie i nieprzyjacielu; popisywał się rozwiązłymi zdaniami! Śledził wrażenie na twarzy matki. Anetka cierpiała, próbowała demaskować jego grę, hamowała się, ale w końcu następował wybuch. Wtedy on triumfował.

– Przecież jestem szczery! – mówił.

Pewnej nocy, gdy już zasnęła, wyszedł z domu i wrócił dopiero w południe, na posiłek. Anetka zdążyła przejść przez wszystkie stopnie niepokoju, gniewu i cierpienia. Na jego widok nie rzekła nic. Siedli do stołu. Marek, zdziwiony, myślał z ulgą:

„Poskromiłem ją już!"

Anetka przerwała milczenie.

– Tej nocy uciekłeś jak złodziej. Ufałam ci dotąd. Teraz już nie ufam. Nie po raz pierwszy nadużyłeś mego zaufania. Wiem o tym teraz. Nie chcę poniżać siebie i ciebie strzegąc cię dniem i nocą. Szukałbyś wybiegów, a to uczyniłoby cię większym jeszcze oszustem. Zabiorę cię stąd, skoro nie mogę cię obronić. Powietrze stało się tu zatrute, a ty nie masz dość siły, by

mu się oprzeć! Wszystko, co mówisz i robisz od kilku miesięcy, świadczy, żeś się zaraził. Pojedziesz ze mną.

– Dokąd?

– Na prowincję. Staram się o miejsce w gimnazjum.

– Nie! – krzyknął.

Stracił nagle całą pewność siebie. Nie chciał za nic opuszczać Paryża. Zdecydował się na prośbę. Położył dłoń na jej ręce czułym, serdecznym ruchem.

– Nie staraj się o to miejsce!

– To już przesądzone.

Cofnął dłoń, wściekły, że upokorzenie jego było daremne. Anetka, wrażliwa na najlżejszy przejaw serdeczności, uczuła, że słabnie.

– Gdybyś mi przyrzekł... – zaczęła.

Ale on przerwał oschle:

– Nic nie przyrzeknę. Przede wszystkim nie wierzysz mi – powiedziałaś to przed chwilą; sądzisz, że cię będę oszukiwał... Tak zupełnie nie mam zamiaru cię oszukiwać, że powiem ci otwarcie: będę robił dalej to samo. I nie masz prawa mi zabraniać.

– Naprawdę? – spytała Anetka. – Nie mam prawa czuwać nad tym, co robisz w nocy?

– Nikt nie jest do tego mniej od ciebie powołany! Moje noce i moje życie do mnie należą.

Padły słowa straszne. Czy je rozumiał? Anetka pobladła. Marek także. U obojga gwałtowność słów prześcigała myśl. Nie prześcignęła może jednak tajemnej dzikiej złośliwości instynktu, który zna siłę zadawanych ciosów i zadaje je pewną ręką. Są to starcia piorunujące a ciche. Ręka uderza, zanim rozum obliczył cios, a za milczącą ugodą żadna ze stron nie powie: „Trafione!"

Ale cios padł i dusza została zatruta.

Od tej chwili każde następne słowo wzmagało tylko rozdźwięk. Anetka widziała zbyt ostro wady syna i zawstydzała go, a on wówczas zaczynał się nimi chlubić. Odmawiał matce jakiejkolwiek nad sobą władzy. Jej władczy ton i upokarzająca surowość popchnęłyby go do ostateczności w słowach i czynach. Nie chciał się ukorzyć. Anetka dała mu do wyboru: albo pojedzie z nią na prowincję, albo zamknie go w liceum paryskim w internacie. Krzyknął ze złości. Ta absolutna władza, jaką nad nim miała, wydała mu się obrzydliwa. Ogarnięty wściekłością, wybrał – na złość matce – zamknięcie.

– Co wolisz?

Wszystko, byle nie być z tobą!

Twarde pożegnanie. Rozdzieliła ich nienawiść. Na jej dnie była miłość, miłość pijana urazą, miłość zraniona, cierpiąca, która krwawi i żąda pomsty...

C z ę ś ć d r u g a

Zdziesiątkowane szkolnictwo odwołało się do pracy kobiet. Na podstawie swych dwu dyplomów uniwersyteckich, Anetka została mianowana nauczycielką w kolegium męskim w jednym z miast środkowej Francji.

Wyjechała tam w pierwszych dniach października 1915 roku.

Jakże łagodna była ta jesień! Podczas długich postojów pociągu wśród pól słychać było gwizdanie drozdów w winnicach. Poprzez łąki wędrowały ciche rzeki, a każda z nich zdawała się nieść na ręku długi, haftowany złotymi liśćmi tren. Anetka znała kraj i ludzi, ich niedbały, z lekka ironią zabarwiony sposób mówienia. Czuła się jakby uwolniona od owej zatrutej Duszy, przed którą uciekła, i czyniła sobie wyrzuty, że nie wyrwała z jej mocy syna.

Ale wnet ją odnalazła. Nad żyznymi równinami drzemiących prowincji sunął, coraz dalej sięgając, cień nawałnicy. Straszliwe walki wrzały wówczas w Artois i Szampanii; jeńców odsyłano na tyły.

Mijając jakąś stację Anetka dostrzegła tłum ludzi, którzy cisnęli się z wielką wrzawą dokoła oparkanionego placu. Zamknięto tam niby stado bydła, na kilka godzin, a może kilka dni, grupę Niemców, których wożono już blisko tydzień, nie wiedząc, gdzie ich dowieźć trzeba ani kiedy to nastąpi – ważniejsze rzeczy były na głowie! Cała ludność miasteczka, mężczyźni, kobiety i dzieci, rzuciła się oglądać te zwierzęta w klatce, niby na bezpłatne widowisko wędrownego cyrku. Śmiertelnie znużeni jeńcy leżeli na żwirze; prawie wszyscy niemi i zobojętniali, wodzili smutnym spojrzeniem po owym kręgu złośliwych oczu podpatrujących ich przez szpary, po jowialnych, plujących w ich stronę gębach. Niektórzy mieli gorączkę. Wyglądali jak zbite, zawstydzone, ziejące nienawiścią a zastraszone i drżące psy. Noce spędzane na deszczu i chłodzie wywołały czerwonkę. Załatwiali się na oczach wszystkich, w kącie zagrodzenia na śmietniku, a za każdym razem wybuchał gromki śmiech widzów. Dzieci krzyczały piskliwie, kobiety chichotały, wszyscy bili się z zachwytu po biodrach, trzymali za brzuchy, skręcając się ze śmiechu i rozwierając szeroko gęby w atakach wesołości. Nie było w tym złośliwych intencji, ale zupełny brak ludzkich uczuć... Zwierzę bawiło się... Śmiech rozwydrzonej tłuszczy jest zawsze bestialski, a ten był wprost przerażający. Po obu stronach parkanu nie było już ludzi, tylko goryle.

Wróciwszy do wagonu pod tym wrażeniem, Anetka spoglądała z odrazą na zarośnięte gęby i pokryte jasnymi włosami ręce sąsiadów.

Natrętne to uczucie nie opuściło jej przez pierwsze dni po objęciu nauki w starym budynku szkolnym mieszczącym się na nisko położonym terenie Ogrodu Botanicznego. „Ogród Botaniczny”! Co za ironia! Każdą, najmniejszą kępkę zieleni wydarto z ziemi żółtej i kamienistej jak pustynia toledańska. W środku długiego podwórza zdławionego czterema murami więziennymi o kaprawych oczach, podwórza, na które wchodziło się przez ciasną – niby wykrój w desce gilotyny – bramę, upierał się przy życiu jeden jedyny stary, nędzny, schorzały i dziwacznie pokręcony platan. Pazury tych młodych zwierzątek zdarły z niego korę; na gałęziach, których można było dosięgnąć, nie został ani jeden listek, pień zaś nosił głębokie ślady ciosów podkutych butów. Zdawało się, jakby wielcy i mali zmówili się w dziele niszczenia żyda. Państwo wydziera ludziom ich dzieci, a one mszczą się na przyrodzie. Niszczyć! Niszczyć! Pokój i wojna działają tu zgodnie – na tym polega połowa wychowania.

Wzdłuż jednego z murów płynęła zatruta odpadkami garbarni struga, a ckliwy smród przenikał do wilgotnych klas, gdzie cuchnęła zamknięta trzódka. Nozdrza dzieci były chyba

szczelnie zatkane. Około dwunastu, a najwyżej dwudziestu chłopców kręciło się na twardych ławkach w żółtym od sadzy powietrzu, przenikającym przez zielonawe szyby z podwórza, gdzie dymiła ciężka mgła późnej jesieni. Żelazny, rozpalony do białości piec huczał przez cały dzień (drzewa było w tej okolicy pod dostatkiem). Gdy zaczynano się dusić, otwierano drzwi (okien nie otwierano nigdy) i wpływała nimi mgła przesycona zapachem garbowanych skór. Po wyziewach skór żywych woń ta wydawała się niemal orzeźwiająca.

Ale kobieta, choćby nawet nawykła do wykwintu, do zdrowego zapachu czystości, umie łatwiej niż mężczyzna przystosować się do konieczności choćby najwstrętniejszych. Wiedzą o tym chorzy, wobec których oczy i palce kobiet nie odczuwają nigdy wstrętu. Powonienie Anetki wkrótce przyzwyczaiło się do panującego w szkole odoru i na równi z innymi wdychała bez skrzywienia błotniste wyziewy. Dużo trudniej było przyzwyczaić się do odoru dusz. Umysł jej nie umiał się przystosować tak jak zmysły.

*

Nie była to już jednak Dusza rozgorączkowana namiętnościami – walką, niepokojem, nienawiścią. Anetka uciekła od tego wszystkiego...

Powinna więc być zadowolona; znajdowała tu obojętność.

Pulchna ta ziemia nie ucierpiała wcale. Tłusta i dojrzała, drzemie w dolinie niby we wgłębieniu puchowego łoża, wsparłszy głowę o poduszki wzgórz, by wygodniej chrapać we śnie wolnym od marzeń. Ziemia pogrążona w ciszy, ludzie zrównoważeni, praktyczni, nie gnębieni żadnym niepokojem. Tu widać, że Bóg nie za wszystkich ludzi oddał życie i że nie dla tej ziemi ukrzyżowana została ludzkość.

Anetka ziemię tę zna od dzieciństwa, stąd bowiem pochodziła rodzina ojca. Rozkoszowała się niegdyś tym kojącym bezruchem. Ale dzisiaj... Zazdrościła jej zdrowia... Ale dzisiaj?...

Przypomina sobie słowa Tołstoja odnoszące się nie tylko do kobiet: „Istota, która nigdy nie cierpiała, nigdy nie była chora, naród zdrowy, zbyt zdrowy, zawsze zdrowy, ależ to istny potwór!" Żyć i umierać trzeba co dzień i co dzień trzeba walczyć! Ta zaś prowincja umiera, ale nie walczy, stacza się w dół tak płynnie i błogo jak jej rzeki o gładkiej tafli wód, zostawiając za sobą płaskie brzegi i dni, zawsze rozsądna, samolubna, przebiegła.

Były wszakże czasy, kiedy ziemia ta płonęła. Tętniło kiedyś życiem stare miasto burgundzkie, którego trzy dumne kościoły o smukłych gotyckich wieżach z białego kamienia, przyciemnionego i nadgryzionego przez czas niby zbroja przez rdzę, wznoszą swe sylwetki rycerzy Chrystusowych ponad wężem wijącej się rzeki. W kościołach szeregi posągów świętych z utrąconymi głowami, podziurawione szyby witraży niby krople krwi zakrzepłej, skarbce katedralne, wschodnie dywany Harun–al–Raszyda, masywne klejnoty cesarzy Karolów, synów Karolów i ojców Karolów... Ruiny spiczastych wież i murów obronnych z czasów najazdu angielskiego... Wszystko to świadczy o tętniącej życiem przeszłości, purpurze krwi, złotych pastorałach wielkich biskupów i epickich bojach... Diuk... król... nie – królowie (któryż z nich prawdziwy?)... o przejściu Dziewicy Orleańskiej...

Teraz ulice są wyludnione. Z daleka słychać niedbałe kroki dźwięczące na starych brukach ulic wśród mieszczańskich domów o wąskich, zamkniętych na głucho bramach, do których wiedzie jeden tylko stopień; a w niebie krzyki ciężko podlatujących kawek tworzących czarną aureolę dokoła dzwonnic katedry.

Ta rasa wymiera. Jest szczęśliwa i ma pod dostatkiem miejsca. Ziemia jest żyzna, apetyt zaspokojony, ambicje ograniczone. Awanturnicze jednostki z każdego pokolenia wywędrowały na podbój Paryża, a ci, którzy zostali, uważają, że wygodniej teraz w opustoszałym łożu, gdzie można się przewracać z boku na bok. Wojna zaś uczyni je jeszcze obszerniejszym. Zabiera synów, nie wszystkich jednak, a wyobraźnia nie jest dość żywa, by niepokoić się z góry. Za to zmysł praktyczny oblicza korzyści. Łatwe życie, dobre jadło, kino, kawiarnia, z dóbr

idealnych – koszarowe trąbki, z zysków materialnych – targi na bydło. Wszyscy są jowialni, nikt nie przejmuje się zmiennymi wiadomościami o ruchach wojsk, marszach i odwrotach... Kto by był tak naiwny. O Rosjanach, którzy zmykają ciągle przed Niemcami, mówi się:

– No, jeśli dalej tak pójdzie, to te zuchy wsiądą na kolej syberyjską i wrócą do nas przez Amerykę!

Dobrobyt wygładził chropowatości, złagodził twardość charakterów, okrucieństwo... (Stop!... Uważaj, bracie!... Nie należy temu zbytnio ufać...)

Cisza. Senność. Czyż niedobrze ci z tym Anetko? Szukałaś przecież spokoju?

– Spokój?... Nie wiem. Spokój?... Może. Ale to nie jest mój spokój. Tu nie ma pokoju...

„Pokój bowiem nie oznacza braku wojny. To cnota zrodzona z siły ducha."

Drętwy spokój starej dzielnicy, wtulonej między wzgórza winnic i rozłogi pól, bezpiecznie ukrytej w samym środku Francji, dokąd grzmot armat cichym jeno dolatuje echem, skąd fale armii cofają się jak rzeka, która, omijając niewzruszony masyw skalny, szerokie zatacza koło. (Tak było aż do czasu, kiedy Amerykanie przybywszy rozbili tu obóz, co dostarczyło chwilowej rozrywki, lecz wkrótce zaczęło zagrażać sennej nudzie mieszkańców.) Ten spokój przypomina wonią klasy szkolne o zamkniętych stale oknach i drzwiach, gdzie przy huczeniu rozpalonego pieca smażą się w swoim sosie ciała i dusze młodzieży.

*

Są to w trzech czwartych synowie drobnych mieszczan lub zamożnych chłopów, fermerów okolicznych. Kilku (dwóch lub trzech) w każdej klasie to synowie tutejszych znanych osobistości, starych rodów mieszczańskich o tradycjach sądowniczych lub urzędników, słowem, miejscowej elity. Można tych chłopców rozpoznać dość szybko mimo jednostajnej maski chytrości, jaką wszystkim twarzom nadaje wobec nauczyciela wychowanie szkolne i milcząca zmowa uczniów. Wszyscy zresztą mimo indywidualnych różnic wymodelowani są z tej samej rodzimej gliny, jakby przez jednego rzeźbiarza owej rasy, tego samego, który w kamieniu ciosał posągi kościelne. Jakże są do nich podobni! Głowy te umieścić by można bez żadnej szkody na bezgłowych korpusach stojących w niszach katedralnych świętych (jakich świętych!), których są niezaprzeczalnie potomkami. To dodaje otuchy. „Poczciwiec żywie jeszcze!..."Ale zarazem nie bardzo to pocieszające. Bo, prawdę mówiąc, ci święci to często wielcy nicponie albo obłudnicy. Wśród swej trzódki Anetka posiada oba gatunki, tyle tylko, że w wydaniu złagodzonym. Stare wino wietrzeje, gdy je rozlewają w butelki.

Prostactwo i chytrość – oto cechy uderzające przede wszystkim w twarzach tych wyrostków w przejściowym wieku, twarzach grubokościstych, pucułowatych, o nieregularnych, jakby niezdarnie wyrąbanych siekierą rysach. Pochodzą z tej gleby. Długi, krzywy nos Walezjuszów, małe błyszczące skośne oczy, przedwczesne zmarszczki na skroniach podczas śmiechu, żółte kły, pyszczki młodych lisów węszące na boki, gotowe błaznować lub gryźć – gumkę, paznokcie czy kulkę papieru. Siedząc na katedrze Anetka czuje się myśliwym wobec sfory psów. Myśliwym czy też zwierzyną? Kto będzie zwierzyną: ona czy oni? Śledzą się nawzajem. Trzeba mieć nieustannie palec na cynglu i biada temu, kto pierwszy spuści oczy!

Przegrali oni. Po pierwszym zapoznaniu, obejrzeniu, kpinach, szemraniu, potrącaniu się łokciami, od którego żebra mogłyby trzasnąć, chłopcy spuścili oczy. Ale patrzą ukradkiem, czujnie, spod rzęs. To jeszcze gorsze! Nie można pochwycić takiego spojrzenia, a ono świdruje wciąż, notując każdy ruch, odpowiadając nań grymasem, który przyjmuje cała klasa i niby telegram przesyła z jednego końca w drugi. Zdają się siedzieć nieruchomo, naiwni i niewinni, ale pod ławką machają nogami i tłuką nimi w podłogę, rękami gmerają po kieszeniach

lub łaskoczą łydki sąsiadów, mrugają i wypychają językiem policzki. Nie widząc nic widzą wszystko. Jeśli uwaga nauczyciela osłabnie na chwilę bodaj, przez całą klasę przebiega dreszcz.

Wszystko to jest chlebem powszednim każdego nauczyciela, a chociaż Anetka jest początkującą (dotąd bowiem dawała tylko prywatne lekcje), od pierwszej chwili czuje się pewna siebie. Ma we krwi instynkt władania. Choćby pogrążyła się w marzeniach, pierwsze drgnienie, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, zastaje ją już uzbrojoną. A podpełzające ku niej bokiem z otwartymi pyszczkami wilczki i liski, które chcą skorzystać z chwili nieuwagi stają w miejscu, porażone błyskiem władczego spójrzenia...

A takiej się spodziewali zabawy z tą kobietą, którą im dano za pasterza!...

Kobieta zajmuje w umysłach tych małych samców pewne określone miejsce w domu lub w sklepie. Tam panuje. Widać jej głowę (niczego!), czasem też ręce (szybkie). Ale gdy wychodzi, interesuje ich głównie dolna część ciała. Ach, jakże węszą!... Przeważnie nie wiedzą nic, niewielu tylko przeszło pierwszą próbę, ale żaden nie chce przyznać się do ignorancji. A jak o tym mówią te małe, ordynarne świntuchy! Ach, gdyby kobiety wiedziały, co owa zgraja wyrostków o podnieconej wyobraźni mówi o nich, o wszystkich, z którymi się stykają w ciasnym kręgu swego codziennego życia, o siostrach, kobietach zamężnych i niezamężnych, kochankach, służących, słowem, o wszystkim, co nosi spódnicę, choćby to był klasztorny habit! Jedna tylko matka – i to nie zawsze – jest oszczędzana na mocy jakiejś milczącej umowy. Gdy zaś zjawi się kobieta samotna, której nie broni (nie posiada: bo nic się nie dostaje za darmo!) żaden mężczyzna, ani mąż, ani syn, ani brat – staje się łupem. Zajmują się nią wszystkie umysły i języki!

Tak, ale jeśli tym łupem ma być Anetka, to sprawa nie jest łatwa. Kto zacznie? I od czego?

Dziwna samiczka... Podczas gdy kpią cichaczem, szpiegując ją spojrzeniem zza rozsuniętych palców, ona patrzy spokojnie, twardo lub szyderczo, a zawsze badawczo, tak że prośnostki więzną im w gardle. Drętwieją po prostu, gdy .powiada na przykład z diabelskim błyskiem oczu:

– A teraz, Pillois, obetrzyj usta!... To wcale nie jest apetyczne.

– Co? – pyta delikwent.

– To, coś powiedział.

Protestuje, że nie powiedział nic, a raczej tak cicho, że nie mogła dosłyszeć.

– Już ja wiem! Wyjdź na korytarz, kiedy będziesz czuł potrzebę! Jeżeli nie mogę wpłynąć na wasze myśli, chcę, aby przynajmniej usta były czyste.

Przygwoździła ich na chwilę. Skąd bierze tę śmiałość tonu i spojrzenia, te odpowiedzi spadające niby policzki? Czyni to bez zniecierpliwienia, ręką celną, potem zaś, jakby nigdy nic, przesuwa nią po swoich jasnych brwiach... Znowu zamyka się krąg śledzących oczu. Czuje się obserwowana od stóp do głowy. Stawia im czoło i bez chwili przerwy, rzucając na prawo i lewo nieoczekiwane pytania, trzyma w napięciu. Wie aż nadto dobrze, co brzęczy w małych, rozleniwionych głowach: rój much wypełzłych wiosną z muru pod krzakiem glicynii. Wie... Jeśli zaś nie wie, oni ją tego nauczą.

Gruby Changnois, syn handlarza koni, ma lat piętnaście, ale wygląda na siedemnaście. Jest to chłopak barczysty, wielki, o twarzy pokrytej piegami, kwadratowej czaszce, Jasnych, krótko ostrzyżonych włosach podobnych do szczeciny prosiaka, o ogromnych rękach z paznokciami ogryzionymi niemal do nasady, prostacki i przebiegły, ale kpiarz i kłótnik; gdy szepce, słychać go niby wielką, brzękliwą muchę w słoiku. Świdruje Anetkę oczyma, oceniając jej kształty i powaby, mlaszcze językiem jak znawca. Changnois założył się z kolegami – „zobaczysz, stary" – że się jej oświadczy. Gdy zwraca się do niego, chłopak wywraca oczami robiąc słodkie miny. Ośmieszyła go raz wobec klasy i wówczas, urażony, poprzysiągł, że spłata jej jeszcze dobrego figla. Umyślnie dał się złapać na rysowaniu bezeceństw. Czeka wyniku.

Wydaje się niewzruszony, lecz kamizelka trzęsie mu się od tłumionego śmiechu. Inne psiaki, uprzedzone, naszczekują wpatrując się w oczy ofiary, w jej czoło i długie palce, w których trzyma świstek papieru. Nie drgnęła nawet. Składa papier i kończy rozpoczęte dyktando, a Changnois podśmiewając się pisze wraz z innymi.

Gdy skończyli, Anetka mówi:

– Changnois, wrócisz na kilka tygodni na fermę ojcowską. Chorujesz tutaj, to nie dla ciebie miejsce. Będziesz się dobrze czuł w polu, między waszymi końmi.

Changnois przestał się śmiać. Tyłek jego nie pragnie zapoznać się z butem ojca. Protestuje, próbuje ją przekonać, ale ona jest nieugięta.

– A więc zmykaj, chłopcze! Przegrody stajenne są tu zbyt ciasne dla ciebie. Tam w domu znajdą dość miejsca i czasu, żeby się zabrać do ciebie jak należy. Masz tutaj zaświadczenie dla pana cenzora.

Pisze na kawałku papieru:

„Odesłać do domu. Zawieszony."

Potem zwraca się do klasy, która ze zdziwieniem otwarła gęby:

– Słuchajcie, chłopcy! Szkoda waszego zachodu. Chcecie mnie zastraszyć, dlatego że jestem kobietą; ale cóż, spóźniliście się o kilka wieków. Dziś kobiety biorą udział w pracy mężczyzn, zastępują ich, życie mężczyzn jest ich życiem. Nie spuszczają już przed nim oczu. Chcecie udawać mężczyzn? Cierpliwości! Spełnienie tej ambicji jest dostępne nawet dla najlepszych. Rzecz cała w tym, by wiedzieć, czy zostaniecie mężczyznami rozsądnymi i biegłymi w swoim zawodzie. Jesteśmy tu po to, by wam pomóc. Jeśli jednak nie chcecie, nikt was zmuszać nie będzie. Gramy w otwarte karty! Wybierajcie: tak czy nie... proszę bardzo... Wolna droga!

Po kilku próbach przekonali się, że są słabsi. Podpisano tedy bezsłowny traktat pokoju. Oczywiście, granice musiały być dalej pilnie strzeżone, inaczej traktat stałby się świstkiem papieru. Straż więc czuwa; poza tym ustaliły się stosunki normalne. Nikt nie kwestionuje raz stwierdzonej przewagi, a kiedy koalicja utraciła już swój cel, następuje wśród jej członków naturalny podział. Anetka teraz zaczyna w gromadzie wyróżniać wybitniejsze indywidualności. Nie ma ich dużo, zaledwie trzech czy czterech na sześć klas budzi jej sympatię; nie należy jej zresztą okazywać. Są; to drobni chłopcy ulepieni z delikatniejszej nieco gliny, którzy usiłują myśleć. Bardziej subtelne niż u innych myśli różowią ich skórę. Są wrażliwi na słowa, na oznaki zainteresowania, na spojrzenie. Zazwyczaj inni niedowierzają im i prześladują.

Względny ten arystokratyzm ściąga oczywiście nienawiść gromady, ponieważ zaś są wrażliwi, tym łatwiej można ich dręczyć. Niedobrze byłoby wyróżniać ich, drogo by bowiem za to zapłacili. Gorzej jeszcze, gotowi wyzyskiwać okazaną im życzliwość: widząc zainteresowanie swą osobą, ci mali komedianci uważaliby się natychmiast za interesujących, chcieliby być takimi. Z natury są zaś podobni pomimo wszystko do kolegów – naiwnie cyniczni i chytrzy. Anetka zmusza się tedy do bezstronności... A czasem tak silnie odczuwa potrzebę przytulenia do piersi któregoś z chłopców w braku tego, za którym tęskni. Nieobecny Marek nieustannie stoi jej w oczach: szuka go w każdym, porównuje, a chociaż, jako matka, nie sądzi, by mu któryś dorównywał, chce mieć złudzenia. Wyobraża sobie, że oto tam siedzi w ławce i ona widzi go; czyta w swych uczniach, by czytać w synu. Są to, w braku lepszych, zwierciadła nie zanadto paczące obraz syna utraconego, syna marnotrawnego, który powróci. Cóż w nich widać?

Niestety! Widać dorosłych. Ideały chłopców nie sięgają poza chęć pójścia w ślady starszego pokolenia, swych poprzedników. (To się nazywa „poprzedzać", owa potęga przeszłości, która ciągnie wstecz!...) O ile po urodzeniu mieli jakieś rysy osobiste, to od chwili wstąpienia w mury szkoły znikły wszystkie. Są teraz naznaczeni pieczątkami swych właścicieli – ojców – również naznaczonych pieczęcią pokrewieństwa i środowiska. Nie należą już do siebie, są

we władaniu siły bezimiennej, która od wieków spędziła do miast niby psy polne owe istoty powtarzające wciąż te same gesty, szczekające tak samo i wznoszące wciąż te same nędzne lepianki myśli. Szkoła jest to warsztat, który uczy zręczności w używaniu aparatu myślowego. By ich wyzwolić, czegóż dokonać może inicjatywa jednostki? Trzeba by ich przedtem oduczyć strojenia się w myśli dorosłych, niby w za duże dla siebie trzewiki. Ale punktem honoru jest właśnie udawać dorosłych. Im mniej myślą sami, tym są szczęśliwsi i bardziej dumni... Miły Boże! Czyż dorośli nie czynią dokładnie tak samo! Zrezygnowawszy z sądu osobistego (co za kłopot!) rozkwitają w atmosferze myślenia „hurtem", w opinii zbiorowej. Zbiorowisko to może nosić miano: Szkoły, Akademii, Kościoła, Państwa, Ojczyzny – lub nie nazywać się wcale, będąc jeno Gatunkiem – owym potworem o niewrażliwych na światło oczach, któremu się przypisuje mądrość opatrznościową, a który pełza na oślep, zanurzając żarłoczną swoją trąbę w bagiennym mule, z którego wyszedł niegdyś i który go w końcu pochłonie... (Tyle tysięcy gatunków pogrążyło się już w tym odmęcie...) Jak to? Czyż nie zdołamy ocalić naszego gatunku? Nad bagniskiem połyskują błędne ogniki. Zda się, widać je chwilami w oczach któregoś z tych dzieci... Anetka stara się je pochwycić... Co myślą ci malcy o życiu? Co myślą o śmierci? Jakie echa budzą pod tymi krostowatymi czołami burze wojny światowej, walące o bramy wzgórz zamykających widnokrąg?

Nic. Same głupstwa! Odgłosy trąbek, strzelanina, obrazki z „Illustration", dalekie widowisko, które nudzi na dłuższa metę. Są zblazowani! Bardziej interesują ich zabawy, zakłady albo zatargi klasowe, a – gdy są starsi – interesy rodzinne, zarobki i straty.

A przecież tam, w okopach, mają krewnych. Wielu padło. Czyżby o nich nie myśleli?

Tak, ale bez wzruszenia. Raczej chlubią się nimi jako bohaterami z ich pełnomocnictwa. Wiadomości dochodzące z frontu zostają uprzednio przefiltrowane, nieszczęścia widzą więc od ich humorystycznej strony. Boudin mówi wijąc się ze śmiechu:

– Wiecie co? Brat mój pisze, że tam, na froncie, wszyscy po prostu toną po uszy w g....

Corveau opowiada, jak się zakłuwa Niemców nożami, i pokazuje, jak to trzeba robić. Widział, jak się zabija świnie.

Opowiadają sobie z rozbawionymi oczami o skutkach wybuchu pocisków. Dzwonnice, drzewa, flaki i głowy w ich wyobraźni latają w powietrzu niby barbarzyńskie zabawki. Zajmuje ich wyłącznie to, co na zewnątrz. Wyobrażają sobie poszarpane ciało i krew i babrzą się w tym ; z taką rozkoszą, jaką chłopcy znajdują w opowiadaniu świństw... Kto by się interesował dobywającym się z głębi krzykiem duszy?

Wracający z pola bitwy nie czynią nic, by ich wywieść z błędu. Starszy brat Corveau przyjechał na urlop. Opowiada tym wyrostkom:

– Miałem dobrego przyjaciela, który ciągnął zyski sprzedając proch z niewypałów. Palce miał zręczne do tego jak małpa, chwytał ledwie ostygłe pociski i brał się do rozkręcania. Mówiłem mu:

„Uważaj!"

Odpowiadał:

„Znają mnie już dobrze!"

Pewnego dnia stałem o piętnaście kroków za nim, kryjąc się za drzewem.

„Daj spokój! – krzyknąłem. – To się może źle skończyć!..."

„Masz pietra!" – odrzucił.

– Buch! Pocisk wybucha mu nagle prosto w nos... Ale dostał, bracie... Nie zostało z niego śladu...

Mówiąc to Corveau pękał ze śmiechu, a wraz z nim ci smarkacze. Anetka słuchała, zdumiona. Co kryło się za tym śmiechem? Wspomnienie dobrego żartu? Czy może podniecenie nerwowe?... A może nie było tam nic?

Wzięła żartownisia na bok i spytała:

– Corveau, powiedzże mi, czy tam, na froncie, istotnie jest tak zabawnie?

Patrzył na nią próbując dalej pokpiwać, ale ona nie śmiała się...

Więc odparł:

– Prawdę mówiąc, to wcale tam niewesoło! – I po chwili wybuchnął gorzkimi zwierzeniami.

– Dlaczegóż więc o tym nie mówisz ani słowa? – spytała. Machnął ręką ze zniechęceniem:

– Nie można. I tak by nie zrozumieli... Poza tym nie chcieliby słuchać... Zresztą, po co? Nie ma na to rady.

– Bo nikt jej nie chce szukać.

– To nie do nas należy.

– A do kogóż, jeśli nie do was?

– Do nich przecież, do dowódców! – odparł z zakłopotaniem.

Daremne byłoby mówić dalej, przypominać mu:

„Wszakże oni dzięki wam są dowódcami, wszakże wy sami ich mianujecie."

Tego samego jeszcze wieczora słyszała Anetka, jak Corveau podjął na nowo swe przechwałki. Potrzebował ich, Nie innych chciał oszukiwać, ale samego siebie.

Jeśli oni sami niezdolni są widzieć i chcieć prawdy, jakże tego oczekiwać od innych, którym oszczędzone zostały owe okropności... od tych dzieci?

Nie znając rzeczy, padają ofiarą słów. Byleby tylko słowa były dość górne i patetyczne, nie szukają ich sensu. Anetka kazała uczniom napisać, co stanowi ideał ich życia. Bran chce zostać oficerem, jak jeden z jego stryjecznych dziadków. Pisze z dumą:

„Czyż rzeka nie czerpie zawsze ze swego źródła?"

Kpią sobie z wojny. Starsi, którym, jeśli to potrwa jeszcze rok lub dwa, grozi powołanie do wojska, powtarzają fanfaronady zasłyszane od jakichś starych błaznów.

– Kula... cóż to jest kula! Przebije człowieka, ale cóż to szkodzi! Umarli, powstać!

Przyszłe bohaterstwo uwalnia ich od wysiłku w danej chwili. Nie chce im się wprost „palcem kiwnąć", powtarzają ciągle:

– Po wojnie nie będzie już trzeba się mordować. Szwaby zapłacą... Tak, bracie, weźmie się ich do galopu... I wio, wiśta! Ojciec mój powiada, że kupi ich z pół tuzina i przybije im do nóg (tym ścierwom) końskie podkowy... Ha, ha!

Najbardziej wykształceni, syn burmistrza i syn adwokata, upajają się pindaryzmem[20] dzienników. Lavedan jest Corneillem, a Capus Wiktorem Hugo. Inni poprzestają na obrazkach małych pism ilustrowanych.

Anetka czyni próbę. Zapuszcza sondę. Czyta im rozdział *Wojny i pokoju* o śmierci małego Pieti, piękne strony przepojone mgłą jesienną i rojeniami młodego drzewka, które się już nie zazieleni...

„Był to dzień październikowy, ciepły i dżdżysty; niebo i cały widnokrąg zlewały się w tej samej, spłowiałej nieco. szarości. Duże krople padały z rzadka..."

Zrazu nie bardzo słuchali. Śmieli się z rosyjskich imion, zwłaszcza zaś imię małego bohatera budziło nieokiełzaną wesołość. Potem, zwolna jakby rój much osiadł na brzegu filiżanki. Milczą i uciszają gadatliwych; jeden tylko, ilekroć powtarza się to imię, tłumi śmiech, pozostaje do końca tępy. Inni są zainteresowani... Gdy Anetka skończyła, niektórzy ziewają, inni odbijają sobie chwilową nieruchomość żywymi gestami i hałasami, a są też i tacy, którzy zawstydzeni i niezadowoleni, szydzą udając znawców:

– Ci Rosjanie to wariaci!...

Inni nie mogąc się wysłowić powtarzają:

– To wspaniałe!

[20] P i n d a r y z m – pompatyczny, bogaty i nieco niejasny styl, przypominający ody Pindara.

Kilku nie mówi nic. Są pod wrażeniem. Ale pod jakim i na jak długo? – trudno to wiedzieć. Nie można im wydrzeć z serca ani jednego słowa.

Anetka nie spuszcza z oczu jednego z małych słuchaczy, szczupłego blondynka o długim nosie i delikatnych rysach, starannie uczesanego, o wąskiej piersi, który pokaszluje i patrzy w bok. Jest inteligentny, nieśmiały i niezbyt szczery, jak to bywa u dzieci, które wiedzą, że są słabe, i boją się zwierzać. Anetka wyczuwa, że w głębi jego duszy coś, mogło zadrgać. Gdy przerywając czytanie podnosiła oczy, napotykała wzrok dziecka, które, zgnębione, kryło co prędzej nos w zeszycie. Ten malec zdolny jest myśleć czasami o cierpieniu, gdyż sam jest chorowity i nerwowy, a egoizm bywa często kluczem do litości. U tego, kto cierpi sam, może obudzić się z czasem wrażliwość na cierpienia innych.

Anetka zatrzymuje go po lekcji. Pyta, czy kocha małego braciszka Pietię. Stoi, zarumieniony, zmieszany. Ona wyczarowuje przed nim na nowo obraz ostatniej nocy dziecka–poety. Jak piękne było to życie tak potężne a kruche zarazem! Życie, które mogłoby być, a którego nie będzie!... Czy zrozumiał? Zaprzecza ruchem głowy i odwraca oczy. Ale ona zdążyła dostrzec: zapłonęło w nich światło...

– Czy pomyślałeś kiedy o tym, że mógłbyś być na miejscu Pieti?

Protestuje.

– O nie, mnie nie wezmą. Nie jestem zdrowy. Powiedziano mi, że zostanę na tyłach.

Czuje się uspokojony i dumny z powodu słabego zdrowia.

– A inni? A twoi koledzy?

Jest mu to obojętne! Szuka co prędzej w pamięci jednego z tych frazesów, którymi należy myśleć.

„Umrzeć za ojczyznę...” Niechże dobie inni umierają. Odzyskał pewność siebie. Światło zagasło...

Czy rzeczywiście?

*

Anetka jest niesprawiedliwa. Nie widzi podstaw do nadziei. A nie brak ich.

Ten naród poczciwców, samolubów i ospalców ma prawo przedrzemać się trochę – od tak dawna już dąży naprzód; przebył wyprawy krzyżowe i wojnę stuletnią. Nie odmładza go to, ale jest gwarancją dobrej rasy. Tyle już widział, działał, cierpiał, znosił!...

I śmieje się! To cudowne... Ten, kto się śmieje, żyje i nie zamierza z życia rezygnować...

Zadowala go to, co jest na tym świecie, niezadowolonym na ogół z istniejącego stanu rzeczy. Nie zna nienawiści, nie zazdrości sąsiadom, przekonany, że najlepiej jest w domu, najmilej więc siedzieć u siebie. Ma wstręt do wojny, przyzwyczajony jest do wygód – czterdzieści pięć lat pokoju!... I oto z dnia na dzień, bez narzekań, przywdziewa pancerz bojowy. Jakże ulegli są ci miłośnicy dysput! Gotowi poświęcić wszystko – bez uniesienia – ponieważ: „Tak trzeba, tak zawsze trzeba było.” Zależnie od kąta widzenia, są niedorzeczni lub wzruszający. Ich dobroduszne i obojętne przyjmowanie wypadków sięga nicości; ale jest w nim także i wielkość.

Ale cóż wiemy o dzieciach? To, co widać, jest tylko grą pozorów; istotna praca odbywa się w głębi. Oczy nauczycieli i rodziców nie sięgają poza młodą korę. Nie wiecie o dziecku nic więcej ponad to, co kojarzy się z owym wyrazem. Nie widzicie Bytu wiecznego, który nie ma wieku, a którego ogień tli w głębi każdej duszy, wielkiej czy małej... I nigdy nie wiadomo, czy nie buchnie płomieniem... Ufajcie! Miejcie cierpliwość!...

Ale Anetka jej nie miała.

Była jak silny pływak, który chcąc przebyć rzekę, płynie pod prąd, lub jak ptak wędrowny, co leci przeciw wiatrom.

Kiedy w Paryżu czuła wokół siebie zaduch gorączki, starała się oczyścić atmosferę, przeciwstawiając mu wolę spokoju. Tutaj zaś, wśród zagęszczonej obojętności, słyszy wezwanie cierpienia.

Jest niespokojna i niezadowolona z innych, dlatego że niezadowolona z samej siebie. Oni są tym, czym być mają zgodnie ze swoją naturą. Czyż jednak ona jest w zgodzie ze swoją naturą? Co tu robi? Od roku już dawała się unosić fali losów swego narodu; z początku dawało jej to upajającą radość, potem zaś stało się przyzwyczajeniem. Teraz ogarnęło ją znużenie. Zaczyna buntować się w niej jakaś siła wewnętrzna, ukryta i jakby obca, choć nie rozpoznaje jej wyraźnie – czuje się wobec niej winna i cierpi, nie umiejąc określić powodów cierpienia. A owe niejasne wyrzuty sumienia ciążą na wszystkim, co widzi dokoła siebie, nad tym małym światkiem zacieśniającym jej widnokrąg – tej ludzkości w miniaturze. Widzi piętno win ojców na twarzach dzieci. Widzi ich przeznaczenie, czekającą ich przeciętność, ślepą uliczkę ich życia. Widzi, jak jej własny syn tonie w tej ciżbie bezimiennej, w tym mrowisku, co jak rzeka, płynie nie wiedząc dokąd. Czuje się sama bezdzietną mrówką–robotnicą, która pełni bezradośnie swą mechaniczną pracę. Wydaje jej się, że wszystkie te dzieci – nawet jej własny syn – to potomstwo zrodzone przez potworną, tępą królowę – Naturę... Czuje gorycz w ustach i oschłość w duszy.

Brak jej wszystkiego. Nie tylko syna brak jej tak okrutnie. Brak jej samej siebie.

*

Syn także czuje brak matki. Ale nie przyzna się do tego za nic.

Rozstał się z nią wściekły, że go porzuciła, wsadziła do więzienia, zamknęła na cztery spusty... Zamknięty!... Zobaczymy!

Przez cały miesiąc nie napisał do niej ani razu. Ona napisała raz, drugi, trzeci, z początku po macierzyńsku i surowo, dając do zrozumienia, że gotowa przebaczyć, jeśli on się poprawi... (Przebaczyć! Jemu przebaczyć! To on nie przebacza!) Potem gniewała się, że nie pisze, w końcu ogarnął ją niepokój i troska. On zaciskał zęby. Zdecydował się odpisać dopiero wtedy, kiedy zbeształa go, przyszedłszy do rozmównicy, Sylwia, którą Anetka prosiła o wiadomość o synu. Wówczas dołożył wszelkich starań, by spreparować arcydzieło oschłości. Ani słowa wymówki czy skargi. Ni śladu goryczy. (Byłoby to częściowym otwarciem serca.) Nic, poza chłodną grzecznością, istne wypracowanie szkolne, które teraz pisywał, niby to z musu, regularnie co dwa tygodnie. Listy te, ogołocone z wszelkich akcentów osobistych, woni i barwy, nie mówiły nic o nim samym i jego życiu, pozwalając dojrzeć tylko to, co zewnętrzne.

Daremnie Anetka nalegała żądając szczegółów. Rozumiała dobrze, że chciał, by odczuła jego urazę. Czyniła wysiłki aby go rozbroić, to znów zmuszała się do takiejże samej nieugiętości. Ale zawsze nadchodził moment, kiedy tłumiona miłość wybuchała płomieniem. Chłopiec czyhał na te chwile, były to bowiem godziny jego triumfu; ona zaś czuła potem żal, gdyż odpisywał wówczas w sposób jeszcze bardziej bezbarwny i obojętny. Otwierała teraz listy z przykrością, z góry cierpiąc nad tym, co w nich znajdzie. I wciąż mimo wszystko nadzieja, i wciąż rozczarowanie. Czuła się zmęczona i oczekiwaniem, i cierpieniem. Sama odkładała pisanie (odpowiadał tylko listem na list) z jednego dnia na drugi, i znów na następny i tak dalej... A potem następował wybuch wymówek i miłości, którego nie mogła opanować... a potem znów milczała przez miesiąc... Skoro to go nic a nic nie obchodzi!...

Gdy tak raz nie pisała przez cały miesiąc, był prawie chory. Daremnie pozował na człowieka silnego., który gardzi jej listami. Jakże ich oczekiwał! Była to nie tylko duma rozkoszująca się mściwym stwierdzeniem:

„Nie może się beze mnie obejść!..."

Te fale miłości, przynoszone z daleka powiewem wiatru, były mu teraz niezbędne. Gdy nadchodziły regularnie, w oznaczonym dniu, udawał, że je przyjmuje obojętnie, jako rzecz, która mu się należy. Gdy jednak stały się rzadsze, poznał uczucie braku, zapłonęła w nim

niecierpliwość, a w ślad za nią pragnienie. Kiedy nadchodził wreszcie oczekiwany list, cieszył się nim wprost brutalnie... nie przyznając się do tego oczywiście. (Oszust!) Wolał tę radość przypisywać raczej dumie, która głosiła zuchwale:

„Mam. ją znowu..."

Ale kiedy Anetka nie pisała, musiał przyznać się do upokarzającej prawdy:

„Potrzebuję jej!.. Przyznać się do tego? Nie! Nigdy!... Nie wiem o niczym... nie potrzebuję do niczego się przyznawać..."

Śniła mu się po nocach. Nieustannie powracała w snach, a nigdy czuła, kochająca, lecz zawsze wyniosła, twarda, sarkastyczna; raniła go i upokarzała... Budził się z uczuciem nienawiści, z wściekłością pragnął... czego? Pragnął mówić jej rzeczy okrutne, mieć ją w swych rękach, mścić się, zadawać ból... Ale pod dotknięciem jej rąk drżał na całym ciele. Odpychał te obrazy... Wracały... Te piękne, wzgardliwe usta... Starał się obrażać ją w pamięci; myślał o życiu swobodnym, jakie wieść mogła, a którego mu wzbraniała... Widywał w marzeniach sennych inne jeszcze kobiety, niepodobne do niej z rysów, usposobienia i wieku... które jednak utożsamiał z nią bez wahania, co mu pozwalało zaspokoić w ciemnej otchłani swe tłumione uczucia... hydrę stugłową...

Cóż to były za miesiące!... Rozgorączkowany, spętany, w tej klatce zwierzęcej!... Zamknięty!...

*

Zamknięte myśli, zamknięte młode, płonące ciała! To więzienie – internat – niebezpieczniejsze jest jeszcze dla nich niż ulica. Nuda deprawuje umysły; niepokój, oczekiwanie, rozpusta, strach i okrucieństwo zżerają owe młode zwierzątka. Zawisła nad oblężonym miastem mgła oparów siarczanych cięży nad ich mózgami, zatruwa młodzieńcze członki i kiełkuje w dusznych sypialniach, wśród oblanych potem ciał. Nadzór słabnie. Wychowawca klasowy wskazał drogę – co trzecią noc wychodzi na miasto za porozumieniem z odźwiernym. Dyrektor chrapie w sąsiednim pokoju. Byle tylko wszystko działo się po cichu, galernicy aż do rana wolni są od łańcuchów. Marek słucha, tłumi oddech, wreszcie, pełen obrzydzenia, ucieka. Wyskakuje oknem do ogrodu szkoły–więzienia.

Ciemna noc. Cztery mury. W górze chmurne niebo. Smuga reflektora przesuwa się przeszukując ciemność. Marek dostał się do drugiego więzienia...

Zbliża się do muru, który biegnie wzdłuż opustoszałej ulicy. W domach ciemno. Wszystko śpi w tej mieszczańskiej dzielnicy, oddalonej od centrum i hałasu; wielu mieszkańców uciekło z Paryża. Marek wspina się na mur, przechyla: za wysoko, można nogi połamać. Wściekłość pcha go do ucieczki wbrew wszystkiemu. Siada na murze okrakiem. Potem zwisa na rękach szukając stopą szczeliny, która by dała oparcie... Na ulicy słychać zbliżające się kroki... próbuje podciągnąć się znowu na mur... Za późno! Zauważono go. Z ciemności pod nim ktoś pyta:

– Czy chcesz zeskoczyć?

– Kim pan jest? – zapytuje.

Ale wyciągnięte ramiona już przytrzymują jego nogi.

– No, dalej! Trzymam cię!...

Znajduje się na ulicy, rozgląda się stojąc na chodniku; wokoło mury ponurych domów; nad nim noc... To trzecie więzienie. Wszystko jak w koszmarnym śnie; pudło z przegrodami: człowiek wychodzi, wraca, zamienia jedną przegródkę na drugą, ale w górze ogromne wieko wciąż zatrzaśnięte...

Nieznajomy stoi tuż, dotyka go; są prawie tego samego wzrostu. Trzask zapałki, płomyk oświetla na chwilę obie twarze. Jest to młody robotnik, nie starszy chyba od Marka, bez zarostu, o szarej cerze, delikatnych rysach i ostrym wyrazie twarzy. Pod zmiętymi powiekami

ruchliwe źrenice; ciekawe spojrzenie, które spoczęło na chwilę, przenosi się dalej, ale nie zatrzymuje nigdzie, dwuznaczny uśmiech błąkający się w kącikach bladych warg... Noc otoczyła ich znowu. Ale widzieli się dobrze. Nieznajomy bierze Marka pod ramię i pyta:

– Dokąd idziesz?

– Nie wiem! – odpowiada chłopiec.

– No, to chodź ze mną!

Marek waha .się. Instynkt go ostrzega; zna niebezpieczeństwa dżungli, a choć nie wie nic o przypadkowym towarzyszu, czuje, że on jest jej mieszkańcem. Serce mu bije, ciekawość przezwycięża jednak strach. A nawet jeśli to nie jest jeszcze odwaga, nie brak mu zuchwalstwa. (Odwaga przychodzi później, wtedy gdy ma się już możność ocenić swe siły lub swą słabość, on zaś dotąd nie poddał ich próbie.) Ryzyko pociąga go. Wysuwa ramię z uścisku przytrzymującej je ręki i sam, chwytając za nią oburącz, a jednocześnie trzymając się w pewnej odległości, powiada:

– Chodźmy! – nie pytając dokąd.

Biegają przez całą noc. Podobnie jak z początku dłonie, badają się także omackiem ich umysły, niezdarnie, trochę obcesowo. Boją się siebie nawzajem, ale żaden nie wie, że drugi się go boi. Nie jest to strach fizyczny, który u Marka niemal zupełnie rozwiało pierwsze zetknięcie. Chwilami, gdy idą tak obok siebie w milczeniu, strach ten powraca; Marek dotyka wtedy w kieszeni noża — niewinnej broni, której by nawet nie umiał użyć. Zaczynają co prędzej mówić i słowa dodają odwagi.

W biały dzień zbliżenie nie nastąpiłoby tak prędko, ale nocą, wśród żałobnych ulic o przyćmionych niczym na katafalku światłach, różnice zacierają się rychło; obaj są jednej krwi. Rządzą nimi te same namiętności i te same zagrażają niebezpieczeństwa. Znużeni chodzeniem, raczej dlatego, że chcą poznać się, nim pójdą dalej, siadają na ławce na ciemnym placu.

Tamtemu na imię Kazimierz. Skręca papierosa i częstuje Marka. Marek nie lubi palić, ale przyjmuje i zapala ze wstrętem.

O wstydzie! Nie ma w kieszeniach nic, ani tytoniu, ani pieniędzy. Co tu robić?... Zakłopotanie przeszkadza mu słuchać. Mimo to jednak słyszy i znów ogarnia go ciekawość. Szczerość za szczerość! Zwierzają się sobie nawzajem...

Kazimierz jest robotnikiem elektrotechnicznym, pracuje w fabryce sprzętu wojennego. Wysokość jego zarobku dziennego przygniata małego mieszczucha, który nie posiada nic, nie zarabia nic i nie potrafi nic prócz wydawania pieniędzy. Kazimierz nie wykorzystuje swej wyższości; zna ją od dawna i zamieniłby może nawet na ową niższość mieszczańską, którą gardzi i której zazdrości od urodzenia. Tej nocy jednak nie myśli wcale o wzgardzie ani o zazdrości. Pociąg, jaki odczuwa, jest silniejszy: ta twarz ujrzana przed chwilą, ten nieznany świat ludzki... Marek doznaję tych samych uczuć. Zapory zostały zniesione i obaj pragną wybadać się wzajem. Wszakże Marek wyrwał się także ze swojej klasy! (Jakaż jest klasa społeczna tego dziecka, które nie ma ojca?) Są sobie równi.

Ale Kazimierz jest starszy. Nie idzie tu o wiek, tych kilka miesięcy nie warte byłyby wzmianki. Kazimierz jest starszy dzięki obfitym doświadczeniom życia na przedmieściu.

Marek milczy, jest onieśmielony i żądny słuchania, a zresztą wygodnie mu z tym milczeniem. Wygląda na człowieka wiedzącego to, czego tamten nie wie. Ryzykując odezwanie się mówi w słowach krótkich, urywanych, z ironią, która podtrzymuje złudzenie.

Ale złudzenie nie trwa długo. Ani ono, ani dziewczęca twarz Marka nie wytrzyma spojrzenia z bliska w świetle lamp kawiarni, dokąd zaciągnął go Kazimierz. Od razu wychodzi na jaw jego zażenowanie i naiwność. Towarzysz dostrzega to swym przenikliwym a przelotnym spojrzeniem, które oplata niby wąsy winorośli, które śledzi i sonduje wprawiając Marka w zakłopotanie, drażniąc go, a jednocześnie pociągając. Rad by przed Kazimierzem uciec lub

stawić mu czoło. Wahając się jednak w wyborze, nie potrafi ani jednego, ani drugiego, odradza się: jest mu wydany.

*

Odtąd towarzyszył wędrówkom Kazimierza po dżungli! Ach, gdyby Anetka mogła to podejrzewać!... Czegóż nie dotykały oczy, dłonie i całe ciało jej chłopca! Jednak istnieje jakaś łaska stanu dla tych młodych a twardych duszyczek, których głęboko ukrytego jądra nic splamić nie może. Chroni je to, co powinno by zgubić: ich ciekawość. Chcą widzieć i wiedzieć, a nawet dotknąć!... Tak – ale – *Noli me tangere...*[21] Nie pozwalają dotykać siebie...

„Dotknąłem i idę dalej. Jesteś mi obcy, jak obcy ja ci byłem, nim cię poznałem. I nawet bardziej jeszcze obcy jestem, odkąd cię znam. Czuję wstręt i do ciebie, i do siebie, głównie zresztą do siebie. Zbrukałem moje ciało, ręce i oczy; myję je z wściekłością. Ale serce pozostało nietknięte. Błoto go nie dosięgło...

A ileż w tym paryskim błocie znalazłem i podniosłem okruszyn szlachetnego metalu!”

U tego wyrostka, wychowanka ulicy i warsztatu, u jego towarzyszy, w owym konglomeracie dusz, który tworzy ludność miast, zmieszane są występki i cnoty. Zgnilizna i rzeźki słony powiew.

Jest tu seksualizm wyostrzony gorączką stadną... i ciągłe napięcie zmysłów, przepalonych, stępiałych przedwcześnie... jest barbarzyńska ciekawość, która wyprzedza, wywołuje i gasi pożądanie... szał zanikający przed zapłodnieniem; wszystko zostało wypróbowane i zużyte... ciało zwiędłe w rozkwicie... pyłek duszy brutalnie starty, zdeptana trawa, na całym ciele piętno bezradosnej rozkoszy, sprofanowanej jak na wiosnę podmiejski las po dniu świątecznym... Obraz spustoszenia, dzieło demona zmysłów, który wysuszając pierś odbiera jej pokarm i znieprawia rasę – rak, który zżera jej brzuch, pozbawiając siły czynu i płodności...

Ale ponad tą ziemią spustoszoną płyną wiatry: po palących podmuchach nadchodzą ożywcze. Starczy jeden powiew, by gdzieniegdzie wyprostowały się zgniecione zioła i zakwitło zboże wraz z perzem...

Wolność jest jak włócznia Achillesa: zabija i wskrzesza.

Przepalony przedwcześnie tchnieniem tego ziejącego żarem wielkiego pieca, jakim jest grupa społeczna, w której się urodził, w zaduchu duszącej woni bezładnego stopu rozkoszy i cierpień, równie brutalnych i zabójczych, w destrukcyjnych warunkach potwornej higieny, cuchnących mieszkań, niechlujstwa fizycznego i moralnego, niezdrowego jadła, napojów, pracy i wybryków niedostosowanych do jego wieku, Kazimierz spalał się cały.

Chorobliwe podniecenie umysłu nie mniej było niebezpieczne od podniecenia ciała, ale poważniejsze za sobą pociągało skutki; jedno i drugie zaś składało się na ów monstrualny stan równowagi, który zamęcza niedojrzałą jeszcze istotę ludzką, zanim dojrzeje, a rzuca ją, wyczerpaną, w chwili kiedy powinna dobyć wszystkich sił i działać. Ale umysł chronił przynajmniej przed bagnem zmysłowości. Tak, nawet to szalone napięcie wszystkich żądz, ta histeryczna swoboda pozbawiona wszelkich hamulców moralnych, ale jednocześnie i przesądów, którymi okupuje się moralność powszechną, pozwala niespodziewanym skokiem kapryśnego umysłu dosięgnąć jakiegoś zielonego, rosnącego w słońcu krzewu, osypanego pąkami przyszłych myśli. Koza nie zatrzymywała się przy nim, jednym susem skacząc znów na dół, ale w zębach zachowywała wzmacniającą goryczkę zdrowej paszy.

Kazimierz był anarchistą. Pycha samouków, nadętych źle dobraną, a gorzej jeszcze przetrawioną wiedzą, dogmatyczny egoizm i kabotyństwo, upodobanie do czczej gadaniny, zboczenia płciowe, maniackie niszczenie wszystkich ustalonych wartości, niemoralność stanowiąca przedmiot fanfaronady, gwałtowna rywalizacja koterii i jednostek – wszystko to zaw-

[21] *N o l i m e t a n g e r e* (łac.) – nie dotykaj mnie.

sze niszczyło wyniosły gmach, który wznosić mogą tylko czyste ręce i serca Reclusów[22] lub Kropotkinów[23]. Mieszkać w nim może tylko stoicka elita: tłoczący się zaś tłum bezcześci jeno świątynię, jak zbezcześcił domy Chrystusowe, zaludniając je swymi obrzydliwymi bożkami, pośrednikami w stosunkach z Bogiem.

Lecz samo już słowo „wolność" posiada magiczną władzę nawet nad duszami zapadłymi w trzęsawisko własnych żądz. Jest to tchnienie bohaterstwa (złudzenie?... mniejsza o to!), które zaprzecza niewolnictwu, wszelkiemu niewolnictwu pętającemu te dusze. Żałosni epigoni Tytana zbuntowanego przeciw ty pańskiemu: *Sic volo, sic iubeo!*[24] W rozbitkach tych tli święty ogień Prometeusza. Marek na każdym kroku widział błyskanie tej iskry.

Był to czas wyjątkowy, kiedy bracia-wrogowie: anarchiści, socjaliści, syndykaliści, zbuntowani przeciw wojnie, połączyli się na tym terenie zapominając wzajemnych waśni. Jakże byli nieliczni! Garstka zaledwie! Reszta wycofała się nie mając siły przeciwstawić się opinii publicznej, z obawy przed sankcjami lub pod wpływem starych, nagle przebudzonych instynktów dumy narodowej czy chęci skosztowania krwi, zwłaszcza zaś na skutek pomieszania... straszliwego pomieszania idei krasomówczych, którymi nadziane są wszelkie demokracje, jak indyczka farszem. Nigdy jezuici w czasach największego rozkwitu kazuistyki nie nadużywali tak szaleńczo swych distinguo[25], które stosowane do wszystkiego, wszystko potrafią powikłać; pokój i wojnę, prawo i bezprawie wolność i rezygnację z wszelkiej wolności. Niezawodnym tego skutkiem było, że nieliczne umysły zmierzające dotąd uporczywie do wyzwolenia wróciły na ławy galerników i wiosłowały z pochylonymi grzbietami, pod grozą bata. Pod koniec roku 1914 nie było w Paryżu nawet dwunastu ludzi nie dających się zakuć w żadne kajdany. Potem liczba ich wzrosła powoli, tworząc parę małych grup, z których najbardziej przewidująca była grupa „Vie Ouyrière"[26].

Marek uczestniczył czasem w niedzielę w ich zebraniach, a to, co tam usłyszał, wstrząsnęło nim.

Do tej chwili nie dyskutował nigdy o konieczności wojny. Nazbyt jasno patrząc, by nie dostrzegać jej okrucieństw, niesprawiedliwości, może nawet nonsensu, uważał, że dlatego właśnie męską jest rzeczą przystać na nią. Był w wieku, kiedy najwyższą cnotę streszcza słowo: męskość. A każda siła, niesprawiedliwa bardziej jeszcze niż sprawiedliwa, wywołuje tajemny pociąg, wydaje się bowiem tym mocniej siłą elementarną, czystą i ma w sobie więcej niebezpieczeństwa. Z dumą entuzjazmował się nieubłaganym prawem walki o byt, które zamyka ludzi w wiecznym zamęcie zmagań niby raki w koszu. Precz z ckliwością! Być najsilniejszym!... Dlatego właśnie, że był słaby, chełpił się tym szyderczym cynizmem, który oburzał Anetkę.

– Tym gorzej dla mnie i dla innych! Tym gorzej dla tych, co giną! Moja to rzecz nie dać się i wziąć górę czy to podstępem, czy siłą.

---

[22] R e c l u s Jean Jacques Elisée (1830–1905) – znakomity francuski geograf i działacz polityczny. Jeden z teoretyków ruchu anarchistycznego, członek I Międzynarodówki. W roku 1870 za swój udział w Komunie Paryskiej skazany na deportację, później karę tę zmieniono na wygnanie.

[23] K r o p o t k i n Piotr (1842–1921) – rosyjski działacz anarchistyczny, jeden z najwybitniejszych teoretyków anarchizmu. Po roku 1917 uznał władzę radziecką i powrócił do Związku Radzieckiego.

[24] *S i c v o l o, s i c i u b e o* (łac.) – tak chcę, tak rozkazuję; pierwsze słowa powiedzenia: *Sic volo, sic iubeo, stat pro ratione volutans* – tak chcę, tak rozkazuję, wola moja jest wystarczającą racją.

[25] *D i s t i n g u o* (łac.) – rozróżniam. Chodzi tu o metodę, jaką się posługiwano w rozważaniach kazuistycznych, a polegającą na tym, że przy rozwiązywaniu jakiegoś problemu nie dawano jednego, określonego rozstrzygnięcia, ale najpierw przeprowadzano rozróżnienia w samym zagadnieniu, a potem dopiero w zależności od nich, w sposób niejako kompromisowy, dawano kilka odpowiedzi.

[26] „*V i e O u v r i è r e*" („Życie Robotnicze") – tygodnik francuskich związków zawodowych.

Znajdywał przyjemność w pogardzie, jaką okazywał protestom matki oburzonej ową fanfaronadą – popisywaniem się brakiem ludzkości. Zwał je szyderczo „sentymentalizmem" – to mówiło wszystko!

– Ckliwe faramuszki! Kobiece fatałaszki! Strójcie się w to, ile chcecie! Ja chcę mieć ostre zęby...

Co prawda, Anetka była wówczas zupełnie zagubiona.

Godziła się jeszcze na wojnę odrzucając jednocześnie nikczemność podobną do cuchnącego oddechu drapieżnika. Zatrzymała się w pół myśli nie śmiać spojrzeć w głąb. Toteż trudno jej było uzasadnić swe buntownicze odruchy rozumowymi argumentami. Zmysł wewnętrzny wystarczał jej za przewodnika, dla Marka jednak było to za mało. Mężczyzna potrzebuje jasnych idei – fałszywych czy nie – ale jasnych, by według nich klasyfikować swoje namiętności.

Owe jasne idee Marek znalazł w obfitości u logików myśli robotniczej. Każdy ich bunt był skrupulatnie wyprowadzony i wsparty rusztowaniem cyfr i faktów. Owe zdania pozbawione blichtru, powolne, szukające i monotonne zdania Merrheima, który dobierał słów tak, by nie przerastały myśli; owa wzniosła uczciwość, stanowiąca jak u Focjona[27] ostrze jego krasomówczego topora, a także spokojny, dobroduszny Monatte, który niebaczny na siebie ni słuchaczy, starannie szeregował zaobserwowane fakty, i Rosmer[28] o stalowej precyzji myślenia, tłumiący swą namiętność, w obawie aby wybuchem nie sprzeniewierzyć się ideom. Ten żar lodowaty wywarł na sceptycznym, gwałtownym i popędliwym chłopcu wstrząsający wpływ. Tajny charakter zebrań narzucony koniecznością, nieustanne niebezpieczeństwo zawieszone nad tymi miniaturowymi katakumbami, przygniatająca świadomość, że olbrzymie masy narodów stosują przemoc pięści wobec tych „pragnących sprawiedliwości", tych poszukiwaczy prawdy i ich przyćmionego światła – wszystko to przepajało atmosferę, mimo chłodu przywódców, tchnieniem wprost religijnym. Ono to, niby przerywane błyski latarni morskiej, przemieniało pobladłe oblicza i znużone oczy.

Dumny mały mieszczanin czuł się nieraz upokorzony przez któregoś z tych rzemieślników, którzy go przewyższali sercem.

*

Pitan, zwany ojcem Pitanem, chociaż nie skończył jeszcze czterdziestki, był to człowiek niski, szczupły, ruchliwy, o głowie zbyt dużej w stosunku do ciała. Na pierwszy rzut oka zwracała uwagę jego czarna broda pokrywająca policzki i grube, niknące w zaroście wargi. Cerę miał żółtą, nos spłaszczony, a oczy brunatne, aksamitne, o źrenicy zlewającej się z tęczówką jak u pudla.

Obecny na zebraniach, Marek wodząc oczyma po sali napotykał zawsze te poważnie uśmiechnięte oczy. Pitan był jednym z tych nielicznych pośród towarzyszy, którzy interesowali się ludźmi nie tylko ze względu na ideę (lub własny interes), ale także dlatego, że byli to ludzie, przez miłość do człowieka – jak pies. Czuł pociąg do młodego mieszczanina odgadując jego zakłopotanie, Marek zaś wyczuł instynktem, że w poprzek prądu płynie mu on na pomoc, jak pies–ratownik. Spotkali się.

Pitan miał wędrowny warsztat reparacyjny wyrobów fajansowych i porcelanowych, a pod miastem mały sklepik, gdzie wykonywał roboty delikatniejsze. Zręczność jego sprawiła, że zawód jego objął z czasem także naprawę wszelkich innych przedmiotów z drzewa, kamienia,

[27] F o c j o n (ur. ok. 400 – zmarł 317 p. n. e.) – ateński mąż stanu, wódz i mówca. Człowiek zdolny i nieprzekupny, zasłynął jako mówca uczciwy i prawdomówny.

[28] M e r r h e i m, M o n a t t e, R o s m e r – działacze robotniczy, współpracownicy pisma „Vie Ouvriére".

a nawet delikatnych, kruchych bibelotów. Jako samodzielny pracownik, bardziej dysponował czasem niż jego towarzysze zajęci po fabrykach i warsztatach i nie szczędził tego czasu dla sprawy. Nosił z jednego końca Paryża na drugi zawiadomienia o zebraniach, broszury, przypominał zapominalskim obowiązki, budził drzemiących i trąbił na pobudkę. Marek skorzystał kilka razy z wolnego popołudnia w liceum, aby towarzyszyć Pitanowi, ale zmęczył się prędko. Dla Pitana niepogoda czy odległość nie miały znaczenia: szedł i szedł, kulejąc po trosze, twardo i równo jak stary żołnierz; nie zatrzymywał się nigdzie, zanim nie załatwił sprawy, nie pił wcale. Żartowano, że złożył śluby wstrzemięźliwości i czystości, bo nie słyszano, by utrzymywał stosunki z kobietami i nie był żonaty: mieszkał ze starą matką, którą ukrywał zazdrośnie, a która go tyranizowała. Jako syn alkoholika, poznał w dzieciństwie spustoszenie, jakie niesie ten nałóg, którego piętno pozostało i na jego organizmie niszczonym ukrytą chorobą. Temu zawdzięczał zwolnienie ze służby wojskowej, ale dlatego też zabronił sobie małżeństwa. Chociaż życie jego nie było wesołe, wydawał się szczęśliwy. Czasem jednak mgła melancholii przesłaniała mu oczy. Miewał okresy nieodpartego znużenia, a wówczas uciekał od ludzi, krył się, zapadał w jakby letargiczną senność, przestawał mówić i zdawał się tknięty jakąś drętwotą umysłu. Po kilku tygodniach ukazywał się znowu z uśmiechem pełnym oddania, czynny jak przedtem. Towarzysze, którzy nie troszczyli się o niego wcale podczas jego nieobecności, uznawali natychmiast za rzecz zupełnie naturalną obarczyć go w imię sprawy tym wszystkim, co im było niewygodne. I Pitan znów rozpoczynał swe marsze, wracał o zmierzchu lub późną nocą, doręczywszy świstki do ostatniego, zmordowany, przemoknięty i zadowolony.

Marek nie miał dość siły i Pitanowi było go żal: nie dając mu tego poznać, wynajdywał powody, by się zatrzymać i odpocząć.

Pitan mówił powoli, spokojnie, nie przerywając; słowa jego płynęły jak spokojna woda kanału pomiędzy dwiema śluzami – okresami milczenia. Daremnie niecierpliwy Marek starał mu się przerywać – Pitan uśmiechał się, pozwalał mu mówić, potem zaś z uporem rozwijał dalej swe myśli. Niewrażliwy na ironię, nie był zarozumiały na punkcie wartości własnych słów. Słowa te bowiem płynęły z potrzeby rozjaśnienia myśli, a to było możliwe tylko wtedy, gdy myśli te wyrywał z gliny milczenia, w której grzązł jego umysł. Musiał doprowadzać świeże powietrze do tego ciężkiego życia wewnętrznego, które dwa razy do roku zapadało w połowiczny paraliż. Myśleć umiał tylko głośno, poza tym potrzebował kogoś drugiego, by myśleć. Samotnik ten urodził się z duszą łaknącą braterstwa.

Mówienie nie przeszkadzało mu wcale obserwować i słuchać, a Marek spostrzegł dużo później, że każde jego słowo Pitan zapamiętał i przemyślał obracając na wszystkie strony niby motyka ziemię.

Chłopiec uznał, że ładnie będzie popisywać się przed nim, jak przed innymi, swym małomieszczańskim rozczarowaniem i buntem uczniaka, który wyzwala się z przesądów i obowiązków swojej klasy. Kazimierz i jego towarzysze zdawali sobie z tego sprawę nie tracąc wobec niego jednocześnie poczucia wyższości; stawiali Markowi niejako dobrą notę, co mu pochlebiało i zarazem upokarzało. Pitan ani go nie chwalił, ani nie lekceważył. Słuchając wynurzeń Marka potrząsał głową, potem podejmował na nowo swój monolog... Ale w kilka dni później, gdy czekali na wyjście robotników opodal jednej z fabryk, wśród wysokich murów, spoza których sterczały gigantyczne, czerwone szyje kominów uwieńczone ciężkimi pierścieniami dymu, Pitan powiedział bez żadnego wstępu:

– Mimo wszystko lepiej by pan uczynił, panie Rivière, wracając do swoich.

(On jeden nie mówił mu: ty.)

Marek osłupiał.

– Do swoich? Gdzie?

– Do szkoły.

– Ależ, Pitanie! – zaprotestował. – Uważa pan, że nie powinienem przychodzić do was, poznawać wasze myśli i życie?

– Nie, nie. Nie zaszkodzi panu, oczywiście, poznać, jacy my jesteśmy... Tylko, panie Rivière... Otóż to! Nigdy pan tego nie będzie wiedział.

– Dlaczego?

– Nie jest pan naszym człowiekiem.

– I to wy mi mówicie, Pitanie? Przychodzę do was, a wy mnie odpychacie!

– Nie, nie, panie Rivière. Przychodzi pan do nas i cieszę się, kiedy pana widzę. Jesteśmy panu wdzięczni za sympatię, ale mimo wszystko pan jest i pozostanie zawsze wśród nas obcy.

– Wy nie jesteście obcy dla mnie.

– Niech pan pozwoli... Tam, za tymi murami, są robotnicy. Cóż pan wie o życiu robotników? Można panu opowiedzieć, co robią, czego chcą, co myślą, i nawet, jakie są-ich cierpienia, ale czyż pan to odczuje? Kiedy boli mnie ząb, lituje się pan nade mną, ale nie cierpiąc nie odczuje pan nigdy mego bólu.

– I ja mam swoje cierpienia.

– Niewątpliwie. Nie drwię z nich jak ci, którzy twierdzą, że w porównaniu z prawdziwym cierpieniem ludzi skazanych na nędzę cierpienie burżuja jest luksusem sfabrykowanym dla zajęcia próżniaków. Luksusem... może i tak jest... oczywiście poza chorobą i śmiercią... Choć nawet... śmierć i choroba nie dla wszystkich bywają jednakowe...

– Jak to? Niejednakowe?

– Nie, mój chłopcze. Luksusem jest także to, gdy się choruje i umiera spokojnie, w wygodnym łóżku, z głową wolną od troski o przyszłość rodziny... Lecz ludzie żyjący w dostatku nie dostrzegają tego... Toteż każde cierpienie, rzeczywiste czy urojone, nie jest nigdy blagą. Żal mi też wszystkich: i nas, i was; każdy ma własne troski, na swoją miarę. Ale cóż... jedne niepodobne do drugich.

– Ludzie są jednak podobni, Pitanie!

– Ale nie ich życie... Czymże jest na przykład dla was praca? Powiadacie (wy wszyscy, pan i ludzie z pańskiej klasy, zarówno najlepsi jak najgorsi, a nawet pijawki żyjące z cierpienia innych), powiadacie, że praca to rzecz piękna, rzecz święta, a kto nie pracuje, nie ma prawa do życia... Doskonale. Ale czyż pan może mieć pojęcie, co znaczy praca przymusowa, nieustanna, bezmyślna, beznadziejna, dławiąca, odbierająca wzrok i zatruwająca, kierat ludzki, w którym człowiek chodzi jak zwierzę, aż do chwili wyzwolenia, to znaczy śmierci?... Czyż taka praca jest piękna? Czy jest święta? Czyż więc ci, którzy, zhańbiwszy tak pracę, żyją z niej, nie muszą na zawsze zostać dla nas obcymi?

– Ależ ja z tego nie żyję!

– Owszem, żyje pan. A dzieciństwo wolne od troski i głodu, a szkoła, możność długoletnich studiów w spokoju, bez myśli o zdobywaniu chleba powszedniego...

Nagle Marek przypomniał sobie na swą obronę to, o czym nigdy przedtem nie myślał.

– Nie waszej pracy to zawdzięczam! – zawołał. – Moja matka pracuje.

Zainteresowany tym, Pitan kazał sobie opowiedzieć życie dzielnej kobiety, a Marek opisując je zaczynał odkrywać matkę; obok dumy odczuwał teraz jakby zakłopotanie, które wyjaśniła jedna spokojna uwaga Pitana:

– A więc, przyjacielu, to ona jest wyzyskiwana przez ciebie.

Marek nie lubił, by mu przypominano jego obowiązki.

– To moja sprawa, Pitanie! Was to nie dotyczy.

Pitan nie obstawał przy swoim, uśmiechnął się tylko. Robotnicy zaczęli wychodzić. Pitan podszedł ku nim; niektórych znał i rozdając swoje druki zamieniał z nimi po kilka słów. Ale

im spieszno było siadać na swoje rozklekotane rowery i jechać do domu na kolację. Ledwie brali ulotki w palce lub mówili:

– Dobrze, dobrze... wiem, wiem!...

I wkładając ręce w kieszenie nie chcieli ich nawet przyjąć. Kilku przystanęło, by porozmawiać, Marek stał z boku i czuł aż za dobrze:

„Jestem obcy."

Gdy Pitan wrócił i uszli razem kilkanaście kroków, Marek podjął:

– Nie dowiedziałem się tego dopiero od was, Pitanie. Widziałem to doskonale: Kazimierz i inni nie traktują mnie nigdy jak towarzysza. Niekiedy schlebiają mi, kiedy indziej zaś upokarzają. Wygląda na to, że są dumni ze mnie, a jednocześnie wobec mnie. Dumni z tego, że mają we mnie zakładnika mieszczaństwa, którym można gardzić.

– He... he... – zaśmiał się cicho Pitan. – Nie trzeba zaraz wpadać w ostateczność. Ale jest w tym trochę prawdy. Wyczułem to i dlatego właśnie powiedziałem panu o tym.

Marek przystanął, tupnął i wykrzyknął:

– To niesprawiedliwe!

Potem odwrócił się, aby ukryć napływające łzy – oznakę słabości. Pitan wziął go pod rękę i szli dalej.

– Tak – powiedział Pitan po chwili namysłu – dużo jest rzeczy niesprawiedliwych. Wszystko niemal w tym społeczeństwie jest niesprawiedliwe. Dlatego też trzeba je zmienić.

– Czyż nie mogę pracować w tym kierunku?

– Może pan i nawet powinien. Jak my. Każdy swoimi środkami i każdy na swym stanowisku. Ale (żałuję bardzo, panie Rivière) nie wejdzie pan do nowego proletariackiego społeczeństwa. Żal mi pana. Ale tak jest!... Ja zresztą także nie wejdę do niego, bo umrę przedtem.

– A wasi, wasza klasa?

– Oni wejdą. Na pewno wejdą.

Marek oswobodził ramię z uścisku Pitana i powiedział:

– Jesteście nacjonaliści, Pitanie, i pan, i wy wszyscy. Zwalczacie tę ojczyznę w imię innej ojczyzny. Ojczyzny tak samo zazdrosnej jak dawna.

Pitan odparł dobrodusznie:

– Ja tam nie jestem o nic zazdrosny, mój chłopcze. Jeden ma jasne włosy, drugi ciemne, jeden jest wysoki, drugi niski, jeden biały, drugi żółty – dla mnie to wszystko jedno, każdy kocha, cierpi, umiera, i basta! Jestem zwolennikiem każdej ojczyzny, żadna mi nie przeszkadza. Ale pan, naszej ojczyźnie, ojczyźnie proletariuszy, nie przyznaje się prawa do życia; musi je sobie zdobyć siłą w walce z wami.

– Odbierając nam życie?

– Nie mamy do was urazy, ale wasza klasa zabiera naszej słońce.

– Ja go niedużo zabieram! – rzekł ze smutkiem Marek.

– Ma pan środki po temu, by go szukać. W książkach, w nauce, w spokojnej pracy umysłowej. Idź pan więc, szukaj, a potem dawaj je nam, nam, których nie stać na te kosztowne wyprawy. To najlepsza rzecz, jaką może pan zrobić. Niech pan wraca do siebie i pracuje dla nas!

– To niewesołe – powiedział Marek – żyć bez towarzyszy!

– Trzeba być towarzyszem dla wszystkich, a nie dla jednego człowieka!

– Ach, cóż za samotność! – powtórzył Marek.

Pitan przystanął, spojrzał z uśmiechem współczucia na twarz chłopca, którą ten usiłował ukryć, a potem wyprostował się i wciągnąwszy w płuca haust zatrutego wyziewami fabryk powietrza, powiedział:

– Tak, to dobre! I zdrowe!

Marek skrzywił się, a Pitan uderzył go po ramieniu:

– Patrz! (Po raz pierwszy mówił mu: ty.)

W kręgu fortów rozciągała się obszerna, pozbawiona trawy równina, zasnuta pasmami dymów, które lodowaty zimowy wiatr wykręcał ciężko, niby bieliznę praną w ogromnej balii szarego nieba. A za nią. mrowisko domów, miliony istnień, miasto... surowa tragedia. Szczęśliwy i poważny, Pitan oddychał swobodnie. Potem powiedział:

– Samotność pośród wszystkich to braterstwo z wszystkimi.

– A wszyscy się wzajem pożerają! – zauważył z goryczą Marek.

– Muszą jeść! – odparł po prostu Pitan. – Takie prawo... Dlatego musimy ich karmić! Karmić sobą innych – po to człowiek się rodzi. I ze wszystkiego, co dobre, to jest. na pewno najlepsze.

Marek patrzył na ziemistą, ale rozbłysłą wewnętrznym ogniem twarz małego naprawiacza porcelany i wzruszyła go owa cicha radość, z jaką pragnął oddawać się na pokarm innym. Przyszło mu na myśl, że Bóg chrześcijański sam po to właśnie przyszedł na świat... Jak barbarzyńska jest ludzkość!... Dostrzegał już wielkość tej postawy, lecz był za młody, by do niej dążyć.

– Dawać siebie na pokarm... Nie! Jeść samemu!

*

Przeżywszy wstrząs, a potem rozczarowany do owych ludzi z przeciwległego brzegu, gdzie nie mógł wylądować, Marek był teraz niby ptak zawieszony między niebem a ziemią, nie wiedzący, gdzie spocząć. Uciekł z gniazda i nie chce doń wracać, za młody zaś jest, by budować własne... Gdzie zresztą? A zanim nadejdzie godzina założenia własnego ogniska domowego, gdzie znaleźć schronienie? Na której siąść gałęzi? Zwątpienie podważyło wczorajsze przeświadczenia, a on, choć trwa przy nich uparcie, nie mając ich czym zastąpić, wie, że są już obalone. W świecie idei, który dla rozgorączkowanych umysłów młodzieży miejskiej ma zasadnicze życiowe znaczenie – ten piętnastoletni chłopiec jest samotny, zagubiony i nie ma się czego uchwycić.

Odnalazł ową Perretkę, jak on zbiegłą z domu, Marcelinkę Perret o wywiniętych wargach małpeczki – i pokosztował ich teraz. Odnowili spotkania, jakie niegdyś miały miejsce na klatce schodowej, tym razem jednak dystans był mniejszy. Potrzebował jej ramion, szukał w nich schronienia. Choć obojętna na to, co opuściła, Marcelinka widzi w nim wysłannika z rodzinnego kraju. Wzrastali pod jednym dachem, jako pisklęta ćwierkali u tej samej rynny. Zgubieni wśród ogromu miasta zbiegowie tulą się skrzydłami i grzeją wzajemnie. Marcelinka pieści dziobkiem mdlejące usta swego chłopięcego kochanka. Jak namiętny jest ten chłopak! Leci jak ćma prosto w ogień. Z pasją pogrąża się w tym świeżo przez siebie odkrytym świecie — świecie rozkoszy i cierpienia. Bawi to Marcelinkę, ale choć pozbawiona skrupułów, czuje wobec tego Cherubina, rumieniącego się a bezwstydnego, który ją pożera pragnieniem, coś – trudno to określić – co ją dziwi i wprowadza zakłopotanie. Ona, która nic sobie nie robi z uczuć rodzinnych, za tego chłopca czuje się odpowiedzialna. Trzymając jego głowę na piersiach, wpatruje się w pobladłe policzki, rozgorączkowane oczy; śmiała się z początku, teraz jednak gnębi ją troska z powodu jego nocnych eskapad, z których wraca o świcie na wskroś przejęty wilgotnym chłodem. Jest lekko ubrany, nierozważny, gwałtowny; ma suchy kaszel, cały płonie; zmiecie go byle podmuch wiatru. Marcelinkę ogarnia niepokój, ale jednocześnie sama rozdmuchuje ten płomień, igra z nim. Chłopak jest zazdrosny, a ona go dręczy, nie zgadzając się na to, by ją krępował. Ma skrupuły, ale dobija go zupełnie swym postępowaniem.

W samą porę interweniuje tu Pitan. Zna wszystkich i wszyscy go znają, a dobroć i naiwność, z której pokpiwają, dała temu staremu dziwakowi prawo mówienia ludziom w oczy niemiłej prawdy. Mówi ją, ludzie słuchają i bez względu na to, czy biorą to serio, czy nie, nikt się nie obraża. Pitan mówi dziewczynie:

– Panienko, Marcelinko, jeśli dłużej zatrzymasz przy sobie swojego chłopaczka, nie starczy go na długo. Wybiera się na tamten świat.

– Wiem o tym, papo Pitan – odpowiada – i przykro mi bardzo. Widzę przecież, że się spala. Cóż jednak zrobić? Ten dzieciak nie chce o niczym słyszeć. Jest ślepy i głuchy, wiecznie głodny jak dziecko przy piersi, ale nie można go zaspokoić. Jest nieszczęśliwy, pół szalony. Coś mu dolega, a nie wiadomo, jak go pocieszyć.

– Nie tu, nie przy nas jest jego miejsce. Trzeba mu koniecznie jego własnego domu.

– Ale on go nie chce.

– Wiem, wiem, przeżywa wiek buntu.

– Wszyscy jesteśmy w tym wieku.

– Moja panienko, nie pochlebiaj sobie. W głębi ducha wzdychasz, Marcelinko, do tego wieku, kiedy się samemu rozdaje szturchańce gromadce małych buntowników.

– Muszę oddać, co sama dostałam – mówi śmiejąc się Marcelinka.

– Ale nim trzeba się zająć.

–A tak! Zająć się nim! Co poradzimy wbrew jego woli? Za pierwszym słowem kazania, które chce mu się palnąć, wierzga jak młody kucyk.

– Znasz go przecież, Marcelinko. Czy nie ma kogoś, komu by go oddać?

– Matka jest daleko.

– Wiem o tym. Dzielna kobieta, pracuje na chleb dla niego. O niczym nie wie. Chciałem pisać do niej, ale – o ile się mogłem przekonać – nie żyją w zgodzie; boczą się na siebie. Rozumiem, jak to jest: prawdopodobnie są sobie zbyt bliscy, by się rozumieć. Ta kobieta ciężko pracuje, ma swoje kłopoty i nie należy bez potrzeby jej niepokoić. Gdyby był inny sposób? Czy nasz chłopak nie ma tu w mieście nikogo z krewnych, kto by umiał wziąć się do niego, obronić?

– Tak, naturalnie!... Czekajcież, Pitan!... Ma tu ciotkę; znam ją, nie jest skromnisią i zrozumie...

– A więc dobrze – kończy Pitan – trzeba się do niej wybrać i pomówić.

Marcelinka skrzywiła się. Nierada była pozbywać się swego gołąbka. Ale będąc dobrą dziewczyną powiedziała sobie:

– Pod nieobecność tamtej jestem po trosze jego matką. Cóż bym uczyniła na jej miejscu? To prawda, nie mogę go zatrzymywać dla siebie... Mój biedny dzieciak!... Nie ma innego wyjścia, a trzeba go ratować, muszę tam pójść.

Jeszcze przez jedną noc kołysała Marka w ramionach; potem poszła do Sylwii i wydała go w jej ręce.

*

Sylwia przechodziła kryzys najostrzejszy, w życiu od tragicznej śmierci córeczki. Tę kobietę szukającą zapomnienia w rozrywkach, którą wojna rzuciła w wir szaleńczego pożądania wszelkiego rodzaju podniet i rozkoszy, nagły cios przywołał do rzeczywistości. Cios ten zdolna była przewidywać bez większego wzruszenia, nie przewidziała jednak, jakim się w niej odbije echem. Leopold, mąż jej, zmarł jako jeniec w niemieckim szpitalu. Oto list, w którym biedak z góry zawiadamiał ją o tym:

„Droga moja żono! – pisał. – Wybacz, jeśli cię zmartwię. Ale czuję się źle. Leżę w szpitalu, gdzie, zaręczam ci, jestem bardzo troskliwie pielęgnowany przez Niemców. Nie mogę się na nic użalać. Sale ogrzane, bo na dworze jeszcze chłód. Mówią tu, że cierpicie z zimna, że brak wam węgla. Jakżebym chciał wam pomóc! Widzę was w pracowni: szyby są zamarznięte, Celestyna pociera zgrabiałymi palcami o grzbiet kotki. Ale tobie nigdy nie zimno, chodzisz, tupiesz mocno i rozdajesz twoim pannom szturchańce dla rozgrzewki. Przykro ci musi być jednak kłaść się w chłodną pościel naszego wielkiego łóżka. W dzień możesz ostatecznie przynajmniej chodzić, ruszać się, spacerować; a kiedy człowiek może się ruszać, to jeszcze bardzo wiele. Gdybym to ja mógł! Muszę ci powiedzieć o tym: lekarze stwierdzili, że trzeba mi odjąć nogę. Nie znam się na tym, więc się godzę. Ponieważ jednak tak osłabłem, że mogę umrzeć pod nożem, chciałem napisać do was i ucałować was jeszcze raz. Mimo to nie trzeba tracić nadziei, że z tego wyjdę. Może wrócę, a może nie. Proszę cię, moja kochana żono, nie gniewaj się na mnie, to nie moja wina, możesz być pewna, że zrobię wszystko, co będę mógł, by się z tego wygrzebać. Gdyby się jednak inaczej stało, to cóż, jesteś jeszcze młoda, możesz drugi raz wyjść za mąż. Nie jestem nikim nadzwyczajnym, takiego człowieka jak ja nie trudno zastąpić. Byleby to był człowiek uczciwy, pracowity i szanował ciebie. Nie sądź, że miło mi myśleć o tobie przy innym mężczyźnie, ale pragnę, żebyś była szczęśliwa. I cokolwiek się stanie, mówię ci z góry, że tak będzie dobrze. Droga Sylwio! Przeżyliśmy z sobą dużo złego i dobrego, pracowaliśmy ciężko, kłóciliśmy się czasami, ale byliśmy zawsze dobrymi towarzyszami. Często cię drażniłem, nie byłem, wiem o tym dobrze, człowiekiem odpowiednim dla ciebie, ale robiłem, co było można, a trudno przecież wyleźć z własnej skóry. Nie gniewaj się, jeśli nie zawsze mi się udawało tak, jak chciałem. Ucałuj Anetkę i Marka. Nie zawsze byliśmy dla nich tacy, jak powinniśmy. Rad bym był, gdybyś się trochę więcej zajęła chłopcem. Nie mamy dzieci. Powinnaś spróbować z czasem uczynić go wspólnikiem zakładu... Nie mogę dłużej pisać... Nie mam siły... Cóż zresztą może ci powiedzieć ten papier? Całuję cię. Ach, Sylwio, chciałbym cię wziąć za rękę. Żegnam cię lub do widzenia. Twój wierny mąż myśli o tobie, o was, i myśleć będzie nawet z dala, gdy będzie leżeć w ziemi. Daleko czy blisko, tłumaczę sobie, że to przecież ta sama ziemia i ty po niej chodzisz. Żegnam cię, droga żono, kochana, maleńka, śliczna, serce moje. Dziękuję za wszystko. Bądź dzielna. Ciężko mi odchodzić... Mój Boże!

Leopold

Masz u siebie kwit Gribelina na 115 franków z dnia 11 czerwca 1914 r., kwoty tej nie zapłacił.”

Ostatnie słowa były zamazane, jakby upadła na nie kropla, którą starto palcem.

Jednocześnie z listem przyszło zawiadomienie o śmierci.

Sylwia zrozumiała teraz, że kochała tego, który przez dwanaście lat dzielił z nią życie. Dotąd ceniła go tylko jako uczciwego człowieka i dobrego wspólnika i dopiero śmierć uświadomiła jej, że związek ten sięgał dużo głębiej, poza sferę interesów. Splatając wspólnie dni swego życia, związali się tak mocno, że nawet palce zręcznej krawcowej nie zdołałyby rozplatać tej więzi. Sylwia nie wiedziała już, czy nić zerwana była nim, czy nią samą. Pękł cały motek.

Uświadomiła sobie teraz wszystkie krzywdy wyrządzone temu, który stanowił cząstkę jej samej... Tak skąpo dla jego czułego serca odmierzana miłość; zdrady, o których może nie wiedział, jeśli się nawet domyślał... Ale gdyby istotnie nie wiedział, nie zmniejszało to wcale wyrzutów sumienia, bo ona wiedziała dobrze, ona, która stanowiła teraz z nim jedność. Nabrała zabobonnego mniemania, że umierając otworzył jakiś zamek i może w niej teraz czytać. Najbardziej dręczyło ją to, że porównując daty uświadomiła sobie, jak. spędziła tę noc, kiedy on w agonii szukał jej ręki. Daremnie sobie powtarzała:

„Nie mogłam przecież wiedzieć...”

Daremnie się pocieszała:

„Nie cierpiał przez to...”

Daremnie się przekonywała:

„Nie ma o czym myśleć! Tego, co było, nic już nie zmieni...”

To właśnie najgorsze! Zło uczynione żyjącemu można naprawić...

„Biedaku mój, gdybyś wrócił, nie miałabym takich wyrzutów. Nie. o to chodzi, co zrobiłam! To nie takie ważne. Gdybyś wrócił, wynagrodziłabym cię miłością. Ale teraz, kiedy nie żyjesz już, dług został niezapłacony. Nie mogę go zapłacić. Cokolwiek bym uczyniła, zostanę winna, czuję się złodziejką...”

Podobnie jak cały lud paryski, Sylwia miała głębokie poczucie niesprawiedliwości. Oczywiście, zwłaszcza doznanej, ale równie szczerze odczuwała i tę, którą sama wyrządziła innym. Ciężko było jej przyznać się, że obciąża ją krzywda wyrządzona najlepszemu towarzyszowi.

Gdyby była młodsza, okazałaby więcej sprężystości i dałaby sobie jakoś radę z tym, czego już zmienić nie mogła. Gdy się potkniemy, a mamy długą jeszcze przed sobą drogę, pociesza nas myśl, że naprawimy fałszywy krok i z doświadczenia, jakie dała wyrządzona jednemu krzywda, ktoś inny skorzysta. Wtedy jednak, gdy przeszło połowa drogi jest już za nami, błędy popełnione tylko dla nas mają znaczenie. Poszliśmy złą drogą, za późno już ją zmieniać, nie dojdziemy do celu...

Sylwia sumiennie przeszła w myśli miniony okres życia. Widziała znów wszystko począwszy od dnia ślubu: urodziny dziecka, zerwanie z Anetką, Odetkę i ową katastrofę, powrót do życia, dobroć Leopolda, tak zdawało się naturalną, że nie zwracała nawet na nią uwagi, wojnę, kochanków, wreszcie tego biedaka, który umierał gdzieś daleko, samotny i zdradzony... Niewesołe to było. Instynktownie szukała w myśli tych dwojga, Anetki i Marka, którzy jej zostali, chciała się ogrzać przy nich...

Na tym punkcie rozważań zastała ją Marcelinka, która wyznała jej wszystko bez osłonek.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy Sylwia, zaalarmowana opowiadaniem, wybierała się właśnie po chłopca do liceum, Marek wszedł nagle. Został wydalony.

*

Wydarzenia potoczyły się szybko. Pewnej nocy wracając potajemnie do internatu natknął się nos w nos na wracającego i tak samo jak on winnego wychowawcę. Schwytany na gorącym uczynku, chłopiec odpowiadał chłodno i zuchwale, jak równy równemu. Nauczyciel znalazł się w potrzasku: obowiązek nakazywał mu surowo ukarać winnego, ale z trwogą czytał w spojrzeniu zdecydowanego na wszystko chłopca groźbę, że ten – wydany – zgubi i jego. Wychowawca miał nieczyste sumienie. Zwyciężył jednak obowiązek, a dopomogła mu miłość własna. Marek został wezwany do dyrektora i wydalony z internatu. Milczał. Nie raczył wyrzec ani jednego słowa, by bronić siebie lub oskarżać innych. W gruncie rzeczy czuł pewien szacunek dla wychowawcy, który się nie dał zastraszyć.

Widok Marka wstrząsnął Sylwią. Ponosiła przecież w tym także wypadku niemałą odpowiedzialność. Anetka powierzyła jej syna prosząc, by nad nim czuwała, donosiła o jego zdrowiu i zachowaniu w liceum, opiekowała się nim w dni wolne od nauki oraz przykracała mu cugli. Sylwia, która nie pochwalała wcale purytańskiej surowości siostry, po cichu stanęła po stronie Marka i cugli mu od razu popuściła. Twierdziła, że w młodości trzeba samemu zbierać doświadczenia, że nic tak nie uczy jak popełniane przez siebie głupstwa; że jeśli zostawi trochę sierści na cierniach, wyjdzie mu to na zdrowie i że nie jest taki głupi, by po swych szaleńczych skokach nie mógł się utrzymać na nogach. Była nawet na tyle nieostrożna, że powiedziała to chłopcu.

– Ja sama sobie dawałam w życiu radę. Masz dziób i pazury jak ja i głupszy ode mnie nie jesteś. Będziesz umiał się bronić. Masz oczy do patrzenia, a w tej twojej tuczarni, tej twojej budzie – oglądasz tylko przyklejone do tablicy małpy na katedrze. Masz nogi do biegania, a przez sześć dni w tygodniu przywiązany jesteś, niby do żłobu, do ławki, gdzie cię karmią greką i łaciną. Dobrze! Ale przynajmniej siódmego dnia naciesz swoje oczy i nogi. Biegaj sobie, chłopcze, i oglądaj, co ci się żywnie podoba. Ucz się. Jeśli się sparzysz, będziesz potem umiał dmuchać na zimne. Dowiesz się, czym jest ogień, i to cię zabezpieczy przed pożarem.

Nie przyszło jej na myśl, że to co najmniej dziwna metoda: zabezpieczać się przed ogniem, jeśli dom już się spalił. Powtarzała słowa wciąż słyszane dokoła siebie w sferach ludowych: „Dać folgę naturze."

Na rękę jej było zresztą uwolnić się od siostrzeńca i zająć swoimi sprawami. Marek orientował się w charakterze niejednej z nich – choć Sylwia o nich nie mówiła, nie kryła się też wcale. Zdarzało się, że gdy Marek przychodził w niedzielę rano w odwiedziny, ciotki nie było jeszcze w domu. Nie widząc go przez dłuższy czas, poprzestawała na liście i przesłaniu pieniędzy na rozrywki. Nieraz nie widzieli się przez trzy tygodnie.

Nie będąc świętoszką Sylwia nie była też obłudna. Obie te wady najtrudniej byłoby jej zarzucić. Myśląc o tym, jak spełniła zlecenie siostry, nie mydliła sobie oczu przytoczonymi tu a wysuwanymi wobec siostrzeńca racjami; powiedziała sobie szczerze, iż przez pół roku żyła jak szalona myśląc wyłącznie o sobie i że w szale zabaw zapomniała zupełnie o powierzonym jej opiece chłopcu.

Powiedziała sobie: *mea culpa*[29], patrząc na jego wybladłą twarz, nerwowe ruchy i słysząc sztuczny śmiech, z jakim jej opowiadał koniec swych przygód. Marek oczekiwał kpin albo wyrzutów, zdziwiło go więc milczenie ciotki.

– Cóż ty na to? – spytał w końcu.

– Nie mam ci na razie nic do powiedzenia! – odparła. – Zbyt dużo muszę powiedzieć samej sobie.

Marek nie był przyzwyczajony do widoku ciotki tracącej czas na rozmyślania.

– Co ci się stało?

– To, że zmarnowałam moje życie, zmarnowałam i życie męża, a teraz jestem na najlepszej drodze, by zmarnować twoje.

– Cóż cię to obchodzi? Moje życie, jest moją własnością. Robię, co mi się podoba... A zresztą, czyż to życie tyle warte?

– Tyle warte, ile wart jest człowiek. A i to także nieprawda. Dla tego, kto sam wart najmniej, ma ono nieskończoną wartość.

– A co z nim robią ludzie? Idź, popatrz do okopów! Życie tam nie jest drogie.

– Wiem! Nie kosztuje ich nic. Zabrali mi życie Leopolda.

– Leopolda?...

Marek nie wiedział dotąd nic. Nowina wstrząsnęła nim. Zrozumiał teraz powagę Sylwii. Nie sądził jednak, by zmarły zajmował kiedykolwiek dużo miejsca w jej sercu. Zdziwił się słysząc jej słowa:

– Dlatego właśnie, że znam dziś wartość jego życia, rozumiem morderstwo popełnione przez nich... i przeze mnie.

– Przez ciebie?

– Tak! Cóż zrobiłam z jego życiem, z jego przywiązaniem?... Ach, jak mi wstyd!... Zresztą nie warto roztrząsać tego, czego się zmienić już nie da. Trzeba jednak zrobić wszystko to, co można. Ciebie mam jeszcze. I muszę naprawić popełnione błędy.

---

[29] *M e a c u l p a* (łac.) – moja wina.

– Jakie?

– Muszę wynagrodzić zło, które ci wyrządziłam, które pozwoliłam, by ci wyrządzono... (to wszystko jedno; nie przerywaj!...) I posłuchaj, chłopcze, nie próbuj mi imponować! Nie jestem twoją matką. Znam dobrze głupstwa, którymi się pysznisz, i wiem, jakim je łokciem mierzyć. Nie ma tu powodu do dumy.

– Ani też do wstydu.

– Być może! Nie chcę cię wcale upokarzać. Nie mam do tego prawa, bo postępowałam gorzej niż ty. Wiem, że nie zawsze można się oprzeć, to przerasta wprost ludzkie siły. Ale znam niebezpieczeństwo i sama zawsze umiałam zatrzymać się w porę. Ty nigdy nie będziesz tego umiał. Masz inne niż ja usposobienie i jak matka – bierzesz wszystko na serio.

– Ja! Przecież w nic nie wierzę! – powiedział nastroszywszy się Marek.

– To jest właśnie rzecz najbardziej serio! Mnie nie obchodzi ani „nic", ani „wszystko". Żyję chwilą i to mi zupełnie wystarcza; dlatego też patrzę zawsze pod nogi i jeśli padam, to nigdy z wysoka. Ty – co innego, ty nic nie robisz połowicznie. Jeśli się zgubisz, zgubisz się kompletnie.

– Jeżeli już taki jestem, nie mogę temu przeszkodzić. Zresztą wszystko mi jedno.

– Ale mnie nie jest wszystko jedno! I ja ci przeszkodzę.

– Jakim prawem?

– Tym prawem, że jesteś moją własnością. Tak, mój mały! Jesteś własnością moją i matki. Ona, która się dla ciebie poświęca, nie powiedziałaby ci nigdy tego, ale ja mówię: wychowałyśmy cię obie, troszczyłyśmy się o ciebie przez szesnaście lat nie po to, byś jak głupiec w ciągu jednego dnia zniszczył całą naszą pracę. Będziesz mógł czynić, co ci się podoba, gdy zostaniesz mężczyzną, gdy spłacisz to, co nam jesteś winien. Do tej pory zaś, chłopcze, pamiętaj o długu! Wiesz, jak wołają przepiórki W zbożu: „Oddaj dług! Oddaj dług!"

Rozwścieczony Marek zaczął wykrzykiwać, że nie prosił o pożyczkę ani o życie nawet...

– A jednak żyjesz, mój mały. Wściekaj się, ale sprawuj się dobrze! Ja będę nad tym czuwała!

I nie pozwalając na dalszą dyskusję ucięła:

– Dość tego!... Koniec!

Potem wraz z dygocącym w bezsilnej złości dzieciakiem zaczęła rozważać, co by z nim uczynić.

– Najlepiej będzie, gdy pojedziesz do matki.

– Nigdy! Za nic! Nienawidzę jej! – wykrzyknął.

Sylwia spojrzała na niego z zaciekawieniem, wzruszyła ramionami i nie odpowiadając nawet, pomyślała:

„Wariat! Rodzina wariatów! Cóż ona mu zrobiła, że aż tak ją kocha?"

Potem powiedziała chłodno:

– W takim razie widzę tylko jedno wyjście. Zostaniesz u mnie... Będziesz eksternistą w innej szkole... Sądzę, że ci nie zależy, by matkę zawiadamiać o tym, co zaszło? Dobrze, załatwię to jakoś... Ale na przyszłość, pamiętaj, kto tu rządzi! A znam wszystkie wybiegi. Nie próbuj udawać! Będziesz wolny w godzinach... które ci uznam aa stosowne wyznaczyć. Nie będę cię gnębić, znam twoje potrzeby i twoje prawa. Nie myślę żądać więcej, niż dać możesz, ale to, co możesz, wszystko, co tylko możesz, dać musisz, mój chłopcze. Oto weksel – od dziś jesteś moim dłużnikiem.

*

Sylwia napisała Anetce, że na skutek epidemii zamknięto internat i że zabiera siostrzeńca do siebie. Na poły tylko uspokojona tą opieką, Anetka wyrwała się z prowincji na dwa dni, od soboty do poniedziałku, by zobaczyć wszystko na własne oczy. Sylwia nie łudziła się co do motywów tej wizyty: wiedziała doskonale, że Anetka wątpi, by siostra miała odpowiednie kwalifikacje do wychowywania młodego chłopaka. Ale tak szczerze wyznała swe dotychczasowe winy i to, jak ciąży jej ostre poczucie odpowiedzialności, że Anetka poczuła się spokojniejsza. Długo rozmawiały o Leopoldzie, a melancholia tych wspólnie przeżywanych wspomnień zbliżyła je tak, jak to się od lat już nie zdarzało.

Wygląd syna jednak nie dawał Anetce powodów do uspokojenia. Był tak mizerny, że aż ją to przeraziło, ale Sylwia zaręczyła, że w ciągu trzech miesięcy postawi go na nogi. Nie było mowy o jakiejś serdeczności ze strony Marka. Zachowywał się wobec matki równie hardo jak dawniej. Odciągając siostrę na bok Sylwia prosiła, by nie nalegać na chłopca. Miała już dość kłopotu, zanim nakłoniła go, by nie uciekł na niedzielę z domu, nie chciał bowiem rozmawiać z matką. Wymusiła na nim zobowiązanie, że zachowane zostaną pozory. Reszta... będzie na to czas później... Instynkt Sylwii mówił, że należy czasem uszanować upór dziecka. Była to także bolączka, którą obiecywała sobie wyleczyć, pierwszym jednak warunkiem było nie zwracać na nią uwagi. Anetka była zbyt porywcza, aby przyjąć mądrą taktykę siostry, Sylwia zresztą nic jej na ten temat nie powiedziała. Uważała siostrę także za istotę chorą, potrzebującą pielęgnacji. Ale tego podjąć się już nie mogła. Anetka sama musiała być sobie lekarzem. Wszystko, co na razie Sylwia mogła zrobić, polegało na tym, by nie dopuścić do dalszego zaostrzenia się stosunków pomiędzy matką a synem.

Anetka, zrezygnowana, nie próbowała już dociekać tajemnicy wrogiego usposobienia Marka i w niedzielę wyjechała nocą z Paryża. Przejętej bólem pewne uspokojenie dawała przynajmniej myśl, że niepokojący młodzik znajduje się w rękach osoby rozsądnej.

*

Sylwia musiała użyć całego swego doświadczenia, intuicji i przebiegłej dyplomacji, popartej mocną ręką paryskiej, energicznej spryciary, by przez następne trzy miesiące utrzymać na smyczy lamparta, którego postanowiła sobie wytresować.

Umieściła go w pokoju przylegającym do swego, w głębi mieszkania. Wprawdzie jedne drzwi wychodziły na korytarz, ale klucz od nich miała Sylwia i otwierała je wyłącznie w dniach i godzinach przeznaczonych na to, by chłopak przyjmował kolegów. W takich chwilach Marek był pewny, że żadne niedyskretne spojrzenie nie kontroluje, kto przychodzi. Był to „pokój boży" czy może diabelski i Sylwia nie złamała go nigdy. Tak samo nie starała się nigdy dowiedzieć, co siostrzeniec czyta, pisze lub robi w swoim pokoju. Było to jego królestwo i Sylwia je szanowała. Ale Marek poza godzinami dozwolonymi nie mógł wychodzić nie przechodząc przez sypialnię Sylwii. Wszystkie inne przejścia były zamknięte... Co prawda, raz wyszedłszy mógł nie wrócić. Groził tym nawet na pół serio, pół żartem, by zbadać grunt, wysondować swego Cerbera. Odpowiedziała tym samym ironicznym tonem ukazując ząbki spod uniesionej wargi:

– Drogo by cię to kosztowało, kochaneczku!

– No, a cóż byś mogła zrobić?

– Poszukiwałabym cię w dziale ogłoszeń o zaginionych psach. Możesz być spokojny. Gdziekolwiek byś się ukrył, znajdę cię... mam swoich ludzi, którzy potrafią cię chwycić za kołnierz.

– Ach tak! Więc masz teraz takie stosunki z policją?

– Gdyby to było konieczne, nie cofnę się przed niczym. Ale nie potrzebuję, mam własną policję. Przyjaciółki twoje, mój miły, nie odmówią mi niczego.

Marek skoczył, oburzony.

– Co? Kto? To nieprawda!... Więc zostałem zdradzony? Nie mogę mieć przyjaciela bez obawy, że mnie wyda! Nie mam nikogo, nikogo, komu bym się mógł zwierzyć!...

– Masz, kochaneczku. Masz takiego przyjaciela przy sobie.

– Któż to?

– Ja.

Marek uczynił gest gniewny i odpychający.

– Nie dość ci tego? Rozumiem, mały paszo!... Ale to jest pokuta. Słuchaj, nie zaprzeczam, że masz prawo kochać i być kochanym. To chleb powszedni każdej ludzkiej istoty. Ale na ten chleb powszedni trzeba umieć zapracować. Pracuj! Bądź mężczyzną! Nie chciałbyś zapewne spośród trojga Ravière'ów być jedynym bezużytecznym, być pasożytem?... Spójrz na moje palce. Są na nich ślady igły. Chociaż lubię swe ręce i rada jestem, gdy je ktoś lubi, nie szczędziłam ich nigdy. Nie jestem fałszywą skromnisią. Potrafiłam używać życia. Ale nic nigdy nie dostawałam darmo. Kupowałam dzień po dniu. Pracowałam ciężko. Rób to samo!... A teraz rozpogódź mi zaraz ten skrzywiony pyszczek i nie obrażaj się! To zaszczyt dla ciebie, że ci w ten sposób zmywam głowę. Traktuję cię jak równego... Podziękuj!... A teraz zmykaj... Ty nicponiu!

Marek ciskał się i pienił wobec tak bezceremonialnego traktowania, gotów gryźć rękę trzymającą smycz i szarpiącą nim tak bezceremonialnie. Raniło go dotkliwie to przypominanie, że jest dłużnikiem obu kobiet, że żyje ich chlebem i nie ma prawa wyswobodzić się z tej poniżającej niewoli, póki długu nie spłaci. Najbardziej złościło go jednak, że sam mając poczucie sprawiedliwości – to głupie uczucie głęboko tkwiące w Rivière'ach – musiał przyznać Sylwii słuszność, a tym samym nie mógł ani słowem odeprzeć jej impertynencji, nie narażając swego męskiego honoru...

Poza tym był jeszcze inny powód, do którego nie przyznałby się tak łatwo: oto ręka, którą rad był gryźć, niepozbawiona była dlań powabu. Sylwia fascynowała go irytując jednocześnie.

Wiedziała o tym dobrze, była to jedna z jej broni, której bynajmniej nie lekceważyła.

Paryżanki przeżywają młodość dwa lub trzy razy, a przeżywałyby ją jeszcze parokrotnie, gdyby nie były znającymi we wszystkim umiar Francuzkami. Sylwia teraz właśnie, w okresie swej drugiej młodości, była nie mniej pociągającą niż w czasie pierwszej. Mogła zawrócić głowę każdemu, komu by zechciała. Chciała zaś uczynić to w stosunku do Marka w tej tylko mierze, w jakiej byłoby to korzystne dla ugruntowania jej władzy. Była to miara uczciwa, ale o włos dalej groziła już, że nią być przestanie. Trzeba było być Sylwią, by granicy nie przekroczyć.

Wiedziała dobrze, jakie pragnienie pali duszę młodego chłopca trawionego pożądaniem, pychą i przygniecionego balastem intelektualnym, którym go karmią dzień po dniu w szkole. Wiedziała, jak łaknie pieszczoty, cienia, szmeru źródła, co podnieca i koi jednocześnie, jaką odczuwa potrzebę oparcia rozmarzonego i płonącego czoła o pierś miękką, krągłą, ciepłą i świeżą, co kwitnie wonią wiosennego ogrodu i wonią królowej kwiatów – pięknego kobiecego ciała! Wiedziała także, czym jest wygłodniała ciekawość życia u młodych wilczków. Używać – znaczy dla nich w trzech czwartych tyle, co poznawać. A poznawanie pozbawia ich często radości użycia. Poznawanie!... To łowy ze sforą psów gończych. A zwierzyną jest życie.

„Zgoda, leć mój mały! Puszczam cię wolno. Bieganie sprawi, że zapomnisz o zwierzynie..."

Wieczorami, gdy Marek skończył pracę, siadywali razem przy stole w pokoju Sylwii. Przedłużali te wspólnie spędzane godziny do późna w noc. Palce Sylwii, zawsze w ruchu,

modelowały linię zamaszystego kapelusza w stylu marsowym i zalotnym jednocześnie. Nie spoglądała w stronę chłopca, wiedząc, że on na nią spogląda...

„Patrz! Miło jest mnie widzieć... – mówiła w myśli – ale milej jeszcze słuchać..."

Chłopak pożerał ją oczyma od stóp do głów, a zwłaszcza do uszek, które były wydłużone i jak u sarenki spiczaste. Ona jednak nie pozwalała, by zakazane owoce dojrzały w myślach, hodowane milczeniem i nadmiarem czasu. Mówiła bez przerwy i na tym pozłacanym łańcuchu trzymała go i prowadziła. Wystrzegała się zadawania pytań, nie próbowała poznać żadnej z tajemnic chłopca: by je opowiedział, należało właśnie nie pytać go o nic. Opowiadała na chybił trafił swoje przygody, jakąś humorystyczną historyjkę, którąś z owych szalonych – a rozsądnych eskapad, w których straciła nieraz cnotę, ale nigdy busoli. Śliniąc przecinaną zębami nitkę, złośliwym języczkiem kreśliła w przelocie sylwetki ludzi, ich gesty i śmieszności, nie szczędząc własnych. Traktowała Marka jak powiernika. W opowiadaniu zdarzały się czasem ryzykowne sytuacje, ale wszystko ratował świetny humor i dowcipny osąd, który rozładowywał ładunek głupstw i zamęt zmysłów. Miała dar doskonałej naturalności: słuchając nie myślało się wcale, czy opowieść jej jest moralna, czy nie; była porywającym widowiskiem, ukazującym, jak rozum góruje nad sercem i zmysłami. Marek, zniewolony, buntując się i śmiejąc, zgorszony, oczarowany i w końcu zawsze pokonany, słuchał tej humorystycznej opowieści jej życia, opowiadanej przez nieporównaną obserwatorkę. Wydawało się, że nie obchodzą jej osobiście wszystkie te przygody i wypadki, że wszystko jest dla niej tylko materiałem do opowieści... Cóż to byłby za kompan!... Miał niekiedy szaloną ochotę ucałować ją. Ale fantazja ta mijała szybciej nawet, niż zdążył ją sobie sformułować, jedno szydercze spojrzenie przeszywające go na wylot gasiło cały zapał. Żadnych złudzeń! Wściekał się, że pod jej spojrzeniem niemożliwe się staje nawet siebie samego brać poważnie, a wściekając się śmiał się. Cóż za rozkosz śmiać się razem i wzajemnie rozumieć! Śmiech jest lekiem przeciw pysze i przeciw chorobliwemu przygnębieniu, zwłaszcza dla tych młodzieniaszków, którzy to przyznają swemu „ja" wszelkie prawa, to znów przeczą nawet jego istnieniu. Bezkształtna wybujałość namiętności rosnących nazbyt prędko wraz z ciałem, w którym nieharmonijnie łączą się cechy dziecka i mężczyzny – tragiczna zmarszczka, wrodzona, ale pielęgnowana przez Marka przed lustrem – była w rękach Sylwii czymś, co jak wygięcie aksamitnego kapelusza modelowała zręcznymi palcami, znając z własnego doświadczenia krzepiącą moc inteligentnego śmiechu... Nikomu tej metody nie zalecamy! Każda metoda tyle warta, co człowiek ją stosujący, a kto by ryzykował naśladować Sylwię nie mając jej zręczności, dobrze by sobie palce poparzył... Artykuł paryski... bez konkurencji...

Ciotka i siostrzeniec, paryżanie z krwi i kości, zgadzali się doskonale. Spokojna swoboda i zdrowa ironia tej ufności bez cieni, które są mniej zdrowe niż światło, wywoływały z wolna ufność Marka. Posunął się aż do opowiadania o własnych doświadczeniach przedstawiając je nawet w świetle niezbyt dla siebie korzystnym; ten drażliwy chłopak nie gniewał się, gdy się z nich śmiała. Wkrótce wyznania przestały się ograniczać do przeszłości, zwierzał się jej ze swych obecnych kłopotów i pytał o radę, gdy gotów był popełnić jakieś szaleństwo. Nie znaczyło to jeszcze, by się miał od niego powstrzymać, ale wiedział teraz przynajmniej, że jest głupcem. Ile razy spostrzegła, że nic go nie zdoła odwieść od zamierzenia, mówiła:

– A idź sobie! Rób, co chcesz! Ale przynajmniej patrz dobrze, głuptasie!

Potem, gdy rzecz była dokonana, pytała:

– No i co, widziałeś głuptasa?

On odpowiadał:

– Widziałem. Byłem głupi. Miałaś rację.

Chodzili razem po mieście, które nie miało dla Sylwii tajemnic, z czym się wcale nie kryła...

„Nazywam wszystko po imieniu."

Żadnej fałszywej skromności! Śmiałe jej słowa, poważna praca, pełna energii uczciwość składały się na równowagę ładu i swobody, w której jak u źródła rozwichrzony umysł chłopca wzmacniał się i uczył samokontroli. W ten to sposób ze stałej poufałości, która bojaźliwym oczom mogłaby się wydać niebezpieczna, wyłoniło się szczere, wolne od wszelkiej dwuznaczności koleżeństwo nowicjusza i starszej towarzyszki.

Uczucie to nie było zresztą dla młodzika sprawą najpoważniejszą, odciągało go tylko od innych myśli.

*

Sylwia nigdy nie wspominała Markowi o Anetce. Siostry pisywały do siebie, a podejrzliwy chłopiec wyobraził sobie, że ciotka wysyła o nim matce tygodniowe sprawozdania. Ale sprytna osóbka znając jego niedyskrecję zadrwiła sobie z niego zostawiając kilka razy na stole otwarty list, pewna, że zostanie przeczytany. I Marek stwierdził, że nie ma o nim nawet wzmianki, miast zadowolenia, uczuł jednak urazę: nie liczono się z nim, a tego nie pragnął przecież wcale. Pewnego dnia spytał z niecierpliwością:

– Cóż wy sobie macie ciągle do powiedzenia?

– Kochamy się! – odparła.

– Dziwny gust!

Sylwia wybuchnęła śmiechem.

– Z czyjej strony?

– Z obu.

Pociągnęła go za ucho.

– Zazdrosny jesteś?

Zaprotestował wyniośle.

– Nie? To dobrze. Nie byłoby na to lekarstwa.

Wzruszył ramionami. Niezupełnie wierzył, lecz był zaintrygowany. W jaki sposób dwie tak odmienne kobiety mogą być siostrami i kochać się? Tajemnica matki zaczęła go ponownie zajmować.

Anetka postanowiła nie narzucać-się synowi ze swoim pełnym troski uczuciem, poprzestając na zwierzaniu się Sylwii, za jej zresztą radą. Nie krępowany przez matkę, Marek zaczął niejasno odczuwać brak tego właśnie skrępowania i gdy nadeszły wakacje, uległ łaskawie namowom Sylwii i pojechał odwiedzić Anetkę.

Ale próba była dla obojga przedwczesna. Anetka potrafiła na odległość hamować swe uczucia, nie umiała jednak z bliska. Od długich miesięcy ginęła z pragnienia. Serce jej wołało o kropelkę... nie, o całe potoki miłości. Daremnie powtarzała sobie mądre maksymy Sylwii:

„Jeżeli chcesz być kochaną, nie okazuj zanadto swojej miłości!..”

Czyż można ją ukryć? Trzeba by kochać tylko połowicznie! Anetka nie uznawała połowiczności. Matka i syn podobni byli do siebie – wszystko lub nic. To zaś, co było wszystkim dla Anetki, dlatego właśnie niczym stało się dla Marka.

Przybywał jednak, przepojony sprzecznymi uczuciami, urazą równie żywą jak pociąg, uczuciami, które czekały tylko sposobności wyładowania się, jak chmury naładowane elektrycznością. Ale gdy tylko ujrzał tę kobietę, której dusza była jak potężny wicher, płomień skrył się w chmurze, a niebo zostało puste. Owo ogarniające go znów, tak absorbujące uczucie przy pierwszym zetknięciu rąk, przy pierwszych słowach i spojrzeniach kazało mu się cofnąć... Ani kroku dalej!... I znów owo ewangeliczne: „Nie dotykaj mnie!”

„Jak to? Nawet wobec tych, którzy cię kochają?”

„Tych przede wszystkim...”

Nie umiałby tego wytłumaczyć. Ale instynkt wie. Nie powinien oddawać się w niczyje ręce. Czas na to jeszcze nie przyszedł.

Piła go chciwie...

„Szukaj! Woda znikła. Możesz tylko w piasku szukać palcami i spragnioną wargą..."

Patrzyła na niego zbyt natarczywie. Czuł ten niespokojny uważny wzrok, który badał każdy rys jego twarzy z osobna. Jak każda matka, zatroszczyła się przede wszystkim o jego zdrowie. Szczegółowe pytania niecierpliwiły chłopca, uchylał się od nich z lekceważącym uśmiechem. Istotnie, wbrew pozorom, zdrowie mu dopisywało. Wyrósł, zeszczuplał na twarzy, policzki mu zapadły, wyglądał na wygłodzonego i przemęczonego, a ponad spalonymi wargami zaczął się pokazywać meszek zarostu. Rozterki duchowe spowodowały ten chorobliwy wygląd. Utraciwszy raz kontakt matka nie umiała już teraz czytać w duszy syna. Widziała na tych młodzieńczych ustach i na czole ślady przedwczesnego zużycia, okupionych znużeniem doświadczeń, surowości i ironii. Ze ściśniętym sercem zadawała sobie pytanie:

„Co on robił? Co widział?"

Zadrżała na myśl, że to święte młode ciało zostało może skalane. Czuła się za to odpowiedzialna. Czemu go opuściła? On jednak odpychał ją. A jak obronić można tego, kto zamyka swoją duszę? Wejść przemocą? Próbowała już, ale na próżno. Zamek był dobry: z twardego metalu... z jej własnego... a wszedłszy, cóż by tam ujrzała? Bała się myśleć.

On zaś czując, ze jest śledzony, zamknął na głucho swoją duszę. Tak, prawdą było to, co. pochwyciły oczy matki. Zmaza grzechu. Cień leżał na dziewiczym ciele, cień drzewa poznania... Tak... przedwcześnie widział i poznał... ale ona nie dostrzegała reakcji duszy, w którą rzucony został posiew zdrowej odrazy, niekłamanych cierpień i owego buntu skojarzonego z namiętnym zapałem, kryjących się pod wstydliwością serca; owego męskiego instynktu, który chce, by potomstwo człowiecze walczyło samo, bez niczyjej pomocy.

Ponieważ więc nie chciał jej wpuścić do siebie, musiała poprzestać na życiu obok niego, drzwi w drzwi, lecz bez prawdziwego zbliżenia. Było to smutne. Anetka nie zdawała już sobie sprawy z surowości swego życia, ale naskórek Marka był tym podrażniony, jak od grubej bielizny; ciążyła mu owa tragiczna powaga, której ona już nie dostrzegała. Nie uświadomił sobie, że odmawia jej tego jedynego promyka, który by mógł ją ucieszyć, że mrozi rozwijający się kwiat macierzyńskiej miłości. Cofnięta z powrotem w wewnętrzny dramat, któremu chciała ujść, Anetka zdradziła bezwiednie dręczący ją w tym okresie niepokój myśli, a Marek wyczuł może zbyt wiele podobieństwa do niepokoju własnego, by się przed nim nie strzec.

Duszna atmosfera małomiasteczkowej płaskiej egzystencji nie mogła także dać mu odprężenia i odwrócić uwagi od panujących w domu mroków. Wieś bujna, roześmiana dojrzała i płowa, drzemała w sierpniowym słońcu. Dobrze by ją było wziąć w młodzieńcze ramiona. Ale mały paryżanin nie odczuwał jeszcze natury. Zbyt dużo innych spraw pobudzało jego umysł i zmysły! Nie wybiła godzina, w której oczy otwierają się, by czytać niemą muzykę księgi łąk i pól. Trzeba być dojrzalszym, by odkryć wartość niewyszukanych krajobrazów, ich woń cichą jak woń fiołków. Przesyca ona ciało i trwa nieuświadomiona: czar działać zacznie nieprędko...

Anetka kilkakrotnie wzięła chłopca na przechadzkę. Ale obecność drugiego człowieka nie pozwala duszy rozmawiać z przyrodą. Anetka myślała głośno, radując się namiętnie ziemią i powietrzem, stawała jakby między nim a naturą.

„Nie zasłaniaj mi słońca!..."

Lubiła chodzić. On widział jej siłę, jej młodość rozbudzoną szybkim rytmem kroków i krwi. Widział, jak biega, wykrzykuje, zachwycona kwiatem, jakimś owadem... Później, po powrocie do Paryża, obrazy te miały go nawiedzać: owa radość, wezbrana fala życia, te oczy, usta, wilgotna szyja... (raz w porywie wesołości przytuliła go do siebie szaleńczo, a on nadał sobie pozę urażonego tą poufałością mężczyzny...). Tymczasem wszystko go razi. Ta kobieta

nuży go. Chłopiec męczy się szybko. Czuje się upokorzony. Znieść nie może, gdy ona zwalnia kroku, by mógł nadążyć. Wreszcie stanowczo położył koniec wspólnym przechadzkom.

Teraz pozostało mu tylko nudzić się i nie wahał się tego okazywać. Nie skarżył się... Nie!... Nie mówił nie. Poświęcał się...

Tego rodzaju zachowanie Anetce znieść było najtrudniej...

„Poświęcenie! Nie, mój drogi, nie chcę! Wolę się rozstać tobą!..."

Uczyniła ostatni wysiłek:

„Brak mu Paryża? Jedźmy więc do Paryża!"

Spędziła tam z nim ostatnie trzy tygodnie wakacji, mimo odrazy, jaką ją przejmował powrót do miasta.

Od roku już prawie, poza Sylwią, pisywała tylko do młodziutkiej dziewiczej wdowy w żałobie, Lidii Murisier, ale listy stawały się coraz rzadsze i coraz bardziej dalekie. Obie kobiety kochały się, a jednak było tak, jak gdyby wymieniając teraz myśli utykały na pewnych słowach... serce stawiało opór... a one nie chciały zgłębiać powodów tego zakłopotania. Zachowały o sobie serdeczne wspomnienie, miłoby im było uściskać się, nie pragnęły jednak spotkania, które by je zmusiło do szczerszej rozmowy. Dowiedziawszy się po przybyciu do Paryża, że Lidia wyjechała na dwa tygodnie, Anetka doznała rozczarowania i zarazem ulgi.

Nie tego się jednak najbardziej obawiała wracając do domu. Była rzecz inna, o której wolała nie myśleć z góry. A rzeczywistość okazała się gorsza jeszcze, niż przypuszczała.

Ten powrót do domu!... Wyjeżdżając zostawiła mieszkanie dwojgu uciekinierom, Aleksemu i Apolonii, wyłączając tylko swą sypialnię i pokój syna. Oni jednak zajęli wszystko uważając się teraz za właścicieli. Anetka wydała im się intruzem, robiło to wrażenie, że pozwolili łaskawie zamieszkać jej pod swoim dachem. Jednak i to „łaskawie" kłóciło się ze skwaszoną miną Apolonii; rozpogodziła się dopiero wówczas, gdy Anetka powiedziała, że przybywa tylko na parę tygodni. Apolonia miała ochotę odstąpić jeden tylko pokój, twierdząc, że przez trzy tygodnie matka i syn mogą sypiać razem. Oburzony Marek odzyskał swe prawa, *manu militari*[30] wyrzucając ze swego pokoju graty Aleksego. Najprzykrzejszy dla Anetki był stan, w jakim znalazła mieszkanie. Wszędzie nieporządek i brud, porcelana poszczerbiona, kuchenne naczynia przepalone i zatłuszczone, ściany ochlapane wodą, która ściekając spowodowała miejscami wygnicie podłogi; meble i firanki zniszczone i podarte... Nic nie uszanowali. Zabrane bez skrupułów z sypialni Anetki najlepsze kołdry i cała pościel służyły teraz najeźdźcom. Portrety i ryciny, ukształtowany przez nią jej domowy widnokrąg, były poprzewieszane lub usunięte, stały na podłodze, oparte o ściany, wisiały odwrócone tyłem, a wreszcie niektóre znalazły się w rupieciarni. Apolonia zastąpiła je rozpaczliwymi gębami rodzinnych fotografii i dewocjonaliami. Nawet książki i papiery, oprócz tych, do których dostępu broniły nieliczne, zamknięte na klucz szuflady, były najwyraźniej przerzucane, nie tyle przez ciekawość (Apolonia nie umiała wcale czytać), co z nieróbstwa i podniecenia: niespokojne palce pozostawiły ślady w postaci plam i zagiętych kartek. W całym mieszkaniu wisiał odór zwierzęcej nory. Oburzony i wściekły, Marek chciał wyrzucić ten ludzki pomiot na schody. Anetka starała się go uspokoić. Uczyniła Apolonii kilka ostrych uwag, które zostały źle przyjęte; lecz już po pierwszych paru słowach opanowała się, ogarnięta przytłaczającym poczuciem, że zastała dziewczynę w stanie zupełnego zamętu umysłu, że przechodzi ona właśnie jakiś tragiczny kryzys.

Brat i siostra unikali się nawzajem. Wydawało się, że jest między nimi jakaś wrogość, odraza, złość czy też strach. Nagły powrót Anetki zmusił ich znów do zamieszkania w jednym pokoju. Po nocach słychać było tłumione, gwałtowne sprzeczki niby burzliwą melopeę, przerywaną wybuchami Apolonii, i wzburzony oddech dziewczyny. Potem zapadała ciężka, przy-

[30] *Manu militari* (łac.) – zbrojną ręką.

tłaczająca cisza. Trwało to cały tydzień... Pewnej nocy Apolonia z krzykiem wybiegła z pokoju. Anetka wstała, by jej nakazać milczenie, i zastała ją w korytarzu pół nagą: dziewczyna szarpała swe ciało paznokciami i lamentowała; straciła zmysły. Anetka zaprowadziła ją do swego pokoju próbując uspokoić i położyła się z powrotem. Apolonia runąwszy na ziemię obok łóżka wybuchnęła potokiem gwałtownych, szaleńczych słów. Anetka położyła jej dłoń na ustach, chcąc ją uciszyć, by nie zbudził się chłopiec śpiący w przyległym pokoju. (Od dawna już słuchał!) Z tej powodzi bezładnych słów Anetka wyłowiła w końcu prawdę... Przejął ją lodowaty dreszcz.

Noc mijała. Skulona na dywanie u wezgłowia łóżka Apolonia mruczała, mamrotała coś niewyraźnie, milkła, to znów odmawiała pełne wściekłości modlitwy. Wreszcie zasnęła z otwartymi ustami, chrapiąc. Anetka nie spała wcale. Kiedy zaczęło świtać, w bladym świetle brzasku wychyliła się z łóżka, wpatrując się w odrzuconą do tyłu głowę śpiącej, podobną do dzikiego pyska przerażonego pościgiem zwierzęcia lub do maski antycznej, o rysach grubych, strasznych i dziwacznych, bezokiej Gorgony, której oczodoły są jakby niemym krzykiem rozpaczy. Gorgona zbudziła się pod spojrzeniem Anetki. Ledwo dostrzegła nad sobą te badawcze oczy, porwała się dziko i chciała odejść. Anetka przytrzymała ją za rękę i wtedy Apolonia warknęła:

– Czego pani jeszcze, chce? Proszę mnie puścić. Wyrwała mi pani z ust chleb uwalany w łajnie, moją hańbę, całe moje dobro... Czego chce pani więcej? Pani mnie nienawidzi, gardzi mną! A ja panią. Jestem plugawa. Ale więcej warta od pani!

– Ani gardzę wami, Apolonio, ani was nienawidzę – powiedziała Anetka – tylko żałuję.

– Może pani na mnie napluć!

– Nie ja was będę sądzić. To należy do waszego Boga. Ale jest pani szalona i żal mi pani. Szaleństwo padło na świat. Nikt nie wie, czy i jego samego jutro ono nie dotknie... Nie możecie zostać tu dłużej.

– Wypędza mnie pani?

– Muszę bronić syna.

– A ja gdzież mam się podziać?

– Idźcie pracować! Szukajcie zajęcia. Jakże możecie od dwu lat trwać tak bezczynnie, gdy cały kraj w niedoli?

– Nasza niedola nie mniejsza. Niech inni płacą!

– Któż wam pomoże, jeśli nie wy sami? Chorobą, która was drąży, to rak bezczynności, ona wszystkiemu winna. Tylko praca może was wybawić.

– Nie potrafię.

– Jak to, jest pani silna, nawykła do ciężkiej roboty w polu, cierpiąca od nadmiaru niewyładowanej siły... I tak zamykać się w bezczynności, niby wilk w klatce, wyjąc przez kraty do Boga! Bóg to praca!

– Już nie potrafię. Trzeba mi mego majątku. Trzeba mi mojej ziemi. Oni zabrali i zniszczyli wszystko, majątek, ziemię, całą rodzinę. Nic mi nie zostało. Tylko on jeden (wskazała na pokój Aleksego). A jego nienawidzę! I siebie nienawidzę. I nienawidzę Boga, który do tego dopuścił.

– A mnie Go żal, choć nie wierzę w Niego. Lituję się nad Nim. Wszyscy Go zdradzacie. Nienawiść, wciąż nienawiść, to jedyne słowo, jakie macie na ustach; nie znacie nic poza tym. Jeśli Bóg jest, to dał wam przecież wolę. Cóż z nią uczyniliście?

– Tarzam ją w tym bagnie, w tym ciele, które mi dał. Mszczę się nad nim. Jest we mnie, więc niszczę siebie.

– Wasz Bóg, jak skorpion, gdy nie może już zabijać, zabija sam siebie.

– To Bóg dzisiejszy, Bóg Verdun!

– Pani ból mi sprawia, proszę mnie zostawić w spokoju. Czy i mnie chce pani zniszczyć?

– Nie będę już pani długo zawadzać.

Uciekła.

Tego pamiętnego dnia wynieśli się i cały dom odetchnął. Sąsiedztwo ich było powodem ciągłych skarg. Anetka pragnęła ich odejścia, zaniepokoiło ją jednak, że odeszli tak prędko. Spytała Apolonię o nowy adres, a ta odmówiła, podobnie jak na propozycję wsparcia pieniężnego odpowiedziała brutalnym: nie!

W tym samym tygodniu przybył na czterdziestoośmiogodzinny urlop sąsiad z tego samego piętra, młody Chardonnet.

Czas ten spędził zamknięty w mieszkaniu i nikt go nie widział.

Ale Marek słyszał przez ścianę jego kroki i bystrym spojrzeniem śledził cichy dramat powrotu.

Klarysa nie była już ową Klarysą z poprzedniego roku. Burza szaleństwa, które ją opętało, przewaliła się już... Powróciła znów do owczarni i przebywała cicha, zamknięta wśród czterech ścian swego mieszkania i szczelniejszych jeszcze ścian, wśród których kryje się myśl. Snuła się bezszelestnie z pokoju do pokoju nie potrącając mebli, tak miękko, że nie skrzypnęła nawet podłoga... Istna kotka... A wspomnień jej czy snów nikt nie mógłby wyczytać z tych oczu o niewidocznej źrenicy, oczu aksamitnych, błyszczących a pozbawionych wewnętrznego światła; ani z policzków brzoskwiniowych, bladych pod szminką. Kiedy zgłodniały mąż wrócił, by skosztować owocu swego sadu, nie znalazł już w nim dawnego smaku: dusza jej była odmieniona; i choć na ogół nieszczególnym był obserwatorem, zauważył od razu, że poza fasadą domu wszystko uległo zmianie. Coś działo się tutaj... ale co? Jak tego dojść? Jej uśmiechnięty spokój nie uchyla swojej tajemnicy. Daremnie brał żonę w objęcia: miał jej ciało tylko, nie myśli.

Jakie były losy tego ciała? Co przeżyła myśl, która jest tego ciała świadkiem? Czego pragnęło? Co wie i co ukrywa?... Nie powie tego nigdy i on się nigdy nie dowie...

Rozmawiają spokojnie o rzeczach potocznych; i nagle głos mężczyzny wzbiera gniewem, bez widocznego powodu. Czuje to sam. Głos łagodnieje. Milkną. Jemu wstyd, że się zdradził, i wściekły jest, że nie może wyrwać jej tajemnicy. Siedzą spleceni ze sobą, jedno obok drugiego – i jedno dla drugiego – zamknięci. Nagle on wstaje i wychodzi bez słowa trzaskając drzwiami. Klarysa nie zrobiła najmniejszego ruchu, ale po chwili Marek słyszy, że wyciera nos, i wie, że ona płacze.

Kiedy po skończonym urlopie mąż wyjeżdża, nie mają sobie nic do powiedzenia. To, co mogliby sobie powiedzieć, zwaliłoby fasadę życia, a oni boją się nią wstrząsnąć. Jakżeby potem żyli, gdyby wśród tej pełnej gruzów równiny, jaką jest obecnie życie, nie mogli spocząć i zbudować gniazda na szczątkach przeszłości, złudnym obrazie tego, co było niegdyś?... Żegnają się... Całują się suchymi wargami. Kochają się. Są sobie obcy.

W tym samym tygodniu, ostatnim tygodniu pobytu Anetki w Paryżu, wróciła Lidia Murisier.

Obie kobiety odnalazły w sobie, ujrzawszy się, dawne serdeczne uczucia.

Usta ich złączyły się, zanim padło pierwsze słowo. Ale gdy słowa popłynęły, słychać je było jakby spoza muru. Obie wiedziały, że gdyby nawet miały klucz do jedynej furtki, żadna nie byłaby jej otwarła. I to było najboleśniejsze: chcą zbliżyć się do siebie, dotknąć, a żadna nie chce uczynić nic, by przeszkodę usunąć.

Lidia straciła świeży urok szczerej bezpośredniości, której poetyczny wdzięk przepajał dawniej każdy jej ruch. Ukryła go surowo pod kirem żałoby. Złożyła zmarłemu ofiarę ze swej natury. Mistyczne upojenie bólem pierwszych chwil minęło bezpowrotnie, znikł ich tragiczny i chorobliwy urok. Przedłużanie takiego stanu wymaga sztucznych środków. Serce prosi o

łaskę zapomnienia; by zmusić się do pamiętania, trzeba je okuć łańcuchami i męczyć, aż stanie się przykutym do kieratu, biczowanym przez wolę niewolnikiem. Lidia tę wolę utwierdzała myślą o zmarłym:

„Myśl o nim! Myśl o nim!..”

Nie dość tego:

„Myśl jak on!...”

Zrezygnowała całkiem z własnych, by przejąć wszystkie myśli tego, którego chciała wyrwać niepamięci – swojej niepamięci... (Tragiczna to walka duszy wśród ciszy nocnej, walka ze śmiercią zagarniającą skarb miłości!) Opancerzyła się idealizmem oschłych a palących idei, które stanowiły tkankę duszy Girerdów. Oni to mówili teraz przez jej usta, usta młode, łaknące pieszczot.

Jakże ciężko i dziwnie było słuchać tego!... Anetka słuchała, zimno ją przenikało, nie mogła odpowiadać. Czuła dobrze zamierzoną nieszczerość, bohaterski wysiłek kłamstwa, który czyniła ta biedaczka, by wierzyć w to, w co nie wierzyła, i myśleć tak, jak nie myślała. Nie mogła odpowiadać! Demaskowanie byłoby nieludzkim okrucieństwem. Ta tylko podpora ratowała krucha, złamaną roślinę przed upadkiem. Ale choć nie zdradzała swych myśli, Lidia czytając je na zaciśniętych wargach tamtej ryglowała i tak zamkniętą już furtkę w dzielącym je murze.

Lidia wychwalała tę wojnę, która zabrała to, co było jej szczęściem i jej życiem, zacięcie gloryfikując problematyczną przyszłość, jaką gotowały obecne walki. Był to mglisty mesjanizm, wiara w nadejście sprawiedliwości i pokoju, zdobytych nieprawością i krwawymi jatkami dnia dzisiejszego; kosztem żałoby milionów... Nie! Kosztem jej własnej żałoby, kosztem ciała ukochanego... Użyźnione jego krwią (ta tylko krew była ważna), nadejść miało – cóż za pośmiewisko – królestwo Boże: owego pozbawionego postaci Boga, Boga ludzi Zachodu, którzy nie mają Go już, a utraciwszy – chcą za wszelką cenę innego Boga: powszechnej Demokracji...

O, usta czułe a bolesne, jakże fałszywie brzmią na waszych wargach te słowa! A wymuszony uśmiech jest jak rana...

Lidia dzierżyła wysoko swą wiarę, popisywała się nią. Odgadła, że Anetka już ją utraciła (czy kiedykolwiek miała ja w ogóle?), że jest rozczarowana co do wszystkich owych idei, daleka namiętnościom, nakładającym w owych chwilach pęta nie tylko, na jej ojczyznę. A Anetka, która dotąd nie wiedziała o tym tak dobrze, zrozumiała teraz wszystko, czując sprzeciw instynktu, który rozłączał drogi ich życia i mówił obu kobietom:

„Na tej ziemi już się, niestety, nie spotkacie.”

Lecz dokądże uciekać na tej ziemi? Cóż z ziemi tej uczyniono?...

W atmosferze Paryża, w atmosferze świata całego w ostatnich dniach lata 1916 roku nie sposób było oddychać. Ziemia przypominała rozwartą w strasznym ryku paszczę śmierci. Wściekły jej oddech cuchnął trupem ludzkości, a zwały ciał miażdżonych od Sommy po Verdun nie mogły jej zaspokoić. Niebo nie syciło się taką hekatombą od czasu świętych rzezi ludów dokonywanych przez Azteków. Znów dwa nowe narody ze sobą sąsiadujące wchodziły radośnie w krąg tańca śmierci. Było to od dwu lat trzydzieste drugie wypowiedzenie wojny. Tancerze przytupywali. Prasa, siedząca w kucki dookoła, biła brawo, bębniła piszczelami w kociołki, wyła z uciechy; w Niemczech śpiewała nowy hymn św. Franciszka, hymn do siostry naszej, Nienawiści.

„Dał nam Pan Wiarę, dał Nadzieję i Nienawiść. Ale Nienawiść jest największa z wszystkich trzech...”

Wiedza francuska, zazdrosna o działalność dziewięćdziesięciu trzech intelektualistów[31], chcąc im dorównać wydała ów dokument hańbiącego obłędu: „Niemcy a wiedza", gdzie z wyjątkiem dwu, najwięksi myśliciele nie tylko wyrzucali Niemców z rodziny ludów europejskich, ale zbadawszy (Marphurius i Pancrace[32]) kliniczne ich mózgi, kości i ekskrementy, wykluczali w ogóle z rodzaju ludzkiego. Jeden z mistrzów wiedzy chciał znieść Berlin z powierzchni ziemi, aby „zostawić pośrodku tego kraju pychy oazę pomsty (sic!) i gruzów". Pewien znakomity prawnik uzasadniał prawomocność represji. Pewien rzecznik liberalnego katolicyzmu Francji, człowiek uczciwy i szanowany, winszował katolikom francuskim, że „nie zawahali się w imię Chrystusa nie przebaczyć katolikom niemieckim". Inny przywódca opinii żądał dla siebie cesarza jako łupu wojennego aby go wsadzić do klatki niedźwiedziej w Ogrodzie Zoologicznym. Ohyda stowarzyszyła się z groteską. Tartufe i papa Ubu[33]. Bezwstydna hipokryzja grajków i nauczycieli tańca sięgała himalajskich wyżyn. Pewien obłudny minister wśród entuzjastycznych okrzyków słuchaczy pełnym wzruszenia głosem wielbił na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego wzniosłą bezinteresowność dzienników,. które opłacał. Inny blagier galijski, Lloyd[34], owa mieszanina małego, miniaturowego Kromwela i Cyrana, trzymając w jednej ręce Biblię, a w drugiej miecz (miecz cudzy), głosił braciom baptystom nową Genezę. Przyrównywał pierwsze dni stworzenia świata do wojny, której był Panem,, miotając pioruny na synów grzechu, czyli pacyfistów: „Bowiem żadna nieludzkość, żaden brak litości porównać się nie-da z ich okrutnym (pragnieniem powstrzymania wojny" w pół drogi... Tymczasem Ameryka z całym spokojem zaokrąglając rachunki zalewała Stary Świat narzędziami śmierci. Prawica bowiem nie ma wiedzieć, co czyni lewica. Jeśli jest: powiedziane: „Nie zabijaj", to nie jest nigdzie powiedziane, że nie wolno uczciwie fabrykować narzędzi mordu, pod; warunkiem, by były w dobrym gatunku i zostały dobrze zapłacone.

Anetka zatykała uszy, pełne wzgardy i wstrętu, i szukała schronienia przy siostrze. Ale Sylwia była obojętna na dolę i niedolę innych poza ciasnym kręgiem swych najbliższych, tych, których kochała i którzy byli jej własnością. Urocza ta osóbka mówiła:

– Kochanie, nie trzeba tego tak mocno brać do serca. Trzeba tylko cierpliwości. Popatrz na mnie! Czekam. To się musi kiedyś skończyć. Ale nie śpieszcie się. To musi jeszcze potrwać... Jeden z mych dobrych przyjaciół, śliczny chłopak, trzy naszywki, krzyż wojenny (zabito go niedawno), powiedział mi, że „trzeba jeszcze zabić milion Niemców".

Anetka spojrzała jej badawczo w oczy. Czy mówiła serio? Tak, była całkiem poważna... O, nie do głębi, oczywiście! Nie wkładała w swe słowa namiętności. Nie żywiła urazy do tych, których z góry przeznaczała na śmierć... Ale cóż, jeśli tak być musi!...

– Czy wiesz – powiedziała Anetka – że na ten twój milion poświęcić musielibyśmy co najmniej pół miliona naszych?...

– Ha, trudno, moja droga! Trzeba się z tym pogodzić, jakoś to sobie wytłumaczyć.

Wytłumaczyć! Z tym nie mieli trudności! Na wytłumaczenie potrafili wynaleźć przynajmniej tuzin racji!...

Życie towarzyskie- rozpoczęło się na nowo. *Tea rooms*[35] były przepełnione, a piękne klientki znów napływały tłumnie do magazynu Sylwii. Minęło napięcie ubiegłych lat, męska postawa pierwszych doświadczeń, chorobliwe reakcje nienawiści i rozkoszy, które szarpały zmysłami jak powracające ataki febry. Ale to było bardziej jeszcze przerażające. Natura ludz-

[31] Przypuszczalnie mowa tu o odpowiedzi nacjonalistycznych intelektualistów niemieckich na list otwarty R. Rollanda do uczonych i artystów Niemiec, opublikowany w pierwszych miesiącach wojny światowej.

[32] M a r p h u r i u s i P a n c r a c e – znane z literatury typy fałszywych lekarzy i pseudo uczonych.

[33] K r ó l U b u – postać tytułowa dziewiętnastowiecznej farsy, symbol głupoty i egoizmu burżuazji.

[34] L l o y d George David (1863–1945) – polityk angielski, w okresie pierwszej wojny światowej był przez pewien czas premierem rządu, reprezentując interesy kół imperialistycznych.

[35] *T e a r o o m s* (ang.) – herbaciarnie.

ka przywykła. Przystosowała się do nowych warunków z tą nikczemną a cudowną giętkością, która w okresach konwulsji rodzącej ziemi pozwoliła człowiekowi, niby robakowi, przeciskać się przez najmniejsze szczeliny, którędy uchodziło życie, podczas gdy w ciągu tysiącleci ginęły gatunki nie dość zdolne do zdrady i uległości, by szczeliną tą przejść mogły. Jeśli mamy podziwiać sztukę odbudowy normalnej egzystencji wśród anormalności najpotworniejszych czasów, to Paryż ówczesny był istotnie godny podziwu.

Ale Anetka nie była usposobiona do składania mu hołdów. Widziała jego odblask na twarzy syna i to odbicie przejmowało ją grozą. Marek nie okazywał już teraz gorączkowego podniecenia, znikły napady gwałtowności, urywane słowa, szyderczy uśmiech, słowem, wszystko, co niepokoiło matkę latem zeszłego roku. Nic teraz nie okazywał po sobie. Zobojętniał zupełnie. Blada jego twarz, którą trawiła ukryta gdzieś na dnie gorączka, była podobna do drzemiącej powierzchni stawu. Woda mętna, ale bez zmarszczki, nieruchoma; nie widać nic w głębi, a z zewnątrz nie pada na nią żadne odbicie. Woda śpi...

Zdaje się spać. Zdaje się nie dostrzegać, nie czuć i nie słyszeć ani huraganu, który kładzie wokół niego całe lasy z hukiem walących się drzew, ani smrodliwego zaduchu śmierci, ani jęków, ani matki pochylonej niespokojnie nad brzegiem wody... Któż zresztą może wiedzieć?... Jakieś życie drąży sobie drogę pod mazistą powłoką pokrywającą staw. Nie czas jeszcze ukazać je światłu dziennemu. A gdyby je nawet ukazał, to nie błagalnym oczom matki.

Zwierzał się po trosze tylko w rozmowach z Sylwią. Czul się z nią dobrze i mówił spokojnie. W stosunkach z Anetką był czujny wobec niej i siebie samego. Zresztą bez cienia zuchwalstwa czy irytacji, jakie okazywał jej dawniej. Był teraz uprzejmy. Słuchał nie odpowiadając. Czekał bez niecierpliwości. Cierpliwie czekał na jej wyjazd.

*

Wyjechała, zupełnie rozbita. Syn był jej teraz bardziej obcy, niż kiedy dochodziło do starć. Z przeciwnikiem coś zawsze jeszcze łączy, z obojętnym – nic. Stała mu się niepotrzebna. Wystarczali mu inni, na przykład Sylwia. Ten, kto opuszcza miejsce, traci je. Ona je straciła.

Nie było dla niej miejsca w sercu syna, nie było go w całym świecie. Wiedziała dobrze, z kim nie jest, ale z kim jest – nie wiedziała. Wszystkie ludzkie racje życia, pragnienia życia, pragnienia wiary, walki i chęci zwycięstwa, wszystko to spadło z jej ciała jak zużyta odzież, jak z drzewa zeszłoroczne listowie. A mimo to chciała. Obce jej były te neurasteniczne stany, w których energia rozwiewa się i trwożnie znika. Energia przepełniała ją, a przygnębienie miało swe źródło jedynie w niemożności zużytkowania jej. Co począć z tą siłą, z tą potrzebą czynu, walki, kochania, z potrzebą (tak, i to także...) nienawiści? Kochać to, co kochają inni? Nie! Nienawidzić to, czego oni nienawidzą? Przenigdy! Walczyć? Ale za jaką sprawę? Kędyż się ma zwrócić, do kogo, osamotniona w tej zawierusze?

Od tygodnia już podjęła na nowo pracę w szkole. Pewnego dżdżystego i zimnego wieczora październikowego wracała, znużona i zamyślona, kiedy dochodząc już prawie do domu, dostrzegła na ulicach niezwykłe ożywienie.

Opodal miejsca jej zamieszkania urządzono naprędce nowy szpital. Rzeźnia w Verdun wyrzucała takie stosy rannych, że zabrakło już miejsca na krwawe strzępy ciał męczenników. Zapomniana mieścina po raz pierwszy otrzymała swój ładunek, a ranni, których pierwszy raz tu przysłano, byli Niemcami!

W miasteczku aż do czasu wojny nie było porządnego szpitala nawet dla miejscowej ludności. Biedne ofiary pracy czy lenistwa (w ostatecznym wyniku i jednych, i drugich jednakowo wyrzuca się na śmietnik) umieszczano w ciasnych, smrodliwych, na pół rozwalonych pomieszczeniach, gdzie od wieków panoszyły się brud i zaraza. Nikogo to nie raziło, ani chorych, ani lekarzy: kwestia przyzwyczajenia. Ale wraz z postępem (to znaczy z nadejściem wojny) zjawiły się nowe myśli (a raczej słowa), jak: higiena, antyseptyka... Szło o to, by

mnożąc śmierć uczynić ją czystą i schludną. Wyfroterowano więc pokrytą złożami brudu podłogę nowego szpitala – dawnego pensjonatu – połączono odór kwasu karbolowego z odorem pleśni, oddano dawne sale szkolne pod patronat Ambrożego Paré[36], wyposażono zakład w łazienkę – rzecz niezwykle rzadka!

Cały zaś ten luksus miał służyć Szwabom?! Miasteczko niedawno ciężko dotknięte przez wojnę zawrzało oburzeniem. Bitwy ostatnich miesięcy zdziesiątkowały miejscową ludność i każda niemal rodzina okryta była żałobą. Zwykła apatia ustąpiła miejsca pełnej rozpaczy wściekłości. Nawet poglądy personelu szpitala były podzielone: pewna grupa postanowiła odmówić pomocy nieprzyjacielowi; naprędce zredagowana odezwa krążyła z rąk do rąk. Nadejście transportu rannych wyprzedziło jednak ostateczną decyzję. Dowiedziano się o fakcie dopiero w chwili przybycia transportu, a wiadomość ta wywabiła wszystkich na ulicę...

Żałosne stado ludzkie było już poza obrębem dworca kolejowego. Ulica prowadząca do stacji wypełniła się natychmiast tłumem, niby ściek podczas ulewnego deszczu. Zazwyczaj byli to ludzie nieszkodliwi, dobrodusznie obojętni, nieco gruboskórni, ale nie źli. Lecz teraz w jednej chwili rozgorzały najgorsze instynkty. Zbliżanie się transportu z dala już zwiastowało wycie tłumu. Ujrzano dwa wozy napełnione żywymi strzępami: leżeli na noszach w łachmanach, z głowami odrzuconymi w tył, a palce jakiejś zwisającej ręki żłobiły ślad w kurzu drogi. Przed wozami kroczyła mała grupka lżej rannych z obandażowanymi głowami lub rękami. Na czele widać było wysoką, chudą sylwetkę niemieckiego oficera. Eskorta była niedostateczna. Nagle wzniosły się pięści, kobiety nastawiły pazury i tłum rzucił się naprzód... Święte przymierze: widać tu było zmieszanych z pospólstwem drobnych kupców, mieszczan, a nawet, o kilka kroków w tyle, damy z towarzystwa. Nieszczęśni ranni zatrzymali się na chwilę, ale nadchodzący od tyłu zmusili ich, by szli dalej; posuwali się więc, popychani, z wyrazem przerażenia na twarzach, pewni, że za chwilę zostaną zmasakrowani. Zaczęto ciskać w nich kamieniami. Tłum najeżył się laskami i parasolami. Padły złowrogie okrzyki, rozległy się gwizdy. Wszystko to, oczywiście, skierowane było przeciwko oficerowi. Ktoś popchnął go, czyjaś ręka zdarła mu z głowy czapkę i rzuciła na ziemię, jakaś kobieta wrzeszcząc plunęła mu w twarz. Uderzony, zachwiał się na nogach.

Anetka rzuciła się naprzód...

Stała oddzielona trzema rzędami gapiów, patrząc z przerażeniem. Nic nie przewidziała, nic nie zamierzała. Zabrakło jej nawet czasu, by uświadomić sobie, co czuła. Z pochyloną głową wparła się w rozszalały tłum i rozpychając stojących jej na drodze utorowała sobie przejście. Poznali, co to pięść Rivière'ów i jak brzmi okrzyk ich gniewu... Dopadłszy niemieckiego oficera Anetka odwróciła się do tłumu i rozkrzyżowawszy ramiona, krzyknęła:

– Nikczemni! Czy jesteście Francuzami?

Dwa te wykrzykniki podziałały jak dwa smagnięcia biczem. Ona zaś wołała dalej jednym tchem:

– Czy jesteście ludźmi? Każdy ranny to świętość! Wszyscy cierpiący są braćmi!

Górowała nad tłumem głosem i ramionami. Śmiałe jej spojrzenia miotały dokoła gromy trafiając niechybnie w każdego. Zaczęto się cofać z pomrukiem. Anetka pochyliła się, by podnieść czapkę oficera; moment ten wystarczył, by zerwać kontakt z otoczeniem. Niezdecydowany motłoch skupiał się znów, by skoczyć jej do gardła... Nagle do Anetki podeszła młoda pani, pielęgniarka Czerwonego Krzyża, i powiedziała delikatnym, stanowczym głosem:

– Pani mówi, jak nakazuje honor. Ranni nieprzyjaciele są pod opieką Francji. Kto im uchybia, jej uchybia.

Wszyscy ją znali. Pochodziła z arystokratycznej rodziny cieszącej się powszechnym szacunkiem. Mąż jej, oficer, zginął niedawno pod Verdun. Wystąpienie jej przeważyło szalę. Dwie inne panie, również pielęgniarki, stanęły obok niej, a kilku mieszczan zaczęło pośpiesznie wzywać do uspokojenia. Kobieta, która dopiero co pluła w twarz jeńcom, zaczęła się gło-

[36] P a r é Ambroise (1517–1590) – znakomity chirurg francuski, zwany ojcem współczesnej chirurgii.

śno rozczulać nad jakimś rannym młodzieniaszkiem. Tłum rozstąpił się z groźnym pomrukiem, przepuszczając transport eskortowany przez młodą wdowę i Anetkę, która prowadziła pod rękę słaniającego się oficera.

Nie ośmielono się już ani na jedno słowo protestu i konwój dotarł do szpitala. Obowiązki zawodowe i poczucie ludzkości odzyskały swe prawa, lecz w pierwszych dniach zamieszania, które pogarszał brak pielęgniarzy (wahający się wracali, jeden po drugim, w ciągu nocy), personel szpitalny był wprost zawalony pracą; nie zauważono więc Anetki, tak że do późna w nocy mogła zostać przy rannych; rozbierała ich i myła przy pomocy owej niedawnej furii, owej opętanej nienawiścią kobiety, która okazała się teraz zacną kumoszką, wstydzącą się swego wybuchu i pragnącą, by o nim zapomniano.

Potem Anetka poświęciła się, by czuwać przy konającym: jednym z tych nieszczęsnych opuszczonych przez lekarzy, ponieważ przeprowadzenie operacji było już bezcelowe.

Był to młodzieniec o smagłej cerze, chudy i nerwowy, owego nadreńskiego semicko–latyńskiego typu. Rana jego była potworna. Otwarty brzuch... *iam foetebat...*[37] i już się w nim ruszały robaki. Rannym wstrząsały dreszcze, zaciskał z bólu zęby, chwilami jęczał; to przymykał, to znów otwierał oczy szukając wokoło siebie jakiejś żywej istoty, przedmiotu, jakiegoś punktu stałego, którego tonąc, mógłby się uczepić. Napotkawszy oczy Anetki wpił się w nie... Oczy pełne litości... Ach, cóż za nieoczekiwane światło w ciemnościach! I nagle zbudziła się skryta na dnie nadzieja.

– *Hilfe!*[38] – zawołał.

Pochyliła się nad nim, wsuwając dłoń pod unoszącą się głowę. Szeptała po niemiecku słowa współczucia. Była to ożywcza rosa spadająca na suchą i rozpaloną skórę. Chwycił jej drugą wolną rękę i wbił w nią palce. Anetka odczuwała teraz każdym włóknem swego ciała najsłabsze drgnienie konającego. Szeptała, by był cierpliwy. Dzielny chłopiec wstrzymywał oddech, by tłumić krzyki bólu. Coraz mocniej ściskał dłoń, która utrzymywała go ponad otchłanią. W miarę jak pogrążał się w nią, w oczach Anetki, wzrastała tkliwość. Mówiła:

– *Söhnchen! Knäbelein! Mein armer lieber Kleiner...*[39]

Drgnął po raz ostatni; otworzył usta, by zawołać. Pocałowała go i nie wysunęła dłoni z uścisku konającego, zanim się nie przekonała, że już jest wyzwolony.

O trzeciej nad ranem wracała do domu. Lodowata mgła, matowe niebo, puste ulice. Chłodny pokój z wygaszonym kominkiem. Nie położyła się wcale aż do białego rana. Czuła odrazę do świata, serce miała przepełnione bólem...

A mimo to doznawała ulgi. Odnalazła swe miejsce w tragedii ludzkości.

*

Opadło z niej wszystko, co dotąd ciążyło. Strząsnęła to jednym ruchem ramion. I teraz, gdy je miała u stóp, pojęła, jak niezmierne dźwigała brzemię...

Kłamała; okłamywała samą siebie: unikała własnego wzroku. Nie chciała patrzeć prosto w twarz potwornym, gnębiącym ją myślom. Przyjmowała biernie fatalizm wojny i ojczyzny. Przyjmowała tchórzliwie wykręty o faktach wyznaczonych prawami natury. A oto nagle wbrew tej dzikiej naturze zbuntowała się jej własna natura, odrzucana i krępowana, zdradzana i niesyta, pragnąca pomsty i swobody. Piersi jej, uciskane dotąd barbarzyńskimi więzami, zerwały pęta i zaczęły swobodnie oddychać! Oto domaga się teraz swych praw i przywilejów, swej radości – i swego cierpienia, ale cierpienia własnego – Macierzyństwa...

---

[37] *I a m f o e t e b a t* (łac.) – już cuchnął.

[38] *H i l f e* (niem.) – pomocy.

[39] *S ö h n c h e n! K n ä b e l e i n! M e i n a r m e r l i e b e r K i n d e r* (niem.) – synku! chłopaczku! moje biedne dziecko.

Pełnego macierzyństwa. Nie ogranicza się ono do syna!... Wszyscy jesteście moimi synami. Rozszarpujecie się nawzajem, synowie szczęśliwi i nieszczęśliwi! Ale ja was wszystkich biorę w ramiona. I pierwszy wasz sen, i ostatni kołyszę na moim łonie. Śpijcie! Jestem matką wszystkiego...

Gdy uczynił się dzień, napisała do tamtej matki, do matki zmarłego dziecka, któremu zamknęła oczy; przesłała jej ostatni pocałunek syna.

Potem wzięła książki szkolne, zeszyty i rozpoczęła nowy dzień pracy, nie myśląc o spoczynku. Czuła, że wstąpiły w nią nowe siły i że w sercu jej panuje pokój.

Część trzecia

Czyn Anetki narobił wiele hałasu. Dyskutowano o nim po wszystkich domach, a niewątpliwie potępiono by go bez dyskusji, gdyby nie publiczna aprobata młodej pani de Mareuil. Niektórzy zgodzili się przyjąć tę gwarancję, ale wielu było oburzonych, wszystkich zaś nurtował skryty gniew. Przypuściwszy nawet, że Anetka miała słuszność, trudno znosić, by ta obca miała im dawać lekcje honoru – i to w dodatku jakim tonem!

Wszyscy jednak Zamilkli dowiedziawszy się (w małym miasteczku w przeciągu paru godzin już o wszystkim wiadomo), że pani de Mareuil złożyła Anetce nazajutrz wizytę, a nie zastawszy jej, zostawiła zaproszenie. Anetka była pod opieką. Odłożono przeto porachunki do najbliższej sposobności. Dyrektor szkoły, wezwawszy panią Rivière, poprzestał na dyskretnym ostrzeżeniu: „Patriotyzmu jej nikt nie podawał w wątpliwość, szło tylko o to, by nie wyrażała go *extra muros*[40]! Trzeba pełnić swe obowiązki na swoim stanowisku i w ten sposób, jak to jest wymagane. *Ne quid nimis*[41]!..." Za pierwszym słowem Anetki, która chciała odpowiedzieć, dyrektor wycofał się z uprzejmym gestem: „Nie, to nie nagana: to rada!" Ale Anetka wiedziała, że rada przełożonego jest pierwszym krokiem do upomnienia.

Na razie nie pozostawało jej nic innego, jak znów włożyć obrożę i wracać do budy. Uczyniła, co uczynić należało. Jutro podyktuje jej obowiązek jutrzejszy. Dziś oszczędzono jej trudu wyboru, kiedy bowiem chciała znów stanąć do pracy w szpitalu, zastała drzwi zamknięte. Formalny zakaz wzbraniał dostępu do sal szpitalnych wszystkim poza członkiniami miejscowych organizacji Czerwonego Krzyża i Kobiet Francuskich, zaciekłych zresztą rywalek, żyjących ze sobą jak pies z kotem. Później dopiero Anetka dowiedziała się, że zakaz był przede wszystkim przeciw niej wymierzony.

Te drzwi zostały więc przed nią zamknięte, a potrzeba użyteczności nie znalazła zaspokojenia; natomiast otwarły się drzwi inne, poza którymi nowe jej macierzyństwo mogło znaleźć pole działania. I nikt nie mógł przewidzieć, na jak ryzykowną drogę zawiodą ją owe zobowiązania, które miało przyjąć jej mowę, odmienione sumienie.

W czasie jej pierwszej wizyty u pani de Mareuil, młoda wdowa, nie wyzbywając się chłodnej nieco rezerwy, okazała Anetce serdeczny szacunek i powtórzyła prośbę swego ciężko rannego i pielęgnowanego obecnie w domu szwagra, który chciał poznać panią Rivière. Anetka natychmiast przyjęła to zaproszenie.

*

Herman Chavannes był spokrewniony z panią de Mareuil z domu Seigy tylko przez małżeństwo swej siostry z jednym z braci de Seigy, ale obie rodziny z dawien dawna łączyła więź wspólnych interesów i żywa sympatia. Obydwie od niepamiętnych czasów wrosły w ten zakątek kraju i posiadłości ich przylegały do siebie. Różnice poglądów były raczej pozorne niż rzeczywiste. Republikanizm Chavannes'ów był blady w kolorze; pierwsza dyskretna czerwień blakła z upływem czasu, aż osiągnęła ton różowy, który nie będąc bielą harmonizował z nią doskonale. Fortuna obu rodzin, czcigodna i pewna, niemało się też przyczyniła do zasypania rowów granicznych, nie tyle dzielących, co po prostu wyznaczających ich posiadłości. (Zawsze i wszędzie posiadłości wiąże ze sobą rodzaj pokrewieństwa.) Wspólną ich cechą

[40] *Extra muros* (łac.) – poza murami.

[41] *Ne quid nimis* (łac.) – byle nie zanadto.

było przede wszystkim umiłowanie ziemi, na której sami gospodarowali – ze dwadzieścia ferm rozsypanych niby gromadka piskląt po okolicy – dalej przywiązanie do kraju oraz kult ładu i porządku, który choć nie jest sam religią, stanowi co najmniej jej połowę. (Mówimy, oczywiście, o religii rzymskiej, jedynej, która jest na Zachodzie potęgą ładu i porządku.) Owe istotne cechy, łączące rodzinę de Chavannes'ów z rodzinami de Mareuil, de Thèsée, de Seigy i z drobną szlachtą prowincjonalną, nie wykluczały pewnych różnic, istniejących wszakże w tej tylko mierze, ile tego wymagała miłość własna każdego rodu: świadczyły bowiem o jego wyższości nad sąsiadem. Jest to słabostka ogólnoludzka. De Seigy i Chavannes'owie byli zbyt dobrze wychowani, by ją okazywać; powinno się ją zachowywać w ukryciu, dla własnej tylko przyjemności.

Zupełnie słusznie dziwnym się mogło niejednemu wydawać, że Anetkę zaproszono do tego środowiska. Nie samej Anetce, która nie miała poczucia dystansu społecznego, ale całej okolicy. Rzeczywiście stało się to za sprawą wyłącznie dwu osób, członków rodziny Chavannes i de Seigy, którym chwilowe okoliczności dawały w domu niezaprzeczalne prawa: pani Ludwiki de Mareuil i Hermana Chavannes. Oboje krwawo spłacili dług swemu rodowi i ojczyźnie i oboje stanowili w tym środowisku wyjątki. Anetka zrozumiała to w ciągu kilku dni.

Dom Chavannes'ów był starą siedzibą o szarych murach, przy krętej uliczce u stóp katedry. Otaczała go cisza, czasem tylko przerywana melancholijnym dźwiękiem dzwonów i wrzaskiem kawek. Minąwszy wąską furtkę z politurowanej dębiny, o starannie wyczyszczonych okuciach – jedyną chłodno lśniącą plamę na zapylonej fasadzie – wchodziło się na dziedziniec wykładany kamiennymi płytami, a stamtąd dopiero do budynku mieszkalnego. Okna apartamentów zwrócone były na ten dziedziniec otoczony czterema szarymi murami, bezdrzewny, pozbawiony śladu roślinności, a nawet źdźbła trawy. Wydawało się, że ci prowincjonalni *bourgeois*, spędzający długie miesiące w wiejskich siedzibach swych ziemskich posiadłości, chcieli wróciwszy do miasta tak się otoczyć murami, by przyroda nie miała do nich dostępu. Chavannes'owie spędzali tam zazwyczaj kilka zaledwie miesięcy zimowych. Ale wypadki wojenne, obowiązek uczestniczenia w służbie publicznej oraz choroba syna skłoniły ich obecnie do osiedlenia się w mieście aż do chwili, gdy zaświta jakaś jaśniejsza przyszłość.

Rodzina składała się w tym czasie niemal wyłącznie z kobiet. Ojciec nie żył, wszyscy zaś zdrowi synowie i zięciowie poszli na wojnę. Został siedmioletni synek młodej pani Chayannes de Seigy, który wpatrując się w bramę wpuszczającą z rzadka przybyłych gości, z nosem rozpłaszczonym o szybę okna nudził się straszliwie. Drzemał przy odgłosie dzwonów i wrzasku kawek i marzyły mu siec sztandary i ofiary, przysmaki i szyszaki... Była to pierwsza twarz, którą Anetka ujrzała przybywając do domu Chavannes'ów, a i potem, za każdym przyjściem, napotykała to dziecko o rozleniwionym a głodnym wrażeń spojrzeniu, które znikało minąwszy ją w przejściu.

Pokój na pierwszym piętrze, o wysokim stropie i głębokiej alkowie, zalegał cień. U jednego okna w nikłym świetle chmurnego dnia listopadowego siedział młody człowiek. Powstał z fotela, by powitać panią de Mareuil i Anetkę, którą mu ona przedstawiła. Choć na pierwsze spojrzenie widać było, że w tym pokoju śmierć tka grobowe płótno cień nie tknął oblicza rannego. Była to jedna z owych twarzy tak częstych w środkowej Francji, zrobionych jak gdyby z samej jasności, miła, o regularnych rysach, orlim nosie, ładnie zarysowanych ustach, bardzo niebieskich oczach i jasnej brodzie. Uśmiechnął się do Anetki i podziękował szwagierce serdecznym spojrzeniem.

Uprzejmą rozmowę rozpoczęto od luźnych spostrzeżeń na temat stanu zdrowia i pogody nie przekraczając granicy ostrożnych twierdzeń. Po chwili pani de Mareuil usunęła się dyskretnie.

Wówczas Herman Chavannes, którego przenikliwe oczy szybkimi dotknięciami badały dotąd rysy Anetki, podał jej rękę i rzekł:

– Kochana Ludwika opowiedziała mi o dzielnym pani czynie. Nie zalicza się więc pani do tych, którzy po rozegranej bitwie walczą dalej z nieprzyjacielem. Dała się pani opanować tej słabości – oszczędzać zwyciężonego. Ośmielam się więc żywić nadzieję, że znajdzie ją pani i dla tego oto zwyciężonego.

– Dla pana? – spytała.

– Tak! Jestem ciężko ranny, ciężko pokonany. Mam wszelkie powody do pychy.

– Wyzdrowieje pan.

– Nie. Złudzenia proszę zostawić innym i mnie samemu! Podołamy zadaniu! Nie po to pani potrzebuję. Porażka, dla której proszę o pobłażliwość, nie jest porażką mego ciała, lecz ducha. Niczym by było ponieść klęskę, gdyby można było wierzyć w zwycięzcę.

– Jakiego zwycięzcę?

– W przeznaczenie, które nas składa w ofierze... Nie, to jeszcze za mało powiedziane... W przeznaczenie, któremu się w ofierze oddajemy...

– Ma pan na myśli Ojczyznę?

– To tylko jedno jego oblicze. Maska dnia dzisiejszego.

– Ja także zostałam pokonana i nie wierzę w zwycięzcę. Ale nie poddaję się. To jeszcze nie koniec.

– Pani jest kobietą. Pani chce grać. Kobieta nawet przegrywając wierzy w ostateczną wygraną.

– Nie, nie wierzę w to. Ale zysk czy strata, mniejsza o to. Dopóki w grze o życie zostanie mi siebie choć na najmniejszą stawkę, grać nie przestanę.

Herman popatrzył na nią z uśmiechem.

– Pani nie pochodzi stąd?

– A skądże? Jestem przecież Francuzką.

– Z jakiej prowincji?

– Z Burgundii.

– W waszej krwi jest wino.

– W naszym winie jest krew.

– A więc chętnie wypiję od czasu do czasu szklankę tego wina. Czy mogę prosić niekiedy o kwadrans rozmowy, gdy pani będzie czuła nadmiar energii i miała trochę cierpliwości?

Anetka przyrzekła i wróciła. Nawiązała się między nimi przyjaźń.

Rozmawiali o wszystkim – z wyjątkiem wojny. Przy pierwszych pytaniach Anetki ranny powstrzymał ją jednym gestem. Przejście wzbronione. Zawracać!...

– Nie mówmy o tym!... Pani nie może tego zrozumieć... I nie tylko pani. Wy wszyscy, którzy tu jesteście... Tu... Tam... To dwa odrębne światy: po tej i po tamtej stronie... Nie mają wspólnego języka.

– Czy naprawdę nie mogę tego zrozumieć?

– Nie. Nawet pani mimo tak gorącego współodczuwania. Miłość nie zastąpi braku doświadczenia. To, co zostało zapisane w księdze ciała, nie da się przetłumaczyć.

– Czemuż by nie spróbować? Tak bardzo pragnę zrozumieć – nie przez ciekawość, ale by pomóc! Rada bym zbliżyć się z całą pokorą do pańskich przeżyć.

– Dziękuję pani. Ale najlepszą pomocą dla nas to pomóc nam zapomnieć. Nawet wśród towarzyszy „stamtąd" za ogólną zgodą wykluczamy z rozmów naszych owo „tam". Opowieści o wojnie w książkach i dziennikach budzą w nas niesmak. Wojna to nie literatura.

– Życie tak samo.

– Słusznie. Ale człowiek czuje potrzebę śpiewu, a życie jest tematem podatnym do wariacyj. A więc śpiewajmy!

Umilkł, by złapać oddech. Anetka podtrzymała mu głowę. Gdy przyszedł do siebie, przeprosił i podziękował. Na jego zapadłe policzki wrócił uśmiech, na czole ukazała się kropelka potu. Milczeli spoglądając na siebie serdecznie...

Herman Chavannes miał niespełna trzydzieści lat. Wyrósł w środowisku właścicieli ziemskich, liberalnych, ale o mocno wpojonych, uczciwych zresztą i zdrowych, przesądach. One to wraz z umiłowaniem ziemi i pracą stanowią kościec prowincyj środkowej Francji. (Gdyby nie to, łatwość życia i użycia wzięłaby górę.) Herman znał dobrze jedne i drugie elementy. Ciało jego było z tej wody i z tej mąki. Ale nieznany piekarz dodał jakichś obcych drożdży.

Ten bogaty młody *bourgeois*, o zdawałoby się ustalonej od urodzenia przyszłości, szczęśliwy, łatwy w obejściu, znajdujący obfitą strawę na żyznym pastwisku swoich posiadłości, wyruszył na studia do Paryża i wstąpił do Szkoły Nauk Orientalnych oraz Nauk Politycznych. Kariera konsularna pociągała go znacznie mniej niż coś, co było niby „zaproszeniem do podróży".[42] Kochał, jak smakosz, kraj swój, niebo, powietrze, język, potrawy, urodzajną glebę i dobrych ludzi... A jednak marzył o tym tylko, by się stąd wyrwać! Czekając na stanowisko gdzieś w odległych krajach, przewędrował Europę we wszystkich kierunkach. Dziwne to było upodobanie zdaniem współobywateli–domatorów! Nie sposób jednak dyskutować o upodobaniach (zwłaszcza ludzi bogatych). Wojna zniweczyła plany podróży. A teraz choroba: został „zagazowany"; tkanki organów wewnętrznych ulegały powolnemu rozpadowi. Teraz dostępna mu była tylko podróż dookoła pokoju – (nawet i to nie! od kilku dni leżał w łóżku) oraz podróż w głąb siebie. Nie jest to najmniej daleka i najmniej tajemnicza z podróży... Nieznana kraina... Odkrywał ją w pełni świadomości... Lecz skąd mu się wzięło to powołanie, ta chęć ucieczki?...

Tłumaczył to Anetce tonem wesołym, kpiącym, którym osłaniał zazwyczaj swe myśli:

– Żyłem wśród pól. Lubiłem polować, nie tyle dla samej przyjemności polowania, ile dla kontaktu z ziemią i tym, co żyje, zwierzętami i roślinami. Miłość do zwierząt nie przeszkadzała mi ich zabijać ani zabijanie nie przeszkadzało ich kochać. Trzymając w ręku ciepłą jeszcze kuropatwę lub ściskając białe podbrzusze królika, by wydusić z niego poranne śniadanie, czułem się może bliższy im niż sobie – człowiekowi. Nie roztkliwiałem się. Celny strzał zawsze daje zadowolenie, a sądzę, że gdyby one były na moim miejscu, a ja na ich – nie chybiałyby także. Starałem się poznać: i zwierzęta, i siebie. Potem zjadałem je... Czemu pani marszczy nosek? Czy poczuła pani zapach dziczyzny? Półmisek kuropatw z kapustą i plasterkami przyrumienionej na złoto słoninki to uczta godna bogów. Zjadłaby to pani bez dąsów... Ale bogowie, przyznajmy szczerze, to dziwne zwierzęta.

– Straszne zwierzęta.

– Nie sądźmy ich! Zjadajmy i dajmy się zjadać (właśnie na mnie przyszła kolej). I starajmy się zrozumieć!... Bogów? Zbyt są daleko. Ale tych, których mamy tuż koło siebie. Zwierzęta i ludzi... Pierwszym odkryciem, jakie uczyniłem, było to, że od niezliczonych tysiącleci ludzie i zwierzęta żyją tak blisko siebie nie czyniąc żadnych prób wzajemnego poznania... Poza skórą i mięsem, oczywiście... Ale ludzi nie obchodziło wcale, co zwierzęta myślą, czują czym są. Ludzie nie grzeszą ciekawością! I nie lubią, by ich coś wprawiało w zakłopotanie. Dla oszczędzenia sobie trudu myśli – odmawiają jej zwierzętom Ale otwierając lepiej oczy spostrzegam w osłupieniu, że ludzie i siebie nawzajem nie znają także lepiej. Daremnie stykają się, każdy żyje w pełni sobą nie troszcząc się o innych. Drogi sąsiedzie, jeśli rytm twego życia zgadza się z moim, wszystko w porządku, jesteś moim bliźnim. Jeśli się różni, jesteś mi

[42] Aluzja do wiersza Baudelaire'a pod tym tytułem *(Invitation au voyage).*

obcy. A jeśli narusza mój rytm, toś wróg! Pierwszego obdarzam wspaniałomyślnie własną myślą, drugi ma prawo tylko do myśli drugiego rzędu, a ten trzeci – jak w piosence o Malborough – „trzeci nie niósł nic..." – nie ma prawa do niczego: odmawiam mu wszelkiej myśli tak jak zwierzętom. (Czy Szwaby są ludźmi?...) Zresztą, czy „ten drugi" należy do pierwszej, drugiej czy też trzeciej kategorii, we wszystkich trzech przypadkach nie znam go i nie usiłuję nawet poznać. Widzę tylko siebie, słyszę siebie, rozmawiam z sobą. Ja – żaba. Gdy mnie rozedmie namiętność czy poczucie własnej ważności, z żaby robi się wół i wtedy nazywam siebie: Narodem, Ojczyzną, Rozumem albo Bogiem. To już stan niebezpieczny. Ale wracajmy do naszego stawu... Niestety! Nie umiałem nigdy rechotać spokojnie, zapięty aż po szyję, w nieprzemakalnym płaszczu własnej skóry. Od dnia, kiedy tknął mnie demon ciekawości (lub może współczucia?), chciałem ich poznać (nie powiadam: zrozumieć, któż bowiem może być tak zarozumiały...), a przynajmniej dotknąć, wyczuć żywy płomień ich umysłu, podobnie jak czuję pod palcami ciepłe, miękkie ciało kuropatwy. Dotykałem ich, poznawałem ich smak – kochając i zabijając. Bo i ja także zabijałem.

– Pan zabijał! – powiedziała Anetka odsuwając się.

– Trzeba było. Niech mi pani nie bierze tego za złe! Odpłacili mi za to!...

*

Zwierzał się tak, przysłaniając galicką ironią tragizm swych myśli, które zdawały się być pozbawione i litości, i nadziei. Kraj cieniów. Lecz na ziemi śmiało się słońce żywych. Kontrast ów czynił jego wizję wszechświata tym bardziej ponurą. Widział pierworodny grzech stworzenia nie wyobrażając sobie jednak, by mógł on zostać odkupiony. Namiętny instynkt Anetki buntował się przeciw temu; wierzyła w zło i dobro i z płomiennym porywem rzutowała je z własnego serca na ogromne płótno przestrzeni, usiane konstelacjami życia. Miała swój udział w wielkiej zawierusze, a choć nie myślała o zwycięstwie, choć nie ono było jej celem – chciała walczyć. To, co uznawała za złe, było złym. Zło to nieprzyjaciel. Z nieprzyjacielem nie wdawała się w układy.

Łatwo jest walczyć, jeśli całe zło umieszcza się po stronie przeciwnika, a całe dobro po swojej. Błękitne oczy Hermana, obejmujące serdecznie tę duszę bogatą i płomienną, widziały przed sobą zgoła odmienne pole walki! Kriszna walczy z Kriszną i nie ma żadnej pewności, czy wynikiem walki będzie życie, czy śmierć, zupełna zagłada. Herman dostrzegał niemożność wzajemnego porozumienia i uznawał ją za zjawisko powszechne i wieczyste. Sam zaś nie miał nadziei wzięcia udziału w tych zmaganiach, posiadał bowiem zgubny dar: umiał stwierdzać słuszność własnej myśli, nie odmawiając jej myślom innych, ponieważ ją rozumiał. Większą też uwagę przykładał do tego, by je przeniknąć, niż do tego, by je próbować zmienić.

Nie zawsze był taki. Wyruszył w życie z pełnym swoim ja, które także nie troszczyło się o to, by rozumieć, ale by brać. Dopiero dłoń niepowodzeń otworzyła mu oczy. Z całym spokojem opowiedział jedno z nich Anetce. (Nie krępował się nią wcale. Była w jego oczach inteligentną, znającą życie towarzyszką, która przeszła zapewne niejedno analogiczne do jego własnych doświadczenie.)

Kochał pewną kobietę, kochał jak tyran, wedle swego, a nie wedle jej serca. To, co uważał za dobre dla siebie, uznawał za dobre i dla niej. Czyż nie byli tym samym, skoro się kochali? Kochała go, ale zaczęło jej to ciążyć i pewnego dnia po powrocie do domu zastał klatkę pustą. Uciekła. Kilka słów pożegnania tłumaczyło powód. Doświadczenie było ciężkie, ale nie poszło na marne. Nauczył się, że ludzie chcą być kochani przez nas za to, czym są, a nie za to, czym jesteśmy my sami...

– Dziwna pretensja, prawda? Ale trzeba się z tym pogodzić... Od tej pory starałem się...

Opowiadał tę historie jak zawsze, żartobliwie.

– Można przyjmować wszystko od tych, których się kocha, o ile sami opłacamy koszta! – powiedziała Anetka. – Ale jeśli to oni płacą albo też sąsiedzi, czy można na to przystać?

– Pani ma na myśli wojnę?

– Wojna czy pokój, obojętne! Jedno i drugie to jest las Bondy[43], puszcza – siedlisko zbójców, gdzie silni zjadają słabych i z kolei sami zostają zjedzeni przez jeszcze mocniejszych!

– Istnieją zatem – jak pani mówi – tylko słabi i w końcu wszyscy zostaną zjedzeni.

– Stoję po stronie zjadanych!

– Ha, ha... a jednak żyje pani i ma dobre zęby!

– Chciałabym mieć tylko usta, by całować wszystkich, co żyją. Ponieważ jednak z woli Nienazwalnego otrzymałam tę broń, chcę jej użyć jedynie dla obrony moich dzieci!

– Jest pani wcieleniem wojny!

– Nie. Bronię je właśnie przed wojną.

– Wszystkie one są takie jak i pani. Powiedzmy: dziewięć na dziesięć! A dziesiąte bez dziewięciorga innych nie zdołałoby nic uczynić.

– Tak, wojna o pokój... Ale nie o tym chciałam mówić... Pan, sądzę, nie wierzy w tę straszliwą komedię?

– Nie wierzę. Nie. Ale oni wierzą; szanuję ich wiarę.

– Ich wiarę? Wszakże to maska, którą osłaniają swe instynkty złośliwości, pychy, łupiestwa i rozpusty, zazdrości i chciwości...

– Dosyć!

– To jeszcze nie wszystko.

– Co pani wie o całym tym asortymencie? – Znam wszystkie jego artykuły. Mam je zamknięte w moim kufrze.

Herman umilkł i objął spojrzeniem znawcy tę siedzącą przy jego łóżku kobietę, która głosząc pokój miotała płomienie. Potem powiedział (nie mówiąc dokładnie tego, co myślał):

– Jest w pani rasa. Nic nie brak!... Ale, Judyto, skoro użycza pani Filistynowi część swoich cnót, nie trzeba zatrzymywać się w połowie drogi; niech pani odda mu także hojnie i resztę, to, co najlepsze!

– Co pan ma na myśli?

– No cóż, trzeba dać także swą miłość, wiarę i szczerość... Odrzuca pani tych ludzi uznając ich wszystkich za kłamców i złoczyńców. Łatwo to powiedzieć, niestety! Gdyby tak było, życie stałoby się zbyt łatwe; nie byliby wówczas tak silni. Niech się im pani lepiej przyjrzy!

– Nie chcę na nich patrzeć.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie chcę.

– Dlatego, że pani widziała.

– Widziałam.

– Ale przez pryzmat namiętności... Rozumiem: to przeszkadza działaniu... Ale mniejsza o działanie – widzieć to najważniejsze. Pożyczam pani mych okularów. Proszę patrzeć. Potem jakoś sobie pani poradzi...

[43] L a s B o n d y – znajdujący się w pobliżu Paryża las, który w okresie drugiego cesarstwa zasłynął jako siedlisko złoczyńców.

*

Chcąc nie chcąc ujrzała. Herman nie wygłaszał bynajmniej wzniosłych tyrad o ludzkości. Nie było to w jego stylu; a Człowiek niewart był w jego oczach funta kłaków. Interesowało go tylko to, co przemija: czy będzie to istota żyjąca, czy chwila. To zaś, co nie przemija i nie umiera, zdaniem jego, nie żyje w ogóle, jest martwe.

W prostych słowach opowiadał Anetce o miasteczku i okolicy. Od dzieciństwa gromadził i składał, niby w pudle, obfite zbiory „szkiców": były to kreślone odręcznie portrety jego krajanów – mieszczan i chłopów; do szkiców tych wracał potem, cieniując je, póki przez skórę nie zaczynała przezierać dusza. Ach! znał ich z zewnątrz i od środka! orzeł i reszka, nic w nich nie było mu obce. Mógł wybierać do woli. Pokazał Anetce kilka egzemplarzy ze swej kolekcji. Sądziła, że zna tych ludzi: raziła ją ich ciasnota i egoizm, a niektórzy z nich – mężczyźni i kobiety – w dniu przybycia jeńców okazali się wściekłymi wilkami. Bywali przecież dobrzy na swój sposób, mieli swoje cnoty domowe. Pod nieprzeniknioną warstwą prostactwa kryje się zdolność do poświęceń. I każdy z nich – tych worków kości – za których, zdawało się, nie umarł żaden Bóg, każdy dźwigał swój krzyż. Anetka dobrze o tym wiedziała! Ale sama również dźwigała swój własny i jak oni, skłonna była wierzyć, że tylko ten jest prawdziwy. Widziała z jednej strony katów, z drugiej ofiary, a Herman zmuszał ją, by zobaczyła, że każdy jest zarazem katem i ofiarą. Ten niewierzący Galijczyk ukazał jej przedziwną drogę krzyżową: niezliczony tłum dźwigając krzyże rzuca kamienie i klątwy na ukrzyżowanego!...

– To okropne! – powiedziała. – Czyż nie można by ich wyprowadzić z błędu? Zamiast się kamieniować wzajemnie, niech połączą swe siły...

– Przeciw komu?

– Przeciw największemu katowi!

– Któż to?

– Natura!

– Nic o niej nie wiem... – Herman wzruszył z lekka. ramionami i podjął: – Natura?... Łatwiejsza już byłaby sprawa z Bogiem! Bóg byłby przynajmniej zdolny do rozumnego działania... (Taką przynajmniej łudzimy się nadzieją!) Ale czymże jest Natura? Kto ją widział? Gdzie ma głowę, serce, oczy?

– Tutaj. To moje oczy, moje ciało, moje serce. To ja i mój bliźni.

– Bliźni?... Niech pani się przyjrzy lepiej! Nie, proszę nie odchodzić. Proszę zaczekać jeszcze chwilę!...

Wszedł gość. Tęgi, rumiany chłopak o lalkowatej i dobrodusznej twarzy pucołowatych aniołków z portalu katedry w Bourges. Miał na sobie niebieski mundur. Był to kolega Hermana, syn bogatego właściciela z sąsiedniego okręgowego miasta. Miał właśnie urlop i zrobił pięć mil drogi, by odwiedzić chorego. Ucałował go i złożył Anetce pełen szacunku ukłon. Potem zaczął pleść trzy po trzy. Tryskał dobrym humorem i zdrowiem. Opowiadał nowiny to o tych, to o tamtych, a nazwiska owych ludzi były dobroduszne i wesołe, niby nazwiska lokajów w komedii. Towarzysze „stamtąd". Byli wśród nich zabici, ale byli także i żywi. Nosowy, śpiewny akcent miejscowy umilał opowiadanie. Młodzieniec starał się złagodzić dosadność wyrażeń ze względu na Anetkę (szacunek dla dam!); miał się więc na baczności. Zwracał się do niej z ugrzecznieniem, w staromodny, pełen namaszczenia sposób. Otworzył do dna serce, mówiąc z całkowitą szczerością o rodzinie, o matce i o małej siostrzyczce, którą uwielbiał. Podobny był do wielkiego, serdecznego, grzecznego i okrąglutkiego dziecka. Gdy odszedł, Herman zapytał Anetkę:

– Cóż pani sądzi? Czy nie jest jak masło? Można by nim chleb posmarować.

– Ani śladu fałszu – odparła – z czystego niezbieranego mleka. Pachnie bujną trawą waszych łąk.

– A cóż by pani powiedziała widząc to tłuste dziecko, tego poczciwego chłopca, dobrego brata, syna, towarzysza (można by mu dać komunię bez spowiedzi, on zaś przyjąłby ją bez wahania; nie kłamię: szczery jak złoto), widząc go, jak ja widziałem, w okopach w dzień ataku, kiedy błaznował ze swoim nożem rzeźnickim w ręku!

Anetka skrzywiła się z odrazą.

– Proszę się uspokoić! Nie zobaczy pani tego, chcę panią oszczędzać; zamykam okiennice. Wszystko zamknięte. Noc na świecie. A w tym pokoju tylko nas dwoje.

Przerażona jeszcze, spytała;

– I on się może śmiać! On jest spokojny?

– Nic nie pamięta.

– Niepodobieństwo.

– Widziałem innych, którzy dokonawszy w ciągu dnia niewypowiedzianych rzeczy spali w nocy jak dzieci. Ani śladu wyrzutów sumienia. Dodajmy, że gotowi byliby w godzinę potem całować nieprzyjaciół, których własnoręcznie zarżnęli! Równie prędko zapominają o tym wybuchu dobroci jak o innych poprzednich wybuchach. Trudno to ze sobą pogodzić, a oni nie mają czasu. Trzeba zachować wszystkie siły na obecny moment, żyć z chwili na chwilę, kawałkami wyciętymi na oślep i luźno rozrzuconymi niby dziwaczne łamigłówki.

– Biedacy!

– Niech ich pani nie żałuje! Czują się doskonale.

– Siebie w nich żałuję.

– Zawsze ten sam egoizm! Niech pani dla siebie zachowa swoje ja, a im pozostawi ich własne.

– Nie, nie mogę uwierzyć, by to miała być ich prawdziwa natura...

– *Homo additus naturae*...[44] Natura w nowym i rozszerzonym przez społeczeństwo wydaniu. Wydaje się, jakby wojna była normalnym, uświęconym przez zwyczaj ćwiczeniem naturalnego instynktu. I kto wie? Może jest ona ujściem dla niszczycielskich sił tkwiących w żywej istocie, która zaspokoiwszy je wraca do równowagi,

– I pan to mówi?

– Ja się nie liczę. Ja jestem skreślony z listy.

– Nie! Właśnie pana zdanie chcę usłyszeć.

– Jeszcze nie teraz. Cierpliwości. Przyjdzie kolej i na Hermana Chayannes... A zresztą chcąc go poznać trzeba patrzeć jego oczyma.

– Chciałabym przez nie zajrzeć w głąb.

– Cierpliwości! Ja okazałem się dość cierpliwy. Proszę sobie wyobrazić, ile jej trzeba było temu, kto schwytany w sieć, nie brał się na ich oszustwa!

– Jeśli tak jest, to jakże mógł pan brać udział w walce?

– Mógłbym odpowiedzieć, że nie pozwolono mi wybierać. Ale gdyby mi nawet pozwolono, wyszłoby na jedno: wybrałbym na pewno sieć. Nie chcę sobie pochlebiać: nie rozumowałem wówczas tak, jak dziś. Fatalny dar porowatości, jaki posiadam, sprawia, iż przenikają we mnie obce dusze i zbyt często zapominam o własnej. Jesteśmy Francuzami, żyjemy razem, wszyscy jesteśmy siebie wzajemnie ciekawi, słuchamy wypowiadanych głośno cudzych my-

[44] *Homo additus naturae* (łac.) – człowiek dodany do natury. – Aluzja do sformułowania filozofa angielskiego Francisa Bacona: *Ars sive additus rebus homo* – sztuka jest to człowiek dodany do rzeczywistości, do natury. Bacon przez sztukę rozumiał tu technikę, za pomocą której człowiek przeobraża przyrodę. Romain Rolland tezę tę przenosi na inny teren.

śli, myślimy we dwu, dwudziestu, w tysiąc; i w końcu człowiek staje się pudłem rezonansowym dla każdego echa. Nie zdoła sobie pani ani zresztą nikt wyobrazić, jaki przedziwny zapał ponosił nas w pierwszych dniach... Pieśń Wymarszu! Śpiewaliśmy ją i zdawało się, że nie ona naszym, lecz my jej jesteśmy dziełem. Unosiła się niby wrzaskliwy anioł Franciszka Rude na Łuku Triumfalnym[45]. Ale anioł sto razy piękniejszy, za którego jedno dotknięcie chętnie byśmy umarli. Obejmował nas skrzydłami. Nie szliśmy, lecz byliśmy jakby niesieni wciąż naprzód, by unosząc się tak na skrzydłach pieśni uwolnić świat. Był to szał jak w miłości, nim uścisk splecie kochanków. Cóż za uścisk! Straszliwe oszustwo!... Wszystko jest oszustwem. Miłość także. Poświęca nas tym, którzy nastąpią – przyszłości. Ale ten szał, to upojenie bojową wiarą! Jaki jest jego cel? Czemu, komu składa nas w ofierze? Kiedy, oprzytomniawszy, zaczęliśmy się nad tym zastanawiać, ofiara już była spełniona. Całym ciałem tkwiliśmy w trybach maszyny. Zostawała tylko dusza, złamana zmęczeniem dusza. Cóż zrobić można z duszą bez ciała, z duszą występującą przeciw ciału? Dręczyć się samemu? Dość jest innych katów! Nie pozostaje nic innego jak tylko widzieć, wiedzieć i przyjąć. Człowiek skacze na ślepo. Człowiek robi głupstwa. Raz, dwa... Dalejże! Aż do końca! Życie nie wydaje biletów powrotnych. Wyruszywszy raz, już się nie wraca... A gdybym nawet mógł, nie wrócę sam! Żyje się razem i razem umiera... Wiem, że to absurd, że ta śmierć jest bezcelowa. Ale uratować się samemu... Nie! Tego się nie robi! Jestem członkiem stada. Jestem stadem.

– A stado idzie za panem.

– Barany Panurga[46].

– Kiedyż wreszcie któryś z was nie zechce skakać?

– Ten nie będzie pochodził z naszych łąk.

– Kto wie?

– A może przyjdzie z pani łąk, Anetko? Może będzie to pani baranek?

– Mój syn! Miły Boże!... Nie chcę o tym myśleć!

– Widzi pani! Nie miałaby mu pani odwagi tego doradzać.

– Oby wojna była jemu... była mnie oszczędzona!

– Amen! Ale my nie celebrujemy mszy. Każą nam tylko służyć do niej i odpowiadać. Krwawy ceremoniał dokonywa się, a my jesteśmy więźniami.

– Godzę się na to dla siebie. Ale nie dla niego!

– Nauczy się pani mądrości wszystkich matek Francji, Niemiec, ludzkości wszystkich wieków. Przyjmują swój ból u stóp innej matki, *Mater Dolorosa*[47]...

– Nigdy! Mam swego chłopca i obronię go!

– Przeciw wszystkim?

– Tak. Przeciw wszystkim.

–Czy i przeciw niemu?

Anetka pochyliła głowę; zabrakło jej tchu. Strzał był celny. Trafiał w niepokoje, obawy, tajone wątpliwości, do których nie chciała się przyznać sama przed sobą. Nie okazała dotąd nic. Nie mówiła nigdy o synu; Herman wiedział tyle tylko, że istnieje. Ale milczenie jej było wymowne. Herman udawał, że nic nie dostrzega.

---

[45] R u d e Francois (1784–1885) – rzeźbiarz francuski; mowa tu o jego rzeźbie na Łuku Triumfalnym w Paryżu przedstawiającej *Wymarsz ochotników 1792 r.*

[46] B a r a n y P a n u r g a – Panurg, jeden z bohaterów rabelais'owskiego *Gargantui i Pantagruela,* chcąc się zemścić na kupcu nabył od niego najpiękniejszego barana i rzucił w morze; w ślad za swym przewodnikiem rzuciło się w morze całe stado. W znaczeniu przenośnym „barany Panurga" – to ludzie idący ślepo za czyimś przykładem.

[47] *M a t e r D o l o r o s a* (łac.) – Matka Boleściwa.

– Znam ich, znam naszych malców, którzy mają być powołani w roku osiemnastym... A jacy będą ci, co pójdą w dwudziestym?... Nie krępują ich jak starszych, tych mazgajów, żadne złudzenia! Nie grozi im rozczarowanie; wojnę uważają za interes. Nie chodzi już o takie banialuki, jak: sprawiedliwość, wolność. Chodzi o to, by wygrać. Każdy dla swojego „ja". „Ja" – pełnego. „Ja" drapieżnego. *Struggle for life. Life for Struggle.*[48] Zapach kobiety, sławy, krwi... I wzgarda dla wszystkiego. Marzenia zbudzonego tygrysa.

– Jest pan niegodziwy! – powiedziała.

– Jestem tylko nieszczęśliwy! – odparł. – Odchodzę od stołu nie zjadłszy nic.

– Żałuje pan tego?

– Nie. Zaliczam się do gatunku, który się przeżył. Nie skarżę się. Trzeba zrozumieć. Zrozumieć wszystko.

– Jakież to przygnębiające. Zrozumieć wszystko – znaczy nie móc działać. A serce tego żąda. Jestem kobietą. Cóż mi pozostaje?

– Wyrozumiałość.

– To mało! Chcę pomagać. Chcę ratować.

– Kogo? A jeśli oni nie chcą, by ich ratowano?

– Mniejsza o to, czy chcą, czy nie! Ja za to chcę! Wiem dobrze, że jestem niczym i nic nie mogę. Ale chcę zrobić wszystko. Tak trzeba. Choćby wszyscy bogowie i wszyscy diabli, i ci najgorsi diabli – ludzie, choćby świat cały powiedział: „Nie!" – ja powiem: „Tak!"

– Martynka chce dostać w skórę!...

– Niech się pan nie boi! Potrafię oddać!

– Wszystkie pani wysiłki nie poruszą ziarnka pyłu na twardym głazie przeznaczenia.

– Możliwe, że nie... Ale to przynosi ulgę.

– Mówiłem już: jest pani Bellona[49]. Imię Anna jest dla pani nieodpowiednie.

– Jest to imię babki Tego, który zwyciężył śmierć.

– I umarł.

– Ale dnia trzeciego zmartwychwstał.

– Wierzy w to pani?

Umilkła, zaskoczona.

– Nigdy nie wierzyłam, przedtem...

– A teraz?

– Nie wiem... To mnie olśniło.

Herman patrzył na tę dziwną kobietę, którą niespodziewanie nawiedzali tajemniczy goście. Siedząc przy łóżku na niskim krześle, oparła czoło o pościel, jakby w kornej postawie. On delikatnie położył rękę na jej bujnych, jasnych włosach. Podniosła głowę. Oczy miała zdziwione, ale spokojne. Herman spytał półgłosem:

– A więc pani wierzy?

– W co?

Była całkiem szczera. Już nie wiedziała. Potem rzekła:

– Wierzę, że muszę działać, pomagać, kochać.

– Dobrze – powiedział Herman. – Właśnie dlatego panią wezwałem. Początkowo nie chciałem o tym mówić. Chciałem panią widzieć i widzieć w pani. Dziś widziałem! Dość mówienia o tym, co nie jest mną! Niech mi pani przebaczy tę ironię, w którą się stroję! A teraz otwieram drzwi. Siostro Anno, proszę wejść!

---

[48] *S t r u g g l e f o r l i f e. L i f e f o r s t r u g g l e* (ang.) – walka o życie, życie dla walki.

[49] B e l l o n a – według mitologii rzymskiej bogini wojny.

*

Gdy pożar ogarnie całą dzielnicę miasta, a sił nie starcza na ratowanie wszystkiego, ustępujemy poświęcając to, co spłonąć musi. Burzymy mosty i chronimy się na wieżę, gdzie ukryliśmy to, co posiadamy najcenniejszego. Ratujemy życie, bijące w głębi życie! Albo czekamy, aż ogień obróci domostwo w zgliszcza... Ja ocaliłem je. Ale pożar się zbliża. Anno, na pomoc!

Nie mógł się nadal powstrzymać od żartobliwego sposobu mówienia; ale głos jego zdradzał głęboki niepokój.

Ujęła go za ręce.

– Oto moja ręka! Co trzeba ratować? Gotowa jestem wydobyć to choćby z płomienia.

– Moją radość, moją wiarę i mnie samego. Tego, kogo kocham.

– Tę?

– Nie, tego... Mojego przyjaciela.

– Gdzież on jest? Dlaczego tu nie przyjedzie?

– Jest jeńcem.

– W Niemczech?

– We Francji.

– Więc „wróg”?

– Tak. Zabrali mi brata, przyjaciela, to, co posiadam najdroższego, i powiedzieli: „Zapomnij i zabij! To wróg!”

– I biliście się we wrogich sobie szeregach?

– Nigdy bezpośrednio ze sobą. Stanąwszy nad granicą, wiedziałem, że nie ma go po drugiej stronie. Przed wyjazdem uściskałem go we Francji. I tu został.

– Uwięziono go?

– Jest na Zachodzie, zamknięty w obozie jeńców. I od trzech lat – tak blisko, a tak daleko – nie mam od niego listu, nie wiem o nim nic. Czy żyje jeszcze? A ja tu umieram...

– Jak to, czyż nie można zasięgnąć wiadomości?

– Stąd nie mogę się o to starać.

– Rodzina kocha pana. Czy mogłaby czegoś odmówić?

– Nie, nie mogę nawet mówić z nimi o tym.

– Nie rozumiem.

– Zrozumie pani... Na razie dobrze, że panią znalazłem. Jaką radość sprawia mi mówić o tym z panią! Mówić o nim z kimś, kto mógłby go pokochać, to niemal mówić z nim samym. Pokocha go pani?

– Kocham go w panu. Niech mi pan go pokaże. Niech pan mówi o nim!...

– Na imię mu Franz, a mnie Herman... Herman Francuzem, a Franz Niemcem. Poznałem go na dwa lata przed wojną. Mieszkał od dłuższego czasu w Paryżu; malował. Mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, a okna naszych pokój ów wychodziły na ten sam ogród. Przez długie miesiące mijaliśmy się bez słowa, aż pewnego wieczora wpadliśmy na siebie przez nieuwagę na rogu ulicy. Dopiero później przypomniałem sobie o tym... W owym ogromnym wirze, jakim jest Paryż, mężczyźni i kobiety, jak pędzone wiatrem liście, długo nieraz mijają się i

ocierają o siebie, zanim się zauważą. Ale wystarczy jedno takie zderzenie, by wiedzieć potem, że już się tego człowieka widziało... Pewnego dnia przyprowadził go wspólny przyjaciel. Poznałem go wtedy...

...Miał dwadzieścia trzy lata, lecz wydawał się o wiele młodszy. Nosił w sobie jeszcze odbicie kobiety – matki, którą utracił w dzieciństwie. Subtelna, wrażliwa, niespokojna twarz człowieka wydanego na łup wszystkich nadziei i podejrzeń. Widziało się na niej bezustanne falowanie cieni i światła, zaufania bez granic i podejrzliwego zniechęcenia. To otwierał całe serce, to znów krył się, wrogi, nieprzystępny, ale ja jeden tylko widziałem to i zacząłem szukać przyczyny. Nikt inny z jego otoczenia nie zatroszczył się o to. Ludzie kochają lub nie kochają, ale brak im czasu, by wiedzieć, kogo kochają. I ja także o to przez długi czas nie dbałem, ale życie kazało mi za to drogo zapłacić (opowiadałem już pani). Na własnej skórze przekonałem się, że nie trzeba kochać bliźniego jak siebie samego, ale jak jego właśnie, takiego, jaki jest, jaki chce być i jakiego trzeba odkryć...

Nie, ten młody cudzoziemiec nie był wcale podobny do mnie... I może właśnie dlatego! Był mi potrzebny! I ja mu byłem potrzebny...

Dzieciństwo i wczesną młodość przeżył w atmosferze ucisku. Wychował się w szkole dla klerykalnego junkierstwa odznaczającej się rygoryzmem i ową anormalnością, jaka cechuje tę antyspołeczną kastę. Brutalizowano dziewczęcą jego naturę, zbyt zaś słaby i samotny, by się opierać,. musiał ugiąć się pod przymusem obyczajów i myśli. Ale na całe życie zostało mu z tych czasów bolesne wspomnienie, jak zgwałconej dziewczynie pamięć o akcie przemocy. Stał się nieśmiałym, wrażliwym, nie wierzącym w siebie, bezwolnym, źle przystosowanym do życia odludkiem; pragnął kochać i być kochanym, pragnął zawierzyć siebie, a cierpiał ciągle, bezustannie oszukiwany. Takie natury są z góry skazane na to, by je wyzyskiwano, gdyż zbyt naiwnie ukazują skazy w swej zbroi; a ludzie nie potrafią powstrzymać się od przyjemności ugodzenia w nie, by wywołać okrzyk bólu. Lepiej być bezbronnym niż na pół tylko uzbrojonym...

Po śmierci ojca Franz wyrwał się ze swej ojczyzny, przybył do Paryża i starał się zapomnieć o koszmarnym dzieciństwie. Ale sprawiająca nam cierpienie przeszłość jest jak skóra jaszczura,[50] z upływem czasu kurczy się wciąż, a ciało cierpi. Paryż oczarował jednak młodego chłopca, którego dotychczasowe otoczenie było pozbawione piękna kształtów i barwy. Tutaj jest ono czymś naturalnym, czystym żywiołem, którym się oddycha, a nawet jego amoralizm jest także jeszcze jednym dobrodziejstwem. Ale Franz zbyt był przyzwyczajony do życia wewnętrznego, by nie odczuwać jego braku w tym nowym otoczeniu; raniła go ironia i oschłość serc. Miał swe wierzenia – teraz wszystkie zostały zachwiane. Nie umiał samotnie stawić czoła sceptycyzmowi i tchnieniu rozkoszy, które dla przyjaciół zabawiających się „okrzesywaniem Hurona" nie były niebezpieczne. Nic nie jest niebezpieczne dla ludzi, którzy nic nie biorą serio, gdyż ich także nic nie porywa na serio. Dla niego zaś, niestety, wszystko było poważne... Staczał się na dno odczuwając śmiertelny niesmak na myśl, że jest niezdolny do oporu.

Spotkałem go w tej właśnie chwili. Przyjaciele, którzy mi go przedstawili, zacni, ale niedelikatni, kochali go, co u ludzi tego pokroju stanowi tytuł do bezceremonialnego traktowania. Bawili się zwierzeniami, na jakie go naciągali, a nie zachowując ich dla siebie, z dobroci serca wciągali w tę zabawę całe swe grono. Franza przedstawiali jego „opiekunowie" (za nich się bowiem uważali) jako osobliwość sympatyczną a śmieszną i wyzyskiwali jego uprzejmość oraz nieśmiałość. Pani domu posyłała go po sprawunki lub idąc na zakupy zabierała go jako doradcę i kazała nosić paczki, pan domu zaś dręczył go lekturą swych elukubracji i wyładowywał na nim zły humor wywołany bezowocnym chodzeniem po redakcjach. Franz stał się niby pańszczyźnianym sługą, zdanym na łaskę i niełaskę. W zamian za to tolerowano go, tre-

[50] S k ó r a j a s z c z u r a – aluzja do powieści H. Balzaca pod tytułem *Jaszczur (Peau de chagrin).*

sowano, nie szczędząc dobrych rad, o które nie prosił, kradziono mu myśli, włamywano się do najtajniejszych, najbardziej wstydliwych uczuć i ukazywano je wszystkim, obnażone i śmieszne.. Wszystko to dla jego dobra. Byłby niewdzięcznikiem, gdyby się na to skarżył.

Nie skarżył się na nic, ale na swoje szczęście był właśnie niewdzięcznikiem... Spostrzegłem to zaraz. Pod wymuszonym uśmiechem, jakim przyjmował pochlebne a ośmieszające go słowa prezentacji, ujrzałem rozdrażnienie, ból i cień przygnębienia. Zrozumiałem wszystko bez wyjaśnień. Jednym rzutem oka zmierzyłem przepaść, jaka dzieliła go od „opiekuna". A gdy tamten przestał mówić, nie odpowiadając mu zwróciłem się do milczącego Franza – z litością i szacunkiem, należnym młodemu Orestesowi[51], który wpadł w ręce taurydzkich barbarzyńców. Szkoda, że nie mogła pani widzieć, jak rozbłysły jego oczy po pierwszych już moich słowach. Poznał język swojej ojczyzny, ojczyzny trwalszej od wszystkich Ilionów: język Przyjaźni... Szacunek, jaki każda dusza ludzka winna jest swym towarzyszom, a którego tak skąpo zwykła udzielać, wzruszył go aż do łez. Udałem, że tego nie dostrzegam, i mówiłem dalej, aby pozwolić mu opanować wzruszenie. Zrozumiał moje intencje, a gdy odzyskał władzę nad sobą, rozpoczęliśmy rozmowę, poważną i serdeczną, w obecności Toasa[52], który nie rozumiał nic a nic. Mówiliśmy zresztą p rzeczach obojętnych, ale ton rozmowy stanowił o wszystkim. Na spojrzenie pytające:

„Czy to ty?"

odpowiadał:

„Tak, to ja, bracie!"

Natychmiast po powrocie do domu Franz napisał do mnie pełen egzaltacji list. Ujrzałem go znów samego, nazajutrz... Nie przewidywałem doprawdy, jak silny oddźwięk znajdzie – w tym spragnionym sercu okazana przeze mnie sympatia. Tym bardziej nie domyślałem się, jakie miejsce w moim życiu zajmie ów przybysz.

Miałem do tej pory, jak wszyscy, kilku przyjaciół, od których nie żądałem nigdy zbyt wiele i niewiele też dawałem. Po prostu lubiliśmy szczerze widywać się i oddawać sobie nawzajem przysługi, ale za milczącą ugodą ustaliliśmy pewne granice, których przezorność nie pozwalała przekraczać. Młodzieńczemu egoizmowi wydaje się to naturalne. Nie należy oczekiwać od innych tego, czego inni nie oczekują od nas. Francuz bierze życie i ludzi, jakimi są... Nic ponad to. Umieć się zadowolić...

Młody Orestes, którego wyzwoliłem, nie zadowalał się. Nigdy tego nie umiał. Nie przykładał do swoich uczuć miary życia; dał mi przyjaźń na miarę nie istniejącego już gatunku istot; aby dostosować ją do mej własnej, musiałem sam wzrosnąć. Niezbyt mi się to udało, ale zrobiłem, co mogłem, skoro on tego chciał. Dawał wszystko i wszystkiego żądał... I, dobry Boże, to pewne, że – czy dużo tego było, czy mało – zabrał wszystko, bez reszty...

*

Skończywszy tę długą opowieść, którą ciągnął bez pośpiechu, znacznie bardziej dla siebie niż dla Anetki – zwalniał chwilami tempo, by głębiej przeżywać szczegóły – umilkł i zamyślił się.

Pochylona ku niemu Anetka nie uczyniła najlżejszego ruchu, by nie spłoszyć czaru. Oczy jej, w których odbijały się przelotne wrażenia, słuchały dalej, choć on milczał. Herman spoj-

[51] O r e s t e s – według jednego z mitów greckich Orestes, który zabił matkę mszcząc się za ojca, ścigany przez boginie zemsty, Erynie, w swej wędrówce dotarł do Taurydy, gdzie został oczyszczony i otrzymał przebaczenie.

[52] T o a s – mityczny król Taurydy.

rzał w nie. Przez kilka minut rozmawiali bez słów. Słyszała go dobrze. Potem, zmieszany nieco, jakby odpowiadając jej myślom, powiedział (brzmiało to jak usprawiedliwienie):

– Czyż to nie jest zastanawiające? Od urodzenia żyjemy z sobą, znamy się lub sądzimy, że znamy... To takie proste z pozoru i nieskomplikowane – człowiek! Wszyscy są do siebie podobni jak towary, które wyszły z jednego magazynu... Dopiero w użyciu odkryć można różne istoty pod tą samą wierzchnią warstwą! Któż by mógł przypuszczać, że odnajdę w sobie niezatrudnioną duszę matki czy kochającej siostry?... Pani się śmieje...

– Śmieję się z siebie! – powiedziała Anetka. – Mnie również nie brak dusz, które nie znajdują zatrudnienia.

– O tak, widzę z nich kilka. Jest pani pasterką całej trzódki.

– Dobrze jeszcze – odparła – jeśli nie daję się wieść moim barankom!

– Każdy musi żyć! – rzekł Herman. – Niech się pasą swobodnie.

– A polowy?

Roześmieli się oboje.

– Pal licho to społeczeństwo! – powiedział. – Nie rozumie nic prócz Kodeksu.

Zamyślił się na chwilę i ciągnął dalej:

– To samo jest z naszą biedną przyjaźnią. Czyż może być coś bardziej ludzkiego niż widząc tonącego podać mu rękę, a jeśli uchwyci ją, unieść go w ramionach i czuwać nad nim? Od dzieciństwa żył pozbawiony wszelkiego prawdziwego uczucia, a jego własne nagromadziło się w nim, wstrzymywane zaporą cierpienia. Kiedy mnie spotkał, to jakby otwarła się śluza: potok runął. Chciałem stawiać opór. Czyż jednak można odmawiać przyjęcia daru szlachetnego i naiwnego serca, które w nas wierzy? Jesteśmy wdzięczni za tę wiarę, której sami nie mamy, i staramy się stać jej godni. To wielkie uczucie objawiło mi, jak bardzo i mnie również tego brakło! Jeżeli ktoś nigdy go nie posiadał, przyzwyczaja się żyć umiarkowanie, a wiedziony mądrością wyrzeczeń, nie oczekuje od życia nic więcej. Ale kiedy uczucie to się pojawi, łącząc w pełną harmonii całość dwie istoty, czujemy, że czekaliśmy na nie, smutni i stęsknieni; nam teraz pojąć, jak bez niego mogliśmy żyć – żyć bez przyjaźni!... Ale tym odkryciem dzielić się można jedynie z ludźmi, którzy je sami również zrobili. Nikt z mojej rodziny nie mógł pojąć przyczyn naszej zażyłości... Przyczyny? Nie ma przyczyn. Potrzebujemy się wzajemnie, by stać się sobą... Tylko będąc razem tworzymy całość... A tego właśnie inni przebaczyć nie mogą! Widząc, że tylko razem stanowimy całość, czują się pokrzywdzeni.

– Nie znam tego uczucia! – powiedziała Anetka. – Z braku miłości, której mi zawsze było mało, biorę miłość innych. Wszyscy kochający się mnie także kochają.

– Cóż za apetyt!

– Nie ma co jeść! – odparła.

– Stąd właśnie apetyt. Błogosławieni, którzy nic nie mają, albowiem wszystko im danym będzie.

Anetka potrząsnęła głową. Nie łudziła się.

– To słowa bogacza. Wmawia nędzarzowi, że ma wszystkiego pod dostatkiem.

Herman dotknął jej dłoni.

– Nie jest pani takim nędzarzem! Spichrz pełny.

– Czego?

– Miłości czekającej na rozdanie.

– Nikt jej nie pragnie.

– Proszę mi dać garstkę! Potrafię ją użyć!

– Niech pan bierze! W czym mogę panu dopomóc?

*

Rodzina Chavannes'ów spoglądała zawsze niechętnie na tę anormalną przyjaźń, nie opartą o żadną wspólnotę społeczną: ojczyzny, środowiska czy kariery, wykazującą więc, i to w bardzo impertynencki sposób, że może się bez tego wszystkiego obejść. Jeszcze przed wojną w sferach prowincjonalnych uważano tę zażyłość z Niemcem za kaprys w złym guście, który podobnie jak i inne cechy charakteru Hermana przypisywano jego chęci wyróżniania się. Mieszkańcy bowiem tego kraju w swojej skłonnej do drwiny obojętności tłumaczą pozą to, czego rozumieniem nie chcą się trudzić, a co u kogoś z nich odbiega od uświęconych zwyczajów i obyczajów. Przed wojną zresztą do tych zwyczajów i obyczajów należało także tolerowanie rzeczy niezrozumiałych, które się poprzednio wykpiło: nikogo to po prostu nie obchodziło. Ale począwszy od roku 1914 sytuacja uległa zmianie: żegnaj, miła tolerancjo, która czynisz znośnym życie w społeczeństwie! Każdy uzurpował sobie teraz prawo kontroli nad innymi, wszystko – aż do uczuć włącznie – musiało otrzymać wizę. Zabrania się kochać bez paszportu! Przyznawanie się do przyjaźni z Niemcem stało się niedozwolone. Spać ze złodziejem i włóczęgą – nawet to byłoby mniej szokujące, w przekonaniu szwagra i siostry Hermana, ludzi zacnych, solidnych i ograniczonych.

Pani de Seigy z domu Chavannes, starsza ó siedem czy osiem lat od brata, odznaczała się zdecydowaniem, którego brakowało Hermanowi. Nigdy się nie wahała w wyborze, uzbrojona w jeden – jeden tylko jasny i określony sąd o każdej rzeczy. Można to było od pierwszego wejrzenia odczytać z tej twarzy o rysach stanowczych, jakby nakreślonych jednym pewnym pociągnięciem, bez żadnych poprawek. Cienki i długi nos biegł prosto, nie odchylając się ani na milimetr, aż zatrzymywał się zdecydowanie, napotykając nozdrza; czoło było krągłe, bez zmarszczek, a zczesane do tyłu, starannie przygładzone włosy odsłaniały uszy i skronie. Wąskie łuki brwi, uważne oczy; małe usta niby wąska furtka, stworzona, by być zamkniętą. Podbródek obfity, ale tkanina skóry mocno napięta: ani jedno oczko nie puściło, ani jednej zmarszczki na tej twarzy poza prostymi liniami znamionującymi wolę. Od stóp do głów wszystko głosi: „Dyskusja daremna!" Zresztą osoba to grzeczna i pełna rezerwy. Nie łudźcie się nadzieją, że się wam uda ją rozgniewać! Była bezwzględnie pewna. Była jak mur; któż zaś dyskutuje z murem? Trzeba go okrążyć. Ogranicza i zamyka – to jego rola. To zaś, co zamyka, nie dla ciebie: prywatny teren, cudza własność. Każdy niech pozostanie „u siebie", ty zaś zostaniesz poza murem!

„U siebie" – oznaczało przede wszystkim rodzinę de Seigy–Chavannes, następnie miasto, potem prowincję i wreszcie Francję. Z tego wszystkiego wojna uczyniła jedną spoistą całość pod nazwą: ojczyzna. Ale de Seigy stanowili punkt centralny. Pani de Seigy–Chavannes była prezeską miejscowego oddziału organizacji Kobiet Francji i wobec tego uważała się za uprawnioną do przemawiania w imieniu wszystkich kobiet. Ktoś zaś we Francji powiada: kobieta, powiada tyle co: dom!... Pani de Seigy–Chavannes nie była feministką, podobnie jak większość Francuzek które mając władzę faktyczną nie potrzebują praw i uważają je za kule potrzebne tylko kalekom. Pani de Seigy–Chavannes przyjmowała na siebie odpowiedzialność za wszystkich mężczyzn swojej rodziny. Była z nich zadowolona. Jeden dał się zabić (de Mareuil), drugi był ciężko ranny (jej brat), mąż zaś, major artylerii, trwał już od pół roku wśród huraganu Verdun. Nie była jednak kobietą-z tragedii Corneille'a, kochała swych Horacjuszy, nie chciała, by ginęli, pielęgnowała ich z poświęceniem, a gdyby to od niej zależało, dzieliłaby ich los. Lecz nie oszczędziłaby im żadnego z ich ciężkich doświadczeń. Francja, kraj, miasto i rodzina mają rację. Trzeba potwierdzić ją czynem, bo racje bez czynów są niczym. A m o j e prawo (słuszne czy niesłuszne) jest p r a w e m. Wyginą raczej wszyscy de Seigy, zgi-

nie Francja, a ja nie ustąpię. Pochodziła z rodu bohaterskich pieniaczek dawnych czasów. Wojna, życie, śmierć to też jakby proces. Przegram wszystko, co mam, a nie zawrę ugody...

Oczywiście nie sposób mówić takiej kobiecie o prawach przeciwnej strony!... Dumna jest z brata; on bronił Francji, więc ona też broni go energicznie przed nadchodzącą śmiercią. Ale raczej pozwoliłaby mu umrzeć, niżby podała pomocną dłoń tej hańbiącej słabości, jaką jest przyjaźń z Niemcem. Wie o niej, o ile chce wiedzieć. Ale wiedzieć nie chce. A Herman podpisuje te warunki. Staje między nimi milcząca zgoda. Ten, kto kocha, unika narażania drogiego sobie imienia na obelgi – jeśli już nie słowne (pani de Seigy panuje nad sobą), to (tym gorzej) rzucane w myśli.

Jedna tylko pani de Chavannes, matka Hermana, wie, jak żywe jest wciąż uczucie syna, a ponieważ kocha go, zamyka oczy, co jednak nie równa się aprobacie. Milczeniem broni się przed zwierzeniami, do których Herman nie odczuwa najsłabszej pokusy. Jest to stara już kobieta, która przez całe życie kierowała się przezorną zasadą nie przeciwstawiania się nigdy panującym poglądom, zwyczajom czy przesądom. Może serce jej jest, było lub mogłoby być wolne. Ale ona od tak dawna nie dopuszcza go już do głosu! Po życiu czynnym, w którym niewielką rolę przyznawano sercu, znużenie moralne skłania do kwietyzmu, który unika wszystkiego, co może niepokoić. Serce nie zatraciło dawnej głębokiej tkliwości, ale ogarnia ją całą przemożna potrzeba odpoczynku i ściska dłoń chorego syna w równej mierze dlatego, iż wie, o czym on myśli, jak i po to, by go prosić o milczenie.

Anetka jest pierwszą, której Herman może się zwierzyć ze swoich uczuć i niepokojów zajmujących go znacznie więcej niż los bitew. Anetka dziwi się:

– A pani de Mareuil? (Pociągała ją ta młoda trzymająca się na uboczu kobieta i jej smutny uśmiech.)

Herman odpowiada z gestem zniechęcenia: •

– Ach, ona mniej jeszcze niż ktokolwiek inny.

Jest dobra, czysta. Herman kocha tę swoją młodą szwagierkę. Łączy ich czyste uczucie, którego nie potrzebują wyrażać. Ale dzieli ich tak wiele...

– Niech się jej pani dobrze przypatrzy! – mówi Herman.

– Przypatruję się. Wygląda jak Madonna z Marthuret.

Herman uśmiecha się:

– Ta delikatna ptaszyna o zgiętej szyjce i lekko przymrużonych, słodkich, krótkowzrocznych oczach, pieszcząca nóżkę piastowanego na łonie Dzieciątka? Tak, to jej krągłe czoło, cienki nos, podłużny owal twarzy, subtelny uśmiech młodych oczu i drobnych ust. Ale spowija ją welon smutku. Gdzie jest Dzieciątko? Szuka go, czeka. Ono jest w niebie. Cała jej miłość tam uleciała. Cóż zostaje dla nas, żyjących na ziemi? Jest cierpliwa, nie skarży się, wypełnia swoje obowiązki. Mimo to bezwiednie (bo nie chciałaby nas zasmucać) okazuje aż nazbyt wyraźnie, że tu na ziemi jest tylko przechodniem. I my dla niej nie czym innym jesteśmy.

– Mniejsza o to, jeśli przechodniów darzy jałmużną swego uśmiechu!

– Tak, darzy nas. Znam cenę tego uśmiechu. Ale niech się pani nie łudzi. Ten uśmiech, Anetko, mówi: „Przyjmijcie swój los!”

– To wielka mądrość!

– To nie jest mądrość pani.

– Nie jestem mądra.

– Uśmiech ten powiada: „Przyjmujcie wszystko: los, śmierć, rozłąkę z tymi, którzy was kochają. Ona nie zna, co nienawiść, a jednak wierzy, że wojnę, skoro jest, należy uważać za dzieło Boga, i czci ją. Nie dopuściłaby (widziała to pani), by wojnę tę bezczeszczono okrucieństwem, nieszlachetnością, nadużyciem siły wobec zwyciężonego. Jest prawdziwie szla-

chetna, ale w dawnym tego słowa znaczeniu. To, co było, winno trwać i trwać będzie zawsze. Wszystko bowiem, co było – zło czy dobro – ma w sobie elementy szlachectwa, jest wytworem rasy. Tworem Boga. Nie uczyniłaby nic, by to zmienić. Uważa za punkt honoru przyjmować to, co jest.

– Ja nie przyjmuję! Nie mam rasy. Odrzucam lub biorę.

– Niech pani weźmie w swoje ręce moją sprawę. Jest stracona.

– Kocham właśnie stracone sprawy.

– Defetystko!

– O nie! Zwycięstwo nad losem rozgrzewa serce.

– A jeśli pani przegra?

– Zacznę na nowo.

– Ale mnie spieszno, Anetko, nie mogę czekać, aż pani zacznie na nowo. Życie, którym dysponuję, jest ograniczone, nie tak jak pani życie.

– Kto wie? .

– Ja wiem. Nie żyję chimerami. Jestem na ziemi. Ale niedługo tu już pozostanę. Trzeba mi dnia dzisiejszego: dziś lub nigdy.

– A więc dobrze. Postawimy wszystko na dziś. Ja jestem stawką.. Niech pan odkryje karty!

*

Anetka nieostrożnie się zobowiązywała. Ta kobieta odczuwająca potrzebę działania, kobieta, której nie wystarczała czysta myśl i zamiar i która od początku wojny nie znajdywała dla siebie właściwego pola działalności, teraz nagle odkrywała swoją drogę w owym zupełnym oddaniu się sprawie świętych uczuć, najbardziej bezinteresownej miłości, jaką jest przyjaźń dwu młodych ludzi z obcych sobie narodów. Z właściwą jej namiętnością, której nieco szaleńczego charakteru nie należy ukrywać, oddała im kipiące w niej siły. Widziała to sama, a rozsądek mówił:

„Zapłacisz za to!"

„Płacić będę później. Na razie kupuję..."

„Więcej, niż możesz zapłacić."

„Ano, zobaczymy!"

Szaleństwo! Cóż z tego? Czuła potrzebę dawania nie żądając ani nie oczekując w zamian nic. Starczało jej do szczęścia, jeśli szczęście mogła sama dawać – i ryzykować... Ryzyko... Miała wszak w sobie instynkt gry... (Herman przejrzał ją.) W innej epoce z uniesieniem postawiłaby na kartę własne życie.

Powiedzmy szczerze: Herman, od chwili kiedy to dostrzegł, zaczął ją wykorzystywać. Nie oszczędzał teraz Anetki. Zapomniał o niebezpieczeństwach, na jakie ją narażał. Choroba nie zna litości.

Anetka zaczęła działać. Udało się jej natrafić na ślad młodego jeńca zamkniętego w obozie koncentracyjnym pod Angers. Za pośrednictwem Międzynarodowej Agencji Więźniów w Genewie przesłała mu list i między przyjaciółmi zawiązała się znowu nić życia. Anetka wysyłała i odbierała na swoje nazwisko listy, które oni do siebie pisywali. W tajemnicy zabierała je od Hermana i przynosiła odpowiedzi.

Gdy na pierwszych słowach pierwszego listu Franza spoczęły jej oczy, nie mogła ich oderwać: było to wołanie miłości, która ogarnęła ją niby dwojgiem ramion. Próbowała wyrwać się, ale zabrakło jej sił i przeczytała do końca. Skończywszy siedziała z listem na kolanach,

bez tchu, wyczerpana, jak gdyby po odpartym ataku. Z trudem zdołała ukryć przed Chavannes'ami otaczającą ją świetlistą atmosferę. Ale zostawszy sam na sam z Hermanem rozbłysła taką radością, że zrozumiał natychmiast; wyciągając ręce powiedział rozkazującym, drżącym od zniecierpliwienia głosem:

– Proszę mi go dać!

Usunęła się, a on czytał. Pokój zaległa cisza. Anetka stojąc przy oknie patrzyła nie widząc na ciemne podwórze. Słuchała, ciężko oddychając, szmeru suchych liści. Potem i to ucichło. Poprzez mury dolatywał z ulicy powolny turkot zaprzężonego w woły wozu. Zdawał się toczyć nie poruszając się naprzód, przywodził na myśl ciszę i bezruch równin Francji środkowej, czas zatrzymany w miejscu. Krzyk poganiacza, niby krzyk ptaka, leciał przodem. Dudnienie cichło powoli, aż wstrząśnięte nim stare mury wróciły do zwykłej nieruchomości. W duszach ożył znów strumień czasu. Głos Hermana zawołał:

– Anetko!

Odwróciła się i podeszła. Leżał twarzą do ściany, obok niego na łóżku otwarty list.

– Niech pani przeczyta – powiedział.

– Proszę o przebaczenie! Już czytałam! – wyznała.

Podał jej dłoń nie patrząc.

– Miała pani do tego prawo. To pani, pani go przecież zawdzięczam.

Potem bez słowa, które by zdradziło jego wzruszenie, ujął skraj jej sukni i pocałował.

Odtąd na życzenie Hermana czytywała listy obu przyjaciół; fala miłości płynęła przez nią, ona zaś barwiła ją własnym kolorytem i swoistym blaskiem. Każdy z nich obu kochał za siebie tylko, ona zaś za nich obu i za siebie. Była drzewem, na którym spotykały się dwa ptaki, słuchała wśród listowia płomiennej pieśni przyjaźni. Świeższe stało się powietrze, młodsze niebo nad odmłodzonym nagle drzewem jej życia. Zacierała się świadomość przeżytych lat, wojny...

Cudowny i dziwny duet! Kiedy zamykała oczy, by lepiej go słyszeć, wydawało się jej, że jeden głos był głosem młodej dziewczyny, drugi zaś głosem kobiety matki. Matka wyciągała ramiona, córka padała w nie.

Pierwsza pieśń Franza głosiła triumf wyzwolenia. Nareszcie znalazł ucieczkę! Od trzech lat dusił się we wstrętnej ciżbie stłoczonych dusz i ciał. Nikogo to nie przejmowało równie silnym poczuciem arystokratycznego wstrętu... Nie być nigdy samym! Najstraszniejsza to samotność!... Zatraca się swoje ja. Nie miał owej przeobfitej życzliwości serc zbyt bogatych, które nadmiar swój rozlewają dokoła, bez względu na to, czy przepadnie on, czy nie... „Pij, trzodo, lub nurzaj się w strumieniu! Jeśli nie ty, ziemia wypije..." Bał się dzielić swoją wizję życia z oczami, które nie są zdolne odbicia jej ukazać. Z drugiej zaś strony, brak mu było wspaniałej pełni wielkich artystów–samotników, którzy wystarczają sami sobie: są sobie światem. Był wrażliwym dwudziestosiedmioletnim chłopcem, podobnym do młodej dziewczyny trawionej namiętną potrzebą otworzenia swego spętanego serca i przelania płynących zeń strumieni uczuć w serce silniejsze a życzliwe. Strumień ten zbyt jest słaby, by sam dopłynąć do celu, jeśli nie znajdzie rzeki miłości, która by go uniosła. Oddaje się przez egoizm. Być bowiem wziętym, znaczy brać. Znaczy napełnić swą falą duszę, która za was żłobi dolinę... Duszę tę odnalazł ponownie. Płonął radością.

Krótko to trwało... Owa pierwsza radość wyczerpała się po kilku dniach, a niecierpliwe serce czuło tylko ból rozłąki. Pragnienie i samotność wyrywały z jego ust krzyki bólu. Nierzeczowe listy Franza niewiele mówiły o jego życiu, ale wołały. Niewątpliwie zresztą cenzura nie przepuściłaby rzeczowych szczegółów dotyczących obozu. Ze wszystkich ograniczeń to jednak najmniej ciążyło młodemu więźniowi, który zajęty wyłącznie sobą, mało miał czasu, by myśleć o innych. Opowiadał o sobie z naiwną i wzruszającą, nadmierną ufnością. Odznaczał się owym gorączkowym, bezwolnym a czułostkowym sentymentalizmem właściwym

niektórym Austriakom o duszach nieco ckliwych i nieco płaczliwych, których jedyny ratunek stanowi wdzięk i młodość. Śpiew jego był pieśnią – *Lied* – w formie nieustannego ronda przepojonego elegijną czułością. Słowik wyczerpywał się śpiewem, wsłuchiwał się we własną pieśń. Serce jego krwawiło; płakał nad swym sercem. Nawet ten, którego kochał więcej niż siebie samego, był nim samym i siebie w nim kochał, niby żywe echo, które odpowiadając podejmowało i przeciągało własny jego drżący śpiew.

Pieśń Hermana brzmiała pewniej. Melodia płynęła równo, nie łamiąc się. Czysta, nie ozdobiona owymi wokalizami i trylami linia. Panował nad sobą, mówił o sobie niewiele. Nic zaś, prawie nic – o stanie swego zdrowia; myślał bowiem o przyjacielu i bał się go niepokoić. Za to w listach mnóstwo było pytań o zdrowie Franza, o poziom higieny w obozie, o stosunki z przełożonymi i towarzyszami. Pocieszał go, udzielał rad, koił, powtarzał niezmordowanie czułe, cierpliwe i naglące upomnienia temu wielkiemu dziecku, które przez pół tylko ich słuchało. To drobiazgowe naleganie było nawet trochę śmieszne, ale on – sam będąc kpiarzem – obojętny był na cudzy śmiech. Jeśli Anetka czytając uśmiechała się, to dlatego tylko, że odnajdywała u tego mężczyzny własne uporczywe niepokoje, owo macierzyństwo serca, które nie potrafi stawiać granic swej nieukojonej potrzebie roztaczania opieki. Odkrywała w tych dwu mężczyznach wieczny pierwiastek kobiecy tkwiący w każdej istocie ludzkiej. Wychowanie tłumi go w mężczyźnie, wstydziłby się do niego przyznać. Była tym odkryciem wzruszona, gdyż znała czystość ich dusz.

Nic dwuznacznego. Przejrzyste niby kryształ płomienne uczucie, tak naturalne i tak nieuniknione jak prawo ciążenia. Dwie dusze, dwa światy wirujące dokoła słońca po orbitach splecionych jak sieć dłońmi sieciarza. Dwie samotności zespolone w rytm wspólnego oddechu. Samotność tego, który nie rozumie żadnego z praw trzody ludzkiej, zabłąkanego w dżungli wśród małp i tygrysów i wołającego o ratunek. I samotność tego, który rozumie wszystko, który rozumie za wiele; na niczym mu nie zależy, nic go nie wiąże, lecz jedna istota ludzka, jedna jedyna potrzebuje go, by istnieć. I to daje jego życiu wartość odkupicielską. Zbawca wybawia i sam jest wybawiony przez tego, którego zbawił.

Czemuż jednak ni jeden, ni drugi nie szukał ratunku w ramionach tej, którą dała nam natura, by do niej kierować płomienną falę naszych pragnień i niepokojów lub splatać z naszymi jej pragnienia i jej niepokoje? W ramionach kobiety? To ich tajemnica... Anetka domyśla się tylko. U Franza lękliwość i rezerwa wobec ludzi. U Hermana, być może, przedwczesny zawód i uraza (nie on jeden z kolegów w okopach doznał tych uczuć). Przez obu przemawia instynkt, prawdziwy czy fałszywy, ale potężny, głoszący, że kobieta to świat odmienny. Herman żywi dla Anetki serdeczny szacunek, zwierza się jej, lecz ona nie łudzi się: wie, że się zwierza, bo jest jedyną, u której może szukać pomocy. Pewny jest, że mu lojalnie odda każdą przysługę, nie ma jednak pewności, że go rozumie. Anetka odgaduje, że niejednokrotnie słowa jego są skierowane ponad jej głową do niewidzialnego przyjaciela. Czytając ich listy widzi różnicę harmonii między jej rozmowami z Hermanem, które są jakby kontrapunktem różnych motywów serdecznie splecionych, a melodyjnym duetem przyjaźni, duetem, w którym każdy ton budzi swym drganiem akord bratni. Nie jest o to zazdrosna; czuje raczej ulgę. Są chwile, gdy woli się słuchać pięknego koncertu, niż brać w nim udział.

Bierze jednak ów udział, choć o tym nie wie, gdyż oba te głosy w niej się jednoczą. Ona jest duszą skrzypiec.

*

Rodzina Chavannes'ów nie chciała nic wiedzieć o tej tajemniczej wymianie myśli, przenoszonych skrycie przez wchodzącą i wychodzącą z domu posłanniczkę. Wymianę korespondencji pochwyciły jednak badawcze oczy małego, znudzonego siedmiolatka, który śledził wszystko i snuł swoje rojenia. Chłopiec nie powiedział nic. Wiódł ukryte własne życie nie

zwierzając się starszym. Nie rozumiejąc notował wszystko, co dostrzegał, i budował na tym ciekawe romanse. Myślał, że między Hermanem a Anetka nawiązała się przelotna miłostka, a ponieważ pociągała go owa jasnowłosa kobieta wnosząca ze sobą do domu jakąś światłość, czuł w sercu dziwny niepokój. Nienawidził jej i kochał szaleńczo.

Wyniosła pani de Seigy–Chavannes odwracała oczy; nie chciała o niczym wiedzieć.

Pani de Mareuil istotnie nie wiedziała o niczym. Jej lojalna dusza niezdolna była podejrzewać tego, co potępiało surowe pojęcie obowiązku. Zbyt szanowała Hermana, by móc przypuścić, że jak ona nie poświęcił niepodzielnie swego serca wymaganiom ojczyzny. A ona właśnie bardziej niż ktokolwiek inny byłaby zdolna odczuć nieodpartą słodycz owych więzów przyjaźni. Czyż jednak Herman śmiałby powoływać się na swe do nich prawa wobec tej kobiety ograbionej ze wszystkiego, co kochała, i bez słowa skargi dającej Bogu w ofierze swój ból i swoją rezygnację? Jedna tylko pani de Chavannes – matka – została dopuszczona do tajemnicy Hermana. Trudno było wszystko przed nią zataić. Widywała, jak syn pisze i odczytuje listy, i przechowywała je z całą dyskrecją. Nie mogła tego pochwalać ni ganić: widziała, jak choroba zżera syna; przestała sądzić jego czyny, pragnęła tylko, by miał bodaj tę jedyną radość, i drżała z obawy, by tajemnica nie została odkryta wywołując konflikt pomiędzy chorym a resztą rodziny. Zadałoby to podwójny cios jej sercu, z jednej bowiem strony, przyznawała rację rodzinie, z drugiej – syn był przecież jej synem. Istnieje prawo – i to, co jest poza prawem.

Nieustępliwa pani de Seigy–Chavannes czuła również, nie przyznając się zresztą do tego, że brat jej miał prawo do przywileju, który był sprzeczny z prawem. Była siostrą. Widziała śmierć na twarzy Hermana i wobec Tej, która nadchodziła – milkła. Musiała wiedzieć, że ukrywają coś przed nią, ale czyniła wszystko, by pozostało to dla niej nie odkryte. Zbliżając się do drzwi pokoju chorego, oznajmiała swoje nadejście głośnymi słowami dając mu czas na usunięcie z jej oczu tego, czego oczy te nie powinny oglądać.

Uraza jej zwróciła się ku Anetce przychodzącej do chorego coraz częściej. Zdradzał to tylko lodowaty chłód, nie uchybiający zresztą ścisłym przepisom grzeczności. Było to dość dla tych dwóch kobiet równie świadomych wymowy milczenia. Złożono na Anetkę odpowiedzialność za historię, w której odgrywała tylko rolę narzędzia. Przyjmowała to bez drgnienia powiek. Przychodziła tylko ze względu na Hermana, reszta jej nie obchodziła.

Obeszło ją natomiast stwierdzenie, że już nie może pomóc dwom przyjaciołom.

Listy od jeńca nagle przestały przychodzić. Na skutek epidemii w obozie czy też w formie represji wstrzymano wszelką korespondencję na kilka tygodni. Ta niepokojąca cisza wprawiała chorego w stan gorączkowego podniecenia. Gdy zagubimy drogę do odnalezionego źródła, pali nas tym sroższe pragnienie. Herman był niby pustynia sucha i rozpalona; co dnia witał Anetkę spojrzeniem żądnym i wściekłym, czuł do niej urazę, że nie spełnia jego oczekiwań. Stan psychicznego podniecenia podsycał chorobę, która z kolei podniecenie to podwajała. Po okresie pozornego spokoju, kiedy postępujące zatrucie organizmu zdawało się być wstrzymane, wystąpiło ono teraz ze zdwojoną siłą, atakując narządy wewnętrzne. Po kilku dniach złudnej ulgi choroba wybuchła ze wzrastającą brutalnością. Nigdy nie było wiadomo, gdzie przerzuci się jej niszczycielskie działanie, gdyż przybierała coraz to inne formy. Gdy zdawała się już odepchnięta z jednego miejsca, ukazywała się w innym. Był to pożar trawiący samo serce domu: wybuchające na zewnątrz płomienie gasi się, lecz do źródła ognia dotrzeć można dopiero wtedy, gdy dom runie. Dla wszystkich było widoczne, że nie da się już nic zrobić.

Herman wiedział o tym najlepiej. Wyczerpywały go tajemne walki z ukrytym nieprzyjacielem i czuł się pokonany. W tych daremnych zmaganiach odmienił się jego charakter. Chory, ciążąc samemu sobie, trwając ciągle w postawie samoobrony, przestaje mieć względy dla innych; egoizm jest jego ostatnią ucieczką. Myśli wyłącznie o sobie, o swej chorobie i swoich pragnieniach. W owe noce, kiedy Herman leżąc na swoim stosie obserwował bezsilnie coraz

wyżej strzelający płomień, ogarniała go szaleńcza żądza, by raz jeszcze, nim ogień pochłonie go całego, mógł ujrzeć przyjaciela.

Choć niechętnie – matka wpuszczała Anetkę do pokoju chorego, gdyż on tego żądał; nie rozmawiali zresztą wcale i wizyty upływały teraz w milczącym bezruchu. Kiedy Anetka wchodziła, oczy Hermana śledziły ją przez chwilę pytająco, potem gasły, rozczarowane, i znów wszystkie siły pochłaniało cierpienie. Anetka daremnie usiłowała rozerwać chorego. Nic go nie interesowało. Milkła czasem w połowie opowiadania. Gdy jednak czując się niepotrzebna chciała odejść, wstrzymywał ją gestem i ostrym wyrzutem. Nie mogła wyrzutu tego uznać za niesłuszny, obwiniała się o to, że roznieciwszy w nim nadzieję, nie była teraz w stanie jej urzeczywistnić.

Pewnego dnia, gdy zostali sami – matka odprowadzała lekarza, który raz jeszcze usiłował go łudzić – Herman ujął dłoń Anetki i powiedział:

– Jestem skazany.

Usiłowała protestować, on zaś powtórzył:

– Jestem skazany. Wiem o tym. Ale chcę, muszę go jeszcze zobaczyć.

Potrząsnęła głową z wyrazem zniechęcenia, ale nim zdążyła odpowiedzieć, powtórzył twardo:

– Chcę.

– Cóż znaczy wola człowieka?

– I pani to mówi? Pani?

Przygnębiona, pochyliła głowę, a Herman ciągnął tonem gorzkiej urazy:

– A wszystkie zapewnienia? Kobiece przechwałki? Tak? Pani kłamała!

Nie broniąc się odrzekła:

– Biedny przyjacielu, uczynię wszystko, czego pan zażąda. Ale co? W jaki sposób?

– Niech pani znajdzie sposób! Nie pozwoli chyba pani, abym umarł nie zobaczywszy go.

– Pan nie umrze!

– Umieram. Nie buntuję się przeciw śmierci. Nie ma na to rady. To prawo... Ale na ludzką głupotę przystać nie mogę. On jest tutaj, w pobliżu, on, mój jedyny przyjaciel, a ja miałbym go nie widzieć, nie dotknąć jego ręki, uścisnąć po raz ostatni... To potworne.

Anetka milczała myśląc o tysiącach nieszczęśliwych, którzy w krwawej rzeźni okopów, gdzie powoli upływa z nich życie, wyciągają ramiona do dalekich domów; tam w samotnym łożu nie zna spokoju bezsenny lęk o ukochanych. Herman odgadł jej myśli.

– Niech inni poddają się losowi – powiedział – ja nie. Mam tylko jedno życie, a i ono trwać będzie zaledwie chwilę. Nie mogę czekać. Chcę tego, do czego mam prawo.

Anetka milczała ze ściśniętym sercem. Jej współczujące ręce próbowały uspokoić chorego, ale odepchnął ją z gniewem i odwrócił się do ściany. Wyszła.

Gdy wróciła nazajutrz, po nocy pełnej gorączkowych rozmyślań, chory, leżąc bez ruchu, powiedział ponuro i spokojnie (spokój ten bardziej był przygnębiający niż wczorajszy wybuch):

– Przepraszam panią. Byłem szalony. Mówiłem o sprawiedliwości, o moim prawie. Nie ma żadnej sprawiedliwości, a ja nie mam żadnych praw. Biada tym, którzy padli. Mogę tylko przypaść twarzą do ziemi i napełnić nią usta, by stłumić swój krzyk. Robak wije się pod stopą, która go miażdży. Bzdury. Milczę i nie stawiam oporu.

Położyła mu dłoń na wilgotnym od potu czole i rzekła:

– Nie. Trzeba stawiać opór. Nic jeszcze nie jest stracone. Spotkałam przed chwilą pańskiego lekarza. Radzi pana matce, aby zawiozła pana do Szwajcarii, do sanatorium. Tutejsze powietrze jest zbyt duszne, ciężkie, wilgotne, przyprawia o anemię, a atmosfera moralna nie

mniej jest przygnębiająca. Jesteśmy mimo wszystko zatruci wojną. Tam, w świeżym górskim powietrzu, wśród niepamięci, która rozkwita na szczytach, przyjdzie pan na pewno do zdrowia. Tak mi powiedział lekarz.

– Kłamstwo. Tak, i mnie powiedział to samo. Wiedząc, że jestem skazany, wysyła mnie, bym zdychał gdzieś daleko. Pozbywa się mnie po prostu... Ale ja powiem „nie". Umrę tutaj.

Anetka starała się go przekonać, ale powtarzał:

– Nie.

I zacisnął zęby nie chcąc mówić, zapamiętały w upartym oporze.

Pochylona nad łóżkiem, zapytała ze smutnym uśmiechem:

– Czy to z jego powodu?

– Tak. Jeśli wyjadę z Francji, będę jeszcze dalej od niego.

– Któż wie? – rzekła Anetka.

– Co takiego?

Pochyliła się niżej jeszcze:

– A gdyby to był, przeciwnie, sposób, by zbliżyć się właśnie do niego?

Chwycił ręce Anetki i przytrzymał ją tak, nachyloną:

– Co pani mówi?

Chciała się wyrwać. Ale nie puszczał. Twarze ich były tak blisko, że czuli swoje oddechy.

– Trzeba jechać do Szwajcarii, drogi przyjacielu. Niech się pan zgodzi!

– Niech pani mówi, niech pani jaśniej wytłumaczy.

– To boli. Proszę puścić. Chcę się wyprostować.

– Nie. Musi pani wpierw wytłumaczyć.

Schylona nad poduszką, opierając się dłońmi o piersi chorego, by nie upaść, powiedziała cicho i spiesznie:

– Niech pan słucha... To nic pewnego... To tylko możliwość... Może to źle, że mówię o tym panu... Ale spróbuję Gotowa jestem ryzykować wszystko...

Ściskał jej dłonie coraz mocniej:

– Dalej. Dalej. Niech pani mówi.

– Myślałam dzisiaj w nocy... I wchodząc tutaj, gdy usłyszałam rozmowę o projektowanej podróży do Szwajcarii.... Gdyby on mógł uciec...

Herman objął Anetkę. Padła na łóżko twarzą na jego twarz. Zaczął jak szalony całować na oślep jej oczy, nos i szyję. Minęło kilka sekund, nim, zaskoczona, mogła wykonać jakiś ruch. Potem ześliznęła się na kolana przy łóżku, a w końcu wstała. Nieświadomy tego, co uczynił, uniósłszy się na rozrzuconej pościeli krzyczał:

– Pani mu pomoże do ucieczki. Przywiezie mi go pani do Szwajcarii!

– Cicho!

Umilkł. Oboje, wstrząśnięci, z trudem chwytali oddech.

Kiedy odzyskała możność poruszania się i mówienia, dała mu znak, by położył się z powrotem. Usłuchał. Poprawiła prześcieradło, kołdrę i poduszki. Pozwalał na wszystko leżąc posłusznie, bez tchu. Gdy skończyła, siadła w nogach łóżka i oboje nie pamiętając o tym, co zaszło (nie chodziło przecież o nią ani o niego), zaczęli półgłosem omawiać świeżo powstały projekt.

*

Anetka pojechała do Paryża. Odwiedziła dawnego przyjaciela, Marcelego Francka, który przywdział piękny uniform: był wysokim urzędnikiem Ministerstwa Sztuk Pięknych. Wracał właśnie z Rzymu z jakiejś misji, wolnej od niebezpieczeństwa, ale nie od zaszczytów, i

chwilowo był przydzielony do wykwintnego biura, które zajmowało się, na tyłach oczywiście i bez gorączkowego pośpiechu, ratowaniem dzieł sztuki. Nie czuł bynajmniej przesadnego zapału do służby wojennej, a samą wojnę uważał za głupią, to znaczy naturalną: głupota bowiem była w jego oczach normalnym stanem ludzkości. Bez przesadnego też zapału zajął się sprawą Anetki.

Przyjął ją niezwłocznie i powitał dawnym uśmiechem, uśmiechem tajemnego porozumienia. Nosił teraz wspaniałą łysinę, którą przetworzył na nowy powab elegancji; twarz ciągle młoda, oczy żywe, piękne zęby, w obcisłym mundurze o ciepłym tonie błękitu było mu doskonale.

Byli sami. Po wymianie powitań Anetka drogą nieco okólną wyjaśniła cel swej wizyty; jednocześnie przyglądała się Marcelemu, który w uśmiechu ukazywał zęby. Nie przerywał, słuchając przyjacielsko, z pewnym roztargnieniem, i wodził oczyma po jej postaci od stóp do głów. Przerwała nagle:

– Ależ pan mnie nie słucha.

– Naturalnie, że nie – przyznał. – Widząc nareszcie panią, wolę robić co innego. Przepraszam. Ale mimo wszystko słyszę. Wiem dobrze, że pani nie przyszła, by mnie zobaczyć, ale chce pani czegoś ode mnie, i najszczęśliwszy będę mogąc to pani ofiarować. Zatem, ponieważ sprawa jest z góry załatwiona, patrząc na panią biorę z góry zapłatę.

– Proszę nie przypatrywać się zanadto. Postarzałam się już.

– *„Południe. Król lata...”*

– Raczej można by mówić o jesieni.

– Drzewa jesienne mają najpiękniejsze barwy.

– Każdy woli jednak kwiaty.

– Ja kocham i kwiaty, i owoce.

– O tak, pan wszystko kocha... Czy chce pan słuchać?

– Proszę mówić. Zamieniam się cały we wzrok.

– Domyślił się pan, oczywiście, że przychodzę z prośbą. Wstydziłabym się, gdybym pierwszą wizytę po tak długim niewidzeniu składała, by prosić o pomoc. Ale nie chodzi tu o mnie.

– Nie ma więc powodu, by się tłumaczyć.

– A więc dobrze. Gdy idzie o kogoś, kim się interesuję; nie wstydzę się niczego.

– Ktoś, kim pani się interesuje, jest również panią.

– Może. Nie wiadomo, gdzie się zaczyna i kończy osobowość.

– A więc komunizm w odniesieniu do osobowości! Zatem to, co należy do pani, należy do mnie. Dzielmy się. Proszę mi opowiedzieć o swojej sprawie.

Anetka opowiedziała mu o młodym jeńcu. Marceli znał jego nazwisko. Widział nawet na jakiejś wystawie kilka jego „kawałków”, choć nie bardzo pamiętał, co to było. Każdy jednak malarz wchodzi w zakres jego kompetencji. Miło mu było przy okazji pochwalić się przed Anetka swymi wpływami i szerokością poglądów. Wkrótce uzyskał dla niej zezwolenie na odwiedzenie Franza w obozie jeńców.

Anetka użyła na tę małą wyprawę ferii wielkanocnych. Zamiast spędzić je z synem, który się tego spodziewał, pojechała do Angers. Trzeba było najpierw zbadać sytuację, a przede wszystkim poznać osobiście Franza, gdyż wszystkie dalsze plany zależały od tego, jaki on był.

Od tak dawna już patrząc przez pryzmat uczuć przyjaciela doznawała wzruszenia na myśl, że zobaczy Franza. Dzieląc myśli Hermana przejęła i jego uczucia; jechała z jego polecenia, toteż patrzyła jego, a nie swoimi oczyma.

Była to owa miękka podatność umysłu, znana każdej kobiecie, z którą też każda walczy i zarazem ją hoduje, zna bowiem jej niebezpieczeństwa i odczuwa słodycze. Wystarczy, by rozluźniła się kontrola woli – już ulega i pozwala tej sile nieść się po pochyłości.

Siedząc w pociągu zbliżającym się do Angers Anetka uspakajała bijące niecierpliwie w jej piersi serce Hermana.

*

Franz niewiele nacierpiał się w niewoli. Obóz, w którym przebywał, cieszył się względną swobodą. Liczni więźniowie pracowali w mieście, zobowiązani jedynie do punktualnego stawiania się na poranny i wieczorny apel. Nadzór był łagodny; nie uważano więźniów za niebezpiecznych, a w tej odległości od granicy nie mogli nawet marzyć, by do niej dotrzeć, gdyby im przyszło do głowy uciekać. Nikomu się to rzeczywiście nie śniło. Większość tych poczciwców stanowili ludzie mieszkający we Francji jeszcze przed rokiem 1914, a chociaż cierpieli nad rozłączeniem z rodzinami w Niemczech, nieśpieszno im było wracać i brać udział w niebezpieczeństwach i walkach, które stały się udziałem tamtych. Okoliczni drobni *bourgeois* – mieszkańcy okolicy, jednej z tych bogatych, sennych dzielnic zachodniej Francji – rozumieli ich doskonale i mówili im o tym całkiem szczerze.

Franz malował. Żona kapitana zarekwirowała go do lakierowania na biało drzwi w jej salonie oraz odświeżania różowych a przyblakłych tyłków pasterek bawiących się z amatorkami, które wykwitły na suficie tegoż salonu pod pędzlem jakiegoś starego ucznia Bouchera. Praca ta nie byłaby przykra, gdyby kapitanowa nie rościła sobie prawa do traktowania wszystkich bez wyjątku ujarzmionych Szwabów jak parobków. Dumny i nieśmiały, o arystokratycznej nadwrażliwości młodzieniec cierpiał z powodu afrontów, które ześliznęłyby się gładko po twardej skórze jego towarzyszy. Może dlatego właśnie dama ta znajdowała w tym takie upodobanie. Najpospolitsza nawet samica ma dość sprytu, by przejrzeć swą ofiarę, gdy idzie o zaspokojenie instynktu okrucieństwa.

Po całodziennej robocie Franz wracał jakby odarty ze skóry; zamiast zaciągnąć się świeżym powietrzem i fajką, a odetchnąwszy głęboko wraz z dymem odpędzić troski i cieszyć się słodyczą zmierzchu (wieczorne niebo miało dziś ton delikatny i ciepły jak policzek brzoskwini), szedł zgnębiony i przybity. Wtedy właśnie podeszła do niego Anetka. Usunął się gwałtownie, by ją wyminąć. Wobec kobiet zachowywał się z jakąś dziką płochliwością, jednocześnie czując do nich pociąg. Anetka zawołała go po nazwisku. Spojrzał z ukosa, nie zatrzymując się, z niepokojem w oczach i ze zmarszczonymi brwiami, zmieszany i zirytowany, jakby szło o zamach na jego cnotę. Anetka uśmiechnęła się widząc, jak ten młody Józef broni swego płaszcza. Powiedziała:

– Herman mnie przysyła...

Stanął, osłupiały, bełkocąc:

– Herman Chavannes?...

Spojrzał jej badawczo w oczy, ona zaś skinęła twierdząco.

Franz chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

Biegł przodem jak dziecko, któremu spieszno, a zaskoczona Anetka nie próbowała uwolnić palców z jego dłoni, choć zdawała sobie sprawę, że ktoś mógł ich zauważyć.

Lecz było już późno, nie napotkali nikogo prócz młodej wieśniaczki, która się roześmiała na ich widok. Przez boczną uliczkę Franz wyszedł na pola. Półrozwalony mur otaczał sad; w załomie tego muru, zakryci nim od spojrzeń przechodniów, usiedli; kolana ich stykały się; Franz, nachylony ku Anetce, nie puszczając jej ręki, jął błagać:

– Herman?...

W blasku ledwie sączącego się światłą, który zwiastuje nadejście nocy, Anetka czuła, jak przylgnęły do niej te oczy natrętnego żebraka. Naglił, by mówiła, i jednocześnie przeszkadzał jej. Patrzyła w te oczy zmienne, to podejrzliwe i zamykające się w sobie, to odsłaniające się, władcze, to nagle zgasłe, mętne i jak gdyby senne. Włosy miał jasnokasztanowate, krągłe czoło, cienki nos, usta nieco odęte, a na twarzy o chłopięcym wyrazie malowało się oczekiwanie, wiecznie wahające się pomiędzy nadzieją radości a obawą cierpienia. Wydawał się dzieckiem. Anetka porównywała go z portretem skreślonym przez Hermana dziwiąc się, że mógł wzbudzić takie przywiązanie...

Niecierpliwie zaciskające się na jej rękach dłonie przypomniały jej, że Franz czeka na odpowiedź. Zaczęła więc mówić o nieobecnym przyjacielu, a on co chwila zarzucał ją pytaniami, przerywając, pełen niepokoju, opowiadanie o chorobie Hermana; próbowała je złagodzić przechodząc od troski o nieobecnego ku trosce o tego, który był przy niej i którego trzeba było oszczędzać...

Zabrzmiała obozowa trąbka i oboje przypomnieli sobie, że trąbiono już raz przedtem. Trzeba się było rozstać. Anetka z trudem skłoniła Franza, by wracał, przyrzekając mu długą rozmowę nazajutrz. Gdy mieli się pożegnać, Franz zwolnił uścisk i spostrzegł, że dotąd trzyma ręce Anetki, Spojrzał na nie, potem na swoje i powiedział:

– Te ręce go dotykały...

Z twarzą ukrytą w jej dłoniach oddychał ich wonią.

*

Anetka bardzo szybko zdała sobie sprawę, że Franz niezdolny jest obmyślić i wykonać praktyczny plan działania. Nie brakło mu odwagi, przeciwnie, gotów był ryzykować wszystko, do tego stopnia, że trzeba go było powstrzymywać od rozpaczliwych i nieprzemyślanych szaleństw. Na pierwszą wzmiankę o ucieczce ogarnął go tak nieprzytomny zapał, że Anetka ucięła w pół zdania, zachowując dla siebie wszystko, co obmyśliła. Nierozwaga i zuchwałość Franza mogły wszystko zepsuć. Należało poczynić wszelkie przygotowania bez niego, a wtajemniczyć go w całą sprawę dopiero w chwili działania. Wątpliwe wydawało się nawet, czy będzie w ogóle zdolny do samodzielnego działania; trzeba go było prowadzić za rękę krok za krokiem. Szanse, słabe dotąd, spadły niemal do zera. Mimo to Anetka nie zrezygnowała: niewolnica przyjętego zobowiązania, pochwycona falą tej dziwnej, namiętnej przyjaźni, była niby wyspa u zbiegu rzek – uderzana prądem z dwu stron. Wyspa jest nieruchoma, lecz w wirze wód zdaje się obracać. Nie będąc sama podniecona, Anetka odczuwała jednak jakby zawrót głowy.

Była to u obu przyjaciół egzaltacja umysłów pozbawionych kontaktu z rzeczywistością, romantyczna rycerska więź, jaką stwarzają namiętne dusze na przekór negującemu ją światu, wyraz wyjątkowo silnego buntu przeciw wyjątkowo silnemu uciskowi. Rycerskość ta miała u starszego i silniejszego charakter bohaterski: Herman w zamęcie walki bronił słabszego, a padając przeniósł na młodego towarzysza całe przywiązanie do życia, jakie mu pozostało. Młodszy, osamotniony wśród wrogiego świata, odczuwał rodzaj mistycznego uwielbienia dla przyjaciela–opiekuna, z którego oddalenie czyniło istotę niemal nieziemską, podobną do świętych wyniesionych na ołtarzach. To wojna zniekształcając w ten sposób uczucia, wyolbrzymiała je; w normalnym czasie pozostałyby na przeciętnym poziomie życia codziennego. Niebezpieczeństwo i rozgorączkowanie uniosło je wyżej, w sfery dosiężne tylko skrzydłom modlitwy. Dla serc przeżywających wszystko najpełniej, a na poły już oderwanych od życia przyjaźń jest na równi z modlitwą jedną z dróg prowadzących do bóstwa. Żadne z nich trojga, którzy złączeni nią byli: Herman, Franz i Anetka – nie wierzyli w Boga i żadne z nich nie

spostrzegło, że niby Jowisz w swoich metamorfozach, Bóg przybrał dla nich postać Przyjaźni. Przesyceni nim, płonęli żądzą poświęcenia.

Spośród nich trojga Anetka była w najdziwniejszej sytuacji. Dla żadnego z nich nie czuła dotąd nic przypominającego miłość. Jej własne uczucia nie wykraczały poza braterską litość, naturalną skłonność każdej szlachetnej kobiety dla istoty nieszczęśliwej, która cierpi i łaknie jej pomocy, zwłaszcza jeśli nieszczęśliwym tym jest mężczyzna, bowiem jego złamana siła pociąga ją i wzrusza. Ale ponieważ Herman i Franz nie mogli się połączyć ani działać, ona bierze udział we wzruszeniach, jakie przekazują sobie poprzez nią – swego pośrednika; w zastępstwie, kochają się wzajemnie niejako w niej i jej jednej zdali działanie.

Ciężka sprawa! Czyż podejmując się jej nie była szalona? Zostawszy sama, do takiego doszła wniosku i chciała zatrzymać się. Ale maszyna już się rozpędziła, a każdy obrót kół wciągał ją coraz dalej.

W pociągu, który wiózł ją z powrotem do Paryża, Anetkę ogarnęło przerażenie na myśl o nieprzezwyciężonych wprost trudnościach i o niebezpieczeństwach. Nie widziała żadnego sposobu, by wywiązać się wobec obu przyjaciół z zobowiązań, które bezsłownie zaciągnęła. Podobna była do mrówki usiłującej wydobyć źdźbło przyciśnięte skałą. Gdyby nawet zdołała je wydostać, skała wisząca nad nią może ją zgnieść wraz z łupem. Lecz ta groźba nie powstrzymywała nigdy mrówki, w wypadku Anetki zaś była to może jedna więcej podnieta dla tej strony jej osobowości, która nie znosiła brutalnej pogróżki. Stronę zaś drugą, słabszą, napawało to chwilami przerażeniem.

„Mój Boże, czegóż się podjęłam! Czy nie mogłabym się odrzec, zrezygnować i uciec? Któż mnie do tego zmusza?

Ja sama. To mój obowiązek."

Stała samotna w obliczu olbrzymiej góry – Państwa. Patrzyła w groźne oblicze ojczyzny. Czuła nad sobą gotowe zdeptać ją stopy gniewnych potężnych bogiń. Lecz chociaż mogły ją zniszczyć, nie mogły pokonać. Przestała w nie wierzyć. Z chwilą kiedy ujrzała uczucia najpierwotniejsze i święte: miłość i przyjaźń zdeptane przez te nieludzkie potwory – zmilkło wszystko. Pozostała siła. Przeciw sile – dusza!

Szaleństwo? Być może! Ale w takim razie szaleństwem jest także dusza. Żyję tym szaleństwem i kroczę poprzez otchłanie jak apostoł po wodach morza.

*

W Wielki Wtorek przyjechała do Paryża, gdzie na pobyt pozostawało jej już tylko pięć dni ferii świątecznych.

Obojętny Marek doznał gorzkiego rozczarowania. Przed sześciu miesiącami można by było powiedzieć, że brak mu ofiary, tej, która przez niego cierpiała. (To całkiem ludzkie! Kochające serce po to jest, by go nadużywano.)

Ale teraz ani on nie miał ochoty nadużywać, ani Anetka stan taki przyjmować. Sytuacja zmieniła się: w ciągu sześciu ostatnich miesięcy przesiał swe uczucia miłości i przyjaźni i uczynił to z tak gorzką dokładnością, że zostało mu więcej słomy niż ziarna. Spojrzenie jego było teraz twarde, szczególnie ostre, bezlitosne dla każdego przedmiotu, na którym spoczęło: mniejsza z tym, czy był to on sam, czy ktoś inny. Nie były to oczy matki, trochę krótkowzroczne, pełne ciepła, rozświetlone od wewnątrz; ani też oczy złośliwego wróbelka oczy ciotki, która chwyta w przelocie każdą śmiesznostkę i dla której wszystko nadaje się do kpin lub pożarcia. Marek nie uznawał kompromisów, skrupulatnie badał wszystko i niewiele potem zostawało z jego przypadkowych przyjaźni; uparcie starał się dostać do ich jądra, by doszukać się w nim robaka, pustki lub jakiejś obrzydliwości. I wśród owych plew jedno tylko

ziarno ostało się całe i nienaruszone: serce matki. Daremnie próbował na nim dzioba, nie mógł go zadrasnąć. Nie wiedział jeszcze, z jakiej mąki było to serce, ale fakt, że pozostało nietknięte, bez śladu zepsucia, wzbudził w Marku szacunek i niewyznaną chęć przeniknięcia do wnętrza... Lubił Sylwię, lecz uczucie to nie pozbawione było ostrza życzliwej wzgardy, a ona odpłacała mu tym samym. Wiedział, że może liczyć na jej udział w każdym spisku, i cenił to w niej, gdyż podobała mu się ludzka niesprawiedliwość, jeśli była dla niego korzystna (pod warunkiem, by było to świadome; wobec głupców był bezlitosny). Anetkę traktował zupełnie odmiennie od Sylwii. Anetka była duszą wartą zdobycia. Bo jedno jeszcze uświadomił sobie przed sześciu miesiącami: matka kocha go, ale on nie ma nad nią władzy. Owa miłość macierzyńska jest silnym i niezawodnym instynktem, lecz Marek chce więcej: bardziej niż kochać, pragnie poznawać i być poznawanym, pragnie posiąść to, co najtajniejsze, najlepsze – nie samą matkę, ale treść jej istoty. Matka jest jednakowa dla wszystkich: to bezimienna rodzicielka. Lecz każda istota ma swoją własną treść ukrytą i niepodobną do żadnej innej, stanowiącą jej jakby odrębny aromat. Czuł ów aromat, chciał dotrzeć pod łupinę aż do wonnego ziarna... „Chcę ciebie, chcę tego, co jest tobą, co niepowtarzalne! Chcę posiąść twoją tajemnicę!."

Po co? Co z nią uczyni? Czy nasyciwszy się odrzuci? Serca młodzieńcze, niby małe gryzonie, chcą mieć wszystko, a nic zachować nie umieją. Lepiej, by pożądany przez nie skarb niedostępny był ich zębom.

Tak było z Anetką. Daremnie ofiarowywała się z uśmiechem na swych pięknych ustach; nie posiadając sama klucza do skarbca kryjącego tajemnicę jej istoty, nie mogła złożyć jej w darze. Na szczęście! Ileż już razy w życiu byłaby wszystko roztrwoniła. Ten nietknięty azyl pociągał Marka jak młodego Wikinga zdobycie świątyni.

Liczył na to, że zawładnie nią podczas ferii wielkanocnych. Zaciskał z wściekłością pięści widząc, że nie przyjeżdża. Kiedy zjawiła się w końcu, przeszło tydzień był już stracony! Należało spiesznie nawiązać bliższy kontakt, do którego tylekroć już próbowała doprowadzić, a przed którym on tylekroć się wzbraniał. Spodziewał się, że Anetką raz jeszcze, jak podczas ostatnich wakacji, da mu do tego sposobność. Zamierzał dać się prosić i tym razem – ustąpić.

Ale tym razem myśli Anetki zajmowało co innego. Nie uczyniła nic, by go zachęcić do mówienia. Miał swoje tajemnice? Doskonale! Niechże je zachowa dla siebie. Ona miała swe własne i chciała je zachować.

Marek musiał poprzestać na obserwowaniu „obcej" – najbliższej mu, a dalekiej – matki. Próbował dojrzeć coś z zewnątrz, przez okiennice. Dotąd ona to pragnęła zobaczyć, a on krył się barykadując drzwi i okna. Upokarzająca zmiana sytuacji!

Anetką nie kryła się wcale...

„Patrz, jeśli chcesz!..."

Po prostu nie zajmowała się nim, a to go upokarzało najbardziej! Lecz nie miał wyboru, musiał przełknąć ten niewinny afront, gdyż ciekawość oraz przyciągający go magnes silniejsze były od miłości własnej.

Zastanawiały go teraz spokój i niewzruszoność tej kobiety, jakże odmiennej od pyłu dusz pędzonych podmuchem wiatru. Dom przypominał rozbity okręt. Maszyny były popsute, załoga wyczerpana, tajfun szalał w sercach. Śmierć nakreśliła znowu na drzwiach swoje czerwono–czarne piętno. Wkrótce po ostatnim pobycie Anetki w Paryżu Apolonia popełniła samobójstwo; Anetka jednak dowiedziała się o tym dopiero teraz: Sylwia rozmyślnie nie wspominała jej dotąd o niczym. W końcu listopada odnaleziono w Sekwanie ciało szalonej. Aleksy znikł bez śladu: przepadł w otchłani zapomnienia.... Znikli także, dwaj młodzi Bernardinowie, lecz ci w innej otchłani, w tej, która się zowie sławą, podobnej do owych rozpadlin – motyw godny epopei – do których w Andaluzji strącają skłute rogami byków konie. Nie pozostało z nich nic w glinie Sommy wymieszanej niby ciasto diabelskimi rękami – ogniem dwu wrogich

artylerii. Nieszczęście zwaliło się na rodzinę Bernardinów jak huragan: starczyło kilku sekund, by ród ich został zniszczony. Stało się to przed dwoma zaledwie tygodniami. Bernardin–ojciec był niby powalony uderzeniem byk, o przekrwionych oczach; walczyły w nim zażarcie dwa uczucia – wściekłość i wiara, i były chwile, w których porywał się do walki z Bogiem. Lecz Bóg był silniejszy; i oto teraz człowiek, zmiażdżony, zwiesił głowę i poddał się.

Nazajutrz po przybyciu, w nocy, znalazła się Anetka wraz z mieszkańcami domu – zdziesiątkowanym ludzkim stadem – w piwnicy, gdzie stłoczył ich alarm lotniczy. Nie zostało śladu serdeczności pierwszych miesięcy wojny, kiedy to poszukiwano wzajemnie swego towarzystwa, by łącząc swą wiarę i nadzieję zwielokrotnić ich zasoby. Mimo wysiłków podejmowano, aby zachować zarazem formy grzeczności i pozory wzajemnego zainteresowania, czuło się, że każda grupa rodzinna, a w każdej grupie każda jednostka odosobnią się zamykając w granicach swej zasychającej komórki. Nad wszystkimi zdawało się ciążyć gniewne znużenie, a najbanalniejsza wymiana słów grzecznościowych zdradzała swym tonem natarczywą obecność cierpienia. Każdy niemal z tych biedaków miał długi rachunek, ogromną wierzytelność krzywd, rozczarowań, żałoby i goryczy. Komuż jednak przedłożyć rachunki do zapłaty? Gdzie krył się Dłużnik?... Skoro go nie było, każdy bliźni musiał płacić swą cząstkę w ogólnym rachunku uraz.

W owym kwietniu 1917 roku wszędzie, jak Francja długa i szeroka, dojrzewało ślepe niezadowolenie. W Rosji wybuchła rewolucja, a w ogniu tej zorzy polarnej niebo u brzegów widnokręgu spływało krwią. Pierwsze wiadomości o rewolucji dotarły do Paryża przed trzema tygodniami; przed tygodniem zaś, w Niedzielę Palmową, lud paryski na ogromnym wiecu hałaśliwie ją oklaskiwał. Ale ludowi brakło przywódców: nikt nim nie kierował, nikt nie próbował podjąć wspólnej akcji; nic poza bezlikiem sprzecznych poczynań i jednostkowych egoizmów, które, cierpiąc, nie umiały się zjednoczyć: nie trudno byłoby je złamać. Duch rewolucji rozdrabniał się na odosobnione przejawy buntu, który w owych kwietniowych dniach skrycie szerzył się w obu armiach. Lecz te pułki, ci zbuntowani, podobnie jak biedni mieszkańcy domu, nie wiedzieli sami, czego chcieli, co oczywiście wykorzystywali ich kaci. Wszyscy wiedzieli jedno: że cierpią – i szukali, na kim by się zemścić.

Te nieprzyjazne uczucia przebijały nawet w gestach i tonie głosu – bardziej niż w słowach – tych „ludzi jaskiniowych". Zamiast połączyć przez wszystkich dźwigane brzemiona, każdy – rzec by można – porównywał własne z cudzymi i obwiniał bliźniego o to, że jemu pozostawił najcięższe. Bernardin i Girerd obnosili się ze swą żałobą, wydzierając sobie wzajemnie palmę pierwszeństwa. Kłaniali się sobie chłodno, ale nie rozmawiali wcale. Cierpienie tworzy także granice. Nie przekraczali ich.

Anetka wyraziła gorące współczucie Urszula, i Justynie Bernardin. Te pełne rezerwy dziewczęta, które nigdy nie zamieniły z nią dotąd ani słowa, były wprost wstrząśnięte tym spontanicznym przejawem współczucia. Zarumieniły się ze wzruszenia; potem nieśmiałość i niedowierzanie wzięły górę i obie siostry wycofały się powracając do swej skorupy – pod swe żałobne welony. Anetka nie nalegała. Gotowa była nieść pomoc tym, którzy jej potrzebują; lecz sama nie potrzebowała nikogo. Nie starała się narzucać ani siebie, ani swoich poglądów.

Dokoła niej, w piwnicy, rozbrzmiewały słowa nacechowane zimnym fanatyzmem. Clapier opowiadał o premierze filmu *Umarli wstać!* przedstawiającego zbrodnie niemieckie i zaopatrzonego w taki komentarz:

„Kimkolwiek by był wróg twój, bratem, krewnym czy przyjacielem, zabij go! Wiedz, że z każdym zabitym Niemcem zmniejsza się nieszczęście dręczące ludzkość!"

Pani Bernardin z całą słodyczą opowiadała sąsiadce o Lidze *Souvenez–vous!*[53] założonej dla zbożnego utrzymywania nienawiści do nieprzyjaciół. Anetka słuchała w milczeniu. Marek śledził wyraz jej twarzy. Nie drgnęła nawet. Nie okazywała też nic po sobie, gdy Sylwia swoim zwyczajem opowiadała szowinistyczne bzdury przeplatając je plotkami ze swojej dzielnicy. Anetka nie przerywała jej uśmiechając się bez słowa i zaczynała mówić o czym innym. Nie zdradzała nic z tego, co się w niej działo. Nawet śmierć Apolonii, ta okrutna wieść, która powinna była spowodować jakąś żywszą reakcję, wywołała tylko błysk litości w jej oczach. Marek, którego tragedia ta wzburzyła do głębi, zirytowany opanowaniem matki, spróbował je zburzyć; zaczął opowiadać z silnym podnieceniem i w jaskrawych słowach, co widział i czego się dowiedział. Anetka jednym gestem zamknęła mu usta. Brała udział w rozmowie tylko wówczas, gdy chciała, i wszystkie wysiłki wciągnięcia jej do dyskusji były daremne. Marek pewny był jednak, że matka ma na wszystko własny pogląd. Z kilku spokojnie rzuconych słów poznał, że w głębi duszy obojętna jest wobec tego, co drugich roznamiętnia: wojny i ojczyzny. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej... Czemuż nie mówiła?

Rewolucja rosyjska wstrząsnęła Markiem. Wziął udział w wiecu, który się odbył pierwszego kwietnia. Przyszedł z ciekawości, ale zarażony nastrojem tłumu, oklaskiwał potem Séverine[54] i wygwizdał Jouhaux[55]. Widział, jak Rosjanie płakali na dźwięk swego hymnu rewolucyjnego, a chociaż gardził płaczem, nie uważał ich za pozbawionych męskiej wielkości. Ale nie wiedział, co o tym myśleć. Po kilku próbach rozmowy z tymi Moskalami poczuł się im obcy; raziły go i irytowały owa niewzruszona jak zasady geometrii nietolerancja, owa narodowa próżność wyzierająca spod czerwonego płaszcza, owa obraźliwa ironia w stosunku do Francji i Francuzów...

– Ach, mam już tego dosyć!...

Marek chętnie traktował bliskich z ironią, lecz nie znosił, by traktowano tak jego... A poza tym ta upokarzająca, bezwstydna poufałość!... Był arystokratą z instynktu; nie pociągał go ideał współżycia z tymi bandami „Żydo–Azjatów" (to jego słowa, głuptasa!...). Dawszy się unieść entuzjazmowi cofa się teraz gwałtownie; reakcje jego są zmienne, niekiedy może słuszne, najczęściej niesłuszne, nie zastanawia się jednak nad nimi: jakie są, to są; i on jest taki, jaki jest. Dyktatura ojczyzny czy proletariatu – widzi tylko wybór między dwiema odmianami tyranii, dwoma obłędami, gdzie rozstrzyga rozum. Serce jego nie dość jest ludzkie, nie dość wielkoduszne, by rozstrzygnąć na korzyść ludu – własnym nawet kosztem. Aby dokonać wyboru, musiałby zrozumieć. A nie pomoże mu w tym ani Pitan, ani jego towarzysze! Pitan stanął oczywiście pod nowym sztandarem, ale mgliste jego argumenty zamiast pociągnąć, raczej odpychały młodego Riviére'a: mistycyzm klęski i zniszczenia, radosny pesymizm, upojenie poświęceń...

– Tere–fere! Niech się poświęca nie rozumiejąc ten, co nie ma nic do stracenia! Ja muszę ocalić wartość bezcenną: moje ja, moją inteligencję, moje przyszłe zdobycze. Gdy już zawładnę wszystkim, co jest moją własnością, gdy wszystko dokładnie zobaczę i przeżyję... no... wtedy!... Wtedy poświęcę się w pełnym świetle... Tak... może! Ale w ciemnościach, z zawiązanymi oczyma?... No, nie, mój stary! Poświęcenie kreta to nie w moim guście. Daj mi w dłoń inne światełko (choćby nędzny ogarek), byle nie „panowanie proletariatu".

Czy Anetce przyświeca inne światło? Nadaremnie Marek usiłuje ją zdemaskować. Prowokacyjnie wygłasza wobec matki jakieś ekstrawagancje. Ona zdaje się nie słyszeć; cios trafia w

---

[53] *S o u v e n e z – v o u s* (fran.) – Pamiętajcie.

[54] S é v e r i n e – pseudonim K. Rémy–Guebhardt, namiętnej radykalizującej publicystki, ówczesnej członkini francuskiej partii socjalistycznej.

[55] J o u h a u x Léon (1879–1952) – zwolennik syndykalizmu, działacz reformistycznych związków zawodowych. W czasie pierwszej wojny światowej szczególnie gwałtownie dążył do podporządkowania międzynarodowego ruchu związków zawodowych imperialistycznym interesom Ententy.

próżnię. Markowi pozostaje tylko wstyd za to, co mówił. Czyż ta kobieta nie myśli?... Myślenie było u Marka jakby podrażnieniem skóry, ostrą wysypką. Ulgę przynosi wtedy tylko rozdrapywanie, ocieranie się o innych. Myśleć – było dla niego zawsze aktem napaści. Myśleć – to rzutować swe myśli, godzić nimi w innego człowieka. Chce czy nie chce, musi je przyjąć!... Anetka zaś wydawała się obojętna na to, czy ludzie myślą tak jak ona, czy nie...

Nie, obojętna nie jest. Czuje tylko instynktownie, że myśli kiełkują zwolna jak rośliny. Niech więc dojrzewają powoli! Jeżeli przedwcześnie wyjrzą na świat, zwarzy je pierwszy nawrót mrozu. W duszach, które ją otaczają, jest jeszcze zima, nie trzeba ich budzić z letargu, kojącego troski i wątpliwości. Zgubą byłoby dla nich przedwczesne przebudzenie.

Stając na progu Anetka słyszy, jak o piętro wyżej złorzeczy głośno robotnik Perret. To gwałtowna dyskusja , z towarzyszem. Perret przyjechał na kilkudniowy urlop ogromnie rozgoryczony. To, co widział na froncie i na tyłach, trwonienie życia, mienia, utrata złudzeń, demoralizacja we własnej rodzinie, córka, która się puszcza, kobiety zepsute łatwym zarobkiem w rzeźniach mięsa ludzkiego, wydające pieniądze na głupstwa... – wszystko to prowadzi do wściekłego buntu przeciw towarzyszom broni, dowództwu, światu. Mimo to z pasją upiera się przy swoim: „Do ostatniej kropli krwi!" A gdy towarzysz anarchista drwi i próbuje zachwiać jego przekonania, woła:

– Stul pysk, bo cię zrzucę ze schodów!... Czego chcesz ode mnie? Czy nie mam już tego wszystkiego dosyć? Głupi! Myślisz, że to takie mądre, jeśli mi dowiedziesz, że oszukano nas wszystkich, że ojczyzna, jak i cała reszta, to wielka blaga, że mordują nas za nic! W cóż, u diabła, mam wierzyć? Nie wierzę już w rewolucję. Nie wierzę w religię. Nie wierzę w ludzkość (to jeszcze głupsze i jeszcze bardziej puste niż co innego!). O co się zaczepię, jeśli mi i ojczyzny zabraknie? Przyjdzie chyba palnąć sobie w łeb!...

Anetka rozumie Perreta, ale Marek by nie zrozumiał...

„A niech sobie palnie w łeb!..."

Młodość nie ma litości dla nędzy słabego, który, by żyć, szachruje życiem. Marek nie szachruje nigdy. A że jest młody i mimo wszystko chce żyć, więc razem z kolegami – anarchistami, dadaistami[56] – mści się obecnie wystawiając na pośmiewisko, bez granic ni miary, wszystko, co istnieje, ośmieszanie posuwa do ekstrawagancji; ci młodzi mszczą się wyskokami absurdu, mszczą się tym nierozumnym postępowaniem za zabójczą nicość rozumu...

A najmniej ze wszystkiego rozumie własną matkę, wyzwoloną (gotów na to przysiąc) z wszystkiego, co ją otacza, i nie potrzebującą wcale napadać, by siebie bronić. Matka nie krytykuje nic, nie zwalcza żadnej cudzej myśli. Ma swoje myśli, swój rozum, swój dom i trzyma się tego. Zbudowała mocne fundamenty... Na czym?

Anetka jest kobietą. Serce jej przepaja namiętna myśl. Nie pragnie ogarnąć nią wszechświata. Pole jej wyobraźni wypełnia dokładnie czyn wyraźny, trudny, określony. Nie zależy jej na rozwikłaniu tragicznego problemu, jaki przeżywa świat. Problem ów i owa tragedia zamykają się dla niej w obowiązku, który jej... który sama sobie narzuciła. Musi ocalić przepełniające ją święte uczucie: Przyjaźń... Nawet nie to!... Musi ocalić dwu przyjaciół, z których losem została związana. Obowiązku tego nie rozszerza na los innych ludzi. To jej przypadło w udziale i starczy jej tego zupełnie; całą duszą oddaje się swemu obowiązkowi. Aby sprostać temu wezwaniu, gotowa jest zapomnieć o ludzkim szacunku, przekroczyć każde z ludzkich praw: przemówiło wyższe od tamtych prawo...

Gdyby każdy czynił podobnie na swym ograniczonym odcinku działania, byłaby to największa Rewolucja ludzkości.

[56] D a d a i ś c i – przedstawiciele skrajnie formalistycznego, dekadenckiego kierunku literackiego powstałego we Francji około 1917 roku. Nazwa tego kierunku pochodzi od słowa „dada" – gaworzenie dziecka.

*

Wyjechała z Paryża nie zdradziwszy swej tajemnicy przed nikim, zwłaszcza przed synem. Marek pragnął zbliżenia, ale zgodnie ze swoim zwyczajem samoobrony przybierał ustawicznie wrogą postawę wobec uczuć, które matce przypisywał: szczególnie sarkastyczny i wzgardliwy okazywał się w stosunku do domniemanego jej pacyfizmu.

Anetka nie miała najmniejszej ochoty dyskutować na ten temat. Wojna czy pokój – to nie jej sprawy. To zbyt odległe. Trzyma w swych dłoniach ręce dwu ludzi, którzy jej zaufali i których musi połączyć. Tu nie chodzi o idee. To życie, ich i jej własne. A jej życie zostało postawione na kartę. Cóż za bezsensowna gra! Tak osądza ją rozum! Ale serce ma swoje racje, a tu właśnie serce doszło do głosu.

W czasie pobytu w Paryżu pochwyciła jedno tylko pożyteczne dla jej planów słowo. Marek mówił przypadkowo o rewolucjonistach rosyjskich we Francji, którym alianci odmawiają paszportów, gdy chcą wracać do kraju, aby walczyć. Mimo to wyjeżdżają. Słyszy się również o tajemnych, przeprowadzanych okólną drogą kontaktach francuskich przeciwników wojny z ich towarzyszami w Szwajcarii. Sieć z drutu kolczastego, która więzi i odbiera oddech myśli francuskiej, ma dziury, przez które słabo tętniące życie znajduje sobie przejście: listy i gazety krążą przez te mysie dziury w granicy. Pitan trzyma nici tej niebezpiecznej zabawki, która tylko dzisiejszym władcom wydaje się niewinna. Mało jest bowiem szans, by swobodniejsze nieco słowa dostały się do zatkanych uszu i przeniknęły przez skorupę wielkiego jaszczura, którym jest Naród pod bronią. Lecz słowa te podsycają złudzenie tych ludzi, którzy choć okuci w łańcuchy, usiłują dowieść samym sobie, że są wolni. Anetka zapamiętała nazwisko Pitana, trzeba będzie z nim pomówić. Ale nie przyszło jej nawet na myśl, by użyć pośrednictwa Marka.

Wróciła na prowincję do swej pracy w szkole i wiedzie teraz długie tajemne narady z Hermanem. Przywiozła mu bezpośrednią wieść o przyjacielu, jego niewidzialną obecność. Roztrząsają teraz oboje wielki projekt. Anetka nie mówi o swoich wątpliwościach, a nie widzi jeszcze żadnych realnych możliwości działania. Lecz Herman nic o tym nie powinien wiedzieć. Na razie idzie głównie o to, by rozbudzić w nim wolę życia i skłonić do wyjazdu; choć niewielkie nadzieje przywiązywać można do zmiany powietrza, jest to ostatnia szansa i trzeba jej próbować. Hermanowi trudno się zdecydować, chciałby wyjechać dopiero w przeddzień ucieczki Franza, gdy będzie miał całkowitą pewność. Ale plan działania jest ciągle niesprecyzowany. Tylko straszny egoizm namiętności czyni Hermana ślepym na śmiertelne niebezpieczeństwa, na jakie naraża zarówno przyjaciela jak i Anetkę. Gdyby dostrzegł je nawet, nie patrzyłby na nie oczyma ludzi żywych: śmierć otacza go zewsząd – jej nurt sięga mu już do ramion. By go uspokoić, Anetka stwarza pozory przygotowań do właściwej akcji. Przy pomocy Marcelego Francka uzyskuje pewne przywileje dla młodego Austriaka. Ze względu na stan zdrowia zostaje on zwolniony z obozu jeńców i otrzymuje zezwolenie na zamieszkanie w mieście, bez ścisłej kontroli, pod pozorem studiów związanych ze sztuką francuską. Ta różnica w traktowaniu jeńców była częstsza podczas wojny, niż można by przypuszczać. Pewien *Privat–Dozent*[57] z Berlina poruszał się całkiem swobodnie, bez żadnego nadzoru, w jednym z miast środkowej Francji. Sześćdziesięciu internowanych wybitnych Niemców mieszkało w wygodnym pensjonacie w Carnac wraz z żonami lub kochankami, mając zupełną swobodę ruchu na obszarze stu hektarów. Kiedy minęło podniecenie pierwszych lat wojny, zaczęto się przyzwyczajać do jeńców i w niektórych okolicach wchłonęło ich normalne życie prowincji. Nowy stan rzeczy zostaje milcząco przyjęty, a nadzór znacznie łagodnieje. Franz na tym korzysta, a Herman dopatruje się tu pierwszych kroków na drodze do swobody.

[57] P r i v a t – D o z e n t (łac.) – profesor nieetatowy.

Pod naciskiem lekarza, rodziny i Anetki przystaje na wyjazd. Anetka dała mu do zrozumienia, że powinien jak najszybciej zamieszkać w Szwajcarii, by zawczasu przygotować wszystko na przyjęcie przyjaciela po ucieczce. Herman jednak coś podejrzewa:

– Anetko! Niech mnie pani nie okłamuje – mówi. – Wolę umrzeć tutaj. Nadużywać zaufania konającego, by go wywieźć ukołysawszy wprzód obietnicami, których się nie zamierza dotrzymać, to byłoby podłe.

– Nikt nie może przyrzec, że mu się powiedzie! – odpowiada Anetka. – Ale przyrzekam, że dla pana nie cofnę się przed żadnym ryzykiem. Czy pan mi wierzy?

– Tak, wierzę.

W przeddzień wyjazdu Herman zdaje sobie sprawę, że dla niego może zgubić siebie samą. Już chce powiedzieć:

„Anetko! Zwalniam panią... Rezygnuję..."

Ale namiętność jest silniejsza... Nie. Nie rezygnuje! Póki istnieje jedna bodaj szansa!...

Żegnając ją powiada tylko:

– Przepraszam! — nie tłumacząc, dlaczego.

Niech ginie dla niego! Jego dzień zgaśnie już za godzinę...

Wyjechał z początkiem sierpnia pod opieką matki i pani de Mareuil.

Anetka została sam na sam z niemożliwym do wykonania zadaniem, którego się podjęła.

Jest to jak najbardziej fatalny moment dla wszelkiej tajnej akcji. Niebezpieczeństwo wzrosło. Po złagodzeniu władzy w pierwszych miesiącach 1917 r. nadszedł okres represji i denuncjacji. Rząd, który nędznie skapitulował przed rewolucyjnymi strajkami i wiosennymi zamieszkami, teraz, kiedy upadły, mści się za swój strach i tchórzostwo. Zaczyna się era fingowanych spisków „defetystycznych", a ten obłudny system ogarnia wszystkie kraje alianckie. Wielka fabryka oszczerstw napełnia niebo Europy i Ameryki kłębami cuchnącego dymu. Oto gałąź, i to poważna, przemysłu wojennego. „Kontakty z wrogiem!": ten slogan, ta fikcja upoważnia teraz do każdej najpodlejszej denuncjacji! „Unilon Sacrée contre la Trahison"[58], nowy, stworzony we wrześniu związek kultywuje owe hańbiące choroby wzajemnej nienawiści i podejrzeń. Każdy zbroi się przeciw sąsiadowi, każdy śledzi nawet własny cień.

Przez całe lato Anetka szuka na oślep, nie posuwając się nawet o krok. Wszystko ją zawodzi. Nie może jechać do Franza nie zwracając na siebie uwagi, a listy są czytane. Jak ułożyć z nim jakiś plan? Zresztą, jaki plan? O tym, by pieszo przebył całą Francję, nie mogło nawet być mowy: uwięziono by go natychmiast. Należało odbyć tę drogę szybko i działać metodą zaskoczenia. Powinna spotkać się z Franzem w drodze, w dalekobieżnym pociągu pośpiesznym, i odwieźć go do granicy. Ale pociągi jadące do Szwajcarii były starannie rewidowane przy odjeździe i przyjeździe. Któż zresztą przeprowadzi go z miasta, gdzie jest internowany, do pociągu niosącego mu wolność? Kto będzie przewodnikiem przy przekroczeniu granicy? Jedna osoba nie mogła żadną miarą wykonać tego planu. Anetka zaś nie ma nikogo, komu by mogła zaufać...

Z pomocą przychodzi Jej przypadek. Na okres wakacji wróciła do Paryża. Jest już w swoim mieszkaniu i ma w ręku jakiś stłuczony porcelanowy półmisek; jest to jedna z niewielu pamiątek dawnego, eleganckiego urządzenia domu przy Quai de Boulogne, gdzie obie siostry spędziły miodowe miesiące pierwszej przyjaźni. I Sylwia stoi właśnie przy niej, a piękny stłuczony półmisek o głębokich tonach szafiru, jakie mają zasnute mgłą oddalenia Alpy, przywodzi na myśl krajobrazy minionych dni. Sylwia podaje siostrze adres zręcznego rzemieślnika, który mógłby skleić ów półmisek; i Anetka rozpoznaje nazwisko Pitana.

Rusza zatem na poszukiwanie. Niewielką mogła mieć nadzieję, że go zastanie; Sylwia uprzedziła ją, że Pitan nieustannie wędruje, a sklepik jego bywa najczęściej zamknięty. Anet-

[58] *Union Sacrée contre la Trahison* – Święta Unia przeciw zdradzie.

ka udaje się jednak pod wskazany adres na przedmieście Paryża i wyjątkowo znajduje Pitana w domu.

Zdziwiony jest tą wizytą. Nie uwierzył w podany przez nią pretekst, choć ciężkie jego ręce, w które złożyła porcelanowe skorupki, stają się troskliwe i delikatne ujmując opadłe płatki kruchego, zrodzonego wśród żaru ognia kwiatu... ale kto przychodzi z tak daleka dla drobnej naprawy? Pitan czeka nie okazując pośpiechu ni zdziwienia. Prosi grzecznie Anetkę, by usiadła, sam zaś stojąc przed nią (stojąc niewiele jest wyższy niż ona, gdy siedzi) słucha i patrzy swymi dobrymi, aksamitnymi oczyma. Człowiek ten, w którego życiu kobieta nie zajmowała żadnego miejsca, nie czuł nigdy zakłopotania rozmawiając z kobietami; robi to całkiem naturalnie i na stopie przyjacielskiej. Kobiety, nawet najbardziej przebiegłe, mają w sobie coś dziecinnego i instynktownego i to właśnie ułatwia im porozumienie z Pitanem. Ten naiwny człowiek umie czytać w nich jak w otwartej księdze, nie dziwiąc się ich wybiegom i zręcznie maskowanym pragnieniom. .Nie gani nigdy i nie przeczy, gdy kłamią. Gdy mówią „tak" zamiast „nie", kiwa tylko dobrodusznie głową, ale poważne jego oczy zdradzają, że rozumie ich „tak" jako „nie". A one nie gniewają się widząc jego serdeczny uśmiech. Uważają go za towarzysza, którego nie można ani oszukać, ani wciągnąć do swych sprawek, towarzysza szczerego i wyrozumiałego, który je przyjmuje takimi, jakimi są, i takie, jakie są – szanuje.

Zaufanie szybko musi się zrodzić między wyczekującymi oczami wiernego pudla i jasnymi źrenicami, które są jak okna nie przesłonięte firanką. A rzucone przez Anetkę imię Marka przełamuje ciszę. Żółtawa, brodata twarz Pitana rozpromienia się:

– A więc to pani jest panią Rivière?

Wszystko, co o niej wie i czego się domyśla, sprawiło, że. czuje dla matki Marka wielki szacunek, który pośpiesza;. jej okazać.

– Pan mnie zna? – pyta.

– Znam syna pani.

– Nie jest do mnie wcale podobny.

– Oczywiście, że nie. Jest taki jak wszyscy chłopcy. Wysila się, jak może, by nie być podobnym do matki. Dlatego właśnie znam panią.

– Krępuję go, więc mnie unika.

– Niechże pani nie biega za nim! Życie jest jak tor wyścigowy. Biegnie dokoła. Trzeba tylko poczekać: im bardziej oddala się od pani, tym bardziej się zbliża.

Twarz mu się rozjaśnia. Anetka śmieje się. Są już na wspólnym, znanym sobie terenie: Marek. Są już przyjaciółmi. Porozmawiawszy z Anetka o chłopcu Pitan zapytuje:

– Czym mogę pani służyć? Czy idzie o niego? Anetka czerwieni się lekko, widząc, że przeniknął kłamliwość jej pretekstu.

– Nie, nie o niego. Ale przyznaję, przyszłam prosić o radę, której pan będzie mógł mi udzielić. Proszę przebaczyć, że szłam okrężną drogą, zamiast mówić wprost.

– O, ja zaraz wiedziałem... Nie ma się po co tłumaczyć. Udało im się z tą ich „Union Sacrée", człowiek musi się bać człowieka... „Cicho! Sza! Szpieg słucha!"... Gdy pani weszła (szczerość za szczerość!), i ja trzymałem język za zębami.

– Teraz już będę szczera! – mówi Anetka. – Pan zaś postąpi, jak zechce.

Pitan nie był nadętym zarozumialcem. Dobrodusznie odpowiada:

– Ze mną można mówić śmiało. Niech pani mówi! Obojgu nam trudno ukrywać swoje myśli.

Po prostu, bez obsłonek Anetka wyznaje, co zamierza uczynić.

Pitan drgnął ze zdumienia, lecz nie przerywa jej opowiadania. Gdy zaś skończyła, odkaszlnął i mówi:

– Ale czy wie pani, na co się pani naraża?

– To nie wchodzi w rachubę — odpowiada spokojnie.

Pitan odkaszlnął znowu. Zastanawia się, co może skłamać tę kobietę do narażania życia i czci. Waha się, czy mówić, czy nie. Anetka to odgadła.

– Chce mnie pan o coś zapytać. Proszę!

– Przepraszam panią bardzo! Jeśli chodzi pani o dobro tego młodego jeńca, którym pani się interesuje, to lepiej byłoby dla niego pozostać tam, gdzie jest. Po co go narażać, skoro jest w bezpiecznym miejscu?

– Nie idzie o jego bezpieczeństwo ani też o moje.

Nie owijając w bawełnę Pitan ciągnie dalej:

– Więc pani tamtego kocha?

Anetka znów się czerwieni. (Jakże młodą ma jeszcze krew!)

– Żadnego z nich nie kocham, Pitanie, zapewniam pana! Jestem już za stara. W tym wieku już się o tym nie myśli. Ani mi to w głowie. Idzie o ich przyjaźń, nie o ich przyjaźń dla mnie: ja nie liczę się w ich oczach – o ich wzajemną przyjaźń.

– I to dlatego?...

Pitan nie kończy swej myśli. Anetka mówi:

– Czyż to nie warte, by się za to poświęcić?

Pitan uważnie przygląda się Anetce, ona zaś dodaje, jakby usprawiedliwiając się:

– Jeden z nich umrze niedługo... Nie ma więc nad czym dyskutować, prawda?

Pitan nie dyskutuje. Zrozumiał. Samo szaleństwo szlachetnego planu starcza, by go przekonać. Spogląda na Anetkę z uwielbieniem.

– Ale nie może pani tak sama!... – mówi po namyśle.

– Skoro nie można inaczej! – odpowiada.

Pitan namyśla się jeszcze przez jakiś czas; potem skłania się przed Anetka, bierze w dwa palce odrobinę kurzu z podłogi i niesie ją ku czołu.

– Co pan robi? – pyta Anetka.

— Zaciągam się pod pani sztandary... A teraz proszę słuchać! (Wziął stołek, i usiadł tuż przy niej, by móc mówić półgłosem.) Jest to fizycznym niepodobieństwem, by pani mogła załatwić jednocześnie wszystko, tu i tam... Pomoc jest niezbędna... Poza tym ma pani inne obowiązki. Syn. Nie trzeba, jeśli to możliwe, narażać go na kompromitację, obciążać jego nazwiska i przyszłości ryzykując, że panią złapią. Nie byłby pani za to wdzięczny. Ja nie narażam nikogo poza sobą. Co dzisiaj wart człowiek samotny? Niech mi pani pozwoli zorganizować wszystko. Znam się na tym. Biorę na siebie odpowiedzialność! Zrobię wszystko, co możliwe.

– Ależ, Pitan! – zawołała wzruszona. – Pan nie zna nawet ludzi, dla których chce się pan narażać.

– Znam przyjaźń! – odpowiada. – Oni są przyjaciółmi obaj, pani jest ich przyjaciółką, już trzecia, a razem ze mną jest nas czworo. Przyjaźń to magnes. Trzeba być twardszym od żelaza, żeby mu się oprzeć.

– Dzisiejszy świat potrafi to doskonale.

– Wiadoma rzecz, że świat obecny jest światem olbrzymów. Ale my, proszę pani, nie sięgamy tak wysoko. Jesteśmy sobie całkiem zwyczajni ludzie.

Zaczęli roztrząsać projekt i Pitan, bez dyskusji, wziął na siebie lwią część zadania. Ułożyli, że to on utrzymywać będzie bezpośredni kontakt z młodym jeńcem. W odpowiedniej chwili stanie się jego przewodnikiem i w genewskim pociągu przekaże go Anetce. Przez swych przyjaciół miał też zająć się sprawą przekroczenia granicy. Lecz należało przedtem zbadać teren. Unikać pośpiechu. W najbliższych tygodniach Pitan miał obmyśleć pretekst do zwiedzenia obozu jeńców, wówczas pozna Franza i ostrożnie położy pierwsze podwaliny... Pitan

mówił o ostrożności, ale płonął cały. Ryzyko było ogromne. W razie niepowodzenia sprawa wchodzi w kompetencje sądu doraźnego – oskarżenie o zbrodnie szpiegostwa i zdrady stanu. Ale o tym Pitan nawet nie pomyślał... To znaczy nie liczył się z tym wcale, choć rozumiał sytuację. (Kto wie, czy to go nawet w głębi duszy .nie pociągało?)

Jak wiemy, Pitan miał ochotę stać się „pokarmem". Podbiła go chimeryczność projektu. Zapalił się, a ze spuszczoną głową i błyszczącymi oczyma podobny był do psa, gdy wpadnie na trop... Nagle umilkł, zaśmiał się wstydliwie i rzekł:

– Niech pani wybaczy, ale oboje jesteśmy jednakowo szaleni. Dziś, gdy wszystko w gruzach, miasta i ludzie, ja z całym zapałem kleję stłuczoną porcelanę, pani zaś chce kleić kawałki przyjaźni... Jest z czego się śmiać! A więc śmiejmy się razem! Kum Colas[59] powiedział: „Im więcej zbierze się razem szaleńców, tym będą mądrzejsi..." Kto wie? Może się później okaże, że my właśnie byliśmy mądrzy!...

*

Zaraz nazajutrz Pitan rozpoczął prace przygotowawcze. Wymagające cierpliwości rzemiosło wyuczyło go odmierzać każdy ruch. Posuwał się więc powoli, krok za krokiem. Minęło całe lato. Gdy Anetka wróciła do swej pracy, data wykonania projektu nie była jeszcze ustalona. Ale nici między trojgiem spiskowców zostały solidnie nawiązane, a w dniu wyjazdu Anetki z Paryża Pitan ruszył na granicę szwajcarską, aby przygotować wszystko do wykonania drugiej części projektu.

Przebywając w sanatorium pod Chateau–d'Oex Herman niecierpliwił się oczywiście. Nie mógł swobodnie wypowiedzieć się w listach, a i tak pisał za dużo, stał się męczący i zgorączkowany. Anetka pisała do niego:

„Czy pan chce popsuć wszystko?"

Wówczas żądał, by powtarzała nieskończoną ilość razy to samo:

„Niech pani przysięgnie! Przysięgła pani."

„Przysięgłam – mówiła sobie. – Tak, trzymasz mnie za słowo. Umierasz i pociągasz nas za sobą!... Małą wagę przywiązujesz do naszego życia... Biedaku! Rozumiem cię... Nie próbuję się uwolnić..."

Rozpoczęła trzeci rok pracy w szkole. Ale sytuacja jej zmieniła się całkowicie. Dom Chavannes'ów opustoszał. Anetka nie tylko utraciła towarzystwo przyjaciół, do których się przywiązała, lale także opiekę, z której korzystała nic o tym, nie wiedząc. Zazdrość i wrogość mieszkańców miasteczka, podsycona może przez zbliżenie się Anetki z rodzimą Chavannes, nie mogła dotąd wypowiadać się otwarcie; lecz teraz, gdy zabrakło owej chroniącej tarczy, przestano Anetkę oszczędzać. Wiedziano, że siostra Hermana, pani de Seigy–Chavannes, jedyna z całej rodziny, która została w kraju, nie lubi jej; od wyjazdu brata ani razu się z nią nie widziała. Złośliwe obmowy do tej pory skrywane mogły teraz wyjść na światło dzienne. Od dwu lat ród kobiecy gromadził cierpliwie a bez dobroci obserwacje, ziarnko po ziarnku, niby mrówki, a teraz każda przynosiła do publicznego spichrza swoje zapasy. Połączono wątpliwości co do prywatnego życia Anetki i jej podejrzanego macierzyństwa z uwagami wzbudzonymi jej chłodnym i bardzo dwuznacznym patriotyzmem oraz współczuciem dla wroga, czym się tak afiszowała. Zeszłoroczne jej wizyty i zabiegi, choć o celu ich nic nie wiedziano, wzbudziły także plotki. Nadszedł czas, kiedy Anetka musiała powierzyć Pitanowi wszelkie

[59] K u m C o l a s – aluzja do bohatera powieści R. Rollanda *Colas Breugnon.*

czynne wykonywanie planu, gdyż szpiegowano jej ruchy. Odczuwała coraz to większy chłód otoczenia mimo słodkich uśmiechów i miodowej grzeczności na wykrzywionych złością twarzach.

Nigdy jednak nie brak przyjaciół gotowych powtórzyć nam wszystko, jeśli źle o nas mówią. Donieść komuś złą nowinę, o której nie wie, cóż to za rozkosz niewypowiedziana! To dla jego dobra! Spełnia się obowiązek, i nie bez przyjemności.

Obowiązku tego podjęła się skwapliwie Trotée (wdowa Trottat, a właściwie Tortrat). Była to owa praczka, która swego czasu spoliczkowała niemieckiego oficera, potem zaś, ujęta nagle energią Anetki, objawiała wobec niej w szpitalu hałaśliwą skruchę. Miała około czterdziestki, skora do gniewu, była kobietą dobrą, ale lubiącą wypić. Od pamiętnego dnia popisywała się pacyfizmem, rzucając go napastliwie prosto w nos pobłażliwym żandarmom, Anetce zaś głośno okazywała sympatię, bez której obeszłaby się ona doskonale. Ale mieszkały obok siebie; Trotée zaś miała swoją klientelę: trzeba było znosić praczkę i jej klepadło.

Anetka darowywała jej niejedno ze względu na starą teściową, która z nią razem mieszkała. Te dwie kobiety różniły się bardzo. Trotée była pyskata, grubo ciosana, koścista i tęga, miała wielki burgundzki nos, potężny a wścibski, którym drzwi by mogła wywalać, matka Guillemette zaś była drobna, cicha i szczupła. Przekroczyła już siedemdziesiątkę. Wyszła po raz drugi za mąż za rolnika spod Arras i w .czasie wojny przeszła solidny chrzest ogniowy. Przepadło całe jej niewielkie mienie, dom spłonął doszczętnie, a stary mąż umarł ze zgryzoty. Przyjęła to z pokorą. Przez długie tygodnie przebywała wśród niemieckich żołnierzy na terenach bombardowanych przez Francuzów. Nie czuła urazy ani do niszczycieli jej mienia, ani do tych, którzy na jej głowę ściągnęli nieszczęście. Litowała się nad obozującymi u niej nieprzyjaciółmi, którzy dzielili z nią niebezpieczeństwo, i zdumiewała ich swoją godnością. Przekonawszy się, że nie zdoła ujść przeznaczeniu i że jej pracowite i oszczędne życie zostało nieodwołalnie zrujnowane, wskazała swym lokatorom kryjówki, gdzie udało się jej ukryć resztki zapasów, swój skromny skarb, i powiedziała:

– Bierzcie, biedacy! Korzystajcie z tego, póki żyjecie. Ja jestem już za stara. Nic mi już nie trzeba.

Anetka dowiedziała się o tym od jednego z rannych Niemców, rekonwalescenta, któremu zezwalano na krótkie przechadzki po mieście. Mieszkał przez krótki czas u Guillemette pod Arras i cieszył się bardzo, że odnalazł staruszkę, dla której żywił pełen podziwu szacunek. Mawiał:

– Niech sobie wasze dzienniki, wasz Barrès[60] i Poincaré[61]-mówią, co chcą, w imieniu Francji! Ja znam Francję prawdziwą lepiej niż oni!

Anetka chętnie rozmawiała, ze starą Guillemette, o ile na to pozwalał straszliwy język synowej. Dyskretnej z natury delikatnej staruszce, podobnie jak Anetce, niewiele musiało sprawiać przyjemności wysłuchiwanie Trotée. Ale uśmiechała się tylko filuternie, a uśmiech ten dodawał uroku młodości pomarszczonej jej twarzy. Nie czuła się w prawie do napominania. Każdy ptak po swojemu śpiewa!...

Wizyty Anetki u tych dwóch kobiet doszły natychmiast do wiadomości publicznej i zostały odpowiednio skomentowane. Trotée znano z jak najgorszej strony, matka Guillemette zaś była podejrzana, gdyż po trzyletnim pobycie pod okupacją niemiecką wróciła bez wrogich uczuć do nieprzyjaciół, którzy ją ewakuowali. Spostrzeżono, iż od czasu do czasu jeden z jeńców niemieckich zachodzi do starej Guillemette i że Anetka wzięła parokrotnie udział w ich rozmowach. Była to jeszcze jedna pozycja, którą obciążono jej rachunek. Ale Anetka,

[60] B a r r è s Auguste Maurice (1862–1923) – pisarz i publicysta francuski, ideolog i przedstawiciel skrajnego nacjonalizmu; w czasie pierwszej wojny światowej ogłaszał artykuły sławiące bohaterstwo żołnierzy i wzywające do walki.

[61] P o i n c a r é Raymond (1860–1934) – francuski mąż stanu, znakomity mówca od roku 1913 do 1920 prezydent republiki francuskiej; przedstawiciel wielkiej burżuazji.

przed którą Trotée wyłożyła wszystkie złośliwości, jakie o niej opowiadano, nie przejmowała się: jedna mniej, jedna więcej.

Zbliżały się Zaduszki. Dzień święty. Oto prawdziwa religia ludu francuskiego. Wszystkie inne są tylko późniejszym nalotem, który kiedyś zniknie. Ten zaś kult jedynie, najmocniej związany z ziemią, wspólny jest wszystkim, którzy z niej wyrośli i do niej powrócą, bez względu na wyznanie czy brak jakiegokolwiek wyznania. Anetce święto to było równie bliskie jak pani de Seigy–Chavannes czy praczce Trotée. I kiedy dzień ów nadszedł, przyłączyła się niemal bezwiednie do fali ludzkiej płynącej całymi rodzinami na cmentarz.

Tuż przed bramą spotkała kulejącą Guillemette i podała jej ramię. Weszły razem. Groby tonęły w kwiatach, a ścieżki były świeżo wygracowane. Ale w samym kącie, pod rozwalonym murem, wśród chwastów, widać było świeże mogiły bez żadnego wieńca, z drewnianymi krzyżami. Miejsce potępionych. Leżeli tam zmarli w szpitalu wrogowie. Byli chrześcijanami, uzyskali więc dostęp do Doliny Józefata, ale odgrodzono ich, wyprzedzając Sąd Ostateczny, który oddzieli *oves ab haedis*[62].

Stara Guillemette nie miała z góry zarezerwowanego miejsca w raju. Zwierzyła się Anetce:

– Leży tam jeden z moich chłopców. Mały blondynek w okularach. Był zawsze taki grzeczny. Kiedy gotowałam, przynosił mi wodę ze studni; opowiadał o swoim ojcu i o narzeczonej. Chcę z nim troszkę pogawędzić.

Anetka poszła razem z nią, a że staruszce trudno było odcyfrować nazwiska na krzyżach, przyszła jej w tym z pomocą. W końcu odnalazły poszukiwanego. Guillemette mówiła:

– Jesteś tu, biedaku! Nie miałeś szczęścia, chłopcze!... Ale wszystko jedno: tu czy łam!... Widzisz, starowina nie zapomniała o tobie... Co prawda, nie pomyślała o tym, żeby ci przynieść kwiatek!... Ale za to zmówię paciorek za twoją duszę.

Anetka pozostawiła ją klęczącą przy grobie. Była wzruszona przejmującą nagością tych grobów: były niby biedni krewni celowo zapomniani przez rodziny zmarłych, których święto obchodzono. Wróciła do bramy, kupiła u dozorcy pęk kwiatów i nie zastanawiając się nad tym, że ów nagły jej odruch mógł wydać się zbyt ostentacyjny oczom, które ją widziały, wróciła do zmarłych, zawstydzonych nagością swych grobów, i złożyła na nich kwiaty. Staruszka mówiła spokojnie swe pacierze. Kiedy skończyła, Anetka podała jej ramię i obie zawróciły.

Wówczas spostrzegły na skraju wyklętej ziemi grupkę ludzi, którzy je obserwowali. Były to kobiety z gminu z dziećmi i mieszczanie; pokazywano je sobie i rozmawiano z ożywieniem. W pewnej odległości kilka dam przypatrywało się scenie nie biorąc w niej udziału. Guillemette i Anetka musiały przejść przez ów szpaler i przekonały się, że nie jest pozbawiony kolców. Jedna z kumoszek wykrzyknęła:

– Jak to? Dajecie nasze kwiaty tym ścierwom?

Krew zawrzała w Anetce. Ale zmusiła się do milczenia i przeszła, dumnie podnosząc głowę. Nikt nie śmiał jej urągać. Ale z Guillemette nie robiono ceremonii. Zaczęto rzucać obelgi:

– Stara świnia! Zaprzedana!

– Do diabła! – wykrzyknęła jakaś kumoszka. – Wiadomo, że utrzymywała stosunki ze Szwabami!

Staruszka śmiała się cicho... „Ładne stosunki! Straciła wszystko...” Anetka nie posiadała tyle rozwagi. Wzięła Guillemette w obronę i to, jak zawsze, atakując. Powiedziała, że nikczemnością jest nie zaprzestawać rzucania obelg w obliczu śmierci i że pod ziemią wszyscy są równi bez względu na to, czy padli po tej, czy po tamtej stronie! Zaprotestowano! Doprowadzona do ostateczności, oświadczyła, że czci zabitych Niemców jak tych, którzy polegli za Francję: wszyscy poświęcili się, wszyscy jednakowo byli ofiarami...

[62] O *v e s a b h a e d i s* (łac.) – owce od kozłów.

Wystarczyło tego, by trzy miejscowe dzienniki o różnych zabarwieniach – od czerwonego do białego – zaszczyciły ją nazajutrz zjadliwymi artykułami; przytoczono skandaliczne słowa pewnej nauczycielki z wyższym wykształceniem, funkcjonariuszki państwowej, i domagano się wobec niej sankcji administracyjnych. Wynik nie kazał na siebie czekać. Dyrektor szkoły wezwał. Anetkę i po pobieżnym ostrym dochodzeniu, którego nie starała się złagodzić, została zawieszona w swych czynnościach. Nie odpowiedziała nic i zwinęła swoje manatki. Była bardzo znużona.

Zresztą wybiła godzina działania. Musiała mieć wolne ręce.

*

Pitan był gotów. Plan jego był całkowicie opracowany. Zbadał na miejscu najdrobniejsze .szczegóły. Podejmował się zabrać Franza z obozu i przyprowadzić do pociągu, skąd Anetka miała go odwieźć do ostatniej stacji przed francuską komorą celną. Tu miał się zjawić przyjaciel Pitana, zabrać uciekiniera i bocznymi drogami przeprowadzić do granicy. Stała tam gospoda, dziwnym trafem w połowie na jednym, a w połowie na drugim terytorium: jedne drzwi wychodziły na Francję, drugie na Szwajcarię. Przejść z jednego kraju do drugiego było dziecinną zabawą. Najbardziej ryzykownej części zadania podjął się Pitan. Oszczędzał Anetkę, ale jednak i jej rola nie była pozbawiona niebezpieczeństw. Miała kupić w Paryżu dwa bilety do Szwajcarii, by zaś je dostać, musiała w kasie kolejowej przedłożyć dwa paszporty z wyszczególnieniem miejsca przeznaczenia i daty wyjazdu. Pitan podjął się dostarczyć paszport z rysopisem Franza, ale nie wiadomo czemu Anetka go nie otrzymała. Czas mijał, dzień wyznaczony zbliżał się coraz bardziej. Anetka postanowiła poprosić o wydanie dwu paszportów, jednego na swoje imię, drugiego na imię syna. Było to szaleństwo. Marek był dużo młodszy od Franza i wcale do niego nie podobny. Lecz czas naglił. Stawiajmy więc wszystko na jedną kartę! Zamierzała zresztą użyć paszportu Marka tylko dla uzyskania biletu.

Paszporty dostała bez trudu przy pomocy Marcelego Francka, podczas gdy inni, mający o wiele więcej od niej powodów do odbycia tej podróży, tracili całe tygodnie na składanie podań, by w końcu otrzymać odmowę. O, cudowności przepisów! Krępują one tylko niewinnych. Na usprawiedliwienie Anetki trzeba powiedzieć, że nie zdawała sobie sprawy ze swego szczęścia. Pragnąc czegoś pragnęła tak silnie, że naturalne jej się wydawało powodzenie, a pewność ta udzielała się osobom, od których zależało urzeczywistnienie jej pragnień. W obecnym wypadku za pretekst posłużyło zdrowie syna, którego chciała wywieźć do Szwajcarii. Marceli nie pytał o szczegóły i załatwił sprawę.

Anetka opuściła swoje prowincjonalne miasteczko w wilię dnia umówionego z Pitanem. Urządziła się tak, by oba fakty nastąpiły bezpośrednio po sobie. Przez ten krótki przeciąg czasu nie miała żadnego stałego miejsca pobytu, była jak ptak na gałęzi; wymknęła się uważnym oczom prowincji i znajomych w Paryżu. Nikogo z rodziny nie zawiadomiła o swoim przyjeździe. Jedna Sylwia wiedziała o zwolnieniu siostry ze szkoły i przyczynach tego, choć nie znała daty jej powrotu. Anetka postanowiła zostać w Paryżu tylko przez kilka godzin potrzebnych na przygotowania do podróży. Dopiero po pomyślnym rezultacie wyprawy zamierzała zjawić się w domu. (W razie niepowodzenia dowiedzieliby się o wszystkim dość wcześnie!)

Przybyła więc bez niczyjej wiedzy 9 listopada o zmierzchu i zatrzymała się w skromnym hotelu, blisko Dworca Lyońskiego. Szczęście sprzyjało jej nadal. Granica szwajcarsko–francuska od końca października była stale zamknięta na skutek klęsk we Włoszech. Tak też było jeszcze 9 listopada. 10 listopada miała być, podobno na jeden dzień, ponownie otwarta. Był to właśnie dzień umówiony. Anetka, rozgorączkowana, spędziła ranek i prawie całe popołudnie na załatwianiu formalności, wyczekiwaniu, nie kończącym się wystawaniu w Prefekturze Policji i Ministerstwie Spraw Zagranicznych, aby odebrać paszporty i zaopatrzyć

je w wizy; wreszcie kupiła bilety na dworcu. Po załatwieniu wszystkiego (bezsłoneczny, dżdżysty dzień przechodził w zmierzch) Anetka wróciła do hotelu, aby odpocząć, gdyż przewidywała, że noc będzie niespokojna, Ale pokój był lodowato zimny. Nie mając już nic do roboty zaczęła się dręczyć. Znużenie sprzyjało męczącym. rozmyślaniom nad tym, co mogło zniweczyć cały plan. Czy ucieczka Franza nie zostanie od razu wykryta? Czy zdąży na czas do pociągu? Czy przepuszczą ją jedną z dwoma biletami?... Ale dość tego! Niebawem wszystko się okaże! Nie pora teraz myśleć o tym!... Nagle przypomniała sobie, że nie przygotowała na drogę nic do jedzenia, a Franz przybędzie wyczerpany... Wybiegła na chwilę.

Minęła czwarta. Światłość dzienna zgasła. Gęste, wilgotne powietrze ciążyło nad miastem. Mżył drobny, przenikliwy deszczyk, uparty i równy, padający, zda się, zarówno z jezdni i murów jak i z niewidzialnego nieba. Mgła otuliła Paryż niby kołdrą, która szczelnie okrywa śpiącego. O cztery kroki nic nie było widać. Z kroplistej zasłony wynurzali się nagle mijani przechodnie i tonęli w niej z powrotem. Dla kogoś, kto nie chciał być widziany, stanowiło to osłonę. Ale mogło być także pułapką...

Nagle rozległ się okrzyk zdziwienia i na ekranie gęstej mgły ukazała się młodzieńcza twarz. I choć serce matki rozpoznało ją w oka mgnieniu, szybsza jeszcze dłoń trzymała już silnie za ramię. Przed Anetka stał Marek mówiąc:

– To ty, mamo!

Skamieniała, zaskoczona... Tego spotkania najmniej się spodziewała! Marek patrzył na matkę, uradowany i zaciekawiony; pocałował ją pod parasolem. Wargi i policzki ich były mokre od deszczu. Opanowała się z trudem.

– Więc wróciłaś? Idziesz do domu? – pytał.

– Nie! – odparła. – Jestem tu tylko przejazdem.

Zdziwił się.

– Jak to? Ale zostaniesz przecież na noc?

– Nie. Wyjeżdżam dziś wieczór.

Nie rozumiał.

– Co?... Wyjeżdżasz wieczorem?... Gdzie, po co, kiedy, na jak długo?... Jak dawno tu jesteś?... A więc przejazdem tylko? I nawet mnie nie zawiadomiłaś?

Anetka odzyskała panowanie nad sobą.

– Przebacz mi, drogi chłopcze! W ostatniej dopiero chwili dowiedziałam się, że muszę jechać.

Zirytowany, zaczął powtarzać nagląco swoje pytania.

– Wszystko ci później wyjaśnię. Jakże mówić tutaj, na ulicy, na deszczu?

– Więc chodźmy do domu! Masz czas do wieczora.

– Nie! Muszę już iść na dworzec.

Marek, zachmurzony, obserwował ją uważnie.

– Odprowadzę cię zatem do pociągu.

Musiała wrócić jeszcze do hotelu. Nie chciała, by syn wiedział, że się tam zatrzymała. Nie mogła mu powierzyć swego planu. Z tysiąca powodów! Nie należało go kompromitować wciągając w tę sprawę. A zresztą, cóż pomyślałby o tym wszystkim? Nie miała bynajmniej zaufania do niego, do jego charakteru. Sądziła, że nie zrozumie jej poglądów i ustosunkuje się do nich wrogo. Nie, nie mogła mówić! Szło o cudze życie... Ale milczeć – znaczyło upoważnić go do podejrzeń. Już się zresztą zbudziły. Co myślał o jej tajemniczej eskapadzie? Czerwieniła się przed własnym synem.

– Wracaj do domu, chłopcze! – powiedziała. – Deszcz coraz większy. Przemokniesz do nitki. Wzruszył ramionami.

– Masz przecież pakunki. Gdzieś je zostawiła? Pójdę po nie i zaniosę do pociągu.

– Nie potrzebuję nikogo.

Odczuł obelgę, ale udał, że nie słyszy. Chciał wiedzieć, dokąd jedzie.

– Czy kupiłaś bilet?

Nie odpowiadała. Szedł obok niej. Czuła, że ją śledzi. Szukała jakichś racji, które by mu mogła podać, ale nie umiała nic wymyślić. Na rogu ulicy stanęła i przybierając z trudem rozkazujący ton powiedziała:

– Rozstańmy się tutaj!

Odpowiedział z uporem:

– Nie, na peronie dworcowym.

– Proszę cię, zostaw mnie! – rzekła oschle.

Szedł dalej. Ogarnął ją gniew, chwyciła go za ramię.

– Dość tego! Zabraniam ci iść za mną dalej!

Przystanął. Odczuł to jak policzek. Anetka wiedziała, że nie przebaczy obrazy. Ale raz zacząwszy musiała skończyć, gdyż był ter jedyny sposób oddalenia go. Boleśnie dotknięty, chciał zadać ból i jej:

– Cóż to znaczy? Nie ufasz mi?

– Tak!

Odwrócił się na pięcie. Zawołała:

– Marku! Pocałuj mnie!

Nie odwrócił się. Odszedł, rozjątrzony, z rękami w kieszeniach i gniewnie wzruszając ramionami. Wchłonęła go mgła. Przez chwilę stała nieruchomo, do głębi wstrząśnięta, potem rzuciła się za nim:

– Marku!... Boże wielki!...

Znikł.

Biegła we mgle potrącając przechodniów. Chciała mu powiedzieć:

– Przebacz... Wytłumaczę ci wszystko... Zaczekaj!

Za późno. Był już daleko. Wsiąkł w noc i mgłę. Wróciła po kilku minutach. Trzeba było myśleć o tamtym. Tamten nie mógł czekać!

*

Sprawa wyjazdu nie pozwoliła jej myśleć o Marku. Trzeba było ostemplować przy wejściu na peron dwa bilety. A służba kolejowa przepuszczała podróżnych pojedynczo. Istniało ogromne prawdopodobieństwo – dziewięć na dziesięć – że ostemplują jej tylko jeden bilet. I oto po raz trzeci miała szczęście. Przed nią szła rodzina: ojciec, matka i troje dzieci; jedno niósł na rękach ojciec, drugie prowadziła matka, trzecie zaś, dwunastoletnia dziewczynka, pozostało nieco w tyle. Anetka uśmiechając się wzięła ją za rękę i urzędnikowi, który tego nie dostrzegł w pośpiechu, podała dwa bilety. Przeszła przemawiając serdecznie do dziecka, które potem oddała rodzicom.

Zaczęto się cisnąć do zapełnionych już wagonów. Anetka stanęła w korytarzu. Na koniec, po bardzo długim czekaniu, pociąg ruszył w noc ze zgaszonymi światłami z obawy przed samolotami nieprzyjacielskimi: sygnalizowano właśnie groźbę ich nalotu. Wkrótce pociąg zatrzymał się wśród ciemnych pól. Nieustanny deszcz bębnił i bębnił o dach i szyby. Wszystko jakby stanęło. Pociąg i jego pasażerowie wydawali się zapomnieni wśród pól. Było zimno i wilgotno. Anetka zasnęła stojąc, wciśnięta między ścianę i stłoczonych sąsiadów. Bolały ją kolana i kostki, upadała ze znużenia. Zaczęło się jej coś śnić, potem obudził ją wstrząs ruszającego pociągu – i znowu zapadła w sen.

Przyśnił się jej Marek i Franz. Była w jakimś pokoju – w swoim pokoju na prowincji. Franz przyszedł po nią. Mieli razem jechać. Pakują rzeczy. Są już gotowi... Nagle otwierają się drzwi... Marek. Franz znika w przyległym pokoju; ale Marek go zobaczył. Uśmiechając się złośliwie, z zaciętą twarzą proponuje matce, że ją odprowadzi. Ale Anetka wie, że syn jej chce wydać jeńca. Chłopiec usiłuje wejść do pokoju, gdzie ukrył się Franz. Anetka zasłania sobą drzwi. Marek powiada:

„Puśćże mnie, mamo. Chcę zobaczyć tego drogiego Franza. Mamy z sobą do pogadania."

Anetka woła:

„Wiem, co chcesz zrobić. Ale nie wejdziesz!"

Stoją twarz w twarz patrząc na siebie z wyzwaniem. Marek przeraża ją. Jego ironiczne spojrzenie nabiera okrutnych błysków. Odsuwając ją mówi:

„Dajże spokój! Dostanie się w nasze ręce ten twój kochanek!"

Oburzenie i strach budzą w Anetce nieopisaną wściekłość. Widzi nagle, że w ręku trzyma nóż kuchenny; jeszcze sekunda, a nóż ten ugodzi...

Czyniąc konwulsyjny wysiłek, by wyrwać się zbrodni, zbudziła się w ciemnościach wagonu. Dyszała ciężko. Wstyd i przerażenie... coś dławi ją w gardle... Obelga ze strony syna, obelga wobec syna, nikczemne podejrzenie, które hańbiło ich oboje (on czy ona to jedno!)... wiew morderstwa – wszystko to wstrząsało jej członkami, które dygotały. Mówiła sobie:

„Czyż to możliwe? Czy możliwe, bym mogła choćby powziąć taką myśl, żeby tkwiło to we mnie?..."

Uważała, się za winną podwójnej zbrodni wobec syna, winną nikczemnego podejrzenia i zamiaru morderstwa. Nie mogła odpędzić uporczywej myśli:

„Gdyby doszło do tego, czy zabiłabym go naprawdę?..."

Myśl, że może mówiła głośno, że sąsiedzi mogli coś usłyszeć, zmroziła jej rozgorączkowanie. Opanowała się, stłumiła wzbierające w piersi łkanie. Znów turkot pociągu wśród nocy... Nie! Nikt nie zauważył jej wzburzenia. Każdy miał własne powody do niepokoju. Wśród opiekuńczych ciemności otarła palące łzy. Rozmowa dwu sąsiadów zwróciła ją na drogę czynu.

Opowiadali sobie, że pociąg zmienił trasę i zboczył w lewo, zamiast iść dalej przez Bourbonnais. Zadrżała. Spotkanie chybiło!... Przywarłszy czołem do szyby wpatrywała się w ciemność, w uciekające cienie; na próżno – nie mogła rozpoznać trasy pociągu. Ale zaraz na pierwszym przystanku zadrżała. Była to umówiona stacja...

Patrzyła... Dwu chłopców. Kilku żołnierzy. Nie wsiadł ten, którego oczekiwała. Była pewna, że plany zawiodły. Dręczona trwogą, usiłowała przejść wzdłuż pociągu. Ale ledwie można się było przecisnąć w stłoczonej ciżbie ciał... Pociąg ruszył dalej, potem znowu stanął pomiędzy stacjami z powodu naprawy toru; znów światła zgasły. Omackiem, z pochyloną głową, Anetka usiłowała wrócić na dawne miejsce, przebijając się przez zastygły strumień ludzki; utknęła jak gdyby na mieliźnie... Pociąg ruszył, światło rozbłysło. I nagle w niepewnym, mdłym blasku lamp ujrzała stojącego tuż przy sobie tego, którego szukała!... Stali twarzą w twarz... W pierwszym porywie radości usta ich się złączyły... Zbyt dużo trzeba by mówić! Siły umysłu słabną, a zaczyna mówić ciało... Brat zbłąkany odnalazł siostrę...

Franz był już pewny, że zagubił się bez nadziei ratunku, i szalał z rozpaczy, gdy został sam; nie wiedząc, dokąd jedzie, gdzie ma wysiąść, w którą się stronę skierować. Anetka wydała mu się zesłanym z nieba aniołem. Przytulił się do niej jak dziecko. Uszczęśliwiona, przygarnęła go niby kokosz swe pisklę. Oparci o siebie, pokrótce opowiadali półgłosem swoje przygody. Chytry Pitan, chcąc uniknąć możliwej pułapki na dworcu, poprowadził go polami, na przełaj, do nasypu, gdzie pociąg musiał stanąć z powodu prac na torze. I tam po ciemku Franz wsiadł.

W godzinę potem musieli się przesiadać. Znów kontrola biletów. Największe niebezpieczeństwo minęło; mieli teraz jeszcze przed sobą trudny skok przez granicę. Ale ufność wró-

ciła do serc, Franz teraz już w nic nie wątpił. Przerzucił się z jednej ostateczności w drugą, a chłopięca jego radość udzielała się Anetce. Zapomniała o zmęczeniu, troskach, zmorach sennych, o swoim ukochanym chłopcu, o srebrnych nitkach we włosach. Podnieceni, śmiali się, paplali jak uczniaki rozweselone udanym figlem. Udawali rodzeństwo, a Franz bawił się rozmową na temat zmyślonej pracowni zegarmistrzowskiej, którą mieli jakoby w małym miasteczku szwajcarskiej Jury, i zmyślonych sąsiadów o dziwacznych nazwiskach. Człowiek, który by wiedział prawdę i usłyszał ich śmiech, uznałby ich za szaleńców. Ale nerwy ich-były zbyt napięte... Na troski zawsze jeszcze starczy czasu.

W końcu wśród rozmowy zaczęli drzemać. Nagle Franz oparł głowę o ramię sennej Anetki, a ona policzek o jego włosy... Lecz miękki, jedwabisty jak owe włosy sen został nagle przerwany głosem obowiązku:

„Zbudź się!"

(Opierała się...)

„Zbudź się, ktoś puka!..."

„Kto?"

„Ktoś, kogo kochasz!..."

(Ujrzała Marka, ale nadawała mu coraz to inne imiona.)

„Ścigają go!... Zbudź się! Otwórz!..."

Uczyniła wysiłek, padła jak gdyby z powrotem na pościel, odetchnęła głęboko i wyskoczyła z łóżka. Otworzyła oczy. Był dzień. Pociąg stanął. Tutaj właśnie Franz miał wysiadać.

Obudziła go śpiesznie i wysiedli razem. Stosownie do umowy weszli do bufetu. Szpakowaty, łagodny, powolny w mowie i ruchach wieśniak podszedł do ich stolika i spytał, co słychać u Pitana. Wypili razem czarną kawę. Po chwili robiło to wrażenie, że ci dwaj mężczyźni przyszli na dworzec, by pozdrowić przejeżdżającą Anetkę. Pożegnali ją i podeszli do kontuaru. Wieśniak znał obyczaje i ludzi; spokojnie, powolnym, śpiewnym głosem zamienił z gospodarzem kitka słów, a potem, nie śpiesząc się, wyszedł bocznymi drzwiami; Franz szedł za nim dźwigając kosz kupionych flaszek piwa. Anetka wróciła do wagonu. Pociąg ruszył.

Przez szyby wagonu dostrzegła pod przygasłym niebem, pośród pól lśniących od śniegu i otoczonych ponurym zwałem gór, białą drogę, po której toczył się, szukając szczeliny w ścianie dzielącej dwa narody – dwa więzienia, mały wózek wiozący Franza do jego umierającego przyjaciela.

Część czwarta

Mimo blasku słońca północny wiatr chłostał swym zimnym podmuchem wielkie jasne miasto położone – jak na dwóch wargach – na dwóch brzegach Lemanu.

Anetka weszła do pierwszego hotelu, który zobaczyła tuż przy dworcu, i wynajęła dwa pokoje. Czuła się zupełnie wyczerpana, ale nie była dość rozsądna, aby odpocząć. Wzburzone myśli nie dawały jej zresztą spokoju, nie wiedziała, czy Franz wyszedł cało. Mimo że mogła się go spodziewać dopiero wieczorem, całe popołudnie spędziła na wyczekiwaniu w ogrodzie opodal dworca, gdzie się umówili.

To padała bez sił na ławkę, to znów, nie mogąc usiedzieć, chodziła tam i z powrotem, ze zmęczenia nie czując nóg, przeniknięta na wskroś mroźnymi uderzeniami wiatru. Oddalała się tylko niekiedy, by nie zwracać na siebie uwagi, i dalej krążyła wokoło. Minął dzień, zapadł zmierzch, Anetka wróciła do hotelu. Z okna swego pokoju widziała fragment parku, bramę. Wytężając wzrok śledziła cienie przechodniów w świetle lamp elektrycznych. Około .dziesiątej wyszła ponownie. W alejach hulał lodowaty wicher, niby wielki, huczący wóz. Zdawało się, że światła nieba drżą w jego podmuchu, i Anetka myślała, że lada chwila, pogasną.

Biło wpół do jedenastej, kiedy Franz pojawił się wreszcie. Szedł właściwym sobie, niepewnym, szybkim krokiem, z charakterystycznym wyrazem twarzy wielkiego zbłąkanego dziecka, które zagryza wargi, by nie płakać. Minął ją nie dostrzegając; gdy go zawołała, krzyknął z radości. Gestem nakazała mu milczenie; promieniała szczęściem. Franz był obłocony od stóp do głowy; w jakimś mniej widocznym miejscu na zakręcie alei oczyściła go jako tako rękami, nie chcąc, by wyglądem swoim zwrócił na siebie uwagę. Franz pozwalał jej robić wszystko nie tłumacząc się, ciesząc się tylko, że nie jest sam i że może o sobie opowiadać. Anetka nakazała mu milczenie do chwili, gdy się znajdą w hotelu. Przemarzła w pociągu w czasie minionej nocy i dnia i dostała kataru, lecz rozradowana, nie zwracała na to uwagi. Fala podróżnych płynęła z dworca i Franz dostał się do hotelu nie zauważony. Anetka zameldowała go jako swego brata.

Pokoje ich przylegały do siebie. Anetka przygotowała posiłek, a Franz jadł łapczywie, niezmordowanie opowiadając szczegóły ucieczki. Chcąc, by mówił ciszej, pochylona ku niemu, wpychała w niego ciastka. Katar wyciskał jej z oczu łzy, głowa ciążyła; wycierała nos i kichała, upadając ze zmęczenia. Franz nie spostrzegał nic. Jadł i mówił bez przerwy, a Anetka mimo wyczerpania nie pragnęła, by skończył. Dopiero pukanie w ścianę przypomniało im o istnieniu innych ludzi. Wówczas Franz umilkł i nagle ogarnięty znużeniem, rzucił się na łóżko i zasnął kamiennym snem. Rozgorączkowana Anetka przewracała się z boku na bok, nadsłuchując z sąsiedniego pokoju jego miarowego oddechu. Drzwi były otwarte, Anetka rozkoszowała się obecnością swego młodego towarzysza i radością, że go ocaliła. Gardło ją paliło, na piersiach czuła ciężar, pod kołdrę chowała usta, by nie słyszał jej kaszlu.

Nazajutrz wstała wcześnie, wyczyściła ubranie Franza i wyszła zatelegrafować do matki Hermana:

„Przyjeżdżamy."

Gdy wróciła, Franz spał jeszcze. Zawahała się, czy go obudzić, patrzyła na niego przez chwilę, a potem spojrzała w lustro: ujrzała twarz czerwoną od kataru i wiatru, nos i oczy zapuchnięte; na chwilę zrobiło się jej przykro, ale był to jak gdyby przelotny cień, roześmiała się i wzruszyła ramionami.

Pociąg do Chateau–d'Oex odchodził rano. Anetka obudziła śpiocha. Franz nie zdziwił się wcale widząc ją przy swoim łóżku. On, tak dziki wobec kobiet! Ale nie uważał już Anetki za

kobietę: była jakby jego służącą. Rzecz więc naturalna, że się nim zajmuje. Pochopnie obdarzał ludzi zaufaniem – lecz cofał je równie łatwo. Gdy powiedziała mu, że wieczorem ujrzy przyjaciela, ruchliwa jego twarz zasępiła się: zbliżając się do upragnionego celu uczuł trwogę. Zaraz jednak, owładnięty niecierpliwością, wyskoczył z łóżka i ubrał się na jej oczach: nie liczył się wcale z jej obecnością.

Wyszli z hotelu. Pozwalał jej robić wszystko: płacić, kupować bilety, dowiadywać się o pociąg, wyszukiwać miejsca; nie pomagał nawet w dźwiganiu pakunków. Ale zatrzymał się, by kupić jej bukiecik fiołków. Był całkowicie pozbawiony zmysłu praktycznego i nie posiadał także odporności fizycznej; na peronie nie umiał się oprzeć fali podróżnych i byliby się zgubili, gdyby Anetka nie odwróciła się, dając mu z daleka znaki, i nie zaczekała na niego. Nigdy nie zwracał uwagi na to, co czyni w danej chwili; umysł jego był ustawicznie pochłonięty wrażeniami, których dopiero miał doznać.

Anetka daremnie się wysilała, by przywołać go do rzeczywistości. W ciągu całej podróży nic nie widział i słuchał jednym uchem. Miała czas przyjrzeć mu się dokładnie. Zdawał się żyć tylko jedną myślą: było w tym oczekiwanie i pośpiech, szczęście i trwoga. Miał przed sobą nie Anetkę, ale Hermana, do którego zbliżał go każdy obrót kół. Widziała, jak porusza wargami, rozmawiając już z przyjacielem.

Po przybyciu do Chateau–d'Oex poprosiła go, by szedł powoli, a sama wyprzedzając go skierowała się do pensjonatu Chavannes'ów, by przygotować Hermana.

Chory, już uprzedzony o ich przybyciu, leżał całkowicie ubrany, w szezlongu na balkonie; obok niego siedziała matka. Chciał wstać, nie mógł jednak utrzymać się na nogach. Cztery miesiące, które minęły od ostatniego spotkania z Anetka, zmieniły go straszliwie. Przeraziło ją to wyniszczenie i chociaż szybko się opanowała, pierwsze spojrzenie zdradziło jej uczucia.

Na widok Anetki Herman uniósł się chcąc podejść do niej, ale poczuł, że to niemożliwe, i zrezygnował. Anetka zaczęła do niego mówić, on patrzył na nią jak na zasłonę kryjącą kogoś oczekiwanego i marszczył brwi, jakby chciał usunąć tę przeszkodę. Usunęła się więc zwracając się ku na pół uchylonym drzwiom i odsłaniając tego, kogo wypatrywały oczy chorego. Franz wszedł chwiejnie, przystanął, spojrzał i podbiegł... Przyjaciele byli razem...

Od długich miesięcy obaj niejednokrotnie wyobrażali sobie to spotkanie, tę chwilę... I nic nie stało się tak, jak przewidywali...

Nie ujęli się za ręce. Nie ucałowali. Nie wyrzekli żadnego słowa z tych mnóstwa słów, które wzbierały w nich jeszcze przed chwilą... Pierwsza wymiana spojrzeń i Franz, powstrzymany w swoim porywie, upadł obok szezlongu kryjąc twarz w kołdrę. Zmroziła go trwoga na widok przyjaciela, którego pożegnał pełnym życia, a teraz prawie nie poznawał. Spostrzegłszy tę błyskawicę zgrozy Herman ujrzał siebie w jej świetle. I rozdzieliła ich śmierć jak otchłań otwierająca się między nimi.

Blady, zdrętwiały, czuł u nóg swych głowę przyjaciela i gładził ją broniąc go przed niewyznanym lękiem. Ale lęk ten ogarnął i jego; poczuli obaj, że nie znajdują się już na tym samym brzegu i nie należą do tego samego czasu. Nieznaczna różnica wieku, która ich dzieliła, przybrała wymiary nieskończoności. Jeden należał do pokolenia zmarłych, drugi do żywych. Nie buntując się, z lodowatym spokojem, Herman przyjął jako fakt nie podlegający dyskusji to, że właśnie on, człowiek „stamtąd", powinien jako starszy pocieszać młodszego, żyjącego jeszcze tu... Boże! Jakże byli dalecy!...

Franz łkał, Herman zwrócił się do kobiet, które poprzednio oddalił niecierpliwym gestem i które stały w cieniu u wejścia na balkon:

– Widzicie przecież, że cierpi!... Zabierzcie go!

Anetka pociągnęła Franza w głąb pokoju, posadziła go szepcąc słowa pociechy i macierzyńskich wyrzutów. Otarł łzy, zawstydził się i uspokoił.

Opadłszy na poduszki, odwrócony tyłem do pokoju, z zagasłym spojrzeniem, jakby życie upłynęło już z niego, Herman patrzał w straszliwe oblicze ponurych gór nie słuchając słów matki.

*

Po owym pierwszym wstrząsie zaczęła działać wola, Umysł zaczął znów budować – na innych przesłankach. Serce pośpiesznie nałożyło opatrunek na rany, które odniosły jego złudzenia – było to konieczne, by mogło żyć i umierać.

Franz, o naturze bardziej poddanej instynktom niż przyjaciel, a przeto zręczniejszy w samookłamywaniu, szybciej zapomnieć zdołał o tym, czego nie chciał pamiętać. Tego samego zaraz wieczora (zamieszkał w sąsiednim pensjonacie) napisał do przyjaciela list, jak zawsze pełen uniesień, w którym oszukiwał sam siebie, i którym chciał go oszukać co do wrażenia okazanego przy pierwszym spotkaniu. I kiedy ujrzał go powtórnie, dokazał tego, że Herman odpowiadał mniej więcej wyobrażeniu, jakie sobie o nim stworzył. Zażyłość wróciła, a wraz z nią swoboda; u Franza doszła nawet do głosu beztroska młodości. Zapomniał. Ale Herman nie zapomniał. Nie miał przyszłości, nie mógł więc tracić z oczu przeszłości. Pierwsze wrażenie przetrwało w całej sile i widział ciągle niczym nie złagodzony, palący wyraz przerażenia, który na jego widok ukazał się na twarzy przyjaciela. Wyraz ten był jeszcze chwilami uchwytny, choć przelotny jak błyskawica. W toku rozmowy przez ożywioną twarz Franza przesuwał się czasem cień – zmarszczenie nosa czy ściągnięcie brwi – Hermanowi to wystarczało! Wyostrzone jego spojrzenie czytało w głębi pod osłoną ciała: Franz czuł śmierć i instynktownie odsuwał się od niej. Natychmiast opanowywał się, ale było już za późno! Nie mógł pokonać odrazy do dołu grobowego.

Herman z goryczą mówił Anetce:

– Zdrowy jest. Ma rację.

Z biegiem czasu jednak złudzenie zasnuło rozdarcie pajęczej sieci, a Franz nauczył się nie dostrzegać na obliczu chorego palców śmierci modelujących jego rysy. Zapomniał o nadchodzącej ostatniej chwili, znowu widział przed sobą tylko dawnego ukochanego przyjaciela. Herman ożywiał się zresztą zawsze w jego obecności: wargi miał bardziej różowe, jak gdyby potajemnie używał różu. Anetka zrobiła mu żartem tę uwagę.

– Pani się śmieje? – odparł. – A to jest prawda. Postępuję jak stara kokietka... Biedny chłopiec! Boję się go przerażać...

Kiedy czuł jednak, że nadchodzą cierpienia, nad którymi nie mógł zapanować, prosił Anetkę, by zabrała Franza na przechadzkę; nie chciał, by przyjaciel widział go w tym stanie.

Anetka początkowo zamierzała zostać tylko kilka dni w Chateau–d'Oex, oddać przyjaciela w ręce przyjaciela i natychmiast wracać do Paryża. Ale wobec groźnego stanu Hermana odłożyła wyjazd – nie mogła go opuścić u progu krainy cieniów. Nie prosząc o to wprost (wstrętna mu była myśl, że może jej być ciężarem) Herman przejawiał trwożne pragnienie, by została. Bał się teraz pozostawać sam na sam z Franzem. Anetka czuła się potrzebna obu przyjaciołom, toteż mimo wszystkich obowiązków wzywających ją do Paryża uznała, że najpilniejszym z nich jest ulżyć w dźwiganiu brzemienia wędrowcowi, który miał opuścić nasz Stary Ląd.

Brała na siebie ogromny ciężar. Stała się powiernicą ich obu i ona to była jedyną istotą, w której dłonie złożyć mogli swoje tajne myśli; sobie nawzajem nie śmieli ich już teraz zwierzyć. Franz z nich dwu był mniej powściągliwy. Od chwili gdy obdarzył Anetkę swym zaufaniem, zwierzał się jej ze wszystkiego, mówił to nawet, co każdy zwykł zachowywać dla siebie.

Anetka nie łudziła się; wiedziała doskonale, że jej osoba nie odgrywa tu żadnej roli, że Franz i Herman zwierzają się jej nie dlatego, że jest sobą, Anetką, ale dlatego, że jest tuż pod ręką – kobieta bez imienia, powiernica dyskretna i współczująca, jakiej potrzebowali. Nie było w tym ani śladu przywiązania do niej. Zajęci byli wyłącznie sobą nawzajem i każdy sobą samym. Choć świadoma tego, uległa owej zaborczej atmosferze przedziwnej zażyłości. Nie-

dostrzegalne promienie ich. miłości wzajemnej przenikały ją biegnąc od jednego ku drugiemu.

Franz mówił Anetce (gdy byli na przechadzce):

– Kocham go. Jego jednego kocham. A nie mogę mu tego powiedzieć. Przybiera surowy wyraz twarzy i nie pozwala. Mówi, że nie może znieść sentymentalizmu... A to nie jest wcale sentymentalizm; on wie o tym, wie dobrze, co myślę, ale nie chce słuchać. Powiada, że to niezdrowy objaw. Nie wiem, co jest zdrowe, a co niezdrowe. Wiem tylko, że go kocham, wiem, że to jest dobre i że złym być nie może. Jego tylko kocham i nikogo więcej... Nie kocham żadnej kobiety i nigdy ich nie kochałem... Owszem, lubię patrzeć na nie, kiedy są piękne, jak na dobrze wykonany przedmiot. Zawsze jednak jest w nich coś, co mnie odpycha; i czuję także pewien pociąg z przymieszką wstrętu. Należą do innego gatunku. Nie dziwiłbym się, gdyby, jak u owadów, pożerały samców wyssawszy z nich wszystko. Nie lubię ich dotykać... Pani się śmieje? Cóż takiego powiedziałem?... Ach prawda, przepraszam... (prowadził ją pod rękę). Ale pani nie jest kobietą.

– Czymże więc?

– Sobą.

(„Chcesz powiedzieć, mały egoisto – pomyślała – że jestem tobą, że należę do ciebie, więc już-się nie liczę.") Franz tymczasem rozmyślał.

– To dziwne! – rzekł. – Od chwili poznania pani nie przyszło mi nigdy na myśl, że pani jest kobietą.

– Wątpliwy komplement. Jednak po tym, co pan powiedział – dziękuję.

– I nie gniewa się pani na mnie?

Anetka roześmiała się.

– *Ti voglio bene*.[63]

– Co pani powiedziała? Nie zrozumiałem.

– Tym lepiej! Trzeba było słuchać.

– Proszę powtórzyć.

– O nie!

– Dziwna z pani osoba. Trudno panią zrozumieć. Powinno by mnie to wprawić w zakłopotanie. Ale nigdy go nie odczuwam. Wydaje, mi się, że pani mogę powiedzieć wszystko.

– To dlatego, że ja mogę wszystkiego wysłuchać.

– Pani jest nieomal mężczyzną.

– A więc istotą tego samego gatunku. Przyjaźń!

– To najlepsze na świecie; jedyne w życiu a tak rzadkie szczęście. Ja mam jednego tylko przyjaciela. Ale kochając go – kocham bez zastrzeżeń. Chciałbym go posiadać całkowicie. Czyż to nie jest naturalne? A muszę milczeć. Nawet on nie chce mnie słuchać. Świat pozwala kochać tylko połowicznie.

Anetka ścisnęła bezwiednie jego ramię.

– Pani mnie rozumie? – spytał.

– Rozumiem wszystkich szaleńców! – odrzekła. – Wywodzę się z ich rodu.

Herman leżał na balkonie z głową odrzuconą do tyłu, zapatrzony w twardy błękit nieba.

– Cóż się z nim stanie beze mnie? – mówił do Anetki. – Kocha mnie nadmiernie. Jest jak kobieta... I to nie taka jak pani, którą ostra lekcja życia uczyniła silną jak mężczyzna. Jest istotą podległą nieobliczalnym odruchom źle kontrolowanego serca. Dokądże go zaprowadzi

[63] *T i v o g l i o b e n e* (wł.) – lubię cię.

to serce żyjące złudą, słabe a gwałtowne? Nie powiem pani nawet, z jak wielkich wyratowałem go niebezpieczeństw. Nie domyślał się ich, gdyż jest niezdolny widzieć je i ocenić. Jest niemoralny, a zarazem czysty. Nasze wartości etyczne znaczą dla niego zupełnie co innego niż dla nas. Często wprowadzało to mnie w błąd. Lecz ile razy chciałem być surowy, na widok tych uczciwych oczu, w których ukazywało się zdziwienie i smutek, zadawać sobie musiałem pytanie, czy to nie ja się mylę. Czy jest to zboczenie Natury, czy Natura prawdziwa, nie znająca naszych wąskich dogmatów? Ponieważ jednak, tak czy owak, te właśnie dogmaty rządzą światem wytworzonym przez nasz rozum, światem, w którym musimy żyć, Franz musi się nauczyć im podporządkować, nawet jeśli nie chce ich uznać. Uznać ich nie może. Nigdy nie udało mi się doprowadzić go do ich zrozumienia i wreszcie dałem spokój. Byłby udawał, że rozumie, aby mi zrobić przyjemność, a w rezultacie straciłby tylko szczerość. Wolę go, kiedy błądzi, niż kiedy udaje. Jest wtedy czystszy... Nie potrzeba odwoływać się zresztą do jego rozsądku, serce podda się każdej najsroższej nawet dyscyplinie, byle ją dyktowała miłość!... Niepewne to oparcie, ale gdy go zbraknie, nie pozostaje już nic i człowiek bezwładnie poddaje się fali... Cóż się z nim stanie, gdy mnie nie będzie? Trzeba by go nauczyć żyć beze mnie...

Urwał, zapatrzony w ciemny szafir nieba, tak twardy, że zdawał się być z kamienia; nasilenie tego światła dorównywało intensywności jego myśli. Po chwili ciągnął dalej, z gorzkim uśmiechem, ale tym samym pewnym, chłodnym i równym tonem, jakby mówił do siebie (mówiąc ani razu nie spojrzał na Anetkę, jak gdyby zapomniał o jej obecności):

– Wiem, że się tego nauczy. Będzie żył beze mnie... Sądzimy, że jesteśmy potrzebni... Nie ma istoty, bez której by nie można żyć. Straciwszy mnie będzie sądził, że stracił wszystko. Ale to, co straciliśmy, nie istnieje, my zaś istniejemy. Nie można jednocześnie być i nie być, więc wybór zostaje szybko dokonany. Żywy rozluźnia krępujące go więzy z umarłym, a jeżeli są zbyt silne, stosuje niewinne, ukradkowe cięcie scyzorykiem. On nic nie widział. Umarły ustąpił. Będzie można żyć. I Franz będzie żył.

Anetka położyła dłoń na dłoni tego człowieka, który pozbawiony był złudzeń.

– Razem z Franzem żyć będzie pamięć o panu.

Usunął rękę.

– Nadejdzie zapomnienie – powiedział. – Gdy się opóźnia, wychodzimy naprzeciw. Ale Franz nie ma w sobie wcale przebiegłości. U niego nastąpi to nawet bez żadnego wysiłku.

Anetka chciała protestować, ale Herman powiedział;

– Wiem o tym.

Spostrzegła, że chociaż wie, nie wierzy w to, i z łatwością udowodniła, że jest wprost przeciwnie. Argumenty jej przyjął z uśmiechem ironii, ale słuchał ich z przyjemnością. Przenikliwość jego walczyła z właściwą każdemu potrzebą złudzenia. Ustąpić tej potrzebie (wiedział to) było klęską. Ale cieszyło go, że był pokonany. Czemuż by zresztą prawda, która zabija, miała być prawdziwsza od nadziei?

Zgodził się więc mówiąc:

– Serce jego nie zapomni... może... Przynajmniej nie od razu. Trzeba na to czasu, ale kto będzie kierował tym sercem nawykłym, by nim kierowano? Samo cierpienie wywołane stratą wzmoże chaos. Ból uczy jednych, innych zaś wiedzie na bezdroża. Czasem pozwalają się zgnębić bez oporu, czasem zaś chwytają się pierwszego lepszego sposobu, by się ocalić. Boję się o niego. Kto go kocha i może mu doradzić? Anetko, niech go pani nie opuszcza! On pani ufa. Niech go pani prowadzi! Trzeba będzie być pobłażliwą. Napotka pani na niespodzianki. Dużo w nim oburzy panią. Ale takie rzeczy są w każdym człowieku.

– Są i we mnie – odpowiedziała – mój drogi przyjacielu. Dużo trzeba, by oburzyć kobietę! Myślę o kobiecie szczerej i takiej, która jak ja zna życie.

Spojrzał na nią sceptycznie.

– Kobieta nie nauczy się, czym jest życie, choćby żyła sto razy.

– Niezdolna jest więc do doskonalenia się?

– Nie zmieniła się od początku świata.

– Wy, mężczyźni, także niezbyt odbiegliście od człowieka jaskiniowego.

Herman uśmiechnął się.

– Tak, ma pani rację. Nie jesteśmy więcej od was warci. Jesteśmy z jednego nasienia. Sądzimy, żeśmy bardzo silni w obliczu życia i śmierci, a jedno i drugie zawsze nas znajduje nieprzygotowanymi. Niczegośmy się nie nauczyli. Dla mnie niewielka to teraz szkoda, bo właśnie opuszczam szkołę, ale pani, Anetko, zostaje, i nieraz jeszcze może dostać linijką po palcach. Baczność, uwaga! Bogate doświadczenie, z którego jest pani tak dumna, może spłatać niejednego jeszcze figla... Ale jednooki jest królem w państwie ślepców. Powierzam pani mego malca. Choć ma pani jedno tylko oko...

– Mam parę, i to ładnych! – roześmiała się.

– Nie są na to, by patrzeć, ale by w nie patrzono... Ale jeśli nie umie pani patrzeć dla siebie, proszę patrzeć dla niego! Zawsze łatwiej być mądrym, gdy chodzi o innych... Niech pani nim kieruje! Niech go pani kocha!

Potem dodał:

– Niech go pani nie kocha zanadto!

Anetka wzruszyła ramionami.

*

Anetka czuła się bliższą Hermana niż Franza. Byli z jednego plemienia i rozumiała go lepiej. Doświadczeń życiowych nabyli na tej samej ziemi, a myśli ich dojrzewały pod tym samym niebem. Nie było nic ciemnego w uczuciach, które w nim czytała i których doznawała w stosunku do niego. Wszystko w nim wydawało się jej jasne: jego przyjaźń, obawy, stoicyzm, jego sądy o życiu i pełna prostoty postawa wobec cierpienia i śmierci, żal, że odchodzi, i rezygnacja... Gdyby była mężczyzną, w tych samych okolicznościach myślałaby i postępowała tak samo jak on... Tak się jej przynajmniej wydawało, gdyż Herman nie sprawiał jej nigdy żadnych niespodzianek. (Czyż jednak mogła powiedzieć to samo o sobie?) Gdyby los inaczej zrządził, mogliby tworzyć doskonałe małżeństwo, pełne wielkiego, wzajemnego szacunku i przywiązania, związek ludzi pewnych siebie nawzajem, lojalnie powierzających sobie wszystkie klucze duszy – wszystkie poza jednym małym kluczykiem, o którym nikt nie myśli, a który jeśli trafi do właściwego zamka i otworzy, wyjawi prawdę: pozostali sobie obcy... Na szczęście sposobność otwierania nie nadarza się prawie nigdy. Ludzie żyjący w przyjaźni, uczciwi i dyskretni, nie używają tego kluczyka. Przyjaźń Anetki i Hermana pozbawiona była wymagań i ciekawości a każde dawało to, czego drugie oczekiwało.

Lecz nie wiadomo było nigdy, czego należy oczekiwać ze strony Franza. To właśnie odpychało od niego i to jednocześnie przyciągało. Daremnym byłoby usiłować go poznać; on sam nie znał siebie. Zdawał się być dziecinny i prosty, i był taki rzeczywiście; ale wszedłszy w głąb jego duszy, po dziesięciu krokach traciło się wszelką orientację i wędrowało na oślep po jakichś nieznanych ziemiach. Anetka wypróbowała niejeden klucz, cały ich pęk, na próżno usiłując otworzyć drzwi: żaden nie nadawał się do zamka. Żaden z wyjątkiem jednego: tego właśnie małego kluczyka, którego nie używał Herman – kluczyka stosowanego wtedy, gdy w grę wchodzi „nie wiem, co takiego” (jak mawiano w epoce Ludwika XIV, kiedy to na te sprawy patrzano przez palce). Anetka również nie miała zamiaru zgłębiać owych zakamarków duszy. Ale z owej nie znanej przechodniom komory płynęła tajemnicza woń i jak gdyby brzęczenie pszczół, co dostrzegła tylko ona, krzątająca się, by zaprowadzić ład we frontowej izbie. Ten jękliwy, groźny szum skrzydeł słyszany przez nią czynił ich jakby wspólnikami.

Tych dwoje obcych sobie ludzi łączyła więź dalekiego pokrewieństwa. (Tam, gdzie chodzi o wspólnotę krwi, bardziej się może liczą związki dalekie niż bliskie: konary są bliższe pnia niźli pędy.)

W ten sposób Anetka zdobyła nad nim władzę i nauczyli się porozumiewać, bez słów, w półmroku, niby ślepe owady swymi czułkami. Cały ród istot żyjących prowadzi takie podziemne życie. Pełne światło zabija te zdolności, gdy jednak nadarzy się sposobność zrobienia z nich użytku, dusze te doznają zadowolenia, którego tłumaczyć sobie nie chcą. Wdzięczne są tym, którzy umożliwiają im owe powroty.

Rozmawiając w pełnym świetle o różnych rzeczach, co do których najczęściej nie mogli się wcale zrozumieć, Anetka i Franz słuchali owego szmeru wód kędyś w dolinie. I gdzieś w najgłębszych pokładach dusze ich spotykały się.

*

Rozkład organizmu postępował coraz szybciej. Jakby dom rozsypujący się w gruzy. Trzeba było nie mieć oczu, by tego nie dostrzegać. Żaden róż nie mógł dopomóc rozpaczliwie wynędzniałej twarzy i Herman zrezygnował z niego. Franz starał się nie patrzeć na przyjaciela...

Wchodził niosąc powiew życia, zapach pól... Przynosił przebiśniegi, swoje ostatnie rysunki, kreślone kredą i węglem; lodowate powietrze przepajało jego ubranie i zdrowe ręce, które spiesznie wysuwały się z uścisku wilgotnych, rozpalonych gorączką dłoni umierającego. Mówił z ożywieniem i to tchnienie młodego życia elektryzowało Hermana. Przyjaciele wykluczyli z rozmów sprawę choroby: Franz poprzestawał na paru w pośpiechu rzucanych pytaniach, które Herman odsuwał z twardą obojętnością. Rozmawiali o sztuce, o sprawach abstrakcyjnych, wiecznych, o tym, co nigdy nie istniało... (Anetka słuchała w milczeniu, podziwiając szaleństwo mężczyzn wydanych na łup idei...) To znów, mówiąc za dwu, Franz opowiadał o swym uwięzieniu, o latach pobytu w obozie, o trudach i przykrościach, które z oddalenia wydawały się miłe, o spotkanych w ciągu dnia osobach, o swoich planach, o tym, co będzie robił po skończeniu wojny... (A co nastąpi do tej chwili?...) Zapominał się na chwilę, oczy jego, które właśnie spoczęły na zapadłych policzkach przyjaciela, gdzie kości zdawały się przebijać skórę, uciekały... uciekały przerażone, z niezręcznym pośpiechem szukając jakiegoś pewniejszego punktu oparcia... A Herman ze stoickim uśmiechem pomagał mu stanąć znów mocną stopą na ziemi żywych. To on niemal zawsze mówił:

– Dość gadania! Teraz, Anetko, niech pani zabierze tego chłopca na spacer. Szkoda tak pięknego dnia...

Gdy się zbliżała, by go pożegnać, dodawał:

– Niech pani wieczorem przyjdzie na chwilę sama. Jest mi pani potrzebna...

Wychodziła z Franzem, który pytał spiesznie:

– Lepiej się dziś czuje, prawda?

Nie czekał odpowiedzi. Szedł wielkimi krokami, wdychając głęboko nieskalane, wolne od zgnilizny, przeczyste powietrze. Pierś podnosiła się wysoko, a wiatr targał włosy. Dzielne nogi Anetki rade były także, wbrew jej woli, tej wędrówce, w której zdrowe zwierzę brało zadośćuczynienie za ucisk ciała zgnębionego w atmosferze choroby – u łoża cierpiącego. Ale Franz wyprzedzał ją stale co najmniej o krok; ogarnięty chłopięcym zapałem, biegł, wspinał się po stromych zboczach czepiając się ośnieżonych kęp świerków. Czasem oboje przypinali narty i ze skrzydłami u stóp pędzili po śnieżnych polach. Kiedy fale krwi przepędziły z myśli ostatnie cienie, nasyceni powietrzem, pijani prawie, siadali w słońcu na jakimś występie skalnym i spoglądali w dolinę. Franz śmiał się nadając nazwy tonom i akordom tworzącym harmonię nieba podobnego na zachodzie do rozpostartego pawiego ogona. Mówiąc rysował;

szkicował pośpiesznie, pokrywając kartkę po kartce liniami, płaszczyznami, sylwetkami drzew i szczytów, podobnych do twarzy ludzi uśpionych, o ściągniętych wargach i ostrym nosie. Czynił to nie przerywając rozmowy, bezmyślnie. Anetka patrzyła, jak palce jego mówią, podczas gdy usta wygadują przeróżne głupstwa. Odpowiadała byle co: myślała nie wymieniając jego imienia o tym, którego zostawili leżącego tam, bez ruchu... Nagle uwagę jej przyciągnęła powstająca pod machinalnymi ruchami palców rysownika głowa, którą rozpoznawała... głowa zmarłego... Umilkła. Franz ciągnął dalej swój śpiew zachwytu. Chmura przysłoniła na chwilę słońce. Zapadło milczenie, jak czarna dziura w światłości. Franz przerwał, spojrzał na swoje palce i zmartwiał, jakby ujrzał wznoszący się łeb węża... Dłonie jego skurczyły się, zacisnęły, zmięły papier w kulkę. Odepchnięty szkicownik potoczył się w przepaść. Franz zerwał się jednym skokiem i trwożnie pomknął po śnieżnych polach, a Anetka za nim, bez słowa...

Kiedy wieczorem po kolacji, wierna obietnicy, wróciła do Hermana, chory przyjął ją z lodowatą twarzą. Miał straszny dzień i czuł urazę do tych, dla których dzień ów był miły. Zaczął Anetce czynić wymówki, że późno przychodzi, spytał twardym tonem, czy się dobrze bawili, potem zaś powinszował dobrego wyglądu, rumieńców i krwi bogatej, krążącej pod skórą. Zdawał się jej to wyrzucać.

Anetka nie odpowiedziała nic. Rozumiała. Usprawiedliwiała się z pokorą:

– Drogi przyjacielu! Niech mi pan wybaczy!

Uczuł wstyd. Spokojnym już głosem zapytał o nowiny. Były ponura. Miast przygasnąć, po czterech latach wojna wzmagała się ze wzrastającą siłą. Groza olbrzymiej ofensywy wiosennej zaciążyła nad Francją. Rozmawiali o tym tragicznym jutrze. Herman rozszerzał swe konanie na cały świat. Wydawało mu się, że postęp ludzkości jest chwilowym osiągnięciem, które zawdzięczać należy jakiemuś potężnemu wysiłkowi i przypadkowi zgoła wyjątkowemu, jakiejś nagłej „Odmianie" genialnej i anormalnej (dwa słowa o identycznym niemal sensie), która nie zdoła przetrwać. Wszystkie zdobycze geniuszu, wszystkie przejawy postępu człowieka to krwawy laur pyrrusowych zwycięstw. Ale dziś epopeja dobiega końca, urywa się prowadząca na szczyty droga, i tytan runie w otchłań, wyczerpany wysiłkiem prześcignięcia samego siebie. Jak ów pies z Mannheimu, Rolf, który posiadł zdolność ludzkiego myślenia, a który w dwa lata później zapadł, zalany krwią, w bezkształtny mrok. Nie tylko człowiek waży się na to szalone przedsięwzięcie; cała natura podejmuje te próby. Wszędzie dostrzegamy owe niesłychane wzloty istot usiłujących wyrwać się z dołu, spod władzy ciemnych sił. Każda wspina się rozpaczliwie wzwyż zostawiając ślady krwi na każdym występie muru, ale w pewnej chwili, prędzej czy później, traci siły i spada w głąb potwornej otchłani, spozierającej szklanymi oczyma... Zjawa ta czyha na obu progach: snu u początku i snu u końca życia...

– Któż wie? – mówiła Anetka. – Czy zapadnięciem w ową otchłań kończy się niespokojny sen życia?

– Nie ma go pani dość?

– Noc jest długa. Zasypiam na nowo. Czekam dnia.

– A jeśli nie nadejdzie?

– Będę wiecznie śniła.

Herman był zbyt daleki od wszelakiej wiary, by dyskutować.

Nic tak nie umacniało go w owym fatalistycznym, wolnym od złudzeń widzeniu świata, jak towarzyszące jego własnej zagładzie wszechogarniające zrozumienie. Niczemu nie przeczył i za niczym się nie opowiadał. Wszystkie szaleństwa miotające masami ludzkimi, religia, ojczyzna, wszystkie prowadzone aż do wyczerpania walki – powtarzają rytm kroków Przeznaczenia. Byt dopełnia się mszcząc. A celem ostatecznym ludzkiego wysiłku jest Nicość...

– Drogi przyjacielu – powiedziała – niech pan nie patrzy ustawicznie dokoła siebie, w ten zawrotny wir, gdzie rojowiska ludów wspinają się czepiając kurczowo i znowu opadają w dół! Proszę patrzeć w samego siebie. Jednostka, nasze ja – to cały świat. We własnym ja słyszę wieczyste potwierdzenie.

– Moje ja – rzekł Herman – to trumna, widzę w nim robactwo.

– Pozwala pan własnemu życiu uciekać we wszechświat! Niech je pan przyzwie z wszechświata ku sobie! Niech pan przyciśnie życie własnymi dłońmi do piersi!...

– Tak jak przycisnę niedługo całun...

– Jest pan nie tylko tu, leżący w łóżku. Jest pan wszędzie, we wszystkim, co żyje. W panu, dla pana jest ta noc pogodna, osłaniająca ciemnymi skrzydłami marzenia milionów istnień. W nędzy swej posiada pan bogactwo tych, których pan kocha, młodość Franza i jego przyszłość. Ja nie mam nic – a mam wszystko.

– Ma pani zdrową, gorącą krew.

– Ach, gdybym mogła dać ją panu!

Powiedziała to z takim uniesieniem, że z całego ciała, niby z pełnej po brzegi czary, napłynęła jej do twarzy krew, której zazdrościł konający. Boże! Jakże pragnęła przelać ją w niego!...

Herman był wzruszony. Chciał mówić, ale zaczął się dusić. Był bliski końca. Została przy nim przez całą noc, podtrzymując mu głowę na poduszce. Obecność jej dodała mu sił do zniesienia wszystkiego. Nie mając nic do tajenia przed nią,, nie miał też nic do powiedzenia. Po cóż mówić, że cierpi, skoro czuły to jej dłonie. W chwili ulgi skrzywił usta w uśmiechu i rzekł:

– A jednak ciężko jest umierać.

Otarła mu pot z czoła.

– To prawda, mój chłopcze. Na szczęście i ja umrę także.

Trudno by było sobie przebaczyć, gdyby się miało żyć, gdy inni umierają.

Puścił ją dopiero o świcie. W ciągu tych godzin nocy, kiedy nie mógł z nią rozmawiać, miał dość czasu, by myśleć o niej, o jej dobroci, o rozrzutnym dawaniu siebie i o tym, jak bardzo uczuć tych nadużywał. Prosił o przebaczenie. Anetką powiedziała:

– Nie ma pan pojęcia, jak to przyjemnie być wykorzystywaną przez przyjaciela!... Zabija właśnie to, gdy osoba, którą kochamy, nie chce z nas korzystać!...

Miała na myśli syna. Ale nigdy nie mówiła o tym z Hermanem, a i on nigdy się o to nie zatroszczył. Dopiero w ostatnich dniach, wyzbywając się pomału, wraz z życiem swoim, swego cierpienia, zapragnął w końcu poznać cierpienie, które przyjaciółka zachowywała do tej pory dla siebie.

Czuwała teraz przy nim prawie każdej nocy. Mimo że zawezwano telegraficznie jego siostrę, nie pragnął poza Anetką nikogo. Wykorzystywał ją w dalszym ciągu, ale uspokajał się powtarzając sobie, że to nie potrwa już długo. A skoro Anetką była szczęśliwa, gdy nadużywano jej dobroci... Wiedział, że serce szlachetne jest na to stworzone; by je wyzyskiwano, i niepokoiły go cierpienia, na których spotkanie zdążała.

Mniej teraz mówił o sobie. Mówienie sprawiało mu zresztą trudność. Chciał, by ona mówiła. Chciał poznać tajemnicę jej życia. Teraz, gdy zbliżał się koniec, nie potrzebowała już nic ukrywać. Opowiedziała mu wszystko, z wielką powściągliwością, hamując wzruszenie, jakby to były losy innej jakiejś kobiety. Słuchał bez słowa. Nie patrzyła na niego, a on patrzył na jej usta czytając na nich to, czego nie mówiła. Wyczytał, zrozumiał lepiej niż ona sama. W miarę, jak uchodziło z niego życie, przenikało weń to inne życie, aż napełniło go... Tak bardzo, że bliski już śmierci zaczął ją kochać. Ukochał ją całą i w tajni duszy – poślubił. Nie dowiedziała się o tym nigdy... Była mu siostrą i takie tylko żywiła dla niego uczucia; nie

tknęły jej skrzydła miłości. Oblicze śmierci budzi litość, namiętną litość, ale miłość instynktownie odwraca od niego oczy. Herman wiedział o tym i nie żądał miłości... Przezwyciężył się.

Zmianę zaszłą w jego stosunku do tej, która o niczym nie wiedząc została jego żoną, zdradził tylko jednym: przyznając sobie po raz pierwszy i ostatni prawo pokierowania życiem rodzinnym Anetki i jej postępowaniem wobec syna – sprawami, co do których pełna była niepewności. Męską intuicją znacznie lepiej niż matka potrafił zrozumieć Marka, którego nigdy nie widział. Zrozumiał nieporozumienia między matką a synem, a nie mając już czasu, by im pomóc w rozplataniu tego węzła, zebrał ostatek sił, by nakreślić drogę, którą mieli kroczyć. Powiedział:

– Anetko! Dobrze, że odchodzę. Zaliczam się już do rodziny duchów, dla których nie ma miejsca w nadchodzącym porządku świata, do rodziny na równi pozbawionej złudzeń w stosunku do przyszłości co do przeszłości. Rozumiałem wszystko, nie wierzyłem w nic. Wszystko rozumieć – to zabiło we mnie pragnienie działania. A trzeba działać! Proszę być dzielną. Instynkt serca, który pani posiada, więcej jest wart niż moje rozumowanie. Ale to nie wystarcza. Jest pani w pewien sposób ograniczona; jest pani kobietą. Ale zrodziła pani mężczyznę. Ma pani syna, któremu ciasno w tych granicach, jak wtedy, gdy będąc nienarodzony jeszcze, szukał wyjścia z pani łona. Nieraz jeszcze panią zrani. Trzeba śpiewać jak Joanna d'Albret[64], dziękczynny hymn j e g o wyzwolenia. Trzeba wielbić ów wyłom, dzięki któremu wyzwoli się z pani! Niech mu pani powie ode mnie, by nie poprzestawał na zrozumieniu wszystkiego jak ja i na ukochaniu wszystkiego jak pani... niech w y b i e r a !... Piękne to być sprawiedliwym. Ale prawdziwa sprawiedliwość nie siedzi biernie przed swymi wagami, patrząc na ich wahania. Wydaje sąd i wykonuje wyrok. Niech on nauczy się decydować!... Dość marzeń! Niech przyjdzie przebudzenie!... Żegnajcie, sny!...

I nie wiadomo już było, czy do niej mówi, czy do siebie samego.

Ale po raz ostatni patrzył długo jeszcze na Anetkę, a potem odwrócił się odgradzając się w ten sposób od żywych, utkwił oczy w ścianę i zamknął się w swym milczeniu. Nie otwarł już ust aż do ostatniego przedśmiertnego westchnienia, z którym zastygło konające ciało.

*

Anetka nie miała czasu myśleć o własnym smutku, zagarnęła ją bowiem w zupełności rozpacz Franza. Rozpacz ta dochodziła do szaleństwa. Trzeba było poświęcić się jej lub uciekać. Zagarnęła całą Anetkę dla siebie.

Od pierwszej chwili objawy owego bezgranicznego bólu stały się krępujące dla otoczenia. Franz nie dbał bowiem. o formy, które zachowywać powinna żałoba w dobrym tonie. Rozpaczał jak dziecko albo jak kochanek. Nie chciał odstąpić od zwłok przyjaciela, a miłość jego i ból przemawiały tak głośno, że rodzina Hermana była zgorszona. Chcąc położyć kres tym pełnym przesady wybrykom, a zwłaszcza ze względu na „co ludzie o tym powiedzą?", postarano się usunąć go z domu i oddano pod opiekę Anetki podczas obrzędu żałobnego, odprawionego w małym wiejskim kościółku. Potem ciało zamknięto w wagonie kolejowym, który miał je zawieźć do ziemi rodzinnej.

Chavannes'owie wyjechali żywi wraz ze zmarłym – był on wśród nich najbardziej żywy – zgasłym światłem swego rodu. Był to jakby starodawny pogrzebowy pochód, kiedy za wozem trumiennym niesiono herby i zwróconą ku ziemi pochodnię. Anetkę pożegnano krótko i sztywno. Siostra Hermana, pani de Seigy–Chavannes, uczyniła szczery wysiłek, by wyrazić jej wdzięczność za pełną poświęcenia pieczę nad zmarłym, i mimo skrytej antypatii zmusiła

[64] J o a n n a d'A l b e r t (1528–1572) – matka Henryka IV, która według popularnych opowieści, w chwili narodzin syna miała śpiewać ludową piosenkę.

się, by ją pocałować. Tak wielki wysiłek zdawał się być dostateczną zapłatą. Jedynie matka Hermana, pani de Chavannes, zwilżyła łzami policzki Anetki i nazwała ją „córką". Ale uczyniła to po kryjomu. Skłonna byłaby pokochać Anetkę i nawet tolerować obcy jej sposób myślenia; poza religią wszystko, co ktokolwiek mógł myśleć, wydawało się jej zresztą obojętne. Była jednak słaba... Przede wszystkim spokój! Nie należało czynić nic, co mogłoby naruszyć spokój domu... Powiedziano sobie: „Do widzenia!" – a obie strony wiedziały doskonale, że nie zobaczą się nigdy.

Podczas tej podwójnej ceremonii, nabożeństwa i odjazdu, Anetka siedziała zamknięta wraz z Franzem. Myślami brała w niej udział. Zdawało jej się, że idzie wśród orszaku, drogą, gdzie pod mglistym lutowym niebem wychylały się już spod lodowej pokrywy pierwiosnki. W ciszy dolatywało z dali stłumione powolne bicie żałobnych dzwonów. Starała się, by Franz ich nie słyszał, a gdy tak go kołysała słowami, usłyszała gwizd odjeżdżającej lokomotywy... Zakłuło ją w sercu... Odjechał... Zmarły przyjaciel umarł po raz drugi.

Trzeba było zająć się tym, który został. Tamten już jej nie potrzebował; ku niemu dotąd kierowała się jej litość... lecz teraz nie musiała go już żałować. I litość ta zmieniła swój bieg, płynąc ku żywemu, którego powierzył jej umarły:

„Przekazuję ci go. Zajmij moje miejsce! Należy do ciebie."

Franzowi mogła swobodnie okazywać litość. Niepodobny był do Hermana, który opierał się jej i nie chciał, by go żałowano. Franz, przeciwnie, pragnął być pocieszany, nie ukrywał wstydliwie swojej słabości, a Anetka była mu za to wdzięczna. Uważał za równie naturalne, że żąda jej pomocy, jak ona, że ją daje. Od dawna nie zaznała tej radości, której tak bardzo skąpili jej Marek i Herman. Oni należeli do gatunku mężczyzn dumnych, którzy zaciskają zęby nie zdradzając wzruszeń, którzy wstydzą się własnego serca i jak hańbę ukrywają tęsknotę za mlekiem czułości, czerpanym ongiś z macierzyńskiej piersi!... Franz nie taił tego wcale i naiwnie, jak dziecko dopominał się chciwie jako czegoś, co mu się należy. Niby owe ślepe jeszcze niemowlęta, szukał ustami i dłońmi...

„Dobrze już, dobrze mój mały. Nakarmię cię sobą! Wkładam ci w usta pierś moją..."

A on, wzgardliwy wobec kobiet, nie znający mleka matki (utracił ją będąc jeszcze w kołysce), nie myślał wcale o kobiecie, która mu pierś podawała, nie kochał jej, kochał tylko smak mleka. Musiał zaspokoić swe rozpaczliwe, pragnienie.

Anetka wiedziała o tym. Była dlań tylko niańką kołyszącą do snu cierpienie i czuła dla niego jedynie macierzyńską miłość, która rosła z każdym dniem, w miarę jak jej z dniem każdym coraz to bardziej, potrzebował. Lecz miłość macierzyńska obejmuje wszystkie miłości, a chociaż nie zna ich może z imienia, każdą pieści tajemnie.

Franz zwierzał się jej ze wszystkiego. Oddawał się cały. Z dziwnym, brakiem wstydu uznał za naturalne, by się zajęła wszystkim, co było nim: zarówno jego cierpieniami, żałobą, rozpaczą, jak i ciałem, zdrowiem, jedzeniem, mieszkaniem i odzieżą. Potrzebna mu była jako mamka, niańka, powiernica i służąca do wszystkiego. Nic więcej nie chciał i poza tym nie była dla niego niczym. Zdawać się mogło, że oczekuje od niej usług będących jej obowiązkiem. Anetka podobnie jak on uważała to za naturalne. Zaledwie dziękował jej, przez grzeczność. To ona dziękowała mu bez słów za to, że jej potrzebuje.

Porywał ją egoizm Franza. Bywają egoizmy czarujące i kobiety znajdują w nich upodobanie. Mężczyzna kochający kobietę dla niej samej budzi wdzięczność, ale ten, który kocha dla siebie, jakże drogi jest sercu! Myśli tylko o sobie, nie daje nic z siebie, bierze kobietę i sycąc się nią, znajduje w tym rozkosz.

„Jakiż on dobry!..." – mówi połykana ostryga.

Franz pożerał Anetkę w najmilszy w świecie sposób. Był serdeczny, przymilny, czarujący, a zarazem zupełnie tego nieświadomy. Pozwalał się żałować i rozpieszczać, a w zamian raczył wyrażać życzenia, które spełniała pośpiesznie – jeśli nie odgadła ich sama. Dziesięć razy dziennie biegała po schodach, by mu kupić pomarańcze, dziennik, jakiś przedmiot, o którym

wspomniał, lub odnieść na dworzec pilny list. Czuła się hojnie wynagrodzona, gdy wracając po krótkiej nieobecności spostrzegała, jak niecierpliwie czekał, gdy jej wyrzucał, że się spóźnia, lub gdy wieczorem, o zmierzchu, smutny i zbolały, siadał na werandzie u jej nóg, jak gdyby pragnął rozgrzać się ciepłem jej bliskości. Nagle wybuchał płaczem... Ona zaś, rzucając robotę, przyciskała do piersi głowę tego dużego dziecka. Potem zaś, gdy się wypłakał (co za szczęście! ten mężczyzna nie wstydził się, że mu ociera oczy!), zaczynał mówić.

Zwierzał się przed nią z tajonych dotąd cierpień, począwszy od tych, spychanych w niepamięć, z okresu dzieciństwa, których do końca nie śmiał nigdy wyjawić nawet Hermanowi, aż do bolesnej żałoby, która dniem i nocą nie przestawała krwawić mu serca. Teraz bowiem czynił sobie wyrzuty, że unikał przyjaciela podczas ostatnich dni choroby, że nie dość go kochał i że mu to okazywał... Anetka tak dobrze potrafiła słuchać! Znajdował ulgę już w samym zetknięciu tego kobiecego policzka ze swoją głową i w tym pocieszającym głosie, który nie przerywając mu łączył z jego skargami słodkie słowa litości. Spowiadał się z tego, czego nigdy dotąd nie wypowiedział głośno, jej zaś nie dziwiło to wcale; przyjmowała zwierzenia spokojnie, jakby wszystko znała z doświadczeń osobistych. Ten niczym nie przysłoniony obraz życia wewnętrznego, te wyznania często bezwstydne, te zboczenia moralne byłyby dla niej, gdyby spotkała je w książce, może odpychające. Ale ona słuchała ich doprawdy jak w konfesjonale, którego tajemnica jest święta; i ten, kto słucha, oczyszczony jest boską miłością – ukochaniem człowieka; nie może zostać ani skalany, ani oburzyć się spowiedzią ten, kto uczestniczy w słabościach natury ludzkiej, słabościach natury wspólnej jemu i innym; pełen litości bierze na siebie winę. I tym mocniej teraz kocha bliźniego, kiedy stopy jego umył własnymi rękami.

*

Po dwu tygodniach zupełnego oddania się boleści, kiedy wpośród zupełnej prostracji podnoszą się nagle fale rozpaczy i chwytając człowieka za gardło miażdżą go bezlitośnie (niejeden raz przychodziła Anetka w nocy ze swego pokoju, by uspokoić dławiące Franza łkania) – nastąpiła ulga... Początkowo stan połowicznego, bolesnego odrętwienia i łez wylewanych w milczeniu, stan przypominający niebo na przedwiośniu, senne i nieruchome, gdy słońce przebija zza chmur i raz po raz przechodzą ciche obfite ulewy... Potem nieśmiałe przebudzenie sił, ze wstydem pragnące ukryć fakt ozdrowienia, i to zuchwałe szczęście powrotu do życia... Okres długich, półgłosem prowadzonych rozmów w godzinach, kiedy serce pragnie dać ujście wzbierającej na nowo fali, ale nie śmie tego wyznać inaczej jak szeptem, pewne przyjaznego sobie słuchacza.

A potem zaczęli razem wychodzić na spacer, Franz oparty na ramieniu Anetki. Szli zwolna w ciepłe, mgliste popołudnia, kiedy to spośród zeschłych liści pod suchymi krzakami wyzierają pierwsze fiołki. Już nieśmiała wiosna zwiastuje swe nadejście górom, gdy doliny jeszcze drzemią, przejęte chłodem, w ciemnoszafirowym mroku i mgłach. Myśleli o przyjacielu, towarzyszył im i zda się, czekał chwili, kiedy będą razem, aby towarzyszyć obojgu: i jemu, i jej. Każde bowiem czuło go w obecności drugiego. Kiedy zaś byli sami, czuli, że i on jest daleki, a niewidzialna jego obecność staje się nikłym cieniem. Idąc Franz tulił się do Anetki, by odnaleźć Hermana; chwytał ramię żyjącej z obawy, że wysunie mu się z dłoni dłoń zmarłego. Hojnie szafował teraz wobec niej serdecznymi względami, które podwoił jeszcze wdzięk wrodzony jego arystokratycznej naturze. Odczuwał w stosunku do Anetki tkliwość, którą starał się jej okazać; nie umiał się bez niej obejść. Była tym wzruszona, ale nie miała złudzeń. Jako Francuzka, nawet stając zdecydowanie po czyjejś strome, widziała ludzi takich, jakimi są. Ale Francuzka jest kobietą, a kobieta najmniej dokładnie widzi (bo nie zależy jej na tym) – siebie samą.

Obowiązek wzywał Anetkę do Paryża, do syna. Zbyt; długo pozostawiła go samego. Powolne gaśniecie Hermana, a potem zachłanne cierpienie Franza pochłonęły ją całkowicie. Poświęciła się im najzupełniej na trzy długie miesiące, oswobodzenie się od nich byłoby czynem nieludzkim (taką przynajmniej wymówką uspokajała sumienie). Teraz jednak nie mogła zostać dłużej, obowiązek wołał ją gdzie indziej... Syn patrzył na nią wzrokiem pełnym nagany... Nie przestawała myśleć o Marku. Nie znajdując czasu w ciągu pełnych zajęć dni, widziała go co noc i czuła wyrzuty sumienia. Dręczyła się myśląc o niebezpieczeństwach, na jakie był narażony. Nazajutrz po nalocie powietrznym 30 stycznia omal nie wyjechała do niego. Pisywali do siebie bardzo rzadko, a listy ich były skąpe w serdeczne słowa. U niej płynęło to z braku czasu i skrytego zakłopotania, które czyniło ją sztywną. Wiedziała, że go krzywdzi swoją nieobecnością, a nie chcąc się do tego przyznać, wolała chłód swój przypisywać jego winie. On zaś nie przebaczył dotąd ostatniego spotkania i obelżywej, policzkującej go nieufności. Wspominając tę chwilę nieraz po nocach z wściekłości gryzł poduszkę. Ale oczywiście wolałby raczej dać się zabić niż się z tym zdradzić. Listy do matki, wyniosłe, chłodne i obce, miały świadczyć dobitnie, że mu na niej wcale nie zależy. Najgorsze zaś było to, że Anetka, pochłonięta swoimi troskami, zdawała się tego nie dostrzegać! Odpowiadała kilku pośpiesznymi, zdawkowymi zdaniami. Zawiniła także poczta. List Marka z pierwszego stycznia doszedł dopiero po dwóch tygodniach. Gwałtowny zaś, trwający przez całą dobę, atak choroby Hermana pochłonął wszystkie siły uczucia Anetki tak dalece, że zapomniała o urodzinach syna. Daremnie przechwalał się pogardą dla czułostkowości – bliski był płaczu! Otarł szybko oczy, ale łzy paliły go; nie umiał określić, czy cierpi na skutek rozczarowania i obrazy, czy też z powodu innego uczucia, którego świadomość tej obrazy nie pozwalała wyznać. Anetka nie dowiedziała się o niczym. Przykro jej było, gdy spostrzegła swoje zapomnienie, ale przyznawać się do tego Markowi uznała za zbędne, gdyż on sam zdawał się o to nie troszczyć (nowy dowód braku uczucia!). Ach, czemuż nie jest podobny do Franza, taki ekspansywny i kochający!... Mimo różnicy wieku porównywała ich często ze sobą, chcąc uważać Franza za jedno ze swoich dzieci, aby w ten sposób usprawiedliwić absorbujące uczucie, jakim darzyła go kosztem syna. Ale wymówka była naciągnięta i Anetka oszukiwała samą siebie. Zbawczy instynkt, niestety spóźniony, kazał jej karać siebie za upartą myśl o bólu rozłąki. Ale demon serca kobiecego umie sobie zawsze znaleźć zadośćuczynienie. Podszepnął jej więc, że zostając będzie sobie wyrzucała, iż nie pojechała, jeśli zaś wyjedzie, będzie się trapić tym, że nie została. Wyrzuty tego drugiego typu sprzyjały tajonemu uczuciu. Wyrzekamy się nie wyznanego pragnienia, aby później mieć powody do zaspokojenia go.

Franz ujął sprawę znacznie prościej. Na wiadomość o zamierzonym wyjeździe zaczął głośno protestować. O tym, że Anetka mogła mieć jakiekolwiek inne obowiązki poza opieką nad nim, nie chciał nawet wiedzieć. Czuł się pokrzywdzony. Anetka stała się dlań niezbędnym przyzwyczajeniem i na myśl, ,że może ją utracić, zachowywał się jak szalony. Ona zaś, nie oburzając się wcale na tę zachłanność serca, odczuwała w skrytości ducha takie zagarnięcie swej osoby jako pochlebne i broniła się słabo, odkładając z dnia na dzień decyzję. Franz podstępnie ukrywał przed nią dzienniki, a Anetka zapominała o nie pytać. 8 i 11 marca dwa nowe naloty spustoszyły Paryż. Franz wiedział o tym, ale milczał. Granica francusko–szwajcarska była zamknięta przez pierwszą połowę marca, użył więc tego pretekstu, by upozorować brak wiadomości. Winą Anetki było, że nie zbadała sprawy ściślej. 22 marca spadły na nią dwa nieoczekiwane ciosy. Pierwsza strona jednego z dzienników miejscowych obwieściła wielkimi literami nagłówków o wybuchu w Courtille i ataku niemieckim na Paryż. Jednocześnie nadszedł pisany przed dziesięciu dniami list Sylwii, która donosiła o aresztowaniu Pitana.

Anetka była wstrząśnięta. Nie wątpiła ani przez chwilę, że Pitan musiał odpokutować za nią, za historię z ucieczką Franza. W owym okresie było to traktowane jako zbrodnia zdrady stanu. Cóż mogło zajść przez dziesięć dni, które upłynęły od wysłania listu? W tych dniach ostrej dyktatury, w gorączce wywołanej zbliżaniem się wroga wyroki wydawano pośpiesznie

i niewiele troszczono się o sprawiedliwość: była ona tylko stręczycielką zemsty... Od miesięcy już Anetka nie zajmowała się wcale polityką zapominając dla dwu ludzi o całej reszcie świata! Wydała teraz na siebie wyrok potępienia...

Śpiesznie poczyniła przygotowania do podróży. Wiedziała, że wracając wychodzi naprzeciw tego samego losu, który groził Pitanowi. Przerażało ją to jednak mniej niż myśl, że Pitan został uwięziony z jej winy, ona zaś pozornie uciekła przed odpowiedzialnością. Nie było chwili do stracenia! Niemcy posuwali się ciągle, droga do Paryża mogła zostać lada dzień odcięta. Skoro syn jej, jej bliscy byli w niebezpieczeństwie – miejsce jej było przy nich.

Franz na próżno protestował. Troska o jego osobę zeszła na drugi plan. Mógł już teraz żyć sam ze swoim smutkiem, gdyż ból przybrał łagodniejsze formy: doszedł właśnie do stadium, w którym, włączając się w harmonię życia, staje się jej cząstką; w stadium tym już nie niszczy, lecz zajmuje myśl i żywi; a nawet jest towarzyszem w samotności.

Anetka zresztą nie zostawiała przyjaciela w opuszczeniu. Liczyła się z tym, że zupełna samotność po miesiącach tak bliskiego współżycia mogłaby mieć zgubny wpływ na niespokojny i zmienny umysł Franza. Wyszukała mu towarzystwo osób dyskretnych, które nie naprzykrzając się mogłyby czuwać nad nim trochę i z dala donosić jej o stanie jego zdrowia.

W sąsiednim pensjonacie mieszkały dwie Niemki bałtyckie, matka z córką. Trzymały się na uboczu. Matka zawsze w żałobie, wysoka, tęga, o arystokratycznych manierach; córka – dwudziestosześcioletnia dziewczyna, przeważnie leżąca w łóżku. Bujne, bladozłote, delikatne jej włosy były gładko uczesane i splecione w warkocze. Niełądna, o smutnej twarzy, równie wysoka jak matka i pięknie zbudowana, dotknięta była gruźlicą kości; teraz, po dwu czy trzech latach starannego leczenia, przychodziła do zdrowia. Trochę kulała. Panie te odbywały co dzień po południu krótką przechadzkę; nie chodziły daleko, a Franz i Anetka wracając z wycieczek napotykali je w pobliżu domu. Wracano razem. Kulawa panna, oparta na lasce, przez obojętność czy też miłość własną, nie usiłowała wcale ukrywać swego kalectwa. Wymieniano tylko banalne frazesy, a żadna ze stron nie była ciekawa tajemnic sąsiadów. Mieszkając jednak tak blisko, oddawano sobie często drobne przysługi i pożyczano książki.

Anetka poprosiła panią de Wintergrün, by zechciała z dala czuwać nad jej młodym przyjacielem i próbowała oderwać jego myśli od straty, o której opowiedziała. Nie wspomniała natomiast o niczym Franzowi, który nie znajdował wielkiej przyjemności w tych spotkaniach, i wystarczyłoby zaproponować mu to zbliżenie, by odmówił natychmiast. Miał do Anetki urazę za to, że jedzie, toteż nie ścierpiałby, żeby szukała osób mogących ją zastąpić i narzucała mu je.

Aż do chwili wyjazdu miał nadzieję, że zostanie. Ostatni dzień zmarnował na dąsach przerywanych natarczywymi prośbami.

– *Aennchen*[65], nie pojedziesz!... Prawda, że nie? Proszę cię... Ja tak chcę, rozumiesz?

– Ależ, chłopcze drogi... – odpowiadała Anetka. – A moi bliscy, którzy tam czekają?

– Niech sobie czekają. Bo co masz więcej od tego, co mieć będziesz?... A masz przede wszystkim mnie!

Na próżno usiłowałaby go przekonać. Był jak dziecko, które powtarza w kółko: „Pić mi się chce!" – i niczyich słów nie słucha.

Widząc, że postanowienie Anetki jest nieodwołalne, zamknął się w swym pokoju i zaciął w milczeniu. Nie odpowiadał nawet na pytania. Pozwolił jej samej pakować, porządkować i męczyć się. Nadeszła chwila rozstania, on zaś ani myślał się z nią pożegnać. W ostatnim momencie, kiedy już w podróżnym kostiumie weszła do jego pokoju (siedział ponury w kącie) i pochyliła się, by pocałować go w czoło, podniósł głowę tak gwałtownie, że uderzył Anetkę w usta i rozciął jej wargę. Uczuła ból dopiero później, on zaś oczywiście nie zauważył niczego. Całował ją po rękach, powtarzając żałośnie:

[65] *A e n n c h e n* (niem.) – Aneczko.

– *Aennchen! Aennchen*! Wracaj prędko!

Gładziła go po głowie przyrzekając:

– Tak... Tak, wrócę...

Wreszcie wstał, wziął jej pakunki i poszli razem. Mówiła tylko Anetka. Przez cały czas od domu aż do dworca dawała mu różne gospodarcze rady, by zająć jego uwagę. On zaś słuchał tylko dźwięku jej głosu. Pomógł jej wsiąść do wagonu i usiadł sam zajmując miejsce obok; milczał ciągle i nie patrzył na nią. Bała się, że zaskoczy go odejście pociągu i pojedzie z nią. Ale pięć minut przedtem wstał porywczo i bez słowa pożegnania odszedł, w obawie, że nie zdoła opanować wzruszenia. Wychylona przez okno, widziała, jak oddala się idąc wielkimi krokami. Spojrzeniem szukała jego oczu. Ale nie odwrócił się. Znikł. Anetka spostrzegła, że jest sama w przedziale pustego niemal, stojącego w miejscu pociągu. Piekła ją zraniona warga. Baz po raz zlizywała z niej krew...

*

Na granicy pochłonęła ją znów teraźniejszość: czerwona łuna wojny i niebezpieczny obowiązek, któremu wychodziła na spotkanie. Czy podano jej rysopis? Może zostanie uwięziona, gdy tylko stanie na ziemi francuskiej? Ostrożny list Sylwii nie zawierał żadnych szczegółów; pozwalał wszystkiego się obawiać lub o niczym nie wiedzieć, w zależności od tego, czy się umiało czytać między wierszami, czy nie.

Ale sprawdzanie paszportów odbyło się bez żadnych incydentów i Anetka przekroczyła granicę.

Przyjechała do Paryża. Nikt jej nie oczekiwał, gdyż wyprzedziła o kilka dni list, w którym zawiadamiała o powrocie. Niespokojna jej myśl biegła przez całą noc przed pociągiem. Była właśnie Niedziela Palmowa. Dowiedziawszy się w drodze o bombardowaniu stolicy przez tajemniczą armatę wydającą się tworem fantazji Juliusza Verne'a, zaniepokoiła się o los syna. Mieszkał-w dzielnicy, która była pod obstrzałem. Już to, że przybyła do Paryża pod ogień dział nieprzyjacielskich, sprawiło jej ulgę; ale spokój zaczął wracać dopiero, kiedy ujrzała nieuszkodzony dom; wbiegła spiesznie na schody, zapukała i (o szczęście!) usłyszała kroki syna, który szedł otworzyć.

Marek osłupiał. Na moment utracił zupełnie kontrolę nad sobą i sztuczny mur, który wznieśli między sobą – runął. Objęli się i oboje ze zdumieniem odczuli, ile żaru każde z nich wkładało w ten uścisk.

Ale trwało to tylko chwilę. Nieprzywykli do tego rodzaju wylewności, zakłopotani, odsunęli się od siebie i wrócili do zwykłego konwencjonalnego zachowania.

Miedzy nimi była tajemnica. Anetka wytłumaczyła na swój sposób niespodziany powrót. Marek słuchał, milczał i nie tracił z oczu ani jednego ruchu matki. To on tym razem zdawał się być agentem śledczym, a Anetka z wysiłkiem zmuszała się do mówienia. Było jej nieswojo, czuła niejasną obawę, że syn ją sądzi. Rzeczywiście zawiniła wobec niego, i to pod wieloma względami. Toteż okazała mniej serdeczności, a więcej pewności siebie, niż jej w istocie miała. Czuwając nad własnym zachowaniem niezbyt pilnie obserwowała syna. Nie zauważyła też, że nie był już tym, jakiego trzy miesiące temu pożegnała... Jakże odmienny jest zazwyczaj człowiek, którego znamy, od naszego o nim wyobrażenia!... Mamy zawsze przed sobą tylko obraz przeszłości, a nowy obraz jest nieznanym przybyszem i nie posiadamy klucza, by go poznać... Pitan wiedząc, że jest śledzony, zdołał jeszcze w przeddzień swego aresztowania przesłać Sylwii list. Prosił, by zawiadomić Anetkę, że może być zupełnie spokojna, gdyż sam bierze wszystko na siebie. Nic ponadto. Ale to wystarczało. Nie wiedząc nic pewnego Sylwia wywęszyła jeszcze w lecie tę dziwną przygodę i zaniepokoiła się. W jakąż znów awanturę wplatała się ta jej szalona siostra? Niesposób wybadać. Pitan był wtajemniczony. Nie wiedziała nic o powodach wyjazdu Anetki prócz tego, co siostra doniosła jej w

liście: że miała polecenie odwieźć do Szwajcarii jakiegoś rannego. W ogólnikowych zdaniach Sylwia podzieliła się swą troską z Markiem. Chłopak sam odgadł resztę. Przypomniał sobie tajemnicze spotkanie w grudniu, w pobliżu Dworca Lyońskiego (nie pisnął o tym nikomu ani słowa). Na tej podstawie zbudował cały romans. Nie zwierzając go ciotce, spróbował przy jej pomocy zrekonstruować przebieg sprawy. Sylwia opowiedziała mu teraz po raz pierwszy to, czego dowiedziała się o powodach wydalenia Anetki ze szkoły, o scenie na cmentarzu i o jej zainteresowaniu się jakimś jeńcem. Mając te dane Marek podjął pracę. Po dłuższym czasie matka ukazała mu się w nowym zupełnie świetle. Zrewidował swoje poglądy. Pacyfizm, którym gardził jako czymś mdłym, dobrym dla kobiet i starych niedorajdów, przekształcony w niebezpieczną namiętność nabierał ostrego smaku i stawał się pociągający. Wyobraził sobie jakąś historię bohaterską i miłosną, pełną przygód; paliła go zazdrość, czuł pełen niepokoju pociąg. Zrozumiał teraz podejrzenia matki, które go tak boleśnie zraniły! Oburzał się na nie aż do wściekłości, a teraz – i to było najgorsze – musiał przyznać, iż upoważnił ją do nich swoim zachowaniem. Był zupełnie zgnębiony... Ale nie szło tu o niego. Matce groziło niebezpieczeństwo, a gdy ją tylko ujrzał, ani chwili nie wątpił, że z całą świadomością idzie na jego spotkanie. Ta myśl przysłoniła mu wszystkie inne. Wodził za Anetką oczyma błagając w duchu, by mu się zwierzyła ze swych ryzykownych kroków, i wiedząc jednocześnie, że tego nie uczyni. Cierpiał nad tym i podziwiał ją, podziwiał jej dumę, spokój i milczenie. Nareszcie poznał matkę! Drżał teraz, wiedząc, że jest zagrożona i może ją utracić.

Anetka nie spostrzegła nic. Zajęta była jednym tylko obowiązkiem, a czas naglił. Nie poszła nawet do siostry; odświeżywszy się tylko trochę i ledwie coś przekąsiwszy, przebrała się i wyszła. Marek jąkając się zaproponował jej nieśmiało swoje towarzystwo, ale uczyniła odmowny gest; nie nalegał. Był udręczony i lękał się, by go znów nie zraniła.

Anetka poszła do Marcelego Francka. Wśliznąwszy się do osobistego sekretariatu premiera, stał się on teraz ważnym kółkiem miażdżącej maszyny państwowej.

Nie trudząc się zbędnymi słowami wstępu Anetką opowiedziała mu całą historię. Marceli był zaskoczony i w pierwszej chwili bynajmniej nie objawiał życzliwych uczuć. Anetka po raz pierwszy zobaczyła go bez zwykłego mu uśmiechu, tego kosmetyku nakładanego przez ironię, który stanowił dla jego twarzy jak gdyby drugą naturę. Przez kilka minut Marceli bliski był nawet tego, by uchybić elementarnym zasadom uprzejmości. W całej sprawie dostrzegał tylko jedno: ta pomylona kobieta wpakowała go w ładną przygodę! To, że ona miała być w owej przygodzie jego partnerką – nie bawiło go wcale; nie był już teraz skłonny zadowalać się grą słów. Czuł do niej urazę za to, że go kompromituje. Ale ironiczne spojrzenie Anetki czytające te myśli na jego twarzy przywołało go do zwykłej roli światowca. Wrócił do swobodnego obejścia. Wobec zuchwalstwa, z jakim ta kobieta traktowała grożące jej niebezpieczeństwo, zawstydził się własnej małoduszności. Był już znowu dawnym Marcelim, gdy pytał:

– Na miłość boską, Anetko, jakiż diabeł przywiódł panią tutaj, skoro mogła pani siedzieć spokojnie w Szwajcarii i nikt by o pani nie pomyślał? Jakiż diabeł podszepnął pani, by przyjeżdżać tutaj, prosto w wilczą paszczę?

Anetka spokojnie wyjaśniła, że przybyła oddać się w ręce sprawiedliwości w zamian za Pitana albo przynajmniej wziąć na siebie swoją część winy.

Marceli żachnął się.

– Nie uczyni pani tego!

– Przychodzę spytać o nazwisko sędziego śledczego, który prowadzi tę sprawę, aby złożyć zeznania.

– Nie pozwolę na to!

– Czy sądzi .pan, że zgodzę się, by zamiast mnie skazano niewinnego?

– Nie jest wcale niewinny! To stary gracz, notoryczny przemytnik poczty i więźniów, recydywista. Nie ocali go pani oskarżając siebie. Zresztą nie wymienił pani nazwiska.

– Bo jest wspaniałomyślny. Czemuż mam być mniej wspaniałomyślna niż on?

– Pani ma syna.

– Właśnie dlatego! Nie chcę, by był tchórzem.

– Jest pani zupełnie szalona!

– To prawda! A teraz, drogi przyjacielu, proszę mi tylko powiedzieć to nazwisko, którego się pragnę dowiedzieć. I niech pan będzie spokojny! Pańskie nazwisko nie będzie wymienione.

On zaś myślał:

„Bajki! Gdy sąd raz wpadnie na trop, ślad za śladem śledztwo dotrze aż do mnie!"

Jednocześnie poczuł się dotknięty w swej .miłości własnej i powiedział z oburzeniem:

– Nie chodzi tu o mnie. Boję się o panią. Nie zna pani „starego". (Miał na myśli „Człowieka, który prowadził wojnę".[66]) Nic sobie nie robi z jednego więcej sądu doraźnego. Kobieta nie powstrzyma go w tym na pewno! Lubi nawet dla przykładu obrażać wszelkie stare konwenanse czy formy grzecznościowe, uświęcone tradycje szacunku i względów wobec dam...

– Tym lepiej. Wolę być traktowana jak równa, choćby nawet chodziło tu o stryczek. Marceli nie upierał się. Znał dobrze Anetkę.

– Zgoda! – powiedział. – Ale muszę najpierw sam zbadać sprawę.

– Czas nagli.

– Nie będę go tracił.

– Ciąży mi moje zeznanie.

– Ma pani dość sił, by je dźwigać jeszcze przez dzień lub dwa. Wszakże gdyby istniała możliwość umorzenia sprawy, lepsze to niż gubić was oboje!

– A któż mi zaręczy, że jutro lub pojutrze nie dowiem się już poniewczasie, że Pitan padł ofiarą jednego z tych doraźnych sądów, o jakich pan przed chwilą wspomniał?

– Znam sędziego śledczego i będę panią o wszystkim zawiadamiał. Nie próbuję pani oszukiwać. Nie odważyłbym się na to!... A gdyby w najgorszym wypadku zapadł nagły wyrok bez mojej wiedzy, zostaje pani zawsze, po jak i przed wyrokiem, możność oddania się w ręce sprawiedliwości. Któż zdołał kiedy przeszkodzić kobiecie, gdy chce się zgubić?

– Nie lękam się tego. Ale i nie pragnę. Nie mam ani upodobania, ani szacunku dla bezcelowego bohaterstwa.

– Bogu dzięki! Nareszcie słyszę rozsądne słowo! Uff! A teraz... Jeśli mowa o bohaterstwie celowym... Anetko, mówmy szczerze, ja uczynię w tej sprawie, co tylko zdołam... Czemu nie powiedziała mi pani, że to pani kochanek?

– Kto?

– Ten ładny chłopak ocalany przez panią.

– Cóż za głupstwa!

– No, no... Przecież nie ma pani potrzeby ukrywać tego przede mną! Nie robię pani z tego zarzutu. Jeśli to pani sprawia przyjemność, wszystko w porządku!

– Ależ zaręczam, że nie!

– Ejże!

Anetka oblała się rumieńcem.

– Nie, nie, nie!

---

[66] Człowiek, który prowadzi wojnę – Clemenceau Georges (1841–1929), w czasie pierwszej wojny światowej główny rzecznik imperializmu i nacjonalizmu francuskiego; od roku 1917 premier. Zacytowane określenie jest aluzją do jego znanego powiedzenia: *„Je fais la guerre"* (prowadzę wojnę).

Marceli uśmiechnął się.

– Dobrze, niech się pani nie gniewa! Nie pytam już o nic. Ale między mami mówiąc, tajemnicza niewiasto, sądzę, że byłaby pani w kłopocie, gdyby przyszło wytłumaczyć, dlaczego go pani ocaliła nie kochając...

– Dlatego że... – zaczęła porywczo.

Ale urwała. Zrozumiała, że nie uwierzy, jeśli wyjawi prawdziwe motywy, że nie będzie zdolny ich zrozumieć... Niechże więc myśli, co chce!

Marceli uśmiechnął się triumfująco. O, przed nim nic się nie da ukryć.

Miał dobre serce... Miłość dodawała pikanterii całej sprawie... A ta Anetka... No, no, no... Diablo kompromitująca osóbka... Lecz w głębi duszy był z niej dumny!...

*

Marceli niezwłocznie zaczął działać. Poszedł do najwyższego sędziego śledczego. Był to człowiek miły i dystyngowany, który wzniósł się bez wysiłku na ten stopień nieludzkości, jakiego wymagała jego rola. Narzucony mu fanatyczny szowinizm oraz ciekawość dyletanta tworzyły razem uprzejmą obojętność. Najniebezpieczniejszy był dla oskarżonych, którymi się interesował.

A Pitan właśnie interesował go i wydał mu się sympatyczny. Prowadził z nim kilkakrotnie długie, uprzejme rozmowy szukając w nich konopi do ukręcenia stryczka. Ale stryczek ten był bardzo cienki: sędzia przyznawał to dobrodusznie, a jednocześnie z żalem. Ten mały tandeciarz wyglądał na łagodnego wizjonera, dosyć nieszkodliwego i zupełnie bezinteresownego. Mówił chętnie, szczęśliwy, że może dzielić się swymi pełnymi miłości dla wszystkich chimerami, i wdzięczny za to, że go ktoś słucha. A stryczka czekał z owym dyskretnym rozradowaniem psa wpatrującego się błyszczącymi oczami w kawałek cukru. Niesposób natomiast było wydostać zeń nazwisko jednego bodaj wspólnika ani też najmniejszego szczegółu zarzucanych mu przestępstw. Z wrodzonego upodobania czy może przez naiwną a przebiegłą zręczność zbaczał nieustannie w rozważania filozoficzne. Zdawał .się nie przywiązywać żadnej wagi do faktów, ogromną zaś do idei.

Sędzia pokazał Marcelemu listy pisane przez Pitana z więzienia do pewnego młodego przyjaciela i listy tego przyjaciela, nazwiskiem Marek Rivière. Franek przeżył gorącą chwilę: czy aby ten głupi smarkacz, nie pytany, sam nie puścił farby? Po tych Rivière'ach można się było spodziewać wszystkiego! Ale uspokoił się, gdy sędzia melodyjnym głosem zaczął mu czytać ustępy owych listów pisanych pięknym lirycznym stylem, przypominającym to młodego Schillera, to Flauberta, to znów Rousseau'a i Rimbauda. W listach zaś Pitana było jednocześnie coś z Bernardina de Saint–Pierre i Edgara Quinet. Młodzieniec odnosił się do starca z egzaltowaną serdecznością, wyrażał wzgardę wobec nadużywania siły i gorące pragnienie dzielenia za wszelką cenę losu sprawiedliwych. Starzec usiłował go po ojcowsku uspokajać i zaręczał, że pełen jest pogodnej radości i błogiego spokoju, więzienie bowiem to idealne schronienie dla mędrca, to świecka pustelnia, jaką z łaski państwa obdarzony jest myśliciel. Wiatr przyniósł znad Sekwany kwiat kasztana i cisnął w głąb celi przez wysokie, okratowane okno; a wraz z nim weszła wiosna. Pitan stawał się sielankowy. Kwiat starannie rozpostarty i zasuszony leżał między stronicami listu, który sędzia trzymał w ręku. I dwaj paryżanie, wymieniając rozbawiony uśmiech, mówili:

– Ten poczciwiec to także okaz.

Ale ani poczciwiec, ani porywczy młodzik nie zdradzili swoich najgłębszych myśli. Jednym szarpał niepokój o matkę i wyrzuty sumienia, drugi chciał go za wszelką cenę uspokoić; rozumieli się w pół słowa... A dwaj paryżanie widzieli w tym tylko dialog z Emila[67].

[67] *E m i l* – mowa o romansie filozoficznym J. J. Rousseau p.t. *Emile ou de l'Education.*

Sędzia zamknął teczkę z aktami i Franck zapytał:

– A więc reasumując?

– Reasumując, wszystko sprowadza się do tej dziwacznej historii wykradzenia. Trudno zrozumieć, jaki interes mógł w tym mieć ten stary Anacharsis[68], skoro nawet nie znał osobiście więźnia. Wyśledziliśmy tego ptaszka w Szwajcarii, został przyjęty przez pewną prowincjonalną rodzinę francuską...

Franek nastawił uszu.

– ...Ludzi szanowanych, poza wszelkimi podejrzeniami:

jeden z synów ciężko ranny, inni mężczyźni polegli na froncie lub walczą; poza tym trzy kobiety: matka, zamężna córka i pielęgniarka. Można podejrzewać awanturkę miłosną pomiędzy tym pięknym młodzianem a ową zamężną córką. Banalna historia. Mąż walczy, a na tyłach trzeba podtrzymywać ducha, jak się da. Dziwne tylko, że tak dobra patriotka wzięła sobie Niemca. Ale trudno, w braku kwiczołów, spróbujmy wołu!... Możliwe, że znali się jeszcze przed wojną.

Franek wstał, zupełnie uspokojony, i rzucił:

– W nocy wszystkie koty są szare.

– Rozumie pan, nie można wynagrodzić zapału kombatanta robiąc z niego publicznie rogacza. Dobro ojczyzny nie ponosi tu żadnego szwanku.

– A ten stary?

– Tego starego można powiesić, jeśli to komuś na rękę, a można także puścić wolno. Za i przeciw są w tej samej ilości – szale wagi są na równym poziomie, a państwo zadecyduje, która z nich przeważy – to nie ma znaczenia. Wedle decyzji państwa!

„Decyzja państwa" – oto, co leżało -właśnie w zasięgu możliwości Francka.

Poszedł prosto do „starego", którego znał od dawna. Któż jednak mógł się chlubić, że zna go rzeczywiście? Ten diabeł postępował zawsze inaczej, niż się spodziewano. Był niby teren niebezpieczny, pełen cierni i pułapek... Toteż Franek posuwał się ostrożnie.

Miał szczęście. Miast ostrych słów, jakimi popędliwy odyniec honorował zazwyczaj swoje warchlaki, został niespodziewanie mile przyjęty przez świetnie usposobionego zwierza: „dobrze spał tej nocy"; radość go wprost roznosiła. „Człowiek z mongolską twarzą" wrócił właśnie z frontu – wszystko szło jak najlepiej: ludzie ginęli na wyznaczonych placówkach, wedle rozkazu, bez ceregieli. Wzmocniono linię obronną i fala niemiecka wydawała się znów zatrzymana. Twardy starzec powrócił w znakomitym humorze. Nie znał zmęczenia podobnie jak sentymentów. Załatwił większość pilnych spraw, które mu przygotowali sekretarze, i pozwolił sobie właśnie na pół godzinki wytchnienia przed posiedzeniem Izby. Lubił plotki, a jego przyboczna policja wiedząc o tym znosiła mu stale w obfitości sensacje dnia. Natychmiast wywąchał ploteczkę w kieszeni Francka, który zbliżał się z uśmiechem tajemniczym i obiecującym. Wykrzyknął:

– Witam cię, sire de Frangipane![69] (Wymawiał: Franckżipan.) Przynosisz coś w koszyku. Dalejże, chłopcze, otwieraj! Wyciągaj!

To poufałe przyjęcie pochlebiło Franckowi, uczuł natomiast kolec w przezwisku, bardzo zresztą trafnym. Dostosował się do tonu „starego" i ostrożnie badając olbrzyma zaczął kreślić

[68] A n a r c h a r s i s – prawdopodobnie aluzja do bohatera powieści Barthélemy'ego *Voyage du jeune Anacharsis* (wyd.1779) *Podróż młodego Anacharisa.*

[69] F r a n g i p a n e – gatunek perfum lub olejków aromatycznych używanych do wykwintnych ciast. Tu: ironiczna aluzja do charakteru Francka.

sympatyczny i komiczny portret Pitana. Niedaleko by jednak zaszedł, gdyż niecierpliwy słuchacz przerwał mu szyderczo:

– Cóż, piękna dusza... Czy nie masz, chłopcze, czegoś lepszego?

...gdyby przezorny narrator nie był pokrył kanwy swego tematu haftem dziwacznych facecyjek improwizowanych na poczekaniu wedle gustu swego słuchacza... I oto w jego opowieści Pitan stał się namiętnie zakochany w pewnej wielce czcigodnej damie, która znów była płomienną kochanką Austriaka, którego Pitan wykradł dla niej z obozu jeńców... Tym razem „stary" zapalił się.

– Kto to... kto to? – krzyczał chwytając Francka za ramię. – Założę się, że ją znam!... To żona X–a! (X był jednym z jego ministrów.) – Dzika złośliwość zabłysła w jego maleńkich oczkach.

– Nie?... Szkoda!... Wrzuciłbym ją zaraz do St. Lazare[70]ku czci i chwale Świętego Przymierza!...

Wymienił jeszcze parę nazwisk i nie dał za wygraną, póki nie zmusił Francka do wyjawienia tajemnicy. Marcelemu przyszło to z trudnością, ryzykował dużo. Ale cofać się było już za późno. Gadułę przychwycono za język...

Słysząc nazwisko Anetki starzec krzyknął ze zdziwieniem:

– Rivière?!

Znał Rivière'a, architekta, hulakę, dowcipnisia, człowieka wolnomyślnego i dreyfusistę... Należeli do tej samej epoki, do tego samego środowiska i nieraz rywalizowali ze sobą popisując się żarcikiem i cyniczną ironią. Córkę Rivière'a szczypał nieraz w policzek, gdy była jeszcze smarkata. Stracił ją potem z oczu, ale czuł do niej sympatię, bo zostawiła na lodzie tego idiotę Rogera Brissot. (Nie znosił weny oratorskiej Brissotów. Miał tę zaletę, że śmiertelnie nienawidził obłudy. A węszył ją wszędzie – zresztą nawet w prawdzie...) Toteż zachwycił go potężny prztyczek, jaki ta antypatyczna rodzina otrzymała z ręki Anetki. Dziewczyna nie chciała mieć z nimi nic wspólnego i zostawiła Rogera oklapłego niby pęknięty pęcherz, z nosem na kwintę. W pogoni za plotkami „stary" niemało przyczynił się sam do rozgłoszenia tej przygody, ciesząc się tajoną wściekłością Brissotów, którzy udawali, że o niczym nie wiedzą. Mile tę historię wspominał! Z odległości czasu wydało mu się teraz, że w tej pysznej zabawie Anetka była jego wspólniczką, toteż wdzięczmy był swawolnej dziewczynie (za taką miał Anetkę). Wobec tego w nowej awanturce okazał pobłażliwość... Ta Rivierka! To dopiero prawdziwa Galijka!...

– Słuchaj, Frangipane! – zauważył. - Ona musi już być niezbyt młoda... Ma chyba... Zaraz... Ba, tym lepiej zresztą! Lubię to, ma bestia temperament... No więc jak? Cała ta awantura miała za cel te dziecinne zabawy? Cóż to ma wspólnego z polityką? Nie zechcesz chyba ciągnąć tej dzielnej Francuzki przed oblicze Foutriquier–Tinville'a? (Tak nazywał prokuratora stanu.) Oblizałby się! Nie, nie! Dajcie jej spokój! Niechże śpi sobie ze swoim wiedeńczykiem! Będziemy mieć jeszcze jednego żołnierza, obrońcę Prawa na przyszłą wojnę... A co do tego Pitana (jeszcze jedno dobre nazwisko francuskie. Cześć pułkowi!), „najszczęśliwszego w trójkącie", niech sobie żyje w spokoju! Drogi chłopcze, ukręć kark tej całej historii, akta do kosza!... Umorzyć sprawę, do krocset diabłów! Rozumiesz? A teraz pogadajmy o rzeczach poważnych. Za chwilę idę do Izby... Jak sądzisz, cóż mam powiedzieć tym cielętom?

Sprawa została pogrzebana.

Obrzucono Anetkę błotem i w ten sposób została ocalona.

Obrzucanie błotem bywa często w dżungli formą okazywania sympatii.

*

[70] S t. L a z a r e – więzienie dla kobiet w Paryżu.

Na szczęście nic o tym nie wiedziała. Franek zawiadomił ją tylko, że wszystko jest na dobrej drodze. Ale nie zadowoliła się tym. Nie dowierzając mimo wszystko Marcelemu napisała do sędziego śledczego prosząc o przesłuchanie. Pismo to sędzia pokazał Pitanowi wypuszczając go na wolność.

Po powrocie do domu Anetka zastała Sylwię, która zdążyła przybiec, i opowiedziała jej o swoich staraniach. Sylwia zwymyślała siostrę co się zowie, poruszona do żywego tym szaleństwem. Anetka słuchała cierpliwie, a Sylwia wobec tego, że był to fakt dokonany i nie go już odmienić nie mogło, umilkła nagle i rzuciła się jej na szyję, gorąco całując. W głębi serca za skarby świata nie chciałaby, aby Anetka postąpiła inaczej. Czując się niezdolną do czegoś podobnego, była dumna z czynu starszej siostry. Ta silna wola i spokój imponowały jej.

Marek słuchał za ścianą, nie rozumiejąc dobrze, o co chodzi; dolatywały go tylko niewyraźne szepty obu dyskutujących gwałtownie sióstr, wybuchy gniewu Sylwii, uciszane zaraz jednym słowem Anetki, potem gorące pocałunki i milczenie. Sylwia wycierała nos; musiała chyba płakać, ona, ta nieskora do łez kobieta...

Stojąc tuż przy sobie, splecione serdecznym uściskiem, siostry patrzyły na siebie. Potem Anetka, całując oczy Sylwii, przyciszonym głosem opowiedziała jej wszystko po kolei: przyjaźń z Hermanem, ucieczkę Franza, śmierć Hermana. Sylwia nie myślała już potępiać szaleńczej wspaniałomyślności siostry. Dawno przestała przykładać do niej zwyczajną, swoją własną miarę, jej wyłącznie przyznając przywilej życia i postępowania wedle zasad wyższych niż przeciętne. Nadsłuchujący za ścianą chłopiec dręczył się zazdrością, że nie został dopuszczony do tajemnicy. Za nic by o to nie prosił. Duma jego oczekiwała, by mu to ofiarowano.

Następnego dnia burzył się jeszcze wewnętrznie, gdy nagle zjawił się Pitan. Opuścił właśnie swoją pustelnię. Anetka usłyszała radosny okrzyk Marka, który otwierał drzwi, i robota wypadła jej z ręki. Chłopak krzyczał coś dalej ze zdumienia i radości, miażdżąc w uścisku ręce przyjaciela, a Pitan uśmiechał się wstydliwie, pochrząkując spokojnie i serdecznie. Na jego widok Anetka zerwała się z krzesła i ucałowała go. Potem przypomniała sobie o obecności syna i poczuła zażenowanie. Marek zmieszał się jeszcze bardziej i wyszedł pod pozorem zamknięcia drzwi , wejściowych, zostawiając ich samych na parę minut. Anetka i Pitan zamienili kilka uśmiechów i szybkich wzruszonych słów, potem Marek wrócił i zaczęli, we troje już, rozmowę pełną niedomówień. Oboje chcieli zatrzymać Pitana na obiedzie, ale śpieszno mu było rozpocząć swą zwykłą wędrówkę po mieście i odwiedzić towarzyszy. Marek wyszedł nim razem. Szli szybko. Chłopiec powiedział:

– Pitanie! Wiem, coś napisał do mojej ciotki.

– Tak? – odparł Pitan i umilkł.

Marek przełknął ślinę:

– Poświęciłeś się dla nas. Byłeś wspaniałomyślny.

– Nie w tym stopniu, co twoja matka.

– A cóż jej groziło?

– Nie powiedziała ci nic?

– Nie.

– Chyba nie zechcesz wobec tego, bym ja mówił za nią?

– Nie...

Drażniło go to, ale czuł, że Pitan ma rację. Szli dalej i Marek podjął z pewnym wysiłkiem:

– Ale chciałbym przynajmniej wiedzieć... czy jej grozi coś jeszcze?

– Na razie nic, jak sądzę. Ale kobiecie jak ona dzielnej i szczerej zawsze będzie coś grozić w tych czasach panowania nikczemników i drapieżców.

– Czy nie można przeszkodzić jej, zrobić coś, by się nie narażała?

– Nie wolno przeszkadzać. Przeciwnie, należy jej dopomagać.

– Ale jak?

– Narażając się razem z nią.

Marek nie mógł odpowiedzieć:

„Dobrze, chcę się narażać. Ale co mam robić, skoro nic o niej nie wiem, skoro nie zwierza mi się ze swych czynów i niebezpieczeństw?”

Wyolbrzymiał jeszcze gorycz, jaką napełniał go fakt, że matka trzyma go z dala od swoich spraw, i powtarzał sobie: „Ze wszystkich ludzi na świecie najmniej ufa mnie właśnie...” Pitan wytłumaczył sobie fałszywie jego milczenie i rzekł:

– Drogi chłopcze, możesz być dumny ze swojej matki. Marek krzyknął z pasją:

– Czy sądzisz, że czekałem, aż ty mi to powiesz?. Odwrócił się plecami i odszedł wściekły.

*

Wielki ciężar spadł z serca Anetki i rozpoczęła znów ciche, spokojne życie domowe. Trwająca nadal wojna, niepokój dręczący umysły zdawały się jej nie wzruszać. Dzieląc z ludźmi niebezpieczeństwa nie miała obowiązku podzielać ich myśli. Nie brakło jej zajęcia. Jakkolwiek bystre było spojrzenie Sylwii (podczas nieobecności Anetki czuwała nad Markiem bardzo troskliwie), istnieje jednak mnóstwo drobnych a bardzo ważnych szczegółów, dostrzegalnych tylko dla oczu matki, w tym, co dotyczy jej dziecka, jego wyglądu i zdrowia. Anetka przeglądała bieliznę i ubrania syna, czując pewne złośliwe zadowolenie, gdy natrafiła na coś, co uszło wytrawnej kontroli siostry. Dość też było roboty z doprowadzeniem do właściwego stanu mieszkania w którym przez dwa lata gospodarzyły jedynie mole. Sylwia stale zastawała Anetkę zajętą szyciem i porządkowaniem. Siostry prowadziły teraz wieczorami długie rozmowy; ale Marek, który pracował w sąsiednim pokoju, śledząc je przez otwarte drzwi, jak młode kurczę zerkając z boku, nie znajdował w ich słowach żadnego godnego uwagi ziarnka. Spraw intymnych, załatwionych już, nie dotykano, tematem natomiast rozmów były same najzwyklejsze rzeczy, sensacje dnia, głupstewka kobiece, moda, ceny artykułów spożywczych... Zniecierpliwiony, zamykał drzwi. Jak mogły całymi godzinami przelewać z pustego w próżne? Potrafił jeszcze zrozumieć, że robiła to Sylwia... Ale ona, matka, ta kobieta, która niedawno naraziła własne życie, która może-znów będzie je narażać jutro, której palących sekretów domyślał się, ale nie umiał przejrzeć – ona mogła pasjonować się takimi głupstwami, jak cena chleba i ograniczenia w sprzedaży masła i cukru, tak samo jak owym ukrytym światem (przez pół tylko ukrytym dla niego)! Zazdrość pomagała mu dostrzec płomyk rozświetlający od wewnątrz lampę; może nawet nie widziała go sama Anetka. A jednak opromieniał ją ten cichy blask bez. względu na to, czy milczała, czy mówiła...

„Tacet, sed loquitur[71]...”

Lampa płonęła w ciszy; w pełni dnia była niewidoczna. Ale chłopak wzrokiem młodego jastrząbka widział pod powłoką alabastru milczące lśnienie... Skąd się brało?... Dla kogo lśni? Inna jeszcze, żyjąca w ciemności dusza dostrzegła ten dyskretny blask świetlika w trawie i jakby przyciągana, poczęła krążyć wokoło...

Anetka, nie zwracając na nią uwagi, wymijała właśnie na schodach Urszulę Bernardin, gdy nagle dziewczyna zatrzymała ją nieśmiało i szepnęła dotykając jej ramienia:

– Przepraszam panią... Czy mogłabym kiedyś przyjść do pani na chwilę? Chciałabym z panią porozmawiać.

Anetka zdziwiła się: znała wyjątkową nieśmiałość obu panien Bernardin i wiedziała, że unikały jej dotąd starannie. Pomimo panującego zawsze na schodach półmroku dostrzegła

[71] *Tacet, sed loquitur* (łac.) – milczy, a jednak mówi.

rumieniec na zmieszanej twarzy Urszuli; obciągnięta rękawiczką dłoń dziewczyny drżała na jej ramieniu.

Odparła serdecznie:

– Najlepiej zaraz. Chodźmy!

Młoda dziewczyna straciwszy znów odwagę chciała się wycofać proponując odłożenie wizyty na inny dzień. Ale Anetka ujęła ją pod ramię i poprowadziła.

– Będziemy same. Proszę wejść!

W pokoju Anetki Urszuli zabrakło tchu; stała nieruchoma i sztywna.

– Szłyśmy zbyt prędko? Przepraszam, zawsze zapominam – powiedziała Anetka. – Biegnę zwykle po schodach pędem, po parę stopni... Proszę siadać!... Nie, tu, w tym kącie, plecami do światła, będzie pani wygodniej. Niech pani odpocznie. Mamy czas. Proszę się nie śpieszyć z mówieniem... Jak pani ciężko oddycha!

Patrzyła z uśmiechem, usiłując dodać otuchy niezręcznie siedzącej, sztywnej z zakłopotania, a przepełnionej wzruszeniem dziewczynie, której obciśnięta suknią pierś podnosiła się ciężko. Po raz pierwszy mogła się dobrze przyjrzeć tej twarzy i temu ciału wieśniaczki, któremu ciążyła ciasnota mieszczańskiego życia... Dziewczyna miała grube rysy i masywne kształty; widziało się ją na tle wsi, w normalnym toku prac gospodarskich, otoczoną zwierzętami domowymi i dziećmi, szczęśliwą i zajętą: ta poczciwa młoda i zdrowa twarz w potokach letniego słońca, roześmiana i zaaferowana, opalona, o skroniach i policzkach, które upalny dzień sperlił, niby ciepłą rosą, kropelkami potu, miałaby swój urok. Ale uśmiech i słońce zamknięto na klucz, a krew odpłynęła z policzków. Pozostał płaski nos, grube usta i ciało ciężkie, limfatyczne i jakieś skurczone, które nie śmiało poruszyć się i bało oddychać.

Widząc, że Urszula nie może zacząć, Anetka zadała kilka przyjaznych pytań chcąc dać jej czas na uspokojenie się. Dziewczyna odpowiadała z wysiłkiem, rumieniła się, brakło jej słów. Myślą była widocznie gdzie indziej. Miała ochotę mówić na inny temat, ale na samą myśl o tym ogarniało ją przerażenie; cierpiała pragnąc tylko jednego:

„O Boże, jakby się stąd wydostać!”

Wstała.

– Błagam panią – wybąkała. – Proszę mnie puścić! Nie wiem doprawdy, co mi się stało... Przepraszam, że zatrzymałam panią!

Anetka ujęła ją za obie ręce i rzekła ze śmiechem:

– Trzeba się uspokoić... Nic pilnego... Czyż jestem taka straszna?

– O nie... Ale muszę iść... Przepraszam... Nie mogę mówić... Nie dziś przynajmniej...

– Dobrze. Nie będzie pani mówić. Nie pytam o nic. Proszę tylko zostać jeszcze kilka minut. Ponieważ zechciała pani mnie odwiedzić, korzystam ze sposobności i nie pozwolę pani zaraz uciec. Mieszkamy od tak dawna blisko siebie, a nie zamieniłyśmy dotąd ani słowa! A ja nie zabawię tu długo, wkrótce wyjeżdżam; proszę mi raz pozwolić spokojnie na panią popatrzeć. Proszę mi pokazać oczy, tak jak ja pokazuję swoje. Nie ma w nich nic przerażającego.

Zmieszana i wzruszona, Urszula uspokoiła się zwolna i zaczęła niezręcznie tłumaczyć swą nieśmiałość i brak uprzejmości. Powiedziała, że nigdy nie zapomniała życzliwych słów, które Anetka wypowiedziała przed rokiem, gdy rodzina ich dotknięta została żałobą; wzruszyły ją, chciała wtedy zaraz napisać, ale zabrakło jej odwagi. Otoczenie jej było przeciwne utrzymywaniu stosunków z obcymi ludźmi.

– Tak, tak... Rozumiem! – odparła życzliwie Anetka.

Urszula powoli nabrała śmiałości i zaczęła opowiadać, początkowo jąkając się, potem opanowana, lecz z wysiłkiem, ile wycierpiała podczas czterech lat tej wojny. Lat nienawiści i złości ludzkiej. I choć nie znała Anetki, zdawało się jej, że i ona także musiała to podobnie odczuwać... Anetka nic nie mówiąc lekko uścisnęła jej rękę.

...I że dokoła siebie nie widzi miejsca, gdzie mogłaby swobodnie odetchnąć. Nawet rodzice, bardzo dobrzy, nie rozstają się ani na chwilę z myślą o zemście... Nie! (poprawiła się) z myślą o słusznej a bezlitosnej karze. Tragiczna śmierć synów doprowadziła ich do rozpaczy. Samo słowo „pokój" wywołuje ich wściekłość, a najbardziej zacięta jest jej siostra Justyna, z którą dzieli od dzieciństwa pokoik i przed którą nie miała dawniej sekretów. Co wieczór, przed zaśnięciem, Justyna modli się głośno: „Boże sprawiedliwy, Matko Przenajświętsza, Święty Michale Archaniele, wytępcie ich do nogi!" Można oszaleć. Musi udawać, że modli się o to samo, gdyż w przeciwnym wypadku rodzina uznałaby ją za obojętną na nieszczęścia ojczyzny i śmierć obu braci...

– Nie jestem obojętna!... O, nie! Ale sądzę, że nie powinniśmy pragnąć nieszczęścia innych właśnie dlatego, że sami jesteśmy nieszczęśliwi....

Wypowiadała w sposób niezdarny a wzruszający myśli, które Anetka dobrze znała, podzielała sama i umiała lepiej wyrazić. Urszuli sprawiało to radość; słuchała w milczeniu. W końcu zapytała z ufnością:

– Pani jest wierzącą chrześcijanką?

– Nie.

Urszula jak gdyby przygasła.

– Mój Boże!... W takim razie nie może mnie pani zrozumieć!...

– Drogie dziecko, nie potrzeba koniecznie być wierzącą chrześcijanką, by rozumieć i kochać to, co jest ludzkie.

– Ludzkie? To nie wystarcza! Zło jest także rzeczą ludzką. A ludzie... boję się ich! Jacy są okrutni, jacy wstrętni!... Tylko krew Chrystusa może ich zbawić.

– Lub nasza. Krew każdego, mężczyzny czy kobiety, ofiara tych, co się poświęcają dla innych.

– Ale w imię Chrystusa.

– Czyż to nie obojętne, w czyje imię?

– Ależ to imię Boga.

– A czymże byłby Bóg, który by nie żył w każdym z tych, co się poświęcają? Gdyby chociaż jeden – powtarzam: chociaż jeden z tych ludzi był poza Bogiem, jak bardzo byłby on wówczas ograniczony! Serce ludzkie nie mogłoby się w Nim pomieścić.

– Nie, nic nie jest poza Nim. W Nim jest całe dobro.

– Wystarczy więc czynić dobrze.

– Któż mi wskaże, jak czynić dobrze, jeśli zabierze mi pani Boga?

– Kochanie, za nic w świecie nie chciałabym, żeby pani przeze mnie straciła Boga. Niech go pani zachowa! Szanuję Boga pani. Czyż mogłabym niszczyć oparcie, jakie pani w Nim znajduje?

– Więc proszę mi powiedzieć,. że pani także w Niego wierzy!

– Drogie dziecko, nie mogę powiedzieć, że wierzę w to, o czym nie wiem. Nie chciałaby pani przecież, abym kłamała?

– Nie! Ale niech pani wierzy, błagam panią!

Anetka uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Działam, dziecko drogie. Wiara nie jest mi potrzebna.

– Działać to znaczy wierzyć.

– Może. To mój sposób wierzenia.

– Ale działaniu, jeśli jest pozbawione światła Chrystusowego, zawsze grozi przemiana w błąd lub zbrodnię.

– Czy sądzi pani, że od czterech lat Chrystus rzeczywiście ochraniał ludzi weń wierzących przed błędem lub zbrodnią?

– Ach, proszę tego nie mówić! Wiem o tym dobrze. Tak mało jest teraz prawdziwych chrześcijan! To najbardziej rozpaczliwe! Wśród ludzi, których znam, nie ma dwóch takich. Ranią mnie, doprowadzają do rozpaczy! Cierpię i jestem przerażona. Przerażona tym życiem i tymi ludźmi. Chciałabym ich odkupić. Nie mogę żyć pośród nich, a nie umiem działać jak pani; ja boję się każdego czynu. Nie jestem zdolna żyć na tym świecie; chcę odejść, odejdę, wstąpię do Karmelu. Ojciec pozwala, matka płacze, a siostra się gniewa. Ale nie wytrzymam dłużej w domu, wydaje mi się, że oni wszyscy w każdej chwili sprawiają ból naszemu Zbawicielowi!... Mój Boże, co ja mówię! Proszę mi nie wierzyć! Oni są dobrzy, kocham ich i nie mam prawa sądzić... Niech pani mnie nie słucha!...Ach, gdyby pani była chrześcijanką!

Ukryła twarz w dłoniach.

Anetka uspokajała ją, macierzyńskim ruchem gładząc kark pochylonej dziewczyny. Mówiła:

– Biedne dziecko! Tak, ma pani rację.

Urszula podniosła głowę.

– Pani mnie nie potępia?

– Nie.

– I dobrze robię wstępując do klasztoru?

– Może to najlepsze wyjście dla pani.

– Czy nie potępia mnie pani za to, że uciekam od świata zamiast działać jak pani?

– To jest także działanie. Każdy działa na swój sposób! Nie należę do tych, którzy w modlitwie nie widzą działania. To dobrze, jeśli niektóre dusze pielęgnują święty ogień boskiej kontemplacji, która otwiera tamy strumieniowi krwi utrzymującemu łączność pomiędzy nami a wiecznością. Niech się pani modli za nas, którzy działamy za panią, dziecko moje. Jesteśmy, być może, ślepcami z Ewangelii, a pani – owym paralitykiem.

Pełna wdzięczności, Urszula pochyliła się do rąk Anetki chcąc je ucałować. Anetka uściskała ją. Potem odprowadziła do drzwi. Urszula westchnęła:

– Ach, czemuż nie jest pani wierzącą chrześcijanką?

I już na progu dodała:

– Jest pani nią.

– Nie zdaje mi się! – odparła Anetka z uśmiechem. Oczy Urszuli rozbłysły, kiedy mówiła:

– Bóg wybiera ludzi wedle swojej woli. Nie pyta, czy chcą tego, czy nie!

*

Anetka nie dostała od wyjazdu ze Szwajcarii ani jednego listu od Franza. Bolało ją to, ale nie dziwiło. Był w tym cały Franz! To duże dziecko dąsało się i chciało ją ukarać. Milczenie było najlepszym sposobem zemsty, a może także i skłonienia jej do szybszego powrotu; Anetkę bawiła ta taktyka i (chytrość za chytrość) udawała, że nic nie spostrzega. Pisywała co tydzień spokojnie, serdecznie i żartobliwie, nie zmieniając wcale powziętych planów. Rada by go zobaczyć, ale uznała, że teraz byłoby to nierozsądne wobec obowiązków zatrzymujących ją w Paryżu. Postanowiła czekać z wyjazdem do lata pod pretekstem górskich wycieczek, które powinny dobrze zrobić Markowi zbyt długo zamkniętemu w mieście. Ale czekanie ciążyło jej bardziej, niżby tego chciała.

W połowie czwartego tygodnia po powrocie dostała list... Nareszcie! Z uśmiechem poszła do siebie, by go przeczytać. Jakichż wyrzutów i jakich wybuchów gniewu oczekiwała!...

Franz nie czynił żadnych wyrzutów i nie gniewał się o nic. List był doskonale spokojny, uprzejmy, jak przystało na dobrze wychowanego człowieka. Franz był zdrów i radził jej, by została w Paryżu...

Dopóki nie pisał, Anetka była spokojna. Przeczytawszy ten list zaniepokoiła się.

Trudno by jej było określić przyczyny tego niepokoju. Powinno ją było ucieszyć, że Franz czeka tak cierpliwie. Ale nagle sama straciła cierpliwość. Odpisała mu natychmiast nie wspominając oczywiście ani słowem o tym, co w niej nurtowało. (Czy wiedziała o tym sama?) Żartowała: odłoży podróż do końca roku, skoro niespieszne mu ją zobaczyć. Oczekiwała, że już nazajutrz odpisze protestując... Nie zaprotestował wcale. W ogóle nie odpisał.

Anetka niepokoiła się coraz bardziej. Liczyła tygodnie dzielące ją od lata. Napisała do pani Wintergrün, pod pozorem skontrolowania relacji Franzia o jego zdrowiu. Pani de Wintergrün odpowiedziała, że kochany pan von Lenz ma się doskonale, a ból jego mija, Bogu dzięki, jak to zawsze bywa u młodych. Jest miły, wesoły, mieszka teraz w tym samym co one hotelu i został niemal członkiem rodziny...

Uspokoiło to Anetkę, uspokoiło bardziej, niżby tego pragnęła. Spała źle i tej nocy, i parę następnych. Wzruszyła ramionami odpędzając pewną myśl. Ale myśl ta ciągle wracała, głucha, uparta. Anetka, w imię godności własnej, opierała się jeszcze przez tydzień. Potem, pewnego ranka, złożyła broń. Postanowiła jechać nie tłumacząc się przed sobą; tak było trzeba...

W tym właśnie czasie Marek płonął pragnieniem zbliżenia się do matki. Zmarnował pierwsze tygodnie licząc na jakiś zbieg okoliczności, który nie nastąpił. Teraz postanowił sam sposobność tę wywołać. Ale do tego trzeba było także udziału drugiej strony, tymczasem był sam, matka nie zwracała uwagi na jego grę. Nie odstępował jej, śledził jej spojrzenia, odgadywał pragnienia. Powinna była zauważyć te objawy uprzejmości, którymi dotąd nie szafował zbyt hojnie. Dostrzegała je może, notując machinalnie w myśli i odkładając na dni bardziej przyjazne, kiedy będzie miała więcej czasu... Teraz na to czasu nie miała. Była tak zajęta... Daremnie Marek usiłował zwrócić na siebie jej uwagę. Ogarniało go zniechęcenie: niesposób ciągle samemu czynić pierwsze kroki... Druga strona powinna też wyjść naprzeciw... Usuwał się tedy w kąt i stamtąd, zapomniany, patrzył, na nią z boku, jak przyszywa guziki do jego ubrań (gdyż zajmowała się nim myśląc o innych...). Ach, wolałby, żeby go zaniedbywała w tych drobiazgach, a myślała o nim... Przyglądał się badawczo zatroskanej twarzy matki... Co jej dolegało? Jakie wspomnienia wywoływały skurcz twarzy? Jakie obrazy snuły się po głowie? Dawniej Anetka odczuwała, baczna jak stuoki Argus, każde spoczywające na niej spojrzenie. Teraz wszystkie jej zmysły wydawały się nieobecne. Pracowały tylko palce, ona zaś na poły pogrążona była w odrętwieniu. Zdawszy sobie sprawę z panującego milczenia zadawała Markowi jakieś matczyne pytanie, a odpowiedzi słuchała z roztargnieniem; to znów radziła, by wyszedł na spacer korzystając z pięknej pogody. Zdarzało się to właśnie w chwilach, gdy chciał mówić. Wstawał, zgnębiony. Nie mógł nic zarzucić matce. Była dlań dobra i jednocześnie daleka. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, potrząsnąć, ugryźć w policzek albo w koniec ucha, żeby krzyknęła z bólu:

„Jestem przy tobie! Pocałuj mnie lub uderz! Kochaj mnie lub nienawidź! Ale bądź ze mną, tutaj! Wróć!..."

Nie powracała.

Wtedy zdecydował się i postanowił, ze zacznie rozmowę w najbliższą-niedzielę wieczorem, po obiedzie.

I tej właśnie niedzieli rano oznajmiła mu znienacka, że wyjeżdża... Zaczęła już pakować rzeczy. Z pewnym zakłopotaniem wyjaśniła, że otrzymała ze Szwajcarii wiadomości skłaniające ją do przyśpieszenia podróży. Szczegółów nie wyjaśniała, on zaś nie pytał... Był zrozpaczony.

Od tygodnia czekał na ten dzień. Spał źle, przez część nocy powtarzając w myśli, co ma powiedzieć. I oto... Mieli się rozstać, zanim zacznie mówić! Bo nie mógł zdecydować się na to w pośpiechu ostatniego dnia przed wyjazdem, potrzebny mu był czas, nastrój wieczornego skupienia i to, by mieć matkę wyłącznie dla siebie. Nie chciał, by słuchała z roztargnieniem, spozierając raz po raz na wskazówki zegara zmierzające spiesznie ku godzinie rozstania!...

Tak nawykł do tłumienia uczuć, że godzącą w niego wiadomość przyjął bez oznaki zdziwienia i bez słowa pomagał matce w pakowaniu. Dopiero w ostatniej chwili opanowawszy głos powiedział swobodnym tonem:

– Przyrzekłaś przecież zostać do wakacyj... ukradłaś mi trzy miesiące.

(Myśl ta nie dawała mu spokoju napełniając urazą.)

Ton jego zmylił Anetkę; słowa Marka przyjęła za zwykłą rodzinną uprzejmość w godzinie pożegnania, coś w rodzaju: „ależ, zostań!" – kiedy i tak wiadomo, że wyjazd nastąpi. Toteż odparła w ten sam przyjaźnie żartobliwy sposób:

– Przeciwnie! Robię ci z nich prezent!

Zraniła go ta niesprawiedliwość, ale nie rzekł ani słowa. Po cóż? Teraz? Ostatecznie powiedziała tylko to, co on zaledwie przed sześciu miesiącami rzeczywiście byłby pomyślał. Skąd mogła wiedzieć, jak bardzo zmienił się od tego czasu?

Przypomniała sobie potem poważny wyraz jego twarzy, gdy stał patrząc na nią u drzwi wagonu. Sylwia była też na dworcu i gadała bez opamiętania. Rozmawiając z siostrą Anetka widziała nieruchomego i milczącego syna, który nie odrywał od niej oczu. Zabrała z sobą to spojrzenie, gdy pociąg ruszył w noc, a dwie sylwetki zaczęły coraz bardziej zacierać się w oddali. Jedna z nich tylko dawała ręką znaki pożegnania.

Marek wrócił do domu z ciotką. Myślała głośno, nie licząc się przy nim ze słowami. Przywykła (zanadto nawet) traktować go jak dorosłego mężczyznę. Mówiła:

– Nic sobie już z nas nie robi, mój chłopcze. Ma kogoś innego w głowie. To szalone serce.

Marka zabolały te słowa Sylwii, toteż przerwał ostro:

– To jej prawo!

Znał już od Sylwii całą historię z młodym jeńcem i wiedział, że podobnie jak inni ciotka łączy z tym jakąś historię miłosną. On jeden nie wierzył, by tak było, pewny, że matka słuchała tu wyższych pobudek. Ironia Sylwii drażniła go tak bardzo, jakby podejrzewano przy nim żonę Cezara[72]. Bez względu zresztą na wszystko, nie dyskutując, gotów był przyznać rację matce...

„To jej prawo!... «Nic sobie z nas nie robi!» To moja wina. Utraciłem ją. *Mea culpa*..."

Ale kiedy człowiek spowiada się, to po to, by następnie podnieść głowę i powiedzieć:

„Prędzej czy później, tak, czy owak, odzyskam to, com utracił."

*

Anetka była spokojna aż do chwili przyjazdu. Miała teraz instynktowną zdolność odsuwania niewygodnych myśli nie tłumiąc ich, lecz odkładając na później.

Dopiero na ostatniej stacji poczuła niepokój. Wychyliła się przez okno pociągu, by zobaczyć zbliżający się, znany jej dobrze mały dworzec... Tak, wszystko takie, jak pozostało w pamięci. Mała stacyjka była jak dawniej – ale jego nie było...

Anetka zatelegrafowała z granicy, że wraca. W tych czasach wojny jednak bóg o skrzydlatych stopach miewał podeszwy z ołowiu... Czyż zresztą można było liczyć na tego kochanego chłopca?... Nie zdziwiona wcale, doznała jednak pewnego rozczarowania.

[72] Aluzja do powiedzenia Cezara, które przeszło w przysłowie: „Żony Cezara nie można nawet podejrzewać".

Ruszyła ku pensjonatowi. W pół drogi zobaczyła nadchodzącego Franza. Radość zerwała się w niej do lotu, ale natychmiast opadła: Franz nie był sam, towarzyszyła mu panna de Wintergrün. Przyśpieszywszy nieco kroku zbliżył się, pocałował Anetkę w rękę i z wykwintną grzecznością przeprosił za spóźnienie. Ona zaczęła żartować, ale zbrakło jej nagle słów, uczuła na sobie uważne spojrzenie. Zwróciła się ku pannie Wintergrün, która czekała, sztywna i dumna. Oczy Anetki napotkały stalowoniebieskie oczy śledzące jej zakłopotanie. Obie kobiety wymieniły chłodne uśmiechy i miłe słówka. Ruszyli we troje. Wszyscy byli uprzejmi... Wszyscy rozmawiali... Anetka .nie przypomniała sobie nigdy, o czym. Po przybyciu do pensjonatu młodzi zostawili ją samą pod słusznym pretekstem, że powinna odpocząć, a Franz w dalszym ciągu pełen kurtuazji odprowadził pannę de Wintergrün. Mieli się spotkać dopiero wieczorem u jej matki, która zaprosiła Anetkę na obiad.

Zostawszy sama w pokoju, Anetka stanęła przed lustrem w kapeluszu i w płaszczu podróżnym i patrzyła na siebie nie widząc nic. Myślała... Nie, nie myślała wcale!... Roześmiała się nerwowo, otrząsnęła z bezwładu, ale zaraz znów weń zapadła; bo odszedłszy od lustra stanęła nieruchomo przy oknie naprzeciw panoramy gór i nieba, których nie widziała. Nie zdjęła nawet kapelusza i rękawiczek. Ogarnęło ją nagle wielkie znużenie... Uczuła w sobie pustkę. Jutro będzie myśleć.

Ale musiała myśleć tego wieczora w czasie obiadu, i to o tym, jak ukryć swe myśli przed innymi. A w ten sposób uświadamiała je sobie... Jak bardzo ciążyły jej wszystkie te miłe słówka! Wypytywano ją o podróż, o Paryż, o postawę ludności, o mody, ceny artykułów spożywczych i czas trwania wojny. Mówiono, mówiono, a oczywiste było, że wszyscy (z wyjątkiem może tylko Franza) – kłamią. I chociaż obie czyniły wszystko, co mogły, by uniknąć swych spojrzeń, oczy Anetki wciąż napotykały nieznośne spojrzenia panny de Wintergrün śledzącej ją uporczywie. Najdrobniejsza zmarszczka na jej twarzy została dostrzeżona i zanotowana. Ale Eryka nie znalazła ich tyle, ileby pragnęła. Atmosfera walki podziałała na Anetkę jak uderzenie ostrogi. Znużenie znikło. Cera odzyskała swój ciepły, złocisty ton. Uśmiechnięta, pewna siebie, odmłodniała jakby, wyglądała na wypoczętą. Przeciwnie, młoda dziewczyna wydawała się starszą: rysy jej stwardniały, gorączkowe napięcie zwyciężyło zwykły dumny spokój. Czuła potrzebę podkreślenia swojej przewagi, a podkreślając ją zbytnio, przewagę tę traciła.

Mówiła do Franza z przesadną poufałością. Anetka zmarszczyła z lekka brwi, co nie uszło uwagi Eryki. Zanotowała jeden punkt. Chcąc zapisać i drugi, popełniła powstawszy od stołu błąd płynący z zarozumiałości: uprowadziła Franza, który roztargniony i niepewny, patrzał tak na Anetkę, jak gdyby ją widział po raz pierwszy. Eryka zabrała go do przyległego salonu i całkowicie zagarnęła dla siebie. Pani de Wintergrün usiłowała zająć uwagę Anetki, ale ona śledziła spojrzeniem Erykę, która pochylona ku Franzowi, zmuszając się do uśmiechu, udawała, że mu zwierza jakieś dowcipne sekrety; ukradkiem zaś biegły ku Anetce rzucane spod rzęs błyski źrenic. Pani de Wintergrün szepnęła:

– Kochane dzieci! Nie mogą się wprost obejść bez siebie!

Wypytując pozornie panią Rivière o Franza okazała się wspaniale poinformowana o jego stanie majątkowym i rodzinnym.

Doskonale spokojna w każdym ruchu, w głębi wrąc gniewem, przedziwnie świadoma wszystkiego, co ją otaczało, a ślepa na to, co huczało w jej sercu, Anetka wstała powoli i rozmawiając zaczęła oglądać fotografie na fortepianie. Nie przerywając rozmowy uchyliła machinalnie wieko pragnąc zobaczyć markę instrumentu. Machinalnie, jakby chcąc go wypróbować, palce jej przebiegły po klawiszach. Dłoń jej rzuciła się drapieżnie na klawiaturę... Nie tylko fortepian odczuł tę drapieżność. Każde z trojga obecnych otrzymało jakby cios w piersi. Intruz rzucił im w twarz:

„Oto jestem!...”

Władczy powiew wichru... Trzy potężne akordy... Trzy okrzyki namiętne a gniewne... Potem cisza, a w tej ciszy zaczęła płynąć skarga: powolne, zstępujące arpedżia niby chmury niesione wiatrem z wierzchołków górskich w bezdeń nieba... Jakby sieć czarnoksięska, która sunąc w głąb, bierze w niewolę dusze...

Sama schwytana jej oplotem, Anetka chyląc się nad przepaścią dźwięków widziała, jak z owych nieprzemyślanych akordów wyłania się *lamento* z uwertury *Manfreda*. Franz nadbiegł natychmiast. Dziedzicznie cechy narodowe i własne wrodzone skłonności uczyniły go miłośnikiem muzyki, nie mógł się więc oprzeć magicznemu wezwaniu. Wzburzony, patrzył na Circe[73] wywołującą duchy...

Anetka nie grała już od wielu lat, ale w młodości była świetną pianistką. Zmuszona sprzedać fortepian, obarczona troskami i ciągłą pracą, ćwiczyć mogła bardzo rzadko. A nawet od początku wojny czuła jakby jakiś wstręt do muzyki: miała wrażenie, że oddając się jej popełnia grzech przeciw powszechnemu cierpieniu. Kiedy zdarzyło się jej otwierać fortepian, czyniła to ukradkiem, w tajemnicy, jaką zwykło się otaczać akt cielesny. Ale przemoc owa stawała się tym gwałtowniejsza, im bardziej ją rozum potępiał. Muzyka brała ją w takich momentach w żelazny uścisk, a ona poddając się padała, nieruchoma, z płonącymi ustami, czując, jak unosi ją fala wezbranego potoku; zachowała tyle tylko świadomości, by widzieć uciekające brzegi i zawrotne zakręty; ciało jakby spętane, sparaliżowane, wolne pozostało tylko spojrzenie.

Spojrzenie to, zmącone, twarde, podniosło się zwolna ponad fale klawiszy i przesunęło ciężko po kręgu trzech śledzących ją twarzy: Franz był wstrząśnięty i pokonany; dziewczynę trawił gniew i strach; matka, przerażona, próbowała zrozumieć... Spojrzenie to wpijało się w nich badawczo, a przez palce przemawiał demon duszy...

W tym momencie preludium, gdy gorączka przepaja elegijne *lamento*, gdy rytm staje się szybszy, namiętność wzbiera, a dzwony zwiastują najście rozpętanych fal, w tej właśnie chwili, gdy tama zaczyna pękać – Anetka urwała. Palce jej zatrzymały się na klawiszach w pół frazy, tak nagle, że duchy akordów leciały jeszcze przez chwilę w ciszy na drgających skrzydłach, a potem opadały w cichnących wibracjach. Anetka wstała. Osądziła, że jest śmieszna... Franz, wzburzony, prosił ją z uniesieniem, by grała dalej. Pani de Wintergrün, choć bez uniesienia, nalegała wypełniając obowiązek uprzejmości. Eryka milczała zacisnąwszy usta w grymasie złości. Anetka spojrzała na nich, uśmiechnęła się chłodno i powiedziała:

– Wracam do siebie. Jestem zmęczona.

Potem spojrzenie swe zatrzymała na pełnym pokory Franzu, dodając:

– Pan mnie odprowadzi.

Odchodząc zobaczyła w oczach młodej dziewczyny trwogę i nienawiść...

Szli obok siebie pod lodowatym blaskiem gwiazd. Milczeli. Otchłań przestrzeni dokoła nich była dalszym ciągiem otchłani muzyki. Ereb nocy i ogniste ryby... Aż do progu domu nie wyrzekli ani słowa... Ciemności... Byli cząstką ciemności... Wyszeptał:

– Dobranoc!...

Ujrzał wówczas przed sobą ruchomy den, który go objął. Usta ich spotkały się...

Anetka znikła. Został sam przed zamkniętymi drzwiami. Zawrócił w noc.

Anetka weszła do swego pokoju nie myśląc o niczym... Nie! Nie myśleć! Jeszcze nie myśleć!

Było chłodno i ciemno, a znużenie ciążyło jak płyta kamienna. Nieprzenikniona fala nocy wewnętrznej pogrążyła ją w głębokim oleistym stawie... Rozebrała się z trudem, pośpiesznie, nie podnosząc zrywanej z siebie odzieży. Przyłożyła głowę do poduszki, zgasiła światło i na

[73] C i r c e – w mitologii greckiej czarodziejka mająca moc wywoływania duchów i dotknięciem pałeczki zamieniająca ludzi w zwierzęta.

czarnym niebie ujrzała Wielki Wóz. W świadomości jej zalśniło błyskawicą wszystko dotąd widziane, cała przeszłość... Odrywa się jak kamień... Ha!... Spadł....

Lecz właśnie w tej chwili (czy była to tylko chwila?) – ściśnienie serca smagnęło jej myśl. Uświadomiła sobie, że siedzi na łóżku przyciskając ręce do piersi i krzyczy:

– Nie! To niemożliwe!...

Co nie jest możliwe?... Czekała, aż uspokoi się bicie serca. Uspokajało się i znów biło przyśpieszonym rytmem. Gdy tak czekała, zauważyła nagle, że Wielki Wóz schylił się i znikł za horyzontem. Jedno tylne koło wychylało się jeszcze spoza grzbietu gór. Kurczowo wpijając palce w piersi jęczała dalej:

– Nie! To niemożliwe!

Co takiego?... Wiedziała dobrze...

– Okłamałam więc samą siebie?... Dałam się złapać?... Raz jeszcze? Więc go kocham?...

Więc to się kryło za ową macierzyńską czułością, którą się uspokajała!... Mieli zatem rację ci spryciarze paryscy, Marceli Franck i Sylwia. Ironia ich wywęszyła nieczyste pobudki, które kryły się za jej poświęceniem!...

– Bóg świadkiem, że zapomniawszy o sobie oddawałam się cała, nic nie żądając w zamian, że wierzyłam we własną bezinteresowność!... Ale niepostrzeżenie wśliznęło się jak złodziej zainteresowanie. Byłam współwinna, udawałam, że śpię słysząc kroki nadchodzącej ukradkiem namiętności. Mówiłam sobie: „Kocham go dla niego samego...” A kochałam dla siebie! Chcę, go mieć! Chcę. Ach, cóż za kpiny! Kim jest to „j a”? Kto chce mieć? Ja z tymi siwymi włosami, ja z ciałem pokrytym kurzem gościńców życia, ze zbędnym balastem doświadczeń i bólów, z tymi dwudziestu latami dzielącymi mnie od niego. Jak to dziecko musi oceniać tę odległość!... Wstyd i hańba!...

Była zdruzgotana upokorzeniem.

Zaraz jednak podniosła głowę, oburzona.

– Jak to? Czyż tego chciałam? Czy do tego dążyłam?... Czemuż to na mnie spadło? Czemu zażegło we mnie ogień? Skąd ta żądza miłości, ta zgłodniała namiętność? Czemuż dano mi serce, które nie starzeje się wraz ze starzejącym się ciałem?

Miażdżyła swoje piersi. Jakże ugodzić tę naturę, która trzyma człowieka w swym oplocie niby pająk. Rada byłaby zranić ją we własnym swym ciele. Ale oceanu nie da się schwytać w sieci.

Buntowała się.

– Kocham... Kocham... Jestem jeszcze godna kochania!... Świadczy o tym zazdrosna obawa tej dziewczyny... Wzięłam go i trzymam. Ode mnie, od mej woli zależy, czy będzie do mnie należał. Chcę. Kocham go. Mam do tego prawo.

Prawo? Uderzyła ją cała śmieszność tego słowa. Prawo? Ta fikcja stworzona przez człowieka, przez społeczeństwo ludzkie! Ów purpurowy sztandar zbuntowanego niewolnika w nieubłagalnej walce, która od czasów Prometeusza zawsze, zawsze kończy się klęską! Lub też obłuda silniejszego, który słabszego miażdży, a potem z kolei ginie pod pięścią mocniejszego od siebie!... Przyroda nie zna praw. Obojętna potęga pochłania miliony żyjących istot. Anetka jest jedną z owych ofiar. Mogłaby kosztem innych ofiar opóźnić o dzień czy godzinę własną klęskę. Ale klęska jest nieunikniona. Czy warto więc okupywać zwłokę cierpieniem innych?... Wykrzyknęła:

– Dlaczegóżby nie?... Dzień, godzina, chwila nawet posiadania, czyż to nic? Wieczność mieści się w jednej chwili, jak wszechświat w jednej istocie... A czyż niczym jest cierpienie drugiej ofiary, rywalki, na której się mścimy? . Czyż niczym jest to szczęście, które się nam wymyka zabrane przez złodziejkę. Ach, odebrać je z powrotem, zadać jej ból, unicestwić ją...

Chmura dzikich ptaków spadła na nią z chrapliwym krzykiem. Cierpka duma, okrutna radość zazdrości i zemsty... Oszołomił ją trzepot ich skrzydeł, ich przeraźliwe głosy... Skądże się wzięły?

– Wszystko to tkwi we mnie!...

Owładnęła ją duma i przerażenie, ciało jej zdawał się palić roztopiony ołów i upojona bólem, bliska omdlenia,. czuła, niby w godzinie konania, pełnię zaspokojenia... Nie próbowała odpędzać tych uczuć; była wobec nich bezsilna. Była bierna jak trup leżący na polu, szarpany przez bijące się o łup drapieżne ptaki. Krążyły dwoma stadami – wrogie a podobne sobie: Żądza Posiadania i Pożądliwość Ofiary. Gdyż i ofiarność także posiada chciwe szpony i dziób drapieżny. A dobro i zło (któż je rozróżni?) przybrane były w te same szaty dzikiego okrucieństwa.

Czekając leżała naga, rozciągnięta, ze skrzyżowanymi rękoma, niby padło zwierzęce wydane na łup chmarze kruków...

A oczekując patrzyła. Ani strach, ani żądza nie zaćmiewały jej spojrzenia. Widziała się obnażoną. Ujrzała, że od pierwszej chwili okłamywała samą siebie. Wiedziała, że kocha, wiedziała o tym zawsze... Odkąd?... Czyżby od słów Hermana: „Niech go pani nie kocha zanadto”? Nie, dużo wcześniej!... Od ucieczki? Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej! Skądże więc to cnotliwe zdumienie sprzed paru godzin, gdy odkryła ową miłość od tak dawna żywioną?...

– Komediantko! Jak ty umiesz kłamać!

Roześmiała się wzgardliwie. Nawet w największym cierpieniu ironia upominała się o swoje prawa, I rozpoczął się dialog: z jednej strony skore do oszustwa uczucie, z drugiej twarda i drżąca ironia, co bezlitośnie zdziera maskę i widzi wszystko.

*

Ale uświadomienie namiętności ani o godzinę nie skraca jej żywota, a czyni ją jeszcze bardziej gorzką.

Minęła noc. Dzień odpędził drapieżne ptaki, lecz obsiadły gałęzie pobliskich drzew, grożąc sobie nawzajem i wołając o swoje prawa. Ani jedno, ani drugie stado nie chciało ustąpić. Wyczerpana i oszołomiona, Anetka wstała. Nie powzięła żadnej decyzji. Szumiało jej w uszach. Usiadła i czekała... Póki nie pojawił się Franz. Zobaczyła go przez okno na drodze. Nadchodził. Wiedziała, że przyjdzie.

Zbliżył się do drzwi. Spojrzał, zawahał się... i poszedł dalej... Przeszedłszy trzydzieści kroków zatrzymał się i zawrócił. Widziała poprzez firanki trwożny wyraz jego twarzy, gorączkową niepewność i zmieszanie. Zatrzymał się przed drzwiami, stał przez chwilę, potem uczynił ruch, jakby chciał wejść. Ale nie wszedł. Podniósł oczy na okno Anetki, a ona cofnęła się gwałtownie. Słyszała już tylko łomot dwu serc. Ale jej serce zaczynało już odzyskiwać spokój, a oddech stawał się równy. Widziała go przez zamknięte powieki, jego niepewność, żądzę i słabość. Była mu wdzięczna... litowała się... gardziła nim...

Gdy po kilku minutach zdecydowała się spojrzeć znowu na drogę, nie było go już. Miała jednak pewność, że stojąc na zakręcie i nie spuszczając z oczu jej progu czeka, by wyszła...

Wówczas ciężkie skrzydła załopotały w powietrzu. Ptaki odleciały. Krwiożercze stado opuściło jej duszę i dusza ta stała się pusta jak niezamieszkały dom. Otwarto drzwi, ktoś wszedł z zewnątrz. Weszła troska, zjawiła się skurczona bólem twarz Eryki i ślepa żądza Franza... Anetka wiedziała teraz, jak wielką posiada władzę nad tymi słabymi dziećmi. I skorzystała z niej. Przeciw sobie.

Przeciw sobie, ale nie na ich korzyść. Badała oboje jasnym, zimnym spojrzeniem, które sądzi bezstronnie. Ale sąd wypada surowo, jeśli poprzestaje na sprawiedliwości wyrzekając się dobroci. Oceniła Erykę i Franza bez cienia pobłażliwości. Daremnie pragnęła być bezinte-

resowną i brać pod uwagę tylko szczęście tych dwojga... Odepchnięty interes osobisty wciskał się każdą szczeliną. Panna de Wintergrün nie wydalała się Anetce piękną. Nie uważała jej też za dobrą. Postawiła ostrą diagnozę, pesymistycznie oceniając stan jej zdrowia. Wyobraziła ją sobie nagą. Nie takiej żony chciałaby dla Franza... (Chciałaby? Co za ironia...) By się zemścić, nie oszczędzała i jego także. Niewiele zostało na sicie. A ileż plew. Nie ufała zupełnie jego charakterowi. Surowo osądzała zmienność uczuć i nienajlepszą rokowała przyszłość związkowi tej pary. Ale czy był to wyłącznie głóg rozumu?

Dzień mijał. Anetka przesiedziała zamknięta całe przedpołudnie i nie powzięła żadnej decyzji. Odkładała ją na potem. Dość rozmyślań... W głowie czuła pustkę. Cisza...

Późno po południu wstała i wyszła. Udała się pewnym krokiem do panny de Wintergrün.

Zastała ją samą w salonie. Serce młodej dziewczyny drgnęło, ale nie okazała po sobie nic i serce znów zaczęło bić równo. Eryka ubrana była bez zarzutu, jakby oczekiwała na wizytę; bujne jasne włosy, zaczesane gładko bez jednego nieposłusznego pukla, jak hełm okrywały jej głowę odsłaniając wypukłe, wyrażające wolę czoło. Wstała bez pośpiechu, wyniosła i zamknięta w sobie, i odpowiadając krótko na powitanie Anetki, z chłodnym uśmiechem wskazała jej fotel. Była gotowa do walki, ale wytrawne oko przybyłej umiało przenikać dusze. Podczas wymiany banalnych grzeczności Anetka śledziła skurcz chudej szyi Eryki i grymas ust. W lewym ich kąciku niby prowokujący kwiat – napastliwy uśmiech. Nie mogła opanować drżenia bladych warg, a urywane słowa zdradzały niepokój, urazę, strach i gorycz. Anetka rozkoszowała się tym umiejętnie, .powoli – i bez wyrzutów sumienia: znała już teraz przecież dalszy bieg wypadków... Ale ów dalszy bieg wypadków zależał od niej wyłącznie, po cóż się miała śpieszyć... Rozmawiały o sukniach, nowych tańcach, o kraju i pogodzie. Anetka niepostrzeżenie zwilżała językiem wargi...

Umilkła na chwilę. Eryka, gotowa do obrony i czujna, dopatrywała się w tym milczeniu podstępu i zasadzki. Nasyciwszy się ostrym smakiem tych ostatnich chwil niepewności, już teraz pewna wrażenia, jakie uczyni, i odczuwając z góry ironiczne współczucie, Anetka wymówiła spokojnie:

– Wyjeżdżam jutro rano.

Płomień objął twarz panny de Wintergrün. Poczerwieniało nawet czoło, a koniuszki uszu zdawały się kroplami krwi. Straciła panowanie nad sobą do tego stopnia, że nie była w stanie ukryć szalonego wzruszenia, jakie nią owładnęło.

Anetka uśmiechnęła się szczerze po raz pierwszy od przyjazdu, a śledząca ją spod oka, strwożona, nieufna jeszcze i lękająca się podstępu Eryka rozpoznała, że w uśmiechu tym nie ma wrogości. Anetka patrzyła nie bez ironii, ale w ironii tej było wiele współczucia.

„Jak ona go kocha" – pomyślała.

Panna de Wintergrün, zmieszana, pochyliła głowę i nagle oparła czoło o ramię Anetki. Anetka położyła dłoń na wątłej szyi i delikatnych włosach. Gładziła je z przyjaznym uśmiechem. Miała teraz przed sobą bezbronne dziecko. Nie było już mowy o wzajemnym braku zaufania. Eryka podniosła na Anetkę oczy pokorne, wdzięczne, szczęśliwe, a ona rzekła w sercu:

„Bądź szczęśliwa."

Czytały w sobie nawzajem l nie wstyd im było wcale, że odgadły myśli swe i uczucia, obie bowiem miały sobie wiele do przebaczenia.

– Kiedyż się pobierzecie? Nie trzeba zbytnio zwlekać – powiedziała Anetka.

Potem zaczęła mówić o Franzu, odmalowała go z życzliwą przenikliwością, ostrzegając Erykę przed niebezpieczeństwami. Eryka rozumiała je dobrze; ona także miała ostre spojrzenie. Rozmawiały otwarcie, trzymając się za ręce. Eryka nie ukrywała tego, co dostrzegła we Franzu i czego się lękała, przejawiając jednocześnie żelazną wolę zawładnięcia i zatrzymania tej duszy czarującej a nieuchwytnej, którą posiadać pragnęła. Godziła się z góry na wszystkie

tajemne walki, czuwania nocne i dni pełne niepokoju, którymi miała płacić za to szczęście zdobyte, ciągle zdobywane, a nigdy nie zakute w łańcuchy.

Anetka ściskała nerwową dłoń Eryki czując całą potęgę dzikiej energii, którą zakochana dziewczyna przed chwilą jeszcze gotowa była zwrócić przeciw niej w rozpacznej obronie swego zagrożonego szczęścia, szczęścia całego życia, na które, ranna w walce z życiem i chora, nie liczyła już wcale. Anetka pomyślała:

„To sprawiedliwe."

I dodała w duchu:

„Ta ręka zdolna będzie trzymać i prowadzić człowieka, którego jej powierzam."

Zielononiebieskie północne oczy, o bladych brwiach i prawie pozbawione rzęs, nieco jeszcze trwożne oczy Eryki przesuwały się ukradkiem po policzkach, ustach, szyi, piersi i rękach Anetki. Myślała:

„Piękna jest... Piękniejsza ode mnie..."

I dojrzały w przewlekłej chorobie instynkt szeptał jej, że tej kobiecie ciężko było rezygnować i że nie było to nawet sprawiedliwe.

Trwało to jednak tylko chwilę.

„Mniejsza o to. I mnie się szczęście należy."

Anetka wstała mówiąc:

– Proszę go do mnie przysłać. Chcę z nim pomówić.

Panna de Wintergrün zawahała się na chwilę. Podejrzenia znów się odezwały. Spojrzała, przerażona, w skierowane na nią oczy rywalki. Dostrzegła, że Anetka żąda pełnego zaufania. Trzeba było uwierzyć lub zerwać. Uwierzyła i rzekła pokornie:

– Przyślę go pani.

Spojrzały na siebie po raz ostatni, jak siostry, i w progu zamieniły pocałunek pokoju.

*

Franz przyszedł o godzinę później.

Nie dziwiło go wcale, że został wysłany przez Erykę do Anetki, nie miał bowiem zwyczaju zastanawiać się nad uczuciami innych ludzi. Zajęty był wyłącznie własnymi a te podlegały ustawicznym zmianom. Gdyby nawet zadał sobie trud czytania w obu kobietach, uznałby za rzecz naturalną, że go obie kochają. Nie pociągało to zresztą za sobą żadnych zobowiązań z jego strony. Myślał tak całkiem szczerze... A szczery był zawsze – ową straszną szczerością człowieka, którego każda chwila życia ulatuje jak dym. On jednak nie cierpi z tego powodu wcale.

W tej chwili myślał o swoim najświeższym odkryciu: o czarodziejskich rękach na klawiaturze, o uścisku w drzwiach domu pod nocnym niebem... Przyszedł, wzruszony, płomienny, przekonany o swoim szczęściu. Zachowanie jego świadczyło o pewnym onieśmieleniu i naiwnej próżności. Ale pierwsze, szorstkie słowa Anetki od razu zbiły go z tropu.

Przyjęła gościa stojąc. Nie poprosiwszy go, by usiadł, spojrzała w lustro, przygładziła włosy i rzekła:

– Wyjdźmy.

Ruszyli ścieżką górską, którą przebiegali już nieraz; szli wielkimi krokami dobrych piechurów. Anetka milczała, a Franz, początkowo zakłopotany, szybko odzyskał pewność siebie. Był wesoły, lekki, zachwycony nowymi zabawkami swego serca: tymi dwiema kobietami. (Nie wątpił, że kochają go obie.) Sprawa pogodzenia tych dwu miłości była kwestią drugorzędną, nad którą się wcale nie zastanawiał. Nieświadom własnego egoizmu i zajęty sobą, zaczął bez najmniejszego zamiaru podrażnienia zazdrości Anetki wyliczać zalety panny de

Wintergrün, ciesząc się z naiwnym uniesieniem, że pomyślny zbieg okoliczności przyprowadził go tutaj, gdzie znalazł szczęście.

Serce Anetki ścisnęło się, a usta już otwierały się do słów:

„Ktoś przypłacił życiem ten pomyślny zbieg okoliczności."

Ale nie chcąc rozkrwawiać wspomnień powiedziała tylko:

– Herman cieszyłby się na pewno.

I tego było za dużo dla Franza. Wolałby nie myśleć o tym w obecnej chwili, ale ponieważ myślał już, cień szczerego smutku ukazał się na jego twarzy; nie pozostał jednak długo. Umysł jego, zręczny w unikaniu wszystkiego, co mogłoby zmącić jego błogi spokój, uczepił się jednego ze słów Anetki:

– Ach, jakim szczęściem byłoby przeżywać to z nim razem.

Melancholia i radość Franza były równie szczere; ale nie zdążył skończyć zdania, a pozostała już sama tylko radość. Nie padło nawet imię przyjaciela. Anetka myślała o wolnych od złudzeń słowach zmarłego:

„Gdy zapomnienie się opóźnia, wychodzimy naprzeciw."

Franz wrócił znów do swej gadaniny zakochanego poety. W którejże był zakochany? Mówił o jednej do drugiej. Ale obecność Anetki wypełniała jego myśli bardziej niż obraz tej, o której mówił. Nie spuszczał z niej oczu, pieścił ją spojrzeniem, upajał się jej obecnością. Nagle przystawał, oczarowany widokiem, który przyciągał jego chciwe piękna spojrzenie artysty... Zaczynał się zachwycać liniami krajobrazu półtonami barw i ich harmonią. Ale Anetka nie zatrzymywała się. Szła dalej, wyniosła, daleka, nie odwracając głowy, ze ściągniętymi brwiami. Czuła gniew i wzgardę wobec tych chwiejnych umysłów artystycznych, u których każda następna minuta wypiera poprzednią, a wszystko, życie i śmierć, przepływa niby przez sito...

Zaczęła się wspinać na strome zbocze wiodące na skaliste wzniesienie, wąskie i podłużne, w kształcie siodła. Zdobyła je, nie zatrzymując się, jednym tchem. Wysoko w górze niebo było jasne i twarde jak źrenice Eryki. Rzeźwy i silny wiatr wiosenny, który hulał po szczytach i spływał zboczem, pochylając smukłe łodygi ziół, smagał twarz Anetki i jej towarzysza. Usiedli na stoku w miejscu, gdzie obsuwająca się ziemia utworzyła niewielką rozpadlinę, osłonięci kępą karłowatych i pokrzywionych drzew. Pastwiska spływały stromo ku szumiącemu w dole potokowi. Dokoła krąg nieba z białego metalu obrębiony był po brzegach kryzą ciemnych chmur wzbierających niby fale bijące o skaliste wybrzeża szczytów.

Anetka siedziała wśród dzikiej mięty i uschłej trawy nagrzanej promieniami zachodzącego już słońca. Policzki jej zarumieniły się od uderzeń wiatru i podmuchów gniewu, który narastał w jej sercu. Siedząc tuż obok Franza, nie patrzyła na niego wcale, patrzyła przed siebie z podniesioną głową, a na twarzy jej malował się uśmiech wzgardy. Biła od niej siła i duma. Franz wpatrywał się w nią; świergot jego ustał. Zapadło palące milczenie. Z pogardliwego oddalenia, w którym trwała odosobniona, Anetka poczuła na swym ciele płomień jego spojrzenia. Uśmiechała się ciągle. Lecz ostatni przypływ namiętności uderzył w nią jak wiatr w wierzchołki tych drzew, które obejmowały ją niby skrzydłami. Powiedziała tym oczom, które widziała nie patrząc na nie:

„Poznajesz mnie nareszcie."

I zwracając się do nieobecnej rywalki, która była gdzieś tam, nisko, pod jej stopami, do tej, której chore nogi nie zdołałyby wspiąć się po stromym zboczu, wołała w duszy:

„Gdybym tylko chciała... Mam go. Spróbuj odebrać..."

Ale nie chciała.

Wraz z łuną zachodu przed oczami jej przepłynęła fala krwi... Potem nieme szaleństwo opadło jak słońce poza pasmo gór. Wstrząsnął nią nagły dreszcz, wstała i wyprostowana na skalnym wzniesieniu, smagana wichrem, zwróciła się do Franza, który patrzył na nią oczyma uległego psa; wzrok jego śledził ją błagając o spojrzenie. Ale w jej oczach znalazł tylko ob-

cość i chłód. Widząc jego rozczarowanie Anetka uśmiechnęła się; i jakby odprężona, zaczęła mu się przypatrywać ze spokojną macierzyńską życzliwością.

– Posłuchaj mnie, Franz – powiedziała. – Nie jesteś zły, ale możesz zrobić dużo złego... Czy wiesz o tym? Już czas, byś wiedział, chłopcze. Tak, nie ty jeden. Ja także... Wszyscy rodzimy zło, jak jabłoń jabłka. Ale te owoce naszego drzewa powinniśmy zjadać sami. Nie trzeba karmić nimi innych...

Zbity z tropu, próbował wymknąć się, uciec od sensu tych słów i spojrzenia, które go przenikało. Ale spojrzenie to było nieustępliwe, a słowa trafiały celnie. Giętka jego natura poddawała się naciskowi każdej silnej dłoni, przyjmując nadany jej kształt. Na jak długo? Anetka nie łudziła się wcale. Ale mając go w ręku modelowała jego serce surowo a serdecznie zarazem. Miło jej było czuć pod palcami drżącą uległość tej żywej gliny.

– Eryka cię kocha – powiedziała – i ty ją kochasz. To dobrze. Ale pamiętaj, że posiadasz niebezpieczną umiejętność zadawania cierpień tym, których kochasz – zresztą zupełnie nieświadomie... Umiejętność tę posiadasz w nadmiarze... Trzeba się tego oduczyć. Wiesz, ile mam dla ciebie życzliwości... Zbyt wiele nawet... Nie umiem kłamać. Po cóż bym zresztą kłamała. Zdajesz sobie sprawę z tego, o czym teraz mówię... Uważam cię za syna, może za coś więcej jeszcze... Pragnę twego szczęścia. Ale wolałabym, byś spędził całe swe życie w poniewierce, niżbyś miał igrać z miłością i lekkomyślnie zadawać cierpienie tej istocie; która jak dziecko oddaje się tobie. Przynosi ci nierównie więcej, niż ty jej możesz dać. Wszystko, co ma: całą siebie. Ty zaś dać możesz część tylko. Wy, mężczyźni, zachowujecie dla siebie to, co najlepsze, lwią część przeznaczoną dla tego potwora w klatce, dla waszego mózgu, tego ludożercy, dla waszych chimer, idei, sztuki, waszych ambicji i czynów. Nie wyrzucam wam tego. Na waszym miejscu czyniłabym to samo... Ale niechże już czysta będzie ta cząstka, którą nam dajecie, niechże będzie pewna. Nie odbierajcie tego, coście dali. Nie szachrujcie. Nie żądamy wiele, ale to, czego żądamy, chcemy mieć. Czy czujesz się na siłach dać to Eryce? Zbadaj dobrze twe ciało i serce. Pragniesz jej? Kochasz ją? Bierz tedy. Ale oddaj i siebie. Dar za dar. Naucz się brać i zachowywać na stałe, i trwać! O, ty duszo z mgieł! Umyśle z wiatru!

Stał bez ruchu, pochyliwszy czoło pod smaganiem ostrych słów i spojrzeń, w których teraz budziły się iskierki uśmiechu. Potem, jakby zwalniając uchwyt, Anetka zaśmiała się szczerze i powiedziała:

– Wracajmy.

Zaczęli w milczeniu schodzić po zboczu. Ona szła na przedzie, on zaś nie spuszczał oczu z jej złotawego opalonego karku; pragnął, by droga ta trwała bez końca.

Nie dochodząc do pierwszych domów Anetka przystanęła; odwróciła się do mego i podała mu ręce. Podobnie jak pierwszego wieczora, w obozie jeńców, pochylił się ku nim okrywając pocałunkami. Anetka cofnęła dłonie, położyła mu je na ramionach i patrząc w oczy rzekła:

– Żegnaj, mój chłopcze.

Wróciła sama, i wbrew obietnicy .nie czekając ranka wyjechała w nocy.

Nazajutrz Eryka i Franz przybyli, by ją pożegnać. Klatka była pusta. Uczuli żal i ulgę.

Część piąta

Anetka nie wróciła wprost do Paryża. W drodze zatrzymała się na jakiejś zagubionej stacyjce, gdzie nie było obawy spotkania nikogo. Czuła się wytrącona z równowagi. Trzeba było uregulować porachunki z samą sobą; trzeba było odnaleźć kierunek.

Zaciężyło jej nagle zmęczenie ostatnich miesięcy, to nieustanne napięcie, w jakim żyła, i ów ostatni cios, który rozbudził w niej palące poczucie nieodwołalnej granicy wieku i niezaspokojonej potrzeby miłości, miłości pełnej, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Ogarnęła ją nieokreślona a wyczerpująca melancholia. Dla kogo ten dar całej siebie? Teraz, kiedy wszystko dała i wszystko porzuciła, uczuła się przerażająco wolna. Więzy zerwane. Czegóż się teraz trzymać, skoro one już nie trzymają?... Nie miała już punktu oparcia, najgorsze zaś było to, że zatraciła swoje „ja", że nie wierzyła w siebie, nie wierzyła w dawną wiarę w ludzkość... Co za klęska! O tak, było to o wiele gorsze niż niewiara w ludzkość!... Straciwszy wiarę w jedną sprawę dusza silna zaczyna wierzyć w inną, odbudowuje swoje gniazdo. Co jednak robić, gdy zacznie brakować duszy?... Była jak z piasku, usuwała się jak ziemia spod stóp... Nieprzejednana i namiętnie szczera, Anetka napiętnowała siebie jako kłamczynię. Na ustach miała ciągle słowo „ludzkość", a w środku sieci czyhał na łup pająk – zgłodniałe serce. Ludzkość dla niej to był człowiek... Mężczyzna... Ten pierwszy lepszy, miły, ale całkiem przeciętny!... Cóż za komedia!... Ileż w to włożyła zapału, wiary i poświęcenia – ileż ryzykowała: narażała siebie i ludzi, których za sobą porwała; i po to, by się złapać na haczyk! Cały ten entuzjazm poświęcenia dla tego, który był tylko wabikiem, dla tego chłopca (on czy inny, przypadek uczynił go przynętą na haczyku...). I przystraja się go jak bożka, dla powiększenia rozkoszy ubiera go się w swoje pożądanie, w szych idealizmu, nadając święte miano, fałszywe miano ludzkości!...

Rozjątrzała się coraz bardziej. Oczerniała samą siebie... Schylona, podparłszy głowę rękami, z łokciami na kolanach, kurcząc się z bólu, przeżuwała upokorzenie klęski...

Ukryła się w małym miasteczku położonym wśród łąk. Nie znała nawet jego nazwy. Wysiadła w nocy na chybił trafił i zamieszkała w pierwszym z brzegu pensjonacie. Była to obszerna gospoda w typie spotykanym często w okolicach Berna, z ogromnym dachem nad maleńkimi okienkami o drobnych szybkach, za którymi kwitnie geranium.

Za tą czerwoną firanką, w cieniu szerokiego okapu targana niepokojem dusza odzyskiwała z wolna równowagę wracając do własnego łożyska. Niejednokrotnie jednak rozbiła się przedtem o brzegi. Łatwo sobie powiedzieć:

„Dość tego! Składam broń, nie stawiam oporu. Jestem pokonana. Godzę się z tym... Czyż to nie wystarczy?"

Nie wystarczy. Natura przypomina nam niespodzianymi atakami, że umowa będzie obowiązywała dopiero wówczas, gdy ona ją podpisze. Anetka przez wiele dni musiała podejmować walkę z potrójnym cierpieniem: absurdalnej namiętności, wiecznej niewoli i utraconej młodości – złudny ogień, żałosny stos całopalny i popioły życia.. Rano bywała znużona, milcząca, zgaszona po udrękach nocy... Nie ona jedna zresztą. Ileż jest tych spokojnych twarzy, które wydają się w dzień nieruchome i dalekie, osłaniając straszną walkę duszy toczącą się co noc!

W końcu uporządkowała rachunki. Uznała się za bankruta. Zestawiła bilans. Chciała przeciwstawić owej nienawidzącej się ludzkości, która szarpie siebie samą i ujada do upadłego, duszę kobiecą, wolną i samotną, nie godzącą się ani na nienawiść, ani na śmierć, duszę, która uświęca życie i nie czyniąc różnicy pomiędzy braćmi-wrogami otwiera macierzyńskie ramiona wszystkim swoim dzieciom... Była w tym wielka pycha. Przeceniła siebie. Nie była wolna

i nie miała sił, aby być samotną. Nie była matką, która zapomina o sobie dla swoich dzieci. Zapomniała o własnym dziecku, dziecku swojej krwi. Była wieczną niewolnicą, chytrą i skrytą, chciwie, jak suka, idącą za głosem żądzy. Ładna bezinteresowność! Cały jej idealizm był przynętą, którą wymyśliła natura, by ją schwytać i batem zapędzić do psiarni. Nie stać jej na wyzwolenie się spod władzy psiarczyka...

– Dobrze więc! Trzeba się teraz uczyć pokory... Chciałam i nie potrafiłam... Ale chciałam: to już też coś znaczy. Nie potrafiłam... Może kiedyś zjawi się ktoś lepszy, silniejszy, kto potrafi...

Zwyciężona i pogodzona z losem, zastrzegając sobie jednak prawo do przyszłych buntów, postanowiła wracać do Paryża.

Jechała w przedziale z dwoma Francuzami. Jeden z nich, młody porucznik, ranny w twarz, miał obandażowaną głowę i czarną przepaskę na oczach. Towarzyszył mu pielęgniarz, barczysty, obojętny prostak, który nic sobie nie robił z cierpienia (widział go już tyle!). Wpakowawszy chorego w róg przedziału przestał się nim zajmować. Najpierw przeżuwał wielkie kawały szynki, zapijając winem z flaszki, potem zdjął buciory i rozciągnąwszy się jak długi na ławce głośno zachrapał. Ranny siedział na tej samej ławce co Anetka. Zobaczyła, że omackiem szuka czegoś wokół siebie, potem wstaje z trudem i szuka na siatce nad sobą; nie znalazłszy usiadł z powrotem i westchnął.

– Pan czegoś szuka? – spytała. – Czy mogę pomóc?

Podziękował. Chciał zażyć proszek od bólu głowy. Podała mu go w odrobinie wody. Oboje nie mogli zasnąć, wszczęli więc rozmowę wśród dudnienia trzęsącego się pociągu. Siedząc obok chorego Anetka ochraniała go, jak mogła od wstrząsów i okrywała kocem drżące kolana. Ożywiła go obecność współczującej osoby. Jak niemal każdy opuszczony człowiek, który czuje pochyloną nad sobą litośnie kobietę, wkrótce zaczął zwierzać się jak dziecko. Nie powiedziałby tego wszystkiego mężczyźnie – ani może nawet jej samej, gdyby mógł ją widzieć.

Kula przeszyła mu skronie na wylot. Przez dwa dni leżał na polu bitwy całkiem oślepły. Wzrok zaczął jak gdyby powracać, potem znów słabnął. Teraz zgasł na zawsze. Tracąc wzrok tracił wszystko. Był malarzem; oczy były dla niego wszystkim: jedynym dobrem i środkiem utrzymania. A przy tym nie było wiadomo, czy i mózg nie został zaatakowany. Szarpał nim ból...

Nie to było jednak najgorsze... Dusza jego konała w ciemnościach płacząc bez łez i oblewając się krwawym potem.. Nic jej nie pozostało. Zabrano wszystko. Wyruszył na wojnę bez nienawiści, z miłości do swoich bliskich, do ludzi, do całego świata i do świętych idei. Chciał zabić wojnę, uwolnić od niej ludzkość, nawet swych nieprzyjaciół. Marzył, że zaniesie im wolność. Oddał wszystko. I wszystko stracił. Świat zakpił zeń: za późno poznał potworną niesprawiedliwość, nikczemne wyrachowanie graczy politycznych, na których szachownicy był tylko pionkiem. Stracił wszelką wiarę. Oszukano go. Leżał powalony i nie pragnął się nawet buntować... Pragnął jednego – zapaść się co prędzej w otchłań, gdzie zatraci byt i pamięć bytu, na dno grobu, który pokryje wieczyste zapomnienie!

Mówił beznamiętnie, głosem znużonym, matowym, który budził w Anetce siostrzane współczucie... Ach, jakże podobni byli do siebie, mimo odmiennych losów. Człowiek ten widział w wojnie tylko miłość, tak jak ona nienawiść, a oboje zostali ofiarami... Czego, kogo? Cóż za tragiczny bezsens tych wszystkich ofiar!... A mimo wszystko, mimo wszystko!... w nadmiarze owej goryczy (w obliczu takiej klęski ledwie to śmiała przyznać) – jakaż tragiczna rozkosz!... Nie, nie, nie na darmo zostaliśmy zgnieceni, zdeptani, zmiażdżeni jak winogrona w kadzi! A gdyby to nawet miało być daremne, czyż niczym jest: być winem? Czymże byłaby bez nas owa siła, która karmi się nami? Cóż za straszliwa wielkość!

Pochylona nad ślepym, powiedziała cicho a gorąco:

– Każde poświęcenie jest może oszukaństwem. Ale cóż, lepiej jest być, oszukanym! Mnie także oszukano. Ale zaczęłabym na nowo. A pan ?

Wstrząsnęło to nim

– Ja także! – powiedział. Uścisnęli sobie dłonie.

– Przynajmniej oboje nie odnieśliśmy z tego oszustwa żadnej korzyści. To tak pięknie być oszukiwanym!

Pociąg stanął. Dijon. Pielęgniarz zbudził się i poszedł do bufetu zwilżyć gardło. Anetka spostrzegła, że ranny usiłuje podnieść opaskę z oczu.

– Co pan robi? Nie wolno dotykać!

– Proszę puścić.

– Co pan chce zrobić?

– Chcę panią zobaczyć, zanim zapadnie dla mnie noc.

Zdjął opaskę i jęknął:

– Za późno!... Nie widzę pani.

Ukrył twarz w dłoniach. Anetka powiedziała:

– Mój drogi chłopcze! Widzi mnie pan lepiej niż oczyma. Ja nie potrzebowałam oczu, by poznać pana. Proszę dotknąć moich rąk. Serca nasze są blisko.

Uchwycił jej dłoń, jakby się bał zgubić, i prosił:

– Niech pani mówi jeszcze! Niech pani mówi!

Głos jej był dla jego zgasłych oczu czymś jak sylwetka na murze. Wsłuchiwał się weń chciwie, gdy Anetka rysowała przed nim w skrócie obraz czterdziestu lat nadziei, wysiłków woli, wyrzeczeń, klęsk i nowych wysiłków – czterdziestu lat życia realnego i marzeń (wszystko jest marzeniem), które wyryły swój ślad na jej twarzy.

„Musiały one dobrze tę twarz rzeźbić – myślał ranny. – Dusza przeziera..."

Ujrzał w tej chwili najpiękniejszy ze swoich obrazów. Ale nikt nie miał go zobaczyć prócz niego.

Umilkła. Milczeli aż do rana. Kiedy dojeżdżali już do Paryża, uwolniła swą dłoń z uścisku i rzekła:

– Jestem tylko towarzyszką pańskiej niedoli. Ale błogosławię twe biedne oczy, błogosławię twoje ciało, myśl, poświęcenie i dobroć... Pobłogosław mnie wzajem! Gdy Ojciec zapomina o swoich dzieciach, dzieci muszą go sobie wzajem zastępować.

*

Marek otrzymał rankiem depeszę z wiadomością o powrocie matki. Podskoczył z wrażenia. Od jej wyjazdu dostał tylko jedną kartkę ze Szwajcarii, wysłaną zaraz po przybyciu na miejsce. Pisywał do niej codziennie. Lecz żaden z tych listów nie doszedł do rąk Anetki; wysyłane na poste restante, utknęły na poczcie w małym miasteczku szwajcarskim, które opuściła nazajutrz po przyjeździe; w swoim przygnębieniu zapomniała podać następny adres. Marek był zmrożony tym milczeniem, które uważał za umyślne.

Mieszkał w opuszczonym mieszkaniu. Pomimo usilnych nalegań Sylwii, odmówił przyjęcia jej gościny. Uważał, że jest dość dorosły, by mieszkać sam w domu. Czuł tu obecność matki i starał się, daremnie zresztą, odtworzyć jej niewidoczne ślady na różnych przedmiotach, meblach, książkach i łóżku. Bolała go obojętność Anetki, ale nie miał do niej żalu; po raz pierwszy w życiu nie miał żalu do nikogo, poza sobą, za doznane krzywdy. Miał żal do siebie; powtarzał sobie, że była dotąd jego skarbem i że on sam go stracił. Czując chłód w sercu, przyciskał, jak dziecko, głowę do matczynej poduszki, by łatwiej móc o niej myśleć. A im więcej myślał, tym dokładniej czuł różnicę między nią a innymi ludźmi, których kochał.

Próbował odnowić kilka dawnych przyjaźni. Zbliżył się do Pitana, pragnąc zgłębić go do dna... Ach, jakaż tam była pustka! Jakże cała ta wiara, bohaterstwo i psie poświęcenie pozbawione było piętna osobowości! Tylko cień i odblaski. Ile razy usiłował przyprzeć Pitana do muru i ująć jego myśl, nie wykształconą niby poczwarka, spostrzegał pudla, który służył stojąc na tylnych łapach przed błyskotliwymi frazesami. Można by go było zabić na miejscu, a nie odwróciłby oczu, okrągłych i lśniących jak paciorki. (Zbytecznie chyba dodawać, że Marek był niesprawiedliwy! Niesprawiedliwy z natury. Jak wszyscy, dla których kochać znaczy wybierać! O sprawiedliwość troszczył się bodaj najmniej...) Marek nie czuł sympatii do ludzi, którzy byli niewolnikami frazesów. Ten mały Diogenes szukał człowieka, który by był człowiekiem, który by w każdej okoliczności życia był samym sobą, a nie echem. O kobietach w ogóle nie warto mówić! Są to wieczyste *serve padrone*[74]. Rozkosz sprawia im wciąganie splecionych z nimi mężczyzn w lepką sieć kłamstwa, jaką na ludzi zarzuca Gatunek, ów brzuchaty bezoki potwór...

Znał jedną tylko kobietę (przynajmniej za taką ją uważał), która, od kiedy pamiętał, walczyła z ową siecią, targała ją, uciekała, a schwytana, na nowo zaczynała walkę.. Jego matka... W czasie tych dni wypełnionych monologami w pustym mieszkaniu, skąd wyjechała, zdawać się mogło, na zawsze, unoszony przez rzekę wspomnień, żarliwie wracał do jej źródeł, usiłując odtworzyć życie tej kobiety w ciągu ostatnich lat, życie samotne, którego cierpień i radości, namiętności i walk nie był świadomy. Było ich wiele: znał teraz dostatecznie tę duszę, by wiedzieć, że nigdy nie była pusta. Zostawił ją samą, wydaną temu światu wewnętrznemu... Jakież więc miał teraz prawo do owego świata? Przywykła sama walczyć, zwyciężać, ponosić klęski i samotnie kroczyć własną drogą. Dokądże wiodła ją ta daleka od niego droga?... Rozmyślał nad tym; rozmyślał tak długo o matce, że przestał w końcu myśleć o sobie. Pragnął tylko, nie wiedząc, dokąd prowadzi, uczynić jej tę drogę łatwiejszą...

Marek był właśnie w tym stanie umysłu, kiedy nadszedł telegram, niespodzianie jak jeden z owych wybuchów, które znaczyły wówczas dni w oblężonym mieście. Przeczytał depeszę kilka razy, by się upewnić. Ten powrót, .którego już nie oczekiwał, budził w nim pełną lęku radość. Cóż ją do tego skłoniło? Daleki był od myśli, że wraca ze względu na niego; ostatnie rozczarowania uczyniły go skromnym. Przesądnie zaczynał wierzyć, że najlepszym sposobem, by osiągnąć rzecz upragnioną, jest przestać na nią wyczekiwać.

Anetka nie zastała syna w domu. Pociąg spóźnił się o osiem godzin i stanął na Dworcu Lyońskim dopiero późno po południu. Marek był tam, ale po długim czekaniu, zniechęcony, wrócił do domu. Nie mógł jednak usiedzieć na miejscu i zanim Anetka wreszcie przybyła, pobiegł znów na stację. Weszła do mieszkania i czekała. Zauważyła ze wzruszeniem, że postawił kwiaty w jej sypialni. Siadła w fotelu z głową na oparciu. Bardzo zmęczona, nadsłuchiwała odgłosów dobiegających z ulicy i domu. Zdrzemnęła się... Jak przez mgłę usłyszała na schodach szybkie kroki, ktoś biegł... Marek wszedł i krzyknął z radości. Zaspana jeszcze, uśmiechnęła się myśląc:

„A więc on mnie kocha?"

Uczyniła wysiłek, aby wstać, lecz nogi odmówiły posłuszeństwa. Otworzyła ramiona, a on przypadł do niej.

– Ach, jak ja czekałem na ciebie! Jaką miałaś podróż?

Nie odpowiedziała nic; gładziła tylko policzki i włosy syna. Jednym szybkim spojrzeniem dostrzegł znużenie i cierpienie na wyczerpanej twarzy.

Ostrzeżony instynktem, nie wypowiedział żadnego z pytań i słów, jakie cisnęły mu się na usta. Objąwszy ją uściskiem, podniósł z fotela... (Jakiż był teraz silny! A ona jaka słaba!...)

[74] S e r v e p a d r o n e (wł.) – niewolnice – panie.

Wstała i podtrzymywana przezeń, zbliżyła się do okna. W żółtawym, wieczornym świetle była bardzo blada.

– Musisz się zaraz położyć!... – powiedział.

Zaprotestowała, ale czując zawrót głowy pozwoliła się zaprowadzić, zanieść niemal, do łóżka. Zmusił ją, by się położyła, zdjął trzewiki i pomógł się rozebrać. Nie stawiała oporu, czując słodycz poddania się woli kogoś, kto decyduje za nią i kocha ją...

Kocha ją... A więc on ją kocha?... Zbyt była zmęczona, aby myśleć!... Odłożyła to do jutra... On zaś także był może rad z odwleczenia rozmowy. Jedno tylko pilne pytanie cisnęło mu się na usta. Nie wypowiedział go, a tymczasem matka leżąc tłumaczyła się ze swego zmęczenia:

– To naprawdę wstyd wracać po to, by się dać rozpieszczać... Przebacz mi, kochanie... Byłam zawsze tak mocna! Ale ledwo się trzymam na nogach. Nie spałam już od kilku nocy... Usiądź tu przy mnie. Opowiedz, co robiłeś dzisiaj, jak mogliśmy minąć się na dworcu?

Zaczął w zawiły sposób opowiadać, jak wychodził na jej spotkanie. Ona nie śledziła toku zdań, a wkrótce przestała rozumieć nawet sens słów, ciesząc się tylko dźwiękiem jego głosu. Zamknęła oczy. Umilkł, wstał, spojrzał na nią i z żalem odszedł. To pytanie nie dawało mu spokoju... Wrócił i po chwili wahania pochylił się nad śpiącą. Otworzyła oczy... Marek niezręcznie poprawił jej poduszkę i śpiesznie zapytał:

– Czy teraz już zostaniesz?

Nie rozumiejąc go spojrzała zdumiona, on zaś siląc się na obojętność powtórzył pytanie:

– Czy zostaniesz?

Uśmiechnęła się.

– Zostanę! – powiedziała.

I zasnęła.

Marek odszedł z uczuciem ulgi.

*

Drzwi do pokoju matki zostawił półotwarte i słuchając jej równego oddechu mówił sobie:

– Jest tutaj... Mam ją... I mam czas...

Tej nocy był nalot. Syreny wyły, a w całym domu zapanował zwykły w takich wypadkach popłoch: lokatorzy zrywali się i zbiegali po schodach. Marek wyskoczył z łóżka i- przyszedł do matki. Ale spała .tak mocno, że nie zdobył się na to, by ją obudzić.

„Niech sobie teraz spada bomba! – pomyślał. – Jesteśmy razem."

Był w tej chwili odważny, a jednak w inne noce, kiedy był sam, nieraz odczuwał strach. Teraz zaś (dlaczego?) było to prawie przyjemne.

Nazajutrz przyszła zaniepokojona o niego Sylwia i na wiadomość o powrocie Anetki nazwała go małym szelmą. (Ukrył przed nią zazdrośnie telegram, chcąc pierwszego dnia mieć matkę wyłącznie dla siebie.) Anetka spała jeszcze, a Marek bronił jak smok dostępu do jej pokoju. Hałas sprzeczki obudził śpiącą i Sylwia weszła. Miała dużo do powiedzenia, ale od razu spostrzegła, że tę siostrzaną rzekę zmąciło wiele wichrów i deszczów; rozsądna, jak zawsze gdy szło o jej bliskich, mówiła tylko, o tym, co mogło Anetkę rozerwać. Doświadczenie nauczyło ją, że pierwszym lekarstwem dla wzburzonej czymś duszy jest: nie tykać jej, by zmącony wirem piasek mógł sam powoli opaść na dno. Żartowała z Anetki, która spała tak mocno, że nie słyszała wybuchów nocnych. Gderała na tego obrzydliwca Marka, który po wyjeździe matki zamiast zamieszkać u niej, uparł się, że będzie nocować w domu. Udawała, że posądza go o chęć ułatwienia sobie nocnych eskapad. Marek rozgniewał się, powiedział, iż dał słowo, że będzie się rozsądnie zachowywał, i że nie chce, by to podawano w wątpliwość. Zresztą gdyby chciał się zabawić wbrew woli Sylwii, był już dość dorosły, by jej to w oczy

powiedzieć. Potem ogarnęła go skrucha, że w ten sposób mówi w obecności matki, i zawstydzony, wyszedł z pokoju. Gdy znikł, Sylwia z dumą powiedziała do Anetki:

– Rogata dusza! Co? Podobny do nas!

„Czy jest do mnie podobny?" – pomyślała Anetka.

Usiłowała powrócić do normalnych zajęć domowych, ale bolesne wyczerpanie moralne nieprędko ustąpiło. Męczyła się szybko. Marek usiłował oszczędzać jej siły. Niby to nic nie spostrzegając zawsze był gotów przyjść jej z pomocą – to przesuwał meble, to znów wchodził na drabinkę, by zawiesić firanki. Ta uprzedzająca uwaga była czymś nowym – dla niego tak samo jak dla niej. Jak wszyscy ludzie o szczerej naturze, Marek obawiał się, by nie wyglądało to na nadmiar gorliwości, tak często na terenie rodziny zabarwionej obłudą: robił więc wszystko z miną jak najbardziej obojętną, Anetka, wzruszona, ale nie wiedząc, co o tym myśleć, dziękowała zawsze chłodniej, niż zamierzała. Zachowywali oboje postawę wyczekującą, baczną, byli serdeczni, ale mówili mało, obserwując się nawzajem spod oka i czekając, które z nich zacznie mówić. Każde bało się, że zrobiwszy pierwszy krok dozna nowego rozczarowania. Marek nie pytał matki o podróż i nagły powrót, a ile razy bezwiednie zapadała w marzenia, odwracał wstydliwie oczy, jak gdyby lękając się, że wyczyta coś z jej twarzy, lub nawet wychodził z pokoju nie chcąc przeszkadzać. Gdy zaś Anetka wypytywała go, co robił podczas jej nieobecności, przykro mu było, gdyż pisał o tym w listach. Czyż tak mało go kochała, że pobieżnie czytając zapomniała już o ich treści?

Nigdy by się nie dowiedziała o istnieniu tych listów, gdyby nie słowa Sylwii, która przyszła zobaczyć, co porabia „młoda parka", jak ich teraz nazywała. Przysięgła sobie, że nie będzie się mieszać do wzajemnego poznawania się dwóch serc, które były siebie nieświadome, chcąc im pozostawić cały trud i całą radość. Wydawało się jej jednak, że nazbyt zwlekają, i postanowiła im pomóc. Nazwała ich zakochanymi. Marka nie było, Anetka zaprotestowała.

– Nie mówię o tobie, ty istoto o kamiennym sercu! – rzekła ze śmiechem Sylwia. – Lubisz sprawiać innym cierpienie. To twoja rola.

– Cóż ty wiesz o tym? – odrzekła Anetka.

Ale Sylwia nie dała się zbić z tropu. Ciągnęła dalej:

– Twój mały wielbiciel pisywał codziennie przez cały czas twej nieobecności...

Anetka nie słyszała już dalszego ciągu rozmowy... Pisywał do niej codziennie! Jej zaś nie przyszło na myśl kazać przysłać sobie listy, które tam leżały!... Tak, Sylwia miała rację: kamienne serce... Niezwłocznie napisała żądając przysłania owych listów–wygnańców. Marek nie powinien był się o tym dowiedzieć, toteż Anetka czatowała na listonosza nie chcąc, by chłopcu doręczono paczkę. Minęło sporo czasu, aż zdołała porwać przesyłkę z rąk dozorczyni, tuż pod nosem Marka, którego wyprzedziła o kilka zaledwie kroków. Zaczekała z czytaniem, aż wyjdzie.

Listów było osiem. Co za skarb!... Od pierwszych zaraz słów oczy Anetki zwilgotniały. Chciała przeczytać wszystko od razu, a nie mogła czytać dalej. Zmusiła się, by ułożyć je po kolei i czytać powoli, jeden po drugim. Ale nie potrafiła wykonać i tego postanowienia. Pochłaniała listy na chybił trafił, opuszczając całe linijki, zatrzymując się, wracając chciwie do słów serdecznych. Dopiero nasyciwszy pierwszy głód mogła czytać porządnie i rozkoszować się nimi. Rumieniła się z miłości i wstydu... Jakąż krzywdę wyrządziła synowi!...

Nie był wcale wylewny. Nie cierpiał sentymentalności (tym bardziej że lękał się zawsze, iż jest nią zatruty); w listach unikał czułych słów cisnących się na usta. Ale dla matki, która znała na pamięć wykrój tych ust, świadomy ten przymus był tym bardziej wzruszający. Unikał nawet, pisząc do niej, słowa: „Kochana". Pierwszy list zaczynał słowami:

„Mamo, nie kochasz mnie..."

(Serce Anetki ścisnęło się.)

„I ja także nie kocham siebie. Nile zasłużyłem niczym a miłość. Więc to sprawiedliwe. Ale mimo wszystko jestem twoim synem! Czuję się bliższy ciebie niż kogokolwiek innego. Nie mogłem ci tego powiedzieć, pozwól, bym o tym pisał! Potrzebuję przyjaciela, a nie mam go. Chcę wierzyć, że ty nim jesteś, choćby tak wcale nie było. Nie odpisuj mi! Nie chcę, byś to potwierdziła przez dobroć czy litość. Nienawidzę dobroci. Nie chcę, by mnie upokarzano. Nie chcę być oszukiwany. Nie kocham cię dlatego, że jesteś dobra, nie wiem nawet, czy jesteś dobra. Kocham cię, bo jesteś szczera... Nie odpisuj! Cokolwiek o mnie sądzisz, muszę pisać do ciebie. Nawet jeśli moja matka nie jest moją przyjaciółką, piszę do przyjaciółki, nie do matki. Muszę zwierzyć się komuś. Ciążę samemu sobie... Jestem zbyt samotny, zbyt ciężki! Dopomóż mi! Wiem, że dopomagasz innym. Możesz i mnie także pomóc. Wystarczy, że mnie wysłuchasz. Nie proszę o odpowiedź... Mam dużo do powiedzenia. Jestem inny niż dawniej. Przez ten rok zmieniłem się, zmieniłem się bardzo... Zaczynając ten list chciałem ci opisać, co robiłem w ciągu ostatniego roku i co mnie zmieniło. Ale teraz nie śmiem już: jest tam dużo rzeczy, których się wstydzę. Boję się, że to oddali cię jeszcze bardziej, a i tak jesteś już bardzo daleka! Mimo wszystko jednak będę musiał powiedzieć ci to kiedyś, nawet jeśli mną będziesz gardzić. Inaczej musiałbym jeszcze bardziej gardzić sobą. Opowiem ci to później... kiedyś. Na dzisiaj dość. Dosyć ci dałem dzisiaj... Całuję cię, moja przyjaciółko."

Ów ton władczej miłości zagarnął, zaniepokoił i podbił Anetkę. Następne listy przejawiały tę samą gwałtowność. Marek nie mógł się zdobyć na powiedzenie tego, co mu najbardziej ciążyło. Powtarzał w każdym liście:

„Może dziś?... Nie, jeszcze nie mogę. Nie mogę, stanowczo! Muszę zapomnieć, że jesteś kobietą, mój przyjacielu... Czy chcesz, czy możesz zostać moim .przyjacielem? Przecież mimo wszystko jesteś kobietą, a ja nie mam zaufania do kobiet. Niezbyt je cenię. Przebacz! To ciebie nie dotyczy. Nie od dawna zresztą! Aż do zeszłego roku sądziłem ciebie tak jak inne. Byłem do ciebie przywiązany (nie okazując tego zresztą), ale nie miałem zaufania. Teraz jest inaczej. Dużo się zmieniło, dużo widziałem, dużo się nauczyłem i dużo, sądzę, odgadłem. Dotyczy to zarówno ciebie jak mnie i innych... Widzisz, nauczyłem się dużo, za dużo nawet!... A wśród tego jest mnóstwo rzeczy niepięknych i takich, które nie wyszły mi na dobre. Ale mówię sobie, że lepiej je znać, skoro taka jest prawda. Świat jest wstrętny. Nie szanuję kobiet. Gardzę mężczyznami. Gardzę samym sobą. Ale ciebie szanuję. Nauczyłem się widzieć ciebie. Dowiedziałem się o tobie rzeczy, których mi nie powiedziałaś (niewiele mi w ogóle mówiłaś), a które wiem od ciotki. Dowiedziałem się także innych rzeczy, o których mi ona nie powiedziała, gdyż nie domyśla się ich nawet; to poczciwa kobieta, ale nie może tego zrozumieć... Ja jednak rozumiem... (Tak sądzę... Nie!... Pewny jestem...) I to właśnie pozwoliło mi zrozumieć w sobie samym dużo rzeczy, których nie umiałem sobie przedtem wytłumaczyć... Ach! Jakież zawikłane jest to wszystko, co piszę!"

(Gniewny, nacisnął pióro tak, że rozdarł papier.)

„Jak trudno się wypowiedzieć i na odległość, i z bliska! Jakby ktoś język skrępował. Wydaje mi się, że wyjaśniłbym wszystko lepiej, gdybym widział cię przed sobą... A zresztą... Nie! Nie wiem doprawdy... Patrzysz pobłażliwie, opiekuńczo lub drwiąco (jedno i drugie doprowadza mnie do pasji), albo z roztargnieniem czy jakoś obco... A najczęściej patrzysz gdzieś poza mnie... Patrz mi prosto w serce, aż do dna, patrz na mnie jak na twego syna i przyjaciela, jak na mężczyznę!..."

Anetka widziała te oczy utkwione w nią, surowe i wymagające. Odwróciła głowę, onieśmielona... Syn jej – mężczyzną!... Nie myślała o tym dotąd. Dla matki dziecko jej zawsze jest dzieckiem. W tych listach młodzieńczych, kulawych, niepewnych, gniewnych wyczuła ton władcy. I oto, jak za dawnych czasów, gdy kobieta pozbawiona męża przechodziła pod opiekę najstarszego syna, pochyliła głowę.

Ale podniosła ją zaraz...

– Mój syn. Mężczyzna, którego stworzyłam. To moje dzieło... Jesteśmy sobie równi.

*

Czytała dalej po ciemku, nie zauważywszy, że zapadł mrok... Marek wrócił. Wierzchem dłoni zmiotła listy ze stołu na ziemię. Nie chciała, by ją zastał na czytaniu, pragnęła zataić, że nie znała ich dotąd.

Zdziwiło go, że siedzi po ciemku, i chciał zapalić światło; nie pozwoliła. Stanęli przy oknie i rozmawiając patrzyli na ulicę: jedną po drugiej oświetlano wystawy, przesuwały się pośpiesznie cienie ludzkie. Oboje byli zakłopotani, Anetka starała się uporządkować ten nawał nowych i skomplikowanych uczuć, Marek zaś, nieufny, czuł ciągle jeszcze urazę, że ani słowem nie wspomniała o tym wszystkim, z czego się jej zwierzył. Zmieszani, rozmawiali chłodno. Często zapadało milczenie. On opowiadał, czego się dowiedział po południu: najnowsze wiadomości, wojna, bitwy, ofiary... Słowem, nic ciekawego! Nie słuchała...

Nagle objęła go bez słowa, on zaś poddał się biernie, zdrętwiały z wrażenia. Powiedziała:

– Zapal światło!

Przekręcił kontakt lampy elektrycznej i ujrzał listy rozrzucone na posadzce. Pokazała mu je, wyznając wszystko, wszystko, co postanowiła zataić. Prosiła o przebaczenie, potem rzekła:

– Mój przyjacielu...

Ale on nie był już mężczyzną – tym, który w listach kipiał dumą i gniewem. Był małym chłopcem, który uciekł do swego pokoju, by ukryć wzruszenie.

Nie poszła za nim. Musiała opanować wzruszenie własne. Stała milcząc, jak on, na miejscu, gdzie ją zostawił.

Przybycie Sylwii przełamało urok, który ich pętał. Siedli we troje do kolacji, a przenikliwa zawsze Sylwia nie odgadła ich myśli. Byli spokojni i pełni rezerwy.

Za to gdy odeszła, zasiedli przy stole i ująwszy się za ręce, przez długie godziny zwierzali się sobie po cichu. Potem, gdy w końcu zdecydowali się położyć, rozmawiali jeszcze przez otwarte drzwi. Ale wśród nocy Marek wstał, przyszedł boso do łóżka matki i usiadł u wezgłowia na niskim stołeczku. Nie mówili już nic. Pragnęli tylko być blisko siebie.

W tej ciszy udręczona dusza domu zdawała się być wzbierającą falą. Żałoba i namiętności tego domu w płomieniach... O piętro niżej rodzina Bernardin, pozbawiona swych synów, *de profundis clamat*[75] ku wiekuistemu milczeniu. Jeszcze niżej, dręczy się Girerd, wdowiec po swoim synu jedynaku zakrzepły w patriotycznym bałwochwalstwie, które jest jego ostatnią ucieczką przed rozpaczą... Piętro wyżej, w młodym małżeństwie Chardonnetów tajemnica, dręcząca, haniebna, niewyznana, piętnująca niby rozpalonym żelazem ciało i duszę, tajemnica, która z dwojga na zawsze związanych kochających się ludzi uczyniła na zawsze dwoje obcych...

W samym nawet mieszkaniu Anetki, po drugiej stronie korytarza, pusty dotąd, zamknięty, otaczany lękiem pokój zda się zachował jeszcze palące tchnienie kazirodczej samobójczyni... Dom jest jak dymiąca pochodnia na poły wygasła. A spośród tych, co zostali żywi, w tej porze nocnej nie śpi nikt. Wszystkich trawi gorączka, ból, upiorne majaki...

Oni jedynie, matka i syn, wypłynęli ponad płomienną grzywę tej pożogi dusz. Po paru słowach poznali, że myślą o tym oboje. Unikając rozmowy na ten temat ujęli się za ręce, jakby z obawy, że się mogą zgubić. Chcieli ocalić się razem z pożaru Borgo...

---

[75] *De profundis clamat* (łac.) – z głębokości woła. Parafraza pierwszych słów Psalmu 129: *De profundis clamavi at te Domine* – z głębokości wołałem ku Tobie, Panie.

Powracając do roli matki Anetka powiedziała swemu młodemu Eneaszowi:

– Wracaj teraz do łóżka! To nierozsądnie, kochanie. Możesz zachorować. Potrząsnął z uporem głową:

– Dość długo tyś czuwała nade mną. Teraz na mnie kolej.

Zaczęło świtać. Zasnął siedząc z głową opartą o jej poduszkę. Anetka wstała, położyła go na swoim łóżku; nie przebudził się. A ona, usiadłszy w fotelu przy oknie, czekała dnia.

*

W ciągu tej rozmowy wieczornej i nocnej nie powiedzieli sobie niemal nic prócz tego, co najważniejsze; mianowicie, że się odnaleźli i że idą teraz razem. Cofnęli się jednak przed dokładnym zwierzeniem sobie stanu swych serc i umysłów i cofali się tak samo w ciągu następnych dni. Powoli dopiero dowiedziała się Anetka, jakiej ewolucji uległy w ciągu roku poglądy jej syna na wojnę i społeczeństwo. I ze wzruszeniem wyczytała między wierszami (gdyż wstydliwość wstrzymywała ich oboje: jego – by powiedzieć jej to wprost, a ją – by wysłuchać) o tym, że dokonał odkrycia duszy matczynej, i o kulcie, jakim matkę otoczył.

Jednak na owe trudne wyznania, które ciążyły mu na sercu, Marek nie mógł się zdobyć. Anetka nie nalegała, ale przekonana była, że chłopiec nie pozbędzie się tej zmory, dopóki nie wyzna wszystkiego: przyszła więc z pomocą temu rozgorączkowanemu umysłowi swoimi zręcznymi jak ręce dobrej akuszerki dłońmi.

Pewnego dnia o zmierzchu, w tej godzinie zwierzeń, kiedy ludzie ledwie się już widzą wzajemnie, Anetka stanąwszy za Markiem, tuż koło niego, powiedziała:

– Ciężko ci na sercu; daj mi ten ciężar.

Odparł pochylając głowę:

– Chcę, ale nie mogę.

Przyciągnąwszy go do siebie przysłoniła mu palcami oczy i powiedziała:

– Jesteś sam z sobą tylko.

Zaczął wówczas opowiadać – z trudem, po cichu – o doświadczeniach ostatnich lat, o złym i dobrym. Zawziął się, by mówić głosem pewnym, jakby szło o kogoś innego, ale w miejscach trudnych urywał nie wiedząc, czy starczy mu odwagi ciągnąć dalej. Ona milczała: pod palcami czuła pałające gorączką wstydu powieki. Nacisk jej palców mówił:

„Daj! Biorę twój wstyd."

Nie dziwiło jej to, co słyszała. Świadoma była od dawna i tego, co wyznawał, i tego, co przemilczał. To właśnie ów świat, w który wrzuciła syna, w który sama została rzucona przez nieznaną siłę... Żal jej było zarówno jego jak i siebie... Dalej! Wstańmy! Tak jest i trzeba to przyjąć!...

Skończywszy zatrwożył się, co ona powie. Pochyliła się nad spuszczoną głową syna i pocałowała ją, on zaś zapytał:

– Czy będziesz mogła o tym zapomnieć?

– Nie.

– A więc mną gardzisz?

– Ty to ja.

– Ale ja sobą gardzę.

– Sądzisz, że i ja także nie gardzę sobą?

– Nie, ty nie!

– Jesteśmy ludźmi; człowiek – to istota dumna a podła...

– Nie, nie ty!

– Mój mały, życie moje nie jest czyste. Błądziłam i wciąż jeszcze błądzę... A nie idzie tu o same uczynki! Dla ludzi takich jak my sąd wewnętrzny nie jest policyjnym wyrokiem karzą-

cym tylko uczynki. To, czego chcemy, czego pożądamy, co pieścimy w myślach, tak samo upokarza, jak to, co zostało dokonane. A to straszne, to wszystko, co przez myśl przechodziło!

– Ty także?... Zresztą wiedziałem o tym.

– Wiedziałeś?

– Tak i zdaje mi się, że dlatego... dlatego właśnie kocham cię. Nie mógłbym kochać kogoś, kto nie czuł, nie myślał, nie pragnął także tego zakazanego świata.

Stojąc za nim objęła go bez słowa. Po chwili Marek westchnął i rzekł:

– Rozumiem teraz, czym jest spowiedź. Czuję ulgę.

– Tak, gdy jedno może wszystko powiedzieć, a drugie wszystkiego wysłuchać. Komuż ja się jednak wyspowiadam? Nie wolno mi mówić.

– Nie potrzebujesz mówić...

W ciszy i ciemności zabrzmiały słowa:

– *Przyszłaś. Ręka twa chwyta mnie – całuję twoją rękę.*

Z miłością, z przerażeniem — całuję twoją rękę.

Anetka zadrżała... Ten głos przeszłości!...

– Boże! Skąd ty to znasz?

Nie odpowiadając ciągnął dalej:

– *Przyszłaś, aby mnie zniszczyć, Miłości!... Wyczuwam to z lękiem.*[76]

Zamknęła mu dłonią usta.

– Cicho!

Była zmieszana... Jakież to dalekie!...

– Czy to ja?... Nie, to ktoś inny... Byłam tą inną... Ona umarła.

– *Ja ręce jej całuję* – powiedział Marek.

– Skąd to znasz?

Milczał.

– Od kiedy to znasz?

– Od chwili, kiedy o n a to powiedziała. Nauczyłem się na pamięć.

– Umiałeś to na pamięć, chodziłeś z tym obok mnie przez tyle lat?... Cóż za odkrycie!

– Przebacz!

– Dziwny z ciebie chłopak.

– Myślisz, że ty nie jesteś dziwną kobietą?

– Cóż ty wiesz o kobietach? Nie znasz ich wcale.

Zaprotestował, obrażony, a ona rzekła z uśmiechem:

– Szkaradny kogucie! Koguciku! Nie pysznij się swą wiedzą... twoją żałosną wiedzą... To, co wiesz o nich, co ci się wydaje, że wiesz, przeszkadza właśnie poznać je naprawdę. Mężczyzna widzi w kobiecie tylko to, co jemu samemu daje rozkosz. By ją poznać rzeczywiście, trzeba umieć zapomnieć o sobie. Jesteś na to za młody. Jestem taka jak tysiące innych kobiet, mój chłopcze, i nie stanowię wcale wyjątku. Te, które mogłyby czytać we mnie, rozpoznałyby siebie. Ale one zamykają swój dom na cztery spusty; tym, którzy żyją obok, nie chce się zaglądać przez szpary; nie interesuje ich to, co się dzieje wewnątrz. Ty, urwisie, widziałeś, zaglądałeś przez szpary i to, coś zobaczył, wydaje ci się dziwne. Dziwne zaś jest tylko to, żeś zobaczył. Ale to, co widziałeś, to jest właśnie kobieta, mój drogi.

– Tak, ale to nie jest proste!

– Ty także nie jesteś prosty. W każdym z nas mieszka wiele istot.

[76] Patrz: *Dusza zaczarowana, Lato.* (Przyp. aut.)

– Ale wszystkie one tworzą jedno.

– Nie we wszystkich ludziach.

– W tobie. We mnie. Tę jedność właśnie kocham w tobie. I chcę, abyś ją pokochała we mnie.

– Zobaczymy! Nic nie przyrzekam.

– Mówisz mi na przekór. Ale zmuszę cię!

– Wiesz dobrze, że nie ulegam despotyzmowi.

– Ale lubisz go w gruncie rzeczy.

– Jeśli kocham despotę.

– A więc go pokochasz.

Czuł się teraz tak silny! Na próżno udawała, że go ciągle traktuje jak dziecko. Nie dał się zwieść! Utwierdził swoją przewagę nad nią. Pozwoliła na to, by we wspólnym ich życiu zdobył pewną władzę, i poddając się jej doznawała tajemnej radości.

*

Był taki jak wszyscy mężczyźni. Natychmiast po zdobyciu władzy począł jej nadużywać.

Wrócił właśnie do domu. Anetka siedziała zajęta szyciem; pocałował ją. Widać było, że jest czymś pochłonięty. Popatrzył na matkę, udał, że szuka książki w bibliotece; wyjrzał przez okno, zawrócił, siadł przy stole naprzeciw Anetki, otworzył książkę i zaczął przewracać kartki, jak gdyby czytając; po chwili jednak wyciągnął rękę, ujął dłoń matki i rzekł śpiesznie:

– Chciałbym cię o coś zapytać...

Od dawna już nosił się z tym pytaniem, ale nie śmiał go zadać. Dlatego też teraz śpieszył się, by zacząć. Od kiedy wszedł, Anetka przeczuła to pytanie, które paliło mu wargi i przejęło ją trwogą. Spróbowała uchylić się. Udała, że wstaje po jakiś przedmiot, i rzekła swobodnie:

– Słucham, kochanie. Pytaj!...

Ale zatrzymał ją na miejscu zdecydowanym gestem. Musiała usiąść z powrotem. Nie pozwolił jej wymknąć się. Ze spuszczonymi oczyma, usiłując twarzy swej nadać wyraz spokojnej pewności, rzekł niemal szorstko:

– Mamo! Nie mówiliśmy dotąd nigdy o pewnej sprawie... Inne są twoją własnością i nie mam prawa o nie pytać... Ale do tej właśnie mam prawo, jest to jednocześnie moja sprawa... Powiedz mi coś o moim ojcu!...

Był w tej chwili bardzo wzburzony. Nie od dziś cierpiał na skutek swego nielegalnego pochodzenia. Kosztowało go ono w zetknięciu ze społeczeństwem niejedną przykrość, którą jego wrażliwa natura odczuwała bardzo boleśnie. Duma jednak nie pozwalała mu się do tego przyznawać.

Począwszy od pierwszych miesięcy pobytu w liceum otrzymał niejedną ranę – odpłacając oczywiście, jak należy. Ale były to tylko lekkie zadraśnięcia. Uczniaki paryskie mają co innego w głowie niż badać konduitę czyichś rodziców, zwłaszcza w czasie wojny, która przewróciła do góry nogami całą moralność i całe społeczeństwo. Większość tych smarkaczy okazywała wobec kobiet jakąś żarłoczną pogardę, sądząc, że nadają się one tylko do łóżka; nie mieli więc im wcale za złe swobody obyczajów; lękali się zresztą narazić na zarzut zacofania. Toteż Marek musiał tylko czasem wysłuchać paru ordynarnych uwag, którymi bez złych zresztą intencji, pragnąc nawet sprawić mu przyjemność, częstował go ten czy ów mały świntuch. Marek, lękając się każdej przymówki skierowanej choćby pośrednio przeciw matce, przyjmował to jednak inaczej. Był nieporównanie więcej drażliwy niż sama Anetka na punkcie jej honoru, toteż reakcje jego były zawsze błyskawiczne. Odpowiadał pięściami.

Potem, na prowincji, podczas dwutygodniowych odwiedzin u matki, zauważył spojrzenia kumoszek, które plotkowały obserwując ukradkiem ich dwoje, zauważył też afektację, z jaką niektóre z mieszkanek miasta udawały, że ich wcale nie dostrzegają. Nie zwierzył się matce z tych spostrzeżeń, lecz wzmogły one jeszcze jego wstręt do prowincji i decyzję niepowracania tam nigdy.

Ale to wszystko było jeszcze niczym. Można przejść do porządku nad tym, co myślą ludzie, których się nie szanuje. Znaczą tyle co kurz na drodze. Wystarczy wziąć szczotkę i plunąwszy na trzewiki oczyścić je aż do połysku... Gorzej bywa, gdy sprawa dotyczy osób, na których nam zależy, do których wyrywa się nam serce.

Marek rozpoczął osiemnasty rok życia i przed kilku miesiącami napotkał na swej drodze złocisty cień miłości. Słodkie uczucie wśliznęło się do jego młodego, dumnego i burzliwego serca. Wydawało mu się, że kocha siostrę jednego z kolegów. Spotkał ją kilka razy na ulicy z bratem, potem samą; starali się tak pokierować przypadkiem, aby krzyżował ich drogi: skłonność była wzajemna. Marek odwiedzał kolegę, ale nigdy nie otrzymał zaproszenia od jego rodziców. Zapewne nie odczułby tak silnie afrontu, gdyby przyjaciel niemądrze nie pozwolił mu przypuszczać, że zaproszenie to otrzyma. Potem zakłopotanie kolegi, niezręczne wysiłki uniknięcia spotkania z Markiem, obelżywy charakter owego rozmyślnego zapomnienia... Rodzina chciała w ten sposób trzymać z dala niepożądanego młodzieńca. Owa paląca rana przyczyniła się do odkrycia – lub może do zmyślenia – innych tego rodzaju przejawów wzgardy, na które Marek nie zwracał przedtem najmniejszej uwagi. Zauważył, że nie był dopuszczany do pewnych środowisk mieszczańskich, gdzie bywali jego koledzy. Nigdy tego nie pragnął na serio, teraz jednak miał wrażenie, że zamykają mu drzwi przed nosem. Odczuł to jako policzek i zawrzał w nim bunt w stosunku do tego społeczeństwa.

Stanął z całą zaciekłością po stronie matki, ale w głębi duszy miał żal do tej, która była przyczyną afrontów. Udręczona jego myśl wracała wciąż do jednego pytania:

„Kim był jego ojciec i czemu go został pozbawiony?" Wiedział, że to pytanie zada ból matce: ale i on także cierpiał. Każdemu jego część! Chciał wiedzieć.

Anetka przeczuwała, o co Marek chciał pytać, a jednak miała nadzieję, że tego nie wypowie. Niewątpliwie winna mu była wyznać ową tajemnicę przeszłości i obiecywała sobie, że to uczyni, zanim syn ją zapyta. Odkładała jednak ciągle na potem, obawiała się... I oto dopuściła, by ją uprzedził...

—

– Mój chłopcze – zaczęła, głęboko wstrząśnięta – ojciec nie znał cię nigdy, ponieważ (wspominałam d. już, że w oczach świata nie jestem bez zarzutu...), ponieważ rozstałam się z nim przed twoim urodzeniem...

– Mniejsza o to! – powiedział. – Ale ja muszę wiedzieć, kto jest moim ojcem! Mam do tego prawo...

On także mówił o swoim prawie! Czyżby chciał zwrócić je przeciwko niej?... Odparła:

– Masz prawo.

– Czy on jeszcze żyje?

– Żyje.

– Jak się nazywa? Kim jest? Gdzie mieszka? – Opowiem ci wszystko. Ale zaczekaj chwilę...

Była tak przygnębiona, że poczuł litość. Chciał jednak wiedzieć. Powiedział bez zapału:

– To nic pilnego, mamo! Pomówimy o tym innym razem.

Nie dała się zwieść tej źle skrywanej niecierpliwości, a nie chciała korzystać z jego niechętnie udzielanej łaski. Zebrawszy całą siłę woli, powiedziała:

– Nie. Od razu dziś. Tobie śpieszno dowiedzieć się – a i mnie także: chcę, byś wiedział. Jak mówiłeś przed chwilą, jest to twoja sprawa. Winna byłam zdać ci z niej rachunek już od dawna. Dziś przypomniałeś mi o długu.

Chciał się usprawiedliwiać.

– Cicho bądź! – powiedziała. – Dziś ja muszę mówić.

Teraz, gdy miał usłyszeć wszystko, pragnął niemal, by milczała.

– Zapal światło i zamknij drzwi na klucz, by nam nie przeszkadzano! – poleciła.

Ledwo zaczęła, gdy rzeczywiście ktoś zapukał. Przypuszczalnie Sylwia. Drzwi pozostały zamknięte.

Nie okazując wzruszenia Anetka skreśliła w ogólnych zarysach obraz przeszłości; opowiedziała o zerwaniu zaręczyn. Wyrażała się z ową wyniosłą wstrzemięźliwością, która nie zwierza nic z tego, co stanowi jej wyłączną własność, a jednocześnie nie tai tego, co powinna i chce powiedzieć. Mówiąc starała się odsunąć natarczywy niepokój: co on myśli słuchając. Ale on nie okazywał nic. Jak gdyby zastygł w zasłuchaniu. Wydawało się, że całkowicie obce im obojgu, i matce, i synowi, odległe wydarzenia przesuwają się na ekranie przed ich oczyma. Bóg jeden wiedział jednak, z jakim niepokojem czekała jakiegoś tchnienia życzliwości (nie czyniąc jednak nic, by je przywołać). Marek aż do końca opowiadania pozostał nieprzeniknięty. Kiedy zaś umilkła czekając na wyrok, jaki padnie z jego ust, zauważył tylko:

– Nie powiedziałaś mi dotąd jego nazwiska.

(Istotnie nazywała go dotąd tylko po imieniu.)

– Roger Brissot – powiedziała.

(Chłód syna ścisnął lodem jej serce.)

Zwrócił uwagę wyłącznie na wymienione nazwisko. Znał je dobrze.

– Poseł socjalistyczny! – wykrzyknął.

Zdziwienie Marka źle ukrywało, a raczej nie ukrywało wcale jego radości.

Brissot zdobył sobie wielki rozgłos wśród mówców parlamentarnych. Fascynował młodzież. Anetka spostrzegła to oczarowanie w oczach syna i zadrżała. Zbyt dumna, by się z tym zdradzić, a zbyt lojalna, by poniżać przeciwnika, powiedziała:

– Tak, to znane nazwisko. Nie potrzebujesz się go wstydzić.

Zaledwie to wyrzekła, wyczytała na ustach syna:

„Czemuś mnie go więc pozbawiła?”

Nie wypowiedział jednak tych słów. Wstał i w milczeniu zaczął chodzić po pokoju. Śledziła jego ruchy; czytała w jego myślach; i nie pragnęła już nawet się bronić. Po cóż, skoro on nie stawał w jej obronie?... Poszła wprost na spotkanie niebezpieczeństwa, nie dlatego by je wyminąć, ale przeciwnie, by je sprowadzić.

– Chcesz go poznać? – spytała.

– Tak.

– Możesz to zrobić... Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego. On wie, że żyjesz, że jesteś jego synem. I prawdopodobnie byłby skłonny przyjąć cię jako syna.

Marek zawołał gniewnie:

– I nic mi o tym nie mówiłaś!

Anetka zbladła i zamknęła oczy. Potem otwarła je i patrząc wprost w oczy syna powiedziała:

– Czekałam, aż będziesz mężczyzną. Teraz widzę, że nim jesteś.

Marek nie odczuł dumnej goryczy tych słów. Zapytał:

– Gdzie on mieszka?

– Nie wiem. Ale nie trudno ci będzie zdobyć jego adres.

Marek chodził dalej wielkimi krokami po pokoju; nie myślał już o niej. Myślał o ojcu. Uważał się za skrzywdzonego. Powiedział bezlitośnie:

– Jutro pójdę do niego.

*

Dlaczego tyle jest okrucieństwa w sercu młodego chłopca? Marek uświadomił to sobie, gdy został sam w swym pokoju, ale znalazł w tym rozkosz. Wiedział, że zranił istotę, która go kocha – i którą on kocha; czuł nawet wyrzuty sumienia. Ale właśnie ostrość tych wyrzutów powiększała radość. Mścił się. Za co?... Za doznaną krzywdę? Czy za to, że go kochała? Gdyby go kochała mniej, mściłby się nie tak okrutnie; a nie myślałby w ogóle o zemście, gdyby jej wcale nie kochał. Zwierzyła mu się, bezbronna, on zaś nadużywał swej władzy; a usprawiedliwieniem nadużywania, jego tajemną rozkoszą jest przekonanie, że w każdej chwili można wedle swej woli zaprzestać tej gry. Iluż jednak raz zacząwszy nie umiało już nigdy przerwać!

Anetka cierpiała... Nadto kochała go. Tak, zbyt egoistycznie... Lecz jakże kochać bez egoizmu?

„Wydałam go z siebie. Jest mną. Jakże, kochając go, zapomnieć o sobie?... Tak jednak należało uczynić. Nie mogłam, nie mogę... Zostałam ukarana."

Wiedziała od dawna, że dzień ten nadejdzie. I nadszedł. Zbytnio zwlekała lękając się utracić syna, którego zazdrośnie zagarnęła dla siebie. I oto straciła go. Starczyło jednej minuty, by go od niej oderwać. Była przerażona. Chwila posiadania albo nawet namiętnej nadziei przekreśla w sercach młodych ludzi całe pełne poświęcenia życie matki. Nieraz już lękiem przejmowało ją jasnowidzenie tego, co nastąpi. Ale rzeczywistość przerastała to, co mówiło przeczucie... Nie miał dla niej ani jednego serdecznego słowa, żadnych względów. Odrzucił ją bez wahania, jak wyrzuca się balast za burtę. Przeszłość nie miała dla niego znaczenia. Liczyła się tylko przyszłość. Przez całą noc Anetka myślała o tym, co będzie nazajutrz, gdy wszystko już będzie dokonane. I z góry czuła się pokonaną.

Nie próbowała już walczyć. Niechże ma wolność! Cokolwiek by postanowił, gotowa była ułatwić mu wszystko. Nie mogąc zachować go dłużej dla siebie, chciała pomagać mu aż do ostatniej chwili.

Gdy rano ujrzała syna, nie wracała już do tego, co zostało postanowione. Przygotowała mu najlepsze ubranie, dopilnowała, by ubrał się starannie, wyszła na chwilę, potem podała śniadanie. Kiedy zasiedli przy stole (ona udawała, że je, nie chcąc, by myślał, że pragnie współczucia, on zaś jadł spiesznie i łapczywie, myśląc o tym, co mu przyniosą najbliższe godziny, których się nie mógł doczekać), powiedziała mu, że zdobyła pożądany adres; radziła jednak, by nie szedł do prywatnego mieszkania Brissota, ale do jego kancelarii adwokackiej. Argumenty jej były słuszne, mówiła z całym spokojem. Zgodził się z jej zdaniem, wdzięczny był matce za ten wysiłek. Ale nie okazał nic. Nie leżało w jego planach poddawać się w tej chwili jakiemukolwiek wzruszeniu. Chciał przedtem wszystko sam zobaczyć i osądzić... No tak, ale ona będzie cierpiała czekając na jego wyrok... Trudno – przecierpi! Cóż znaczy kilka godzin mniej czy więcej... Przywykła do tego! Będzie serdeczny dla niej potem: obiecywał to sobie bez względu na to, co postanowi. A ona, wycierpiawszy tyle, tym pełniej odczuje owo szczęście... Był teraz zbyt pewny swej władzy nad nią. Mogła czekać... Dosyć miał czasu!

*

Od roku 1900 Roger Brissot zrobił świetną karierę. Miał za sobą różne głośne sprawy, wspaniałe sukcesy w Sądzie Najwyższym i w parlamencie, co go wysunęło na czołowe sta-

nowiska. W Izbie Poselskiej trzymał się na pograniczu między dwoma stronnictwami, radykałów i socjalistów: uważnie śledził prądy, zawsze gotowy zmienić front. Był parokrotnie ministrem, dzierżąc kolejno teki: ministra oświaty, pracy, sprawiedliwości, a nawet przez pewien czas marynarki; podobnie jak inni jego koledzy, czuł się równie dobrze na każdym fotelu. Wszystkie miejsca są dobre dla tych, którzy je zajmują. Zresztą w tym czy innym biurze, wszędzie ta sama maszyneria, z. którą w ten sam sposób trzeba postępować. Kiedy ktoś już ma dobre uderzenie, reszta – to jest ci, którymi się kieruje – to sprawa małej wagi. Najważniejsze właściwie to umiejętności administracyjne.

Tak szeroki zakres działalności wzbogacił, oczywiście, zapas jego idei, a raczej dokładniej mówiąc – repertuar frazesów, niewiele go jednak ucząc, bowiem Roger zbyt był zajęty mówieniem, żeby mieć czas na słuchanie; ale mówił świetnie. Na jednym polu wiadomości jego zostały poważnie pogłębione, stał się mianowicie znawcą hodowli i eksploatacji bydła wyborczego. Kilku było takich ludzi w Trzeciej Republice, którzy uchodzili za mistrzów; umieli grać biegle na owej klawiaturze, jaką są masy, i znali sekrety wszystkich klawiszy: wszystkie słabości, maniactwa i namiętności. Nie było jednak znakomitszego niż on wirtuoza i nikt nie umiał tak jak czcigodny Brissot brać ze wspaniałą siłą najgłębszych akordów demokracji i lepiej od niego głosić spiżowo brzmiących ideologii, które głuszą, wywołują i potęgują zalety narodu i jego ukryte przywary. Brissot był pierwszym pianistą parlamentu. Jego stronnictwo, a raczej jego stronnictwa (pozwalał bowiem, by przyznawały się do niego różne) apelowały do jego talentów przy każdej okazji wielkich koncertów parlamentarnych, a nuty tych głośnych mów rozchodziły się po całym kraju na wielkich białych afiszach (co uchwalono przez aklamację, a wykonywano kosztem wyborców). Nie odmawiał nigdy, był zawsze gotów, a kompetencje jego były równe w każdej sprawie. Pomagali mu, oczywiście, energiczni i doskonale poinformowani sekretarze (miał ich całą ekipę). Poświęceniu jego dla stronnictwa – stronnictw raczej – i dla sławy dorównywały tylko jego płuca, których nic nie było w stanie znużyć.

Ta gorliwość i te struny głosowe – równie imponujące – stały się pożyteczne Republice podczas wojny światowej. Toteż zmobilizowała je. Rogerowi Brissot przypadło w udziale przekonać cały świat oraz lud francuski o podstawowych prawdach, w imię których narody mają się wzajemnie wyniszczać do ostateczności. Wysyłano go w dalekie misje. Na początku wojny udał wprawdzie, że przywdziewa swój mundur kapitana rezerwy w pułku kawalerii, i nawet został w tym charakterze przydzielony na pewien czas do Sztabu Generalnego – bezpiecznie rezydującego w zamku Compiègne. Wkrótce jednak dano mu do zrozumienia, że w okopach Ameryki służyłby ojczyźnie nierównie skuteczniej. Nie żałował tam swojego głosu, lecz go nie nadwyrężał. Zresztą w ciągłych tych przejazdach, podczas niezliczonych podróży do Londynu, Nowego Jorku, Turcji, Rosji, do wszystkich niemal krajów sprzymierzonych i neutralnych, groziło mu kilkakrotnie poważne niebezpieczeństwo. Odwaga Brissota nie ulegała wątpliwości: równie dzielnie biłby się w rejonie Argonne czy we Flandrii. Rozumiał jednak doskonale obowiązki, jakie nakładał na niego geniusz. Aby zachować skarb ten dla narodu, pozwolił umieścić się w miejscu pewnym. Ale służąc słowami nie szczędził siebie. Jego potężny głos rozbrzmiewał w uszach całego świata. Słyszano go w Londynie, Bordeaux, Chicago, Genewie, Rzymie, a nawet, przed rewolucją w Petersburgu; przemawiał we wszystkich miastach Francji na froncie i na tyłach, podczas obchodów żałobnych i rocznic. Za granicą uważano go za uosobienie krasomówstwa francuskiego. Wszedł w skład wielkiego gabinetu zgrupowanego wokół Clemenceau. Nie cierpieli się zresztą wzajemnie. Brissot nie mógł znieść zupełnego braku skrupułów i zasad u tego człowieka z twarzą Mongoła, a Clemenceau urągliwie szydził z „pyskacza".

– Ach, twój języczek, niewiniątko!... – mawiał.

Ale inwazja stłumiła wszystkie osobiste antypatie i niedawni współzawodnicy: Millle-rand[77] i Briand[78], Brissot i Clemenceau, skupiając blaski swych talentów, ustępując sobie miejsca przy żłobie, utworzyli dookoła gwiazdy stałej, osi odwetu, krętacza Poincarégo, świetną konstelację polityczną. Była to niezapomniana epoka „świętej jedności". Niestety, minęła zbyt szybko!... Przywódcy polityczni wszystkich partii, nawet mężowie stanu nie związani z żadną partią, jak bracia Aymon[79], dosiadali wtedy razem starej wypróbowanej w pracy i w walce kobyły, Francji, zdecydowani trzymać się tak długo, aż bydlę wygra lub padnie.

Kariery Brissota nie przysłoniła ani jedna chmurka prócz, oczywiście, cieniów, jakie zazdrośni rywale starali się rzucić na jego przeszłość mówcy, splamioną jakimiś gorącymi wzlotami, rzeczywiście nieco nieroztropnymi, ku *empireum*[80] międzynarodowego pacyfizmu. Kto jednak wciąż mówi, z konieczności mówi o wszystkim; nie można wymagać, by wiązało go każde z jego słów; zostałby rozniesiony na ćwierci przez więcej niż cztery konie. Zresztą w czasie pokoju pacyfizm jest, jak sama nazwa wskazuje, napojem nieszkodliwym i dozwolonym – wzbronionym tylko wtedy, gdy wybija godzina wojny: bo wtedy właśnie mógłby się okazać skuteczny. Wielki mówca udowodnił to bez trudu wszystkim z wyjątkiem wrogów–niedowiarków, do których nic nie przemawia, nawet płomienny zapał, z jakim Brissot, wzniosły jak bohaterowie Corneille'a, zadenuncjował swych wczorajszych towarzyszy; byli to uparci pacyfiści, zamaskowani Niemcy, którzy usiłowali ciągnąć swoją robotę dalej w czasie wojny, co groziło zniecierpliwieniem znużonego narodu i pozbawieniem nas drogo okupionych owoców zwycięstwa. Wielcy ludzie wystawieni bywają zawsze na oszczerstwa. Brissot był dość mocny, by nie przejmować się niesprawiedliwością. Śmiał się z całego serca, a jego wielbiciele dopatrywali się w tym śmiechu galijskim podobieństwa do śmiechu Dantona (zestawienie krzywdzące – Brissot nie miał wcale, trzeba przyznać, owego stylu hal paryskich i tej niechlujności tonu). Koniec końców nie żywił do nikogo urazy, gotów zawsze wyświadczać uprzejmości wczorajszym nieprzyjaciołom. Istotne było dla niego to, że ich nabrał.

Ale na tej ziemi trzeba za wszystko płacić. Brissot płacił we własnym ognisku domowym za swoje powodzenie w świecie polityki. Nie był szczęśliwy w życiu rodzinnym; kobieta, z którą się ożenił, bogata, biała, tłusta, anemiczna, istna pularda nadziana cennymi papierami wartościowymi, była ze wszech miar niewystarczającą dla niego towarzyszką. Miała małe możliwości i zmysłów, i umysłu. Całkowicie pozbawiona indywidualności, nie umiała na nieszczęście wynagradzać nawet tym, co jest jedyną zaletą tego typu nijakich istot – umieć usuwać się w cień, to jest znikać w cieniu. Jej bezosobowa egzystencja zasłaniała horyzont; skarżyła się i nie podziwiała niczego, nawet talentów i sławy swego małżonka. Odznaczała się fatalną, niewątpliwie chorobliwą zdolnością widzenia w życiu obfitującym w dobre strony samych tylko przykrości. Miała wiecznie pretensję – o wszystko i do wszystkich; stało się to niejako jej misją życiową. Jednocześnie nie czyniła nic, by cokolwiek w czymkolwiek zmienić na lepsze. Wszystko wokół siebie osnuwała lepką, ponurą i przenikliwą, jak deszcz październikowy, mgłą smutku, a każdy, kto zbliżał się do niej, ulegał mu jak katarowi. Klimat ten nic odpowiadał oczywiście zdrowemu Brissotowi, toteż skracał swój pobyt w tych okolicach do granic możliwości, umykając z gwałtownym kichaniem; znajdywał sfery milsze, a

[77] M i l l e r a n d Etienne Alexandre (1859–1943) – francuski działacz polityczny, początkowo związany z ruchem socjalistycznym, zerwał z nim biorąc udział w rządzie burżuazyjnym. W latach 1914–1915 minister wojny.

[78] B r i a n d Aristide (1862–1932) – francuski mąż stanu, w latach 1915–1917 premier rządu, przedstawiciel kół imperialistycznych.

[79] B r a c i a A y m o n – bohaterowie powieści rycerskiej z XII wieku, znanej pod tytułem *Czterech synów Aymona* lub *Renaud de Montauban.* Młodzi ci rycerze nie chcieli nikomu podlegać i obrazili Karola Wielkiego, który odtąd ścigał ich swym gniewem.

[80] *E m p i r e u m* (łac.) – raj.

echa jego powodzeń w tych krainach niemało przyczyniały się do żałosnego zachmurzenia domowego ogniska.

Te ekstra–urozmaicenia nie przeszkadzały jednak Brissotowi, który był człowiekiem obowiązku, w regularnym wywiązywaniu się z powinności małżeńskich; nie jego było winą, że drobiazgowo oszczędna żona obdarzyła go jedną tylko córką. Brissot kochał ją całym sercem; jednak miłe, zawsze uśmiechnięte dziecko, zdrowe, o pulchnych policzkach i radosnych oczach – umarło. Stało się to nagle; na skutek jakiejś lekkiej operacji, a właściwie uśpienia, z którego się już nie zbudziła. Dziewczynka miała wówczas trzynaście lat. Małżonkowie Brissot byli zrozpaczeni. Pani Brissot miała teraz powody do skarg na świat. Lamenty swe zanosiła do stóp ołtarzy i do konfesjonałów. Została dewotką, co bardzo przeszkadzało mężowi w jego polityce, gdyż klerykalizm nie wrócił jeszcze wówczas do mody. Brissot, biedaczysko, nie miał na pociechę ani Boga, ani jego sług. Cios, który go ugodził, był ciężki. W samotności nieraz gorzko płakał patrząc na portret córki stojący aa biurku. Wojna odwróciła kierunek jego myśli, a szaleńcza aktywność dopomagała mu przed nimi uciekać. Uciekał od domu, od żony, od zmarłej, uciekał niestety aż w wir przyjemności, wyładowując w nich nadmiar energii, której trudy polityki nie zdołały wyczerpać. Pochlebcy znajdowali i w tym także podobieństwo do Dantona i jego rozpasania. Ale Brissotowi nie dawały one ukojenia. Jak większość Francuzów, był domatorem, czuł potrzebę ciepła domowego i nie zastąpiła mu go ambicja, sława i rozkosz; wszystko to, czego podobnie jak każdy Francuz zdawał się tak bardzo pożądać, było tylko namiastką. Brissot był niepocieszony, że nie ma syna.

Wiedział, że jest ojcem syna Anetki, ale unikał tej myśli, jak długo żyła córka. Wspomnienie Anetki nie było mu miłe, odsuwał je. Lecz głucha uraza nie pozwalała, by wspomnienie to znikło. Przetrwała blizna zranionej miłości własnej, a nawet może źle zagojona rana miłosna.

Stracił Anetkę z oczu, ale kilka razy dowiadywał się drogą uboczną, co się z nią dzieje. Nie życząc jej źle, nie był jednak zmartwiony, że zmarnowała życie. Oczywiście, byłby jej bardzo chętnie pomógł, gdyby się doń zwróciła, wiedział jednak dobrze, że nie da mu nigdy tego lichego zadośćuczynienia.

W ciągu piętnastu lat spotkał ją z synem kilka razy na ulicy. Nie unikała go wcale. On, przeciwnie, udawał mijając, że jej nie widzi. Zachował przykre wspomnienie, którego wolał nie analizować... Cóż go mogła obchodzić ta dawna historia i ta kobieta, którą posiadł i która stała mu się obca jak nieznajomy przechodzień... Cóż go to mogło obchodzić, jego, który miał wszystko? O Boże! Człowiek ma wszystko, zdaje mu się, że wszystko posiada, a nie może przeszkodzić, by z głębin przeszłości nie odradzał się żal, dręczący, jadowity brak czegoś, co zostało utracone, czegoś, co pozornie było niczym. I to nic staje się wszystkim, a wszystko, co posiadamy – niczym. Jakby niedostrzegalna szczelina w pękniętej czarze żyda, którą upływa cała zawartość.

Na szczęście te echa przeszłości rzadko odżywały, a nawykły do nieszczerości Brissot potrafił wmówić sobie, że ich nie słyszy. Kiedy wlecze się za nami wspomnienie jakiejś niesławnej chwili, najlepiej powiedzieć sobie, że nie było jej wcale. Toteż Brissot byłby ją w końcu unicestwił w barwnym wirze swego czynnego życia, gdyby chodziło tylko o milczący cień tej kobiety spleciony z jego cieniem. Ale pozostało jeszcze coś, czego nie dało się zatrzeć: pozostał syn.

Od śmierci córeczki ścigało go to dziecko, żywe, napotykane ustawicznie na drogach własnych myśli. Nie znał zresztą rysów jego twarzy: spotkawszy go kilkakrotnie z Anetką nie zdołał przyjrzeć się chłopcu i nie był pewny, czy obraz, który pochwycił w przelocie, był wierny. Raz jeden tylko wydało mu się, że poznaje chłopca ujrzanego obok Anetki: siedział o kilka ławek dalej w autobusie; oczy jego, które musnęły twarz Rogera, śledziły z zainteresowaniem jakąś piękną sąsiadkę. Brissot obserwował go rozczulonym wzrokiem: syn jego powinien tak właśnie wyglądać... Ale czy mógł mieć pewność, że to on?

Jak bardzo brakło mu tego syna! Potrzebował go dla samego siebie, dla swego domu, dla zaspokojenia potrzeby miłości, dla tej naturalnej radości, z jaką przenosi się na istotę własnej krwi nazwisko, zdobytą sławę, majątek i misję życia. A także po to, by móc rzucić odzew w odpowiedzi na złowieszcze hasło: „Po cóż to wszystko?" Wszakże Charon[81] odmawia przewożenia na drugi brzeg człowieka, który nie odrodzi się nigdy – zmarłego, który nie ma syna, przedstawiciela rodu bez przyszłości...

Cierpień tych nie okazuje się ludziom i nikt by nie wiedział o niczym, gdyby nie przypadek. Pewnej nocy w roku 1915 Brissot, biorąc udział w swawolnej zabawie w miłym gronie dam czcigodnych a ciekawych, z których żadna nie traktowała tego zawodowo, spotkał Sylwię; (działo się to w krótkim, lecz intensywnym okresie jej hulanek!) Sylwia była w towarzystwie osoby znanej Brissotowi. Ci dwaj mężczyźni w ciągu kolacji wymienili swe towarzyszki. Brissot nie poznałby na pewno Sylwii, ale ona podjęła się odświeżyć jego wspomnienia. Spotkanie to wzruszyło go nieoczekiwanie, jakkolwiek niegdyś niewiele poświęcał uwagi szwagierce–krawcowej, która nie przynosiła mu zaszczytu. Sylwia wiedziała o tym dobrze, ale rozbawiła ją ta przygoda. Partner jej znajdował się w stanie, kiedy człowiek nie bardzo panuje już nad sobą i nie wie, co mówić, a co przemilczeć. Wyciągnęła go na zwierzenia: Brissot rozrzewnił się, wypytywał chciwie o Anetkę i Marka. Mimo nieukrywanej urazy, nazbyt żywej, by nie zdradziła bystrym oczom przytakującej mu kobietki zawodu i żalu, jaki odczuwał w stosunku do Anetki, Markiem zainteresował się z wygłodniałą ciekawością. Pytał o jego zdrowie, zajęcia, sukcesy i sposób życia. Sylwia wychwalała siostrzeńca, z którego była dumna. Podsyciło to jeszcze uczucia ojcowskie i Brissot zwierzył się Sylwii, z jaką radością ujrzałby syna, miał go przy sobie, ze sobą; wyraził pragnienie zabezpieczenia mu przyszłości.

Sylwia nazajutrz powtórzyła to wszystko siostrze. Anetka pobladła i zaczęła ją błagać, by nic nie mówiła Markowi. Sylwii nie było to nawet w głowie. Zazdrosna o Marka na równi z Anetką, bała się go utracić. Ale ona nie ukrywała swych istotnych uczuć. Rzekła więc:

– Tego tylko brakuje, żebym mu powiedziała! Z miejsca puściłby nas obie kantem!

Anetka uniosła się. Nie chciała przyznać się do myśli, że „oszwabia" chłopca. (Sylwia bez ogródek użyła tego słowa... – No cóż, trudno! – powiedziała ze śmiechem. – Każdy musi dbać o siebie.) Jeśli Anetka pragnęła zachować syna, to po to, by go obronić. Chciała go bronić przed wszystkim, co mogłoby zniszczyć rzeźbiony w nim przez nią ideał... Ale wiedziała dobrze, że jednocześnie broni samej siebie. Wszakże zniosła tyle trudu, przeszła tyle udręczeń, jeszcze cenniejszych od radości, hodowała go przez piętnaście lat, zrobiła człowiekiem i nagle miałby go zabrać ktoś, kto bez żadnych trosk otrzymałby same tylko korzyści! Ów mężczyzna, który nigdy nie zaprzątał sobie głowy swymi obowiązkami, a teraz wystąpiłby dochodząc swych praw, praw krwi... Ten wróg!... Nie, przenigdy!

– Jestem niesprawiedliwa?... Być może! Tak, jestem niesprawiedliwa... Ale to dla mojego syna, dla jego dobra!... Jego dobro!

*

Marek podejmował się decydować sam, co było dla niego dobre. I nie przebaczał innym, jeśli chcieli rozstrzygać za niego.

Czuł jeszcze w sercu urazę do matki, kiedy żegnał ją chłodno, wyruszając na tę dziwną wyprawę: na „poszukiwanie" ojca. Był bardziej wzburzony, niż to okazywał. Cóż znajdzie? Nie był pewny wyniku tego dnia. W miarę jak się zbliżał do celu, ogarniała go coraz to większa chęć powrotu. Teraz dopiero uświadomił sobie zuchwalstwo tego kroku. Ale mówił sobie:

[81] C h a r o n – w mitologii greckiej przewoźnik, który łodzią swą przewoził dusze zmarłych przez Styks, jedną z rzek piekielnych.

„Pójdę. Jeśli tak trzeba, będę odważny aż do zuchwalstwa. Mniejsza o wstyd! Chcę zobaczyć... Zobaczę."

Był już niedaleko od wskazanego mu domu, gdy spojrzenie jego zatrzymało się na nazwisku widniejącym na afiszu... Było to nazwisko jego, nazwisko człowieka, którego szukał! Zawiadomienie o wiecu: dziś po południu przemawiać będzie Roger Brissot.

Marek udał się na oznaczone miejsce: była to hala ujeżdżalni... Trzeba było czekać kilka godzin, wolał to jednak niż wrócić do domu. Usiadł na ławce ulicznej i odwrócony plecami do przechodniów, układał i zmieniał swój plan. W jaki sposób przystąpi do człowieka, którego miał niebawem usłyszeć? W jakiej chwili? Co mu powie? Bez wstępu, po prostu:

„Jestem pańskim synem."

Kiedy powtarzał te słowa, nagle strach sparaliżował mu język... I... – (któż da wiarę?) mimo całego swego wzruszenia ten mały Gaskończyk pomyślał o Pourceaugnaku[82] i wybuchnął śmiechem!... Był to podstęp gnębionego instynktu, który znajdował w ten sposób ujście... Ze wzruszeniem połączył się zuchwale komizm sytuacji. Marek poszedł, pogwizdując, napić się czarnej kawy. Ale z rogu tarasu, gdzie usiadł, śledził bramę ujeżdżalni i wszedł pierwszy, gdy ją tylko otwarto.

Wśliznął się do-pierwszego rzędu, przy estradzie. Usuwano go kilka razy, ale uparcie wracał i zdołał wcisnąć się tam, gdzie chciał. Kiedy stał, by lepiej widzieć, oparty o słup z lanego żelaza, tuż pod mównicą, wszedł Brissot. Wbrew swym pretensjom do niewrażliwości Marek był tak wstrząśnięty, że ujrzał go dopiero wtedy, gdy Brissot zajął miejsce na mównicy... Doznał owego wstrząsu, jaki następuje w chwili nadejścia długo oczekiwanego zdarzenia: wydaje się zupełnie inne, niżeśmy sobie wyobrażali, ale realność jego nadaje mu tyle wyrazistości, że wszystkie wyobrażenia giną, jak przedarty papierowy krąg. Nie ma już: „Ach, g d y b y był taki czy może taki..." J e s t. Jest przed tobą żywy, z krwi i kości, jak ty sam... Nie możesz go już zmienić, nie zmienisz przenigdy...

„To on!... Ten człowiek... to mój ojciec!..."

Jaki cios!... Zrazu coś buntuje się w nim, coś mówi: „Nie!" Trzeba czasu, by się przyzwyczaić... A potem nagła decyzja. Nie ma się nad czym zastanawiać. To jest rzeczywistość. Godzę się. *Ecce Homo!...*[83]

„I ten człowiek – to ja... Ja?"

Z chciwą ciekawością rzuca się na tę twarz, bada szczegółowo każdy z jej rysów, chcąc w nim odnaleźć siebie.

Ów mężczyzna, rosły, zażywny, o dużej wygolonej twarzy, pięknym czole, prostym wydatnym nosie i uprzejmych nozdrzach, które, zda się, wąchałyby tak samo różę jak gnój... Policzki i podbródek mięsiste, ciało wyprostowane, głowa odrzucona nieco w tył, obfita pierś wypięta, słowem – mieszanina aktora, oficera, kaznodziei i szlachcica–fermera...

Ściska ręce na prawo i lewo, kłania się na sali różnym osobom, które wyszukują wśród zebranych jego przenikliwe oczy. Jednocześnie niby to słucha stojących w pobliżu, promienieje, wybucha śmiechem, odpowiada wesoło, w lot, na chybił trafił, z miną dobroduszną, uroczystą i ugrzecznioną, każdemu z osobna i wszystkim razem... Rozgwar sali, zgiełk tej gromady starych dzieciaków, gdzie wszyscy gadają na raz, tak że niesposób zrozumieć słów... Tylko dźwięczy w uszach jak ogromny dzwon... Brissot jest w swoim żywiole...

„Czyż to ja? To!... Ta bryła ciała! Ten śmiech, to ściskanie dłoni!..."

Mały, chudy Marek, blady i dumny jak dobosz spod Arcole, patrzy surowo na tego grubego, kwitnącego i kipiącego życiem mężczyznę. Jest on mimo wszystko przystojny; wywiera

---

[82] P o u r c e a u g n a c – aluzja do tytułowej postaci farsowej komedii Molierowskiej, naiwnego prowincjusza, przybywającego do Paryża z zamiarem odniesienia tu świetnych sukcesów.

[83] *E c c e H o m o* (łac.) – oto Człowiek.

urok, któremu ulega także i Marek. Ale nie dowierza, węszy, nie mogąc rozpoznać woni. Czeka, by tamten przemówił.

Brissot zaczyna... I oto Marek staje się jego łupem.

Mówca, z wielką znajomością rzeczy, nie wziął od razu najwyższego tonu. Próbował instrumentu spokojnie, cicho, *sotto voce*. Wiedział, że jednym ze sposobów, którymi prawdziwy wirtuoz narzuca niespokojnej sali milczenie, jest gra *piano*. Inni odkrywają swe mistrzostwo od razu, zaczynając od pełnych akordów; ale nie mogą już wzmocnić wrażenia i uwaga słuchaczów rozprasza się: mistrzostwo jest bowiem nużące, jeśli występuje nieprzerwanie. Brissot podchodził do słuchacza szczerze, bezpośrednio, jak zwykły śmiertelnik, dobry kolega; ujmował przyjacielską, wyciągniętą ku sobie dłoń; gdy jednak raz ją uchwycił... no! No, zobaczycie dopiero!

Marek nie widział nic; chłonął całym sobą. Początkowo nie słyszał słów, lecz tylko głos mówcy. Był to głos ciepły, serdeczny, niosący jakby wiew gleby ojczystej, wyczarowujący woń rodzinnych okolic. Marek rozpoznał wyraźnie „r" burgundzkie, które matka tępiła u niego z uporem. Była to między nimi tajemna więź. Cecha plemienia, to, co najbliżej związane z ciałem i najbardziej niezniszczalne. Ten akcent wiejski, męski a pieściwy wziął go – czuł się jak dziecko, które ojciec bierze na kolana. Przepajała go serdeczna wdzięczność. Było mu dobrze; był szczęśliwy i uśmiechał się radośnie do mówiącego...

I Brissot dostrzegł młodzieńca, który go pożerał oczyma.

Mówiąc miał zwyczaj wyszukiwać na sali kilku słuchaczy, u których jak w zwierciadle śledził działanie swego krasomówstwa. W nich słuchał własnych słów, oceniając efekt i oddźwięk. Chwytał w lot wymowę owych wskaźników, kierował według nich przemówieniem, które improwizował na podstawie obmyślonego przedtem scenariusza. Miał tylko kilka przygotowanych z góry popisowych kawałków, które są tym, czym w wielkich koncertach kadencja i *ra–papla* orkiestry. Mały dobosz spod Arcole, który stał naprzeciw z płomiennymi i śmiejącymi się oczami w rozgorączkowanej twarzy, był doskonałym zwierciadłem dla mówcy.

Widząc się w tym lustrze, Brissot zapalił się...

Ale zwierciadło zaćmiło się nagle...

Marek słyszał już słowa.

Sam Brissot rozwiał czar. Wzlot jego elokwencji ukazał przenikliwym młodzieńczym oczom, że skrzydła jej były sztuczne. Zachwyt publiczności słuchającej mówcy z wlepionymi w niego oczami niezwłocznie podziałał na Marka w ten sposób, że zaczął kontrolować się i opierać własnemu wzruszeniu. Należał do ludzi, którzy zawsze instynktownie przybierają postawę obronną wobec ogarniającej tłumy gorączki. Zrozumiawszy, że dał się, jak wszyscy, oczarować temu pięknemu głosowi, .poczuł gniew i jakby zesztywniał; od tej chwili wszystko, co wychodziło z ust mówcy i co działo się w jego własnym sercu, zaczął poddawać ostrej i wrogiej kontroli.

Stojąc wobec zniewolonych już słuchaczy Brissot zaczął dąć w trąby Nieśmiertelnych Zasad. Opiewał bohaterskie posłannictwo ziemi francuskiej. Ona to jest wieczystym kowadłem, na którym się wykuwają światy, stołem ofiarnym i hostią ludów. Pola katalońskie, Poitiers, Marna, Yerdun, Pétain, Bayard, Mangin, Karol Młot, Joffre i Dziewica Orleańska... ziemia ta, nie znużona niczym, poświęca się ciągle dla dobra ludzkości. Dwadzieścia razy złożona w ofierze, tyleż razy zmartwychpowstaje. Ona jedna we wszechświecie, broniąc siebie, broni zarazem wszechświata...

Brissot mówił o złotym i żelaznym kręgu Sprzymierzonych. Miłość ich otacza Francję, jak mężni rycerze otaczali Karola Wielkiego. Brissot był u nich. Może *de visu*[84] wielbić wzniosłą bezinteresowność bratniej republiki o gwiaździstym sztandarze, która nic nie żądając śpieszy spłacić dług zaciągnięty u Lafayette'a – i pomścić Prawo... Wielkoduszna Anglia... Nieprze-

[84] *D e v i s u* (łac.) – z widzenia.

kupna Italia... Od czasu wypraw krzyżowych nie było podobnego widowiska!... Ale wyprawy krzyżowe walczyły tylko o kamień grobowy Chrystusa, podczas gdy największa krucjata, krucjata dzisiejsza, to nowy Chrystus, który, rozwala grób ujarzmionej ludzkości... I tak dalej. I tak dalej...

„Potworna nikczemność, której jedynym winowajcą jest całkowicie za nią odpowiedzialne cesarstwo niemieckie, będzie wraz z tym cesarstwem zgnieciona. Wszystkie zbrodnie polityczne i społeczne w nim jednym mają swe źródło. Oto stek wszelakich nieprawości: ohydni despoci, zdeprawowane masy, junkrzy, fałszywi socjaliści, handlarze niewolników, zdobywcy w stylu Picrochole'a[85]: Krupp, Hegel, Bismarck, Treitschke i Wilhelm II. Bestialska dzikość, szał Sardanapala, Nietzsche, który uważa się za Boga, a szczeka jak pies... Ludy jęczące wśród zgliszcz i dymów. Niewinna Belgia i święta Polska. Reims, Louvain, czarne sępy krążące ponad bezbronnymi miastami, by bezpiecznie masakrować kobiety i dzieci... Ale białe ptaki Francji rzucają się na drapieżców i rozpędziwszy ich stado lecą poza Ren, aby wymierzyć karę zbrodniczemu plemieniu. Nadchodzi wyzwolenie. Oswobodzone ludy Europy, Azji i Afryki pod życzliwą egidą wolnej Francji i wolnej Anglii pić będą z Krynicy Wolności. Pada ostatnie cesarstwo kontynentalne. Republika otwiera skrzydła do lotu. Anioł Rude'a. Geniusz z Łuku Triumfalnego. Naprzód, dzieci ojczyzny!

Wracam z frontu. Cuda! Te dzieci śmieją się. Żołnierze śmieją się umierając. Mówią: «Krótko, ale dobrze! Nie zmarnowałem życia...» Na propozycje przeniesienia na tyły odpowiadają: «Za nic! Przywiążcie mnie do drutów kolczastych! Nie pozwolę im przejść!»"

Marek czerwieniał ze wstydu, wzrok jego stawał się lodowaty... Jak on umie trafiać do tych wołów... Cóż za puste słowa, prostackie metody, nikczemne kłamstwa!... Wpatrywał się z chłodną wzgardą w mówcę, z którego spływały strumienie potu i elokwencji. A Brissot, nic nie rozumiejąc, odczuł, że w duszy tego słuchacza rozgrywa się jakiś dramat. Próbuje różnych pułapek, by znów schwycić zwierzynę. Niepokoi go to osądzające spojrzenie, nie śmie patrzeć w tę stronę. Podczas gdy wykrzykuje dalej:

– Francja! Jednomyślna Francja...

i z niezmąconym-spokojem rozwija niby biegły wirtuoz swe arpedżia, gdzieś w zakątku jego mózgu tkwi uporczywie obraz tego chłopca. Widział go już kiedyś, zastanawia się, gdzie to było, lecz unoszony regularnym tokiem swych okresów, nie może zatrzymać się, by pójść śladem wspomnień.

Skończył potężnym akordem, który zagrzmiał stokrotnym echem po sali. Ludzie wstają, krzyczą, klaszczą, rzucają się ku estradzie, by uścisnąć dłoń wielkiego obywatela. Czerwoni ze wzruszenia, nawołują się, śmieją, niektórzy mają łzy w oczach; odprężony, patrzy z ukosa w kierunku opornego młodzieńca.

„Czy uległ?"

Miejsce jest puste. Marek znikł.

Nie mógł wytrzymać aż do końca tej cuchnącej elokwencji i wyszedł nagle. Ale jest jeszcze w drzwiach hali, kiedy zrywa się burza oklasków. Odwraca się, odymając wzgardliwie wargi, wpatruje przez chwilę w tę oszalałą salę i w triumfatora, potem wychodzi, a na ulicy spluwa z odrazą. Mówi głośno do siebie, jakby ślubując:

– Przysięgam, nikczemny motłochu, że nigdy nie zasłużę na twoje oklaski!

W tejże chwili Brissot, głośno rozmawiający i śmiejący się w gronie swych wielbicieli, umiejscowił prześladujący go obraz. Poznał młodzieńca widzianego w autobusie.

*

[85] P i c r o c h o l e – zdobywca i awanturnik ośmieszony przez Rabelais'go w *Gargantui i Pantagruelu.*

Marek szedł wielkimi krokami. Uciekał. Uciekał z miejsca, gdzie doznał rozczarowania. Ale rozczarowanie wlokło się za nim... Boże! Jakże zmienił się świat od chwili, gdy idąc tu przebywał rano tę samą drogę! Mimo że wtedy wzbraniał sobie nadziei, nadzieja zdawała się go unosić. Jakaż to była radość, jakie wzruszenie na myśl o człowieku, którego miał ujrzeć: przynosił tak ogromną potrzebę miłości i podziwu! Kiedy usłyszał jego głos, był bliski tego, by pobiec ucałować go... Jego całować?... Ohyda!... Otarł wargi, jak gdyby dotknęły tamtego!...

– Wstrętny frazeolog, faryzeusz, obłudnik!... Kłamca, kłamca, kłamca! Oszukuje Francję-i siebie samego... Mniejsza o Francję – jeśli lubi kłamstwa i chce być oszukiwana, to jej sprawa. Ale oszukiwać siebie!... .To nie do przebaczenia! To upadek moralny! Wstręt, wstręt do niego i do siebie!... Bo ja przecież jestem z niego, jestem synem tego kłamstwa, to kłamstwo tkwi we mnie!...

Szedł jak szalony. Znalazł się nad Sekwaną. Przechylił się przez barierę bulwaru. Chciałby obmyć się, myć się zdzierając skórę aż do krwi, byle tylko usunąć tę cuchnącą plamę. Nie było w nim w tej chwili ani rozsądku, ani litości, jak to bywa, gdy się jest w pasji, gdy się ma siedemnaście lat. Ani chwili nawet nie myślał, że człowiek ten może być dobry, a tylko słaby, jak większość ludzi; że gdyby znał swego syna, kochałby go na pewno; jak większość bowiem ludzi, ukrywał w świętym zakątku duszy, pod śmietnikiem słabostek, kłamstw i świństw, uczucia czyste i prawdy nietykalne. Nie pomyślał też, że całe to pokolenie starych scholarów, frazeologów, gaduł na modłę antyczną (fałszywy to antyk, fuszerka gallo–romańska) od dzieciństwa nawykło do czci słowa i że są to zarazem ofiary i komedianci... *„Commediante... Tragediante..."*[86] Ludzie ci, nawet pragnąc tego, nie umieliby już odnaleźć pod górą przytłaczających ich słów kontaktu z rzeczywistością...

Ale tego właśnie Marek nie mógł w żaden sposób przebaczyć! Młodzieniec, w którego żyłach płynie dobra krew, wyruszając na podbój życia woli zbrodnię niż ohydną niemoc, niż to paplanie! Bo jeśli zbrodnia zabija, to niemoc rodzi się już martwa...

„Dobra krew!... W żyłach Marka płynie krew kłamcy..."

„Nie, nigdy!..."

Teraz już wie, teraz czuje i rozpoznaje w sobie jego szalbierstwa. Chwyta się na powtarzaniu gestów, intonacji spostrzeżonych u tamtego, przypomina sobie, że grał taką właśnie rolę naśladując pierwowzór, którego egzystencji nie podejrzewał jeszcze... Daremnie odrzuca pustkę po tym człowieku. Nosi ją w sobie.

– Nigdy... przenigdy!... Nie chcę mieć z nim nic wspólnego! Nie chcę od niego nic! Jeśli wbrew mej woli będę jego sobowtórem, jeśli on się we mnie odrodzi, jeśli mam być jego dalszym ciągiem – zabiję się!

Błąkał się tak przez kilka godzin, wyczerpany i głodny. Zapadła noc. Nie myślał o powrocie. Jakże się pokazać? Jak wyznać swój zawód?...

Minął go, inwalida wojenny ze zniekształconą twarzą: pustym oczodołem i policzkiem .jakby wyżartym przez roztopiony ołów. Prosta kobieta z ludu o siwych włosach prowadziła go pod rękę, obejmując spojrzeniem czułym i bolesnym, on zaś tulił się do niej...

I w rozgorączkowanej myśli Marka pojawiła się znów o n a: Matka... Jej dumne oblicze i jej milczenie, życie pełne ciężkich doświadczeń i niesprofanowanych namiętności, dusza nieskalana, wolna od kłamstw, jej pogarda dla słów, głębia samotności kobiety żyjącej bez towarzysza, niezłomna wola, przeciw której się buntował, którą przeklinał, a którą dziś błogosławił, jej niezłomny zakon prawdy... Jakże wyrosła w porównaniu z tym człowiekiem, którego poznał i wyparł się, człowiekiem motłochu...

Teraz rozumiał i kochał tę zazdrosną namiętność, z jaką chciała zabrać go ojcu, tę jej niesprawiedliwość...

---

[86] *Commediante... Tragediate...* (wł.) – komediant, aktor tragiczny.

– „Niesprawiedliwa! Niesprawiedliwa!... *Całuję twoją rękę*... Bądź błogosławiona!..."

Jak policzek uderzyło go wspomnienie szorstkości, którą okazał jej wczoraj wieczorem i dziś rano... Ruszył w kierunku domu co sił w nogach. Biegł do niej. Sprawił jej ból. Chciał to wynagrodzić. Bogu dzięki, był jeszcze na to czas...

*

Na dole schodów zatrzymała go dozorczyni:

– Mało brakowało... Matka pańska jest ranna...

Nie słuchając dalej popędził przeskakując po cztery stopnie. Otworzyła mu Sylwia. Twarz jej była surowa.

Zapytał zdyszany:

– Co z mamą?

– Nareszcie raczyłeś wrócić? – powiedziała. – Czekałyśmy przez cały dzień.

Odsunął ją szorstko i wszedł.

Otworzył drzwi do pokoju matki: leżała z obwiązaną głową. Krzyknął coś niewyraźnie, ona zaś spostrzegłszy jego wzruszenie rzekła pośpiesznie:

– To nic, kochanie... Głupia jestem. Spadłam...

Ale on, zaniepokojony, zaczął dotykać jej drżącymi rękami. Sylwia odsunęła go:

– Dosyć tego! Zostaw ją w spokoju!

Potem tonem pełnym urazy opowiedziała mu, co się stało. Wpatrzona w twarz syna, Anetka prostowała opowiadanie, bagatelizowała wypadek, próbowała żartować, obwiniała samą siebie...

Nie powiedziała mu wcale rzeczy następującej:

Po jego odejściu straciła całkiem głowę. Powtarzała raz po raz:

– Opuści mnie!

Nie miała już nadziei. Chcąc jakoś doczekać wieczora zmusiła się do roboty. Mówiła sobie:

– Choćby mnie opuścił, ja się nie poddam.

Mimo ogromnego znużenia podjęła nie lada trud: rozpoczęła wielkie sprzątanie. Wyfroterowała posadzkę, wyczyściła przedmioty miedziane, umyła okna. Stojąc na małej, składanej drabince, wycierała szyby w otwartym oknie wychodzącym na ulicę, po czym zakładała firanki... Czy drabinka obsunęła się, czy Anetka straciła na chwilę przytomność?... Nadmiar zmęczenia i trosk albo może ów dziwny zanik świadomości, który miewała niekiedy, a który mijał tak szybko, że nie zdawała sobie z tego sprawy?... Oprzytomniała leżąc na podłodze. Właściwie powinna była runąć na ulicę, ale drabinka, obsuwając się, ześliznęła się w bok i zamknęła okno wybijając szybę. Krew ciekła z czoła i dłoni Anetki, a kiedy chciała wstać, poczuła przenikliwy ból w kostce: zwichnęła prawą nogę. Na brzęk szkła, które posypało się na ulicę, zjawiła się dozorczyni. Wezwano Sylwię.

Choć obrażenia były bardzo bolesne, Anetka silniej niż ból, który sprawiały, odczuwała niezadowolenie. Właśnie dziś nie wolno jej było pozwolić sobie na żaden wypadek. Nie chciała tego dnia odwoływać się do niczyjej pomocy ani sprawiać wrażenia, że chce wzbudzić litość Marka; wydawałoby jej się to wstrętnym i poniżającym zarówno że względu na siebie jak i na niego. Wytężyła całą energię, by się utrzymać na nogach, ale ból był przeszywający, serce osłabło tak, że musiała położyć się do łóżka. Czuła się upokorzona i powtarzała sobie:

„Cóż on pomyśli o mnie, kiedy wróci?"

A ponieważ cierpienie osłabia panowanie nad sobą, pozwoliła, by siostra wydobyła z niej tajemnicę jej udręki. Gdy Sylwia dowiedziała się, że Marek poszedł szukać ojca, nie chciała

pamiętać, iż to właśnie ona była pośredniczką, i uznała, że Anetka wyjawiając wszystko synowi postąpiła głupio. Ponieważ jednak niesposób było gniewać się w tej chwili na Anetkę, cała złość Sylwii zwróciła się przeciw Markowi. Podobnie jak siostra, nie wątpiła, że chłopiec je opuści. Wiedziała, że jest samolubny, próżny, gotów poświęcić innych dla swojej przyjemności. Nie zmniejszało to jej miłości do niego; przeciwnie – kochała go tym więcej, rozpoznając w nim samą siebie. Ale dlatego też nie mogła mu przebaczyć. Nie przebaczyłaby nigdy, gdyby je opuścił. Gdyby?... Ależ to przesądzone! Nie wracał tak długo, oczywiste więc było, że został u Brissota, że może jedli razem obiad? Nie dopuszczała żadnego tłumaczenia, żadnej innej możliwości. Była bardziej niesprawiedliwa niż Anetka i Marek razem wzięci.

Jej nieprzyjazne uczucia przejawiały się teraz, gdy chłopiec wrócił, w każdym słowie i spojrzeniu. Marek, który nie odznaczał się cierpliwością, najeżył się odpowiadając wrogością na wrogość. Anetka natomiast z całą pokorą myślała o tym tylko, by jej przebaczył, jak gdyby winą jej było, że leży w łóżku. Ton Sylwii ranił ją bardziej jeszcze niż Marka. Zmusiła siostrę do milczenia.

– Dość tego! – rzekła. – Dość gadania o mnie! To nie jest ważne...

A co było ważne? Wiedział to Marek, wiedziała Anetka, a także i Sylwia. Marek nie chciał mówić, póki Sylwia była z nimi, a ona się uparła. Anetka błagała ją spojrzeniem, Sylwia udawała, że nie rozumie... Nagle rzuciła trzymaną w ręku serwetkę, wstała i bez słowa wyszła.

Matka i syn zostali sam na sam. Czekali oboje. Jak i od czego zacząć? Marek spojrzał na Anetkę, ale ona unikała jego spojrzenia. Bała się, by oczy jej nie zdradziły, nie chciała w żaden sposób wpływać na postanowienie syna.

Marek chodził po pokoju. Musiał nabrać tchu, nim rozpocznie opowiadać, co wydarzyło się tego dnia. Raz jeszcze spojrzał na matkę, która leżąc nieruchomo, wpatrywała się w położone naprzeciw swego łóżka okno. Zatrzymał się... Potem podbiegł do niej, padł na kolana i kryjąc twarz w pościeli, zaczął całować jej okryte kołdrą nogi; potem objął leżącą ramionami i powiedział:

– Ty jesteś dla mnie ojcem i matką.

Anetka odwróciła się do ściany i wybuchnęła płaczem.

E p i l o g

Ty sterujesz korabiem ludzkości...
Żegluj więc po wodach cierpienia!
Niebaczny, nie pora dziś na sen!...

Wszystkie śluzy – wszystkie arterie – były otwarte. Strumień ludzki płynął niepowstrzymanie. Poszli dwudziestoletni. Powołano dziewiętnastoletnich. Osiemnastoletni czekali z dnia na dzień powołania. Nadchodziła kolej na Marka.

Matka i syn myśleli o tym oboje, ale nie rozmawiali na ten temat ze sobą. Anetkę przejmowała trwogą nie tylko wojna, ale także milczenie syna. Bała się poznać jego myśli, a obawa ta świadczyła jednocześnie, że już je zna.

Komuż zawierzyć swój lęk? Gdyby szło o nią samą tylko, zachowałaby go dla siebie. Ale tu chodziło o niego. Kogóż zapytać o radę? Sylwię? Po paru pierwszych słowach ta swoim zwyczajem wykrzyknęła:

– Wojna? Nim minie pół roku, będzie po wojnie. Szwaby gonią resztkami.

– Powtarzasz to co pół roku – odparła Anetka.

– Tym razem jestem pewna – oświadczyła kategorycznie Sylwia.

– Twoja pewność mi nie wystarcza – odpowiedziała Anetka.

– I mnie nie wystarcza – zgodziła się Sylwia. – Idzie tu o Marka. Kiedy szło o innych, można się było mylić; nie o miało to żadnego znaczenia, ale w sprawie naszego chłopca pomyłka byłaby zbrodnią. Masz rację. A jeśli wojna jeszcze potrwa? Z tymi głupcami nigdy nie wiadomo. Wydaje się, że wszystko już skończone, a oni rozpoczynają na nowo. Teraz Wujcio Sam rozpoczyna taniec. Potem przyjdą Chińczycy i Papuasi. A niechże sobie tańczą, ile chcą, ale Marek w tym tańcu nie weźmie udziału.

– Jak to zrobisz?

– Nie wiem. Ale go nie dostaną, na pewno. Wojna może nam zabierać naszych mężów, przyjaciół, kochanków – zgoda... Przeżyli swoje. Ale nasze dziecko... jest nasze, dla nas żyje, moje, do mnie należy i nie dam go za nic.

– Wszystkie matki dają swoich synów.

– Ale ja nie dam swojego.

– Twojego?

– Naszego. Mamy go obie.

– Powiedz mi, w jaki sposób?

– Sposobów jest tysiąc.

– Ja chcę tylko jednego.

– Nie brak nam przyjaciół... Twój Filip Villard[87]... Jest przecież wojskowym lekarzem–chirurgiem, naczelnym inspektorem sanitarnym... Nie trudno mu będzie chłopca zabezpieczyć.

– Nie sądzisz chyba, że pójdę go o to prosić?

[87] Patrz: *Dusza Zaczarowana, Lato.*

– Czemużby nie? Tyle by cię to kosztowało? Dumna jesteś. Ja bym się na więcej zdobyła. Gdyby to było potrzebne dla uratowania mojego chłopca, wierz mi, bez wahania oddałabym się każdemu przechodniowi.

– Nie ma takiej dumy, słusznej czy niesłusznej, której , bym nie była gotowa rzucić pod nogi mego syna – powiedziała Anetka. – Ale dla niego naprawdę. Dla jego dobra.

– Czy to ma być nie dla jego dobra?

– Moje poniżenie nie może być jego dobrem. Bo ja – to on. Nie przebaczyłby mi tego. I ja bym sobie nie przebaczyła kroku, który by jego upokarzał.

– Czy ocalenie byłoby dla niego upokorzeniem?

– Gdyby mnie w ten sposób ocalono, czułabym się upokorzona.

Sylwia wybuchnęła:

– To dopiero matka... Kpiłabym sobie z jego upokorzenia i z tego, że mi nie przebaczy, byleby został uratowany. A więc dobrze, jeśli ty nie chcesz, ja to zrobię...

– Zabraniam ci! – krzyknęła Anetka.

– Nie masz prawa nic mi zabraniać.

– Ach – odparła Anetka – czy sądzisz, że wystarczy uchronić go od niebezpieczeństwa?

– Czegóż się jeszcze obawiasz?

Anetka bała się, by Marek sam go nie szukał.

*

Zamykał się ze swoimi myślami i książkami. Mimo serdecznej zażyłości, jaka łączyła teraz serca syna i matki, Marek spędzał całe dnie w swoim pokoju, nie mówiąc słowa; Anetka zaś szanowała jego samotność. Czekała, aż m do niej przyjdzie. Uświadamiała sobie potężny proces, jaki dokonywał się w nim. Proces dojrzewania i oczyszczania. Czteroletni kryzys dobiegał końca.

Zawziął się, by surowo zgłębić samego siebie aż do dna, i osądził siebie równie bezlitośnie jak innych. Ażeby uwolnić się od płomiennych pożądań swej natury, która się buntowała, narzucił sobie surową dyscyplinę: ściśle wypełniony czas i ścisłość myśli. Ostatnie walki, jakie staczał ze sobą, nie były najlżejsze. Wychodził z nich udręczony i przepalony, jakby skąpany w namiętnym wstydzie stopionym z wyrzutami sumienia, lecz z popiołów formowało się twarde, nieprzenikliwe i nie podlegające zepsuciu jądro jego istoty.

Próbie tej poddał wszystkie myśli kłębiące się w jego przedwcześnie dojrzałym młodzieńczym mózgu: myśli zaczerpnięte z książek, od filozofów, od przywódców swego pokolenia. Źle opierały się próbie, niewiele z nich ostało. Zaledwie szczypta. Wszystko okazywało się słowami; nic nie było ciałem. Ani jedno Słowo nie zostało wcielone. Jedno tylko było prawdą, niezbitą jak kute żelazo; prawda ta – produkt epoki maszyn, zmieniającej ludzkość w jeszcze jedną pozbawioną woli maszynę, w której jedna klasa miażdży drugą na oślep, jak młot parowy. Nie ma wolnych czynów. Nie ma działania duszy. Nie ma wolnej duszy zdolnej do działania. Nie ma woli strzelającej niby błyskawica z chmury myśli i nagromadzonej a pozostającej w ruchu materii.

Ale pod chmurą tli zarzewie – i pod chłodną skorupą, i w powietrzu, w ziemi i w wodzie – wszędzie...

Pewnego wieczoru Marek wziął w rękę Haendla. (Czytywał poprzez niego Księgi Święte.) W *Izraelu* przeczytał:

– *Er sprach das Wort...*[88]

[88] *Er sprach das Wort* (niem.) – On wyrzekł słowo. Zdanie z *Księgi Genezis.*

I usłyszał to słowo.

*

Krew uchodziła z domu, kropla po kropli.

Gorączka zysku podtrzymywała przez cztery lata kupca z parteru – właściciela handlu drzewem i wyszynku wina – Numę Ravoussata. Zaspokajał ją obficie. Zucha tego, obłożonego trzema warstwami sadła, czerwonego, spoconego i krzykliwego, który chodził szurając pantoflami po podłodze, rozpierały wprost pieniądze i zdrowie. Teraz, porósłszy w piórka, czekał tylko powrotu syna, by się wycofać, jak drugi Filopomen, do zakupionej przez siebie własności ziemskiej. Ale syn nie wrócił. Ciało Klowisa zawisło pewnego dnia na drutach kolczastych. Gdy któregoś ranka wieść ta nadeszła, usłyszano na dole jakby ryk wołu niezręcznie bitego przez rzeźnika... Na darmo wszystkie trudy, wszystkie nagromadzone pieniądze... Atak apoplektyczny powalił grubasa. Po pewnym czasie wstał na nogi; język miał na wpół sparaliżowany, jedno oko wykrzywione. Ale nie usłyszano go już więcej. Klepki rozleciały się.

Potem przyszła wiadomość o śmierci cichej i łagodnej Lidii, którą zmiotła epidemia grypy, panująca w szpitalu w Artois, gdzie pielęgnowała rannych pod krzyżowym ogniem dwu armii. Od tak dawna już czekała tej chwili! Odeszła, by połączyć się z narzeczonym. Niestety, gdybyż wierzyła w to tak, jak wierzyć pragnęła! Ale wiara nie jest, jak sądzą ci biedni ludzie, sprawą jedynie woli. Wola otwiera podwoje do przedsionka duszy, ale zatrzymuje się przed ostatnią bramą. A ta ostatnia jedynie liczy się u dusz, które się liczą. Boże! Gdybyż to można być pewnym bodaj piekła, którego wieczysty ogień połączyłby z ukochanym! Ale czy ma tę pewność, czy nie, teraz jest już wyzwolona... Czy rzeczywiście wyzwolone zastało to delikatne jak kwiat ciało, zwrócone dziś ziemi, która wykarmi nim nowe kwiaty, nowy łup dla paszczy śmierci?

Potem wrócił młody Cailleux (Hektor),, ranny, lecz okryty chwałą, bez nosa i szczęki. (Państwo w swej hojności dało mu nową patentoszczękę z gwarancją dwu, a może trzyletnią, pod warunkiem ostrożnego obchodzenia się z nią.) Ręce mu drżały, a nogi chwiały się jak u dziecka stawiającego pierwsze kroki. Ale dostał order. Matka otulała go ciepłym, litosnym spojrzeniem, szczęśliwa mimo wszystko i dumna. Opierał się na ramieniu staruszki, kiedy wychodził wraz z nią, kulejąc, na zwykłą przechadzkę. Ledwo im wystarczało na życie. Ale przy cierpliwości zawsze jakoś da się związać koniec z końcem. I oboje: matka i syn, uważali, że szczęście im dopisało.

Józefin Clapier, który został inspektorem moralności na tyłach, poświęcił swe cenne zdrowie, a nawet rozum temu szlachetnemu poruczeniu. Wadą renegatów jest przesada. Pyszniąc się ważnością swojej nowej misji i ścigając swych byłych niedawnych towarzyszy: wiarę i doktryny pacyfistyczne, które sam wyznawał, zaczął w końcu skarżyć się, że jest prześladowany. Uważał się za prześladowanego, gdy ci, których prześladował, nie raczyli mu odpowiadać i odwracali się ze wzgardą. Zaczynał wówczas wrzeszczeć, że w jego osobie znieważana jest ojczyzna. Stało się to niebezpieczne dla otoczenia, a także dla niego samego. Zmierzał najkrótszą drogą do domu wariatów.

Za to prosperował Brochon, dozorca domu, zwany jak Eumenidy, przez antyfrazę, stróżem pokoju[89].

Mijając jego mieszkanie Marek mawiał do matki:

– Czuję się jak na Père–Lachaise. Oto strażnik cmentarny... Chodźmy, mamo, na górę do naszego *columbarium*[90].

– Chodźmy, mój gołąbku – odpowiadała z uśmiechem.

---

[89] E u m e n i d y czyli Dobroczynne – nazwa nadawana Eryniom będącym według mitologii greckiej boginiami podziemnymi, karzącymi zbrodniarzy i wzywającymi do zemsty za przelaną krew.

[90] *C o l u m b a r i u m* (łac.) – gołębnik.

Rozumiejąc się w półsłowa dzielili się smutkiem, pełnym litości u Anetki, a wstrętu u Marka, jakim ich napełniała ta jaskinia Polifema[91] – dom, miasto, cały świat, gdzie każdy z zamkniętych czeka cierpliwie chwili, kiedy z kolei i on zostanie pożarty.

– Teraz na mnie kolej – powiedział Marek.

Anetka chwyciła go za ramię.

– Nie. Nie mów tak.

Zaraz jednak pożałowała, że nie dała mu skończyć. Powinna wreszcie wiedzieć, jakie są jego zamiary...

Marek spoglądał na matkę w milczeniu, siedząc u jej nóg na małym taboreciku; splótł ręce na podniesionych kolanach i wpatrywał się w nią długo stanowczym spojrzeniem. A ona spoglądała na niego z miłością... Boże, jak bardzo była w jego mocy... Ale on nie będzie tego nadużywał. Była jego skarbem.

Uśmiechnął się do niej mówiąc:

– Dziwna rzecz. Przed wojną ani ty, mamo, ani ja, nie byliśmy pacyfistami.

– Daj spokój temu słowu – rzekła.

– Słusznie. Słowo to zostało zhańbione. Wszyscy, którzy je wpierw mieli na ustach, zaparli się go.

– Ach, gdybyż przynajmniej stać ich było na tyle uczciwości, by się go wyprzeć. Ale zdradzając, jeszcze nie przestają stroić się w piórka frazesów.

– Zostawmy je im – oświadczył. – My jednak potępiamy wojnę, chociaż nie byliśmy jej przeciwnikami. Pamiętam, że z początku cieszyłem się nią nawet. Ty zaś godziłaś się na nią. Cóż nas odmieniło?

– Jej nikczemność – powiedziała Anetka.

– Jej fałsz – powiedział Marek.

– Kiedy widziałam – ciągnęła Anetka – tę wzgardę wobec słabych, bezbronnych, więźniów, wobec cierpienia i świętych uczuć ludzkich, kiedy widziałam wykorzystywanie niskich instynktów, ucisk sumień ludzkich, tchórzostwo wobec opinii, barany poprzebierane za bohaterów, które idąc na rzeź owczym pędem – stają się bohaterami uczciwych ludzi, których zmuszono do mordowania, ową nieświadomą masę niedołęgów, która pozwala kierować sobą garstce siepaczy – serce mi się ściskało ze wstydu i bólu.

– Ja zaś – odparł Marek – widząc tę haniebną wojnę, która kryje swój zwierzęcy pysk, tę bandę masek, tę maskaradę, na której drapieżne Prawo w przebraniu, cichaczem plądruje światu po kieszeniach, to okrutne niewolnictwo, które wyobraża sobie, że sprawi nam milą odmianę, do upojenia powtarzając zwietrzałe słowo „Wolność", i to obłudne bohaterstwo – śmieję się im w nos.

–- Nie prowokuj ich – powiedziała. – Stanowią większość.

– To prawda. Najnikczemniejszym tyranem jest milion nikczemnych.

– Nie wiedzą, co czynią.

– Trzeba ich więc trzymać na łańcuchu do czasu, kiedy się dowiedzą.

– Jesteś zbyt surowy, mój chłopcze. Trzeba mieć litość. Oni zresztą są na łańcuchu i zawsze na nim byli; to wielkie oszustwo demokracji. Wmawia się w nich, że są Ludem Suwerennym, i oni w to wierzą; a jednocześnie postępuje się z nimi, jak gdyby byli bydłem na targowisku.

– Nie mogę mieć litości dla Suwerennego Głupstwa.

[91] J a s k i n i a P o l i f e m a – Polifem: w mitologii greckiej jeden z Cyklopów, ludożerca.

– Najgłupszy jest także naszym bratem.

– Bratem? To nic nie znaczy. Dobrze, jestem bratem tego psa grzebiącego w ulicznym śmietniku. Ale cóż jest miedzy nami wspólnego?

– Życie.

– Tak, to, co umiera. To nie dosyć.

– Cóż istnieje poza tym?

– Ty mnie o to pytasz, która to posiadasz? Jest coś, czego życie ani śmierć me naruszy: ziarno wieczności.

– Ale gdzież ono jest? Niestety, nie widzę w sobie nic wieczystego.

– Gdyby nie było go w tobie, nie czyniłabyś tego, co czynisz, nie byłabyś, czym jesteś.

– To dla mnie zbyt mądre, chłopcze. Czynię to, co czuję. Czynię uczciwie, a często się mylę. Ale wyznaję, że mimo mego wieku jeszcze tego nie rozumiem. I może nie potrzeba, bym rozumiała.

– Ale ja potrzebuję rozumieć. Muszę widzieć, dokąd idę, aby iść tam, gdzie chcę.

– By chcieć iść, gdzie idziesz...

– Mniejsza z tym. Chcę widzieć.

– Cóż więc widzisz? Czego chcesz właściwie? Dokąd zmierzasz?

Nie odpowiedział.

Zbierając całą odwagę Anetka spytała ze ściśniętym gardłem:

– Cóż byś powiedział wojnie, gdyby przyszła po ciebie?

– Powiedziałbym: „Nie!”

Anetka spodziewała się tego ciosu, a gdy ugodził ją już, wyciągnęła ręce, zbyt późno, by go odeprzeć.

– Nie.

Marek odrzekł spokojnie:

– Czy chcesz, bym powiedział: „Tak”?

– Też nie – zaprotestowała.

Marek patrzył na matkę, którą szarpały sprzeczne uczucia. (A przecież od dawna już powinna była przygotować odpowiedź.) Czekał z szacunkiem i litością, aż zbierze myśli. Ale zamiast argumentów mogła mu dać tylko namiętne wzruszenie.

– Nie. Nie decyduj o niczym. Nie możesz jeszcze mieć własnego zdania i sądu. Zaczekaj. Zbrodnią byłoby ryzykować całym twym życiem dla tej w pośpiechu powziętej decyzji, odmowy dziecka, które niczego jeszcze nie przeżyło.

— A ty, ty, która przecież przeżyłaś wiele?

– Ja jestem kobietą, nie wiem, nie mam żadnej pewności. Nikt mnie nie prowadził, szłam tylko za głosem instynktu i serca. A to nie wystarcza.

– Tak, to nie wystarcza. Ale kiedyż nadejdzie to, co wystarcza? Czy jest człowiek, który by nawet u schyłku życia mógł powiedzieć, że wie, że jest pewny, że zbadał wszystko? Czyż więc ma być zawsze skazany na odkładanie czynów do jutra? Odkładając tak z dnia na dzień, dojdzie do dnia ostatniego spodlony, poniżony, sprostytuowany, jak cała masa ludzi. Kiedyż będę miał prawo żyć?

Anetka nie chciała rozumieć. (Rozumiała aż nadto dobrze.)

– Nie masz prawa niszczyć samego siebie.

– Nie chcę niszczyć siebie. Chcę budować.

– Budować? Co? Dla kogo?

– Przede wszystkim dla siebie. Chcę mieć dom czysty, w którym mógłbym oddychać. Nie zniósłbym, jak inni, życia w jaskini kłamstwa... Zresztą przesadziłem przed chwilą... Mówisz,

że jestem twardy. Tak, jestem twardy. Tak trzeba, jeśli się chce pomagać tym ludziom, nad którymi ty się litujesz. I dla nich także trzeba zbudować dom.

– To nie jest sprawa jednego dnia. Aby budować, trzeba przetrwać.

– Trzeba, aby fundamenty trwały. – Najwyższy gmach zaczyna się od jednego kamienia... „*Eris Petrus.*”[92] To ja jestem kamieniem.

– Jesteś Markiem. Należysz do mnie.

– Nie do ciebie: z ciebie jestem. Jestem tym, czym mnie uczyniłaś.

– Ale ty mnie poświęcasz. Nie masz prawa.

– Mamo, to twoja wina. Chciałaś, abym żył prawdą, abym był prawdziwym człowiekiem, abym był człowiekiem prawdy. Nie wiem, czy zdołam, ale chcę spróbować... Mówmy szczerze: całe zło pochodzi stąd, że nikt nie ośmiela się posunąć swej szczerości poza granicę, która wyznacza zagrożenie jego własnych interesów i namiętności. Dotarłszy do tej linii ludzie zaczynają szukać wykrętów i okłamywać samych siebie, tak jak ci pacyfiści. Chciałabyś, abym był szczery, ale nie ryzykując szczęścia swego i twego. Czy to dobrze, czy to uczciwie?

Anetka uparła się:

– Tak.

– Co? To jest uczciwie?

– Tak jest dobrze.

Wziął ją za ręce; chciała je uwolnić, ale trzymał silnie.

– Spojrzyj na mnie. Nie mówisz tego, co myślisz... Chcę, byś mi patrzyła w oczy... Odpowiedz. Czy nie mam racji?... Które z nas dwojga jest uczciwe? Ty czy ja?

Schyliła głowę i powiedziała:

– Ty.

Ale zaraz potem krzyknęła:

– To szaleństwo. Nie chcę.

W końcu zebrała argumenty i starała się dyskutować.

– Uczciwość polega na tym, by być uczciwym w każdej myśli, nie wprowadzać nikogo, a przede wszystkim siebie samego w błąd co do spraw, w które się wierzy. Ale nie wymaga ona od nas niemożliwości, to jest, byśmy zawsze i wyłącznie postępowali według tego, w co wierzymy. Tylko umysł nasz jest wolny, ciało zaś spętane łańcuchami. Jesteśmy wrośnięci w społeczeństwo i podlegamy jego prawom. Nie moglibyśmy wyłamać się z nich nie łamiąc samych siebie. Nawet jeśli są one niesłuszne, możemy tylko je osądzać, ale słuchać musimy.

– Mamo, wypierasz się własnego życia... Czy sądzisz, że nie wiem nic o twoich buntach, o walkach, o tym, że niezdolna byłaś godzić się na to, co było niesprawiedliwością wobec ciebie i innych? Ty duchu nieposłuszeństwa. Gdybyś nie była taka, nie kochałbym cię tak bardzo...

– Nie, nie bierz ze mnie przykładu. Ach, to kara dla mnie... Nie trzeba tak... Mówiłam już i wiesz o tym, że żyłam na oślep, kierowana tylko tym wrodzonym poczuciem, tymi gorącymi uczuciami kobiety, sercem przeczulonym, które drży po nocach za lada dotknięciem... Mężczyzna – ten mężczyzna, którego stworzyłam, nie powinien wzorować się na kobiecie. On może, on powinien wyzwolić się z mroków natury, powinien widzieć jaśniej i dalej.

– Zaczekaj! Dojdziemy do tego zaraz. A kiedy dojdziemy już, nie wiem, czy nie zechcesz, bym się cofnął. Na razie powiedz mi, czy wypierasz się swoich buntów?

– Każdy był klęską.

– Ale każda klęska (przyznaj) była wyzwoleniem.

---

[92] *E r i s P e t r u s* (łac.) – będziesz opoką. Słowa z Ewangelii.

– Zmieniałam tylko kajdany i raniłam siebie. Jest ich niezliczona ilość. Wyzwalając się z jednych padamy ofiarą drugich... A może kajdany są potrzebne...

– Mówisz wbrew sobie. Widzę, jak do ostatniego dnia życia piłujesz swe kajdany.

– A może nie mam racji? Może wiedza instynktu jest ograniczona, może zrywając je uczyni om jeszcze więcej zła mnie samej i innym? A może ład trzeba okupić rezygnacją?.

– Nie próbuj, mamo, przywłaszczać sobie słów genialnego egoisty, który miłował bardziej ład i porządek wszechświata niż dobro bliźniego, a spokój kontemplacji stawiał wyżej od niebezpiecznej walki z obecnym złem. Co wolno było Goethemu, nie wolno nam. Nie starczy nam ład wiekuisty, żyjemy tu, w tym świecie, a jeśli poczujemy zaduch niesprawiedliwości, obowiązkiem naszym jest rozbić szyby, by odetchnąć swobodnie i szeroko.

– Można sobie przy tym przeciąć żyły.

– Jeśli padnę na wyłomie, mniejsza o to. Zrobiłem wyłom. Innym lżej będzie oddychać.

– Mój mały, nie wierzysz w ludzkość (mówiłeś mi te sto razy)... Czemuż więc chcesz poświęcać się dla niej? Czyż nie szydziłeś – tak często – z mojej wiary w nią? Ta biedna moja wiara tylekroć była policzkowana, że dziś niewiele jej zostało dumy i pewności siebie...

– Przepraszam. Nie z ciebie przecież szydziłem. W cokolwiek byś wierzyła, jesteś dla mnie wyższa ponad to, w co wierzysz... Ale rzeczywiście nie lubię ani tego „humanitaryzmu", ani tej „ludzkości", wszystkich tych pustych słów, tych ideologii i złudnych frazesów. Widzę ludzi, ogromne ludzkie trzody, które błądzą, cisną się, zderzają, idą w prawo, w lewo, naprzód, w tył, a spod ich nóg unosi się kurzawa idei. W ich życiu, w naszym, w życiu wszechświata widzę tragikomedię, której rozwiązanie nie zostało napisane. Scenariusz komponuje się stopniowo, wedle przypadkowej woli tych, co prowadzą do ataku. I ja biorę udział w ataku; zostałem wyznaczony – jestem bowiem twoim synem, Markiem Rivière – nie mogę się już cofnąć. Zaangażowany jest mój honor, a bez względu na to, czy oddział mój zwycięży, czy nie, pójdę z nim do końca, nie umknę z pola!

– O co toczy się walka? W którym stanąć obozie? Tego, co nowe, czy tego, co stare? Kto to wie? Jak zdobyć pewność? Może przeszłość decyduje o przyszłości. A może przyszłość decyduje o przeszłości. Kto nas oświeci? Żyjąc w osamotnieniu myśli, często, kiedy ogarniało mnie nagle poczucie pewności, mówiłam sobie: „Skądżeby się wzięła ta pewność, gdyby nie żył we mnie zwycięzca (bóg przyszłości)!" Potem jednak widziałam innych ludzi i całe narody, a wszyscy równie przepełnieni pewnością, każdy inną, sprzeczną z cudzą... Kiedy widziałam tę szaleńczą wiarę w ojczyznę lub religię, sztukę lub naukę, ład lub wolność, a nawet wiarę w miłość, w której się wyczerpuje życie ślepe i szaleńcze, jakże mogłabym się zdobyć na tyle próżności, by twierdzić uparcie: „Tylko jedna, moja pewność jest słuszna"?

– Moja pewność jest jedyną moją pewnością. Nie znam dwu pewności.

– Do mnie zaś należą wszystkie należące do ludzi, których kocham. I moją pewnością jest kochać ich.

– Czyż kochasz tak wielu? Czy wielu na to zasługuje?

– Kochać czy żałować to jedno.

– Nie chcę, by mnie żałowano. Chcę miłości innej, miłości, która wybiera i która potrafi wyróżniać.

– Wyróżniam cię aż nadto, okrutne dziecko. Dałabym resztę świata, by cię zatrzymać przy sobie.

– A więc bądź ze mną i bądź jak ja: wybieraj. Za wiele marzysz. Wahasz się – jesteś jak woda, którą przypływ wznosi, odpływ cofa znów i która nigdy nie posuwa się do przodu. A za wszelką cenę trzeba posuwać się naprzód. Łamać przeszkody, by iść prosto swoją drogą!

– Jeśli jednak droga ta napotka mur? Jeśli znajdziesz się na niej sam? Jeśli cała reszta świata będzie po przeciwnej stronie?

– Kto idzie pierwszy, idzie zawsze sam. Lecz idąc samotnie, wie, że jest pionierem. Każdy krok naprzód pojedynczego człowieka wyznacza przyszłą drogę całemu światu.

– To jakieś *Credo*, a jest ich tyle prawie co ludzi. Wierzę więcej w ludzi niż w ich *Credo*. Rada bym objąć uściskiem tych wszystkich szaleńców z równą macierzyńską pobłażliwością.

– Oni nie chcą tego. Odpychają pierś. Nie są niemowlętami. Musimy wierzyć, działać, niszczyć, walczyć, ale przede wszystkim kroczyć naprzód... Znasz to określenie ojczyzny: „Obóz rozbity na pustyni...” Idźmy dalej, dźwigając na plecach kołki i płótna namiotu!

– Mój obóz ma określone miejsce. Jest nim prawo serca. Niewiele dla mnie mają wartości wszystkie obowiązki społeczne, tak zmienne i sprzeczne z sobą, w porównaniu ze świętymi uczuciami – miłości, macierzyństwa – które są niezmienne i wieczyste. Ten, kto je rani, mnie rani. Gotowa jestem bronić ich, gdziekolwiek byłyby zagrożone. Ale nie idę dalej.

– A ja idę dalej! W chwili kiedy obowiązek społeczny zaczyna ranić uczucia przyrodzone, trzeba go zastąpić innym obowiązkiem społecznym, szerszym i bardziej ludzkim. Czas dojrzał do tego. Trzeba zmienić całe społeczeństwo, całą moralność prawa i katechizmu. I zmieni się! Cała moja istota domaga się tego: rozum i namiętności protestują przeciw zgubnemu błędowi dziś już przestarzałej Umowy Społecznej. Niejedna z tych potężnych sił, poruszających serca ludzkie, a potępionych przez prawa, staje się źródłem cierpienia, a czasem zbrodni, dlatego tylko, że nieludzkość praw i ustroju wtłacza naturę w ramę, która się stała narzędziem tortury. Jeśli tysiące młodych ludzi powitało wojnę jako wyzwolenie, jeśli moje serce zabiło wówczas silniej, to dlatego, że mieliśmy nadzieję, iż oswobodzi ona nasze członki. Dławiąca nas więź ustalonego porządku myśli i wygasłych konwencji, cuchnącego dobrobytu i śmiertelnej nudy, przystrojona obłudnym idealizmem: czczość, obłuda (wspomnij swój ówczesny pacyfizm i humanitaryzm...) – wszystko to gnębiło naszą naturę i zabijało radość życia, ów potężny, zdrowy i święty instynkt... *Sanctus*... Sądziliśmy, że pęknie owa przeklęta więź... Nieszczęśni!... Jako wyzwolenie dano nam tę ohydną wojnę, byśmy zatonęli w cierpieniu i śmierci, haniebnych a bezużytecznych... I więź zacisnęła się jeszcze silniej i naszą młodość spętaną wciśnięto w żelazną klatkę La Balue'a[93]... Trzeba zniszczyć, zniszczyć ten martwy i śmiercionośny ład, sprzeczny z naturą, gorszy od bezładu. Trzeba go zniszczyć, by stworzyć ład wyższego rzędu, rozleglejszy, na miarę ludzi, którzy nadchodzą, którzy już nadeszli, ludzi jak my. Powietrza. Więcej powietrza. Rozszerzmy granice dobra i zła, bo one urosły wraz z nami...

– Gdzież widzisz tych ludzi? Ja widzę tylko obok siebie moje duże dziecko i boję się o nie. Czemuż je powołałam do życia w tej twardej epoce?

– Nie żałuj tego. Nie lituj się nade mną. To burza. Niech żyje wicher. Żyj także ty, któraś mi dała płuca i skrzydła... Czy pamiętasz owego rybaka norweskiego, o którym czytaliśmy nowoczesną sagę, tego *Ostatniego Wikinga?*[94] Kiedy wyrwany śmierci, opuszcza w końcu burzliwy archipelag Lofotów dla spokojnego powietrza miast, nie może już znaleźć szczęścia... Daj pokój. Wolę należeć do mego niż do twojego pokolenia. Twoje bezsilnie marzyło o chłodnym postępie ludzkości. Rzucona na takie tło, teraźniejszość była szara i jednostajna. Klasa uprzywilejowana nie potrafiła cieszyć się nią w pełni, ledwie tykała jej. Blade radości, blade cierpienia, monotonia ironii i słodyczy... i nuda, nuda. Dla tych zaś, którzy pracowali na dole – dla nas – było to wieczyste koło, które obracać trzeba w ciemności... Dziś burza ryczy, dom rozpadł się w gruzy, światłość dnia wraz z wichurą wdarła się do naszego lochu. Wiemy,

[93] L a B a l u e Jean (1421–1491) – sekretarz stanu Ludwika XI, biskup i kardynał, prowadził układy z Karolem Zuchwałym, księciem Burgundii; uwięziony po ich wykryciu, został zamknięty w żelaznej klatce, tak małej, iż nie mógł stać.

[94] O s t a t n i W i k n g – bohater powieści pod tym tytułem Johana Bojera, powieściopisarza i dramaturga norweskiego (ur. 1872 r.), cieszącego się we Francji wielką popularnością.

że lada chwila może runąć na nas chwiejący się gmach; ale poprzez szczeliny widać niebo i chmury pędzone wiatrem. I nie łudząc się co do życia, ludzi i nadchodzącej chwili, żyjemy nad brzegiem przepaści wspaniałej a absurdalnej, żyjemy pełną piersią. Czy gmach zwali się, czy przetrwa, my wznosimy na naszych ramionach nasz jednodniowy wszechświat.

– „My"? Któż widział tych „Nas"? Gdzie oni są? Kim są?

– To pierwszy, który zacznie działać. Następni z niego się zrodzą.

– Ale on umrze.

– Tak.

– Nie chcę, byś ty nim był.

– Dopiero co mówiłaś o macierzyństwie obejmującym w marzeniach wszystkich synów ludzkich. Oto twe zadanie. Przenieś na innych miłość, jaką mnie otaczasz.

– Chwaliłam się tylko. Nie mogę!... Ach, któż był kiedykolwiek do tego zdolny? To byłoby nieludzkie. Kocham innych w tobie; kocham ciebie w innych. Ciebie właśnie w nich szukałam, kiedy ciebie było mi brak. Czyż teraz, mając cię, mogłabym cię poświęcić? Oni już nie są mi potrzebni. Ty jesteś moim światem.

– Ale świat podlega sile ciążenia, ma swe przeznaczenie. Trzeba iść za nim wraz ze mną, choćby prowadził do krzyża. Przypomnij sobie *Mater Dolorosa!*

– Nawet ona nie chciała. Była zmuszona.

– Wszyscy jesteśmy zmuszeni. I ty, i ja.

– Czym?

– Naszym niepisanym prawem.

– Jeśli godzi we mnie, czemuż je mam przyjmować? Buntuję się i odrzucam je tak samo jak inne prawa.

– Nie potrafisz. Nie byłabyś szczerą.

– A więc będę kłamać.

– Nie potrafisz. A ja tego nie chcę.

Spojrzał na matkę, urwał, a potem (głos mu drżał...):

– Widzisz, mamo, są dwie rzeczy, których bym nie chciał; to: nie być szczerym i nie być odważnym... Może... – zawahał się. – Może dlatego właśnie, że brak mi odwagi i że kłamię.

Anetka ujęła jego twarz w dłonie:

– Ty kłamiesz?

Zamknął oczy i rzekł cicho:

– Tak. Bo w głębi duszy boję się...

Objęła go ramionami, on zaś poddał się im bez ruchu. Trwali tak, z jego policzkiem, opartym o jej pierś. Każde w słabości swej czuło się mocne słabością drugiego.

Po chwili Marek wysunął się z jej objęć i powiedział:

– Nie kłamiesz, choćbyś chciała!

– Oszukuję samą siebie.

– Nie ty siebie oszukujesz; jesteś oszukiwana.

– Czy można przewidzieć podstępy myśli? Czyż nie okłamałam już siebie wiele razy?

– Jeśli ty to uczyniłaś – żaden człowiek nie może żyć zupełnie bez kłamstwa.

– Gdyby kłamstwo znikło całkiem z życia, znikłoby może i samo życie. Może to ono właśnie podtrzymuje owo wielkie Złudzenie?

– Jeśli nie może się ono obyć bez kłamstwa, jeśli jest wielkim Złudzeniem, to nie może być Życiem prawdziwym. Prawdziwe Życie jest gdzie indziej. Trzeba je odnaleźć.

– Gdzież ono jest?

– We mnie. W tobie. W potrzebie prawdy. Jakżebyśmy mogli tę potrzebę odczuwać, gdyby nie było w nas jej tchnienia?

Głos syna przeniknął Anetkę do głębi. Ale opierała się. Chodziło przecież o jego życie.

– Błagam cię! Błagam! Nie narażaj się na próżno; Po co? Wiesz przecież, że niesposób ludzi odmienić. Cokolwiek się dla nich uczyni, pozostaną sobą: będą mieli te same namiętności, przesądy, zaślepienia, zwane rozsądkiem lub wiarą, które są tylko murem – ich skorupką ślimaczą – tym, co im potrzebne do życia. Nie wyjdą z nich nigdy. Nie możesz tego rozwalić: sam zostałbyś powalony. Zachowaj swoją prawdę dla siebie nie odsłaniając jej oczom, które nie mogą znieść jej blasku. Po co? Po co? Ta prawda zabija tych, którzy ją głoszą.

– Po co? A po co było twoje życie? Czyś ty sama nie żyła wedle własnej prawdy? Czy własnej prawdzie byłaś posłuszna, czy obawie niebezpieczeństwa? Czy żal ci tego, żeś szła za jej głosem?... Odpowiedz. Odpowiedz... Czy tego żałujesz?

Anetka po chwili walki z sobą odparła:

– Nie.

Była złamana. Mówiła sobie:

„To ja go zabijam."

Syn popatrzył na nią z tkliwością, a na jego młodej twarzy ukazał się poważny uśmiech.

– Nie trap się, mamo... – powiedział. – Może nie dojdzie do tego, może nic się nie stanie, może wojna skończy się przedtem... Nic nie jest jeszcze postanowione. Nie wiem, co zrobię. Nie wiem nic. Jedno tylko – że gdy przyjdzie ta chwila, będę szczery... Przynajmniej będę próbował... Dopomóż mi i módl się.

– Modlę się. Ale do kogóż się modlić?

– Do tego, co jest mym źródłem. Do twojej duszy – ja jestem wodą z tego źródła.

*

Minęło kilka tygodni wyczekiwania i samotnych trosk (nie wracali więcej do tematu tej rozmowy, ale oboje, matka i syn, myśleli o niej i każde śledziło ukradkiem wyraz twarzy drugiego; Anetka wsłuchiwała się trwożnie w wibracje powietrza, w zbliżającą się jak warkot samolotu śmiertelną godzinę, która miała jej zabrać dziecko) – a na ulicy podniósł się, jak przypływ, krzyk tłumu. Dwa serca drgnęły nic jeszcze nie wiedząc. Nagle bez tchu wpadła Sylwia krzycząc:

– Rozejm podpisany.

Rzucili się sobie w objęcia.

Ale zwalniając uścisk Anetka odwróciła się i przesłaniając twarz dłońmi, ukryła swoje wzruszenie.

Marek i Sylwia, szanując tę zasłonę, za którą pragnęła się schronić, nie uczynili nic, by ją odsunąć. Czekali w milczeniu, aż uspokoi się zamęt w duszy Anetki. Potem podeszli do niej oboje z serdecznym spojrzeniem, a Marek, przytulony do matki, podprowadził ją powoli do drzwi balkonu, posadził na balustradzie i sam usiadł obok. U ich stóp Sylwia, siedząc na podkurczonych nogach, jak posążek Buddy, spoglądała na nich z uśmiechem.

Siedzą tak, we troje, na ruinach świata.

Zamknąwszy oczy Anetka słucha bicia dzwonów, krzyków, śpiewów ulicznych i czuje przy swym policzku policzek syna... Marzy... Zniknął już koszmar. Koszmar groźby wiszący nad tą ukochaną głową i koszmar ludzkich cierpień ciążący na jej sercu; wojna – ta próba potworna – skończona... Anetka nie czuje się jeszcze pewnie. Nieśmiało uczy się na nowo smaku wolnego powietrza. Oddycha...

Marek także odczuwa ulgę. Niemiło było widzieć, jak groźba zbliża się z każdą chwilą. Duma nie pozwoliłaby, mu uczynić nic, by jej uniknąć, ale nie był pewny swych sił ani wiary. Słyszy wrzaski i śmiech szalejącego tłumu. Wie, że próba, która go czeka, została tylko odroczona... Ale kilka lat zyskanych w jego wieku – to cały świat. Rozkoszuje się chwilą wytchnienia, przeczuwa życie, która nadchodzi... Marzy...

Sylwia spogląda na tych dwoje marzących. Nie myśli ani o przeszłości, ani o przyszłości. Chwila obecna tak jest słodka, radość tak pełna. Wyszli wszyscy troje cało z tej niebezpiecznej przeprawy i wiosła porzucone leżą wzdłuż łodzi śpiącej na uciszonym morzu. Sylwia zaczyna marzyć. Jaki piękny wieczór!...

Lecz okryty żałobą dom milczy; a to milczenie tragicznym jest kontrastem z jarmarczną wrzawą rozbawionego miasta.

Na drugim piętrze profesor Girerd, zastygły w swej żałobie, kamienny, przybiera sztandarami okna. Nastał teraz kres nieubłagany, samotne jego życie utraciło wszelki cel: może się skończyć. Na trzecim piętrze u Bernardinów zamknięto okiennice, córki z ojcem są w kościele, w mrocznej kaplicy, ale matka, przykuta do łóżka, gaśnie powoli. Przyszła choroba wywołana udręką. Rozmodlony Bernardin nie wie, że rak zżera to wątłe ciało, które się już nie broni. Winiarnia na parterze jest pełna. Ale przy kontuarze nie widać Numy. Gospodarz zamknął się w pokoiku za sklepem. Jest sam i pije, i łzy mu kapią do wina.

Anetka słyszy, jak łącząc się w jedną harmonię wznoszą się głosy żałoby, bólu, zniszczonych istnień i ślepej wesołości mrowiska. Wszyscy ci ludzie i ona sama są łupem Złudzenia. Wciągnięci w jego wir, ze spuszczoną głową pędzą wprost na czerwoną chustę pikadora. Dla jednych to sztandar, święte szaleństwo ojczyzny. Dla innych meteor wiary w braterstwo ludzi i w miłość... A jej syn, który twierdzi, że nic go oszukać nie zdoła, i gardzi „złudzeniem słów", czyż nie trwa w największym złudzeniu, gotów poświęcić ją i siebie chimerze życia prawdą, wbrew całemu kwiatu. Owa żądza Prawdy, czyż to nie największe złudzenie? I wszyscy upajają się jej czczym dymem... Marzą..

Dostrzegła wówczas niby nagły kłąb tęczowych oparów. Marzenie świata, które i ją pochłania. Na chwilę unosi głowę ponad powierzchnię wody. Strząsa z siebie moc podstępną i brutalną... Czy zbudzi się?... Przez sekundę jawa trzepocze skrzydłami w toni snu. Przez półotwartą szczelinę wpada na poddasze świadomości promień światła.

Ale na twarzy czuje ciepło policzka – to ciało, owoc jej ciała... syn, trzyma ją w niewoli miłością, cierpieniem, próbami, które nadejdą, losem, który ją czeka i wiąże...

(Wiem, wiem...)

...losem *Mater Dolorosa...*

(Nie uciekam. Otom jest znowu.)

Oczy jej przenoszą się na niego, na syna – sen umiłowany. Na nowo pojmują ją spojrzenia żywych. Uśmiecha się i chyli na powrót...

„*Warte nur...*"[95]

Wkrótce zbudzimy się wszyscy.

20 maja 1926

[95] *W a r t e n u r* (niem.) – zaczekaj trochę.

TOM CZWARTY

ZWIASTUNKA

Księga pierwsza
Śmierć jednego świata

TYTUŁ ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO
«ANNONCIATRILE»
PRZEŁOŻYŁ
LEOPOLD STAFF

Część pierwsza

SIEDMIU PRZECIW TEBOM

Musieli zamknąć szklane drzwi na balkon. Fala uliczna wzbierała jak przypływ smagany uderzeniami wichru. Wycia, przeszywające krzyki, przenikliwe śmiechy. W nagłych chwilach ciszy słychać było tupot ogromnej, niewidzialnej masy. Zwierz nabierał tchu. Potem z piersi jego wyrywał się ryk buhaja. Sylwia nie mogła wytrzymać. Nozdrza jej drżały. Wymknęła się, a miała zamiar pociągnąć za sobą i siostrzeńca. Mówiła, że nie powinno się przecie zamykać w domu w taki dzień i można sądzić o tym, co się chce, ale trzeba zobaczyć i skosztować. (Jeśli Sylwia kosztowała, to nigdy połowicznie!) Ale Marek odmówił z takim gniewem, że poza jego wzgardą musiał kryć się strach i pragnienie; i całe popołudnie spędził z matką w zamkniętym mieszkaniu, do którego wcześnie wkradł się listopadowy mrok. Hałas na zewnątrz, rósł z godziny na godzinę. Marek, siedząc na łóżku, gryzł zaciśnięte dłonie. Anetka starała się zająć czymś swe palce i myśli; w najdalszym od okna kącie pokoju szyła w świetle lampy. Lecz widząc niepokój syna, porzuciła robotę i siadła przy nim na łóżku. Ujęła go za rękę, której nie cofnął, lecz uporczywie odwracał twarz do ściany. Przyglądała mu się z litosnym uśmiechem; ucałowała młodzieńczą szyję koło ucha i szepnęła: – Wyjdź, kochanie!...

Potrząsnął gwałtownie głową: – Nie!

Lecz wieczorem, gdy matka przygotowała skromny posiłek, który spożyli rozmawiając o różnych obojętnych sprawach, Marek przypomniał sobie, że dziś jeszcze musi dać komuś pilną odpowiedź. Anetka słyszała, jak schodził; bała się trochę, lecz pomyślała: „Lepiej niech wyjdzie i żałuje, że nie został, niżby miał zostać i żałować, że nie wyszedł..." Usiadła znów przy lampie z ironicznym cieniem swego mądrego uśmiechu w kąciku ust... „Najgorszym złem jest może to, które chce się popełnić, a którego się nie popełnia..."

*

Nie uszedł trzech kroków od domu, gdy został porwany ogromnym wirem. Miał zamiar przedostać się przezeń, by znaleźć się na drugiej stronie bulwaru. W pewnej chwili fala ludzka cisnęła nim, zakręciła, odrzuciła ku falom następnym, to wznoszącym się, to opadającym. Zanim się spostrzegł, zniosła go o pięćdziesiąt kroków w przeciwnym kierunku. Niesiony, miażdżony, wciśnięty w masę ryczących ciał, miał wrażenie, że go rozebrano, sprasowano, wgnieciono w tę jedną masę ludzką wypełniającą całą długość ulicy. Wyrwał się rozpychając się z wściekłością łokciami, ramionami i kolanami, lecz po to tylko, by znów uwięznąć całym płaszczonym w tłoku ciałem w nowowzbierającej fali – gromadzie kobiet podnieconych, krzyczących z uciechy i strachu pod brutalnymi pchnięciami tłumu, a zarazem pchających się – jak szalone. Jedna z nich, chuda blondyna o wywróconych białkach i szeroko otwartych ustach (widać jej było aż nasadę języka), której biodra tkwiły w łapach obmacującego ją dryblasa, rzuciła się na usta Marka żarłocznym, wilgotnym pocałunkiem. W chłopcu rozpłonęła krew; przytrzymał inną przechodzącą samicę i przycisnął wargi do jej warg; i kolejno to ściskany, to ściskający, ten samczyk na łowach przechodził z ramion w ramiona, zdjęty szałem,

każdą napotkaną czyniąc swym łupem. I porwany tym samym szałem, co owa nieprzytomna masa wyjąca *Madelon*[96], mówił sobie:

„Oto pokój. Oto m ó j pokój. Oto moja część łupu."

Ponieważ był bardziej wykształcony, kłamał przed sobą bezwstydniej:

Mój pocałunek całemu światu!...

Ale niechby mu świat go odmówił!... Natknął się na innego koguta, wielkiego i ciężkiego, który wyrwał mu z dzioba całowany dzióbek. Bronił zażarcie tego, o co nie dbał zrazu. Cios pod brodę odrzucił ogłuszonego w falę ludzką, ta zaś otwarła się pod naporem i oddzieliła go od człowieka, którego pięść poczuł na zębach. Daremnie wściekał się, by go dosięgnąć...

Paląca nienawiść domagała się zemsty. Niech zdechnie na miejscu, jeśli jej nie znajdzie natychmiast! W tej chwili traf nastręczył mu najpodlejszą. Chwycił się jej bez wahania.

O kilka kroków od niego szamotała się młoda dziewczyna. Na pierwszy rzut oka poznał mieszczaneczkę z prowincji. Musiała, wyszedłszy z hotelu, zabłądzić wśród ulic, a wpadłszy w potok ludzi, utonęła w nim. Miała twarz okrągłą, naiwną, przerażoną; starała się wymknąć z tłumu kierując się ku bocznej ulicy, a tłum bawił się nią. Była bezbronna wobec brudnych zaczepek, a zdumione oczy wołały o pomoc. Marek rzucił się na nią jak młody krogulec. Bruzda, którą wyżłobił w tłoku, spadając na swą zwierzynę, wyzwoliła przepióreczkę; uciekła wąską i ciemną przecznicą, która wiodła pod górę. Puścił się za nią i uchwycił wpół. Czuł w swoich szponach drżące, delikatne ciało; spadł na nią całym swym ciężarem i miażdżył brzuchem jej grzbiet. O mało nie upadła, kolana uginały się pod nią; kryjąc trwożnie szyję w ramionach, pół martwa z przerażenia, chyliła głowę. W świetle parterowych okien ujrzał Marek białą, wątłą szyję i ugryzł ją. Ofiara jęknęła kryjąc twarz w dłoniach. Oderwał od policzków dziewczyny skurczone palce (jeden wyłaził z podartej rękawiczki), odwrócił jej głowę, uniósł brodę i brutalnie spadł ustami na jej usta. W tej samej sekundzie ujrzał błagalne oczy; lecz nim przeszyły jego serce niby ciosem włóczni, chciwy dziób wbił się już w młode wargi, wyciskając na nich swe piętno. Poczuł krew na języku. I w tej samej chwili dosięgło go jej spojrzenie. Zadrżał, puścił zdobycz, która, uwolniona nagle, osunęła się na ziemię. Klęczała przed nim z twarzą ukrytą w ramionach, niezdolna krzyczeć, nieruchoma, oszołomiona, mając tylko tyle siły, by zakrywać oczy, nie widzieć. Ulica była pusta. Wysunięte domy zasłaniały sąsiedni bulwar. Huczał tam potok potęgując ciszę tego zaułka – tak jak reflektory zagęszczają mrok nocy dokoła swych świetlnych smug – zaułka, w którym zastygł na chwilę ogar i jego zwierzyna – dwoje dzieci.

Marek rzucił zmieszane spojrzenie na ciało dziewczyny u swych stóp i nie pomyślawszy o tym, aby ją podnieść, uciekł...

Błądził labiryntem ulic na zboczach Góry Świętej Genowefy, wpadając raz po raz na jakimś nagłym skręcie w motłoch, w owo wrzenie szalejącego z uciechy Zwycięstwa, i znów umykając jak szczur z nurtu kloaki. Późną już nocą powrócił wreszcie na schody swego pogrążonego w mrokach domu. W ciemnym korytarzu mieszkania na piątym piętrze, spod drzwi matczynego pokoju, sączył się blask. Nie zapalając światła wśliznął się do łóżka. Nagi wśród lodowatej pościeli, odnalazł wreszcie w ciemnościach swą spoliczkowaną duszę, która chwyciła go za gardło krzycząc: „Cóżeś uczynił ze mną?" Bo myślał ciągle o sobie, nie o tamtej. Leżąc brzuchem na materacu, wtulał usta w poduszkę. I wtedy ujrzał siebie na miejscu swej ofiary, w jej postaci: ta delikatna szyja, to ciało zbezczeszczonej dziewczynki, ten gwałt... i z ich dwojga bardziej skalany był on... Tak to, po wszystkich wielkich słowach, po wzniosłej dumie rozmów, jakie w ciągu dnia prowadził z matką, po tych wyznaniach rycerskiej wiary, policzkujących lisy i wilki wielkiej wojny, które pod maską prawa siłą i chytrością rozdzie-

[96] *M a d e l o n* – ulubiona piosenka żołnierzy francuskich w czasie pierwszej wojny światowej.

rały na ćwierci świat, ukradł pośpiesznie swoją cząstkę prawa przemocy i wybrał sobie w udziale to, co najpodlejsze... Ujrzał znów dziewczynę klęczącą na bruku; i nagle rozrzucił pościel; paliła go myśl, że uciekł jak złodziej, gotów był biec na miejsce, gdzie ją zostawił. Po co? Aby ją podnieść?... Głupiec!... Siedział nagi na brzegu materaca. Za przepierzeniem matka obróciła się na łóżku... Wstrzymał oddech i położył się znowu... Pod zębami czuł suche dziewczęce usta... Znów kosztował tych warg... I wezbrała w nim nowa fala okrucieństwa...

„To nic! Masz odtąd mój znak! I jeśli mnie spotkasz, rozpoznam cię, a ty nie będziesz mogła..." „Ona żyje i sądzi mnie..." Ta myśl, to życie stało się czymś nie do zniesienia... „Gdyby mogła nie żyć..." I z ruchliwością umysłu, który przeskakiwał od jego własnej osoby do świata zewnętrznego, nie przestając krążyć dokoła tego samego przedmiotu, zrozumiał, dlaczego człowiek, który umaczał palce w zbrodni, pogrąża w niej całą dłoń, aby przestać ją widzieć... Potem przypływ litości... „Niech żyje, niech będzie szczęśliwa!..." Chciał całować sińce na jej okrągłych kolanach... Doszedłszy do tego etapu był znów bliski brutalnego porywu, który kazał mu ją pochwycić, gotów rozpocząć od nowa palący krąg biegu swych myśli... Tak krążył przez całą resztę nocy, od jednego etapu do następnego: litość i okrucieństwo, nienawiść do siebie lub do niej, wyrzuty, żale, i za to, co uczynił, i za to, czego nie uczynił. Krąg za kręgiem, bez ustanku! A u końca klęska! Była jedynym stałym punktem w chaosie. Pobity!... Był bezsilny wobec ciosów przypadku. Nie miał żadnej władzy nad swymi czynami i myślami; przy pierwszym spotkaniu z głębinową falą wola jego rozkładała się jak meduza. Nie wiedział w tej chwili, co życie uczyni z niego w przeciągu roku...I to sromotne stwierdzenie było jak policzek... Nie! Nie! Raczej zbrodnia!... Usiadł na łóżku i walił się w piersi pięściami.

– Chcę, chcę... Czego chcę?... Być tym, czym chcę...

Z drugiego pokoju doszedł go czuły szept matki:

– Śpijże wreszcie, ty mały wilczku.

Nie odpowiedział... Złość... „Ona mnie szpieguje..." Poryw miłości... „Ona rozumie...". Gniew, wdzięczność, dwie szale wahają się... Ani jedno, ani drugie! „Jestem sam i chcę sam pozostać..."

Leżąc z głową na poduszce nie poruszył się już. Po obu stronach ściany matka i syn trwali tak wśród nocy z otwartymi oczami. Anetka myślała:

„Niepotrzebnie odezwałam się. To jego własna sprawa. Sam musi ją rozwiązać."

Ale choć nie mówili, myśli ich – sprzymierzone – biegnąc naprzeciw siebie, przenikały się wzajemnie. I stopniowo ustalał się w nich ten sam stan równowagi. Gdy w oknach zjawił się świt, byli już gotowi wstąpić w nowy dzień, wrócić do jego złudzeń, podstępów i walk, naznaczeni jeszcze jedną klęską, ale patrzący jej w twarz i płonący chęcią, by zacząć jeszcze raz od nowa. Te dusze Rivière'ów! Jakiż ranek klęski zdołałby wstrzymać te rzeki w biegu?

Lecz kiedy po bezsennej nocy, stojąc w wannie lodowatej wody, drżący chłopiec wracał w powłokę swego ciała, spojrzenie jego błądziło w zawrotnej przepaści epoki i świata, w którą został rzucony, ogarniało ogromną słabość własną, porażki i hańby, które czekały go w drodze.

I wzdychał:

– Ach! Dojść już!...

„Dojść!" – to znaczy: nie paść w drodze. Paść, tak. Lecz u kresu! Porażki, hańby – dobrze! Ale przejść, za każdą cenę!... Przejść? O Boże! Przeminąć... Z góry rozkoszował się odpoczynkiem, który nastąpi potem... Nie istnieć już! Ale to możliwe tylko wtedy, jeśli się przedtem istniało...

Młodą swą, zaczerwienioną od włosianej rękawicy skórę okrył znów warstwą ubrania i z nowymi siłami, zaciskając zęby, młody wilk wyruszył na łowy życia.

*

A jednak takie łowy to w innych czasach wspaniała przygoda! Wbrew pułapkom przyrody, wbrew wszystkiemu, co stworzyło społeczeństwo, by zatruć młodość, przykuwając ją do ław galerniczych (szkoła, wojsko), piękny jest ten zamęt dwudziestego roku życia!

Ale dwudziestolatków z roku 1918 niesposób było pomieścić w skali normalnego życia. Znaczyli na niej tyleż co ci, którzy mieli lat czternaście, jak i ci, co dwadzieścia cztery. Składały się na nich źle pozszywane łaty i skrawki wszystkich wieków: jednocześnie za dużo i za mało, aby się ubrać; za pierwszym ruchem pękały szwy; przez dziury widać było nagie ciało i pożądania...

Ludzie dawniejsi, ludzie, którzy ich zrodzili, nie poznawali zasianego przez siebie ziarna. A tym synom, którzy utracili swych ojców, ludzie dawniejsi wydawali się obcymi; nienawidzili ich niemal, pogardzali nimi. Nawet między sobą ci młodzi ludzie nie mieli prawie możliwości porozumienia się! Każdy był odmienną układanką – *puzzle*.[97]... Gdyby przynajmniej życie było zabawą, grą!... Wielu starało się głosić tę wiarę, aby uwierzyć samemu. Ale wiedzieli, że w tym wypadku była to gra straszna, gra opętańcza... Wszystko było zniszczone i wiatr, który wiał nad zasłanym ruinami pustkowiem, dobywał z niego zaduch grobowych dołów. Gdzie odbudować świat? I z jakich kamieni, na jakiej ziemi, na jakich trwałych podstawach? Nie wiedzieli nic, nie widzieli nic w tym dymiącym chaosie. Jednego nie brakowało – rąk. Ale trudno jest tym dwudziestoletnim rękom skazać się na żmudną pracę kopaczy, którym nikt nie przewodzi, i pracę tę przyjąć za cały swój los, za swą *giovinezza*[98] tak szybko mijającą, tak zagrożoną. Skądże mogli wiedzieć, czy zanim na drżącej ziemi postawią pierwsze mury, nie zwali ich nowy wstrząs? Kto mógł wierzyć w trwałość świata podpieranego zbrodniczymi i głupimi traktatami? Wszystko chwiało się, nic nie było pewne, życie było bez jutra: jutro mogła otworzyć się znowu przepaść, wojna, wojny zewnętrzne i wewnętrzne... Posiadało się tylko dzień dzisiejszy. Kto nie uchwyci się go dziesięcioma palcami, nie, dwudziestoma – nogami i rękami – zginie. Ale jak uchwycić to „dziś"? Jak wbić w nie pazury? Nie można go ująć, jest bezkształtne, jest ogromne, jest śliskie i lepkie. Kto zbliży się do tej wirującej masy, tego ona odrzuci precz jak proca – lub wessie go i pochłonie.

Ale człowiek zacina się, nie chce dać się odrzucić ani wchłonąć; jeśli się jest Markiem i ma się dwadzieścia lat (ma ich ledwo dziewiętnaście), chwyta się „dziś" za brzuch i włazi się do środka... Posiąść cię... Potem zdechnąć jak samce owadów!...

A ileż znużenia w tym gorączkowym skurczu rąk! Na barki młodego chłopca potworny to ciężar! Niezmierny wysiłek!

Szczęśliwi jeszcze ci, co żyją jednym ograniczonym życiem, mając jedną drogę, jedno pragnienie do zaspokojenia nią! Ale Marek miał ich kilka, a wszystko zgłodniałe, szarpiące wnętrzności. Musiał p o z n a w a ć, musiał b r a ć, musiał u ż y w a ć, musiał d z i a ł a ć, musiał b y ć... I te małe liski, które chował jak dziecko spartańskie w zanadrzu, gryząc go, gryzły się między sobą. Nie mogły się nasycić jednocześnie.

Co pilniejsze: u ż y w a ć czy p o z n a w a ć?... Najpierw p o z n a w a ć! Mały Rivière nie mógł znieść myśli, że odejdzie z życia nie zobaczywszy, nie dowiedziawszy się. Zdawało mu się, że przez całą resztę swej wieczności błądziłby wśród nocy rozpaczy gorszej niż wszystkie zmyślone piekła. (Gdyż nie podobna wierzyć, że po życiu nie następuje nic. Nicość dla dwudziestoletniego serca jest tą formą wieczności, z którą się najtrudniej pogodzić.) Jak wiedzieć? I co wiedzieć? Nie wie się nic. A przede wszystkim, od czego zacząć?... Wszystko jest podane w wątpliwość, a jednocześnie wszystko domaga się rozwiązania. Wychowanie w latach wojennych pozostawiło nieprawdopodobne luki, które nie zostaną nigdy zapełnione.

[97] *P u z z l e* (ang.) – rodzaj łamigłówki.

[98] *G i o v i n e z z a* (wł.) – młodość.

Umysł wałęsał się gdzieś stronami. Ciało także. Marek przebywał częściej na ulicy niż na ławach swego liceum. A kiedy raczył złożyć na nich swe chude pośladki, żywe, twarde spojrzenie wychudłego wilczka zapalało się dziwnymi ogniami i nie wstrzymywane posępnymi murami ścigało inną zgoła zwierzynę niż ta, za którą zwykły gonić stare mumie uniwersyteckie. W rzadkich chwilach ton głosu nauczyciela, słowo, trafne jak pocisk, odsłaniały jakiś skrawek życia, jego ciepły cień: rzucał się nań. Lecz niezdolny był umieścić tego fragmentu niezmiernej Rzeczywistości we właściwym miejscu; brak mu było w wykładzie wstępu, który nieuważnie przegapił; zwalniał chwyt i wszystko potem następujące wymykało mu się – ogon zwierzyny niknął w dziurze. Gdyby można było nakreślić planisferę jego wiadomości w jakiejkolwiek dziedzinie wiedzy, przypominałaby ona owe dawne mapy Afryki, gdzie więcej było miejsc pustych niż zapełnionych, a wielkie rzeki, pogryzione w kawałki jak ogony jaszczurek w paszczy kota, gubiły się co chwila; wyobraźnia uzupełniała ich bieg rozsiewając tu i ówdzie miasta i góry, bajeczny mrok i piasek. Istniały całe wieki historii, różańce twierdzeń naukowych, całkowite niemal prowincje ciasnej domeny klasycznej, w której nauka *Almae Matris*[99] zamyka trwożnie swych pupilów w obrębie kilku starych pokoi, złoconych, wyblakłych, zniszczonych przez mole (uważa je za najpiękniejsze w świecie); istniały mile uciętych dróg ducha, których mózg Marka nie zachował nawet śladu. Mimo to zdał końcowe egzaminy z mnóstwem innych hebesów, którzy umieli nie więcej od niego, a nie mieli w oczach, jak on, zuchwałego ognia inteligencji. Okazywano wtedy wiele pobłażliwości dla synów i braci bohaterów (jeśli nimi nie byli, mogli nimi być!)... Ale on, Marek, nie miał ani odrobiny pobłażliwości dla tych, którzy dawali mu z niej korzystać. Nigdy dobry koń nie przebaczy złemu jeźdźcowi, który go oszczędza popuszczając poprzęgów. Doświadczenie ostatnich lat zniweczyło wszelki autorytet, i ludzi, i książek, kierujący poprzednią generacją. To, co widziano, to, co czytano (mało i źle), nie zgadzało się z tonem teraźniejszości. Nie wiedząc nic prawie o rzeczywistości tak wojny jak pokoju, którą wszyscy utytułowani kłamcy i oszukani oszuści starali się ukryć przed ich wzrokiem, młodzi ci ludzie zbrojni byli w instynkt i niedojrzałe jeszcze zmysły, które wietrzyły u wszystkich swych mistrzów służalczą podległość inteligencji wobec państwa i starczą retorykę. Nie mieli pojęcia o tym, że gdzieś we Francji czy poza jej granicami mogły przetrwać siły wolności i prawdy; z góry zdyskredytowano je w ich oczach; oni zaś nie mieli najmniejszej ochoty do rewidowania tych fałszywych sądów; zaufanie ich było zatrute. Całą myśl poprzedniego półwiecza (ba! całej reszty czasów) podciągano pod pogardliwą rubrykę: „Słowa na wiatr!... Nadęte pęcherze...” Nie podejrzewali, że ich młode umysły będą także niby pęcherze wypchane innymi frazesami: zapełniają one dziewięć dziesiątych umysłu ludzkiego, jeśli ten nie chce pozostać pusty; a pustka przyprawia o szał: prawdą jest, że natura nie znosi próżni; nie może zdobyć się na rezygnację:

– Nie wiem nic...

Trzeba wiedzieć. Lub umrzeć.

*

Ale przede wszystkim trzeba jeść. A chleb nie wpadnie w usta takiego Marka Rivière’a, jeśli go sam nie poszuka. Chyba że go zechce matce odejmować od ust. Lecz duma jego mówi: - Dość! Odtąd jeść będę chleb, na który sam zarobię.

Ma tego ranka dwa określone zadania. Dwie latarnie we mgle, która wypełnia jego mózg, tak jak miasto. Lekcję konwersacji z rudym Amerykaninem o różowych oczach z delegacji

[99] *A l m a M a t e r* (łac.) – dosłownie : matka karmicielka; popularna nazwa nadawana od średniowiecza uniwersytetom.

Wilsona[100] mieszkającym w dzielnicy de la Muette. I rękopis obłąkanych poezji, których koślawą francuszczyznę *á la brésilienne*[101] musiał gwałtownie oczyścić na rachunek pewnego żółtego obywatela z Rio, rezydującego koło Sorbony. Pierwszego nie zastał w domu. Sąsiad powiada, że człowiek w gwiaździstej koszuli nie wrócił jeszcze; i zapytawszy, czego Marek sobie życzy, dodaje szyderczo, że nie powinien się niepokoić: uczeń jego uprawia właśnie francuszczyznę metodą bardziej bezpośrednią niż jego własna. Marek ruszył wściekły do klienta nr 2. Na schodach zatrzymała go dozorczyni: jegomość o cerze koloru pigwy umarł właśnie – powaliła go grypa-hiszpanka. Nie zostawił żadnego adresu. Marek został spadkobiercą poematów.

Śmierć nie dziwiła już. Jednak dziś, w dwa dni po salwach armatnich zwiastujących zawieszenie broni, odczuwało się niejasne rozczarowanie: „Więc nic się nie zmieniło?..." Ale u Marka gniew zwracał się przeciw zmarłemu, który obarczywszy go wpierw absurdalnym zadaniem, zemknął nie zapłaciwszy.

Zmarszczył brwi, wściekły, posępny jak ciemna chmura. Nagle przebił ją jasny dziewczęcy wzrok. Poznał szare oczy koleżanki z wykładów, brunetki o matowej cerze. Ich drwiący uśmiech wywołał w nim odprężenie. Minęła go. Spokojne i szybkie kroki smukłych nóg niosły ją ku Sorbonie. Po krótkim namyśle poszedł za nią. Biblioteka uniwersytecka stała się w owym czasie dla niektórych spośród tych młodych ludzi kwaterą generalną: znosili tam swe niepewności. Dogonił Henrietę Ruche na schodach. Obrzuciła go złośliwym spojrzeniem:

– Oczy podbite. Cera szara. Mina chmurna... Poświąteczny ranek...

– Zdaje się, że to święto nie zakłóciło pani spokoju. Ma pani twarz wypoczętą.

– Tak, spałam dobrze. Dziękuję.

– I nie kusiło pani wysunąć ciekawy nosek na świat?

– Widziałam dosyć z mojego okna. To dobre dla bydląt.

– Byłem jednym z nich.

– Wiadomo.

– Dziękuję – rzekł dotknięty.

Zaśmiała się.

– Myślał pan, że miałam na ten temat wątpliwości?

– Coraz lepiej.

Stali na progu biblioteki. Poprawiła włosy przeglądając się w szybie:

– Jedno mniej czy więcej... Nie ma się czym przejmować...

Weszła do czytelni.

Marek spostrzegł paru przyjaciół.

„Przyjaciele" to za dużo. Przyjaźnie między tymi chłopcami nie były silne. Każdy był zbyt zajęty sobą. Osobiście zaś młody Rivière trzymał się daleko od swych rówieśników. Był raczej nielubiany z powodu chmurnego charakteru, rezerwy, pogardliwego zbyt często grymasu, surowości sądów – a także z powodu przewagi jaką miał w szkole i na egzaminach. Lecz – mimo wszystko – właśnie dla tych samych przyczyn cieszył się pewną powagą. Wpływ matki sprawił, że bardziej od innych uodporniony był przeciw zarazie zbiorowej głupoty; nie czekał, jak inni, końca wojny, by stwierdzić ogólne oszustwo i mówić o nim w głos. Ta przewaga nad innymi, którą okupił w swoim czasie przykrą niepopularnością, zjednała mu dziś,

[100] D e l e g a c j a W i l s o n a – mowa tu o delegacji amerykańskiej na konferencję pokojową w Paryżu (12 I–28 VI 1919 r.) przybyłej do Francji pod przewodnictwem W i l s o n a Thomasa Woodrowa (1856–1924), ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. W czasie konferencji z całą jaskrawością ujawniły się imperialistyczne tendencje Stanów Zjednoczonych, na skutek czego Wilson utracił we Francji popularność.

[101] *Á l a b r é s i l i e n n e* (fran.) – na modłę brazylijską.

gdy oczy ich przejrzały, pewien autorytet. Byli dość sprawiedliwi, by przyznać, że młody warchlak miał słuszność.

Jeśli czegoś w tej chwili potrzebowali, to nie kogoś, kogo by można kochać, czy to mężczyznę, czy kobietę (miłość jak i nienawiść była wtedy tania), lecz kogoś, komu by można wierzyć, kogoś, kto widzi jasno. Było ich czterech czy pięciu, nie mających z sobą nic wspólnego poza tym odkryciem, które każdemu z osobna wymierzyło policzek, odkryciem ohydnego oszustwa. Wstyd i gniew, że dali się nabrać, pragnienie zemsty, a przede wszystkim obrony przeciw przyszłym oszustwom kazały im za wszelką cenę skupić się poza resztą stada. Trzeba było zawiesić urazy i antypatie, by – nie jako przyjaciele, lecz sprzymierzeńcy – połączyć swe słabości i siły. Szli razem po omacku, jak ślepe owady, których czułki dotykiem badają ciemność. I każdy, nie okazując tego, oczekiwał od innych słowa, które wstrząsnąwszy nim naprowadziłoby go na trop.

Jedni niewiele więcej wiedzieli od drugich. Ale pochodzili z różnych środowisk; każdy więc wnosił nieco doświadczeń, których brakło innym, i różne zasoby własnego temperamentu.

Adolf Chevalier, mały, pulchny, spokojny, był to młody prowincjonalny mieszczuch, ze starej prawniczej rodziny z Berry, posiadającej piękne nieruchomości ziemskie. Miał umysł pielęgnowany i należał do rasy pielęgnowanej równie starannie jak rodzinne winnice i pola. Z pięciu druhów był najbardziej „przyzwoitym człowiekiem" (w przestarzałym, klasycznym sensie tego słowa), o czysto francuskim typie inteligencji, skrupulatny i wymowny, pełen różnych nawyków. Gdy ruszał z miejsca, przeszkadzały mu, plątały się pod nogami. On szedł jednak, rozstawiając nogi, krocząc nie bardzo szybko, poważnie. Pozostali, drwiąc żartobliwie, przypominali mu herb miasta Bourges: „Osioł w fotelu..."

Fernand Véron–Coquard miażdżył go swoją masą, swoją wrzaskliwością i pogardą. Wysoki, ciężki, atletyczny, o wypukłej piersi, wprawiał w drżenie podłogę każdym krokiem swych ogromnych nożysk, a szyby – wybuchami basowego głosu; posiadał jedną z tych szerokich, właściwych epoce, mięsistych twarzy, które zrodziła wojna i które, zda się, ssały zamiast mleka krew; na ich widok człowiek waha się, czy przypominają one maski książątkoniuszych Napoleona I, czy Coquelina[102] władczym tonem gromko deklamującego w roli Skapena. Fernand był synem przemysłowca wzbogaconego na wojnie i nie wstydził się przypominać o tym, jak mówił, *á toute „volée".* „Nie należy – podkreślał – mówić o kradzionych *(volés)* w domu złodzieja *(voleur)."* Zjadliwa pogarda, którą darzył ojca i jego bandę, nie wyłączała szczerego przywiązania do swego rodziciela, przede wszystkim zaś nie zawierała zgoła intencji zrzeczenia się łupów, z których korzystał. Nie wahał się między „okradanymi" a „złodziejami". – „Tym gorzej dla idiotów. I tym lepiej, do krocset, dla mnie. Gdyby mieli moje bary, wysadziliby już społeczeństwo w powietrze. I może to uczynią. A ja im pomogę. Tymczasem jednak jem. Nie wyrzeknę się tego dla drugiego, który by może nie lubił tak jeść jak ja. Drwimy sobie z prawa, bośmy widzieli jego podszewkę. Jedynym naszym honorem, naszym honorem dzisiejszym, jest nie kłamać. Jeśli jestem świnia, wiem o tym i mówię o tym głośno. Pierwsze, co trzeba zdziałać w tej kloace publicznej, to wypuścić bebechy wszystkim pajacom, blagom, wszystkim idealizmom. Precz z Wilsonem!"

Słysząc to Adolf dusił się. Był to jeden z niewielu tematów, przy których opuszczała go wrodzona majestatyczna godność. Szymon Bouchard ślinił się i oczy wyłaziły mu z głowy. Mówił z trudem, szukając słów; lecz gdy zaczęły padać jak kamienie z procy, były ważkie i soczyste. Smakowitość ich kazała zapominać o ich ekstrawagancji. On i Véron zdawali się nie znosić siebie śmiertelnie; a widziano ich zawsze razem. Byli jakby stworzeni do tego, by ścierać się ze sobą ustawicznie. Ten syn dzierżawcy, stypendysta liceum, tęgi pracownik, który na ławie szkolnej stał się wołem roboczym, niezwałaszonym perszeronem, miał budowę

[102] C o q u e l i n Benoit Constant (1841–1901) – wybitny francuski aktor komediowy.

cyklopa i umysł nabity z trudem wyuczonymi i zebranymi argumentami; wewnętrznie i zewnętrznie był masywny i ciężki, szorstki i grubo ciosany. Wierzył niezbicie w ideologię wojny. Wierzył i dziś niezbicie w nietykalnych „Czternaście punktów" amerykańskiego Mesjasza[103]. Musiał wiecznie, wiecznie być oszukiwany. Lecz ci, co go oszukiwali, nie wychodzili na tym dobrze, gdyż raz wyprowadzony z błędu, nie przebaczał nigdy; i nieubłagane nienawiści nawarstwiały się jedna na drugiej w jego worku, z którym nie rozłączał się nigdy w zaciekłym marszu ku coraz innej sprawie.

Sainte–Luce (Jan Kazimierz) nie zaprzątał sobie głowy ani podobnym bagażem, ani (tym mniej jeszcze!) takim celem. Jego wspaniałe imię było jedynym *impedimentum*[104], jakie go ośmieszając obciążało; był zdecydowany pozbyć się go przy pierwszej sposobności. Winien je był szczodrocie ojca Polaka, który do tego ograniczył swą hojność, zaszczepiwszy go w jedwabistym łonie gwiazdy francuskiego kina; była to Kreolka z Antylów, która chlubiła się pokrewieństwem z uroczą małpą unieśmiertelnioną przez Prudhona, Józefiną Pierwszą[105]. Miał po niej drobne kości, aksamitne oczy i delikatne dołki w policzkach. Przypominał żywe srebro, niepochwytny i błyskotliwy. Nie potrzebował pretekstu, by być zawsze w ruchu. Nic go nie wiązało, żadne konwencje, ani moralności, ani rozumu. Nie bawił się w kruszenie kopii, lecz patrzył, jak inni je kruszą, i śmiał się głośno. Był urodzonym widzem, nigdy nie znużonym widowiskami, i nie szczędził nóg goniąc za nimi. Istny Puk, który przechadza się po obliczu ziemi i łaskocze ją w nos. Véron nazywał go pogardliwie S–te Puce[106]. Puk potrafiłby mu oddać pięknym za nadobne, i to z okładem. Lecz skory do niedbałej beztroski, uznał, że zwierzę właśnie w sam raz nadawało się, by upiec je w jego własnym tłuszczu, i nie potrzebowało innego przystroju...

Toteż przestawali ze sobą, nie żywiąc nawzajem żadnych złudzeń względem siebie, a właściwie i co do siebie samych. To nawet najbardziej ich łączyło. W tym samym nastroju ironicznej serdeczności przyjęli Marka, dobosza spod Arcole, o wynędzniałej, niespokojnej twarzy, podobnej do zatroskanego pyszczka młodego, wygłodniałego psa. Nie przejawiali zapału, może nawet zainteresowania, wobec tego, co mogło kryć się pod ową maską, wobec jego kłopotów osobistych: każdy miał swoje i chował je dla siebie. Każdego z nich osobiście byłby Marek krępował, gdyby w ogóle coś mogło ich krępować! Nawet ironizując, w czym bywał wprost nieubłagany, brał wszystko zbyt serio. Było to dla nich „niemodne" (za wczesne czy za późne? wszystko jedno! zegar nie był dokładnie nastawiony). Ale we wspólnym dziele podkopywania obecnego świata, które podejmowali, by utorować sobie zeń wyjście, przenikliwe spojrzenie Marka i twarda zmarszczka w kącie energicznych ust były dla nich niby cenne posiłki sprzymierzeńca. Uznali go za jednego ze swoich.

Plątał się dokoła nich i drobniejszy narybek: kilku poczciwych chłopców, którzy pragnęli myśleć, lecz nie myśleli sami, tylko słuchali ich starając się wtrącić coś czasem od siebie. Ale Piątka rzadko raczyła im odpowiadać: rozmawiali ze sobą. Tamci tworzyli dokoła nich krąg. Byli dobrzy na pośredników i propagatorów ich woli.

W drugim końcu sali skupiała się inna, równie liczna grupa: stronnicy *„Action Francaise"*[107]. Obie grupy udawały, że się nie znają; żywiły dla siebie miażdżącą pogardę o ostrym

---

[103] C z t e r n a ś c i e p u n k t ó w a m e r y k a ń s k i e g o M e s j a s z a – mowa tu o ujętych w czternaście punktów zasadach, na których Wilson oparł swoje propozycje pokojowe w roku 1918 i na których podstawie został ułożony traktat wersalski. Punkty te pod przykrywką demokratycznej frazeologii ustalały przewagę imperializmu amerykańskiego.

[104] *I m p e d i m e n t u m* (łac.) – przeszkoda.

[105] P r u d h o n Pierre Paul (1758–1823) – znakomity malarz francuski; jeden z jego najlepszych obrazów to portret cesarzowej Józefiny, żony Napoleona.

[106] S–t e P u c e (fran.) – św. Pchła.

[107] *A c t i o n F r a n c a i s e* – skrajnie reakcyjna grupa polityczna skupiająca się wokół dziennika o tejże nazwie, założonego w roku 1908. Pismo to, którego czołowymi publicystami byli Charles Maurras i Léon Dau-

posmaku nienawiści. A ponieważ obie strony mówiły bardzo głośno – zbyt głośno, mimo ostrych napomnień oburzonego bibliotekarza, z którym się nikt nie liczył – prowokacyjne słowa podsycały płomień, tak że co chwila wrzątek zaczynał kipieć. Było to zresztą ich celem. W razie potrzeby czynniki pośredniczące nie zaniedbywały swej służby, która polegała na przenoszeniu gorących jeszcze wyzwań z jednego obozu do drugiego. Na szczęście, młodzieńcza wesołość nie zamarła w sercach tych wojowników i ucieszność obelżywego zwrotu brała u nieprzyjaciela górę nad animozją.

Dalej, całkiem osobno, obozowali z uśmiechem wyższości, obojętni na sprawy publiczne, ci, dla których wojna, pokój i traktaty były brudną polityką; najlepiej wystrzegać się jej, by móc zajmować się swym handlem, karierą, swymi przyjemnościami, swą kuchnią umysłową, sztuką, nauką, pracą zawodową. Przypominali dobre gospodynie, które gardzą kobietami prowadzącymi próżniacze i niemoralne życie. Wśród nich było kilka naprawdę wartościowych typów: gruby pudel na krótkich łapach, z zadartym nosem, krótkowzrocznymi oczami i nieprzytomną miną, o gęstej grzywie nad niskim czołem i otwartej gębie, gotowej, zda się, krzyczeć ciągle: „Eureka!...” Gamoń w wannie Archimedesa[108].... Felicjan Lerond, który miał – szczęśliwiec! – wyraźne powołanie naukowe. Oszczędzało mu ono trudu myślenia o tym, co dzieje się dokoła niego. Poza swoją specjalnością byłby zupełnym idiotą, gdyby nie owa przebiegłość chłopa francuskiego, która go ratowała. Byli tam mali estetyzujący kretyni, którzy uważali się za arystokratów ducha, gdyż nie raczyli interesować się robotą społeczną: niewątpliwie nie bardzo leżała im na sercu! Lubili w pretensjonalny sposób przytaczać wyrok sformułowany przez augura Valery’ego: „Nie można zajmować się polityką, nie wypowiedziawszy się w kwestiach, o których żaden człowiek rozsądny nie może rzec, że je zna. Trzeba więc być nieskończenie głupim lub nieskończenie ciemnym, aby mieć swój pogląd na większość problemów, które polityka stawia.” Byli dumni, że go nie mieli. Okazywali doskonałą pogardę obu obozom polemistów, którzy odpłacali się im wzajemnością.

Wreszcie na drugim brzegu stołu, na wprost Pięciu, umiejscowiły się szare oczy o długich rzęsach, delikatny ostry nosek i uśmiech Henriety Ruche. Otoczyła się przezornie książkami, których w tym dniu potrzebowała do pracy. Mimo to nie traciła ani odrobiny z tego, co mówiono dokoła niej, podczas gdy długie i chude jej palce, których jeden czy dwa paznokcie były lekko ogryzione, rzucały na papier dokładne notatki z czytanego tekstu. W jej główce, o zbyt wysokim czole, które zakrywała włosami, panował wzorowy ład, znajdowała w niej jeszcze dość miejsca, by wpuszczać jednym uchem, a wypuszczać drugim jałowe zwierzenia, które szeptała jej, przysiadłszy okrągłym pośladkiem na stole, tłuściuchna Elodia Bertin. Do tego imienia właścicielka jego nie przyznawała się nikomu – tylko każdemu z osobna, gdyż niezdolna była dochować sekretu; przechrzciła się na Elżbietę, co znów zamieniła, stosując się do obecnej mody, na Babette, potem (w skróceniu) na Bette. To ostatnie imię – zgodnym zdaniem Pięciu – pasowało do niej cudownie.[109] Mówiła, mówiła bez końca. Widziano ją zawsze z otwartym dzióbkiem i wysuniętą bródką. Istnieją typy kobiet, co jak Angielki mówią, rzekłbyś, zanim otworzą usta; zdają się niemal mówić nie otwierając ust. Lecz Betta z Paryża, w obawie że nie zdąży wszystkiego powiedzieć, miała usta otwarte, zanim jeszcze zaczęła mówić, kiedy mówiła i kiedy kończyła, by zaczerpnąć tchu i zacząć od nowa. Była ładna, słodka, okrągła i pulchniutka. Przynosiła zaszczyt domowi, który ją żywił i którego była dziedziczką – wielkim składom żywnościowym na Boulevard d’Odessa. Mniej nieco

---

det, zwalczało idee liberalne i demokratyczne, rozwijało teorie „nacjonalizmu Integralnego”, wzywało do restauracji dziedzicznej monarchii.

[108] *E u r e k a!* (z gr.) – znalazłem! Jest to aluzja do opowieści związanej z odkryciem przez Archimedesa prawa hydrauliki. Miał je rzekomo odkryć zauważywszy w czasie kąpieli, iż ciało jego zanurzone w wodzie jest lżejsze. Z okrzykiem „Eureka!” wybiegł wtedy nagi na ulicę.

[109] B e t t e brzmi tak samo jak *bête* (fran.) – głupia.

przynosiła go domowi Roberta Sorbon, gdzie uparła się, Bóg wie czemu! zdobyć licencjat. Inteligencja pociągała ją niczym powab dalekiego kraju. Aby rzec prawdę, zajmował ją mniej kraj niż mieszkańcy; i słowo „licencjat" kojarzyło się jej nie tyle z mordęgą zabójczych egzaminów, ile z odurzającym dla małej kupcówny obcowaniem z młodzieżą o najśmielszych w świecie poglądach. Przyjaźń z Henrietą Ruche, którą wprost szaleńczo uwielbiała i która pozwalała sobie służyć – pod warunkiem, by działo się to w swoim czasie i odpowiedniej formie – wprowadziła ją do koła Pięciu. Oni nie przyglądali się z nazbyt bliska umysłom dziewcząt, byleby tylko miały dar podobania się. A tego nie braknie nigdy i najgłupszej paryżance. Nie mieli czasu: w sprawie miłości ociąganie się wyszło z mody. Kobieta – jak mówi Morand[110] – ma do rozpięcia tylko trzy części garderoby. Trzeba było albo brać, albo dać pokój. Rzecz jasna, że taka Betta była do brania, a taka Henrieta – nie. Jednakże i tej nie dawali spokoju, choć jej smukła, charcia chudość nie kusiła zgoła kłów tych młodych drapieżców. Véron, który (jak na to wyglądało) próbował na niej swoich zębów i musiał sobie jeden wyłamać, miał do niej urazę; jedną z dziewcząt nazywał Brzydką, drugą – Głupią. Wszelako żaden z Pięciu nie wahał się w wyborze. Pożądali (nie przyznając się do tego) Brzydkiej. I dla niej (choć nie przyznawali się do tego) ci chłopcy, którzy, darząc pogardą tak wiele różnych spraw, głosili także pogardę dla umysłu samic, podnosili głos i nadymali piersi tocząc swe turnieje. Tak było i teraz. Henrieta nie miała w tym względzie najmniejszej wątpliwości. Ale nie dawała nic poznać po sobie. W kącikach jej puszkiem ocienionych warg była tylko ironia. Zdawała się nie słyszeć nic, pamiętała wszystko, nie mówiła wcale, chyba by cisnąć z roztargnieniem od czasu do czasu obojętnie-zgodne słówko w potok gadulstwa Betty i wodząc oczyma za palcami, które mknęły po papierze, obserwowała poprzez rzęsy wszystko, co działo się na twarzy każdego z pięciu toreadorów. Jedynym z Pięciu, który mimochodem pochwycił poprzez tę siatkę promień jej spojrzenia, był Puk, którego oczy bez chwili spoczynku błądziły wiecznie, ogarniając wszystkie przedmioty na raz. A ponieważ owe ideologiczne dyskusje zajmowały go niewiele, o tyle, o ile zajmujący był widok kruszących kopie zapaśników, nie mając co robić wmieszał się między widzów. Powędrował na drugi brzeg i zaczął z Bettą pogawędkę, w której zwracał się za jej pośrednictwem do Brzydkiej. Potok słów przenosił ich wzajemne złośliwości. Véron, zazdrosny, powiedział do Boucharda: – „La Puce leci na Pucelle[111]." Gdyż ochrzcili ją obaj „Dziewicą Orleańską". Była nią (jeśli chodzi o miejsce pochodzenia) i utrzymywano, że jest nią jeszcze przedmiotowo... – rzecz sama była między nimi tematem dyskusji. Nie kryli się z tym wcale, również wobec niej.

Twarz jej nawet nie drgnęła. Ani potwierdzała, ani przeczyła. Z brodą opartą na dłoni patrzyła im w oczy, zimna i drwiąca. Co się w tym kryło?... Cokolwiek to było, uwielbiali ją. Miała ich w ręku (wszystkie ich tajemnice), a sama była nieuchwytna...

I dlatego, gdy rozpętała się burza (Véron zagrzmiał prowokacyjnie: „Dość tych honorów, na pal Tygrysa[112]! Wsadzę go tam zaraz..." – *„Action Francaise"* wrzasnęła jednym głosem i powstała, gotowa do skoku – na co bibliotekarz, rycząc głośniej niż tamci, zdecydował się opróżnić salę), Pięciu towarzyszy wraz ze swą eskortą stwierdziło zgodnie, że odtąd nie będą mogli odbywać tu swych posiedzeń; i gdy zastanawiali się nad miejscem przyszłych zebrań, nikt nie zdziwił się propozycji Boucharda:

– U Dziewicy Orleańskiej.

Przyjęła to jak obowiązek.

---

[110] M o r a n d Paul (ur. 1888) – nowelista i powieściopisarz francuski.

[111] *P u c e l l e* (fran.) –dziewica.

[112] T y g r y s – popularne przezwisko G. Clemenceau.

*

Była córką prokuratora: ojciec, człowiek rozumny, dobry i prawy, lecz despotyczny, dumny, „złośnik", tyran dla siebie i swych bliskich, prawdziwy „żądlarz orleański, z os rodu – jak mawiał jeden z pisarzy starych, który znał się na tym – ostry, kłótliwy, uparty". Nieszczęście chciało, że spłodził córkę, którą ubóstwiał i która go kochała, lecz była „z os rodu" jak on i bynajmniej nie skłonna do ustępstw. Każda jej myśl była zaprzeczeniem jego myśli. Nie jest rzeczą pewną, czy gdyby myślał inaczej, ona nie zrobiłaby nagłego zwrotu w przeciwnym kierunku. I to wcale – jak to pochopnie można by orzec – nie z powodu ducha kobiecej przekory. Lecz aby żyć. Gdy despota nie pozwala ci oddychać, gdy narzuca ci swoją prawdę, prawda ta, choćby była twoją, uciska cię i zabija, nienawidzisz jej i wolałbyś raczej paść w ramiona prawdy przeciwnej. Prawnik był przesiąknięty starymi pojęciami o wychowaniu, rodzinie, państwie, dziewczętach, kobietach, małżeństwie i wrodzonej moralności. Henrieta Ruche odrzuciła je, podobnie jak dwadzieścia przestarzałych części kobiecego ubrania.

Miała czas zastanowić się nad tym. Mimo wszystkich chimerycznych wizji tyrańskiego idealizmu, którymi upajał się stary retor, widziała czekającą ją rzeczywistość: ubogą, szarą i zimną przyszłość żyjącej na prowincji dziewczyny bez majątku. Niewielkie ich mienie stopniało podczas ostatnich lat wojny Pensja prokuratora wystarczała w sam raz na pokrycie wydatków. Co by zostało po jego śmierci? Nie zdawał się tym niepokoić. Spełniać swój obowiązek! Ci, którzy przeżyją go, powinni to czynić tak samo jak on. Znajdzie się na pewno jakiś inny urzędnik prowincjonalny, młody lub stary, mniej lub więcej brzydki, jak on biedny, który zechce poślubić jego córkę. Córka nie była tego samego zdania. Minął czas, gdy kobieta czekała pokornie, jak jej matka, na dobre chęci małżonka! Pewnego ranka dziewczyna, która co dzień znosiła prysznic zasad ojcowskich z zaciśniętymi wargami, z miną ironiczną i lodowatą, kipiąc wewnętrznie, wygłosiła tonem spokojnym i stanowczym:

– Co minęło, już nie wróci.

Zamilkł na chwilę, osłupiały:

– Cóż to minęło?

– Ty – odpowiedziała.

Nastały niemiłe dni i miesiące, atmosfera w domu była przykra. Wiało mocno lub mżyło. Najbardziej dawało się to we znaki matce, bezbronnej między obu walczącymi stronami. Całe życie znosiła wymagania ojca, braci i męża. Zmieszana, patrzyła nie bez przerażenia i może nie bez tajnego poczucia odwetu, na ten swój – *per procura*[113] – bunt. Gwałtowność urzędnika rozbijała się o mur ironicznej obojętności tej dziewczyny – jego córki – która słuchała go przeszywając zimnym, uważnym, odbierającym mu pewność siebie spojrzeniem. Słowa więzły mu w gardle: czuł ich bezużyteczność; gorzej! oczy te, które trzymały na uwięzi jego własne oczy, mówiły mu: „Nie wierzysz w to, co mówisz." Unosił się gniewem, chcąc uwierzyć. Nie był to z pewnością dobry sposób, aby zapewnić sobie przewagę. Ona nie unosiła się nigdy. Prokurator łatwiej by zdobył cztery czy pięć głów walcząc ze łzawą elokwencją adwokatów niż tę jedną, twardą łepetynę dziewczęcą z obciętymi krótko włosami, które przywierały do czaszki, jakby przypłaszczone hełmem. Była to domowa tragedia, gdy pewnego dnia wróciła świeżo ostrzyżona, z wyzywającym noskiem, bijącym sercem, wyzwolona: Dalila, która się ostrzygła, by skruszyć łańcuchy Samsona. Stary mieszczuch omal nie dostał apopleksji. I ten Don Diego czuł się zhańbiony na widok smukłych nóg, wolnych wreszcie i wyswobodzonych ze swego więzienia aż po kolana, które muskał zaledwie, nie zakrywając ich, rąbek ob-

[113] *P e r p r o c u r a* (łac.) – za pośrednictwem.

cisłej, kusej sukienki... *„O tempora! O mores!...”*[114] Lecz jeśli ojciec grzmiał, wciąż nieznużony, córkę słuchanie grzmotów prędko znużyło.

Gdy grzmi i grzmi nad ziemią pełną trwóg,
Nadchodzi deszcz i pokazuje róg –

mówi Mądrość narodów. Ruche z. Orleanu pokazała zaś dwa rogi. Oświadczyła poważnie, że

kłótnie nie mnożą ziarna ni mienia,

że wadząc się tracą czas i – co dla niej najważniejsze, młodość; że nikt nie ma tyle mocy, by do zmarłych przykuwać żywych; że ona chce stworzyć sobie niezależne życie udając się do Paryża na studia. Nic nie pomogło: żadne prośby, groźby ani argumenty. Ojciec odmówił. Wyjechała. Pewnego dnia nie znaleziono sroczki w gnieździe. Napisała z Quartier Latin[115]. Z obawy skandalu ustąpiono. Stawiała swoje warunki. Prokurator postawił swoje. Układali się w listach suchych i zimnych. Ojciec i córka kochali się, lecz była to miłość zmieszana z nienawiścią. On wyznaczył jej głodową pensję; ona, uniósłszy się dumą, odrzuciła ją. Trzeba było błagań matki, by stworzyć jakiś modus vivendi[116].

Wykazała ona „żądlarzowi”, że niebezpiecznie jest prowokować „osę”, by szukała sobie środków do życia w Paryżu. Zadrżał na tę myśl: wściekły upór kazał mu zapomnieć, do czego jego krew zdolna jest właśnie przez upór. Pośpiesznie podpisał układ. Skromna pensja za zobowiązanie się do surowej pracy, której kontrolę stanowić będą egzaminy. Zobowiązania dotrzymano. Henrieta Ruche, która uważała się za wolną od przesądów (a tak osądzała starą moralność), miała jedną cnotę i jedną wadę, która je zastępowała: dumę kobiecą podniesioną do trzeciej potęgi. Ze strony ojca, ze strony małego światka prowincjonalnego, który ją oczerniał i szpiegował, padło wyzwanie. Podjęła je. Prowadziła się bez zarzutu, pozornie przynajmniej. Pilnowała się. Co zaś kryje się w głębi, to już jej rzecz. Nie była obowiązana zdawać z tego sprawy nikomu. Jedno było widoczne dla wszystkich: że regularnie i pomyślnie zdawała egzaminy; że, wedle świadectwa profesorów, wybitną inteligencją dorównywała najzdolniejszym kolegom lub prześcigała ich, zaprzątniętych innymi myślami. A jednak trudno przypuścić, by sfera intelektu miała by ć jej racją życia. Henrieta była zagadką dla tych, którzy się do niej zbliżali. Była nią może i dla siebie samej.

Mieszkała niedaleko Val de Grâce, w jednym z najciaśniejszych punktów ulicy St. Jacques – tej starej struny skrzypcowej przeciągniętej poprzez grzbiet Góry Św. Genowefy, pełnej wąwozów i garbów. Stary dom uginał się jak pod dotknięciem smyczka, drżąc od turkotu ciężkich przejeżdżających autobusów. Na parterze słychać było metaliczny szczęk w kramie z żelastwem i brzęk butelek w winiarni. Wąska brama od ulicy i nieoświetlone schody o wydeptanych kamiennych stopniach wiodły na antresolę przytłoczoną wysterkiem pierwszego piętra. Do jedynego pokoju, pozbawionego nawet przedsionka i stanowiącego całe mieszkanie, wchodziło się wprost ze schodów; był on pierwotnie połączony ze sklepem na parterze przez wewnętrzne schody. Słabe światło przyciemniały jeszcze ciężkie, przysłane z domu zasłony. Pokój, wydłużony i wygięty wzdłuż linii, którą ulica żłobiła w fasadzie domu, a która zarysem przypominała łono ciężarnej kobiety, posiadał trzy okna, z których jedno okrągłe, w rogu, w rodzaju wykusza podwyższonego o dwa stopnie, odpowiadało węzłowi struny skrzypcowej. Była to jedyna część pokoju dostatecznie oświetlona. Być może, że pierwotnie tworzyła ona alkowę na wzniesieniu, którą zawieszona na żelaznym pręcie zasłona mogła

[114] *O tempora! O mores!* (łac.) – O czasy! O obyczaje!
[115] *Quartier Latin* (fran.) – Dzielnica Łacińska; uniwersytecka dzielnica Paryża.
[116] *Modus vivendi* (łac.) – sposób ułożenia wzajemnych stosunków.

oddzielić od reszty pokoju. Ruche urządziła tam sobie zaciszne schronienie. Rozłożyła na widocznym miejscu jedyny swój zbytek: stary dywan perski, który pochodził z jej orleańskiego pokoju i który był w posiadaniu rodziny niewątpliwie od czasu ograbienia jakiegoś kościoła w okresie Rewolucji. Spędzała tu po części swe dni; kiedy nie biegała po ulicach Paryża, siedziała ze skrzyżowanymi nogami, paląc papierosa za papierosem, ze zmarszczoną brwią, marząc, nagle w toku myśli wybuchając śmiechem (koledzy jej nie wiedzieli nic o tym – ten ostry śmiech i te myśli chowała tylko dla siebie); kiedy zaś była bardzo zmęczona bieganiną, leżała, lecz niezupełnie wyciągnięta (nisza była aż nadto „w sam raz" dla jej długiego charciego ciała), ale zgięta w kabłąk, z kolanami pod brodą, obejmując rękami swe poobijane na bruku nogi. Pracowała też na podłodze, przysiadłszy na piętach, otoczona swymi książczydłami, z ołówkiem w ręce, korzystając z ostatniej kropli światła spływającej z owalnego okna w jej niezmordowane, stalowe źrenice, podczas gdy mrok zalewał już głąb pokoju. Parawany w czterech kątach zasłaniały różne „tajemnice" i toalety, i wiktu, i reszty. Nazwała je swymi czterema stronami świata.

Bardzo mało mebli, każdy z innej parafii. Kilka tanim kosztem sporządzonych niskich sofek. Długi, papierami zawalony stół, który mógł służyć i do siedzenia. Dwa czy trzy krzesła. Skrzynia na drzewo. (Nie palono często. Stary komin stanowił raczej drogę dla przeciągów.) Ponure ściany obite były tkaninami o żywych kolorach, zestawionymi interesująco przez wytrawne oko Henriety. Ruche lubowała się w barwach, lecz jak wieśniaczki węgierskie, które najświetniejsze hafty chowają w szufladach, tak i ona, zda się, rozkoszowała się bardziej ich uwięzionym słońcem w półcieniu swego pokoju. Tu i ówdzie przypięte fotografie obrazów Gauguina, Matisse'a, Utrilla wywoływały – dla tych, którzy je już słyszeli – tony ich świetlnej gamy. Gipsowa główka zakonniczki ze starych *fabliaux*[117], o skromnie przymkniętych oczach i chytrym nosku, który zdradzać pewne powinowactwo z gospodynią – przedwojenny odlew rzeźby z fasady katedry w Reims – witała u wstępu gości, a wąski uśmiech galijskiej Giocondy ostrzegał przybywających. By wprawić ich w nastrój zupełnie swojski (lub obronny), mała przenośna biblioteczka ustawiona pod lustrem, przy ścianie niszy, obok owalnego okienka, dobrze widoczna, mówiła w sposób nieco wyzywający o czysto francuskim guście mieszkanki: Villon, bajki Voltaire'a i La Fontaine'a. Wybór nie był może pozbawiony złośliwej fanfaronady, ale odpowiadał instynktowi rasy, szczeremu i niezdolnemu do oszustwa. Zabawne było, że prokurator z Orleanu, który w życiu i w sądzie ciskał papierowe pioruny na wszelkie nieposzanowania Kodeksu Państwowego, widząc na stole córki te czyste klejnoty bezczelnego ducha galijskiego byłby je może pozdrowił uchylając biretu. W ustach Francji panuje Rzym i Judea, pełno ich także w worku jej tradycji, ale sam worek to wyrób galijski, podobnie jak dobre kawały, które w sobie zawiera. Każdy prawdziwy Francuz rozpozna je i będzie cieszył się nimi. Na półkach Henriety Ruche sąsiadowali jednak ze sobą, jak przystoi, Racine z Voltaire'em, Descartes z La Fontaine'em – cała rodzina francuska. A ponieważ śniadanie młodej, świeżo upieczonej studentki przyprawiane bywa ziarnkiem pedanterii, dodała jeszcze Lukrecjusza. Lecz choć czytała po łacinie trochę lepiej niż jej koledzy, sądzę – mówiąc między nami – że nie czytywała go wcale i że chętniej radziła się *Księżniczki z Babilonu*[118]. A przede wszystkim lubiła czytać w sercach tych chłopców. Była to zawsze ulubiona książka dziewcząt. Ale nie każdej dane jest trafnie ją odczytać. Ruche doszła w tym do wielkiej wprawy. Żaden z nich o tym nie wątpił. Widziała ich na wskroś.

Przychodzili, rozsiadali się z całą właściwą chłopcom swobodą. Niewiele troszczyli się o błoto, które przynosili z ulicy, o hałas i dym, którym napełniali pokój (trzeba było po ich pobycie otwierać wszystkie trzy okna na oścież, aby przewietrzyć pokój i wpuścić chłodny

[117] *Fabliaux* (fran.) – wierszowane średniowieczne bajki francuskie.

[118] *Księżniczka z Babilonu* – powieść Voltaire'a.

wiew nocy). Rozporządzali jej miejscem i czasem, jakby miała je tylko na ich usługi, i to bez słowa podzięki. Ale pani domu wynagradzała to sobie sama i umiała nakazać dla siebie szacunek; jeśli nie było to bardzo widoczne, to dlatego, że będąc pewna szacunku, nie musiała oń wiele dbać. Prawdopodobnie miała tej pewności nawet zbyt dużo, co bywa wadą młodych kobiet. Lecz była łasa poznać wszystko, co przechodziło przez myśli tych młodych samców, i pozwalała im folgować sobie, nie powstrzymując ich wylewności ani jednym słowem, gestem czy przymrużeniem oczu. Siedząc w ogrodowym bujaku, kołysała się spokojnie, z papierosem w palcach, czuwając nad filiżankami kawy, które podawała im gadatliwa Betta (ona to zasilała ich wieczorne zebrania mokką swego papy). Gdy ją raczyli zagadnąć, ledwo otwierała ironicznie złożone usta, by bez ich wiedzy, pchnąć dyskusję na pożądane przez siebie tory lub też dwoma czy trzema niespodzianymi, a użytymi w porę słowami, niby niedbałym ruchem ręki, podsycić ją lub przygasło. Potem znów zamykała się w swej pozornej obojętności z tak roztargnioną miną, jakby to nie ona przed chwilą mówiła. Lecz pod jej przymrużonymi jak u zakonniczki powiekami czaił się uważny błysk: pies, który wystawia zwierzynę... Betta była jej potrzebna, by zająć oczy, czasami – ręce kolegów. Ale spojrzenie jej, które pozwalało im na wiele, nie pozwalało przekroczyć zakreślonych przez siebie milcząco granic zabawy. Zatrzymywali się na samej krawędzi. Święte prawa ula[119]. Opuściwszy próg domu i oni, i ona mogli swobodnie, jak ów Anglik po przebyciu Kanału Sueskiego, gwałcić Dziesięcioro Przykazań.

Język ich pozwalał sobie na to nawet w mieszkaniu Henriety. Dzieci świata zniszczonego przez Rozum i Prawo musiały się mścić! Plwać na trzy Cnoty: wiarę, nadzieję, miłość. Spełniwszy tę powinność, każdy, gdy już znalazł się sam, ocierał sobie twarz. Biedne dzieci!

Wątpiono we wszystkich epokach. Każda nowa generacja odrzucała banialuki starszych. Ale była różnica między tą zabawą w nicowanie wartości, której w każdej epoce oddawali się młodzieńcy z inteligencji, mający z czasem zostać profesorami, prokuratorami, adwokatami, stróżami jutrzejszego porządku moralnego czy karnego, a konwulsyjnym buntem owego przychówku wielkiego Oszustwa, wojny o Prawo. Dawne zwątpienie dawało się przystosować, godziło się z życiem i rozumem. Łączyło się nawet przyjemnie ż owym: „Dobrze jest żyć", przy którym stary Renan oblizywał grube wargi. Dzisiejsze zwątpienie było jak tajfun piasku i ognia, który zmiatał wszystko. I ta *tabula rasa*[120], która dla brązowego Descartes'a lub dla pozbawionego kręgosłupa Anatola France'a nie była wcale przykra, dla tych młodzieńców była śmiertelnie dręczącym koszmarem. Nie potrafili już nic czytać, widzieć lub słyszeć, by nie węszyć w tym trucizny wmieszanej w pokarm cywilizacji: religię, moralność, historię, literaturę i sztukę, frazesy przemówień, codzienny idealizm. Wypluwali ją z błazeńskim i wściekłym grymasem pogardy dla głupkowatego spokoju poprzednich pokoleń. We wszystkich formach buntu, czy literackich, czy intelektualnych, czy socjalnych, przejawiała się ta sama negacja wartości ducha ludzkiego, czterdziestu wieków cywilizacji, samego życia, racji istnienia... A jednak, ponieważ młodzież ta nie była wcale skłonna do samobójstwa, jej instynkt życiowy znajdował tylko jedno wyjście: niszczenie. Zabierali się do burzenia z diabelską furią i witali każde trrach! okrzykami młodych dzikusów. Każda nowa ruina rozszerzała przestrzeń, po której mogli błądzić do woli. Gdyby mieli zaprzestać tańca dokoła skalpu, by skierować się na jakąś ścieżkę wojenną, byliby w kłopocie, którą wybrać. Gdy neguje się wszystko, po co działać? Bo nogi, ręce, całe zwierzę, a także głowa nie może się bez tego obejść. Lecz jak, u licha, działać? W jakim kierunku?

We wszystkich epokach, w dwudziestym roku życia, mówi się dużo o czynie: ale działa się przede wszystkim *per procura.* A w nieszczęsnym roku 1918 niełatwo już było wybrać sobie prokurentów. W okresach pokoju istnieje zawsze grono wielkich ulubieńców zatrudnionych przy mównicy czy piórze, na których młodzież może stawiać. Ponieważ te konie wyścigowe

[119] U l – aluzja do nazwiska Ruche: *ruche* (fran.) – ul.

[120] *T a b u l a r a s a* (łac.) – nie zapisana tablica, czysta karta.

nie biegają, nie mają przeszkód do brania, można długo trzymać o nie zakład. Ale podczas wojny wszystkie niemal szkapy, na które stawiano, zwaliły się do rowu. Nieliczna zaś reszta zdążyła się już potknąć o pokój. Nikt nie umiał stanąć na wysokości zadania. W ciągu kilku tygodni było już po wszystkim. Dawna ekipa została zlikwidowana. Dwa naprzeciw siebie stojące bożyszcza – Wilson i Clemenceau – pozbawione zostały tego, czym były wypchane: jeden trocin, drugi krwi – krwi cudzej. Fałszywy tygrys zmienił się w psa policyjnego. A co do naiwnego profesora moralności amerykańskiej w czternastu punktach, to nie zostało zeń nic. Wedle sprawiedliwej niesprawiedliwości zawiedzionych ludów w nim to widziano głównego winowajcę. Głowy wyzbyły się już kompletnie swego balastu. Były teraz puste, wystarczająco puste... Otchłań... I wszystko jedno czym – ale napełniać je, na nowo!

Piątka, która całą resztę energii czynu zużyła manifestując (oprócz Vérona) przed Sorboną na rzecz Wilsona – w dwa dni później, zawstydzeni, zostawili go na koszu – szukała dziś na próżno nauk i żywych przykładów energii, których można by się uczepić. Jedyny człowiek, wobec którego zachowali dawny-szacunek, gdyż o prawości jego słów świadczyła próba czynu, jaką dał w czasie wojny, i stoicyzm jego życia – Alain[121] – wyznawał doktrynę sokratyczną, niebezpieczną dla charakterów mniej zahartowanych. Oddzielała ona wolność ducha od obywatelskiego obowiązku posłuszeństwa. Uczył, jak to sam czynił, umierać, jeśli trzeba, na posterunku spełniając rozkazy państwa, a jednocześnie wydając na nie wyrok. Ale głoszona przez niego nauka działania przy zachowaniu jasności sądu, której słowa nie sięgały poza szczupły krąg intelektualistów, narażona była na niebezpieczeństwo. Dusze miękkie, czyhające na wszelki moralny pretekst, by uchylić się od działania i jego niebezpieczeństw, gotowe będą rozumieć ją jako platoniczny protest sumienia, które przystosowuje się, idzie na kompromis. „Zgadzać się odmawiając" – czy jest to „zgadzać się"; czy „odmawiać"? W czynie nie ma miejsca na grę „tak" i „nie". Czyn jest siekierą rozłupującą na pół czoło Janusa o podwójnym obliczu. Nauka Alaina wymagała przynajmniej długiego, cierpliwego napięcia woli, nieograniczonego okresu czasu. Otóż tego właśnie najbardziej brakło tym chłopcom; czasu i cierpliwości. Świat, wyłoniony jak Jonasz z brzucha wojny, mknął i mknął pędem meteora. Szybciej! Szybciej! I sam Alain nie był już z tym w zgodzie. Jak większość ludzi sprzed wojny, przyzwyczajony był żyć i myśleć na płaszczyźnie wieków. Jedyny spośród Pięciu Adolf Chevalier posiadał temperament dający się dostosować do miary głębokiego i powolnego oddechu tego chłopa. Ale niestety, nie był on z gliny dość gęstej, by przyjąć – nie deformując go – szeroki odcisk palca Alaina. Szukał sofistycznie w jego teorii możliwego usprawiedliwienia dla filozofowania w pokoju i wygodzie.

Szymon Bouchard, który przez swą surową energię był bliższy Alaina–człowieka, kochał bardziej człowieka niż ideę; pozbył się też szybko swej brutalnej prymitywnej lojalności, by rzucić się na pierwszą lepszą doktrynę, która dawała mu sposobność działania. Działania, jak je rozumiał, kułakami. Rewolucja pociągała go. Lecz po pierwszych decydujących miesiącach, które nastąpiły po zawieszeniu broni, nie zdołała ona na Zachodzie nabrać ani określonej formy, ani samowiedzy. Niezorganizowane partie dreptały w miejscu jak ślepiec, który kijem wali w mur. Nie wiedziano jeszcze nic dokładnego o Rosji blokowanej przez oddziały Clemenceau; dopiero poprzez ich bunt, w kwietniu następnego roku, zaczęła świtać prawda o nieudanym zamiarze zdławienia olbrzymiego, zrywającego pęta ludu przez mężów stanu, renegatów rewolucji francuskiej.

Najprzykrzejszym ze wszystkich rozczarowań młodzieży w tych pierwszych miesiącach Zwycięstwa – nie! Klęski (nie mówili tego, byłoby to wyznanie zbyt bolesne) – był powrót kombatantów, ich starszych braci. Oczekiwali od ich doświadczenia – jedynego, jakiego nie

[121] A l a i n – pseudonim Emila Chartier (ur. 1868), moralisty francuskiego, o postawie zdecydowanie antyintelektualistycznej.

podawali w wątpliwość, gdyż było okupione ich krwią – lekcji życia. Wobec nich jedynie czuli się skromni i milczeli. Niespokojni, czekali słowa, które padnie z ust starszych. – Lecz starsi nie mówili nic. Milczeli także. Unikali pytań. Mówili o życiu odnalezionym. Śpieszno im było wrócić w splątane łańcuchy codziennych zwyczajów, z których tamci młodzi gorąco pragnęli się wyzwolić. Najgorsze było jednak, kiedy niektórzy z nich po kilku dniach lub tygodniach pogodzili się znów z tonem konwencyj, narzucanych przez łgarską i tchórzliwą opinię tyłów, i aby czuć się tu bardziej swojo, blagowali jak ona. Rzadko jakieś spojrzenie wymienione między tym i owym towarzyszem z frontu zdradzało tajne wolnomularstwo myśli. Lecz odmawiali tego tajemniczego słowa młodym braciom, którzy, zostawszy w domu, czatowali na nie, błagali o nie. (Niestety! Czy mieli coś do powiedzenia? Język ich odwykł od mówienia. Po co?...) Była to wielka Zdrada. Rzekłbyś, że mścili się za zdradę swych ojców i braci, którzy zostając na tyłach, wysłali ich i kazali im konać za kłamstwo.

Pięciu – Siedmiu (jeśli w orbicie ich wpływów umieścimy, tak jak w naszym systemie słonecznym, dwie planety żeńskie) – przeżyło w tym względzie niejedno doświadczenie, pokrywane gorzkim milczeniem. Pewnego wieczoru przyprowadzili do Henriety Ruche jednego ze starszych kolegów, który był przyjacielem brata Boucharda, zabitego pod Éparges: opuścił ich liceum jako chluba tej uczelni, uwieńczony ową podtrzymywaną rozgłosem (często zawodną) nadzieją, którą rodzą w kole nauczycieli i kolegów sukcesy uniwersyteckie. Porwała go wojna i nie puściła od pierwszego do ostatniego dnia – z wyjątkiem trzech okresów koniecznego spoczynku i lizania się z ran w szpitalach. Hektor Lassus zdobył wszystkie odznaki bohatera, co kazało przypuszczać, że będzie męskim i pewnym doradcą młodszych. Bouchard dostarczył chłopcom listy pisane do swego brata i jego odpowiedzi z dwóch pierwszych lat wojny – listy, w których dwaj przyjaciele obwieszczali głośno swą niezachwianą wolę wymiecenia domu po powrocie. Potem jeden zamilkł: ów zmarły, a pozostały przy życiu przestał mówić. Fizycznie nie zmienił się wiele. Minę miał bardziej męską i skupioną, cerę ceglastą jak garnek, na pozór był bardziej krzepki niż dawniej. Nie roztaczał swych nędz, nie ukazywał pęknięć, jakie powstały w organizmie, który przeżył tak niepokojące trzęsienie ziemi: był prosty i serdeczny. Umiał się śmiać, a jego szorstkie w pierwszych dniach maniery, odwykłe od codziennego świata żywych, szybko wróciły do norm nie wpadając jednak w brutalną przesadę orangutanów, których cyniczne obyczaje młodzi jego towarzysze uważali za obowiązek czasami naśladować; z czułą ironią patrzył, jak grają swą rolę. Znużona słodycz uśmiechała się w głębi jego oczu, które nie tracąc nic z widowiska, drzemały, śniły, nadrabiając godziny skradzionego snu, dnie, noce życia zwierzęcego, samego życia, bez myśli, bez celu, ogołoconego z przeszłości i przyszłości, po brzegi wypełnionego teraźniejszością. Tamtego życia – tej szeroko rozlanej rzeki, w której ciągła obecność śmierci i jej ohydny uścisk pozbawiały go od lat cienia wierzb nadbrzeżnych, świeżości wód, niezmierzonego życia, które toczy się, nigdy to samo, zawsze to samo, spokoju światów, które mijają, mijają i powracają wieczyście. Żaden z tych chłopców, którzy się przed nim miotali w podnieceniu i puszyli, nie podejrzewał nic; nie byli nigdy pozbawieni tego wszystkiego, zbyt nawykli do pluskania się w wodzie, by odczuwać jej dobrodziejstwo. Po cóż ich uświadamiać? Zbytni trud! Kiedyś zrozumieją. Przeżyj to sam! Ja zrobiłem swoje... Oczom, które zwracały ku niemu swe spojrzenia jak pistolety, pytając go z gniewnym uporem, co uczyni, co zamierza uczynić, odpowiadał z szyderstwem i znużeniem:

– Usunąć się.

Byli zaskoczeni.

– Gdzie?

– Wszystko jedno. W swój kąt, do swojego pokoju, na swoje pole.

– I co będziesz; tam robił?

– Będę żył.

– Jak to? Nie działając? Nawet nie pisząc?

– Nie mam już żadnej ambicji.

– I to znaczy: żyć?

– Właśnie, żyć...

– Wytłumacz!...

– To się nie da wytłumaczyć.

– I to wszystko, co przynosisz stamtąd?

– Dla mnie dość! Jeśli wam trzeba więcej, idźcie tam poszukać sami. Ja zrobiłem swoje.

Gdy odszedł, Siedmiu spojrzało po sobie: wściekli i zgnębieni, to bladli, to czerwienieli. Bouchard rzekł przewracając oczyma:

– Kanalie! Wojna skastrowała nam naszych byków.

Co do tych nielicznych, którzy podczas wojny byli przeciw wojnie, którzy ponad zawieruchą wznieśli sztandar swej opinii i których władcy wojny umieli w sposób diabelski zniesławić epitetem „defetystów", nawet najbardziej nieulękli spośród tych młodych ludzi, którzy znali czczość tej obelgi, bali się pozoru, że zasługują na nią – i może nawet mieli skrytą pogardę dla tych, którzy nie lękali się na nią narazić. Ci ostatni powinni byli mieć zuchwałą odwagę przybrania się w obelgę niby w sławę z gestem wyzwania i walki, jak to czynili *„gueux"* holenderscy[122] i jak czynią w tej chwili bolszewicy rosyjscy. Lecz słabością ich było, że byli zbyt rozsądni i odrzucali gwałtowne zrywy myśli, opierali się burzycielskim ideom.

Otóż atmosfera burzycielskich idei była normalną atmosferą tych wszystkich młodych ludzi w latach powojennych. A bierny opór był bezsensem w oczach całego Zachodu, którego nie ogarnęła jeszcze światłość Chrystusa Indyj[123]. Być męskim znaczyło dla tych młodych ludzi „gwałcić" – zadawać „gwałt".

Oni, ci pyszałkowie, którzy chełpili się, że „nie są bynajmniej wołami"! — te buhajki zakłopotane swą świeżą męskością, szukali na spustoszonym pastwisku świata, gdzie zaczynała kiełkować gęsta trawa, jałówek, z którymi mogliby się parzyć. I dalibóg! dwunogich jałówek nie brakło. Ale te nie wchodziły w rachubę; było ich zbyt wiele na targu – zbyt wiele to za mało! Pragnęli chwytać za grzywy idee–siły, idee–jałówki i rodzicielki, które miały odnowić Francję i Europę. Gdzież były? Daremnie dłoń ich stukała po omacku w ciemności i, zrażona, cofała palce, opadała. Błądzili godzinami wśród chaosu spraw politycznych i metafizycznych, gdyż mieszali wszystko razem; z braku wiadomości w poszczególnych dziedzinach wpadali ciągle w ogólniki, tak ogólne, że nieuniknienie brnęli w nich – po uszy. Gdy o jakimkolwiek przedmiocie próbowali rozprawiać, nie wiedzieli nigdy, jak się doń zabrać, od czego zacząć, nie umieli nigdy zgłębić zagadnienia; każdy wiedział trochę więcej niż inni (trochę mniej niż nic), ogarniał jakiś skrawek problemu, na którym inni mogli zmierzyć otchłań swej niewiedzy. Tonęli. Gadali od rzeczy. Wydobywali się z bagna dopiero przez krwawą ironię w stosunku do wszystkiego i siebie samych, przez negację i gwałt. Z nich wszystkich Marek wnosił w dyskusję najwięcej powagi i wyznawał najszczerzej, że czegoś nie wie. Przejmował się tym gorzko. Betta ceniła go za to mniej. Ruche więcej, ale skrycie: obserwowała. Bouchard wzruszał ramionami z pogardą: „Najpierw działać! Wiedzieć będzie się potem!" Chevalier ściągał wargi, milczał, zbyt świadomy, by ignorować fakt swej ignorancji, zbyt dumny, by się do niej przyznać. Véron ostrzeliwał pustkę armatnimi kulami. Sainte–Luce uśmiechał się. Kpił z Marka i innych. Mimo to widział różnicę między nimi...

---

[122] *„G u e u x"* (fran.) – dosłownie: żebrak, obwieś; nazwa nadawana przez przeciwników powstańcom holenderskim walczącym przeciw Filipowi II o swoją niepodległość.

[123] C h r y s t u s I n d y j – mowa o Mahatmie Ghandim. Głosił on zasadę biernego oporu wobec przemocy.

Gdy dość już mieli nieznanego – świata, czynu, jutra – ci młodzi bourgeois–intelektualiści wracali, jak muchy do miodu, do literatury. Był to dla nich słup światła. Brodzili tam pośród słodyczy i odpadków; każdy miał swoje miejsce przy czarze, którą obsiedli dokoła, i głosił doskonałość tego właśnie, czym się nasycił. Véron był nadrealistą. Chevalier zwolennikiem Valery'ego. Sainte–Luce odkrył Prousta, Cocteau i Giradoux. Bouchard – Zolę i Gorkiego, Marek – Tołstoja i Ibsena... Był opóźniony, lecz ci, którzy szydzili zeń z tego powodu, byliby w kłopocie chcąc skrytykować jego wybór; nazwiska te znali tylko z brzmienia. W owych czasach młodzi żeglarze łatwo czynili odkrycia. Wszystko było dla nich Ameryką. Ruche spokojnie odkryła Stendhala; zachowała go dla siebie, „Osa" bowiem nie lubiła użyczać swego miodu; Betta nie odkryła nic, ale przyjmowała wszystko z ust innych: całą słodycz i korzenną przyprawę. Niekiedy było jej trochę mdło, ale łykała dzielnie.

Nadchodziła chwila, gdy Siedmiu miało już niesmak w ustach. Milczeli żując ociężale, nasyceni; odbijało im się w duchu; patrzyli po sobie z sennością w oczach i pustką w myślach. A jednak snuliby się całą noc dokoła stołu po pokoju młodej dziewczyny, którą zatruwali przez całe godziny swymi cygarami, oddechem i nicością. Siedzieliby tak, wyczerpani, unikając wszelkiego wysiłku, w obezwładnieniu, jakby im siedzenia przyrosły do krzeseł, w wiecznym oczekiwaniu tego, co nie nadeszło, w tajnej obawie powrotu bez tego, na co czekali. Była to chwila, którą obierała Ruche, by przypomnieć, że jest panią u siebie. Podnosiła brodę i mówiła stanowczo:

– Dość! Mam prawo do życia. Zabraliście mi całe powietrze. Otwieram okna i drzwi... Niedźwiadki – spać! Wynocha!

I zdecydowanym ruchem długiej i chudej ręki, jakby z obrazu Quattrocenta, wypychała ich na schody.

Znajdowali się znów w chłodzie nocy, wśród mgły i błota. I odnajdywali to, co ich dzieliło. Tworzyli klasy: tych, którym wystarczyło wrócić do domu, by wygodnie wypocząć, i tych, którzy musieli myśleć o chlebie na jutro. Véron i Chevalier odchodzili z Bettą. Jeśli przejeżdżała taksówka, Véron przywoływał ją, zostawiał Chevaliera na chodniku i zabierał Bettę, by odwieźć ją do domu (jak mówił). Trzej inni szli przez kilka minut razem. Zapadało milczenie. Sainte–Luce pieszczotliwie ujmował pod rękę Marka. Marek nie znajdował w tym przyjemności – i ramię jego, opuszczone wzdłuż ciała, odpowiadało obojętnością. Sainte–Luce nie mógł oprzeć się potrzebie powiedzenia jeszcze kilku głupstw, które miały w sobie więcej treści, niżby się zdawało; musiał opróżnić swój kołczan z reszty drobnych strzał przeciw mówkom usłyszanym tego wieczora i tym, którzy je wygłaszali. Lecz dwaj pozostali, nachmurzeni, puszczali jego race mimo uszu. Czuł, że mu dają odprawę, lecz nie miał im tego za złe. Stał zbyt daleko od nich wszystkich, aby ich wściekła chęć pozbycia się go nie była dlań jeszcze jedną przyjemnością. Potem, w najmniej spodziewanej chwili, opuszczał kompanów, dając każdemu z nich szczutka w nos zwinną ręką, zanim mieli czas się spostrzec. Puk znikał wśród nocy. Bouchard, wściekły, odwracając się całą swą ciężką postacią, wypuszczał w ciemność na chybił trafił swą strzałę wymierzoną w Kazimierza – krwawą obelgę. Gdy się wyburczał, wracali wreszcie we dwóch do utajonego przedmiotu, pierwszego przedmiotu ich palących trosk: „Jakże być wolnym, jakże uwolnić się, gdy nie wiadomo, co jeść?" Bouchard rzadko był tego pewny, kiedy chodziło o jutro, nigdy – kiedy o dni następne. Marka żywiła matka; wiedział też, że utrzymanie ich dwojga stawało się dla niej problemem. Rumienił się na myśl, że wbrew swym postanowieniom żyje nadal jej kosztem; to, co zarabiał, nie starczało na codzienne opłacenie połowy posiłku. Musiał wciąż prosić o jedzenie tę kobietę, która pracowała nad siły... „Dość! Muszę za wszelką cenę wejść do wody i popłynąć sam..."

Ach! Jak bardzo wszystkie niepokoje intelektualne, niedawne ich dyskusje o sztuce, literaturze, polityce i zaświatach, cały ten szczęk blaszanych szabel, którymi szermowali wydawały im się w tej chwili jakimś popisem operowym. Przed pięknem, przed ideą, przed spo-

kojem, przed wojną, przed przyszłością ludzkości jest gęba. Głodna, otwarta... Zamknij ją! Daj jej jeść!

*

Anetka nie mogła już podołać temu podwójnemu ciężarowi: męstwo jej nie mogło tu nic. Środki do życia stawały się w jej środowisku coraz trudniejsze do zdobycia. Cała klasa średnia pracowników umysłowych dawnego pokroju, najlepsza, najuczciwsza, najbardziej bezinteresowna część liberalnej burżuazji, konała, dogorywała powoli, rujnowana i dziesiątkowana przez wojnę, przez zamaskowane bankructwo, przez utratę swych mozolnie ciułanych oszczędności, przez swe głodowe racje i niemożność przystosowania się do nowych warunków, które wymagały rasy nowej, rasy drapieżnej. Gasła w milczeniu, bez krzyków buntu, po stoicku, jak to uczyniły już w Niemczech i Austrii jej siostry, wcześniej dotknięte klęską. Nie po raz pierwszy notowała historia takie zawalenie się – nieuniknione po wielkich wojnach i kryzysach społecznych – jednego z najszlachetniejszych skrzydeł starego gmachu ludzkości. Lecz historia nie ma zwyczaju zatrzymywać się nad tym. Tworzona jest przez żywych, co kroczą po zmarłych, których obrabowali. Tym gorzej dla tych, co padają! Niech groby ich pokryje trawa i milczenie!

Anetce nie groziło, że padnie. Miała silne ręce i nogi. Nie bała się żadnej pracy. Była uczciwa i sprężysta. Umiała się dostosowywać. Lecz poza ciężkimi warunkami, które gnębiły całą jej klasę, miała do czynienia z trudnościami specjalnymi, które godziły w nią osobiście. W samej tej klasie, wśród owej intelektualnej burżuazji, która pracowała w ubóstwie, napotykała wszędzie złą wolę. Ludzie ci byli poinformowani o jej „duchu" podczas wojny – i nie mogli go jej przebaczyć. Nie znając bliższych okoliczności jej przygody, wiedzieli, że uczestniczyła w Defetyzmie międzynarodowym (te dwa słowa razem wzięte są grzechem nie do przebaczenia); wystąpiła bezwstydnie ze świętego spisku ojczyzny i wojny. A więc nie powróci tam więcej!

Sama zatrzasnęła za sobą drzwi. Choć nie umawiano się specjalnie, zastawała wszędzie drzwi zamknięte i nikogo w domu. Nie było dla niej miejsca w żadnej szkole, publicznej czy prywatnej. Nie było lekcyj w domach mieszczańskich, w których przedtem bywała. Nie odpowiadano na jej listy. Jeden z dawnych profesorów Sorbony, zawsze uczynny i uprzejmy, zaadresował do niej w odpowiedzi kartę ze słowami: „p. p. c."[124] Była bojkotowana... Ach, ci intelektualiści uniwersyteccy starej rasy, o twardych, upartych czołach, których wielkie cnoty i duch wyrzeczenia spokrewnią z ich wzorami (przejaskrawiają je!) – stoikami Rzymu i moralistami dawnej Francji! Ale kultywują oni nieubłaganą nietolerancję ducha zaprzysięganego na zmianę to w służbie Bogu i Królowi, to Prawu i Ojczyźnie; nozdrza tych ludzi wdychają jeszcze zapach, jeśli nie ciała, to duszy palonego na stosie heretyka i odszczepieńca, który nie wyznawał ich *Credo*. Zresztą nie oskarżajmy ich, że wyznają je tylko ustami, a uchylają się od jego brzemienia! Nie mieszajmy ich z owymi kuglarzami pióra, którzy udawali Tyrteuszów[125], grzejąc pośladki przy kominku, bezpieczni od szrapneli, przed którymi by uciekli, i od zabłoconych podeszew *poilus,* które by kopnęły ich w zadek. Ci uparci mieszczanie dawali swoją krew; nie było chyba rodziny, która by nie złożyła haraczu. Anetka wiedziała o tym i nie wyrzucała im ich surowości. Ta nieludzkość cierpienia jest ludzka, arcyludzka – zwłaszcza gdy cierpienie nie jest zbyt pewne, czy się nie pomyliło, czy nie zostało ofiarowane na wątpliwym ołtarzu przez kapłanów–filutów. A ponieważ stwierdzić to byłoby czymś najbardziej rozpaczliwym, cierpienie zacina zęby i raczej umrze, niż wyzna swój błąd. Biada temu,

[124] p. p. c. *(priére pas correspondre)* (fran.) – proszę nie przysyłać listów.

[125] T y r t e u s z – grecki poeta liryczny żyjący w Attyce w VII w. p. n. e. Według legendy podczas wojny z Messeńczykami Lacedemończycy prosili Ateńczyków o pomoc: ci przysłali Tyrteusza, który swymi pieśniami natchnął walczących męstwem i poprowadził ich do zwycięstwa.

kto oporem przeciw ogólnemu zapałowi, odmową posłuszeństwa, samym istnieniem swym z dala od stada, czyni wyłom w *Credo!*

Anetka rozpoczęła znowu pościg za jednodniowymi lub jednotygodniowymi posadami, pościg, którego musiała uczyć się dwadzieścia lat temu, gdy Marek był jeszcze w kołysce. Po czterdziestce powinna by była z większą trudnością przyzwyczajać się do tego na nowo. A było wręcz przeciwnie. Czuła się bardziej sprężysta niż w dwudziestym piątym roku żyda. Dziwna pogoda ducha, której nie można tłumaczyć tylko odprężeniem wywołanym przez zakończenie wojny, musiała mieć swe źródło w stanie równowagi fizjologicznej, jaka wytwarza się niekiedy na tym etapie życia, podobnym do wysokiej przełęczy między dwiema stromymi górami: raduje sama wspinaczka, zdobyte występy skalne, przepaście, do których omal nie wpadliśmy, zdrowe znużenie spracowanych mięśni i świeże powietrze górskie wchłaniane rozszerzoną piersią. Będzie jeszcze czas myśleć o tym, co przyjdzie!... „Nie śpieszy mi się! Dość mi tego, co mam. Mam ten haust powietrza. Oddychajmy głęboko! Zmora, która wisiała nad Europą i nade mną, masa cierpień rozwiała się na pewien czas – czas, który minie zbyt prędko; lecz ja mijam także, wszystko mija i trzeba umieć radować się tym czasem. Nauczyłam się tego..."

Anetka znajduje się w stadium, kiedy zna się wreszcie cenę chwili obecnej. Miło jest smakować ją, gdy się ma dobre zęby. Cóż, że trawa kłuje, skoro jest gęsta i soczysta, nawet zmieszana z nią gorycz podnosi jej smak. Anetka pasie się na swojej łące. Wie, że – czy to radość, czy boleść – niewiele już jej tego zostało, niewiele już wargi wyszukają, a język zagarnie. Nie jest też, jak jej syn, skłonna (to los młodych, zaznała go!) niepokoić się o jutro, a nawet o kres czasu. W głębi duszy Marek wyrzucał to matce; oczy jego mówiły jej to często z goryczą. Uważał, że postępuje jak inni współcześni, egoiści, krótkowidze, lekkoduchy, wyznawcy hasła: *Après nous le déluge!* – wszyscy ci, których przeklinał. Jednakże nie przeklinał jej, Anetka bowiem stała się dlań w toku wspólnych doświadczeń jakby cząstką jego samego. Uraza Marka znikała wobec zagadkowej jasności błękitnych oczu, które śmiały się z syna o zmarszczonym czole. Przyjmował to, czego w matce nie rozumiał – choć nie przyjmował tego u innych. Niesprawiedliwość? Specjalne względy? Czemuż by nie? Miło jest być niesprawiedliwym na rzecz osoby, którą się kocha! I jest w tym sprawiedliwość. To nie podlega rozumowaniu.

Lecz czemu śmiały się te oczy nawet z udręczeń, których cienie przeciągały po twarzy ukochanego syna, nawet z nieszczęścia epoki, nawet z własnych trudności życiowych? Chwila obecna istotnie nie nastręczała Anetce wielu do tego powodów. Gdy zdarzało się jej o tym myśleć, miała ochotę sama czynić sobie wyrzuty. Miała jednak powód, tajemniczy, straszny – jeden z tych, do których człowiek się nie przyznaje, gdyż wydają się one zniewagą wobec samego siebie i własnego serca, zniewagą ze strony nieubłaganej siły pochodzącej nie wiadomo skąd, z ciemnych głębi: oto w swej miłości ku najdroższym istotom, w fali namiętnych uczuć, w odnowie całego swego życia, w swej złotej jesieni czuła wzrastanie dziwnej Obojętności... Obojętności tych, którzy w namiętności, cierpieniu i radości tylekroć targali pęta Złudzenia, że pęta te rozluźniły się, i jeśli nosi się jeszcze ich znamię wyryte w ciele głęboko, to dlatego, że są słodkie sercu i że się je bodaj w tajemnicy zaciska. One wiążą, bo kochamy je, wiążą, bo ich pragniemy, chcemy, żeby nas wiązały. Lecz gdyby się tego nie chciało?... Wiadomo, wiadomo!... Lepiej nie myśleć o tym. Nie można nie myśleć o tym. Wiadomo!... Jasne, straszne i uśmiechnięte oczy Wolności...

Nie są to tajemnice, które by należało powierzać młodym ludziom; i lepiej nie zgłębiać ich samemu, o ile się chce działać. Lecz surowica tych rozważań zastrzyknięta w krew naturze silnej i zrównoważonej nie zachwieje równowagi, owszem, buduje ją na szerszej podstawie. A czyn nic na tym nie traci; staje się bardziej zdecydowany, radośniejszy, pozbawiony – w większym niż zazwyczaj stopniu – trwogi i nadziei. Trudno to wytłumaczyć: jednak dopiero

w tym stadium pojawia się odczuwanie pełnej radości z życia i czynu, gdyż wszelkie uniesienia, jakie niosą one ze sobą, przepaja odtąd to urzekające światło, to objawienie („Zachowaj swoją tajemnicę!"), że „w s z y s t k o t o j e s t G r ą".

Był to powszechny nastrój tej epoki, zjawisko powojenne. Czyn był tak straszny, rozpętane namiętności tak potężne, że trzeba było zmniejszyć wysokie ciśnienie ducha, by życie mogło toczyć się dalej. I g r a n o z życiem; i g r a n o ze straszliwością tak jak z radością; i g r a n o z miłością, z ambicją, z nienawiścią. I g r a n o instynktownie, nie wyznając tego przed samym sobą... Straszne niebezpieczeństwo epoki, która straciła na pewien czas zmysł odczuwania wartości życia i dla której najpoważniejsze z tych wartości stały się zabawkami! Niewielu było ludzi, którzy by w mniejszym lub większym, stopniu nie przejęli owego stylu gry. Anetka, wrażliwa na każdy przelotny podmuch, także uległa zakażeniu, wprowadzając do gry swój własny styl. Skłaniała ją ku temu jej natura, „dusza zaczarowana"!...

Ale w grze życia Anetka przestawała interesować się własnymi kartami; przenikała tym lepiej grę swych sąsiadów – nie po to, aby ich ograć, lecz aby grać ich partię. I choć ją ograją, znajdzie sposób, by nie wszystko było dla niej stracone. Po sprzątnięciu snopów potrafi zebrać zawsze z ich pola pokłosie zabawy. Chwytała też komizm niemiłych sytuacji, które przypadały jej na loterii życia, i śmieszność wygrywających, którzy ją wyzyskiwali. Burgundzka strona jej natury brała górę. Ani śladu już purytanizmu, smętnej skłonności do pesymistycznych rozmyślań, którą by mogły usprawiedliwić nieszczęścia epoki i jej własna niedola! Idzie swoją drogą, jest wolna od obroży i nie potrzebuje dawać na tej drodze nauk garbatym lub krzywym; oczy jej śmieją się z tego wszystkiego i mówi sobie:

„Świat jest, jaki jest. I ja jestem, jaka jestem. Niech stara się mnie znosić! Ja znoszę go przecie!"

Nawet od tego ukochanego syna, najdroższego Złudzenia („Skarbie! Jesteś nim i ty, jak wszystko inne... Światło mych oczu... Czy bez ciebie widziałabym jeszcze?..."), nie wymagała już, by był jej własnym obrazem, by myślał, jak ona myśli, i kochał, co ona kocha... Śmiała się patrząc w niego ciekawymi i wolnymi oczyma, w ten świat rozpalony do białości, pełen kłębiącego się dymu. Ach, wszystko tam nie mogło być piękne, dużo jeszcze do tego brakowało. Widać było dość brzydkie bestie, okrutne i chciwe, nienawiść, dumę i rozpasanie, wszystkie grzechy płynące z gwałtu, lecz („Niech będzie Bóg pochwalony!... Czy będę chwaliła Boga? Pochwalone me łono, które go nosiło!") – żadnej podłości... Dużo młodych wilków... Ba! Nie ma bez nich lasu młodości... „Hulajcie! Osadziłam w lesie łowczego. Niech uczy się swego rzemiosła!"

Śmiała się do drogiego chłopca, który na śmiech odpowiadał chmurnym spojrzeniem... „Jakże bez serca jest twa matka – myślała ubawiona. – Prawda, mój biedny Marku? Czekają cię trudy i walki! A ona nie żałuje ciebie?...

Ale matka wie (i ty wiesz), że trzeba przez to przejść, przejść samemu, i że wyjdziesz z tego może zbity, zmordowany, zraniony, lecz pełen hartu. Nie dbam o cnotę bez ryzyka, chowaną w ukryciu. Ryzykuj! i nurzaj się sto razy w ogniu. Gdy wyjdziesz z płomieni, podziękujesz mi."

Dlatego zrozumiała, że pragnął wyrwać się od niej i z jej domu. Choć zostawiała mu zupełną swobodę i wstrzymywała się roztropnie od zadawania mu pytań co do spraw, o których nie mówił pierwszy, Marek w swojej podejrzliwości uroił sobie, że go pilnują. Czuł się skrępowany w ruchach i irytowały go pęta; ale nie miał odwagi pomówić o tym z matką. Uprzedziła go. Również stosunki materialne utrudniały wspólne bytowanie. Wysokość nowego czynszu zmuszała do opuszczenia starego gniazda, a kryzys mieszkaniowy udaremniał możliwość znalezienia w Paryżu odpowiedniego lokum po przystępnych cenach. Wreszcie brakło pieniędzy. Pogoń za nimi zdawała się zmuszać Anetkę do opuszczenia Paryża.

*

Może wyda się rzeczą dziwną, że nie prosiła swojej siostry o umożliwienie jej pozostania w Paryżu. A Sylwia mogła jej pomóc; i nie byłaby odmówiła. Ale należy pamiętać o usposobieniu obu sióstr i o drażniących – mimo ich wzajemnej miłości – tarciach między tymi dwoma całkowicie odmiennymi i rywalizującymi ze sobą charakterami. Choć kochały się, a nawet jedna przyznawała drugiej wyższość w jej własnej dziedzinie, każda uważała swoją (to zrozumiałe!) za lepszą; i nie zdając sobie z tego sprawy, każda starała się odnieść nad drugą moralne zwycięstwo w wyścigu życia. Żadnej więc nie było przyjemnie prosić drugą o zwrot wygranych punktów. Obie były graczkami – o, nie chodziło im o stawkę! – i chciały wygrać, nie żądając nowych kart.

Anetka musiała jednak dać Sylwii – a raczej jej dumie i uczuciu – satysfakcję, pożyczając od niej przed niewielu miesiącami kilka tysięcy franków dla spłacenia naglących długów, pokrycia wydatków szkolnych Marka i zaległego komornego. Zachowała usposobienie dawnych mieszczan, którzy nie mogli spać mając dług na sumieniu. Ale gnębiąc się stare długi zastępowała nowymi: nie tylko od dawna nie miała możności spłacenia siostry, lecz widziała konieczność zaciągnięcia nowych pożyczek. Sylwia cieszyła się z tego. Zamierzała zaanektować dla siebie działalność Anetki, wciągając ją w krąg swych interesów. Próbowała tego przed dwudziestu laty, bez powodzenia. Lecz mimo klęsk nie zrażała się. Sylwia, jak Anetka, należała do ludzi, co powziąwszy jakąś myśl, której się sprzeciwia życie, mogą całe życie o niej milczeć, ale nie odstępują od niej ani na krok, licząc na to, że uparty los znuży się prędzej niż oni.

Okoliczności sprzyjały jej dzisiaj. Wiatr był pomyślny, a Sylwia zręczna w działaniu. Umiała wyzyskać wybuch uciech, pożądań, szał zbytku, tańców i zabaw. Jej magazyn mód zyskał ogromnie w ostatnim roku wojny – wyrastały przy nim salony wystaw, kawiarnie, dansingi, sale koncertowe, instytuty piękności, nawet palarnie w tajemniczych i zbytkownych podziemiach. Czyniono tam niemal wszystko, co było można – w granicach dobrego smaku, gdyż właścicielka była nazbyt córką Paryża, swobodną i wytworną, by znosić w swym Telemie[126] gwałt i nieokrzesanie. Poza tym dobra dewiza: „Rób, co chcesz!" zdobyła sobie, u góry, dość wielu zobowiązanych, by Sylwia mogła być pewna, że odwdzięczą się czuwając, aby nie wglądano w jej sprawy z nazbyt bliska.

Od pół roku przybrała sobie osobnika, który mniemał, że stanie się niezbędnym w podwójnej roli: wspólnika i kochanka. Niezbędnym dla Sylwii nie był nikt: nie było jej nigdy trudno o zastępcę. „Dłużej klasztora niż przeora..." Lecz na razie kochanek i wspólnik był w łaskach. Miała w tym jednocześnie interes i przyjemność. *„Utile dulci*[127]*..."* Był to kuglarz mody. W genialnym olśnieniu zrozumiał, że aby panować nad światem, trzeba go wodzić za nos. Zrobił się nagle asem perfumerii sławnym po obu stronach Atlantyku, zarówno dzięki formie swych flaszeczek jak też ich zawartości. Sławą swą rywalizował z Fochem[128]. Biedaczysko bliski był mniemania, że tak samo wsławia Francję. Na ogół jego sposób zdobycia renomy był mniej kosztowny. Lubił się przechwalać, że jest Napoleonem kobiet: stanowią one połowę świata; drugą zostawiał Pierwszemu. Stemplował swoje produkty: „Coquille"

[126] T h é l è m e – wyimaginowane opactwo z powieści Rabelais'go *Gargantua i Pantagruel* – siedziba zakonu młodych mężczyzn i kobiet, którego regułą było „Rób, co chcesz."

[127] *U t i l e d u l c i* (łac.) – pożyteczne z przyjemnym.

[128] F o c h Ferdinand (1851–1929) – marszałek Francji, w ostatnim okresie wojny światowej głównodowodzący wojsk alianckich.

(Guy) – (od swego prawdziwego nazwiska: „Cocu”[129]; lecz choć to przynosi szczęście, jak mówią, nikt się tym nie chlubi: prędzej czy później Sylwia odda jego nazwisku należne honory).

Na razie byli ze sobą związani zmysłami i zmysłem rozsądku życiowego – to jest interesem. Coquille prosperował; i dzięki kilku ofiarom poniesionym rozsądnie na rzecz jednego z królów wpływowej prasy przyozdobił bez trudu swą butonierkę wstążeczką, której czar podniósł o pięćdziesiąt procent cenę flakonów.

Sylwia była dlań świetną partnerką. Świeża dojrzałość jej czterdziestu lat nabrała blasku nimf Jordaensa[130]. Krew ożywiała jej skórę, czoło i piersi trochę nazbyt – lecz ona nie czyniła nic, by zmniejszyć ten żar: był to jeden z jej powabów. Bił od niej całej, tak jak z jej zmysłowych oczu, opar rozkoszy; zdawała się w nim kąpać, wspaniale rozebrana. Gdy przeglądała się w lustrze (a wówczas bez śladu mgły w oczach wodziła po swoim odbiciu spojrzeniem spod wygolonych brwi, jasnym, bystrym, dokładnym, od stóp do głów, jak Mały Kapral[131] przed frontem swej kompanii), starała się z ironią odnaleźć kształty płaskiej Sylwii, dwudziestoletniej chudej kocicy, w tych pełnych ramionach, w sadzie tych piersi – piękny zbiór, pełne kosze owoców, które hojnie ukazywała, nie kryjąc dumnej ich pełni. Była bowiem dość pewna siebie, by tworząc modę, wyzywać ją jednocześnie; moda w tych czasach spłaszczała kobiety z przodu i z tyłu. „To dla innych! To dobre dla Wenery „beztyłej”. – „Obetnie ci się, moja droga, wszystko, co zechcesz...” Ale nie za darmo! Najmniejszy z tych dezabilów kosztował tyle, co ubranie całej rodziny. Anetka pomagała jej przyozdabiać kreacje cennymi imionami (cenę ich dopisywano w rachunku), zapożyczonymi od piękności Primaticcia i szkoły Fontainebleau[132]. A nawet zrobiła z pamięci kilka szkiców tych piękności. Sylwia przesadzała w pochwałach, starała się przekonać siostrę, że właściwe jej miejsce byłoby na czele pracowni rysunkowych lub że jej zmysł ładu kreuje ją na naczelną kierowniczkę nowych magazynów, które zamierzała założyć; salon bowiem posiadał filie w kilku dzielnicach Paryża.

Ale Anetka nie chciała bynajmniej być satelitą gwiazdy Sylwii. Mimo tak słodkich woni konstelacji ten karawanseraj mód i rozkoszy pachniał, jak na jej gust, zbyt mocno. Nie wyrzucała Sylwii sposobów robienia majątku. Lecz nie chciała mieć w tym majątku udziału. I tak cierpiała już w swym poczuciu dumy, że zmuszona była przyjąć kilka okruchów: nie zazna spokoju, póki ich nie zwróci.

Dodajmy (o czym ani myślała mówić), że Napoleon od flakonów pozwolił sobie pewnego wieczoru, gdy znaleźli się razem w korytarzu magazynu, na pewne poufałości, których nie mógł posunąć bardzo daleko, gdyż został jednym gestem zmuszony do odwrotu; lecz choć wzgardliwa dusza Anetki wykreśliła to zdarzenie z pamięci, obrażone jej ciało nie przebaczyło. U kobiety, która nie oddaje się nigdy połowicznie, ciało jest dumne i jeszcze bardziej zawzięte niż myśl.

Postanowiła więc nic nie przyjmować od siostry.

Ale synowi pozwalała nie odmawiać, nie przyznając sobie prawa pozbawienia chłopca pomocy, jeśli uzna jej potrzebę. W jego wieku samemu trzeba brać odpowiedzialność. Powiedziała mu to, starając się nie podrywać w nim zaufania do siostry, co mogło mieć wpływ na decyzję Marka. Chłopiec patrzył zbyt bystro, by nie przeniknąć umysłu, który był mu tak bliski. To spokojne nieprzejednanie rozumiał i uznawał skrycie za słuszne. Nie miał jednak ochoty naśladować go. Przynajmniej na razie. Nie widział powodu, dla którego miałby nie

---

[129] *C o c u* (fran.) – rogacz, mąż zdradzany.

[130] J o r d a e n s Jakub (1593–1678) – malarz flamandzki; postaci kobiece jego obrazów cechuje bujność kształtów i pełnia życia.

[131] M a ł y K a p r a l – Napoleon.

[132] P r i m a t i c c i o i s z k o ł a F o n t a i n e b l e a u – aluzja do postaci kobiecych z kompozycji mitologicznych Primaticcia – malarza włoskiego sprowadzonego do Francji przez Franciszka I dla ozdobienia zamku w Fontainebleau.

ugryźć jabłka, jeśli go nim częstowano, i nie poznać świata pełnego przygód. Wiedział dobrze, że jedno ugryzienie do niczego jeszcze nie zobowiązuje; i nieufny chłopiec (równie dobrze, jak swą matkę, znał zaborczą Sylwię i jej sztuczki w zarzucaniu przynęty) z góry powziął myśl, żeby od ciotki jak najmniej przyjmować, wiedział bowiem, że nie zapominała ona nigdy o pieniądzach danych nawet komuś, kogo kochała. O, jej nie chodziło o pieniądze, tylko o tych, których przez nie ma w ręku. Miło jej było myśleć, że dzięki tej wierzytelności ci, których kocha, których pragnie, należą do niej. Nigdy by im tego nie przypomniała, ale liczyła, że sami będą o tym pamiętać. Była to jakby tajna umowa, którą z nią podpisali; i gdy uznawali to w milczeniu, nie pragnęła już niczego więcej. Chciała zbyt wiele. Tego właśnie najbardziej nie mógł znieść młody chłopiec nie znoszący wędzidła. Nie pójdzie do żłobu.

Anetka nie żywiła pod tym względem obawy. Była pewna niezależności swego źrebca. I z góry już ruchliwe jej usta uśmiechały się do niewidzialnego filmu, który toczył się przed jej oczyma: Sylwia, podkasana, zarzuca na wędce przynętę małej rybce, która, ciekawa, lecz podejrzliwa, trąca ją pogardliwie pyszczkiem i omija. Popław drży. Wędka się wypręża. Czujna ręka nagłym ruchem wyrywa ją z wody. Haczyk pusty. Przynęta poszła. Ryba też. Anetka parska w zmarszczony nos Sylwii: zna dobrze gniewną minę siostry, rozsierdzonej na tego, kto się sprzeciwił jej woli.

Marek, który obserwuje matkę już od chwili, pyta:

– Z czego się śmiejesz, mamo?

Anetka patrzy nań, na jego minę stroskaną, chmurną, wiecznie czujną, jakby świat nie miał pilniejszego zajęcia, jak czyhać na niego, i mówi:

– Z ciebie t a k ż e.

– T a k ż e? Aż kogo jeszcze?

Nie odpowiada.

Nie tym się niepokoi, że zostawi go samego w dżungli Paryża. Gdyż wyjeżdża stanowczo. Nadarzyła się niedawno dość ryzykowna okazja. Pochwyciła ją. Próbowała z pół tuzina sposobów zarobkowania: przepisywania, załatwiania zleceń, wykonywania etykiet dla sklepów i poszukiwań w bibliotekach dla literata fabrykującego biografie powieściowe (przynosiła mu dokumenty, których dane przekręcał, aby rozśmieszać czytelnika kosztem swego bohatera, rozpustnika, nerwowca, dziwaka, pajaca z szekspirowskiego cyrku; gdyż w ten sposób rozumiała historię nowa klasa jej odbiorców, nieuków, próżniaków i plotkarzy: jako kolekcję plotek od odźwiernej). Po dwudziestu latach bieganiny z jednego końca Paryża na drugi (od czego zrogowaciała jej skóra na stopach), Anetka zajmowała w końcu przez kilka tygodni posadę sekretarki i kasjerki w pewnym hotelu w dzielnicy Étoile. Nie zagrzała tam długo miejsca: musiała uznać, ku swemu wstydowi, że mimo całego wykształcenia nie potrafi rozwikływać zawiłych spraw rachunkowości. Ale poznała w biurze rodzinę rumuńską, która się w niej rozkochała. Od pierwszych zamienionych z nią słów trzy dziewczyny zadurzyły się w Anetce; zwierzyły jej natychmiast wszystkie tajemnice swych serc. Matka nie kryła przed nią swoich, zasięgając rady co do magazynów, toalet i szminek – królestwa Sylwii, do której Anetka ją zaprowadziła. Takie pokrewieństwo przydało sporo blasku wpływowi, jaki wywierała osoba Anetki. Nawet ojciec opowiadał jej o swych przygodach miłosnych prosząc o radę co do sztuki podobania się paryżankom. Był to dość przystojny mężczyzna o okrągłej czaszce, cerze orzechowej z żółciowymi plamami, oczach zamglonych, jakby z ciemnej rozmiękłej gliny, niskim czole, krótkiej brodzie i potężnym zaroście; straszliwie, wdzięcząc się, wymawiał „r". Jako wielki właściciel ziemski z Wołoszczyzny, należał do jednego z klanów feudalnych posiadaczy eksploatującego kraj i był delegowany przez swoją klikę do Komisji Reparacyjnej. Ale nagłe wahania polityczne wywołały odwołanie gromady żującej siano przy żłobie i Ferdynand Botilescu, z resztkami paszy na wargach, wracał z rodziną do Bukaresztu. Przyszła im nagła fantazja zabrać wraz ze skrzyniami gałganków, które wywozili z Paryża, Anetkę. Jej inteligencja i nieomylny gust paryżanki, jej bogate doświadczenie życiowe, jej

swobodny i miły sposób bycia, wrodzony kunszt konwersacyjny były dla nich przedmiotem skrytego podziwu i zazdrości. W niespełna tydzień doszli do przekonania, że jest dla nich nabytkiem niezbędnym.

Pewnego wieczoru dziewczęta wśród śmiechu, łez i głośnych pocałunków rzuciły się jej hałaśliwie na szyję, świergocąc, że nie mogą się już z nią rozstać. Ojciec zaproponował jej pozostanie przy żonie i córkach w charakterze guwernantki, przyjaciółki, nauczycielki, damy do towarzystwa. Granice ról ustalono niezupełnie ściśle. Warunki, jakie proponowano hojnie a ogólnikowo, były też niedostatecznie określone. Ale wszystko razem zaofiarowano z taką serdecznością, że Anetka, pragnąc wyjechać z Paryża, skorzystała ze sposobności. Nie była obojętna na wylewną miłość trzech czułych dziewcząt, które obnażyły przed nią swe prymitywne a skomplikowane duszyczki; niezmierna ich ekspansywność stanowiła szczęśliwy kontrast z zamkniętą naturą Marka i z rezerwą, którą Anetka starała się zachować w stosunkach ze swym synem.

Postanawia więc opuścić Marka. Zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw. Są wielkie. Ale trudna rada. Kto ma dobrą krew, będzie w stanie stawić im czoło. Kto mówi: życie, mówi: śmierć; to nieustający pojedynek.

Kładzie mu rękę na barki i znienacka zagląda w duszę, aż do dna. On widzi się w jej jasnych oczach nagi i instynktownie czyni nagły ruch, jakby chcąc zakryć wstydliwe części swej myśli. Ale ona ujrzała je... Za późno. Marek ściąga nozdrza i kurczy się w sobie, rozgniewany. Ona mówi:

– Mój drogi chłopcze, bardzo ciężę twoim ramionom... Tak! Widzę to i rozumiem, nie broń się!... To naturalne. Ten wieczny świadek przeszkadza ci... Uwolnię cię od niego. Będziesz mógł sam zbierać doświadczenia. Gdy przechodzi się szkołę życia, partnerzy są zbyteczni; niech opróżnią plac. Należy móc strzelać bąki samemu, bez publiczności... Więc idź i strzelaj bąki!... Wiesz, jak i ja, że doświadczenia będziesz nabywał często swoim kosztem... Staraj się tylko, byś je nabywał częściej kosztem swoim niż cudzym!... Tak, mój chłopcze, mówimy ze sobą jak starzy przyjaciele; i powiem ci jeszcze: więcej ufam prawości twego serca niż twego umysłu... I ostatecznie wolę, że tak jest... Jesteś gwałtowny, uparty, bezwzględny, prędki w chwytaniu i niszczeniu... Nie mogę tobie oszczędzić niesprawiedliwości i krzywd... Jednakże (jest to jedyna rzecz, o którą cię proszę) oszczędzaj ich istotom słabym, małym i nie krzywdź tych, którzy nie umieją się bronić!... Co do innych, to sprawa twoja i ich. Niech biorą -cięgi! I ty także!... Zboże jest po to, by je młócić. Daj się młócić!... Przysłowie mówi:

Każda śmierć ma bitwę swoją,
A każde ziarno swą słomę.

Ja nie skończyłam jeszcze pozbywać się swej słomy. Ty jesteś moim ziarnem. Daj się młócić z kolei! Niech Bóg piecze chleb... *„Da nobis..."*[133] On go nam nie daje. My mu go dajemy. To my cierpieniami naszymi pytlujemy mąkę Panu Bogu...

– Nie myślę dać się zjeść – odparł Marek – zanim nie zjem swojej porcji.

Szorstkością pokrywał wzruszenie, którym przejęły go słowa matki. Trafiła głęboko. Tłumaczenia były zbędne. Rozumieli się w pół słowa.

Stali jeszcze chwilę naprzeciw siebie patrząc na się bystro; pod ich czułością kryło się wyznanie:

„Kocham cię, lecz nie powiem ci tego."

„Nie potrzebujesz mi tego mówić."

Ujęła go pod brodę i zaśmiała się:

[133] *D a n o b i s* (łac.) – daj nam.

—.A więc zjadaj swoją część, mały wilczku. Ja mam swoją.
I ucałowała go.

Matka i syn nie mieli zwyczaju całować się. Nie ufali takim wylewom uczuć. Ten pożegnalny pocałunek był więc tym donioślejszy. Jej usta mówiły jego ustom:

„Płońcie, jeśli chcecie! Lecz nie kalajcie się! Kładę na was swą pieczęć."

Tak zrozumiał ich rozkaz młody chłopak, kiedy drżąc obudził się w nocy. I był zbyt szczery wobec siebie, by nie wiedzieć, że zdradzi. Lecz wiedział, że zdradzając zdradzi samego siebie: rozkaz był jego, nie jej. I dla tej, która wydała rozkaz za niego, był tej ostatniej nocy, gdy spali razem pod jednym dachem, pełen czci gorętszej niż miłość. Wstrzymał oddech, by słuchać oddechu, który dochodził z drugiego pokoju. Czuł się przytłoczony niejasnymi pragnieniami, ciężkimi myślami, chciałby podzielić się z nią ich zamętem; ale uważał ją za zbyt prawą, zbyt zdrową, aby je mogła rozumieć; i nawet ufność, jaką w nim pokładała, hamowała jego chęć zwierzeń: bał się, że sprawi jej zawód.

Anetka spała. Wiedziała, że syn zdradzi ją, zdradzi siebie. Kto żyje, zdradza, i zdradza siebie między jednym a drugim pianiem kura. Ale wystarczy dosłyszeć zawsze pianie koguta i mówić sobie z każdą jutrzenką: „Jestem pobity. Zacznę na nowo..." Wiedziała, że syn jej nie rzuci nigdy broni. Nie żądała więcej. Spała.

*

Marek znalazł w swej wolności więcej kłopotu niż ulgi. Była zawsze najkosztowniejszym z dóbr. W tych czasach rujnowała. Trzeba było być bardzo bogatym, by móc ją mieć na własność. Marek wiedział, że nie dostanie mu się ona za darmo; lecz tuszył, że ją zdobędzie własnymi środkami. Anetka wyjeżdżając skłoniła go z trudem do przyjęcia małej pożyczki, która by pozwoliła mu przeczekać, wśród poszukiwań posady, trzy lub cztery tygodnie. Nie dała się zwieść tej młodej fanfaronadzie; ale nie miała nic przeciw temu, by sam próbował i- aby życie dało mu po palcach: kałuża była wzburzona, wytrzęsło kaczkę, ale kaczka nie utonie w kałuży. Zresztą nie wątpiła: ledwo się ona odwróci, zjawi się Sylwia na brzegu, wołając: „Taś, taś..." Mały był o tym uprzedzony. Niech sobie radzą we dwoje.

Marek postanowił ambitnie, że obejdzie się bez wszystkich. Odrzucił beztrosko pierwszą pomoc Sylwii, która też nie nalegała: nie wiedziała, tak samo jak Anetka, o nauczce, którą miało dać młodemu fanfaronowi rychłe doświadczenie. Marek czuł się dotknięty ironiczną obojętnością, z jaką ciotka przyjęła jego odmowę. Po namyśle dostrzegł tu niejasne powody do zaniepokojenia, spisek na swoją wolność. I to podniecało go jeszcze bardziej, aby jej bronić.

Ale miał dużo do roboty: bo nieprzyjaciel nadciągał z niespodziewanej strony. To on sam spiskował przeciwko sobie.

Nie wiedział zgoła, co począć ze swym życiem. A jednak trzeba było decydować pilnie. Życie obecne jest zdobywaniem posad. Przez pierwszych, którzy się na nie rzucą. Lecz aby się rzucić, trzeba wybrać... Nie, najpierw pochwycić! Inaczej przyjdziesz, gdy sprzątną ze stołu... Lecz jeśli z tego, co jest na stole, nic mnie nie kusi?... Więc zostanie ci tylko to, co pod stołem. Będziesz psem. „Wolałabym, byś był wilkiem" – wyraziła się „ona". Ale to zbytek. Eksploatatorzy, panowie dnia, zachowują go dla siebie. Dla innych, dla małych – galery!

Gdzie znaleźć zajęcie na miarę jego bar? U handlarzy starzyzną nie ma ubrania, które by się nadawało dla tych młodzieńczych postaci. Inteligentnemu i biednemu chłopakowi, który posiada dyplomy uniwersyteckie, uniwersytet ofiarowuje (ofiarowywał wczoraj) wyjście całkiem naturalne. Zostaje się z kolei nauczycielem. Ale uniwersytet przeżywa dziś swój upadek. Jest żebrakiem; i przyjmuje swój los żebraczy bez skargi. Niegdyś postawę taką nazywano szlachetną dumą. Dziś młode usta plują na spleśniały chleb, omal nie nazywają go chle-

bem nicponiów. Atoli za tę właśnie cenę nasi wielcy bezinteresowni uczeni wzbogacili swoją pracą ludzkość. Tak, lecz za tę cenę przynajmniej bronili swej niezawisłości. Dziś bronią swego służalstwa. Lata wojny ukazały, że uniwersytet jest najlepszym sługą tych, którzy są u władzy. Ubóstwo i lokajstwo, bezinteresowność i służalstwo to za dużo dla ironii tych młodych ludzi. Nie trudno im gardzić „idealizmem". Z przekorą chełpią się, że muszą być bogaci i wolni – i że dopną tego... Zobaczymy za lat dziesięć.

Z Siedmiu dwoje poszło bezradosną drogą uniwersytecką, nie z wyboru, lecz z konieczności. Bouchard – z gniewem, z urazą, gryząc wędzidło, rżał jak perszeron pokrywający kobyłę. Ruche – zimna, ironiczna, zdecydowana, nie zdradzała swych myśli, nie odsłaniała rozległych przestworzy swej nudy... „Idź i milcz! Jeśli się zatrzymasz, nie wyruszysz już po raz drugi... Lecz jaki jest cel? Nie wiem. Czy w ogóle istnieje cel? Może odnajdzie się po drodze... Jeśli zaś nie, można się obyć i bez tego!..."

Marek, chwiejny, towarzyszył im kawałek drogi. Lecz był zdecydowany opuścić ich na pierwszym zakręcie. Matka, pozostawiając-chłopcu zupełną wolność, wymogła, by bez względu na dalszą decyzję skorzystał ze swego przygotowania i zdobył stopień licencjata. Była to marna karta w jego grze, ale rozsądek każe nie odrzucać żadnej karty, jeśli ma się ich tak mało. Matka widziała też w owym wytkniętym celu, choć nie bardzo w to wierzyła, zbawienny przymus na okres kilku miesięcy, podczas których niekarny duch będzie się uczył stawiać pierwsze kroki. Więc Marok przygotowywał się do egzaminu, ale bez wiary nie tylko w to, że go zda, ale że wytrwa aż do końca. Uwagę; jego rozpraszało zbyt wiele rzeczy. Niesposób było zamknąć się w ciasnym kącie tracących myszką nauk, dokąd nie wnikał żaden powiew teraźniejszości. Dokoła niego *orbis terrarum*[134] ducha powiększył się niezmiernie. Jeśli chce się go ogarnąć choćby pobieżnym spojrzeniem, nie ma chwili do stracenia: gdyż nic nie jest pewne, wszystko się chwieje, żyje się bez jutra. Jutro przepaść wojny i rewolucyj może mnie pochłonąć. I ja mam skazywać się na ascetyzm scholastycznej diety? W imię jakiej wiary? Mam tylko jedną wiarę: widzieć i dotykać. Potem wierzyć! To nie na dziś! Na dziś: patrzeć i patrzeć! I dotykać wszystkiego, co mogę pochwycić...

Nie on jeden wśród tej młodzieży miał ową świerzbiączkę bezwstydnych małych świętych Tomaszów. Dokoła niego roiło się od awanturników ducha. Nieszczęśni awanturnicy, którzy przez wszystkie klimaty przestrzeni i czasu prowadzą swe blade, efemeryczne j a z jego przebłahymi przesądami i nie lornetują nic na zewnątrz, nie zezując ukradkiem ku pępkowi świata, Paryżowi, i jego: „Co o tym powiedzą?..." Ci pytający wiecznie: „Czyś mnie widział?", którzy, od obu biegunów po równik, farbują sobie gębę dla bulwarów!... Powojenne księgarnie pełne są wyuzdania podrygującego w pismach pachnących barem i benzyną, wielkimi ekspresami i radiem. Popierdują myślą, poszturchują sztukę, politykę, metafizykę, podkasują religię aż po pośladki. Trochę pijani, lecz nie głupi, gotowi drwić z tego, co sławią lub na co polują, szczerzy w swej potrzebie ciągłej zmiany, w swej nienasyconej żarłoczności, która nadgryza wszystko i wypluwa co drugi kąsek, z gorączką w rękach, z gorączką w stopach, z ogniem w zadku. Cały świat przesuwa się przed nimi, cała ziemia: paplaniny o sztuce, kablogramy globtroterów, niby barwny bazar przerobionej na romans encyklopedii. Wszystko zwalone na jeden wielki stos. Czerpie się z tego stosu. Bez przerwy wciąga się rękaw jakiegoś ubrania, wsadza nogę w jakiś system – za krótki! za długi! Odrzuca się go, pasożytuje się na ideach nie patrząc na nie, nie pamiętając po godzinie koloru oczu tej, z którą się spało. Któż zada sobie trud, by poznać żyjącą duszę, która drży w głębi tego poniewieranego ciała? Świat przesuwa się przed oczyma ducha jak film. Przyspieszyć! I kształty zachodzą na siebie, stapiają się ze sobą. Nic nie pozostaje w rękach. Wszystko z nich wypada. Całą winnicę objadły chmary szpaków. Nie będzie tego roku wina.

[134] *O r b i s t e r r a r u m* (łac.) – ziemia.

Lecz szpaki są szare. Chmara skrzeczy. Wśród tego zamętu trzeba nadludzkich wysiłków, by nadążać za jakąś ideą. Bouchard wytęża wszystkie siły; za zmarszczonym czołem zacina się, by pakować w swe twarde mózgowie gęsty szlam ksiąg, z których kuje do egzaminu. Nie czuje zgoła podbiegunowego mrozu w swej mansardzie. Ma ogień we łbie. Ale tęgi żołądek jego wyje. Trzeba zatkać paszczę wilkowi, póki mózgowie nie wessie przeznaczonej mu na dziś racji szlamu. Kończy z wywieszonym językiem. Zbiega na ulicę jak wariat. Szuka kogoś, kto by zapłacił mu obrad. Szuka Vérona. Mówi prosto z mostu:

– Przychodzę pomóc ci spławić skradzioną forsę. W imieniu ludu przyjmę ją z powrotem.

Véron najpierw odpowiada śmiechem. Myśli, że wywinie się pogardą:

– Kości chcesz?

– Nie, mięsa – odpowiada tamten. – Bo twój szkielet zostawiam tobie.

Véron śmieje się z przymusem. Ale duma nie pozwala mu tego zdradzić. Kiedy się gra rolę Katyliny, trzeba żywić motłoch. Nie wiadomo jeszcze w tej chwili, czy motłoch nie będzie miał siły dźwignąć się na ruinach. Społeczeństwo jest rozbite. Wystarczyłoby kilka zdecydowanych wysiłków, by wpaść przez wyłom, zanim obrońcy odetchną. Lecz jedyni uświadomieni przywódcy znajdują się w Rosji, odcięci, bez możności porozumiewania się z większością żebraków świata, którzy ich nie znają. Clemenceau buduje na granicy Rumunii i Ukrainy barierę z wojsk sprzymierzonych, którym mydlą oczy kłamstwa jego prasy. Na Zachodzie „podpory społeczeństwa" będą miały czas się zreformować.

Jednak w tych pierwszych miesiącach roku 1919 powietrze jest nasycone elektrycznością. Véron, który dzięki swej sferze interesów jest lepiej poinformowany, wietrzy możliwości wybuchu. Jest na tyle przezorny, że z tego, co wie, zwierza przyjaciołom tylko to, co mu nie może zaszkodzić, co skłania raczej do gadania niż do czynu. Nie jest zgoła oszustem, nie jest tchórzem (nie jest nim żaden z tych młodych ludzi; sprzedaliby wszyscy tanio swą skórę – pod warunkiem, że nie będą oszukani jak ich starsi bracia, ci nieszczęśliwcy; według nich: ci głupcy)! Lecz właśnie Véron nie chce dać wywieść się w pole ani rewolucji, ani reakcji. Gotów grzmocić społeczeństwo, jeśli grzmocenie ma widoki powodzenia; jeśli ich nie ma, Véron grzmocić będzie grzmocących. Tym gorzej dla nich! Biada zwyciężonym! Pogarda dla słabych jest moralnością Véronów. Niech się słabi strzegą, by się nie znaleźć pod ich szerokimi stopami!

Véron czeka, czy augurzy moskiewscy potrafią zrobić sobie wyłom. Tymczasem, w Paryżu, obmacuje z Bouchardem brzuch rewolucji. Nie będzie trzeba dużo czasu, by postawić diagnozę, że płód jest martwy; brak mu przecież zasadniczych organów. W mieszanej masie tej rewolucyjnej, czy też nazywającej się tak tylko, młodzieży nie ma ani jednego człowieka, który by był przygotowany do działania. Dla jednych działanie to rzecz prosta, zbyt prosta: działać znaczy bić, tłuc. Tłuc wszystko, co wrogie, bez opamiętania, na oślep. Dla innych działanie to rozprawy o doktrynie. Nieprędko je zakończą; i może nie o to im chodzi. Doktrynerzy najbardziej fanatyczni uważają się za wolnych od działania za cenę utrzymywania czystości doktryny: czyn jest zawsze, w mniejszym lub większym stopniu, kompromisem. Jednych zaś i drugich, szczerych ludzi czynu i teoretyków, cechuje gruba nieznajomość żywej rzeczywistości, organizmu olbrzymich państw dzisiejszych, ich narządów oddechowych i trawiennych, ich codziennych konieczności ekonomicznych, praw witalnych, które rządzą płucami i flakami tych Gargantuów. Gdzie i w jaki sposób. mieliby się tego nauczyć ci biedni chłopcy, studenci, rzemieślnicy lub dawni kombatanci? Véron znał się na flakach – pieniądzu, bankach, interesach, wiecznym ruchu warsztatu eksploatacji, na potwornej maszynerii, która bez przerwy przeżuwa naturę i zmienia ją z żywiołu w pokarm, w ekskrement, w pokarm... Słucha i patrzy swym szczupaczym ryjem na tych głuptaków. Śmiech i litość go zbiera. Jednak zależy mu na nich. Jeszcze zależy. Przy sposobności niezaprzeczona jego wyższość w tych sprawach zapewni mu dowództwo. Lecz czy ta sposobność się zjawi?

Nie jest pewny, czy ci głupcy będą skłonni uznać jego wyższość. To się pokaże! Tymczasem odbija mu się Marksem, więc wymyśla Bouchardowi od mieszczuchów za to, że Bouchard ma pełne usta tego nudziarza Proudhona[135]! Bouchard, który nie umie żartować, traci dech na chwilę, po czym wybucha i zaczyna się między nimi gwałtowna walka, spektakl dla galerii; jeden napada na drugiego, obaj na społeczeństwo. Rzekłbyś, że uważają się za Dantona i Robespierre'a, którzy walczą w Konwencie o głowy cudze i własne. Ale Véron nie jest tak głupi, aby w to wierzyć. Trzeba być Bouchardem, by brać wszystko na serio. A im więcej Bouchard mówi i unosi się, tym głębiej zapada w otchłań swej powagi. Wyrzeczone słowo nie wyzwala go, jak tylu innych, których ogień zmienia się w dym, ale go wiąże. Słowo to jest niby krzyk, który u istot pierwotnych napina mięśnie i podnosi pięść. Véron doznaje piekielnej uciechy widząc, jak tamten nabija się wściekle na lancę pikadora; podnieca Boucharda do tego. Jeśli jednocześnie zwali się pikador, ten chrząszcz ściśnięty własną skorupą, to jeszcze lepiej. Piękne to widowisko. Véron chętnie schodzi na arenę, by przyjrzeć się z bliska. Nie będzie mu można zarzucić, że obserwował chłodno. Jest z tych, którzy pchają gwałtownie do manifestacji Jaurèsowskiej na początku kwietnia; i bierze w niej udział.

Marek dał się Bouchardowi zaciągnąć na zebranie studentów – socjalistów rewolucyjnych. Teraz uczęszcza tam czasami; nie tyle z upodobania, co z ciekawości (ciekawość ducha jest u niego namiętnością, którą chrzci mianem obowiązku). Czyta pilnie Marksa. Ale nie czyta dokładnie. Przerzuca. Jego niesforny indywidualizm staje dęba wobec nieubłaganej konieczności tego historycznego materializmu. Daremnie poprzez ascetyzm chce ugiąć swe zaborcze „ja". Jego „ja" zżyma się. Ledwie tylko muśnięciem wzgardliwych chrap dotyka łąki marksistowskiej. Oburza Marka ta upokarzająca wyższość żywiołu „ekonomicznego" nad „psychicznym". Wie jednak dobrze, on i jego matka, co to znaczy zetknąć się z żywiołem „ekonomicznym", i że trzeba się z tym liczyć. Ale on i matka należą do tych romantyków (przestarzałych? czy też wiecznych?), których prawdziwą racją życia jest odzyskanie niezależności duszy wbrew wszystkim uciskającym je koniecznościom. Nie wiadomo, czy w ogóle dojdą do tego w jakimkolwiek miejscu i czasie. Ale chcą tego. Nie byliby sobą, gdyby nie posiadali tej woli. I że ją mieli, nawet pokonani, to dosyć. Nawet jeśli jakieś Przeznaczenie ją tępi, musi się z nią liczyć: wola jest faktem, który mógłby trwać równie długo jak ono. Nie są to dla Marka okoliczności sprzyjające czytaniu takich książek, które nie odzwierciedlają jego pragnień. Oczy jego patrzą wtedy wrogo. Daleki jest jeszcze od szczytnej obiektywności ducha, którą osiągają dojrzali i zahartowani wojownicy w obliczu nieprzyjaciela. Nie słucha przeciwnika do końca; przerywa mu, woła: „Nie!"

Co więcej: nie tylko myśli przeciwnej odmawia posłuchu, który dałby mu poznać, co zwalcza. Czyni to z każdą myślą, która wymaga odeń wysiłku słuchania. Nie umie nic czytać jednym ciągiem. Ulega jakiemuś znużeniu uwagi. Cierpi na gorączkę myśli. Nie zdoła jej utrwalić na niczym. Zaczyna jednocześnie dwadzieścia książek – nie kończy żadnej. Po pierwszym ustępie rozdziału umysł Marka podąża innym śladem. Krzyżuje się ich w nim tyle, że kto by mógł zajrzeć do środka, miałby wrażenie, że to wściekły pies kręci się w kółko po lesie, kalecząc się i obijając, dopóki nie padnie, z czerwonymi, tańczącymi iskrami w ślepiach. Zazdrości Bouchardowi cholerycznej zaciętości, a Henriecie Ruche dyscypliny, obojętnej i poliniowanej, rzekłbyś; jak papier nutowy; oni robią to, co robią; a reszta niech czeka swej kolei. Ale Marek nie chce być do nich podobny. Bouchard, który mozoli się i poci na swej skibie, budzi w nim litość. Szydercza punktualność Henriety Ruche gniewa go. Nie wyobraża jej sobie w chwili aktu miłosnego; lecz skoro dojdzie do tego, dojdzie niezawodnie w chwili zaznaczonej w jej podziale godzin i ze zwykłą u niej obojętnością. Ma ochotę wyrzucić

[135] *P r o u d h o n* Pierre Joseph (1809–1865) – publicysta i pisarz francuski, autor licznych prac z zakresu socjologii; jeden z twórców socjalizmu utopijnego. Idealistyczne jego poglądy były ostro zwalczane przez Karola Marksa.

ją ze swego łóżka (gdyż lunatyk, śniąc o Henriecie, umieścił ją w nim. Dzięki Bogu! Nie ma jej tam...). Ale łóżko jest puste, a mózgownica pełna. Jeśli dziewcząt nie ma w łóżku, na pewno istnieją w mózgu. Walczą tam o miejsce z myślami. Marek odczuwa to z wściekłością. Wydany podczas wojny na pastwę swych popędów, poznał kobietę zbyt wcześnie i zbyt brutalnie, nie wstrzymywany niczym, żadną skromnością, żadną osłoną; słaby i płomienny, runął w uścisk cielesny jak w kadź roztopionego ołowiu. Wyszedł z niej obolały, poraniony. I taki pozostał. W głębi jego ciała tkwi ostrze pragnienia, oman i groza rozkoszy. Organizm Marka, jego nerwy, wibrujące jak skrzypce, drżą za najmniejszym naciskiem. Intelektualnie przedwcześnie rozwinięty, zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa nie zwierzając się z tym nikomu. Był tak bardzo samotny i tak długo, iż sądzi, że prawdziwy mężczyzna nie powinien z nikim się dzielić własnym niebezpieczeństwem, że musi bronić się sam. Dlatego to, puszczony wolno w Paryżu i nie mając żadnego moralnego hamulca, wystrzega się stosunków płciowych jak ognia. Boi się – nie jej – lecz siebie. Nie wie, czy pozostałby potem panem samego siebie. Wie zbyt dobrze, że nie pozostałby. I on, który nie ma żadnej skłonności do ascetyzmu, który gotów byłby sam go ośmieszać, staje się z konieczności ascetą, jest do tego zmuszony. Kryje się jednak. I nikt nie widzi tego (z wyjątkiem Henriety Ruche). Jest też Marek dumny, jest tyranem jak tylu innych, którzy są zazdrośni o własną niezależność: są też zazdrośni o niezależność od kaprysu tych, którzy ich otaczają. Pragnie kochaną istotę posiadać na wyłączną własność. Nie jest tak naiwny, by przypuszczać, że ją posiędzie. (I cóż by z nią zrobił, gdyby ją posiadł?) Wtedy mówi: „Wszystko lub nic... Nic!...” Nic, aż do najbliższego wybuchu!

Tołstoj twierdzi, że ciało dręczy ludzi, którzy je żywią zbyt dobrze. Marek mógłby mu na to coś odpowiedzieć! Rzadkie są dni, kiedy jada do syta. A głód podsyca żądzę.

Marek spostrzega, że drobny jego kapitalik szybko topnieje; lecz ku swemu wstydowi nie umie go uzupełniać. Wyobrażał sobie, że zdoła wygrzebać się własnymi siłami i że każdy chłopak o skromnych wymaganiach, rzutki, inteligentny może zarobić w Paryżu tę odrobinę koniecznie mu potrzebną. Widocznie i ta odrobina jest jednak zbyt wielka: nie zarabia tyle. Zresztą czyż potrafi się nią zadowolić? Przez pięć dni będzie bohatersko odmawiał sobie wszystkiego, ale szóstego nie może wytrzymać, kociołek pęka: w przeciągu kwadransa wyrzuca pieniądze przeznaczone na cały tydzień. Na młodego chłopca czyha zbyt wiele pokus! Byłby potworem, gdyby ich nie doznawał wcale – byłby potworem do kwadratu, gdyby im czasem nie ulegał. Marek nie jest z pewnością potworem, tym mniej do kwadratu! Ulega. I potem nieuchronnie popada w ciężkie zmartwienie nie tyle z powodu swej słabości, ile głupoty. Niepotrzebność lub niedorzeczność tego, czego pożądał, dobija go. Cóż się posiada – z osoby czy przedmiotu – po chwili, gdy się już posiadło? Nic w ręku! Nic w sercu! Pierzchło wszystko... Wtedy przepisuje sobie (bardzo złe lekarstwo!), nowy okres umartwienia. Oczywiście wybuchnie znowu, wściekły. – Poza. tym umie tracić pieniądze, a nie ma talentu zarabiania. Brak mu giętkości w grzbiecie, która toruje drogę ku zyskom. Syn Anetki nie otrzymał tego daru od natury. Jest sztywny (policzki dawane przez życie nie miały jeszcze czasu nauczyć go giętkości) w anachronicznym poczuciu socjalnej i intelektualnej wartości; i ustępstwo zdawałoby mu się rzeczą niegodną; obnosi bezskutecznie swe dyplomy i swoją mizerną wiedzę. Któż o to dba? Bouchard mówi doń:

– Rób jak ja. Bierz od Vérona.

Lecz Marek jest zbyt dumny, by przyjmować wraz z jałmużną tony obrażającej wyższości, które przybierał wierzyciel.

– Jego wyższość? Nie radzę mu żądać zwrotu. Nic mu nie jestem winien, biorę od niego! – huczy Bouchard; i nie wiadomo, czy kpi.

Marek odrzuca sucho, że kto okrada złodzieja, sam jest złodziejem. Bouchard odpowiada krotko:

– Życie jest kradzieżą. Kradnij lub zdychaj!...

Tak, żyć znaczy zapanować nad tymi, którzy w wieczystej walce chcą wam zabrać powietrze i miejsce. Każde stworzenie żyje kosztem milionów innych kandydatów do istnienia. Marek wie o tym. Każde z dzieci tych okrutnych lat wie o tym. Lecz jeśli wszyscy – z wyjątkiem tych, którzy zostali poświęceni śmierci – przyjęli walkę, istnieje jeszcze pewna ilość takich (Bogu za to chwała!), którzy starają się zachowywać w niej rycerskość.

Gdyby przy nich wyrzeczone to słowo, zaprotestowaliby – w obawie śmieszności. Lecz tylko słowa wyszły z mody. Duch zachowuje, bez względu na modę, niezniszczalne rusztowanie dla swych wielkich cnót i wielkich wad. Marek byłby Markiem nawet w czasach Merowingów; i pozostanie Markiem aż po kres czasów.

Nie pójdzie więc prosić Vérona – nawet w tonie rozkazu – o pieniądze, bo gardzi nim w duszy. Waha się nawet wziąć na zebraniach u Ruche bilet do teatru, na koncert lub wystawę, których Véron ma zawsze pełne kieszenie i które go nic nie kosztują. Jednak niektóre programy wystawiają na próbę jego „odporność"; nie umie tego ukryć. Ruche widzi to, bawią ją te tajemne walki dumy zazdrosnej o swą niezależność i dziecinnego pożądania ofiarowanych rozrywek: oba uczucia są jej znane i Marek wydaje się jej przez to bliższy. Ruche pozwala sobie pewnego razu na przyjemność macierzyńską (znów słowo niemodne, wstydziłaby się go!) – przyjmuje od Vérona bilet na koncert, który wywołuje w oczach Marka zaciekle tłumioną żądzę. Potem, pozostawszy z nim sama, przypomina sobie, że nie może z niego skorzystać, i oddaje mu go: od niej nie ma Marek powodów nie przyjąć. Dopiero siedząc na koncercie, zdjęty nagle nieufnością, chłopiec zadaje sobie pytanie, czy Ruche wzięła ten bilet dla siebie – Ruche, która o muzykę dba tyle, co o deszcz dzwoniący w jej okna. Jest tak zaniepokojony, że myśl ta psuje mu całą przyjemność wieczoru. Inny byłby wdzięczny Henriecie. Jemu jest przykro, że zdradził się przed nią...

Zaczyna myśleć, że na ogół biorąc, jeśli już tak być musi, mniej upokarzać go będzie przyjmowanie pieniędzy od Sylwii niż podarunków od innych. Ale ponieważ raz odmówił, wstyd mu teraz prosić. Więc choć pusto w kieszeni od wczorajszego wieczora, nie poddaje się, z sercem jeszcze bardziej ściśniętym niż żołądek... Przypadek jednak chce, by tego popołudnia Sylwia, przejeżdżając swym autem, dostrzegła go bystrym okiem i zawołała. Musiał się pohamować, żeby nie poskoczyć do auta... Poskoczył jednak. Ale ma satysfakcję: czuje, że słuchając tej papli odzyskał przynajmniej szybko swój niedbały wyraz twarzy; i kiedy ona, opowiedziawszy o swych sprawach, ośmiela się zapytać, co dzieje się z siostrzeńcem:

– A wiesz, pieniędzy po uszy, chcesz może? Mam ich aż za dużo...

Odpowiada z najswobodniejszą miną, trochę pyszałkowato:

– Ach, Boże! Jeśli możesz! Przydadzą mi się.

– Szelmo! Lepiej byś przyszedł zabawić się do mnie.

Ale napycha mu kieszenie. Gdy Marek chce ją pocałować, wskazuje mu miejsce u góry policzka, by nie starł szminki. Szczypie go w chłopięcą mordkę; znajduje, że pobladł, schudł, wyładniał, ma głębszy wyraz w oczach – jest ciekawszy: nie marnował czasu, odkąd puszczono go samopas...

– Obiecaj mi, że przyjdziesz! No, obiecaj!...

Marek mówi z bezczelnością Cherubina[136]:

– Obiecuję! Zapłaciłaś z góry.

Sylwia odpycha jego twarz, na której znaczy się ślad jej dwóch palców.

– Gałganie! – mówi śmiejąc się. – Przychodź jednak! Zobaczysz! Płacę zawsze tylko z dołu...

[136] C h e r u b i n – postać ze sztuki Beaumarchais'go *Wesele Figara;* rozpieszczony młodzieniaszek, ulubieniec kobiet.

Marek czeka, aż auto zniknie, by udać się do najbliższej restauracji i połknąć kawałek krwistego mięsa. Mocny żołądek pochłania dwa stracone obiady. Marek rozmyśla, że Sylwia była przed chwilą diablo piękna. Co za żar w oczach! I co za zapach! Oblizuje wargi na wspomnienie...

Jednak nie pilno mu dotrzymać obietnicy. Udaje jeszcze głuchego w dwa tygodnie później, gdy ciotka przypomina mimolotem:

– Nicponiu! A gdzie twój dług?

O, nie! Nic nie uzyska się od niego, jeśli prosić się go będzie w ten sposób. Ale codziennie, zwłaszcza gdy przeczyta w którejś z gazet Króla Perfum, że piękna perfumiarka wydała książęce przyjęcie dla potentatów finansowych i politycznych oraz dla ich samiczek i świty błaznów ze sztuki i prasy, że były tam najnowsze tańce, muzyka i przedstawienie, Marek pali się, by to zobaczyć. Cóż go to może kosztować?

*

Kosztować go to może o wiele więcej, niż pragnie się przyznać. Nie chce się przyznać, lecz nie może o tym nie wiedzieć: wie, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Jest jak młody Herkules na rozstajnych drogach[137] i jeśli sam Herkules obrał drogę kądzieli i poduszki, mało było prawdopodobne, by zagubione dziecko Paryża, na rogu każdej ulicy przyzywane przez Omfalię, obrało drogę wyrzeczenia. Marek mierzy oczyma rozkosz i znój, strome zbocza, na które będzie musiał się wspinać; i po pierwszych krokach czuje się już tak zmęczony! W głowie mu się kręci, bolą go członki, w nogach jakaś zdradliwa słabość. Jak wszyscy młodzi ludzie z jego otoczenia, tęskni ku jakiejś otchłani, ku przepaści zapomnienia – ku zapomnieniu, najsilniejszej przynęcie rozkoszy!... Ujść przed samym sobą... Uciec przed własną powinnością... „Kto mi ją narzuca? Przeznaczenie tych nieludzkich czasów? Czyż prosiłem o to, by w nich żyć? Odrzucam je!... Nie mogę. Przeznaczenie to ja. Ja sam nakazuję sobie piąć się w górę... .Lecz cóż czeka mnie tam na górze? A kiedy po wyczerpujących trudach znajdę się tam, zużyty, próżen własnej treści, cóż znajdę? I czy znajdę coś w ogóle? Może po drugiej stronie ostrego grzbietu górskiego znajdę nicość?..."

Nicość wszędzie i śmierć! Ta wojna, którą nazywają skończoną (ona trwa ciągle), otoczyła przestrzeń wałem gazów duszących. Zamyka horyzont. Wojna jest faktem – jedynym, jaki narzuca się tym młodym ludziom. Wszystkie ideologie, które ją negują, lub nie mogąc tego uczynić starają się ją uświetnić, są ladacznicami zasługującymi na pyskobicie! Walę je w mordę! Wojna trwa. Kark mój odczuwa jej szpon, a nos – jej zgniły oddech. Jeśli chcę żyć, muszę się wyrwać i uciec lub przebić się na drugą stronę. Przebić się, znaczy wiedzieć, co jest po drugiej stronie... Wiedzieć, móc! Czy się podoła?... A uciec to inna, niższa forma wiedzy. Wiedzy o tym, że bitwa przegrana. Ratuj się, kto może! Marek Rivière może ratować się tylko przełamując linię nieprzyjaciela. Uciekać naprzód!... Powtarza to sobie, by się o tym upewnić... Lecz czy jest tego pewny?... Dokoła niego bezładna kupa ludzi młodych i starych bierze nogi za pas!

Szturm do drzwi wyjściowych: – dansingi, sporty, podróże, palarnie, samice – przyjemność, zabawa, zapomnienie – ucieczka, ucieczka.

Było dwadzieścia sposobów ucieczki. A nie znalazłoby się dwóch na dwudziestu, którzy mieliby odwagę przyznać, że to ucieczka. Trzeba być bardzo silnym, by gardzić sobą i gardząc zachować zapał życiowy! Najznakomitsi z nich szukali, jak Adolf Chevalier, ucieczki w

[137] H e r k u l e s – w mitologii greckiej jeden z herosów. W młodości stanęły przed nim Cnota i Występek pod postacią dwu pięknych kobiet i kazały wybierać jedną z dróg. Herkules wybrał trudną drogę cnoty. Według poetów latyńskich Herkules, sprzedany przez Hermesa jako niewolnik królowej Omfalii, rozkochał się w niej i ubrany w suknie kobiece prządł kądziel siedząc u jej stóp.

sztuce i w przyrodzie... Pierwsza ekloga (druga także)... Ach, piękny przykład zwyciężonego jak oni; słodki Wergiliusz powojenny, śpiewak poobiedniej sjesty, ciemiężycieli, nowobogackich... (O, ironio! że też surowy Dante wybrał sobie miękką rękę tego cienia, aby go wiodła[138]!...) Mantuańczyk mógł powołać się na swe „*Deus nobis haec* otia"[139]... Lecz do młodych Tytyrów i Korydonów[140] dzisiejszych nie przyszedł żaden *Deus*. I trzeba by silnej dawki złudzenia, by wyobrazić sobie, że najbliższy wstrząs starego świata zapomni o tych papinkach, co to starają się zapomnieć o nim, zahipnotyzowani jak kura w kole kredowym, przy zielonych stolikach sztuki, gdzie krupierem jest zniewieściały estetyzm, którego białe ręce, brudne ręce, ani myślą kompromitować się czynem; że zapomni o tych, którzy liczą, iż dawne ognisko, stary dach tradycji, odwieczne życie domowe i wiejskie zabezpieczające ich ojców, zdoła dalej chronić ich od szturmów burzy. Jak gdyby przyszłe burze miały pozostawić kamień na kamieniu! Biada fletnistom, którzy uchodzą z areny przed rozstrzygnięciem bitwy! Jakikolwiek będzie wynik walki, zdepczą ich stopy zwycięzcy. I śpiewy ich rozwieją się na wietrze... Lecz może oni w tajemnicy liczą na to, że Potop nie zmiecie ich, póki nie skończą swych zabaw w piasku?... Wystarczy im cieszyć się resztką dnia, która im pozostaje. Oszukują swe życie.

Gdybyż przynajmniej wyznali to ze szczerym cynizmem: „Jutro nie będę żył. Jutro nie będę już miał ust. Pozostaje mi tylko dziś. Jem." Ale oni wysilają się, by znaleźć takie lub inne (mniejsza o to, jakie) usprawiedliwienie ideologiczne... Po co to mydlenie oczu? Gdyż intelektualiści, którzy abdykują, muszą maskować przed sobą abdykację za pomocą jakichś powodów. Jeśli za pomocą tych powodów nie zachwalają jej sobie. Nie mogą niczego czynić bez powodów. Instynkt ich zapomniał działać o własnej sile. Nikczemni czy uczciwi potrzebują zawsze jakiegoś „dlaczego". A kiedy się go szuka, zawsze go się znajdzie. Zbiegom roku 1919 nie brakło nigdy mądrych i głębokich powodów, by zmiatać z pola!

Marek gardzi tymi, co uciekają. Gardzi nimi z gwałtownością, która jest obroną przeciw własnej chęci ucieczki. A ponieważ z góry obawia się, że nie potrafi się jej oprzeć, przygotowuje sobie pozór przebaczenia zachowując swe nieprzejednanie dla zbiegów, którzy kłamią, dla tych, którzy starają się wybielić swą ucieczkę. Prawo szczerości Siedmiu: „Bądź, czym chcesz! Rób, co chcesz! Jeśli chcesz, ucieknij! Ale powiedz: – Uciekam!"

Nie mówili tego. Nawet Siódemka zaczęła używać dwuznaczników. Pierwszy Adolf Chevalier powołał się, *ore rotundo*[141], na obowiązek „przystosowania się do rzeczywistości", by wynieść się do swych dóbr... „Urządźcie się! Ja się urządzam. Jestem realistą." (Słowo, które w tym czasie miało powodzenie. Pozwalało robić interesy pod pozorem zastrzykiwania krajowi świeżej krwi pragmatyzmu politycznego, zdrowego i męskiego, który przeciwstawia się pustej ideologii pokoleń poprzednich... Ideologia tych pokoleń nie przeszkadzała jednak nigdy ludziom zręcznym zaokrąglać swej sakiewki!...)

Véron i Bouchard przezierali na wskroś cnotliwą sielankę Chevaliera i miażdżyli go swym sarkazmem. Ale i oni oszukiwali. Cały ich hałas rewolucyjny był tylko grą, która uwalniała ich od czynu. Gdy całymi godzinami wrzeszczeli wśród towarzyszów rozbijając na proch społeczeństwa, gdy układali potężny plan przyszłej manifestacji, bawili się ołowianymi żołnierzami.

Jedynym, który zorientował się w sytuacji nie starając się jej fałszować, był ten, po którym Marek najmniej spodziewałby się szczerości: Sainte–Luce. Przygotowywał się on w dwóch uczelniach: Szkole Nauk Politycznych i w Szkole Języków Wschodnich, do kariery konsular-

---

[138] Aluzja do *Boskiej komedii* Dantego, w której poetę oprowadza po piekle Wergili.

[139] Mantuańczyk – Wergili. *Deus nobis haec otia fecit* (łac.) – Bóg dał nam te chwile wytchnienia; są to słowa z jego I eklogi.

[140] Tytyr i Korydon – imiona pasterzy występujących w *eklogach* Wergiliusza.

[141] *Ore rotundo loqui* (łac.) – mówić pięknie, kwieciście.

nej. Ale nie zamierzał dać się spętać. Nie krył, że celem jego była ucieczka. Zamiast szukać jej na zewnątrz maszyny, której rzemienie i stępory pochwyciłyby go niebawem, postanowił znaleźć ją w jej sercu. Usłać sobie legowisko w samym środku huraganu. I stamtąd patrzeć, poznawać, działać i używać, pozostając niezwiązanym z niczym. Swobodnie i z całkowitą przytomnością umysłu wymknąć się z atmosfery ogólnego służalstwa, eksploatując cynicznie interesy panów dnia i grając ich rolę – lecz bez ambicji i bez zysku, starając się tylko używać chwili, nie dając jej nigdy nad sobą przewagi, w ciągłym pogotowiu porzucenia jej wraz z życiem: gdyż stworzenia tego rodzaju oderwane są od wszystkiego i od siebie samych. Jętki–jednodniówki tańczące w wirze chwili...

Nie raczył zgoła tłumaczyć się przed kolegami, którzy odnosili się doń ironicznie. Véron rzekł doń prostodusznie i brutalnie:

– Sprzedajesz się?

A Bouchard do Vérona:

– Dziewka słucha swej natury.

Bogaty Adolf milkł wzgardliwie i nie rozumiał, jak można sprzedać swą wolność państwu. Marek milkł też, lecz milczenie jego nie było obraźliwe: odgadywał po części racje subtelnego, rozpieszczonego chłopca, któremu nie chciało się bronić. Po co? Lecz ten, świadom owego czaru (zmieszanego z odrazą), który pociągał ku niemu Marka, rzekł doń, wskazując na trzech augurów, z ładnym uśmiechem żłobiącym dołki w jego twarzy:

– Kto z nas zdradzi pierwszy?

I kładąc wypieszczoną dłoń na ręce Marka dodał natychmiast:

– Ostatni jednak będziesz ty.

Marek usunął rękę mrucząc coś pod nosem. Pochwała była dlań zniewagą. Oczy Luce'a patrzyły na niego z tkliwością. Wiedział, że Marek także nim gardzi, lecz pogarda Marka nie obrażała go, nie było w niej obelgi; i Marek był jedynym z kolegów, któremu Luce przyznał, do niej prawo, gdyż Luce uznał go za jedynego, który grał i grać będzie uczciwie aż do końca... Bouchard też – może? Lecz ta uczciwość bydlęcia nie miała dla Luce'a nic zajmującego. Wytworny chłopak czuł się „bliźnim" tylko człowieka o umyśle jasnym i subtelnym jak on, w którym myśl żywa tętni tuż pod skronią. Nic to, że Marek był charakterem przeciwnym mu i wrogim. Stanowili parę. Marek czuł to także. Z gniewem musiał wyznać sobie, że Sainte–Luce był mu ze wszystkich najbardziej bliski – jedynie bliski. I pozwalał, by Luce brał go pod ramię i zwierzał mu to, czego by nie zwierzył innemu: cały ten chytry i młodzieńczy makiawelizm, o niepełnym doświadczeniu, lecz przedwczesnej ostrości i rozczarowaniu. I nie był nim oburzony. Miał sam zbyt wiele wrodzonej świadomości tych kusicielskich instynktów. Krew Anetki zmieszała się w nim z krwią Brissotów. Czyż gardząc ludźmi nie ma się prawa posługiwać nimi i ich głupimi bożyszczami? Brissotowie byli zawsze mistrzami w tej grze; byli w niej tak biegli, że, przysiągłbyś, naprawdę poszli na całego! Lecz nie ma obawy! Legion Brissotów umie w czas wycofać się ostrożnie... O, Marek zna ich dobrze! Ma ich we krwi. Miałby nieraz szaloną ochotę zagrać Volpona[142]... Ale zagrałby źle. Przeżywa wszystko zbyt mocno, w środku roli nie oparłby się chętce ujawnienia swej pogardy; i w końcu skopawszy innych zdeptałby siebie... Sainte–Luce ma właściwą dozę pogardy, uśmiechniętej, miłej, ludzkiej – toteż podoba się ludziom (gdyż lubią pogardę, jeśli się ją podaje z dobrymi manierami i w umiarkowanej dozie).

Rzecz dziwna, że wskutek sprzeczności, której nie umie sobie wytłumaczyć, Marek pali się w głębi duszy na myśl o zbawieniu ich. Nie chce jednak przyznać się do tego, a gdy Luce mu to mówi, gniewa się. Lecz kiedy Luce ironicznie i grzecznie dodaje:

[142] V o l p o n e – bohater sztuki pod tymże tytułem Ben Johnsona, wystawionej po raz pierwszy w roku 1605. Volpone to chciwy i chytry krętacz, wykorzystujący dla swych celów niskie instynkty ludzkie.

– Ach, nie? Ty sam wiesz najlepiej. Jeśli mówisz: nie, to i my tak powiemy...

okazuje się zbyt prawdomówny, by nie rzec: tak... Trzeba być głupcem! Zbawiać, zbawiać innych, gdy ma się tyle roboty ze zbawieniem samego siebie i gdy drudzy nie dbają o to, byście ich zbawili! Marek wie o tym równie dobrze jak Luce. Ale nie ma na to rady: taki jest. Są to sprzeczne siły jego natury. Siła, którą posiada po matce, jest, być może, błędna: lecz tkwi w głębi jego istoty, i – żeby być szczerym! – zależy mu na niej. Choćby wstydził się wystawiać ją na ludzką ironię, w głębi serca jest z niej dumny – dumniejszy z tego błędu niż z przeciwnych mu prawd. Życie przez nią nabiera smaku. Ona podtrzymuje mu brodę nad brudną pianą. Bez niej miałby tylko siebie samego, zainteresowanie jedynie sobą, zapał poznawania, oczywiście, patrzenia, chwytania, istnienia – lecz dla siebie samego... Sam!... To przerażające!... Należałoby być silniejszym niż dwudziestoletni chłopak, by znosić to bez wstrząsu. Luce znosi to, gdyż nie myśli o tym zgoła, broni się przed takimi myślami, nie zatrzymuje się, by patrzeć w głąb: ucieka, ucieka na powierzchnię.

Marek nie może uciec nigdzie. Ani w rozkosz, ani w cierpienie. Dno wynurza się z morza jak owe wysepki wulkaniczne, które wyrzuca ogień wewnętrzny, a które na odwieczny zew przepaści zapadają się w głąb. Mieszka na podminowanym gruncie. Dlatego szuka oczyma, na zewnątrz, ręki – ręki ludzkiej, którą mógłby pochwycić... Aby go ludzie zbawili? Nie! Wie dobrze, że niczego nie może się po nich spodziewać... Aby ich zbawić! Nawet jeśli uważa się ją za złudę, myśl o rządzie dusz, wypełniając waszą samotność; użycza szlachetnym naturom dziesięciokrotnie wzmożonych sił.

– Graj swoją rolę! – mówi mu Luce pobłażliwie. – Ja będę publicznością.

– Taka publiczność jak ty – odpowiada Marek z goryczą – wystarczy, żeby położyć sztukę.

– Jednak musisz mieć jakąś.

– Więc sam nią będę. Będę publicznością, aktorem i sztuką. Wiem o tym, wiem, że żyję ułudą.

– Wiedzieć to, to już niemało! – zgodził się Luce zamieniając z nim porozumiewawcze spojrzenie. – To więcej, niżby mogli przypuścić nasi koledzy.

*

Dali się jednak wciągnąć w manifestację pierwszej niedzieli kwietniowej.

Umysły w tych dniach znajdowały się pod wysokim ciśnieniem. Uniewinnienie mordercy Jaurèsa, które nastąpiło w marcu – to drugie morderstwo – spoliczkowało tych młodych ludzi. Soki gniewu wzbierają w sercu Paryża wraz z sokami wiosny. Nawet najspokojniejsi ze studentów, jagnięta chrześcijańskie, beczą po Dobrym Pasterzu Rewolucji. Nawet bukoliczni pasterze grają na swych flażoletach przygrywki do marszu: *„Formez vos bataillons!*[143]*...”* Nawet Adolf Chevalier, który nie wyobrażał sobie, w odniesieniu do siebie, działalności (a również namiętności, jak utrzymywały złe języki) inaczej jak tylko z piórem w ręce i przy kałamarzu, postanowił zająć miejsce w szeregach tego tłumu, choć zbieranina taka raniła jego delikatność. Nie należało wyglądać na tchórza, działając po raz pierwszy (lub udając, że się działa) i gdy mogło grozić niebezpieczeństwo.

Znaleźli się więc w sześcioro (jedyna Ruche, obojętna, przewidując wszystko z góry, została w mieszkaniu) na ulicy Henri–Martin, wśród wznoszącego radosne okrzyki ludu. Dziwne to było uczczenie pamięci wielkiego zmarłego, zwyciężonego nie raz, lecz dwadzieścia milionów razy, zwyciężonego w dwudziestu milionach jak on zamordowanych przez wojnę –

[143] *Formez vos bataillons* (fran.) – formujcie bataliony; słowa z refrenu *Marsylianki.*

zabitego, z tyłu, podle przez swych nieprzyjaciół i zdradzonego podle przez swych przyjaciół!... Pod popiersiem Jaurèsa drżąca niepewność Anatola France'a... Wiedziony nieomylnym instynktem, Chevalier z Bettą uwieszoną u jego ramienia prześliznął się ku starcowi, którego obecność na tym żałobnym kiermaszu uspokajała jego umysł. I starzec był rad, że w tym wzburzonym morzu przechodniów, których twarze i krzyki były dlań podejrzane i obce, spotyka różowo–promienną Bettę, że może na czyichś ustach zatrzymać spojrzenie. Widział ją taką, jaką była, świeżą i pulchną, dostatecznie głupią, kojącą umysł. Lecz w grupach najbardziej podnieconych, w pierwszym rzędzie, Véron trzymał na smyczy ujadającego Bouchardа i czatował na moment, by go z niej spuścić. O kilka kroków dalej Sainte–Luce i Marek, ramię w ramię, zamieniali ironiczne uwagi nie tracąc nic z widowiska. Sam Marek, nie wiedząc o tym, był dla Luce'a częścią spektaklu, gdyż widać było, jak wstrząsały nim nagle wybuchy tłumu. Daremnie kpił gorzko z motłochu. Tkwił w jego łożysku. Przejmował jego dreszcze. Sainte–Luce zauważył na twarzy towarzysza przebiegające skurcze, ostre błyski w oczach, złą zmarszczkę koło nozdrzy, zaciśnięte szczęki, usta nabrzmiałe falą wściekłości, którą połykał wraz ze śliną.

Czuwał nad nim po bratersku, pragnąc oszczędzić mu jakiejś nieroztropności, i umiał rozrzedzać tę zgęszczoną parę, otwierając klapę bezpieczeństwa wybuchem śmiechu, wywoływanym jakimś jego niespodzianym dowcipem. Uczynił dla siebie spostrzeżenie, że taka twarz to oceanograf głębinowych prądów tłumu. Można w niej odczytać burzę na kilka sekund przedtem...

I nagle Sainte–Luce wyczytał na niej nadchodzące tornado. Zanim miał czas stwierdzić, że otoczyło ich, trzasnęły strzały rewolwerowe. Policja atakowała anarchistów, którzy rozwinąwszy czarną chorągiew runęli na agentów Guicharda z kijami i niby ogniem kartaczowym razili ich kawałkami połamanych sztachet żelaznych. Sainte–Luce i Marek, porwani falą, znaleźli się w jednej chwili w samym środku wiru i pchani ciągle, przebili się przez kordon policji. Widzieli w pędzie błyski noży i zakrwawione twarze. A przed nimi Bouchard bił głową w brzuch jakiegoś Goliata z policji. Idąc wzdłuż Champs–Elysées, zmniejszona ich gromadka utworzyła kolumnę: ale nie było Chevaliera... Przepadł!... Zdołał z towarzyszką wspiąć się w sam czas na grzędę Anatola, by służyć mu za straż osobistą. W dole cesarskiej alei nowe walki czekały manifestantów, już bezsilnych wobec liczby nieprzyjaciół. Gromadka musiała rozbić się i starać małymi grupkami przedostać do Paryża przez jedną z przecznic, by zgromadzić się znów potem na placu Opery. Marek widział, jak Véron przechodząc obok wylotu kanału ściekowego wrzucił weń rewolwer; a Véron, który zauważył spojrzenie Marka, powiedział ze śmiechem:

– Ma prawo odpocząć. Napracował się.

Ale Bouchard nie chciał pozbyć się długiego, wypychającego jego kieszeń noża, który wyciągnął tylko dla popisu; gdyż wystarczały mu jego ciężkie pięści.

Samte–Luce nie puścił dotąd ramienia Marka, zbyt zajętego, by zauważyć tę kotew, której nie znosił; Marek, blady i podniecony, mówił głośno, nie widział, że mądry pilot u steru zwrócił łódź na lewo i przeprawił go przez trawniki alei, kierując ku wyjściu. Bawił się jak dziecko, czując pod stopami trawę, po której nie wolno było stąpać, i miał ochotę zatrzymać się, by uszczknąć kwitnącą gałąź kasztana. Ale policja przewidziała, że pójdą w bok, i spiesznie rozsypała się w tyralierę. Chcąc nie chcąc, godność zbiorowa musiała ustąpić trosce o ratunek osobisty; trzeba było wziąć nogi za pas. W okolicach placu de la Madeleine, u wylotu ciasnej ulicy, czterej towarzysze, tworząc czoło rzadkich niedobitków – *rari nantes*[144] – kolumny, zderzyli się z falą policjantów w cywilnych ubraniach, którzy zaatakowali ich wście-

[144] *R a r i n a n t e s* (łac.) – dosłownie: rzadcy pływacy. Są to słowa z I ks. *Eneidy: „apparent rarinantes in gurgite vasto"* – „wynurzą się nieliczni nad wielkich wód tonie" (przekład ks. Karyłowskiego).

kle. Bitwa była krótka, lecz dzika. Marek miał ledwo czas ujrzeć, jak Bouchard rzucił się na zbitą grupkę policjantów, padając na ziemię pod ciężarem jednego, przygniatając drugiego, tratowany obcasami innych. Szeroka pierś Vérona huczała jak bęben pod grzmotami pięści. Marek zaś, szarpnięty za ramię tak nagle, że zachwiał się i omal nie upadł, ujrzał kawał stali – rękojeść szabli – co drasnąwszy go mignęła tuż koło twarzy, i znalazł się o kilka kroków dalej, wciąż trzymany za ramię przez Sainte–Luce'a, który ocalił go od śmiertelnego ciosu. Ścigani, uciekali przez splot ulic tworzących sieć pajęczą dokoła bulwaru.

Zamykano pospiesznie sklepy. Marek nie widział nic, krew spływała mu na brwi, w głowie huczało. Słyszał za sobą wrzaski ścigających. Dał się wlec Sainte–Luce'owi, który nie wahał się, pewny swej drogi. Skręciwszy raz czy dwa, na rogu ulicy Luce zastukał, jak królik, w zamknięte okiennice sklepu modystki i zawołał: Aniu!... – Żelazna żaluzja w drzwiach uchyliła się szybko od dołu; trzeba było zgiąć się we dwoje, by przejść; Luce popchnął Marka i wlazł za nim na czworakach. Kobiece ręce chwyciły chłopców za uszy i wciągnęły ich do środka. Żaluzja opadła z powrotem. Znaleźli się w ciemności, na kolanach. Jakiś policjant wrzeszczał na dworze waląc w okiennice. Marek próbując się podnieść usłyszał przy swej twarzy rozbawiony szept: „Pst!" i ręce jego w poszukiwaniu oparcia natrafiły na dwoje klęczących krągłych ud. Milczeli w bezruchu, dziewczęta tłumiły śmiech. Gwizdek wzywał rozkazująco człowieka, który dobijał się tak zawzięcie; klnąc musiał doścignąć większość oddziału; tam walka huczała dalej i trzeba było bić innych. Cisza znowu zaległa ulicę. Wtedy Marek, którego opuściła gorączka, spostrzegł, że klęczy wśród ciemności naprzeciw klęczącej dziewczyny i że ciepłe, pachnące ambrą usta spoczęły bez ceremonii na jego ustach, mówiąc: – Dzień dobry! – Odrzekł: – Dobranoc! – .A tamta, zaśmiała się i rzekła: – A może byśmy zobaczyli się teraz?

Powstali i zapalono nie elektryczność, lecz świeczkę w lichtarzu, której długi, kopcący płomień ukryty był we wnętrzu czyjejś dłoni. Przedstawiono się. Było ich dwie: Ginetta i Melania, dwie siostry; pierwsza miała lat siedemnaście, druga dwadzieścia. Starsza, brunetka, młodsza – ruda o mlecznobiałej cesze, obie oczywiście umalowane; żywe, wypukłe oczy przymrużone w uśmiechu, buzie w ciup niby pyszczki łasiczek. Melania była kochanką Sainte–Luce'a. Ginetta prawdopodobnie także. Dobrem i złem dzielono się familijnie. Było dużo śmiechów i słów. Opowiadały obie to samo jednocześnie albo powtarzały jedna po drugiej tymi samymi wyrazami, po czym śmiały się obie serdecznie, jakby za drugim razem zostało to lepiej opowiedziane. Klaskały w ręce ciesząc się z przygody; i jakie miały szczęście, że stały na stołku, patrząc przez szparę wystawy, gdy ścigany Luce zapukał!... Aby wzmocnić swą radość dreszczem grozy, wmawiały w. siebie, że szpicle zaraz wrócą i przeprowadzą rewizję.

– Czekając na szafot – rzekł Sainte–Luce – wypijmy ostatni łyk.

I zaczął śpiewać:

– Umrzeć dla Melanii to najsłodszy los!

Lecz Ginetta, nie mająca nic przeciw temu, by za nią również umierano, przyglądała się z zaciekawieniem twarzy Marka, który odwracał się gniewnie. Urządzono wspólnie kolacyjkę w półmroku. Marek udobruchał się tak; że w końcu pozwalał kłaść sobie do ust kąski i nawet oblizał palec Ginetty powalany czekoladą. Ale Ginetta krzyknęła: ten szczeniak ją ugryzł! Przeprosił, zawstydzony, i wstał oznajmiając, że wraca już do domu. Lecz tamtych troje zaprotestowało. Na ulicy panowało jeszcze wzburzenie, groziło niebezpieczeństwo. Ginetta prześliznęła się przez uchylone drzwi i udała się na zwiady. Wróciła zapewniając, że policja zamknęła wszystkie wyjścia z dzielnicy. Marek nie był pewny jej prawdomówności; koniecznie chciał wyjść. Nie zgodzono się na to. Draśnięcie na policzku zdradziłoby go od razu. A Ginetta zauważyła, że ma kurtkę podartą na ramieniu. Kazała mu ją zdjąć, by zeszyć. Gdy zdjął, zauważono przez dziury w poszarpanej koszuli, że ramię jest posiniaczone i pokaleczo-

ne. Czemuż nie powiedział tego? Ginetta i Melania miały sposobność wykazać swój kunszt pielęgniarski. Podobało im się to.

Nie było mowy o wyjściu tej nocy. Zabrano się do rozbijania obozu. Za sklepem, w pokoiku wielkości podwójnej szafy, bez okna, znajdowało się łóżko–kanapa, które rozpołowiono, kładąc materace na ziemi... Była wojna!... „A teraz wybierz, którą chcesz!...” Marek, przejęty wstrętem, zakłopotany, gniewny, starał się wszystkimi sposobami wycofać. Ale nic z tego. Obie gospodynie ofiarowywały się otwarcie, po prostu. Cóż naturalniejszego? Nie mógł przecie obrazić tych dobrych dziewcząt i grać cnotliwego Józefa (rola nie w jego guście!). Nie podobna wytłumaczyć się. Luce, który dokonał już wyboru, widząc zakłopotanie Marka spytał po koleżeńsku:

– A może chcesz się zamienić?

Marek miał ochotę go spoliczkować. Zawstydzony i wściekły, pomagał Ginecie przełożyć materac. Mała szepnęła mu do ucha: – Nic nie szkodzi. Jeśli pan nie chce, zrobimy na niby; każde będzie spało po swojej stronie.

To go wzruszyło. Światła pogasły. „Spać każde po swojej stronie.” Łatwo to powiedzieć. Było tylko miejsce na lub pod. A wyciągnąwszy rękę dotykało się drugiego leża, gdzie tamci nie czekali długo z rozpoczęciem. Ginetta tłumaczyła się pokornie:

– Jestem brzydka.

Odrzekł z przekonaniem.

– Nie.

Nie, naprawdę, to nie dlatego. Starała się zrozumieć. Przypuszczała, że kochał inną i pragnie zostać jej wierny. Nie chciał wyprowadzać jej z błędu. Uważała, że to piękne: nie była przyzwyczajona do takich skrupułów. Gawędziła z głową na poduszce, dziecinna, wzruszająca, zepsuta, a uczciwa. Marek, który w jakiejkolwiek by leżał pozycji, dotykał prawie ustami kącika jej paplających warg, czuł ich migdałowy, słodko–gorzki smak. I najmniejszy ruch, jaki czynili, rozpętywał namiętności. Nie śmiał się ruszyć. I oczywiście w chwili gdy stwierdził energicznie: „Nie!” – żądze rzekły: „Tak”... Potem był odurzony, czuł wstręt do siebie. Dziewczyna zachwycona, wierząc ciągle, że myśli o swej zdradzonej bogdance, próbowała go pocieszyć, mówiła: – Ona nie dowie się o niczym. – Ale on nie mógł wytrzymać dłużej. Powietrze ciupki dławiło go. Wstała pokornie, by otworzyć mu skrycie drzwi sklepu, podczas gdy tamci spali. Wymykając się przez otwór, ucałował jej kolana.

Znalazł się w chłodzie nocy kwietniowej, zlany potem, nieprzytomny, zgorączkowany. Nie czuł sił do walki ze swymi przebudzonymi zmysłami. W myśli przeżywał dzisiejsze starcie, ową ruchawkę, ucieczkę i pościg, całą wstęgę puszczonego w ruch filmu...

Nazajutrz niesmak spudłowanej roboty...

Ta niedorzeczna manifestacja polityczna, bez planu, kierunku, dalszego ciągu, była tylko targnięciem się zwierzęcia w hołoblach, niezdolnego ich połamać: przyniosła mu tylko kalectwo; zwierzę połamało sobie krzyże; pozostało tylko wezwać oprawcę.

Bouchard znikł. Jedynie Marek niepokoił się o niego. Inni nie troszczyli się wcale. Byli wszyscy ponurzy i wściekli: myśleli tylko o tym, by zrzucić z siebie odpowiedzialność, niby ciężki ładunek. Po trzech czy czterech dniach zjawił się Bouchard, z twarzą obrzmiałą i poważnie uszkodzonym okiem. Zbito go na kwaśne jabłko, okropnie, wtrącono na kilka dni do paki i po przesłuchaniu wypuszczono tymczasowo; sprawa przekazana została sądom karnym. Groziło mu kilka lat więzienia za bezprawne noszenie broni, pobicie i znęcanie się nad policjantami, obrazę władzy, knowania anarchistyczne i podburzanie do zbrodni. Od tej chwili drzwi profesury zamknęły się dlań raz na zawsze, znalazł się na czarnej liście uniwersytetu, rozsądni spośród kolegów odsuwali się od niego. Atoli on zaczął znów z zażartym uporem przygotowywać się do egzaminu – do klęski.

Véron drwił sobie z tego. On nie dostał nawet cięgów. Pytano go, w jaki sposób. Chełpił się, śmiejąc się szyderczo, że posmarował kopyto szpiclom: w komisariacie nazwa jego banku była mu lepszą poręką, niż gdyby pokazał odznakę deputowanego. Co do Boucharda, głupiec dał się złapać. Nie trzeba się było dawać. Tym gorzej dla niego. Trzeba wiedzieć, co się ryzykuje.

– A ty co ryzykujesz? — pyta Marek szorstko.

Véron śmieje mu się w nos i mówi z cyniczną fanfaronadą:

– Twoją skórę. Jeśli zechcesz!

Lecz czuje, że posunął się za daleko, i mówi dobrodusznie:

– Ostatecznie panowie z Sorbony wyrzucając go oddali mu tylko przysługę. Kto chce zdobyć szczęście, a nie ma bielma na oku, wystarczy, by się pochylił, żeby je podnieść.

– Trzeba mieć grzbiet stworzony do tego – odpowiada sucho Marek.

– Jeśli nie jest do tego stworzony, kij życia nauczy go... – mówi Véron.

Odwracają się do siebie plecami... *Adieu!*

Adolf Chevalier nie zjawił się. Lecz jeśli idzie o niego, nie ma się co niepokoić. Pojechał do swych dóbr... Czyta Montaigne'a. Czego żądać od niego więcej? Oczy otwarte. Usta zamknięte. Umysł wolny i bezpieczny. W tyłek ciepło... Nikt nie oskarży tego klerka, że zdradził! Niech inni działaniem narażają idee na kompromis.

Menażeria Henriety Ruche opustoszała. Marek wróciwszy do Henriety znajduje się z nią sam na sam; i nie wie, co jej rzec. Ruche z łokciami na stole, z brodą na dłoniach świdruje go wzrokiem, uśmiechnięta dziwnie; rzekłbyś, że czeka... Na co? Marek wpada w gniew. Lecz im bardziej on staje się szorstki, tym ostrzejszy jest jej uśmiech. Marek nie może przemóc tych surowych małych źrenic, plądrujących w jego podwórku. Ruche zbija go z tropu. Coś się w niej zmieniło lub zmienia. Lecz nie zajmuje go ona tak bardzo, by tracił czas na jej zrozumienie. I niemiło mu, że ona waży się rozumieć... Gdyż Marek daremnie mówi sobie: „Ona nic o mnie wiedzieć nie może. Drzwi moje są dla niej zamknięte." Nie jest wcale pewny, czy ona nie podgląda przez dziurkę od klucza. Urywa więc w środku zdania, wstaje rzucając jej gniewne spojrzenie i wychodzi niegrzecznie. Ani drgnęła. Marek, będąc już na ulicy, mówi sobie, że gdyby wrócił i otworzył drzwi – mniejsza, w jakiej chwili, tej nocy, za tydzień – ujrzałby po drugiej stronie stołu te świdrujące oczy między przymkniętymi rzęsami i ironiczne usta dymiące błękitną nitką papierosa, który pali się w jej długich palcach. Marek na ulicy tupie ze złości. Przysięga sobie, że dużo wody upłynie, zanim wróci. Lecz jak rozgniewane dziecko, snuje wściekłe marzenia, by otworzyć tę bezczelną i jej bezwstydne oko, jak otwiera się nożem skorupę mięczaka, żeby zobaczyć, co jest w środku...

W jeszcze bardziej dojmującej samotności, z krwią rozpaloną słodko–gorzkim zetknięciem z małą towarzyszką nocy, przeżył kilka następnych dni we wstrząsie moralnym i fizycznym, nic mogąc odnaleźć swej drogi.. Zmuszał się do pracy jak ktoś, kto się rzuca do wody; lecz woda wyrzucała topielca. Zupełny brak sił. Niechęć do wszystkiego. Działać, myśleć? O czym? Po co? I ciągle, z każdą godziną ta otchłań bezwoli rozszerza się, wciąga go jak ssawka. Ma wrażenie, jak gdyby czuł przywarte do swej piersi grube, chciwe wargi. Zanik swej istoty, upływ energii... Nieuchronna pochyłość... Uciec, uciec. Nie!... Wbija paznokcie w brzeg przepaści... Jeśli padnę, nie wydźwignę się już... Na dole potok... Daremnie zaciska oczy, słyszy go... a pod palcami sypkość usuwającego się żwiru, kruszący się kamień... Nie puszcza go sam, nie, zostaje zepchnięty...

Pewnego wieczoru wchodzi Sylwia i jednym kopnięciem strąca kamień wraz z wiszącym na nim pająkiem.

– No, jazda. Zabieram cię!... Zmarnowałeś dość czasu!... Nie gadaj mi, że korzystasz z niego, ziewając!... Ziewałeś, naturalnie, przyłapałam cię... Dobrze, jeśli u mnie będziesz roz-

dziawiał gębę, to przynajmniej z jakiegoś powodu. Mam na składzie wszystkie najdroższe, najnowsze spliny, *Quat'z–Arts*[145] (jest ich przynajmniej ćwierć setki). A „artystki"!... Jeśli chcesz zobaczyć Komedię – *Tutt' è burla!...*[146] – dam ci klucz od kulis. Najlepszych i najgorszych aktorów widuje się nie na scenie. Aby móc kiedyś grać w farsie swoją rolę, patrz, patrz, patrz! Kto patrzy, ten króluje.

*

Zabrała go do swego pałacu przy avenue d'Antin – swego małego Luwru, gdzie panował król Coquille. Królowe we Francji – wbrew prawu salickiemu – niejednokrotnie dzierżyły berło. Dzierżyła je i Sylwia, pozostawiając kądziel swemu Coquille, który zasypiał przyjemnie na laurach, otoczony dworem. Uważał się za inspiratora swej epoki. Otoczony był kobietami, intrygantami i artystami, którzy schlebiali mu, drwili zeń, brali od niego pieniądze i których on w swym mniemaniu zaopatrywał w idee, węch i piękność. Gdyż mieszał się w sposób komiczny do wszystkich sztuk. Dawał rady malarzom, którzy mu pokazywali swe pręgowane płótna i problematy geometryczne. Widziano, jak w swym ogrodzie wpadał w kontemplację przed eksponatami rzeźby murzyńskiej. Odkrywał piękności świeże i napoczęte, talenty przejrzałe i zasuszone, tancerzy hinduskich, natchnionych z Ménilmontant i alfonsów z Montauban. Był namaszczony jakby wszystkimi swoimi kremami i służalczo poufały z częścią swej klienteli – wielkimi, zalegającymi z zapłatą damami oraz z kilku koronowanymi – pozbawionymi koron – głowami, które mając do wyboru między głową a tym, co na głowie, wolały stracić to drugie. Wtrącał się też do polityki i zachęcony przez dojących go pochlebców, myślał o nabyciu wielkiego dziennika, w którym mógłby przemówić do świata (ale jak?). Byłby w kłopocie, chcąc to napisać, a nawet dowiedzieć się, jakby to brzmiało. Lecz sfabrykować to dla niego byłoby rzeczą jego utrzymanków od kałamarza.

Królowa, Sylwia, królowała nad toaletami i zabawami, których szalona ekstrawagancja żywiła kronikę Paryża. Chętnie przybrała sobie siostrzeńca w roli swego ministra wywczasów i przyjemności lub, prościej, informatora co do sztuk pięknych – sztuk mniejszych w stosunku do wyższej Sztuki Zabawy. Gdyż na sztukach pięknych nie znała się tak bardzo, posiadała tylko wrodzony smak i instynkt. Nie było to mało: było dosyć, by strzelać, tu i ówdzie, zabawne bąki, które zresztą moda dnia arcychętnie brała za dowcipne figle. Ale dzisiejsza wziętość jest jutrzejszą klęską. Sylwia nie myliła się w tym względzie, czuła chwiejący się grunt pod stopami. Rada była, że może oprzeć się na Marku. Przyszedł, nieufny, zwabiony. I – jak to było do przewidzenia, w tym wściekłym karnawale wyuzdanej przyjemności i dowcipu, gdzie mieszały się z sobą sztuka, miłość, intryga i szaleństwo – stracił od pierwszego kroku głowę. Zamierzał narzucić sobie niemożliwą w jego wieku rolę obojętnego widza, który pragnie wszystko widzieć, nie przejmując się niczym, by stać się panem życia; drugi wygłodzony długim postem Julian Sorel[147], którego jeden haust wina przyprawia o zawrót głowy. Po pierwszych kroplach zakręciło mu się we łbie.

Sylwia spodziewała się tego. Nie uczyniła nic, by go zdradzić, ale też nic, by go bronić. Śledziła z boku jego walki, bawiła się nimi, podobały się jej. Rozpoznawała w Marku swą dumną Anetkę i skrycie brała odwet za matkę na synu... „Wieżo, baczność!..." Dzielna wieżyczka. Sterczy dumnie, trzyma się w swych wiązaniach. Sylwia przyklaskuje jej drwiąco. Jest sceptyczką. Czeka końca. Wie dobrze, że wiązania trzeszczą, że wszystkie te mury pewnego dnia zostaną nagle zmiecione. I myśli: „Cóż na to poradzić? Chcąc nie chcąc, tak czy

[145] *Quat'z Arts* (st. fran.) – cztery sztuki.

[146] *Tutt' è burla* (wł.) – wszystko jest komedią.

[147] Julian Sorel – bohater powieści Stendahla *Czerwone i czarne.*

siak, trzeba zawsze przejść przez to. Niech młodość się uczy, i to na własne ryzyko. Jeśli opłaci to cięgami, własną skórą – nie szkodzi. Zwierzę jest dzielne. Wyłabuda się... Najważniejsze, by przejść przez to. Kto nie przeszedł, nie jest mężczyzną..." Nie trapi się tym. To rzecz Marka. Złą by mu oddał przysługę, kto by chciał działać za niego... Ona ma swoje sprawy, swoje interesy i przyjemności. Nie ma czasu do stracenia. Sylwia płonie w upale swej drugiej młodości.

Więc Marek musi sam stawić czoło wszystkiemu, co nań napiera: pięknym dziewczętom, szałaputom, oszustom, całej zebranej tu mieszaninie. Sam jest świeżym owocem, który kusi niejedne uszminkowane usta. Jest siostrzeńcem, ulubieńcom sułtanki, poprzez niego prowadzi droga do niej. Nie jest taki głupi, by nie wiedzieć o tym. A podejrzliwy, ten smarkacz! Jest raczej skłonny wierzyć, że chcą go nabrać, że nawet kobiety, które lecą na niego bezczelnie, prowadzą interesowną grę – nie jest to prawdą: młody dzikus czaruje je. Czaruje nawet jego niezręczność, opryskliwość i szorstkość, którą rozjaśnia nagle zmieszany, uroczy uśmiech – i spod ściągniętych brwi spojrzenie tęskne, trwożne, pytające, co oddaje się nagle jak dziewczynka – szalona dziewczynka, którą upojono i która zaczyna gadać od rzeczy... Mały Lucjan de Rubempré[148]... Lecz w gruncie rzeczy jest to zawsze Marek – warchlak, który gdy się go chwyci, wyzwala się jednym uderzeniem ryjka, błyśnięciem kła. Tym bardziej kusi. Można zostać zranionym. Podwójna przyjemność. Polowanie rozpoczęte. I zwierzyna musi uważać nie tylko na sieci, ale na popędy, które budzą się w nim nagle jak uderzenia wichru i każą mu rzucać się na oślep głową naprzód. Trudno się im oprzeć. Za każdym razem, wychodzi z tego bardziej wstrząśnięty. I przewiduje, co nastąpi. Powinien uciec... Dziesięć razy mówi sobie: „Odejdź!" Nie ucieka... Jest to mimo wszystko zbyt zajmujące. Zbyt wiele może ujrzeć, chwycić jego sokole oko na tym zastrzeżonym terenie myśliwskim, gdzie on z kolei poluje i ze swego stanowiska widzi wszelaką zwierzynę, grubą i drobną, skrzydlatą i czworonożną – mimochodem chwyta nawet dziobem dziób jakiejś dzierlatki; ale to niebezpieczne; w tych momentach oko się mąci i grozi mu, że ktoś jego chwyci z kolei... Chwyci... Nie chwyci!... Zawzina się. Ucieczka byłaby przyznaniem się do klęski.

Zostaje i co dzień cięższa staje się jego myśliwska torba. Ale on nie nabiera przez to rozumu. Ma oczy coraz bardziej pijane. I wir pod czaszką... Wszystko, w co się wierzyło lub nie wierzyło, lecz co się przyjęło, aby móc żyć, wszystkie podpórki życia społecznego walą się w gruzy. Ach, z całej moralności przedwczorajszej (nie mówmy o wczoraj, wczoraj była wojna!) cóż pozostaje? Stare grzechy, przesądy, nawet przymusy prawne, zawsze w tyle za pochodem społeczeństwa... to mało jeszcze powiedzieć, że się je depce! Nikt nie wysila się nawet na tyle. Przechodzi się po nich nie myśląc o tym... Czy to ruina domu ludzkości? Czy została podarta umowa społeczna? Więc powrót do lasu?... Nie, to wygaśnięcie umowy. Przed odnowieniem kontraktu wykreśla się punkty, dodaje się nowe. Stare mieszkanie, ciasne, niezdrowe, wali się w gruzy. Trzeba je odbudować, powiększone. Chora, w krytycznym wieku, ludzkość musi odmłodzić swą zepsutą i zubożałą krew czerpiąc znowu z utajonych w sobie, straszliwych zwierzęcych energii. Zniewieściali, tchórzliwi ojcowie krzywią się płaczliwie: „Wszystko jest stracone!..." Wszystko jest uratowane; jest lub będzie. Lecz nie za darmo! Trzeba naznaczyć cenę...

Marek jest gotów naznaczyć cenę. Lecz czy stać go na to? Inteligencja jego jest odważna, zbyt odważna, unosi go dalej, niż reszta może nadążyć. Daremnie widzi, sądzi, rozumie, zachowując niezależność umysłu: mózg nie jest sferą niebiańską, zależy wszystką swą treścią od brzucha; jest zdradzany, wydawany na łup i poddaje się wrogowi...

Tymczasem jeszcze broni się. Mózg i serce, zbuntowane, obrzucają wściekłą pogardą pewne widowiska. Marek podwala sobie na kwiatki językowe zapierające dech w piersiach

[148] Lucjan de Rubempré – bohater kilku powieści Balzaca z cyklu *Komedii ludzkiej.*

królowi perfum i każące śmiać się ukradkiem Sylwii, Małemu Kapralowi, która ciągnie go za ucho, w swej czapce stróża moralności publicznej włożonej na bakier.

– Brzydalu, czy nauczysz się zachowywać w towarzystwie?

On wierzga. Wypala gorzkie prawdy. Najbardziej oburza go szalona rozrzutność w wydawaniu pieniędzy na zabawy. Mówi jej, że to wstyd, gdy tysiące nie mają co do ust włożyć. Sylwia nie wzrusza się tym wcale. Przedwczoraj i ona nie miała co włożyć do ust. Dziś wetuje to sobie. Odpowiada cynicznie:

– Nadmiar wyrównywa niedosyt. Nadmiar jednych, niedosyt drugich. Wytwarza się równowaga... A zresztą, czego chcesz, mój mały? Co flet zarobił, to wytrząsa bęben. Żyje się, jak się da...

Marek wyrzuca to jej na wszystkie sposoby, a także jej metody i zarobkowania, i wydawania, więc handel artykułami zbytku, szmatkami i pachnidłami, dom schadzek, wyzysk klienteli, ceny sprzedaży (złodziejskie ceny) tak niestałe jak kaprysy tego oszalałego robactwa – kupujących głupców! Sylwia odpowiada, że gdyby przyszło żyć z mądrości ludzi, a nie z ich głupoty, trzeba by przykręcić pasa, a ostatecznie ona i Coquille pozwalają żyć nie tylko sobie i siostrzeńcowi („temu smarkaczowi!"), lecz całej armii pomocników. Marek, stropiony, pyta bezsensownie:

– Na co to wszystko?

– Co?

– To, co robisz ty i oni

– Na nic. Aby żyć. Czy życie służy na co? Człowiek wychodzi z brzucha, rodzi się, nie wiadomo po co. Napycha brzuch, je, kocha, ciska się, nie wiadomo po co. Umiera, wraca nie wiadomo dokąd, też nie wiadomo po co. Nie ma nic wiadomego, prócz jednego pewnika: człowiek nudzi się. I wszystko, co się wyczynia na świecie, jeden ma tylko cel: nie myśleć o tej nudzie.

Marka uderza odsłonięta niespodzianie gorycz. Widzi nagłe zmęczenie w obrzmieniu dokoła oczu, w fałdach znużonych ust. Kobieta zdradziła się w chwili przygnębienia. Ale szybko, nagłym ruchem prostuje się znowu. Odtrąciła cały ciężki bagaż, który wlokła za sobą. I wraca do walki z twarzą wyzywającą i ironiczną, po której przemknął błysk gniewu. Ten głupi siostrzeniec ze swymi banialukami rozgoryczał ją! Zaczyna już mieć ich dosyć. „Chełp się, mały! Udawaj Katona! Ładny mi Katon! Zakonnica – ladacznica! Pierwsza lepsza, gdy zechce, zrobi z ciebie, co zechce. Trzeba ukrócić twą pychę..." Wraca do gry, do swej zaciekłej pracy.

Marek nie jest niesprawiedliwy względem niej. Wie dobrze, że Sylwia nie siedzi nigdy z założonymi rękami. Z zapałem pracuje i bawi się; pracuje wciąż i każe pracować swym pomocnikom, nie ustaje nigdy. Ceni naprawdę tylko pracę, jakąkolwiek pracę, i gardzi ludźmi zbytku, nierobami, których wyzyskuje, których oskubałaby bezlitośnie. Jak w wielu córach ludu paryskiego, jest w niej coś z podpalaczki Komuny, która w nadarzającej się chwili podpaliłaby społeczeństwo, i to bez namysłu. Ale nie mają one zrozumienia dla zorganizowanej Rewolucji socjalnej. I Sylwia nie chce o niej słyszeć. Mieszczka i podpalaczka żyją w niej zgodnie. Izbę Obrachunkową polewa się tą samą naftą, która służy do rozpalania w piecu. Co do logiki ideologii, Sylwia nie sadzi się na nią. Jest anarchistką z temperamentu, która chce czynić swą sprawiedliwość i niesprawiedliwość sama, bez wtrącania się państwa i innych. Moralne jest to, co się jej podoba, a to jest w swej bezczelności często bardziej prawe niż Prawo. Nienawidzi wszystkich obłudnych fars dobroczynności urzędowej i światowej; uprawia dobroczynność własną, zapobiegliwą, jasno określoną, w której nie wyręcza się nikim i o której nikomu nie mówi. Trzyma ostro swe pracownice, gdyż nie przyjmuje do zajęcia wietrznie; lecz czuwa nad nimi, dba o ich zdrowie; założyła dla nich pod Paryżem dom wypoczynkowy i wakacyjny; wydaje je za mąż, obdarza ulubienice cennymi prezentami, które

stanowią małe posagi; co więcej, pozyskała sobie ich zaufanie, radzi im, kieruje nimi – na swój niemoralny czy moralny sposób – lecz zawsze po ludzku, wiedząc, czego wymagają ludzkie słabostki, ale nie przyznając im więcej, niż im się należy. Zrobiłaby dobrze, radząc też sobie i ograniczając dziedzinę swych przyjemności.

Ale sobie przyznaje przywileje osobne. Ufa zbyt wiele swemu instynktowi i swym siłom, których nadużywa bezkarnie od lat dwudziestu. Bezkarność nie może być wieczna. Sylwia powinna by czuć pierwsze oznaki psującego się zdrowia. Czuje je. Lecz jest przyzwyczajona do ryzyka... A zresztą w tej gorączce pracy i rozkoszy jest – jak to Marek dostrzegł przez chwilę – podkład gorzkiej obojętności dla swego życia, w którym brak dzieci, uraza do życia, którego zbędność niepotrzebnie wykazuje jej ten głuptas Marek... Więc zdychaj, cielsko! Aż do ostatniego tchu haruj i używaj!

*

Podczas jednej z zabaw w jej pałacu – dansing, narkotyki, małe Luperkalia – gdzie Sylwia, tęga i kwitnąca, dekoltowana, jak mówi, do pasa, diablo wymalowana, zaprószona cocktailami (istna faunica), sieje żar dokoła – mózg Marka daje nura. Przy jego stałym podnieceniu zmysłowym tak mało trzeba, by się upić. I niekiedy poczucie własnej niższości, zamiast czynić go ostrożniejszym, popycha go do junactwa... Jest „urżnięty”... Przewraca oczyma. Nic nie widzi, nic nie wie, wpadł w głąb wiru, któremu przewodzi satyrzyca; w uszach krew wali mu młotem, żądza ryczy, ogłupiały rozum chwieje się i pada. Nie rozróżnia już w tej zawrotnej farandoli krwawych ust, które śmieją się tuż przy jego ustach... Lecz gryzie je. I dziwna, dzika rozpala go zazdrość... Traci świadomość i przerażony, odnajduje się w podziemiu, skąd słychać daleki gwar i muzykę, sam, zagubiony, nie mogąc już zdać sobie sprawy ze swych myśli... Co się stało?... Nie pamięta już, nie wie, czy pamięta, czy zmyśla... I w tym, co zmyśla, strach uczestniczy na równi z żądzą... Zniknął słup graniczny między tym, co było, a tym, co by być mogło...

Jednym i drugim czuje się tak przybity, zhańbiony, napiętnowany... I uchodząc, uciekając ze strachem z tego kiermaszu, który tam na górze zwija i rozwija niezmordowanie swe kręgi, spostrzega krwawe usta i słyszy gardłowy śmiech diablicy Jordaensa. Wymyka się w noc, drżący, przejęty lodem i ogniem, a duch jego biczując się krwawi, niezdolny ani wiedzieć, ani żałować. W każdym razie nienawiść i pogarda! Ognia, krwi! Ale nie żale! Nie zapomnienie – za nic!... By się ukarać, zamyka się w swej norze studenckiej, w swej pustyni. Nie wraca już.

Sylwia nie może zrozumieć nawałnicy, która szaleje w ciele młodzieńca. Po burzy nocnej nie ma w niej nazajutrz śladu niepokoju. Widzi znów jasno w oczach młodego chłopca ten nagły płomień szaleństwa, ten huragan zazdrości, który omal nie pogruchotał jej kości i wycisnął tę bliznę na wargach... Chwila, oto wszystko... Pochlebne to jednocześnie i śmieszne. Sylwia jest nieczuła na wszystkie niepokoje, które pozostawia po sobie zetknięcie się z nią, dzięki śmiałości swej natury amoralnej bez głębszego zepsucia, nie dbającej o konwencje słuszne czy niesłuszne, dzięki galijskiemu umysłowi i oku zawsze ironicznie czujnemu na śmieszność sytuacji. Widziała niegdyś starą Sarę w *Fedrze*[149] i przypomniała sobie Hipolita... Ach! głuptas!... Jej Hipolit czmychnął, zawstydzony... Sylwia pęka ze śmiechu... Wielka rzecz! Boże, jakże głupim jest się w dwudziestym roku życia! I zawsze te bujające wśród gwiazd duchy robią z igły widły. Gdy się sypia z wiecznością, czyż warto troszczyć się o płatek róży w jej posłaniu?... Mruga do siebie w lustrze. Róża jest dojrzała. Śmieje się z siebie i z niego, bezstronnie. Szelma śmieje się też ze swej siostry Anetki. Co by rzekła, gdyby się

[149] S a r a w *F e d r z e* – mowa o występach znakomitej aktorki francuskiej Sarah Bernhardt (1844–1923) w tytułowej roli w *Fedrze* Racine’a.

dowiedziała!... Nie ma obawy! Hipolit, „wyszedłszy z bram Trezeny", wolałby dać się żywcem połknąć potworowi... „Idź, mój Jonaszu!..." Niech idzie. Wróci...

Nie wraca. Twardy chłopiec kryje w sobie urazę. Nie przebacza swej klęski. Nie tylko klęski owej nocy, o której nigdy się nie dowie, na czym polegała. (To najboleśniejsze, gdyż ona wie... Co wie?...) Lecz i klęski wszystkich dni, które sprzedał temu wrogiemu światu (czyż nie pozwalał się utrzymywać?). I co jeszcze gorsze: klęski przyjemności, którą w tamtej klęsce zakosztował. Zadawał się z tą zgrają pasożytów i prostytutek, która żyje z nędzy świata! Sam lżył się także od „prostytutek"... Nie ma przebaczenia! Nie rozgrzesza go słabość. Znał ją lepiej niż ktokolwiek. Kłamał mówiąc sobie, że będzie najsilniejszy. Mówił to sobie nawet w chwili, gdy zdradzał. Zdradzał przez uległość ciemnej, palącej go żądzy rozkoszowania się tym kwiatem znieprawionego zbytku, tymi wszystkimi owocami gnijącego świata. Usprawiedliwiał się kłamliwie prawami ducha, który winien patrzeć i poznawać, by lepiej walczyć. Tak, ujrzał już – i ujrzał siebie! Niewątpliwie, nic z tego nie zostanie stracone. Wracał z łupami. Lecz wśród tych łupów była i jego własna skóra. „Marek–prostytutka"... Deptał ją wraz ze światem, z którym się zespolił. Zadał sobie pokutę. Reakcją szalonego ascetyzmu przysiągł, że wytrzebi w sobie wszystkie zdradzieckie instynkty, które wydały go nieprzyjacielowi. Narzucił sobie dyscyplinę ciężkiej pracy, surowego niedostatku i zupełnej abstynencji od kobiet. Pokonać swą naturę, przekuć ją, skruszyć pod młotem. Dobry sposób, by gromadzić w swej głębi narastający bunt gwałconego nieprzyjaciela! Lecz nieludzkość jest w tym wieku często jedynym środkiem zbawienia. Gdyż w tym wieku dla chłopców, tego pokroju istnieje wybór tylko między skrajnościami. Marek wybrał sposób „żelaznego pancerza". Zamknął swe młode, szczupłe ciało, płonące gorączką i słabością, w zbroi nieubłaganego wyrzeczenia. Nosił ją dniem i nocą. Nie zdejmował jej nawet do spania – do niespania (*per non dormire...*[150] wielka dewiza!) – chcąc zmusić się do tego, by mieć oczy zawsze otwarte.

Sylwia, która miała w Quartier swych informatorów, wiedziała, że Marek znajduje się w kłopotach materialnych. Wyciągnęła doń rękę. Odtrącił ją. Przez dwa czy trzy miesiące powtarzała to co jakiś czas, uparcie. Uparcie zaciął się. Nie odpowiadał na żadną kartkę. Posłała mu bez słowa czek. Ostatnia obelga.... Pieniądze od niej, teraz! Nabazgrał wściekle na czeku: „Nie przyjęte!" i odesłał go odwrotną pocztą. Miała ochotę pójść natrzeć mu uszu. Co za głuptas!... Widziała siebie, jak otwiera drzwi jego nory, podchodzi ku niemu, on zaś odwraca się, z wściekłymi oczyma, blady z przejęcia, milczący. Toteż dobrze zrobiła, że nie poszła. Nie wiadomo, kto z dwojga by milczał. Być może, padłyby słowa okrutne, które trudno byłoby kiedykolwiek zapomnieć...

Ale na szczęście Sylwia wróciła do swego kieratu. Maszyna huczała. Trudno ją było zatrzymać. A przydałoby się: dwa czy trzy razy ciężka fala krwi przesłoniła jej oczy. Ale Sylwia nie zwykła tracić czasu na takie drobnostki... Naprzód, tańcz! Wróciła lekkim krokiem do farandoli. Farandola oddaliła się. Przez pół roku słyszał Marek o pani Coquille tylko z dzienników. Ona zapomniała o nim zupełnie.

*

Marek jest więc tak samotny, jak tego tylko może pragnąć. Jeśli chodzi mu o to, by o własnych jedynie siłach dać sobie radę, ma, czego chciał. Nie może od nikogo oczekiwać nawet źdźbła. Matka jest daleko i nie ma pieniędzy, by mu je przysyłać. Sama z trudem wydostaje swą pensję. Pisują do siebie mało. Ona żyje na zapadłej wsi: komunikacja jest trudna, listy dochodzą z ogromnym opóźnieniem. Anetka przeżywa najkrytyczniejsze tygodnie swego wygnania, jest w ciężkich tarapatach. Będzie mówić o nich – jeśli będzie – gdy się z nich

[150] *P e r n o n d o r m i r e* (łac.) – dosłownie: żeby nie zasypiać; w znaczeniu przenośnym: żeby nie gnuśnieć.

wygrzebie. Do; tego czasu gęba na kłódkę, jak u jej syna, gdy wpadnie w jakąś pułapkę. Matka i syn mają dumne czoła: „To obchodzi tylko mnie! Nikt nie ma prawa wścibiać nosa w moje troski." Przysyłają sobie tylko co dwa tygodnie kilka słów ogólnikowych, lecz mocnych, by przypomnieć: „Jestem!" Są to nie tyle słowa matki i syna, ile dwóch kolegów. Silna ręka kobiety o jasnym spojrzeniu ściska niespokojne, zawsze zgorączkowane palce syna... Wszystko dobrze! Trzymam się!...

Nie postał nawet nogą u Ruche. Rozpadła się grupa przyjaciół, rozproszona na cztery wiatry. Każde sobie!

Zrozumiał w końcu, że jego możliwości umysłowe nie dadzą mu chleba. Kto chce żyć, musi się „poniżyć". Trzeba obrać jakieś rzemiosło, które by umożliwiło istnienie!... Akceptować słuszność takiej myśli to już dużo. I nic zarazem. Cała sprawa w tym, że akceptuje to, czego nikt nie daje. Świat śmieje ci się w nos: „Możesz zachować swą wielkoduszność. Co mi po tobie?" Setki czekają na rzuconą kość. Marek przybywa zawsze za późno. I w tych pierwszych zderzeniach z innymi hamuje go jeszcze jakiś wstyd: pozwala się wyprzedzać tym, którzy stoją przed nim lub wślizgują się przed niego albo wydają się słabi i godni litości, czy też przeciwnie – zbyt bezczelni, gdyż w tym wypadku trzeba by chwytać za kołnierz, a on brzydzi się dotykać wytłuszczonych kołnierzy; niekiedy krew wściekle bije mu do głowy: nie tamtych się bać, lecz siebie... (Samochwał? „Trzymajcie mnie!..." Nie! ironia nie jest na miejscu w stosunku do tego chłopca, który czuje nagle, że porywają go fale wewnętrzne, i boi się pomyśleć, że w takich chwilach wola jego jest bezsilna, że zszedł na manowce. Trzeba czasu i niejednego niebezpiecznego pudła, by się nauczyć nie tłumić – to grozi samozniszczeniem – lecz opanowywać je, zaprzęgając w służbę niczym energię wodną, zamieniając w siły napędowe... Dajcie mu czas! Jeśli będzie żył, zrobi to może kiedyś. Lecz żyć, w tym właśnie sęk? Czy będzie umiał? I jak długo? I w jaki sposób?...)

Obszedł domy wydawnicze i księgarnie. Po dwudziestu daremnych wyprawach dostał się na próbę do drukarni jakiegoś dziennika na pracę nocną. Niezgrabny nowicjusz, źle widziany przez towarzyszy kaźni, którzy węszą w nim arystokratę i zamiast pomagać podstawiają nogę, wylatuje po trzech nocach. Kilka razy z największym trudem udało mu się znaleźć tłumaczenia prospektów, listów handlowych. Zajęcia bez jutra. Jego znajomość literatur nie przyda się do potocznych terminów handlowych. Pewnego dnia Sainte–Luce widząc, jak wałęsa się głodny, znajduje mu miejsce w kinie, miejsce zastępcy kontrolera biletów. Na nieszczęście Marek dostaje grypy i z powodu gorączki zmuszony jest przeleżeć kilka dni w łóżku. Po czym, oczywiście, traci posadę i nie znajduje już innej. Sainte–Luce, który zajmował się jego kłopotami przez cały wieczór, nie ma zwyczaju zaprzątać sobie głowy długo jedną myślą; podawszy mu rękę zapomina o nim; i nie wiadomo, gdzie go odnaleźć. Bóg jeden wie, jak on sam żyje! W ową noc spędzoną razem (po kinie Sainte–Luce zaciągnął Marka z dansingu, gdzie urzędował, w głąb podejrzanego baru, gdzie, wyczerpani i zgorączkowani, rozmawiali aż do rana) Marek dowiedział się ze zdumieniem, że elegancki Luce jest takim samym żebrakiem jak on. Z matką jego, piękną gwiazdą, którą nazywał Jose i o której mówił z nieprawdopodobną poufałością, stosunki były dziwne i dalekie: ona ciągle w podróży, a gdy od czasu do czasu spotkali się, czulili się do siebie, biegali po nocnych lokalach; zasypywała go cukierkami, niepotrzebnymi podarunkami i dolarami, jeśli nie przeciekły jej przez palce; on odwzajemniał się i wydawał je na prezenty dla niej, na cacka i kwiaty, z którymi nie wiedziała już, co robić, a których nie miała nigdy dosyć, nawet na kosztowne psy, małpki i papugi, jakąkolwiek błyskotkę, która potrafiła oboje wprawić w radość. Potem znikała znów na całe miesiące, zostawiając go w Paryżu bez grosza, nie troszcząc się o niego, jak i on o nią. Lub nagle przypominała sobie: otrzymywał, w chwilach najmniej oczekiwanych, poważny czek lub drobnostkę (zdarzało się to na ogół w dnie, gdy nie miał na obiad). Śmiał się z tego: w gruncie rzeczy to nieprzewidziane bawiło go. Ani myślał odczuwać żalu w stosunku do niej, był jej wdzięczny, że jest, jaka jest. Przyjemniej mu było, że pochodzi z tej ładnej dziewczy-

ny, niż gdyby mu ofiarowano zamiast niej matkę poważną i stateczną. Oboje dawali sobie doskonale radę sami. On był urodzonym akrobatą. Znał tysiące sztuczek, by w razie upadku spaść zawsze na cztery łapy. I jaki zgodny żołądek! Dnie postu nie przerażały go! Ptaszkowi temu wystarczało kilka okruszyn z dłoni – byle ta dłoń była ładna. O ładne dłonie nigdy nie było trudno. Znajdowały go same. I nie wiadomo, czy przy sposobności nie otrzymywał od nich, między nocą a wieczorną agapą – obola. Nie taił tego przed Markiem owej nocy, gdy ten dziwił się elegancji, jaką roztaczał Luce mimo swych kłopotów. Uroczy bezwstydnik wyjaśnił:

– Rozbierają mnie i ubierają. Od ciebie tylko zależy, by było tak samo...

Marek, dławiąc się, nie wiedział, co odpowiedzieć. Gniewać się? To by nie pasowało do sytuacji: czuł doskonale, że wszystko, co by powiedział, spłynęłoby jak woda po psie! Nie można było przykładać do tamtego miary syna Anetki. W czasie gdy istniało jeszcze życie pośmiertne, gdzie po Sądzie Ostatecznym lokowano dusze ludzkie w trzech osobnych przedziałach, Luce nie znalazłby miejsca w żadnym z nich; poszedłby tam, dokąd idą dusze zwierząt: do klatek wieczności. Marek nie był pewny wyższości swej duszy ludzkiej. Ale lepiej było przyznawać ją sobie, jeśli się chciało – a on chciał! – nie tracić gruntu pod nogami.

W każdym razie nie mógł zapomnieć, że Luce pewnego wieczoru otworzył mu swą sakiewkę; i on jeden zdolny był do tego spośród wszystkich przyjaciół. Nabab Véron, spotkawszy Marka zmordowanego pogonią za groszem, poprzestał na otwarciu papierośnicy. Véron nie zapytał ni słowem, jak mu się wiedzie; nie obchodziło go to; i Marek nienawidząc go był mu wdzięczny, że nie starał się ukryć swego egoizmu. Toteż nie zadawał sobie trudu tajenia przed nim swych uczuć. Véron był w tych dniach we wściekłym humorze: nosił rękę na temblaku; Marek spytał go ironicznie, czy to od rany wojennej. Véron zaklął, wspomniał o wrzodzie, zwymyślał nie wiedzieć kogo, jakąś małpę, przerwał rozmowę. Rozstając się Marek naznaczył następne spotkanie na najbliższym wieczorze na Val–de–Ruche (Val–de–Grâce); mógł równie dobrze powiedzieć: na święty Nigdy, gdyż nie miał ochoty wracać na te zebrania. Véron wybuchnął obelżywym śmiechem, splunął wściekle na bulwar, zwymyślał Marka od bydląt i zasypał pannicę nikczemnymi epitetami. Potem, gdy Marek, zdumiony jego rozjuszeniem, spytał, co za giez go ugryzł, Véron przerwał mu nagle, obrzucił wściekłym spojrzeniem i pokazał mu plecy.

Marek podjął znów pościg za posadami. W tej walce o życie był jeszcze bardzo niezręczny; duma niedobrą jest nauczycielką tam, gdzie idzie o to, by wciskać się, jak wąż, w każdą szparkę drzwi wiodących do spiżarni. Lecz w zamian daje wściekłą siłę oporu w godzinach, gdy ciało słabnie, a duszę drąży zwątpienie. Choć Marek mówił sobie: „Jestem zwyciężony, będę zwyciężony" – nie mówił tego nigdy światu; a właśnie mówiąc to człowiek wyrzeka się walki. Ani przez chwilę nie postała mu w głowie myśl o samobójstwie. Czyż kto popełnia samobójstwo na polu walki? Nie brak sposobności do śmierci! Jest ich nawet za wiele! Ona się o to zatroszczy sama. Nie, czego brak, to życia! „Bo wszystko to, co mnie otacza, te kobiety, ci mężczyźni, ten wir, ten tłok, te sprzęgnięte w uścisku ciała, to wcale nie życie, to zgnilizna. Lecz jak osiągnąć, jak znaleźć życie prawdziwe? Istnieje ono przynajmniej?... Nie wiem nic o tym, a jednak nieodparta siła pcha mnie na północ, jak igłę magnesu... Co to jest północ? Ławica lodowa? Otchłań wieczystych lodów?... Nic nie wiem. Ale północ istnieje, jest tam. I muszę dążyć ku północy. Ślepa siła widzi za mnie. Pragnie za mnie. Wolność to pragnienie tego, czego pragnie ona. Wprost czy nie wprost, to moje prawo."

Ostatecznie cała jego mądrość w tym okresie streszczała się w starej mądrości galijskiej:

Nie umierać, póki życia!

*

W dzień był subiektem stojącym u drzwi handlu korzennego na chodniku rue Caumartin. Podczas tych szarych tygodni styczniowych, stojąc z podniesionym kołnierzem, szczękał zębami. W nocy oddawał się kilka godzin czytaniu, pisaniu, rozmyślaniu, starając się pochwycić, o ile można, zagadkę świata. Ale wymykała się ona jego zgrabiałym palcom, a głowa kiwała się od senności. Gdy mógł, przyrządzał sobie mocną czarną kawę, by nie spać. Po czym spał doskonale. Tracił świadomość w dobroczynnym jeziorze zapomnienia. Przez szereg spędzonych jak w gorączce dni i nocy, które przedłużały się wijąc jak kręgi węża bez początku i końca, chodził rozbity, z kurczami żołądka, maniackimi myślami i płonącymi oczyma. Nie płacił wcale komornego. Zagrożono mu wyrzuceniem. Sprzedał, co mógł. Kilka przedmiotów, do których był przywiązany, obnosił ze sobą, w studenckiej tece, potem – trzeba było wyzbyć się także i jej – po kieszeniach: bał się, by mu ich nie zabrano w czasie jego nieobecności.

Pewnego dnia, w stanie półzamroczenia spowodowanym bezsennością, sterczał jak czapla z głową wtuloną w ramiona przed wystawą sklepową, na chodniku mokrym od lodowatej mgły, patrząc – a nie widząc, widząc dopiero, gdy znikły – na szybki ruch przemykających się ulicą cieni (sam czuł się cieniem płynnym, roztopionym we mgle). Nagle odniósł wrażenie, że przed chwilą napotkał baczne, śledzące go spojrzenie, że widział bladą twarz i rękę chowającą ukradkiem pod płaszcz przedmiot trzymany w dłoni. Otrząsnął się z odrętwienia i z odległości kilku kroków przyglądał się kobiecie, której obraz pozostawił ślad w jego znużonych oczach: z rękoma ukrytymi pod płaszczem, stała jak wryta przed wystawą; był pewny, że widziała jego utkwiony w nią wzrok i że była jak kuropatwa, którą wystawia pies. W tej samej chwili pod okryciem jej znikł łup – kilka pomidorów. Czekała, co nastąpi. On sam tego nie wiedział – w równym stopniu co ona. Podszedł do niej, Stał tuż obok, z przyciśniętymi do ciała ramionami, jak ona. Dotykali się prawie, byli oboje niemal tego samego wzrostu; usta Marka znajdowały się na wysokości chudego policzka, gdzie widać było skurcz szczęk; ale ona nie ruszyła się. Trzeba się było jednak zdecydować. Przemógł się i rzekł, głosem zdławionym:

– Proszę oddać!

Lecz w tejże chwili ujrzał w drzwiach magazynu nadzorcę sklepowego, który ich obserwował. Szepnął spiesznie do kuropatwy:

– Nie ruszać się. Śledzą nas.

Nieroztropny!... Zagryzł wargę... Tym gorzej! *Alea iacta...*[151] i zrobił kilka kroków, by nabrać pewności siebie. Ona zdawała się badać inne towary. Nadzorca wrócił do sklepu. Marek zbliżył się. Jednym spojrzeniem ogarnął chudy grzbiet, okrągłą czaszkę, zmarszczony pyszczek głodnej kocicy. Szorstkim ruchem wetknął jej pod wystrzępiony szal kilka bananów i rzekł przez zaciśnięte zęby:

– To pożywniejsze... Brać i w nogi!

Podniosła głowę i obrzuciła go bystrym spojrzeniem; malowała się w nim nie tyle wdzięczność, ile zdziwienie: „Ach! więc należysz do bractwa?...” Nie było czasu tłumaczyć się. Utonęła w fali ulicznego tłumu... Marek rzekł sobie: „Natura ciągnie wilka do lasu. Otwieram swój skład głodomorom...” Zabawne! Byłby bez wahania powtórzył to, co zrobił. Dobry kawał. Ale jakoś nie było mu miło.

Powracał do domu. Po drodze spotkał Bettę. Opowiedział jej przygodę dla żartu. Był pewny tego, co nastąpi. Betta zapomniała nagle o swych romantycznych ideach buntu przeciw burżuazji. Krew wielkiej kupczychy uderzyła jej do głowy; krzyknęła, oburzona:

– No, nie!... nie!... Tego już zanadto!... Tak się nie robi!...

Marek roześmiał się jej w nos. Opuściła go z miną obrażonego majestatu.

---

[151] *A l e a i a c t a* (łac.) – kość rzucona.

Nie wrócił do swych czynności w sklepie. Nie potrzebował nawet zrzekać się ich. Pozbyto się go. Choć nie można było zarzucić mu nic określonego, zaczęto nań pilnie uważać. Psy zwęszyły w jego sierści zapach lasu.

Wrócił, wcześniej jeszcze niż wczoraj, do bractwa głodu. Nigdzie żadnej pracy. A w kieszeniach już nic do przehandlowania. Na domiar złego któregoś wieczoru, jak się obawiał, zastał drzwi swego mieszkania zamknięte: wyrzucono go.

Pewnej nocy z końcem lutego, wśród wiatrów hulających po bulwarach i śnieżnej kaszy, która topniała rozbijając się na bruku, kulił grzbiet w płaszczu, by najmniej wystawiać się na plagę zadymki; szedł ze spuszczoną głową, zesztywniały. Był zmordowany i przemoknięty. Mówił sobie: „Padnę...” Natknął się na przechodzącą kobietę. Nie spojrzał. Czyjaś dłoń ujęła go. pod ramię. Szarpnął się...

– Rivière!...

Ręka nie puszczała go. Podniósł błędne oczy... Ruche... W hałasie bulwaru i wściekłego wiatru nie słyszał, co mówiła. Pociągnęła go w osłonięty załom domu. Nie wiedział, o co go pytała, co odpowiadał. Ale nie trzeba było dużo słów, by zrozumiała. I nie pytając o zdanie pociągnęła go ze sobą. Nie sprzeciwiał się. Dał się zawlec, nie zamieniając z nią ani słowa, aż do bramy... Aa, to jej dom...

– Proszę na górę...

Poszedł.

– Proszę wejść!

Wszedł... Ciepło pokoju, zmęczenie, pusty żołądek... Był odrętwiały... Ruche pchnęła go w jedyny fotel... Czuł, że rozpinała mu przemoczony płaszcz i ściągała rękawy. Słyszał, że mówiła, lecz nie rozumiał co: głos jej stapiał się z szumem imbryczka na fajerce. Krzątała się tam i sam, nie próbował śledzić jej ruchów... Zamknął oczy... Otworzył je na chwilę: jakaś dłoń wlewała mu z flaszki do ust ciepły, pokrzepiający haust i dobry głos mówił: – Pij, mały!... – Nie miał siły spojrzeć powyżej tej ręki, ale jej obraz zachował dokładnie. W długi czas potem, gdy wspominał Dobrą Samarytankę, nie widywał jej twarzy, tylko jej dłoń. W tym stanie półprzytomności miał wrażenie, że to owa dłoń mówi... Kiedy mleko przestało płynąć strumieniem, głowa osunęła mu się na oparcie i wisiała naciągając boleśnie szyję; ale on nie ruszał się, bolało go wszystko z zewnątrz, lecz wewnątrz to ciepło... Dobre ręce podniosły mu głowę, która opadała... Jeszcze jeden błysk świadomości i utonął...

Kiedy w kilka godzin później wypłynął na powierzchnię, leżał w ciemności. Na suficie widniała w mroku smuga bladego światła padającego z ulicy. Starał się zrozumieć, nieruchomy, niemy, nieufny jak zwierzę, które obudziło się w lesie. Macał zwolna nogami dokoła siebie. Leżał na materacu, rozebrany, owinięty kołdrami. Pod materacem deski podłogi. Powyżej oddech piersi, szelest pościeli i głos Ruche:

– Zbudziłeś się?.

Wtedy przypomniał sobie wszystko i chciał wstać, lecę poczuł obolałe członki; Ruche rzekła:

– Nie, nie ruszaj się!...

Spytał:

– Ale gdzie jestem? Gdzie ty jesteś? – nie zważając, że mówi do niej „ty”.

– Nie bój się! Jesteś w bezpiecznym miejscu...

Odwrócił się znowu:

– Nie, chcę widzieć...

– Chcesz, żebym zapaliła światło? Ale tylko na chwilę... – Przekręciła kontakt elektryczny. Mrużąc oczy ujrzał nad swoją głową głowę Ruche. Usłała mu iście obozowe legowisko u stóp swego łóżka. Usiadł i dosięgnął czołem poziomu drugiego leża; oczy jego błądziły po

wszystkim, co go otaczało, po leżącej Ruche, ścianach, stole, sprzętach..-Ruche już zgasiła światło.

— Jeszcze nie!...

— Dość!

Położył się znowu. Lecz w oczach jego utrwaliły się wszystkie te obrazy; i teraz kolejno pojmował ich sens. Milczeli. Marek obmacując się powiedział;

– A to co?

– No?

– Moje ubranie!...

– Zdjęłam ci je.

– O, Ruche!

– Było zupełnie mokre... „Na wojnie, jak na wojnie."

– Ach! To wstyd! Każę się pielęgnować, robię ci kłopot, nie umiem sam sobie radzić, jestem baba...

– No – odezwał się ze śmiechem głos z góry – mógłbyś przynajmniej nie mówić o nich źle. Baby mają w sobie coś dobrego.

– Tak, ty. Ale takich jak ty daleko szukać.

– Nie dalej jak na Val–de–Grâce.

Poczuł na swej twarzy smukłą dłoń, która zwisała z góry, szukała go, gładziła czoło, brwi, oczy, po czym, szelma, uszczypnęła go w nos. Próbował ją złapać, jak rybę, ustami, nie wyciągając rąk spod przykrycia. Dziewczyna rzekła:

– Jestem pewna, że nie znasz pochlebnego dla mnie przysłowia.

– Jakiego?

– „Kto się nie przespał w Orleanie, nie wie, co to kobieta."

Poruszył się znowu:

– Niczego innego nie pragnę.

Ręka dała mu klapsa i cofnęła się.

– Nie, nie mój drogi. To nie pora na lekcje. Czas spać. Gasić wszystko!

– Wszystko?

– Wszystkie, co płonie, z góry na dół. Sygnał gaszenia ognia. Śpij!

Milczał chwil kilka, potem rzekł:

– Ruche...

– Śpię...

– Słóweczko... Co to błyszczało – tam, na tamtym stoliku?

– Nic.

– Rewolwer?

– Tak.

Zaśmiała się:

– Nie przeciw tobie, stary głuptasie!

– Chyba! Jesteś równie pewna mnie jak siebie.

Odpowiedziała samej sobie:

– To nie byłoby jeszcze dużo.

Ale on usłyszał tylko jej stłumiony śmiech. Poruszył się znowu:

– Czy nie masz do mnie zaufania, Ruche?

– Spokój! Spać!... Tak, mój drogi, o ile można ufać mężczyźnie...

– Albo kobiecie.

– Albo kobiecie... I nie skarż się! To, na co ci pozwalam, to dużo... Ale na ogół zwierzakom twojego rodzaju lepiej ufać, gdy się ma broń w ręce...

– *Para bellum...*[152] Co za pacyfistka! Założę się, że nigdy nie bawiłaś się tą zabawką. Czy wiesz przynajmniej, jak się to robi?

– O, mój drogi, jeślibyś się założył, przegrałbyś. O co się zakładasz?

– *A discrétion*[153]. O co zechcesz.

– Zgoda. Przyjmuję.

– Kiedy bawiłaś się? I z kim?

– Zgaduj.

– Znam go?

– Doskonale!

– Kto to?

– Widziałam was onegdaj razem, na rogu przed kawiarnią Soufflot...

Rozjaśniło mu się w głowie: ręka na temblaku...

– Véron!

Dusiła się ze śmiechu na poduszce.

– Véron! Véron! Ten gruby wieprz!

– Tak, według jego zasad, stosowanie siły wobec samicy jest najlepszym argumentem. Hucznie i buńczucznie starał mi się to zademonstrować. Aby mu dowieść, że się z nim zgadzam, naszpikowałam mu ramię. „Więc kto silniejszy, mój poczciwcze?" Gdybyś był widział jego baranią minę. Rozdziawił gębę... Tak, ale potem, co za wybuch!...

– Klnie jeszcze do tej pory – mówi Marek pękając ze śmiechu. Śmieją się oboje jak dzieci.

– Teraz śpij! – mówi Ruche ocierając oczy o kołdrę. Posłuchał... Drzemali już... Marek otrząsnął się z odrętwienia, siadł i szepnął gorąco, stłumionym głosem:

– Ruche... Ruche...

– Ach, nudny jesteś – mówi senny głos. – Nie mogę już, umieram... Daj mi święty spokój!

Ale on ocierał głowę o jej zawinięte w kołdrę nogi.

– Ruche... Ruche... Uwielbiam cię... Ubóstwiam...

– Jesteś dureń! Milcz i śpij – mówi Ruche, wzruszona...

Spali do rana. .

Gdy zbłąkany w starej ulicy promień słońca cisnął złotą strzałę na jego zamknięte oczy, zatrzepotał powiekami i usłyszał, jak pluskała się w wanience za parawanem. Aby zejść z łóżka, musiała przejść przez niego okrakiem. Śmiała się jeszcze z tego, polewając dużą gąbką swe smukłe uda.

– Ruche!

– Nie mam czasu! Jestem zajęta...

Nagie ramię pozdrowiło go znad parawanu.

– Z czego się śmiejesz?

– Z ciebie.

– Śmiej się! Masz prawo.

Mimowolnym ruchem przycisnęła za parawanem do ust wilgotną gąbkę, by mu przesłać pocałunek...

– Ach, jestem głupia jak ty.

---

[152] *P a r a b e l l u m* (łac.) – jest to druga część zwrotu: *si vis pacem, para bellum* – jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny.

[153] *A d i s c r é t i o n* (fran.) – do uznania.

– Czemu?

– Nic ci do tego!...

Nie miał ochoty protestować ani ruszać się. Ta miła noc, to miłe przebudzenie, ten błogostan... Był jeszcze odrętwiały... Jednak, nie! To było zawstydzające... Zerwał się na równe nogi...

– Wstaję...

– Nie, nie, poczekaj jeszcze! Nos do poduchy! Wychodzę. Nie wolno patrzeć!

Oczywiście spojrzał, ujrzał ją nagle w stroju nimfy, od stóp do głów. Ciskała weń z kąta pokoju, co miała pod ręką: poduszki, ręczniki i spodnie, które wyschły przez noc, zagrzebały go pod stosem.

– Uduś się!

Zanim się w mgnieniu oka wygrzebał, była już ubrana. Obdarzyła go znowu powietrzem i światłem.

–Teraz ubierz się. Ja idę po zakupy.

Został sam i ubrał się. Wróciła z mlekiem, chlebem i kilkoma płatkami szynki. Jedząc we dwoje śniadanie rozmawiali. Ruche patrzyła swymi oczyma Chinki, znów odległymi o całą głębię obcości, na tę młodą głowę, która w nocy musnęła jej nogi... Głuptas!... Zamienili porozumiewawcze spojrzenia. Nie przyznając się do tego każde z nich doszło do tego samego wniosku: „Podobnej nocy powtarzać nie można...”

– No więc cóż – powiada Ruche – czy nie boisz się żadnego rzemiosła?

– Wszystkie są głupie – mówi Marek – ale i my jesteśmy głupi, nie mamy prawa grymasić.

– To mi się w tobie podoba: jesteś na tyle dumny, by sądzić, że każdej konieczności, jakakolwiek by była, czynisz zaszczyt, godząc się na nią. Nie krzywisz się.

– Już nie.

– Tak, zmieniłeś się od pół roku. Przestałeś grymasie i do twarzy ci z tym.

– I tyś się już oduczyła grymasów.

– Rodem kurki czubate! — Oboje jesteśmy jak strzały z dobrego, twardego drzewa...

– Tak, ale gdzie ich cel?

– Hm, wiesz... ostatniego roku obawiałam się, że ty celujesz tylko poniżej paska od spódniczki.

– Zawstydzasz mnie... Czy ty wszystko widzisz?.. Skąd wiesz o tym?

– Miałeś taką minę, jakbyś uwiązł w lepie.

– Wydobyłem się.

– Żeś to potrafił, to dosyć. Szanuję cię od tego czasu.

– Czyś nie mogła mi tego powiedzieć?

– Po co?

– To może być pomocne w chwilach, gdy traci się szacunek dla siebie.

– Pół roku temu nie dbałbyś o to.

– Ale dziś dbam.

– Biedaczysko! Musisz być bez grosza przy duszy!

– Nie mów tego właśnie w chwili, gdy zaczynam ciułać.

– I ja mam być pewnie pierwszym grosikiem?... Niech żyje przyszły milion!... Tymczasem, czy zgodziłbyś się – do czasu, póki nie wybrniesz – posługiwać w restauracji studentów?

Marek przełknął ślinę i rzekł dzielnie:

– Tak, jeśli przyjdziesz tam czasem na obiad.

– Czemu?

– Jeśli ci usłużę, to będzie tak, jakbyś mi pomogła.

– Pomogę ci.

Przedstawiła go kierowniczce stołówki, którą znała, i Marek tego samego dnia zabrał się do pracy, wspomagany spojrzeniem i radami Ruche. Zrobiła więcej: gdy odpłynęła fala klientów, popchnęła Marka na róg stołu i usługiwała mu z kolei. Potem wszystko poszło łatwo. Co do mieszkania, pożyczyła mu na najem pokoju w dzielnicowym hoteliku.

Zdawałoby się, że później będą się często widywać. Nic z tego. W pierwszych dniach Marek stukał kilka razy do drzwi Ruche: ani razu nie było jej w domu. Lub może siedziała, skulona w kącie, z papierosem w ustach, obejmując nogi rękami. Dziwna dziewczyna żyła swym życiem dla .siebie, nie dzieląc go z nikim; a poryw sympatii, który pewnej nocy zbliżył ją do Marka, nie dawał mu przywileju wstępu. Było raczej przeciwnie: instynkt Henriety mówił jej:

„Otworzył zasuwkę, więc załóżmy kłódkę!"

Żadna przyjemność nie miała dla niej tej wartości, co niezależność... Ładna niezależność! Cóż z niej miała! Urągała sobie, szczypiąc się w łydki... „Niezdaro!... Niech będzie! Jestem i chcę być niezdarą. Łydki należą do mnie, skóra jest moja i moja jestem ja cała... Jestem swoja od stóp do głów. I niczyja... Poczekaj trochę, moja droga! Kto się będzie śmiał na ostatku... No cóż, będziemy się śmiać... Załóżmy się!... Idę o zakład..."

Była to jedna z jej zabaw: zakład z samą sobą! Można być pewnym wygranej! Zwłaszcza gdy się oszukuje... Nie ma się czego wstydzić!

Marek byłby zdolny zrozumieć jej instynkt obronny... „Pilnuję siebie... I ty siebie pilnuj..." Ale Marek miał zbyt dużo kłopotów ze swymi tajemnicami, by być ciekawym cudzych. Jego męskie przesądy kazały mu zresztą wierzyć, że tajemnice dziewczyny były tyle warte, „co kot napłakał..." Bardzo lubił koty. Lecz kot jest kotem. A mężczyzna mężczyzną.

Ruche dowiadywała się, bez jego wiedzy, co się z nim dzieje, póki nie stanął jako tako na nogach. Potem przestała się nim zajmować. Raz tylko nawiedziła go w jego hotelowym pokoju: była blisko północ. Marek wyraził zdziwienie, że Ruche zagląda na poddasza. W oczach miała właśnie jakieś kocie błyski. Była wesoła, swobodna, a jednak obca, nieuchwytna, jak oczy ptaków nocnych, które na bezszelestnych skrzydłach latają po lesie, to dalekie, to bliskie; i nie wiadomo, gdzie będą za chwilę... Około pierwszej po północy sówka uciekła, on zaś nie starał się jej zatrzymać. I minęły miesiące, zanim spotkali się znowu.

A w tym właśnie czasie – w początkach kwietnia – wraz z przelotnymi stadami, powrócił do niego inny ptak – Anetka, która wyrwała się z naddunajskich bagien.

Część druga

ANETKA W DŻUNGLI

Omal nie ugrzęzła tam w błocie!

Pozwoliła się zabrać z Paryża, zapakować jak paczka. Ulgą była możność niezajmowania się przez pewien czas niczym... Przez pewien czas... Nie trwało to długo. Anetka nie była przyzwyczajona siedzieć z założonymi rękami. Z tej luksusowej podróży przez północne Włochy i Jezioro Bodeńskie (sleepingi, pałace, auta etc.) odniosła wrażenie, że piękne te okolice, które znała i kochała od dziecka, zwiedzała teraz bez specjalnego zainteresowania, nudziły ją. Zrazu była tym zdziwiona; potem zrozumiała: ten zbytek odosobniał ją, straciła kontakt z ziemią; odnajdywała go tylko w rzadkich chwilach, kiedy mogła wymknąć się sama i przebiegać pieszo pola i uliczki. Nieraz palce jej nóg drżały jeszcze tą radością, depcząc grube dywany hotelowe, których banalna puszystość zakrywała uparcie drzewo i kamień. Stopy jej pragnęły dotykać boso powierzchni ziemi. Ale eskorta mało zostawiała jej swobody. Ogłupiająca gadanina trzech papużek napełniała jej głowę dniem i nocą.

W Bukareszcie wpadli od razu w rwetes i ogłuszający hałas ogromnej ptaszarni – istne Jardin de Plantes; znalazła się nieprzeliczona rodzina, krewni, przyjaciele – zbiegł się cały „ród". Nie kończące się dnie i noce pełne były okrzyków, pocałunków, rozgwaru. Bramy otwarto. Wszystko wystawiono na widok. Wszystkie tajemnice. Sieci intryg, flirty i nie tylko flirty zawiązywały się otwarcie w każdym pokoju, w każdym korytarzu. Wśród mężczyzn i kobiet mało było rozmów, które by nie toczyły się dokoła czerwono płonącej latarni zmysłów i nie potrącały o nią. Anetka, która poczuwała się do obowiązku czuwania nad swymi pupilkami, miała dużo do roboty w tej przegrzanej atmosferze. Sama nie była bezpieczna od napaści; spostrzegła to z podrażnieniem, lecz może nie bez ironicznego zadowolenia (ho, ho! w czterdziestym trzecim roku życia!...) Fakt, że była paryżanką, jednał jej względy i narażał na ataki. Zaś Ferdynand Botilescu, który w czasie podróży zamęczał ją natrętnymi uprzejmościami, zaczął ją trochę niepokoić.

Jednakże, póki mieszkali w mieście, niebezpieczeństwo nie było groźne: teren myśliwski był dość bogaty w zwierzynę, by zająć Nemrodów; i Ferdynand miał dość innych samiczek dla zabicia czasu – nie mówiąc już o polityce i interesach, pogoni za zaszczytami i pieniądzem.

Ale po dwóch miesiącach wyjechano do jednego z majątków pana Botilescu: odludzia wśród stawów i lasów na równinie wołoskiej, nękanej kolejno to słońcem, to mrozem. Była jesień. Gęste mgły snuły się nad bagnami, gdzie odzywało się ptactwo wodne. Ciężkie auto grzęzło w głębokich koleinach dróg, obryzgując i trzęsąc srodze pięć kobiet oraz ich władcę. Lecz tylko Anetka jęczała od bólu w krzyżach, podziwiając zarazem hart grzbietów rumuńskich: zdawały się w ogóle nie troszczyć o te wyboiska, były ze spiżu, jak i gardziołka panien, które nie przestawały ani na chwilę szczebiotać.

Obszerna, zniszczona siedziba, – ni to pałac, ni to ferma – stała na wzniesieniu, które jak kretowisko ledwo górowało nad monotonną płaszczyzną. Budowano ją częściami i żadne piętro nie tworzyło równego poziomu; kręte korytarze wznosiły się wijąc, to znów opadały zniszczonymi, chwiejącymi się kamiennymi schodami. W latach wojny nikt tam nie mieszkał i natura objęła dom w swe władztwo; dzikie wino, czerwone jak krew w słońcu jesiennym, i

wyłysiały bluszcz, który wżarł się w fasadę, wpełzły poprzez dziury w ścianach i spróchniałe framugi okien do domu, ułatwiając najazd skorkom i mrówkom. Powierzchowne sprzątnięcie, które przedsięwzięto pośpieszcie w ostatniej chwili na przyjazd państwa, nie tknęło sieci czarnych pająków drzemiących w półcieniu i w firankach; jaszczurki to przebiegały, to spały na ścianach korytarzy. Na parterze słychać było czasem syk węża. Dziewczęta i ich matka nie zwracały na to uwagi; nawykłe przecież do zachodniego zbytku, poczuły się od razu dobrze w zaniedbaniu i kurzu, który pokrywał sofy i kanapy. Anetka wstydziła się przyznać do wstrętu i starała się brać wszystko z zabawnej strony. Pierwszego wieczoru nie rozglądając się zbytnio po kątach, szybko zgasiła świecę, której knot kopcił tłustym swędem, i z obolałymi bokami położyła się do twardego, trzeszczącego łóżka, zasmarowanego obrazami romantycznych scen miłosnych i bitew i mogącego łatwo pomieścić dwie śpiące pary. Chwilowo, w ich braku, przebywali tu inni mieszkańcy, których towarzystwo niemniej było krępujące. Zbudziwszy się z pierwszego snu – skóra piekła ją na całym ciele – musiała porzucić ten zabytek historyczny oraz głodny tłum jego mieszkańców i spędzić resztę nocy na krześle. Było to przejście od Charybdy do Scylli[154]. Przez okna, które otworzyła, wpadły skrzydlate roje komarów. Słychać było żaby od strony stawu, a o brzasku – zachrypłe dzwony klasztorów.

Nikt się nie dziwił, że podczas następnych nocy, w oczekiwaniu na nowe łóżko, które miano sprowadzić z Bukaresztu, Anetka spała na materacu ułożonym na płytach podłogi. Prawda, że dziewczęta ofiarowały jej miejsce w swym łóżku. Spały jak zabite w przyległym pokoju, z otwartymi ustami, chrapiąc cicho, miarowo, z kolanami podniesionymi pod odrzuconą kołdrą, z nagimi udami, nieczułe na ukąszenia. Żartowały nazajutrz z opuchniętych policzków, czoła i nosa Anetki, z jej obrzmiałych kostek u nóg. Ona śmiała się także, drapiąc się jak opętana; trzeba było zapłacić podatek nakładany na cudzoziemców; uiściwszy go robactwu, jest się już dostatecznie zahartowanym. W tym nieszczęściu było jednak coś dobrego: może bezpieczniej było wydawać się brzydką bezczynnym oczom gospodarza. Ale była w błędzie myśląc, że zniechęcą go takie błahostki. Nazbyt uparcie krążył dokoła niej. Zawsze gotów na usługi, pełen przesadnych uprzejmości, którymi ją zanudzał, podkreślał z afektacją, że traktuje Anetkę jako gościa w swym domu; lecz gdy ciężkie powieki odsłoniły nieco jego oczy, widziała w nich niezbyt uspokajające (szybko tłumione) błyskawice. Niedobrze było, w pewnych chwilach, znaleźć się z nim na osobności. Okazywane jej względy nie zaważyłyby wiele. Obszedłby się z nią jak z klaczą. Tak miał zwyczaj postępować z dziewkami folwarcznymi, przychwyciwszy je przy udoju w oborze lub brodzące w stawie przy wiązaniu skoszonej trzciny. Otrzepywały się potem gdacząc – wściekłe, a jednocześnie zadowolone – jak kury. Ani żona, ani córki gospodarza nie zdawały się o tym nie wiedzieć; nie przywiązywały do tego wagi; może w duszy były dumne ze swego sułtana. Niejedno spośród dzieci chłopskich było jego żywym wizerunkiem. Zwierz wciąż odczuwał głód. Ciężkostrawne posiłki, pożywienie niemal wyłącznie mięsne (Anetka czuła doń wstręt), mocne wina i *tuica* (śliwowica) nie zapełniały próżni, którą w brzuchu drążyło przebywanie na świeżym powietrzu i próżniactwo. Pani Botilescu leniuchowała cały dzień, drzemała, przerzucając na Anetkę swe domowe kłopoty. Ferdynand zapełniał sobie czas długimi spacerami, wycieczkami, polowaniami. Często zabierał na nie swój światek, konno lub autem. Ale od dnia, gdy przechadzając się z dziewczętami i zbierając kwiaty w bagnistej, dżungli, Anetka znalazła się sama, opuszczona przez nie, i w odpowiedzi na swe wołania usłyszała głos gęsiora, stała się nieufna. Wróciwszy do zamku z przeciwnej strony, wyrzucała sobie swą niezdrową podejrzliwość wobec niewinnych min dziewcząt, które rzuciły się jej na szyję wołając, że szukały jej wszędzie. Ale podejrzanie nie dawało się odegnać od proga, jak pies zwinięty na słomiance. Pewne podchwycone przez nią spojrzenia, jakie wymieniały między sobą te pieszczoszki, kazały jej spać nawet z otwartymi oczami. Jej francuska ciekawość szukała motywów, które mogły kierować tymi niewin-

[154] C h a r y b d a i S c y l l a – w mitologii greckiej potwory pożerające żeglarzy.

nymi i skomplikowanymi duszami. Odgadywała, może lepiej niż one, tajemną urazę, którą mogła wzbudzić przeszkadzając w Bukareszcie ich flirtom: zwłaszcza najstarsza, która zasypywała ją najczulszymi pocałunkami, ostrzyła na nią swe lisie, spiczaste ząbki pod przymilnym uśmiechem pełnej, ocienionej puszkiem wargi. Czyż kłamały? Nie, jeśli kłamstwem jest mówienie czego innego, niż się myśli. Myślały to, co mówiły – a także coś zupełnie przeciwnego. Były szczere i chytre. Lubiły Anetkę i bawiły się popychając ją w sieci papy. Najmłodsza nie widziała w tym nic złego: był to dla niej dobry figiel. Nawet średnia, bardziej uświadomiona, myślała tylko o głupiej minie guwernantki, która dała się złapać. Lecz najstarsza, Stefanika, wiedziała, co robi; i miała podwójny powód rozkoszowania się zemstą na kochanej przez siebie Anetce, wydając ją w ramiona ojca, którego zdobycze budziły w niej może niedozwolone uczucia. Chowała te uczucia dla siebie i nie przyznawała się jasno do swej gry, oblizując się już z góry. Anetka, której myśl taka kilkakrotnie zaświtała w głowie, nie chciała w to wierzyć. Ale miała się na baczności.

Pewnego wieczoru, gdy kładła się już spać, zauważyła, że w zamku jej drzwi nie było klucza. Widziała go jeszcze przed kwadransem; a dziewczęta były w jej pokoju. Tłamsiły ją w uściskach, życząc dobrej nocy. Nie miała wątpliwości. Włosy zjeżyły się jej na głowie. Na próżno mówiła sobie: „Głupia jestem. Anetko droga, romantyzujesz. Jesteś zanadto nerwowa. Klucz wypadł po prostu. A choćby dziewczęta nawet go wzięły, chciały ci zrobić psikusa. Przestań myśleć o tym." Położyła się. Lecz w kilka minut potem wyskoczyła z łóżka. Usłyszała zduszony chichot dwóch starszych, które spały w przyległym pokoju. Poszła do nich boso, w nocnej koszuli. Gdy wchodziła, świeca nagle zgasła. Zapaliła ją znowu. Udały, że śpią. A gdy Anetka złajała je gniewnym głosem, odegrały komedię przebudzenia, patrząc niewinnymi oczyma, zaklinając się na wszystkie świętości, że nie mają pojęcia, o co jej chodzi: nie wiedziały o niczym. Anetka nie traciła czasu na rozmowy. Rzekła zimno do Stefaniki:

– Wyjdź z łóżka! Ja zostanę tutaj, a ty połóż się na moim miejscu.

Dziewczyna zerwała się, przerażona:

– Nie, nie, nie, nie!

Anetka spojrzała jej w oczy, nie nastawała; położyła się obok niej. Znów zapadła noc. Milczały. W godzina potem chwiejna podłoga korytarza zaskrzypiała pod czyimiś stopami; sąsiednie drzwi otworzyły się; ktoś wszedł do pokoju opuszczonego przez Anetkę. Anetka, oparta na łokciu, słuchała. Stefanika, która udawała, że śpi, słuchała także; zdradził ją niespokojny oddech. Za ścianą podniecony mężczyzna (znajdował się nieomal co noc w stanie półzamroczenia) wściekał się, rozdrażniony niepowodzeniem; przerzucał pościel i ryczał. Anetka, którą też opadł gniew, pochwyciła szorstko Stefanikę za ramiona; stłumionym głosem zmuszała ją do przyznania się i szeptała jej w twarz jakieś obelżywe rumuńskie słowa. (Są to pierwsze słowa, jakich człowiek uczy się w każdym języku, na równi z tymi, które dotyczą jedzenia.) Tamta, przerażona, przeczyła uparcie dalej – aż do chwili, gdy w trakcie sprzeczki spadł na podłogę ukryty pod poduszką klucz. Wystrychnięty na dudka galant opuścił pokój zatrzasnąwszy gniewnie drzwi i oddalił się tupiąc jak bawół. Dwie dziewczynki, przejęte wstydem i wzruszeniem (dopiero teraz zrozumiały ze zgrozą swą zdradę), padły na kolana płacząc rzewnie, całowały i oblewały łzami ręce Anetki, prosząc o przebaczenie. Były szczere. Stefanika rozpaczała głośno, pięściami tłukła się w silną pierś, aż dudniło, i postanowiła spędzić resztę nocy u stóp, guwernantki. Zasnęły znowu, pochlipując jak ochłostane dzieci. Nie można było mieć żalu do nich. Ale ufać im – nigdy.

Anetka chciała nazajutrz wyjechać. Dziewczynki jednak przebłagały ją okrzykami i wybuchami gwałtownej miłości. Ferdynand, zmieszany, nie wspominał o nieudanym najściu nocnym i trzymał się w przyzwoitej odległości, zachowując pozory skruchy. Anetka zgodziła się odłożyć decyzję. Zresztą zamiarowi jej stały na przeszkodzie poważne powody materialnej natury: nie miała wcale pieniędzy; a gdy domagała się swej należności, znajdowano tysiąc

pozorów, zwlekano i nic nie płacono; nadchodziła zima i odcinała od świata odosobniony dom; podróże były uciążliwe w tej porze roku: nie tak to proste było wyjechać.

Anetka postanowiła poczekać do wiosny. Niedawny alarm, zda się, uspokoił umysły. Nastał czas sennego spokoju. Zaścielający pola śnieg kładł się na serca kojącym puchem. W świetle księżyca zamarzły staw ciskał diamentowe ognie. Jeździli saniami, wśród dźwięku dzwonków – twarze rumiane od wiatru, uszy w ciepłych czapach, okutani w futra, szczęśliwi od napływu palącej skórę, odmłodzonej krwi. Brudne, pokryte sitowiem chałupy i cuchnące bagna okryły się nieskalaną szatą bieli. Anetka starała się, nie bez powodzenia, zainteresować swe dzierlatki nędzą włochatych jak wilki, okrytych łachmanami chłopów, których piękne śpiewy, rysy jak z antycznych monet, barbarzyńskie, świetne ozdoby przywdziewane w dni świąteczne, stare obyczaje i zdrowy rozum budziły jej zachwyt. Próbowała rozmawiać z nimi; rozpraszała ich nieufność; z przyjemnością patrzyła, jak pod surową maską Daków, skutych dokoła kolumny Trajana, rozbłyska ironiczny uśmiech, który sądzi i szydzi jak u Colas–Breugnonów jej rodzinnej Burgundii. Niekiedy też słychać było pomruk grzmotu. Gdzieś daleko. Jakieś słowo, gest, ton głosu. Nagromadzone wieki buntu przeciw panu. Pan wiedział o tym; ale że stan ten trwał od wieków (zdarzały się co prawda nagłe wybuchy), wydawało mu się to prawem naturalnym, z którego silniejszy (to jest on) korzystał, musiał korzystać. „Ściskasz konia udami. Gdy wierzga, ściągnij go, aż wędzidło werżnie się w pysk!...” Anetka dostrzegała ten milczący pojedynek; i stawiała (kto ją zna, temu nie trzeba mówić) na konia. Kiedyż uwolni grzbiet z tych kleszczy?... Nie żałowała, że została tutaj.

Dobrze było zetknąć się znów z siłami żywiołów: z tą starą ziemią, po której hulał wiatr zimowy, gdzie w wirach śnieżnych, podnoszonych jego wściekłymi podmuchami, ożywały bitwy Marka Aureliusza i bitwy, które nadejdą, drzemiące dziś w sercach Getów.

Lecz surowy klimat i te wycieczki na świeżym powietrzu wracały jej czerstwość i blask, których zuchwałą ochotę rozsądniej byłoby tłumić: stanowiło to, wbrew jej wiedzy, przynętę rzuconą pod nos szczupakowi... Była w kwiecie swej późnej jesieni, w pełni zdrowia i radości życia, uspokojona chwilowo co do Marka, który, jak wiedziała, znajdował się wówczas pod puchowym skrzydełkiem Sylwii. Z zapałem uczestniczyła w zabawach ludowych, na które panny Botilescu przybierały ją i siebie w ciężkie i wspaniałe stroje ludowe (gdyż brutalność stosunków między panem a sługami nie wykluczała zażyłości), ale porównanie poprzebieranych kobiet nie wypadło na korzyść młodych dziedziczek i chłopcy nie wahali się w wyborze: Anetka tańczyła z chwatami, z zuchami wiejskimi. Nie widziała gniewnej zazdrości w zmarszczonych pyszczkach swych kotek; co więcej, nie zauważyła błyszczących oczu gospodarza aż do chwili, gdy wyrwawszy ją z rąk jakiemuś wiejskiemu tancerzowi, sam ją z kolei pochwycił. Wtedy wymówiła się zmęczeniem i po skończeniu tańca wycofała z zabawy. Następnych dni wróciła do rozumu. Alarm zdawał się zażegnany. I znów drzemano.

Było to pod koniec marca. Odrętwiałe jeszcze tętno ziemi zaczęło się budzić. Skryty dreszcz przebiegał pod grubym śniegiem, który nabierał zmarszczek; brzegi zmarzniętego stawu pękaty. Po nocach, słychać było w ciszy niebios krzyki wędrownych stad. Nadszedł karnawał. Po dworach zapraszano się z zabawy na zabawę. Trzy dziewczyny pojechały z matką na przyjęcie i bal do jednej z okolicznych posiadłości. Nieobecny od kilku dni ojciec bawił, jak mówiono, w Bukareszcie. Anetka nie towarzyszyła swym pupilkom: jakieś dreszcze po plecach i ociężałość głowy – początek grypy – zatrzymały ją w domu. Zapadał mrok, wreszcie nadeszła noc. Anetka leżała w swym pokoju nie zapalając światła. Słyszała o piętro niżej, w sali portretowej, kulawe tykanie starego zardzewiałego zegara, a na tonącej w mroku równinie skrzypienie źle nasmarowanych osi. Drzemała. Zbudził ją zgrzyt w zamku. Nie próbowała go określić. Ale coś jej dolegało, jakby głuche rwanie spuchniętego dziąsła. Przypisywała to zrazu grypie. Potem, jakby ostrze zaczęło wiercić w dziąśle – miejsce bólu ustaliło się. Niebezpieczeństwo tkwiło nie w niej, ale na zewnątrz. Przypomniała sobie, że zastała Stefanikę przy telefonie mówiącą szybko coś, czego niejasny sens uderzył ją teraz, i we

wspomnieniu ujrzała znów jej zmieszany, tajemniczy wyraz twarzy. Pomyślała, że jest sama w domu, ze służbą uległą, posłuszną, zdolną do wszystkiego, głuchą i niemą. Zerwała się przypomniawszy sobie zgrzyt w zamku, który ją zbudził. Wstała, podeszła do drzwi i przekonała się, że są zamknięte na klucz, od zewnątrz. W tej samej chwili usłyszała warkot powracającego auta. Wszystko stało się jasne. Gospodarz wślizgiwał się do domu jak złodziej. Zamknęła wewnętrzną zasuwę, którą, w podejrzliwości swej, kazała założyć. On przyjdzie, wiedziała o tym.

I przyszedł. Pchnął drzwi, które stawiły opór. Anetka, stojąc przy nich w milczeniu, wściekła jak szczur schwycony w pułapkę, oceniła siłę zasuwy i uznała, że nie wytrzyma ona długo. Zyskiwała tylko na czasie. Głosem zimnym odpowiadała krótkimi słowy prowadzącemu układy mężczyźnie, krążąc dokoła pokoju i jak szczur szukając jakiejś szpary. Mogła ujść tylko przez drzwi balkonu. Otworzyła je. Pokój na pierwszym piętrze położony był w narożniku domu, wznoszącym się tuż nad stromym stokiem pagórka; okno wychodziło na okrągły balkon, który wisiał nad zboczem. Anetka przechyliła się przez żelazną balustradę i zmierzyła wzrokiem wysokość. Zastanowiła się. Namacała sękaty krzew starej, bezlistnej glicynii, która oplotła pręty parapetu okręcając się dokoła nich pierścieniami, jak wąż boa. Wróciła do pokoju, ubrała się, wzuła pilśniowe chłopskie buty, włożyła grube rękawice, lecz zdjęła je zaraz, by mieć pewniejszy uchwyt. W mgnieniu oka pozgarniała najpotrzebniejsze leżące na wierzchu przedmioty, znalazła nawet czas, aby, ulegając w takiej nawet chwili kobiecemu instynktowi (zauważyła to potem), przejrzeć się w lustrze, w momencie gdy wciągała na uszy ciepłą astrachańską czapkę; ujrzała w nim swe gniewne usta, odpowiadające wzgardliwym „tak" i „nie" zwierzowi, który niecierpliwił się i wstrząsał drzwi w zawiasach. Wreszcie zdecydowała się rzuciwszy ostatnie spojrzenie dokoła; spod samego już progu wróciła, by zabrać ze ściany fotografię Marka, którą zawiesiła nad swym łóżkiem obok poduszki, i schowała ją na piersiach. Wtedy okraczyła parapet balkonu i chwyciwszy się skręconego pnia glicynii, spuszczała się, to zjeżdżając gwałtownie, to czepiając się krzewu, narażona wciąż na rozprucie brzucha lub wybicie oka o ostre dzidy gałęzi, które dotkliwie smagały jej twarz. W pewnej chwili uczuła w przedramieniu tak silny ból, że puściła gałąź. Na szczęście przebyła już przeszło dwie trzecie drogi, a śnieg złagodził upadek. Stoczyła się po pochyłości i znalazła się u stóp wzgórza, w głębokim cieniu domostwa, za którym zachodził księżyc. Ubranie w strzępach, dłonie i uda podrapane, ale ręce i nogi – wszystko było na miejscu. Odetchnąwszy ruszyła na przełaj polami, korzystając skwapliwie z ostatnich blasków księżyca, aby obrać kierunek. Ale księżyc zaszedł niebawem; nastała zupełna ciemność, która z jednej strony zabezpieczała uciekającą Anetkę od pościgu, z drugiej wszelako przeszkadzała jej, odbierając poczucie kierunku. Chciała iść w stronę Bukaresztu, skąd konsul francuski odesłałby ją do ojczyzny, ale nie znała dobrze okolicy, a ciemna noc pozbawiła ją punktów orientacyjnych. Szła i szła jak pies szukając tropu, patrząc w ziemię, która dawała poblask wskazujący jej drogę, a zarazem zwodniczy. Wpadała w jamy śnieżne, brnęła w bagnach, tonęła w błocie, wydobywała się, przemarznięta, zgorączkowana; szła całą noc, urzeczona nie milknącym chórem żab, nie zdając sobie sprawy, że krąży dokoła ogromnego stawu. O pierwszym brzasku, znalazła się na gościńcu wśród bagien; ponad sitowiem rysował się w niewielkiej odległości przeklęty dwór, z którego uciekała. Ruszyła dalej, zmordowana. Napotkany chłopak wiejski, który ciął sitowie, z gębą czarną od stwardniałego mułu, spojrzał na nią i zamiast odpowiedzieć na jej pytania, czmychnął co sił w nogach, porzucając ścięty pęk situ. Myślała, że ścigają ją i że chłopak biegnie dać znać; wypatrywała jakiejś bocznej drożyny, którą mogłaby ujść, ale na próżno; nie kończąca się szosa biegła w dal nie tworząc nigdzie zakrętu, który by ją mógł zasłonić, prosta jak grobla, między dwoma pasmami bagien. Daremnie przyspieszała kroku. Ujrzała nadjeżdżające auto; jego warkot zwiastował zbliżanie się prześladowcy. I on ją ujrzał; w trzy minuty doścignie uciekającą. Bez wahania rzuciła się prosto w bagno. Cienka skorupa lodu załamała się, Anetka wpadła w zimny, kleisty muł, chwy-

ciła się gałęzi wierzb. Słyszała od strony gościńca ochrypły głos Ferdynanda: był niespokojny i zły. Zaklinał ją, by wróciła. Z błotnistego pnia, przy którym wylądowała, krzyknęła: „Nie!" i zawzięta, rzuciła się znów w zarośla ginąc mu z oczu: z drogi widać było tylko rozchwiane sitowie i pałki trzcin potrącone w biegu przez ściganą wilczycę. Na widok tego szaleńczego uporu wściekłość odbiła się na nabiegłej krwią twarzy myśliwego. Wrzasnął, że jeśli nie zawróci natychmiast, on strzeli bez pardonu,, jak do zwierzęcia! Krzyknęła: „Zabij!" Ona także była pijana wściekłością. Tonęła po pierś w błocie, a płaskie, owijające jej ciało, śmierdzące łodygi wodorostów były niby czarne, lepkie pijawki. W mętnym niebie piszczał krogulec. Pomyślała:

„Nie dostanie mnie! Niech mnie raczej zjedzą w tych bagnach szczury i karaluchy!"

Ale tamten nastraszył się. Zmienił ton. Zaczął błagać. Przysięgał na honor (śmiała się z tego!), że uszanuje ją, że jest na jej usługi, że przyjmuje z góry warunki.

Nie wierzyła już, raz się sparzywszy... Zacięła z uporem usta, by nie odpowiadać i zarazem by nie łykać śmierdzącej papki, w której brodziła. Nigdy nie byłaby się poddała, gdyby szlam nie oblepił jej ciała paraliżując ruchy; chcąc wydobyć się z plątaniny wodorostów dusiła się. Ferdynand wszedł do dżungli narażając się dla jej ocalenia na utonięcie. Brnąc w grzęzawisku zdołał chwycić ją pod pachy i wyrwać z błota. Wydobył Anetkę na brzeg. Była obłocona i czarna od stóp do głów, lecz wciąż nieustraszona. Wyzywała go do dalszej walki. Nie miał ochoty podjąć wezwania. Uwielbiał ją. Mówił do niej z czcią, okazując żal, że zmusił ją do tej ucieczki. Błagał ją o przebaczenie prosząc, by wróciła do dworu. Wyrażał się z krasomówczą, lecz szczerą pokorą i emfazą, co wywołało uśmiech na obliczu Anetki surowym od urazy i popękanego błota, które tworzyło maskę na jej twarzy.

– Dobrze! – powiedziała. – Zapomnijmy o tym! Przyda się to nam obojgu... Lecz co do powrotu, nie! Nie ma mowy... Odjeżdżam.

Miał strapioną minę, lecz protestował tylko dla formy; nie był zbytnio zdziwiony. Tak bardzo spodziewał się tej decyzji, że zabrał do auta walizkę Anetki, w której umieścił pozostawione przez nią rzeczy. Ofiarował się zawieść ją do najbliższej stacji międzynarodowego ekspresu; prosił tylko z żałosną miną przychwyconego na gorącym uczynku uczniaka, by dla ocalenia jego powagi zechciała napisać do dworu list tłumaczący ten nagły wyjazd ważnymi wiadomościami od syna, wzywającymi ją do Paryża. Zgodziła się i wsiadła do auta.

Zatrzymali się w pierwszej mijanej wiosce, w najmniej brudnej chacie, by Anetka mogła zmienić bieliznę i umyć się. Zagrzano w kotle wodę i Anetka przystąpiła do generalnego prania, podczas gdy Ferdynand, wypędziwszy dzieciarnię i gospodarzy, zawstydzony i wściekły, stał na straży u drzwi, odwrócony plecami. Anetka, naga, szczękając zębami, ze skórą czerwoną od rozcierania, wybuchnęła szalonym śmiechem przypomniawszy sobie wspomnianą przez Saint–Simona[155] historię o pewnym księciu, który przechadzał się ze szpadą w ręce pod przybytkiem, gdzie załatwiała się dama jego serca. A ponieważ grypa i śmiertelny ziąb bagna i jej skręcały kiszki, nie wstydziła się, jako rodowita Burgundka, pośpiesznie zrobić to samo na podwórku pod pieczą dzielnego rycerza. *Honni soit qui mal y sente!*[156] Nawet Kleopatrę bolał brzuch...

Wsiedli znów do auta. Stacja była daleko; kiedy zaś przebywszy roztajałe drogi dotarli tam wreszcie, dowiedzieli się, że katastrofa kolejowa uniemożliwiła na kilka kursowanie Express–Orientu: tor przerwany był u podnóża Karpat przez powódź. Botilescu zaproponował Anetce, odwiezie ją do hotelu w Bukareszcie, gdzie mogłaby zaczekać do czasu naprawienia linii. Ale odmówiła energicznie; śpieszyło się jej z wyjazdem. Aczkolwiek rozumnie by było wyleczyć się w pokoju hotelowym z przeziębienia, gorączka, która trawiła jej ciało, i

[155] S a i n t – S i m o n Louis de Rouvroy (1675–1755) – znakomity pamiętnikarz francuski.

[156] *H o n n i s o i t q u i m a l y s e n t e!* (st. fran.) – hańba temu, komu by to źle pachniało – parafraza zwrotu *Honni soit qui mal y pense* – hańba temu, kto by źle o tym pomyślał.

podniecenie wywołane pościgiem sprawiały, że niecierpliwiła się, zdenerwowana, chcąc jak najszybciej opuścić ten kraj. Czuła chorobliwy lęk, że zostawi tu swe kości. Gdy szamotała się w bagnie, nie odczuwała najmniejszego strachu. Lecz strach zrodził się teraz; błoto sięgało jej po szyję (zgniły odór prześladował ją po nocach; czuła go za paznokciami); drżała, że szlam zaleje jej usta, dusiła-się. Zażądała, by Ferdynand zawiózł ją do Konstancy, i tam wsiadła na pierwszy odjeżdżający statek. Był to okręt włoski, który po dość długim rejsie miał zawinąć do Brindisi. Ale Anetka nie słuchała perswazyj pana Botilescu. Zamknęła się w swej kabinie; straszliwe zmęczenie powaliło ją z nóg: została sama ze swą gorączką i przez cały czas podróży była na wszystko obojętna; miała tylko jedno pragnienie: wrócić, żywa czy umarła, do Paryża.

*

Wróciła do Paryża. Przybyła wcześniej niż telegram, którym zapowiedziała swój przyjazd i który zawieruszył się w bramie u dozorcy: Marek zmienił kilkakrotnie lokum, Anetka zaś nie otrzymała przed wyjazdem jego ostatniego adresu. Odnalazła go nie bez trudności. Sylwia, którą pytała, nie wiedziała nic o miejscu pobytu siostrzeńca. Anetka nie ukrywała swego niezadowolenia na widok obojętności siostry. Sylwia, która wiedziała lepiej, co piszczy w trawie, odpowiedziała, że nie jest niańką. Co innego ma w głowie! Anetka, rozstawszy się z nią gwałtownie, zauważyła, że siostra zmieniła się bardzo: miała, worki pod oczyma, twarz nalaną, ociężałą, apoplektyczną. I robiła sobie wyrzuty, że w zniecierpliwieniu nie spytała nawet siostry o zdrowie. Sylwia również nie czuła się wolna od zarzutu.

Na ślad naprowadził Anetkę Sainte–Luce. Ale w dobroci serca nie powiedział jej, że Marek był w tej chwili gońcem w nocnym kabarecie. Znał miłość własną kolegi. Uprzedził go. Anetka nie kładąc się oczekiwała syna przez całą noc w swym hotelowym pokoju. Marek zapukał o świcie do jej drzwi. Pragnął ją zobaczyć tak bardzo, jak i ona jego. Lecz gdy się ujrzeli, obyło się bez żadnych wybuchów czułości. Już przy pierwszym zetknięciu uczuli wzajemny chłód. Byli inni niż wtedy, kiedy się pożegnali. Oboje przeżyli jakieś wstrząsy i zareagowali odmiennie. Oboje byli zresztą zdenerwowani długim niespaniem. Anetka źle ukrywała nieco gniewne zniecierpliwienie z powodu oczekiwania oraz podejrzeń wywołanych nocnym życiem Marka; Marka zaś irytowała świadomość tego i fakt, że trafiła niespodzianie na trop jego upadku; nie był bowiem pewny, czy Sainte–Luce nie zdradził jego upokorzenia. Spytał tonem raczej suchym niż czułym, czemu się nie położyła. Odpowiedziała ze słodyczą większą, niż zamierzała:

– A ty, mój mały?

Tylko od niego zależało odpowiedzieć, że nie wraca z zabawy; ale był zbyt dumny, by się tłumaczyć; a robiło to wrażenie, że żąda od niego wyjaśnień: nie dopuszczał myśli, by winien je był komukolwiek. Nie raczył więc odpowiedzieć. Anetka obserwowała go: zwiędła cera, zmęczony wyraz twarzy, przedwczesne, nieznane jej zmarszczki koło nosa, wyryte przez znużenie i niesmak. Serce jej ściskało się na myśl o rozwiązłym życiu i jego śladach w duszy. Pozwalał matce myśleć, co się jej podoba. To, co w niej widział, nie ucieszyło go również. Wyglądała na zbyt zdrową, zbyt dobrze odżywioną, miała cerę świeżą, a w oczach, w ruchach radość życia, którą promieniała mimowiednie. Nikt by nie przypuścił, że wracała z bagien rumuńskich i przeszła ciężką grypę. Rumieńce na policzkach były złudne. To pozostałość po przekrwieniu naczyń. Ale nie złudne było to, że w istocie, mimo wszystkich przykrości, nie uważała życia za złe. Nie! Doprawdy, starzejąc się nabierała doń smaku. Brak ładu i składu, nieprzewidzialność, nawet katastrofy i niepewność jutra dodawały tej uczcie smakowitości. Było to diablo apetyczniejsze niż wszystkie mdłe menu jej młodości, życia mieszczańskiego Francji między 1890 a 1900! Miała dobry żołądek. Lepszy niż Marek, wiedziała o tym. Cóż robić. Nie mogła, dla jego przyjemności, udawać chorej na niestrawność czy blednicę... On

był wynędzniały i przeżarty goryczą, oburzony na społeczeństwo, którego głupkowatym godom i cherlackim występkom musiał przypatrywać się z bliska i służyć. Gdy wychodził z tych kloak wyuzdania, nie mógł nawet bez mdłości jeść chleba, który zarobił: chleb czuć było potem dziewek. Miał ochotę wsadzić światu dynamitową bombę w tyłek. To piekące rozdrażnienie dochodziło do szału w zetknięciu z towarzyszami niedoli, z robotnikami, do których zbliżył się niedawno.

Jeden z nich uzyskał nań pewien wpływ – o ile można było mówić o wpływie na chłopca tak nieufnego jak Marek. Eugeniusz Masson był równie nieufny. Poznali się w nocy, w metro, potem wracali razem z pracy pieszo przez cały Paryż około trzeciej czy czwartej rano. Masson był zecerem w drukarni pewnego dziennika i wciągnął do niej Marka, gdy wyrzucono go za drzwi z nocnego kabaretu, gdzie krwawej pogardy chłopca mieli w końcu dość (pobił się z klientem). Dziennik był zresztą ultraszowinistyczny, bronił interesów imperialistycznych, zwalczał wszystkie idee Marka i Massona. Lecz poza drukarnią właściciele dziennika nie troszczyli się o to, czy składacze podzielają ich idee, czy nie. To, że byli ludźmi i że myśleli, było dla nich obojętne. Rób swoje! Płacili za pracę punktualnie. To wszystko, czego Marek i Masson mogli od nich żądać. Bunt nie dojrzał jeszcze. A jeszcze mniej metoda „biernego oporu" na wzór Gandhiego. Któż by o tym mówił w Paryżu? I któż by odwoływał się do tak heroicznego zaparcia się siebie, które by się wyrzekało chleba kupionego za cenę pracy niezgodnej z sumieniem? A jednak lud paryski ma w sobie większe zasoby heroizmu, niż to potrafi dojrzeć słabość przywódców i niż on sam przypuszcza! Nie mając ujścia heroizm zamienia się w gorycz.

Gorycz Massona miała tę wyższość nad goryczą Marka, że była okrutniej usprawiedliwiona. Młody rzemieślnik był wojenną ofiarą „gazu", miał śmierć we krwi. I płonął oburzeniem na ohydny egoizm, na apatię tych wszystkich Francuzów, którzy po tylu ciężkich przejściach nie uczynili nic, by przeszkodzić ich powrotowi. Szczególnie napadał na kastę Marka, młodych intelektualistów mieszczańskich. (Na starych także. Lecz o tym nie warto było mówić! śmierć sama wymiecie te stare truchła.) Z namiętnym sarkazmem smagał ich hedonizm myślowy (gdyż czytywał), ich obojętność na cierpienia świata, tę fałszywą elitę, która zdradziła, tych pasożytów do niczego niezdatnych, to robactwo, które zżera resztki łupu... Marek miał sposobność przekonać się o całej słuszności oskarżenia; on sam (niedługo zresztą!) zbierał okruszyny pod stołem; w upokorzeniu jego odżyła uraza do Sylwii. Atoli przez instynktowną solidarność, której wypierała się już jego zbuntowana świadomość, próbował bronić racji bytu i zasług tej klasy. Lecz kiedy przynaglany ostrogą napaści Massona starał się zmusić najlepszych ze znanych sobie intelektualistów do wyjścia z tej wygodnej neutralności, jaką znaleźli poza szańcem własnych książek, gdy chciał ich skłonić do działania, stwierdzał ku swemu wstydowi, że najsurowsza o nich opinia nie była jeszcze dostatecznie surowa. Wszyscy niemal mieli możliwości materialne – a wielu wolny czas – by patrzeć jaśniej i dalej niż inni. Było mnóstwo ludzi gotowych iść z wdzięcznością za pierwszym bezinteresownym przewodnikiem. Ale oni niczego nie bali się tak bardzo, jak zbyt zdecydowanej armii, która by szła za nimi popychając ich i kompromitując. Udawali, że patrzą gdzie indziej... „Nic nie widziałem..." Ich dezercja z obawy przed odpowiedzialnością była poniżająca. Trzeba ją wypalać na czole rozżarzonym żelazem. Nawet wśród młodych pisarzy, którzy, pozwalając sobie na luksus „humanitaryzmu", raczyli nie ignorować działalności politycznej, żaden ze znanych Markowi nie wiązał się silniej z jakąś partią; rezerwowali sobie kilka różnych stołków: radykalizm, socjalizm, internacjonalizm, nacjonalizm, a od czasu do czasu nawet możliwość małej eskapady – pod etykietą powrotu do Starej Francji klasycznej – do rojalizmu literackiego, który rozporządzał głosami Akademii i prasy. Po okresie dwuznacznego oczkowania z przechodniami z jednego lub drugiego chodnika, sprawa była traktowana za wzorem zawodowych ulicznic: nieomylnie znajdowali obuwie na swą nogę. Paryż przedstawiał wszystkie stopnie prostytucji moralnej – od publicznego domu kuglarzy prasowych, których opłacano, by gru-

bymi kłamstwami zatruwali większość niewybrednej publiczności, aż do wielkich kokot Akademii i salonów literackich, sączących umiejętnie swą truciznę „niewoli dobrowolnej", lecz nie bezpłatnej, oraz powszechnego paraliżu. W sumie, milczącym ich zadaniem było odciągać ludzi od działania. I wszystko służyło temu celowi. Nawet myśl. Nawet działanie!... Gdyż w istocie paradoks polegał na tym, że namiętność sportowa w ostatecznym wyniku prowadziła do bezczynu. Pijacka mania czynu fizycznego i ruchu dla ruchu wyrzucała z naturalnego łoża burzliwe energie i wyczerpywała je na kolistym stadionie lub po wściekłym biegu wyrzucała na śmietnik nieużytków. Lud podlegał temu nie mniej od innych klas. Massonowi, który szydził z podłości mieszczańskich intelektualistów, Marek mógł z łatwością odpowiedzieć kpinami z robotników ogłupionych sportem. Sport kończył niszczycielskie dzieło dzienników. Tworzył on klasę otumanionych i nieużytecznych. Wielkie kluby kupowały, niby konie, stajnie zawodowców (których nazywały amatorami) i tworzyły drużyny piłki nożnej. Tysiące pracowników w pełni sił nie wstydziło się sprzedawać swych mięśni rozkoszując się jako międzynarodowi piłkarze życiem w zbytku, pałacami i wagonami sypialnymi, aż do chwili, gdy ich mięśnie utraciły przedwcześnie sprawność, a wartość handlowa spadała do zera; wtedy rzucano ich w kąt niby ścierwo gladiatorów na rzymskich igrzyskach. Lecz gladiatorzy przynajmniej byli martwi, ci zaś, którzy przegrali na nowych stadionach, wlekli dalej swój nędzny żywot! Tłum widzów nie dbał o nich tak samo, jak plebs rzymski. Żądał innych atletów, ciągle nowych! I w widowiskach tych wyczerpywał całą namiętność, która, właściwie użyta, mogła jednym ciosem obalić cały ucisk socjalny. Wnosił do meczów międzynarodowych morderczy szowinizm. Zabawy wyradzały się w walki. Bywali zabici.. I „atak" w rugby[157] zamieniał się w rzeźników frontowych dobijających wroga w okopach. Po to ocalone z wojny szeregi ludu przeszły pod Łukiem Triumfalnym! Na tym kończyła się ich przysięga, że wezmą w swe ręce pieczę nad państwem i przebudową społeczeństwa! Nawet nie *panem et circenses*[158]... Na chleb trzeba było zarobić. A za *circenses* płacić. Umiejętność wyzyskiwania gapiostwa i głupoty ludzkiej poczyniła postępy od czasów plebsu Meneniusza Agryppy[159]. Nie. Masson nie był bardziej dumny ze swego ludu niż Marek ze swej burżuazji. Gdy chciał palnąć kazanie swym towarzyszom–robotnikom z drukarni, wymyślali mu od bałwanów, nie zadając sobie trudu dyskutowania. Jedyny, który raczył mu odpowiedzieć, stary towarzysz z okopów, wzruszył ramionami:

– A cóż byś chciał? Żebyśmy dali sobie drugi raz dziurawić skórę w obronie cudzych praw? Znów się tym parać? Mam dość! Nie jestem już błaznem, żeby się zajmować innymi. Zajmują się sobą. Każdy sobie!

Marek i Masson, którzy gorzko piętnowali egoizm swych klas, nie mieli odwagi wyrzec się własnej dziedzicznej miłości swobody, która jest inną formą egoizmu i sprowadza bunt do nicości. Ciężko jest Francuzowi wyzwolonemu z przesądów tłumu podporządkować się ścisłym rygorom i poddać się dyscyplinie partii. Słabość przedwojennego socjalizmu francuskiego była skutkiem tego, że zbyt luźne więzy zbliżały jego członków okolicznościowo, nie skupiając ich w momentach rozstrzygających. I jeśli Masson wyniósł z wojny jakąś nauczkę, to było nią postanowienie, aby nigdy i nigdzie nie służyć żadnemu panu, żadnemu imperatywowi partyjnemu i należeć tylko do siebie samego... Jak tedy liczyć na innych? Myśl, że ci inni, nawet z jego klasy, nawet uciśnieni jak on, mogliby działać zgodnie, pozostając sobą dla samych siebie, a nie uchylając się od służby wyznaczonej przez dowództwo, przez dyktaturę partyjną, była po prostu chimerą. Najgwałtowniejsze ruchy zbiorowe są przejściowe; wyczer-

[157] *R u g b y* (ang.) – nazwa gry w piłkę.

[158] *P a n e m e t c i r c e n s e s* (łac.) – chleba i igrzysk.

[159] M e n e n i u s z A g r y p p a – konsul rzymski żyjący na przełomie VI i V w. p. n. e. Według legendy pogodził zbuntowany lud z senatem, opowiedziawszy zbuntowanym przypowieść o członkach ciała, które nie chciały pracować dla żołądka nie widząc jego działalności; w następstwie czego całe ciało umarło.

pane własną swą gwałtownością, nie hamowane silną ręką, słabną nie dotarłszy do celu i znów toną w głębi: kamień wyrzucony spada nawet pod poziom, z którego wyleciał. Ale rewolucyjna Francja od zbyt dawna straciła praktykę czynu. A wojna zmierziła jej do reszty zasady walki. Wszystko, co duchom wolnym przypominało pułk, było przez nich znienawidzone i odrzucone. Tylko konserwatyści i szowiniści przyjęli nauczkę i umieli ją wyzyskać. Partia była czymś korzystnym dla Reakcji. Wolność sama gotowała sobie wędzidło, jednocześnie buntując się pod siodłem wybranego wodza, który jej dosiadł i wiódł do zwycięstwa. Masson nie mógł zostać w żadnej syndykalistycznej organizacji robotniczej (te, które istniały przed wojną, reformowały się z wielkim trudem, a nowe traciły czas na podstawianiu sobie nogi). Co do Marka, był on wcieleniem autoipsyzmu. Wszystkie jego słabości w tym miały źródło. Lecz także wszystkie jego siły. Nie wydawało się możliwym, by mógł kiedykolwiek wyzbyć się pierwszych nie wyzbywając się drugich i nie tracąc racji swego bytu. Nie było więc widać żadnego wyjścia ze ślepej uliczki, gdzie zapędziła dwóch towarzyszy ich cierpka krytyka społeczeństwa. Towarzyszami byli tylko w bezsilnej negacji. Brakło im czynu, który daje ulgę. I kto wie, czy mogąc działać umieliby poczynić sobie wzajemnie ustępstwa konieczne dla skoordynowania swych działalności? Tego trzeba się było dopiero uczyć. Gdzież mieli to robić? We Francji nie było żadnej szkoły czynu. Istnieli tylko nauczyciele wymowy. W tym względzie każdy Francuz umie dosyć, by pouczyć drugich. Marek i Masson czuli wstręt do słowa. Ale mówili. Zamiast działać! Mówili o czynie, którego nie dokonywali, którego nie mogli dokonać. A potem każdy czuł pustkę i obrzydzenie do siebie i drugiego. O czynie, czynie! O łono czynu gotowe do zapłodnienia!

Społeczeństwo niedostatecznie zdaje sobie sprawę, że ta niezaspokojona *pubertas*[160] woli jest równie niebezpieczna jak *pubertas* płciowa. Zdrowy naród potrzebuje zawsze celu dla swoich wysiłków. Jeżeli nie ma celu szlachetnego, obierze cel nikczemny. Lepsza zbrodnia niż wstrętna pustka życia, które usycha bezpłodnie. Niejeden z tych młodzieńców roku 1914, których poznaliśmy, rzucił się w wir wojny, by wyrwać się upadlającej nudzie. Jeśli tamci ochłonęli po krwawej orgii, przyszli po wojnie inni, którzy z kolei stali się pastwą szalonej rui czynu. Jeśli nie zadowolą żądzy, rozbiją sobie głowy o pręty klatki jak zwierzęta w menażerii, których nie upodliła jeszcze długa tresura. Marek i Masson krążyli mrucząc po swej jamie. I setki innych zachowywały się jak oni; każdy odosobniony był w swej norze, każdy w głębi serca wył w agonii i wściekłości.

Ale właśnie tutaj podtrzymywała syna Anetki jego dobra krew. Jego krew; być może nawet nie jego rasy. Nie trzeba by daleko sięgać w genealogię Rivière'ów! Mieszało się tam dobro i zło. Ale każdy odświeża swą krew w ciągu życia. W jej ciałkach zaznaczył się dumny wysiłek Anetki. Marek mógł sobie być dość nieciekawym wyrostkiem, jak wszyscy niemal dwudziestoletni młodzi mężczyźni, gdy się ich ogląda w stanie natury, mulistej i źle oczyszczonej, w głębokiej rozterce myśli (ciała i ducha), w czasie i warunkach moralnie okropnych (bez wiary czy to w ludzi, czy sięgającej poza ludzi, bez żadnej podpory!) – nie tracił nigdy instynktownej, niedorzecznej, heroicznej woli wzniesienia się... „Wzniesienia czego? Siebie? Cóż to jest ja? Ta nicość? To j a, które mi się wymyka, którego nie znam; czyż jestem choćby pewny, że ono istnieje?... Pewny czy niepewny, ja chcę, chcę, chcę! Podnoszę je. Nie dam się z nim zatopić..." – W takich chwilach mówił o sobie jak o kimś obcym. Ale tego obcego strzegł. Nawet gdy ów obcy wymykał mu się z rąk, chwiał się, padał, hańbił się, on, nietknięty, upierał się przeciw niemu – by go sądzić, potępiać, podnosić – przy dumnych uczuciach, które zjadliwa jego ironia wyszydzała jako staroświeckie i zacofane: honor, duma moralna, mocne postanowienie nieprzyniesienia ujmy... „Ujmy komu?... Idioto, och, idioto!... Podłemu mieszczuchowi, który mnie spłodził i uciekł? Czy brzuchowi, który mu się oddał i

[160] *P u b e r t a s* (łac.) – męskość, dojrzałość.

wydał mnie na ten ohydny świat, dokąd się nie prosiłem?... Idioto!... Zgoda!... Chcąc czy nie chcąc, jestem na świecie! Ona pchnęła mnie w bój. Nie poddam się."

I myślał: „Ona (ten brzuch) nie poddała się. A ja, ja miałbym to uczynić? Byłbym mniej wart niż kobieta?"

Ten młody mężczyzna cenił się nieskończenie wyżej. Ale w najgłębszej skrytce jego wnętrza tkwiło niesformułowane „Ave Mater... Fructus ventris..."[161] Owoc nie zdradzi drzewa.

Ale w tej chwili zdradzało drzewo...

Marek obserwował surowym spojrzeniem tę kobietę, tę matkę, która wróciła doń ze Wschodu i która przeobraziła się w inną w fermentującym środowisku Paryża. Była mu podejrzana. Nie reagowała z pożądaną przezeń cierpkością przeciw temu światu, który stał się jego osobistym wrogiem. Czyżby się z nim godziła? Nie mógł czytać w głębi jej serca. Lecz w jej ustach, w jej oczach, w jej postaci widać było jakąś żywą, szczęśliwą beztroskę, wolną od buntu i wyrzutów. Jakże to? Czyżby chciał, by dręczyła się tym światem, nędzą i hańbą tych ludzi, by uczestniczyła w tym wszystkim? To dobre dla niego, nowicjusza jeszcze w gorzkiej grze, w której wypija się całą żółć życia, jak gdyby dla niego tylko była ona przygotowana! Miała czas oswoić się z tym smakiem – czy niesmakiem. „Żółć wmieszana jest do wszystkich pokarmów. To nie przeszkadza mi jeść! Trzeba jeść. Przyjmuję życie. Nie mam wyboru..."

Przyjmował także to życie, lecz z gniewem, z urazą, ukrytą wściekłością. I nie mógł znieść, że tamta, jego matka, przystosowała się doń w sposób tak naturalny i zdawała się nawet znajdować w owym życiu nieprzystojne upodobanie. Lecz jakież miał prawo zabronić jej tego? Prawo, które cichaczem przywłaszczył sobie: było to więcej niż prawo syna, było to prawo mężczyzny. Tą kobieta stanowiła jego własność. Lecz gdyby jej to powiedział, roześmiałaby mu się w nos. Wiedział o tym. Wiedział, że miałaby słuszność. I był tym bardziej wściekły.

*

Anetka po różnorodnych przygodach znalazła się na bruku. Ostatniej omal nie przypłaciła własną skórą; każda inna kobieta utraciłaby w tej sytuacji dużo zaufania do siebie i do życia. Lecz skóra Anetki była twarda. Co do zaufania, nie było obawy, by je straciła: gdyż nie chodziło jej nawet o to, by je mieć. „Ufać, komu? czemu? sobie? życiu?... Co za brednie! Cóż ja wiem o nim? I cóż potrzebuję o nim wiedzieć?... Chcieć budować na przyszłości, to zaczynać budowę od szczytu... Dobre to dla mężczyzn!... Mnie ziemi nie zabraknie. Będę zawsze wiedziała, gdzie oprzeć stopę. Moją poczciwą dużą stopę! Zawsze jednakowo lubi chodzić..."

W jej silnym organizmie nie pozostał, zdawało się, żaden ślad po zapaleniu płuc, następstwie grypy szczęśliwie przebytej w drodze powrotnej, we Włoszech. I mimo czterdziestu pięciu lat nic nie zwiastowało schyłku sezonu. Sylwia, choć młodsza, odczuwała owe dolegliwości – nie znosząc ich z rezygnacją (a bardziej jeszcze odczuwało to jej otoczenie: charakter jej nie zyskiwał z tego powodu, była niespokojna i rozdrażniona). Czyniła cierpkie porównania i zdawała się robić siostrze o to wyrzuty. Anetka śmiała się mówiąc:

– Oto, co znaczy zaczynać zbyt wcześnie! Cnota zawsze otrzymuje nagrodę.

Sylwia mruczała:

– Ładna cnota! Wiele z niej masz teraz!

– Cóż ty możesz wiedzieć o tym?

[161] *Ave Mater... Fructus ventris...* – Zdrowaś Matko... Owoc żywota...

Nie miała nic ze swej cnoty. Ani z występku. W rzeczywistości była w tych latach dziwnie obojętna na jedno i drugie. Kiedy myślała o tym, wstydziła się niemal, to znaczy próbowała się wstydzić, ale nawet wstydu nie umiała odczuwać szczerze.

„Cóż to dzieje się ze mną?... Jak to? Nie mam nawet siły być niemoralną... Najgorsze ze wszystkiego: amoralność... Co za upadek!... Wstydź się! Rumień się ze wstydu!... Ach, nie, dosyć! Jestem i tak rumiana... W każdym razie inaczej rumiana niż ta biedna Sylwia ze swymi uderzeniami *sirocco*[162], które czoło, policzki i kark tej kobiety zmieniają w pole czerwonego maku... Cóż za bezczelne zdrowie!..."

Oczywiście nie budziła litości. Jednak warunki jej nie były świetne. Żyła z miesiąca na miesiąc, mając środki do życia akurat na kilka tygodni przy wielkich ograniczeniach; jadała tylko raz na dzień, w tanich restauracjach, gdzie wikt nie był ani obfity, ani wyszukany. Ale dziwna rzecz! Wszystko jej służyło.

Widziała, że przy każdym spotkaniu z synem dobry jej wygląd był przedmiotem surowego badania. Chciał żądać od niej wyjaśnienia tej skandalicznej obojętności wobec życia. Nazywał to obojętnością, gdyż matka nie buntowała się przeciw nikomu ani niczemu; jej trochę krótkowzroczne i wypukłe oczy patrzyły na wszystko, odbijały wszystko, nie biorąc w niczym udziału. Ale nic, na co spojrzała, nie ginęło, wszystko zostawiało w niej gdzieś głęboko swój obraz. Jutro, pojutrze zda sobie z tego sprawę... Nie dzisiaj! Kroczyła swą drogą i nie przerywając marszu chwytała wzrokiem wszystkie odcienie życia. Cieszyła się dziwnym błogostanem, który wciąż trwał... (Jak długo miał on trwać?...) Choć ona nie czyniła nic, by go zachować, jak nic nie czyniła, by go osiągnąć. Najdziwniejsze było nie to, że czuła się tak kilka miesięcy czy kilka lat, w okresie odprężenia, które nastąpiło po konwulsyjnym napięciu lat wojny; cała epoka w mniejszym lub większym stopniu uczestniczyła w tym – życie brało naturalny odwet na śmierci. Lecz dla epoki odwet ten wygasł w przeciągu paru lat; spłonął jak słoma: a z nią poszła i stodoła; zostały z niej ledwo cztery chwiejne ściany, otwarte na wiatry i deszcze. Na stodole Anetki zaś nie pozostał ni ślad ognia. Była z dobrego piaskowca, mocno zbudowana i zbiory w niej były porządnie złożone; starczy tam miejsca dla plonów zeszło– i przyszłorocznych. Zdumiewać mogło, że błogostan jej trwał, gdy u innych przechodził w wyczerpanie lub wstręt, jak po paleniu opium. Czy więc inny był jego gatunek? Nie, gdzież tam! Za podstawę miał energię, za podporę czynność. Precz z odurzeniem! Działać... (Lecz czyż to nie inny rodzaj odurzenia?) Czy działalność ta miała, czy nie miała powodzenia, o to mniejsza. Tak czy inaczej, była zyskiem. Gdyż z każdym krokiem – choćby fałszywym – chwytała swymi mackami ciągle nowe cząsteczki tego świata dygocącego w skurczach śmierci i odnowy – tej bujnej łąki żywionej rozkładem epoki.

Lecz czemuż miliony macek młodszych i żywotniejszych niż jej własne nie czerpały stamtąd tej samej rozkoszy? Czemu ci młodzi ludzie wynosili stamtąd, przeciwnie, jakiś zawrót głowy, wstręt, wściekłość, obłędny strach? Widzieli tam tylko trupy. Czyż ona ich nie widziała? Widziała. Widziała wierzch i podszewkę. Cóż, wszystko w porządku! Dużo śmierci, dużo życia! Jedno jest dzieckiem drugiego... Więc nie potępiała już wojny? Była gotowa podjąć znów walkę przeciw niej i przeciw nędznikom, którzy z wojny uczynili sobie igraszkę fanatyzmu, próżności i zysku... Jakże więc godziła to wszystko razem?... Nie żądajcie od niej wytłumaczenia! Wie to jej natura, ta natura kobieca, głęboka, ślepa i pewna, która podlega wielkim prawom całej przyrody. Umysł jej nie wie o tym – imał tylko kilka przebłysków: ale przebłyski te były zbyt krótkie, by mógł pojąć jasno ich znaczenie...[163] Tak, Anetka, jak przyroda, walczy przeciw wszystkiemu, co zabija, płonie namiętnie ku wszystkiemu, co żyje, pło-

[162] *S i r o c c o* (wł.) – gorący wiatr południowy.

[163] Czytelnik znajdzie w następnym tomie oddźwięk przeżyć Anetki, związanych z jej pobytem we Włoszech i znajomościami, jakie tam poczyniła w drodze powrotnej z Rumunii. Nie czas pisać o nich teraz. Wydaje się, że ich ślad zatarł się w duszy Anetki. Wizje tych przeżyć drzemią. Obudzą się one jeszcze. (Przyp. aut.)

nie wszystkim, co żyje, wszystkimi ogniami nowego życia, które biją z pola śmierci. Choć rozum nie zdoła sformułować praw harmonii życia i śmierci, jej oczy, ręce, ruchy i naturalny tok życia urzeczywistniają po prostu ich wzajemne zestrojenie.

Lubi patrzeć i żyć. I w życiu tej nowej łąki, która kiełkuje na krwi zmarłych („A czyż ja również nie umarłam? I zmartwychwstaję..."), wszystko ją zajmuje – nawet najgorsze. Burgundka nie wybredza. Nie udaje wstrętu. Jest prosta i uczciwa, pełna swady życiowej. Gdy ktoś jest zdrowy i z dobrego szczepu, to naturalne! Nie warto o tym wspominać. Ale to nie daje prawa mówienia innym: „Bądź taki, jak ja chcę!" – „Mój drogi, bądź, jakim być możesz! Będę umiała przystosować się... Nie powiadam wcale, że nie będę cię kuksać... Jest to jedna z przyjemności istnienia... Lecz niech cię to nie krępuje, tak jak ty mnie nie krępujesz! Bądź naturalny, nagi czy ubrany! Piękny czy brzydki, zaciekawiasz mnie. Nie wszystek pokarm jest jednej jakości. Lecz wszystko, czym się mogę pożywić, jest dla mnie dobre! Jestem głodna..."

To właśnie oburzało Marka... Ten bezwstydny apetyt, obojętny (rzekłbyś) na jakość... I przed ową zwierzęcą, spokojną, silnie odczuwaną przyjemnością spożywania wszystkiego, istnienia i istnień, nie mógł się jednak obronić. Jak większość tych, którzy mieli styczność z Anetką. Nawet, jeśli byli dostatecznie inteligentni, by w jej jasnych badawczo patrzących oczach pochwycić błysk wyraźnej ironii, nie mogli być tym urażeni. Gdyż w głębi ich lśniła (te wielkie dzieci nie potrafiły tego wyrazić, lecz czuły to), ogarniająca wszystkich, nawet najgorszych, nieświadoma macierzyńskość.

*

Wybierała dobrze swe dzieci!

A raczej nie wybierała ich. Brała te, które los włożył w jej ramiona... Tak się to mówi! Aczkolwiek miała ramiona silne, pełne i muskularne, nie przypuszczam, by uniosła na nich tego dzikusa owerniackiego czy byka z Assur, Tymona, korsarza prasowego! To on ją trzymał. I ona wsiadła w jego galerę.

Pewnego dnia, w okresie gdy była bez pracy, spotkała starą znajomą z pensji, której nie widziała od lat dwudziestu pięciu. Pochodząc z klasy mieszczańskiej, zamożnej i statecznej przed wojną, kobieta owa znalazła się, jak wielu z jej sfery, w skromnych warunkach, które pogarszały się z każdym miesiącem, tak że goniła resztkami szczupłego kapitaliku. Przed wojną odsunęła się od Anetki po podwójnym skandalu, który wywołało w mieszczańskim kole przyzwoitych ludzi jej niepoprawne życie i majątkowa ruina. Ale od czasu wojny, która biedaczkę uczyniła wdową i zrujnowała pozostawiając z matką i trojgiem, dzieci, musiała zstąpić z wyżyn swej wygodnej przyzwoitości i szukać, mniejsza gdzie i jak, kawałka chleba. Jej piękne zasady, dyplomy i zacność rodziny małą tu były pomocą. Nie stawiała już życiu warunków. Musiała przyjmować te, które świat jej stawiał. I była szczęśliwa, gdy świat chciał je stawiać w ogóle. Gdyż życie nic troszczy się wcale o rozbitków! Lecz biedna kobieta, nawet uginając się pod koniecznością, nie potrafiła dobijać się o swoje. Zachowała swą „sztywną kryzę" pychy – brudną, pomiętą, zniszczoną; lecz zrosła się ona niemal z pewnym gatunkiem ludzkim: człowiek rodzi się z nią i umiera. I wielki to kłopot dla niedobitków tego gatunku, którzy muszą polować na chleb powszedni w powojennej dżungli.

W dniu gdy spotkała Anetkę, była bez zajęcia. Natychmiast zbudził się w niej odruch ściganego zwierzęcia, które rzuca się ku pierwszemu z brzegu schronieniu. Nie myślała już z pewnością o chwili, w której niegdyś potępiła Anetkę! Niegdyś ona siedziała na brzegu, a Anetka pływała po wodzie. Teraz ona była z kolei w wodzie, znosił ją prąd. Spotkała tę pływaczkę, która trzymała się na powierzchni od lat dwudziestu. Uczepiła się jej rozpaczliwie.

Taki przynajmniej był pierwszy gest... Ale cóż Anetka mogła zrobić dla niej? Wrażenie to odniosła natychmiast. Anetka, jak ona, szukała.

Anetka spostrzegła jej pomieszanie i skłoniła ją do zwierzeń. Żadna z kobiet nie wspomniała o przeszłości. Dość było trzech słów, by położyć nad nią krzyżyk. Teraźniejszość pochłonęła wszystko. Nieszczęsna drżała od ostatniego ciosu i była pełna łez. Nie umiała myśleć o niczym innym... Urywanym głosem, dławionym przez bunt i łzy, opowiadała o ostatniej swej klęsce. Znalazła miejsce maszynistki w biurze wielkiego dziennika o dużym nakładzie i mocnego w pysku, którego wrzaski ogłuszały Paryż. Każdy mógł łatwo wyobrazić sobie, że w samej paszczy nie musi być bardzo spokojnie. Lecz ona, naiwna, nie miała, o tym pojęcia. Pochodziła jeszcze z epoki, kiedy to burżuazja żywiła cześć dla zadrukowanego świstka, kiedy to istniał jeszcze bajeczny (jednak już bardzo daleki) mit o prasie liberalnej, której działalność była kapłaństwem. Spadla z nieba do jaskini Czterdziestu Złodziei pełnej Afrytów[164] którzy walczyli kopiami i językami. I całą zgrają dowodził król Afrytów, straszniejszy niż wszyscy inni razem. Minotaur[165], którego, ryki wstrząsały milionami czytelników – Tymon (właściwiej mógłby nazywać się „Ubu"), zawsze gotów skraplać swych gości płynem z własnego nocnika. Redakcja, która znajdowała się między władcą a ludźmi z zewnątrz, otrzymywała swą zwykłą porcję i była przyzwyczajona do takiego chrztu; z góry na dół drabiny każdy otrząsał się na tego, który był pod nim. Nieszczęsna kobieta, która siedziała na stołeczku w ostatnim rzędzie, zbierała wszystko na siebie. Ani kropla nie szła na marne. Po pierwszym prysznicu próbowała, oburzona, buntować się. Ale bunt nie posunął się daleko. Od pierwszego rzutu oka oszacowano ofiarę. Robiła wrażenie przerażonej kury, która stroszy pióra i aby uniknąć auta, wpada pod jego koła. Pyszna zabawa. Auta zaczęły warczeć. Nadjeżdżały ze wszystkich stron. Jedno odrzucało drugiemu kłąb piór. Można osądzić, czy, zahukana, mogła w tym stanie pracować głową i palcami. Wśród rwetesu nie była zdolna dosłyszeć posiekanych frazesów, które jej dyktowano; zgubiona, opóźniała się; nie rozumiała już sensu słów, zapominała ortografii – najwyższej chluby, *pudendum*[166] ducha mieszczańskiego! Rezultat można sobie wyobrazić. Nie mieli zgoła względu na wiek, na jej przerażenie. Wracała do domu chora od ostrych wymówek, które padały na jej głowę, płakała w łóżku. Potworność słów, które w dzień krzyżowały się nad jej głową, nie przestawała ogłuszać jej w nocy. Dyszała, oszalała, rozbita, pod brzemieniem zniewag Najsilniejszym ciosem było bezecne błazeństwo, którym Król Ubu uraczył redakcję kosztem nieszczęsnego gościa, starego, Bogu ducha winnego księdza, który przyszedł kwestować. Scena była nazbyt w stylu Karagheuza[167], byśmy ją tu mogli przedstawić... Ksiądz ujrzał diabła i uciekł. Kura też, najszybciej jak mogła. Postanowiła nie wrócić.

Teraz Anetka trzymała kurę pod skrzydło i słuchała poklepując od czasu do czasu, starając się ją bez słowa uspokoić. Gdy zaś tamta umilkła, spytała:

– Więc miejsce jest teraz wolne?

Tamta połykając łzy:

– Chyba nie zechce go pani wziąć...

– Czemużby nie? Jeśli nie odbieram pani chleba od ust?...

– Nie będę już jadła tego chleba.

– Jadałam i gorszy! Wiadomo, że nie trzeba patrzeć z nazbyt bliska na ręce piekarza.

– Widziałam je. Nie mogę już jeść.

---

[164] A f r y t a – w mitologii arabskiej zły duch.

[165] M i n o t a u r – w mitologii greckiej półczłowiek – półbyk, pożerający ludzi.

[166] *P u d e n d u m* (łac.) – wstydliwość.

[167] K a r a g h e u z – popularna postać tureckiego teatru marionetek, występująca zazwyczaj w bardzo nieprzyzwoitych scenach.

– A ja zobaczę je. I będę jadła.

Osłupiała kobieta musiała mimo troski, która marszczyła jej czoło, zaśmiać się patrząc na Anetkę i jej dobry, wyzywający humor.

– Ależ pani ma apetyt!

– Nie jestem temu winna – rzekła Anetka. – Nie jestem czystym duchem. Przede wszystkim jeść. Zresztą duch nic na tym nie straci. Ręczę pani! Nie zaprzedam go.

Zasięgnęła koniecznych informacji. Pensja była dobra, praca nie przekraczała jej możliwości; dziwnym trafem miała szczęście znać niegdyś jednego z wioślarzy galery, starego redaktora (tańczyła z nim w czasie, gdy flirtowała w salonach z Rogerem, swym niedoszłym mężem). Nie doczekawszy wieczora zajęła ciepłe jeszcze miejsce.

„Ja miałabym, się wahać! Świat jest klatką małp. Tu się człowiek urodził i nie ujdzie stąd. Czy ci, czy tamci, wszystkie ich grymasy me mają w sobie nic nowego, co by mnie mogło zastraszyć. A co do wielkiego orangutana... Zobaczymy! Ciekawa jestem, chciałabym się z nim zmierzyć..."

Tak, ciekawość... Gdyby Anetka była Ewą, nie zawahałaby się zerwać jabłka. Nie kazałaby chytrze zrywać go Adamowi... „Wiem, ryzykuję. I ryzykuję, by wiedzieć lepiej. Stara moralność nakazywała unikać niebezpieczeństw. Lecz nowa nauczyła nas, że kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje – jest niczym. Jeśli jestem jeszcze niczym, zostanę czymś."

Czy ciekawość była grzechem? Może, lecz u Anetki to grzech odważny. Gdyż ciekawości towarzyszyło w niej wyzwanie rzucone nieznanemu, na którego poszukiwanie wyruszyła. Miała poniekąd duszę błędnego rycerza. W braku olbrzymów stawiała czoło małpom. Zresztą usprawiedliwieniem jej przed sobą samą (chudy Don Kichot nie miał go) były jej wspaniałe zęby: jeść. „Małpy, żywcie mnie!"

Kiedy po raz pierwszy wchodziła do redakcji, miała podniesioną głowę i pewny krok. Wiedziała dobrze, że będzie miała w biurze sytuację nie taką, jaką jej stworzą, lecz jaką ona sobie stworzy, i to od pierwszej chwili. Odpowiadając na pytania była zimna, uśmiechnięta i rzeczowa. Ani jednego słowa za dużo; w dwudziestu wyrazach wykazała swe referencje i wiadomości (potrzebne do jej zajęcia: inne lepiej zachować dla siebie – ignorant nie jest ci za nie wdzięczny).

Potem, nie troszcząc się o spojrzenia i słowa, które ją taksowały, ani o szyderczy ton, którym starano się zbić ją z tropu, zabrała się do pracy i wykonała ją dobrze.

Nie byli głupcami! Paryżanin ma bystre oko. Wnet oceni piersi kobiety i to, co pod nimi – jej serce. Piersi i serce miała Anetka silne. „Prezentuj broń!" Przyjęto ją z niemą zgodą. Pozwalano sobie na dodatkowy zbytek puszczania zupełnie głośno potwornych kawałów, by wypróbować jej uszy. Lecz zacne uszy Burgundki, które nie traciły ni słowa, nie stały się przez to ani mniej, ani więcej różowe na swych koniuszkach. „No, no, moje małpy!... Brak wam inwencji!... Nie macie nic więcej na popis?... Więc spokój!"

Anetka śmiała się w duszy; nie marszcząc brwi przebierała palcami na maszynie, bez zbytniej gorliwości zresztą. Nie uznawała za słuszne dla zaznaczenia swej pilności przybierać miny wyrażającej wysiłek. Stary wiceredaktor, który śledził ją z boku i przeczytał potem odpis tego, co napisała, nie uważał za potrzebne dalej go komentować; rzekł: „Dobrze". Wszyscy byli tego samego zdania. Wszystko w porządku.

Pozostawał władca. Wyjechał na kilka dni, na jedną ze swych tajemniczych wypraw, podczas których wpływał na losy narodów (a także kobiet: gdyż jeśli która wpadła mu w oko, nie miał spokoju, póki jej nie posiadł; wyruszał na łowy; nie było rady, musiał się nasycić!). Tym razem był nieobecny dwa tygodnie. Anetka miała czas umocnić się w siodle. Miała nawet czas zapomnieć o istnieniu swego władcy. Kiedy wrócił, spostrzegła to dopiero, gdy wszedł już do swego gabinetu. Przemierzył był całą salę, bez słowa, krokiem ciężkim, z czołem chmurnym i złym spojrzeniem. Gdy przechodził, urzędnicy wstawali. Anetka, czytając i stu-

kając na maszynie, robiła swoje nie odrywając oczu od papieru. Przebiegając dokładnie słowo za słowem snuła w duszy wspomnienia przeszłości, które ją bawiły. I uśmiechała się. Nie uszła uwagi szefa. Spojrzenie jego ogarnęło ją całą. Nie drgnęła nawet, co jednak nie było jej zasługą, gdyż nie widziała go wcale. Dopiero w chwili gdy właśnie wychodził, uderzyła ją nagła cisza; podniosła oczy i spytała:

– Co się dzieje?

Sąsiedzi zaśmiali się.

– Przeszedł.

– Kto taki?

Była myślami o tysiąc mil... Dowiedziawszy się zerwała się z miejsca. Szeptali jej, że mierzył ją od stóp do głów. Stary wiceredaktor uciszył ich. Władca zostawił drzwi do swego gabinetu otwarte. I nie zdawał się być dziś w przyjemnym nastroju. Musiał gdzieś nieźle oberwać. W powietrzu wisiała burza... Znów zapadło milczenie. Słychać było tylko stukot klawiszy pod palcami maszynistek. A z zewnątrz pomruk ulicy. Potem w pokoju redaktora rozległo się szalone dzwonienie i walenie pięścią w stół. Anetka usłyszała po raz pierwszy ryk orangutana. Stary wiceredaktor porwał się z miejsca. Gdy wszedł do gabinetu, usłyszano hałas. Burza spadła na jego głowę. Inni siedzieli w sali z pospuszczanymi nosami, jak trusie. Oczywiście, jednym rzutem oka uchwycił władca wszystkie pomyłki popełnione podczas jego nieobecności. Stary wiceredaktor wyszedł z gabinetu równie szybko jak wszedł, zgięty we czworo. Za nim, na wysokości trzeciego stopnia schodów, ramy drzwi wypełnił olbrzymi korpus Tymona. Ryczał:

– Banda idiotów! Macie tu swoje podcierki! – I cisnął nimi z rozmachem.

Wciągnęli głowy w ramiona. Tylko Anetka patrzyła śmiało. Tymon spiorunował ją spojrzeniem. Nie przestawała nań patrzeć bijąc w klawisze: zerkała tylko przelotnie, sprawdzając tekst, i znów stawiała czoło burzy. Omal nie krzyknął:

„Spuść ślipia!"

Nie spuściła. Słyszał regularny trzask maszyny. Z wściekłością zszedł z dwóch czy trzech stopni. Potem rozmyślił się, odwrócił i ruszył do swej jaskini.

Po pewnym czasie znowu dzwonek. Wystraszony urzędnik poszedł po rozkazy i przyniósł je wraz z plikiem zabazgranego papieru: przepisać na czysto artykuł władcy. Anetka miała zająć się niechlujną prozą Tymona. Ledwo rzuciła na nią okiem, wzdrygnęła się i nachylając się do wiceredaktora, szepnęła:

– Panie szefie, to trzeba chyba oczyścić.

Porwał się z miejsca:

– Jak to, oczyścić?

– Tak, z brudu. Tyle go tutaj!

Podniósł ręce do góry i rzekł głosem zduszonym:

– Nieszczęsna! Ani się waż!

I dodał z gorzkim szyderstwem:

– W tym właśnie cała wartość!

Po czym, bardzo poważnie:

– Nieprawdaż? Cała wartość. Nie rób głupstw! Ładnie byś nas ubrała! Przepisz wszystko dokładnie!

– Z błędami ortograficznymi?

– Cóż cię to wzrusza?... No, popraw najgrubsze, ale zrób to ostrożnie! Żeby nie zauważył! Łajdak nie darowałby ci tego...

– Ależ on szasta słowami, których nie rozumie! Robi z Pireusu człowieka...

– Gwiżdżę na to! To jego rzecz. Chcę tu mieć spokój. Ty przede wszystkim daj mi święty spokój!... Nie wtrącaj się do tego, co cię nie dotyczy!... No, no, bez fochów!... To przecież zrozumiałe! Przepisz dosłownie!

Anetka była uparta. Rozumiała to, co jej-się podobało. Przebierała końcami palców z niesmakiem. Lepiło się jej to do rąk, było tłuste. Miała ochotę obetrzeć dłonie. A jak było czuć! Zmarszczyła nos... W każdym razie czuć było mężczyzną! To było mocne. Chwilami wyłaziły pazury gotowe zmiażdżyć kości... Groźny zwierz... Szkoda, że nikt nie miał odwagi – nawet nie oczyścić go! straciłby swoją wartość – lecz oszczędzić mu potrzasków, w które rzucał się niepotrzebnie: potwornych błędów językowych, historycznych, naukowych itd. Po jakiego diabła w nie brnął?... „Dlaczego nie miałabym się odważyć? Brak odwagi byłby tu zdradą wobec niego. Nie przychodzę tu, aby trząść się ze strachu jak ci tchórze... Odważę się. Odważyłam się..."

Odważyła się. Poprawiła śmiało – nie brudy językowe (są one barwami jego tarczy, należy mu je zostawić), lecz byki. Pozwól być małpie małpą! Ale nie osłem. „Obcinam uszy. Resztę możesz zachować!"

Wiceredaktor nie dostrzegł niczego. Nie miał na tyle cierpliwości, żeby sprawdzić tekst. Lecz nic nie uszło uwagi Tymona. Okazało się to niedługo. Ledwo zaniesiono mu kopię, rozległo się znów wściekłe dzwonienie... Wiceredaktor podreptał do cyklopa, skulony. Wyszedł niemal natychmiast, blady ze strachu i wściekłości, i na krzywych nóżkach jamnika podbiegł do Anetki krzycząc:

– Głupie bydlę!... Przecież cię uprzedziłem!... Chodź, chodź, moja droga... On chce pomówić z tobą... Ty świnio jakaś!... Teraz bekniesz!...

Dusił się z gniewu... Anetka wstała, obciągnęła suknię i ruszyła ku jaskini, zdobywszy się na spokojny wyraz twarzy (mimo to serce potężnie biło jej w piersi!). Nikt nic nie zauważył. To rzecz główna. Wchodziła na stopnie równym krokiem. Na górze zawahała się trochę i weszła.

Tymon, siedząc za biurkiem z ciałem naprzód pochylonym, z obiema wielkimi pięściami złożonymi na papierach, patrzył, jak zbliżała się do niego, i robił oczy jak Condottiere Antonella[168] albo Duce[169]. Wciąż szła naprzód. O trzy kroki od biurka stanęła, wyprostowana. On zadrwił:

– Więc to ty? Kto ci kazał prać mi bieliznę?

– Nie jest biała, zaręczam panu! Załatałam tylko dziury.

Straszne pięści trzasnęły w stół tak gwałtownie, że atrament wytrysnął z kałamarza i skropił suknię Anetki. A wsparty na pięściach Tymon podniósł się, jakby się chciał rzucić na nią:

– Ty kpisz sobie ze mnie?

Anetka rzekła chłodno:

– Przepraszam! Czy zechce mi pan podać bibułę?

Podał ją machinalnie; twarze ich znalazły się tak blisko jedna drugiej, że czuła na policzku jego wściekły oddech. Nie spojrzała nań. Była zajęta wysuszaniem plam atramentu. Rzekła lodowato:

– Niechże się pan opanuje!

Zachłystywał się. Kołysał się jeszcze chwil kilka na swych pięściach, po czym usiadł ciężko. Anetka kończyła doprowadzać do porządku swą suknię. Patrzył na to. Odłożyła bibułę.

– Były dziury w pańskiej bieliźnie – rzekła. – Myślałam, że dobrze zrobię cerując je. Może nie miałam słuszności. To mania kobiet: gdy tylko zobaczą bieliznę, muszą ją naprawiać. Jeśli

---

[168] *Condottiere* Antonella – mowa o obrazie Antonella (ok.1430–1479) – malarza włoskiego, specjalizującego się w portretach mężczyzn.

[169] *Duce* (wł.) – wódz.

postąpiłam źle, żałuję i składam swój urząd. Lecz czyż to potrzebne, by pan wywlekał wobec całej służby (wskazała poprzez ramię ku biurkom) swoją brudną i podartą bieliznę?

Kończąc spojrzała mu prosto w twarz. Otworzył usta, bliski wybuchu. Potem zmarszczone czoło wygładziło się, na okrutnych ustach ukazał się grymas uśmiechu i władca rzekł niemal wesoło:

– Ano, usiądź, praczko!

– Nic nie wyprałam, powtarzam. Oddaję panu pakiet tak... czysty, jak go otrzymałam.

Usiadła.

– Ach tak, chcesz powiedzieć, że powalałaś sobie nim ręce.

– O, moje ręce dotykały już nieraz większych brudów. Nie jestem zbyt wybredna.

– Więc racz mi wytłumaczyć, czemu pozwoliłaś sobie poczynić tu i ówdzie zmiany?

– Czy mam prawo powiedzieć panu prawdę?

– Zdaje mi się, że przywłaszczasz sobie to prawo bez pytania.

– Otóż gdy widzę, że pan w mocnym artykule popełnia sztubackie błędy grożące zepsuciem całego efektu, czyż dyskretne poprawienie ich nie jest oddaniem panu przysługi?

– Patrzcie, jaka pomocnica! Gdzieżeś to belfrowała?

– Ostatnio w bagnach Rumunii.

– Cóż ty bajesz? Znam je. Włóczyłem się tam.

– A ja omal w nich nie utonęłam; i odtąd na próżno szoruję ręce, wciąż mam jeszcze błoto za paznokciami.

– Zdaje się, byłaś na wozie i pod wozem?

– Jak pan, jak wszyscy od dziesięciu lat. Ale nie porosłam, tak jak pan, w piórka.

– Nie straciłaś przynajmniej swoich. Jesteś czupurna.

– To konieczne, przecież żyję! Mięczaków – czy to ciała, czy duszy – w naszych czasach życie spławia prędko.

– Jest ich dość jeszcze na drodze!

– To pana nie musi bardzo niepokoić.

– Chcesz powiedzieć, że depcę po nich? Ach, są gorsi niż szlam dunajski. Zapada się człek po pas. Czyś nie widziała tego w tym, co piszę?

– Tak, widziałam ślady pańskich palców.

– Gdy ktoś zabiera się do ludzi z łopatą, nie czas się perfumować.

– Tu pracuje pan dzielnie.

– To pierwszy komplement, jaki mi mówisz.

– Nie biorę pensji za prawienie komplementów, lecz za służenie panu.

– I obcerowujesz mnie, aby mi służyć?

– Oczywiście. Byłoby z pewnością wygodniej pozwalać panu, byś się pokazywał w Paryżu w dziurawym ubraniu. Lecz odkąd służę panu, służę wedle swych możności, dobrze czy źle, ale sumiennie. I nie chcę...

– Bym Paryżowi pokazywał tyłek?... Ale, moja droga, ja tylko to robię! To moja chluba. Gdyby rozmowa z ludźmi twego pokroju nie była daremną stratą śliny, zagrałbym, ci Dantona, który wrzeszczy: „Pokazuję im głowę Meduzy![170]...” Ale wobec ciebie szkoda fatygi! Usiądź tam przy biurku i wytłumacz mi, pani pomocnico, moje szkolarskie byki.

Wytłumaczyła mu po koleżeńsku i swobodnie; słuchał uważnie. Potem rzekł:

---

[170] M e d u z a – w mitologii greckiej jedna z trzech Gorgon, sióstr potworów. Spojrzenie jej obracało ludzi w kamienie.

– Dziękuję. Zatrzymuję cię. Zostaniesz tutaj, by przeglądać mą bieliznę. Tymczasem masz tu za szkodę, jaką wyrządziłem twej sukni! Kup sobie inną zamiast tej, którą ochlastały moje grube łapy!

Lecz Anetka rzekła:

– Nic z rączki do rączki. A co do sukni, jest ona w sam raz do roboty. To przezorniej. Nuż by pan znów zaczął!

*

Pozostała w biurze Tymona jako jego maszynistka i sekretarka osobista. Miała stół ustawiony w rogu. Drzwi były niemal zawsze otwarte. Wchodzono i wychodzono bez przerwy. Tymon nie tracił nigdy kontaktu z machiną. Czuwał nad wszystkimi trybami i wszystkie ich drżenia dochodziły do jego czujnego Dionizowego[171] ucha. To nie przeszkadzało mu, wśród hałasu, przyjmować pięćdziesięciu wizyt, załatwiać nieraz dwudziestu interesów, telefonować, dyktować zarządzenia oraz-rozmawiać w przerwach z sekretarką.

Były to dziwne rozmowy, o charakterze gwałtownym i nieprzewidzianym. Nie wolno było drzemać, chcąc chwytać piłkę w lot i odrzucać ją błyskawicznie. Można było ufać oku i dłoni Anetki; była niegdyś, mistrzynią tenisa; i jej stawy, którym groziło zesztywnienie, szybko nabrały znów gibkości. Tymon chwalił ją szorstko za tę zręczność „jak na jej wiek" (znał jej lata; nie kryła ich przed nim po kobiecemu). Potrzebował tej szermierki, lubił parować ciosy. Ona zaś nie miała najmniejszej wątpliwości, że z chwilą gdy zaczęłaby tracić głowę, wyrzuciłby ją jak starą szkapę. Nie było to życie spokojne. Trzymał ją w ruchu od rana do wieczora. Czuwać, chwytać w lot jego myśli, porządkować je, precyzować jego wyrażenia odbijając je na papierze, nadstawiając uszu, w każdej chwili oczekując ataku, gotowa go odeprzeć... ramię wiotczeje jak sprężyna i nagle – mocna pięść zadaje cios wprost pod brodę... Tymon śmieje się: „Punkt dla mnie..." Ona także liczyła punkty. Wieczorem wracała zmordowana... Trzeba było nazajutrz rozpoczynać na nowo? Rozpoczynała! W gruncie rzeczy dobrze jej to robiło. Owa nieustanna czynność rozbudzonego umysłu była dla niej gimnastyką, która oczyszczała mechanizm z rdzy i zapobiegała grożącemu z wiekiem zamuleniu mózgu. Niebezpieczeństwo związane z tą posadą zaostrzało w niej smak życia; zmysły stawały się bardziej wyczulone, reagowały żywiej. Nie skarżyła się na trudy.

Niebezpieczny człowiek, któremu służyła, płacił jej. Nie tylko pieniędzmi (płacił dobrze!). Lecz zaufaniem. Bardzo szybko posunął się do niezwykłych zwierzeń. Zresztą wydobył z niej też pewne, których skąpiła zazwyczaj; co więcej, nie sprzeciwiała się temu i nie obruszała na niedyskretne pytania. Wobec zwierzęcia tego rodzaju nie ma czego kryć (z wyjątkiem, oczywiście, tego, co nie jest zwierzęce: dla kogoś z rodzaju Anetki istotne). Reszta... jakież miała znaczenie? Wstyd był dlań słowem pozbawionym sensu. Między obojgiem panowała swoboda słowa.

Dla wszystkich, którzy ich słyszeli – dla wszystkich tych uszu dziennikarskich, które chwytały okruchy ich rozmów - Anetka była kochanką szefa. I wściekali się podziwiając szelmę.

Ale zarówno Anetka jak i Tymon czuli niezbicie, że stosunek miłosny nie wchodzi między nimi w rachubę. Ani mowy o tym! „Dzięki Bogu!" – myślała Anetka. „A niech to diabli!..." – pomyślałby Tymon. Żadne z nich nie czuło pokusy. Tymon uganiał za młodszą zwierzyną. Anetka zaś miała już tego dosyć... Nie, nie. Łączyła ich właśnie ta milcząca pewność, że w tym, co dotyczy zwierzęcej natury, mogą się siebie nie obawiać. Siła Anetki miała źródło w

[171] D i o n i z o w e u c h o – Dionizjusz Starszy, tyran Syrakuz (405–367 p. n. e.), w podziemnym więzieniu skalnym urządził schowek podsłuchowy w kształcie ucha.

fakcie, że Tymon nie widział w niej jednej z owych maszynistek wiecznie czyhających na szefa, poszukujących przygody. Miał pewność, że była gotowa każdej chwili, gdyby rzekł choć słowo, wstać od biurka, wsunąć palcem włosy pod beret i kiwnąć mu brodą: „Do widzenia, redaktorze!" I to na zawsze. Nic jej nie trzymało. Dlatego on ją trzymał. Pomocnica, której wartość praktyczną oceniono na pierwszy rzut oka i która, umiejąc spełniać ściśle swój obowiązek (gdyby nie umiała tego, gardziłby nią) łączyła z akuratnością w pracy najzupełniejszą obojętność (która jest szczytem bezinteresowności), była zbyt wielką rzadkością, by się jej głupio pozbywać. Ale cóż ją trzymało? Czy tylko posada i pensja? On. Koniec końców interesował ją. Bez wzajemnego pociągu, bez żadnej łączącej ich nici czuli oboje, że nie byli zwierzętami pospolitymi. Nie myśleli zgodnie na żadnym punkcie, ale – co więcej – nie myśleli tak samo jak wszyscy. Każde z nich wypracowało sobie swoje ja, i to nie klecąc z byle czego; wykroili je z własnego materiału nożycami, które cięły twardo, lecz pewnie – ostrzem własnego doświadczenia. Przy całej różnicy kroju i materiału rozpoznali w sobie towarzyszy rzemiosła. Rozumieli się w pół słowa. Ale i nie szczędzili sobie słów prawdy.

Tymon miał dość tchórzostwa tych wszystkich grzbietów, które zginały się z obawy przed jego kąśliwym pyskiem, wszystkich tych zadków, które poddawały się jego kopnięciom. Nareszcie człowiek, nareszcie twarz ludzka, która patrzy ci prosto w oczy i mówi: – „Nie!" – i która cię spokojnie krytykuje lub gani w sposób umotywowany – słuszny... (Można nie przyznawać racji, ale mimo to korzystać...) To dobrze robi. Jest to ląd stały. Człowiek nie grzęźnie. Można oprzeć stopę. A także głowę. Wielką głowę, która nieraz tak pragnie oparcia! Ale tego nie pokazuje się po sobie. Dość spojrzeć na te piersi i rzec sobie: „Wykarmiła człowieka. Te piersi kryją mleko dla głodnego. A dla utrudzonego są oparciem." Zdając się nie myśleć o tym, opowiadał temu oparciu, z cynicznym często szyderstwem, przygody swego życia. Przedstawiał jej, bez skrępowania, Tymona nagiego i jego „piękną duszę", która nie była zbyt pociągająca; ale była niegdyś, jak wszystkie, duszą noworodka; i jak wszystkie, będzie kiedyś duszą umierającego. Prawdziwa kobieta potrafi zawsze rozumieć. I współczuć. Ale wystrzega się mówić o tym dumnemu... (To jasne, mężczyźnie nie potrzeba współczucia!) Współczucie jest dla niego obrazą. Ale są obrazy (niekiedy ludzie mówią nawet: obelgi), za które, w skrytości serca, nikt się nie gniewa. Idzie tylko o to, by obrażać zręcznie i aby taka obraza zjawiała się w porę, gdy – mimo sprzeciwu woli – ciało pragnie tego. Tymon przystosował się bardzo dobrze do pewnych niedostrzegalnych grymasów w kątach ust słuchającej Anetki, gdzie łączyła się jedna dziesiąta litości z jedną dziesiątą pogardy i ośmiu dziesiątymi inteligentnej, wolnej od przesądów ciekawości. Gdyż w sumie mieszanina ta tworzyła sympatię. Niezależna. To była jej wartość. Hasłem Tymona było: – „Bij i rabuj! Lecz nie ustępuj! Przyjaciel czy wróg, nie poddawaj się nigdy!..." Anetka nie poddawała się nigdy. Doświadczył tego, był pewny... (To nie przeszkadzałoby mu próbować na nowo...)

Zawarto na pół niemą, na pół umówioną ugodę. Wziął Anetkę do służby osobistej. Dyktował jej w grubszych zarysach listy i artykuły. Ona redagowała. Wolno jej było czyścić jego stylistyczne paznokcie, nie wolno było ich przycinać. Wolno było usuwać pewne błędy – lecz nie wszystkie: nie wolno było tykać umyślnych. Gdyż w walce człowiek (Tymon) nie troszczy się o prawdę! Chodzi o powalenie przeciwnika. I nie zadawał sobie trudu tłumaczenia wszystkiego sekretarce: ona musiała zgadywać – i to natychmiast – jego intencje! Tymon nie czekał, aż wyschnie atrament. Podawał swe ciasto prosto z pieca. Poparz sobie palce! A biada ci, jeśli upuścisz na ziemię!... Ręka Anetki była niechybna... Szef odsłaniał przed nią bez ogródek fortele swej akcji, grubą podszewkę swych artykułów, swoją koncepcję dziennika i życia. Wiedział, że ona nie pochwala tego. Ale godziła się na to jako na widowisko. To on płacił za miejsce. Ona nie miała prawa gwizdać. Powiadał nieraz:

– Widzę, że cię korci! Składasz usta... Proszę cię bardzo! Ten jeden raz... pozwalam...

Pozwoliła sobie. Gwizdnęła. Gestem przerwał jej.

– Przestań... A teraz wystukaj dokładnie to, co powiedziałem.

Zaczęła stukać. To pięść Tymona stukała w głowę świata. Miał wziąć odwet.

*

Srogi odwet. Zemsta za dzieciństwo pełne nędzy i wstydu. Syn służącej z oberży w Périgord i przejezdnego klienta, którego nawet twarzy nie widziała w nocy. Udało jej się nieustraszenie ukrywać swój płód aż do chwili, gdy zharowana jak zmordowane zwierzę, urodziła go na podłodze izby, którą szorowała na czworakach. Znaleziono ją we krwi wraz z dzieckiem. Było zbyt późno, by odprawić natręta tam, skąd przybył. Wrzeszcząc wniebogłosy okazywał potężne przywiązanie do życia. Ale odprawiono oboje, matkę i dziecko, ledwo mogła utrzymać się na kulasach.

Żywota, który wiodła następnie, nie opowiedziała nikomu i nikt się też o to nie troszczył. Nie było rzeczy, której by się nie imała; nie odstraszała jej najtwardsza, najpodlejsza praca, jeśli dawała jej chleb; posiadała ową niewytłumaczoną wytrzymałość zwierząt, które znają w życiu tylko mękę; ale nie przychodzi im na myśl porzucić go. I posiadała jeszcze przywiązanie samicy do swego płodu, póki ten nie dojrzeje na tyle, by ją porzucić. Potem niech sobie idzie! Niech się już troszczy natura. Kiedy mały Gueuldry poszedł pierwszy raz na służbę, widział już tyle, że stracił wszelką wrażliwość, wszelki wstyd. Ona nie próbowała taić przed nim swej hańby. Czyż mogła ją taić wobec niego – nieustannego świadka swego życia? Postawiła całą swą cnotę na kartę dzikiej miłości do dziecka, miłości, która nie przeszkadzała jej obchodzić się z nim brutalnie. Obchodzić się brutalnie to mocno kochać. Delikaciki nie lubią tej siły. Ale Tymon nie był – nie stał się – delikacikiem nigdy. Rozumiał. Rozumiał, że będąc jako dziecko najniższym szczeblem drabiny, jest też jedynym, na którym matka jego, służąca innym za podnóżek, mogła z kolei sama opierać swe stopy. To było w porządku... Ale mój Boże! Gdy będzie duży, będzie sobie tego wycierał podeszwy o plecy tej całej zgrai, która ciężyła na nich dwojgu.

Nie poszło to łatwo! Nie można było kręcić nosem. Gdyż poznał zrazu ludzkość od nóg. Jako służący podejrzanego hotelu, wtajemniczony, wbrew pozorom, w sekrety dziewek i klientów, miał pewnego dnia, pewnej godziny to szczęście, że wpadły mu w ręce kompromitujące papiery pozostawione przez podróżnego, który właśnie opuścił hotel. W niespełna minutę ocenił niejasno ich wartość, zważył możliwości za i przeciw i zdobył się na decyzję. Dogonił jegomościa na dworcu i rozmówił się w cztery oczy, bez jednego zbytecznego słowa (nie było mowy o szantażu! nie był konieczny – to tamten puścił farbę). Jegomość odebrał swe papiery dawszy przyrzeczenie, którego natychmiast dotrzymał: weźmie dopuszczonego do spisku wyrostka na służbę. Nieufny chłopak nie wrócił nawet do hotelu, by zabrać swe manatki. Wsiadł z tamtym do odjeżdżającego pociągu.

Był to agent pośredniczący w międzynarodowych aferach, dość dziwnych, kryjących się pod firmą jakiegoś poczciwego Gaudissarta. Był naganiaczem pewnego towarzystwa metalurgicznego wykonującego zamówienia dla artylerii – i grał rolę czółenka między fabrykami armat a celem, w jaki one mierzą – to jest ludami, lub raczej tymi, których narzędziem są ludy. Wyjeżdżał często na Bałkany i Bliski Wschód, wszędzie, gdzie bestia ludzka chce chłeptać krew sąsiadów. Dobroczyńcy ludzkości, którzy starają się dostarczyć jej śmiercionośnych zabawek, znajdowali zawsze psim węchem klientelę, która gorąco pragnie ich użyć. W razie potrzeby gotowi są dostarczyć jej, wraz z nabojami, pretekstu. Oczywiście, skromny, pospolity, choć ogładzony, naganiacz nie widział tak daleko! Poprzestawał na tajemnym pośredniczeniu w popycie i podaży pobierając z obu stron swoją cząstkę. Polityka nie zajmowała go zgoła. Lecz młody wieprzak z Périgord miał ryjek poszukiwacza trufli. Zrozumiał niebawem, że polityka była drzewem, u którego stóp rosną trufle. Dbał więc o drzewo; dzięki swym po-

dróżom, zapuszczaniem sondy, spostrzeżeniom i znajomości dobrze poinformowanych awanturników (ręka rękę...) poznał *grosso modo*[172], potem dokładniej, budowę drzewa, jego główne konary i korzenie, spróchniałe pieńki, które należy zachowywać nie wyrywając ich, wszystkie owe owrzodzenia, które są truflami dla umiejących je przyrządzać. Potrzebował również niewiele czasu, by zrozumieć, że trzeba mieć zaiste mało sprytu, by służyć, jak jego pryncypał, interesom jednej firmy. Czemu nie dwom? Czemu nie trzem? Czemu nie wszystkim? (Oczywiście, zdradzając wszystkie jednako.) Służyć najwięcej dającemu! Lecz jeśli najmniej dający daje także, bierz! Czy talerz jest z fałszywego, czy ze szczerego srebra, trufle na nim podane są zawsze dobre. Ma się rozumieć, że mały truflarz nie od razu posiadł niebezpieczną sztukę siedzenia na kilku stołkach. Lecz najgłówniejsze, że ją posiadł. Miał szeroki zadek i gdzie go umieścił, tam już siedział mocno. Pryncypał nie miał czasu zorientować się, co się dzieje. Kiedy chwila do tego dojrzała, truflarz w mgnieniu oka spławił go. Historia nie mówi, w jaki dokładnie sposób. Ale fakt faktem, że gdzieś, kiedyś, na Bałkanach, stary znikł z pola swej działalności; i nikt nie próbował nigdy odszukać jego śladu (cóż to mogło kogokolwiek obchodzić?).

Lecz po niedługim czasie zwietrzył Perygordczyka inny zwierz z jego gatunku, mający nad nim tę wyższość, że występował w imieniu swych licznych poplecznikόw: człowiek ten, o ciemnych włosach i jasnych oczach, należał do potężnej sfory Intelligence Service[173], której zakonspirowane wolnomularstwo umacnia na całej ziemi panowanie Imperium Brytyjskiego (lub może owej sfory: gdyż ci, którzy prowadzą grę, wierzą w końcu, że ono do nich należy). – Dwa zwierzęta obwąchiwały się długo; i milcząc, z najeżoną sierścią, badały, czy korzystniej będzie, jeśli jeden drugiego udusi. Lecz zważywszy wszystko, grubszy, który był też wykształceńszy, doszedł do przekonania, że zyskowniej będzie przybrać sobie do towarzystwa Truflarczyka takiego pokroju. Postawili sobie warunki bez ogródek. Wymagania Truflarczyka nie były małe i tamten nie tracił czasu na targi: sfora płaci żądaną cenę za towar, jeśli tego wart. Lecz chce mieć w ręku człowieka, któremu zapłaciła. Aby zaś mieć w ręku Perygordczyka, trzeba go mocno trzymać w garści. Kupujący nie łudził się co do tego. Nie pozostawiał też złudzeń kupionemu. Gueuldry wiedział, że sprzedaje się ze skórą. Nie był człowiekiem, który by się tym martwił, pod warunkiem, że dużo dostanie; potem coś się obmyśli; służyć będzie chlebodawcy, dopóki to będzie w jego interesie; gdy interes straci na wartości, urządzi wszystko tak, aby wymknąć się ze szponów; niebezpieczeństwo nie odstraszało go... (nie ma co mówić o podpisie na świstku papieru) – bierzemy wszak rzeczy poważnie!

Wiedząc, czego się po sobie spodziewać, porozumieli się na ogół przyzwoicie, gdyż targ okazał się dla obu korzystny. Było kilka drobnych zdrad, drugo– czy trzeciorzędnych, na które pozwalał sobie od czasu do czasu Perygordczyk, by dowieść przed samym sobą swej niezależności lub podtrzymać swą powagę. Tamten nie mówił nic, lecz dawał do poznania, że zauważył to: podwójna mądrość! Nie pozwalał odczuć uździenicy, ale ją trzymał w ręku (mądrej głowie...). Gueuldry wiedział, że tamci go prowadzą; i dobrze robili: znał swą wartość lepiej niż ktokolwiek. Wzięty w kluby, wyćwiczony, okazał mistrzostwo składające się z odwagi i przebiegłości w intrygach, których zawiłe węzły rozwikływali wytrwali i przemyślni jego panowie, by ich długimi nićmi krępować ciała ludów. Wkrótce poznali szczególne jego zdolności: wyszczekanie (syn Gallów ma najlepszy członek swój w gębie); i dostarczyli mu środków do rozwinięcia tego talentu, kupując dlań wielki dziennik francuski w Paryżu. Nazywano go: *„France d'abord"!*[174] Nie kłamali: chcieli jej skóry! Tymon (było to wówczas, gdy się wykluł) zaproponował cynicznie: „Damy im radę!"

[172] *Grosso modo* (łac.) – z grubsza.

[173] *Intelligence Servise* (ang.) – angielska służba wywiadowcza.

[174] *France d'abord* (fran.) – Francja przede wszystkim.

Dał im radę. Poszło to szybko. Od razu język jego wyrósł, niczym u Gargantui, ponad wieże Notre–Dame. Zalał potokiem słów głupców i gapiów Paryża. Wyrósłszy z nich wiedział, jakim sosem zaprawić ich bigos. Każde z jego dań wprawiało te gęby w zachwyt. Wydzierano je sobie. Nie pochlebiał. Przyjmował klientów obelgami. Słabi lubią, gdy się nimi poniewiera: ta szorstkość wydaje się im hołdem składanym ich męskości. Pobudza ona też uśpioną aktywność. Trzeba znać tylko punkt graniczny, gdzie kij, zamiast głaskać osła, gniewa go. Tymon znał ten punkt doskonale. Nigdy, w najsroższej pasji, nie tracił z oczu manometru lub też igły na cyferblacie, która skacze pod ciosem wymierzonym w łeb Murzyna. Zachowywał chłód w swych furiach, w swych groźbach, w swych rozszalałych kampaniach. Od samego początku wiedział: „Dotąd! Stój! Półobrót w prawo!...” Dzik miał inne pole do pustoszenia... Porozumiejmy się! Jeśli owo „dotąd” nie wydarło pożądanego łupu (było to bardzo rzadko! prawie zawsze przestraszona zwierzyna zostawiała kawałek swego combra w paszczy prześladowcy; gdyby mogła, wyskoczyłaby ze skóry, aby uciec), znajdzie ją innym razem. Tymon nie zapominał nigdy.

Przede wszystkim nie zapominał o prawdziwej rozrywce, która odbywała się za parawanem, poza terenem, gdzie rozbrzmiewały wrzaski – o wielkich bataliach międzynarodowych, które toczyły się między firmami i w których miał służyć swojej. Ultranacjonalistyczna gwara stała się obowiązującą maską interesów międzynarodowych. Było to diablo obojętne Tymonowi i jego parom (którzy nie byli zgoła parami Anglii... Cierpliwości! Kiedyś zostaną nimi...), było mu jeszcze obojętniejsze, pod jaką flagą zagarniał rynek stali i czy miało to na celu pokój, czy wojnę. Barwy nie szkodziły interesowi; interes przystosowywał się do wszystkich kolorów. Tak, w początkowym okresie przed wielką wojną, która była rzezią idei tak samo jak ludzi, Tymon hodował jeszcze, podobnie jak jego władcy, w jakimś zakątku eksploatowanych przez nich terenów kwiat narodowy, różę ciernistą, czerwoną od krwi, której smak znała dobrze; a nawet na tej płaszczyźnie gra ich i jego gra nie zawsze były zgodne... Wojna dwóch róż... Oszukiwali się. Lecz wielka wojna nauczyła ich, że byliby głupcami ograniczając pole swych zysków i strat do jednego narodu, gdy mieli możność rozszerzyć dla swej osobistej korzyści ruinę na wszystkie narody. Jeśli pozostały im jakie skrupuły, nowsza edycja awanturników postanowiła im je odebrać: ci ostatni wyszli z głębi mórz, które wzburzył gwałtowny huragan; byli jak pozbawieni praw bękarci Szekspira, którzy tratują świat. Bękarci ras, Lewantyńcy, Malaje powstali z mieszaniny i pomyj czterech czy pięciu kontynentów; trudno było rozpoznać, z jakich właściwie wyszli ojczyzn i z jakich żywotów; nigdy się o to nie troszczyli, tym zręczniej pływając po wszystkich morzach; i tym gorzej dla owych arystokratycznych paszcz, które chciały szukać swego łupu na pewnym terenie własnej sadzawki! Nowe szczupaki zagarniały wszystko. Albo postępować jak one, albo dać się pożreć. Tymon bez trudu dotrzymywał im kroku. Nie troszczył się o swoje powodzenie; słowo o j c z y z n a przypominało mu raczej słowo o j c i e c, na którym miałby się za co mścić. Ponieważ jednak nie można, mimo całego sprytu, wyzbyć się krwi swojej rasy, jego zaś rasa, przez matkę, była jak ziemia, z której oboje wyszli, zaprawiona szorstkim i surowym szyderstwem galijskim, pozostawiającym silną woń na palcach, mścił się potężną ironią. Z ironią tą sądził siebie – i innych ze swojej bandy – nigdy nie mamiąc samego siebie, jak niektórzy z nich, pobożnymi pozorami, czy to religijnymi, czy moralnymi, czy społecznymi, którymi ci Tartufowie osłaniali swoje grabieże; nieubłagany dla ich obłudy, a – chwilami – pełen litości (lecz brała górę pogarda) dla tych wyzyskiwanych ludów, gotów był w ich obronie uderzyć na wyzyskiwaczy. Ale wszystko kończyło się tylko na gwałtownych wybuchach słów; zwłaszcza w chwilach, gdy trunek rozpętywał uwięzionych Tytanów, z krateru dobywały się dymy. Tymon wiedział, że Tytani byli zwyciężeni, i nie należał do tych głupców, którzy mówili: „Gloria victis!”[175] Poprzestawał na: „Vae victoribus.”[176], gdyż znał ich; i to, co mogło w nim po-

[175] *G l o r i a v i c t i s* (łac.) – chwała zwyciężonym.

zostać z cnoty, wkładał w nienawiść, którą żywił, tajemną, dziką, bez dna, bez miary, nienawiść do nich, swych wspólników czy rywali. Ale zwyciężeni nie byli więcej warci; znał ich również, tych wyzyskiwanych, te ludy, wśród których upłynęła jego nędzna młodość; ich stopy nie mniej ciążyły tym, którzy byli pod spodem. Niech więc zostaną pod spodem. Tak, nie było obawy, by Tymon przyłożył swej ciężkiej ręki do dzieła tych, którzy chcieli obalić ład społeczny, choć żaden z nich nie patrzył na ten ład – ten bezład raczej – tak przenikliwym spojrzeniem. Lecz właśnie owego spojrzenia nie mógł ukryć przed ludźmi, którzy, jak on, umieli dojrzeć to, co się taiło poza brwiami w głębi czoła. I jego zwierzchnicy posługując się nim czuwali. Niepokoił ich.

*

A przez to właśnie uspokajał nieco Anetkę. (Zrozumiejmy się dobrze! stała się tym czujniejsza...) Lecz znajdowała w tym, słaby co prawda, powód do wyrozumiałości i nadziei. Dopóki człowiek jest wolny i prawdziwy w głębi swej duszy – choćby tonął w zbrodniach – nie wszystko jest jeszcze stracone. Bo służąc czynami najhaniebniejszej sprawie, w jaskini swej zachowuje jeszcze bezinteresowniość. I ta właśnie bezinteresowność tajemna, daleka, istotna, która niekiedy stapia się z całkowitą obojętnością na wszystko, była niewidzialnym kamieniem probierczym, który pozwolił im rozpoznać się i uznać – z punktu i bez wyjaśnień. Mogli wszystkiego wysłuchać, o -sobie i o innych, bez drgnienia. Niedomagali się w głębi swej istoty uprzywilejowanego traktowania. Nie posiadali obłudnie, jak różne kanalie, podwójnej miary: jednej dla siebie, drugiej dla innych. Oceniali ściśle, wedle jednej skali, cały pejzaż wraz z sobą. Oko było najważniejsze. Gdyż od oka, jak mówią, zaczyna psuć się ryba. Zdrowe było oko Tymona. Zdrowe oko Anetki.

Szef nie mylił się co do tego. Nie krył nic przed tymi uszami, które jak muszla przyjmowały obojętnie wszystkie szmery morza. Wrzucał w nie wszystko, co mu ciążyło, wszystko, co widział i wiedział o komedii ludzkiej, której sam był aktorem, i o błaznach-królach, którzy ją aranżowali. Uszy jej były ogniotrwałą kasą. Mówił do Anetki:

– Uważać na kasę!

– Pan jest kasjerem – odpowiadała Anetka – ma pan klucz. Proszę tylko sprawdzić. Znajdzie pan swoje uciułane grosiwo.

– Nic nie stracone? Nic nie zapomniane?

– Ani grosz. Saldo w całości.

Tak, nie zapominała o niczym, co tu włożył. Było to niebezpieczne. Lecz dla kogo bardziej? Sytuacja depozytariusza, niewygodnego lub mogącego stać się niewygodnym, w takim jak ten świecie nie jest bardzo pewna. Wystarczyło spojrzeć na, stół, na te ręce dusiciela, by to zrozumieć. Ale Anetka patrzyła na nie obojętnie i nawet zdawała się o tym nie myśleć. I Tymon wstydził się cienia podejrzeń, które żywił przez chwilę. Nie, nic nie wyjdzie z kasy. Miał klucz w kieszeni.

Ale kasa była pełna. Anetka nabrała wiedzy politycznej, Wniknęła za kulisy. Uzupełniła zdanie kanclerza szwedzkiego, które powtarzają nam papugi historii; stwierdził on, jak mało trzeba mądrości, by rządzić światem; lecz mówił tylko o manekinach na scenie. Anetka widziała tych, którzy poruszają sznurkiem. Niewątpliwie ci, co stoją najwyżej, parlamenty i ich ministrowie, wszystko to, co zwie się władzami kierowniczymi, to marionetki grające utrwalone na płytach role, by zająć uwagę galerii; cała ich mądrość zebrana do kupy nie dałaby siły dziesięciu koni parowych dla poruszenia olbrzymiego mechanizmu państw. Lecz za zasłoną troszczą się o to inni, ci, którzy wprawiają go w ruch wraz z nimi – sercami dzwonów. Dzwonnikami są: Interesy i Pieniądz. Minął czas polityki. Panuje Ekonomika. A z pewnością

[176] *Vae victoribus* (łac.) – biada zwycięzcom.

nie można o niej powiedzieć, że mądrość ją przytłacza! Gdyż nie zawsze ma ona ludzkie oblicze. Są to często Ośmiornice, bezkształtne, bezimienne potwory poruszające w ciemności tysiącami macek i chłepcące ślepymi ssawkami. A kilka indywiduów, których osobowość, nie lubiąca na ogół wychodzić na światło, pływa jeszcze w wirze miliardów, to dziś – prawie bez wyjątku – wytwory sztuczne, bez korzeni, bez nasienia, bez przodków, bez potomków, bez synów, bez wspólników, bez przyszłości. Ponieważ oni i ich dzieła skazani są na zniknięcie, pragną tylko swej godziny nadpotęgi, niestety – nadmiernej. Porywa ich szaleństwo. Mądre „jutro" nie miesza się do ich przeznaczenia, by zapewnić mu równowagę i trwałość. Zdają się mówić: „Après moi le déluge". Cyniczny i przewidujący król, który to rzekł, widział przynajmniej nadchodzący potop obliczając z tajemną rozkoszą: „Ody nadejdzie, mnie już nie będzie." Ale oni, królowie bez koron, widzą tylko „dziś" i nic potem. Otwarliby śluzy potopowi, gdyby wiedzieli, że pozwoli im on zagrabić wyrzucone przez morze szczątki, zanim z kolei porwie ich samych. Czyż król nafty nie uprawiał otwarcie od lat dziesięciu podwójnej gry szczując świat reakcji przeciw rewolucji rosyjskiej i usiłując układać się z nią przeciw temu światu?

Tymon ukazywał Anetce nowe potęgi, które rządzą ludami. Mówił z bezgraniczną pogardą o starych zawodowych politykach i o ciasnym kole namiętności, przesądów i martwych idei, w którym obracali się ślepo. Co do tego Anetka była z Tymonem w zgodzie. Nowi panowie stanowili postęp w stosunku do dawnych: wyrzekli się przestarzałego nacjonalizmu, odrzucali miażdżące i niedorzeczne brzemię dziedzicznych próżności, uraz, nienawiści i pychy, przekazywanych z ojca na syna, od wieków. Wysadzali w powietrze przegrody, pracowali nad stworzeniem międzynarodowej sieci interesów i zysków.

Lecz w niedługim czasie przekonano się, że zastąpili starą, zużytą, zżartą przez rdzę obrożę nowymi łańcuchami ujarzmiającymi w inny sposób. Rozszerzyli więzienie; lecz po to, by wtrącić tam miliony ludzi – nie tylko tę garstkę zawodowych polityków, którzy wydzierali sobie role komedii, lecz wszystkich komparsów, figurantów i samą publiczność, całą salę. Ujść już nie było można. Podobnie jak w przyszłej wojnie bekną wszyscy; i cywile, i kobiety, i starcy, i niedołęgi, i dzieci – tak we wzorowym więzieniu międzynarodowego kapitalizmu każdy będzie miał swój numer, nie ścierpł się już ani jednego niezależnego... O, bez gwałtu! Mechanizm będzie tak doskonały, że nie pozostanie nic innego do wyboru, tylko poddać się lub umrzeć z głodu. Wolność prasy i opinii będą złudzeniami dawnych czasów. I nie będzie kraju, dokąd by można uciec przed uciskiem innych, Oka sieci zacisną się powoli dokoła całej ziemi.

– Nie dostaniecie mnie – rzekła Anetka. – Przystanę raczej do szczurów. Będę gryzła sieci.

– I dokąd pójdziesz? – spytał Tymon. – Już nie będzie gdzie wyjść. Wszystko będzie tym objęte.

– Jest jeszcze śmierć.

– To ci wystarcza?

– Nie! – rzekła Anetka.

Była wściekła.

Bawiło to Tymona, który wykazywał solidność sieci. Ani jednego pęknięcia – a podciągał pod tę rubrykę skrupuły moralne, którymi kłopotał się jeszcze stary nacjonalizm polityczny. Nowa międzynarodówka pieniężna zostawiała ludom, które wyzyskiwała, i maruderom polityki ich stare głupstwa idealistyczne. Robiła interesy bez różnicy: z przyjacielem i nieprzyjacielem. Spekulowała na wojnie i na śmierci tego lub tamtego narodu, twojego – mojego... Jak to towarzystwo przemysłowe produkujące torpedy, które łączyło nazwiska władców wojny, wielkich panów dyplomacji, węgierskich, niemieckich, Bismarcka i Hoyosa, wielkich baronów fabryk anglosaskich, Armstronga i Whiteheada, pod przewodnictwem admirała francu-

skiego i władzą pewnego Lewantyńczyka. Kilku kondotierów przemysłu, kilku gangsterów finansowych ze wstęgami wszystkich orderów uznania starego Zachodu na szyi zamiast stryczka szubienicznego, który by im lepiej pasował, prowadziło swą grę nie bez blasku, lecz bez busoli, wśród trustów i holdingów Anglii i Ameryki, których groźna ręka ciążyła na obu kontynentach. Potęga prokonsulów lub chytrość awanturników nie wykluczały ich mierności. Nie tyle kierowali oni ogromnymi siłami przeciwnymi sobie czy zjednoczonymi, ile sami popychani byli przez nie i przez ich raz puszczony w ruch mechanizm. Ślepa gra sił ekonomicznych była przez to jeszcze bardziej dławiąca. Wedle nieubłaganego rytmu i przypływu, i odpływu, narzucały one na przemian pokój i wojnę, bogactwo i ruinę.

Tymon zdumiewał Anetkę bezlitosną precyzją, z jaką zapuszczał sondę w wątpia tych panów świata i w jałowość ich spółkowania z pieniądzem. Jako urodzony gracz, przede wszystkim nie miał dość pogardy dla bezpłodności tej gry. Uzurpując sobie władzę trzeba wiedzieć, czego się chce. Oni zaś nie myśleli o niczym, tylko o rządzeniu – to jest, w języku tych panów, o zagarnianiu. Niech więc wyprują im bebechy! Choć interesy jego były po ich stronie i choć wszystko w jego sytuacji czyniło go wrogiem rewolucji proletariackiej, w skrytości serca patrzył z okrutnym zadowoleniem na zwarte, wielkie, zorganizowane masy ZSRR, które gromadziły się przed atakiem, i krzyczał do nich ochryple z głębi lasów: „Naprzód! Pruć brzuchy!" Lecz był to tylko chwilowy wybuch wściekłości. Nie mógł! Był przeciwko nim. Nie c h c i a ł ich rozumieć – choć rozumieć był zdolny. W gatunku, do którego należał, stanowił wyjątek – umiałby im oddać sprawiedliwość. Gdyby urodził się tam, mógłby zostać jednym z przywódców. Może nachodziła go ta myśl. Ale okoliczności życia zrządziły inaczej i wszystko spaliło się na panewce, zanikło w zarodku. Nie mówmy o tym! Uczestniczył w innej grze. Każdą grę, jakakolwiek by ona była, trzeba grać śmiało.

Czy robił to? W tym cała kwestia. Dar wczuwania się w innych pozwolił Anetce przyjąć w sądzeniu Tymona jego punkt widzenia. Nie myślała przeciwstawiać mu chwilowo innych koncepcji socjalnych: nawet gdyby Tymon pozwolił na to, brak jej było wtedy dość wyraźnych, dość pewnych pojęć w dziedzinie ekonomii ogólnej, w którą nie miał dotąd sposobności zapuszczać się jej indywidualizm o szerokich skrzydłach, lecz ograniczonym horyzoncie.

Znała dobrze centrum koła – głębokie ja – lecz dość źle jego obwód. Tymon rozszerzał jej widnokręgi; i choć widowisko było mało zachęcające, jej ciekawość umysłowa, chciwa, gorąca, rzuciła się w niej jak jaskółka. Nie miała starego świata do obrony. Nie miała starej dzwonnicy z gniazdem. Tylko swe skrzydła i przestrzeń powietrza. (Było tam także jaskółcze: Marek. Ale to było jej pisklę – zrobiłby jak ona...) Więc na razie tylko patrzyła. I było na co. Co za pojedynki sił! Co za zwierzyniec! I skarżono się na nudę czasów! Kupa głupców! Taka bogata epoka!... Co prawda, nie bardzo wygodna. Drapie po skórze i zdziera ją. Krew płynie jak woda. Ale jakież to zajmujące! Nie ma się czasu myśleć o swych biedach. Co najwyżej o cudzych. Wspaniałe widowisko!... O, to nie teatralna parada! Widowisko sunie jak „pochód do świętego Graala". Ale widowisko nie posuwa się samo. Wraz z mymi oczami pociąga me nogi, całe moje „ja", cały świat. Czuję na swej twarzy wiatr obracającej się ziemi. Dokąd zmierza jej droga? Dokąd biegniemy? Nie wiem! Lecz co za bieg! Dobrze jest żyć na dziobie okrętu...

Lepiej niż wszyscy ci mężczyźni Anetka spostrzegała od początku ekliptykę, po której toczyła się masa ludzka niepowstrzymanie unoszona przez żywiołowe siły. I nie próbując się im opierać, starając się instynktownie utożsamić z nimi, jednoczyła się z energią, z którą ją życie zetknęło, a zarzuciwszy wszelką ocenę jakości – moralne czy niemoralne – chciała tej energii dopomóc w urzeczywistnieniu się. Jest Tymonem. Niech więc będzie Tymonem, całym sobą!

Nie był nim wcale. Anetka spostrzegła to niebawem: i pierwsza się o to zatroszczyła. Gdyż Tymon miał pod sobą tylko poddaną sobie służbę, ludzi bez przywiązania; a naprzeciw siebie iluż rywalów, których pierwszą troską było, by nie mógł dać pełni swej miary. I sam niestety

dbał o to tylko dorywczo. Kolos ten był zatruty jadami władzy. Nie można być bezkarnie zwycięzcą świata zarażonego do szpiku kości. Zwierając się z nim w walce przez lat czterdzieści przejmuje się jego pot, wszy i tyfus. Tymon był rozpustnikiem, żarłocznym, gwałtownym i nieokiełznanym. Musiał nasycać, i to natychmiast, swe chucie, fantazję i nienawiści osobiste. Nie umiał, nie chciał się ustatkować, jak to czynili niektórzy z tych wielkich awanturników, jego rywali i wzorów: Bazyli[177] lub król nafty, lub król zapałek, który zachwianą swą władzę zdawał się równoważyć rozsądnie regularnym życiem domowym na uboczu i starał się być nieznany. Wymyślał im od szczurów, sknerów i safandułów. Faktycznie byli oni raczej naroślami burżuazji, rakiem na jej skórze, niż nowymi ludźmi. Lecz Tymon, który mógł być nim, dał się powstrzymać w drodze lianom opasującym jego brzuch i ruchomemu mułowi pod stopami. A Anetka wpadała we wściekłość: gdyż przejęła się namiętnie tą egzystencją, która jednakże z pewnością nie budziła w niej żadnej sympatii; ale nie mogła patrzeć, jak marnował się żywioł, który umiałby schwycić zwycięstwo, a wypuszczał je z ręki. I Tymona, który to widział, bawiło zainteresowanie jego sekretarki, większe niż jego własne. Był jej za to wdzięczny. Znalezienie publiczności oceniającej jego siłę było dlań bodźcem, którego mu brakło. Ale było za późno, aby z niego skorzystał.

Tak, wiedział jak i ona, że jest inteligentniejszy niż ci rywale, z którymi walczył; widział dalej niż oni i prawdziwiej, głębiej. Znał ich słabość i nicość tego, co budowali. Ukazywał to Anetce rzucając na nich bezlitosne światło.

– A więc, szefie..

Przypatrywał się jej drżącym ustom.

– Mów, madame Sans–Gêne[178]!

– Czemu nie przyłoży pan swego ramienia...

– Ażeby ich podeprzeć?

– Ażeby ich przewrócić i budować, gdzie oni budowali.

– Pokaż mi teren.

– Cała ziemia.

– To bagno.

– Czy nie jest pan zdolny swymi ramionami zasypać bagna: osuszyć, jeśli trzeba, trzęsawiska? A jeśliby wszystko było pod wodą, czyliż nie istnieli niegdyś ludzie, którzy budowali swoje domy i swoje nowe życie na palach?

– I po co? By składać w te bagna, jak oni to robili, swoje kijanki? Nie, nie, dosyć tych, które są! Nie pragnę zwiększać ich liczby ani przedłużać mej rasy. Dość jednego życia. Nie zaczynam na nowo. Ale z tego, które mam, umiem przynajmniej wycisnąć sok.

– A potem?

– Potem g....

Odwróciła głowę gniewnie, krzywiąc się.

– Bolą uszy? – spytał Tymon szyderczo.

– Nie. Mdło mi. Zbiera mi się na wymioty.

Utkwiła wzrok w jego czole.

– Po co zatem sądzić i gardzić tymi, którzy uzurpują sobie władzę nie umiejąc jej używać, kiedy się czyni tak samo jak oni!

---

[177] Z a c h a r o w Bazyli (1850–1936) – międzynarodowy handlarz broni i finansista. Podczas pierwszej wojny światowej udzielał pomocy finansowej rządom państw sprzymierzonych, sam pozostając w ukryciu za kulisami polityki międzynarodowej.

[178] *M a d a m e S a n s – G ê n e* – aluzja do bohaterki sztuki pod tymże tytułem V. Sardou i E. Moreau, marszałkowej Lefebvre, dawnej praczki, która na dworze Napoleona I zachowała swobodny, ludowy język i obyczaje.

– Ale ja widzę to, o czym im nawet się nie śni.

– Co?

– Nicość ich, moją, twoją. Nicość wszystkiego.

– Mówmy o pańskiej, jeśli łaska! – rzekła Anetka oschle. – Lecz nie o mojej.

– No, no, no! – rzekł Tymon, zaciekawiony. – Żądasz specjalnego traktowania?

– To moja sprawa.

– A mnie pozostawiasz z moją sprawą?

– To pan sam chce z nią zostać. Czy nie wstyd? Mógł pan się wziąć za bary z wszystkimi niebezpieczeństwami życia. I potyka się pan, tchórzliwie, o Nicość!... Pff!... (Odęła wargi...) Nicość jest tylko takim samym wrogiem jak inni. Ukręcić jej kark... Pan się śmieje?... Poddawać się jej! Wstręt pan we mnie budzi.

Tymon, zadowolony, przyglądał się gniewnej kocicy, która zdawała się gotowa parsknąć mu w nos. Objął ją spojrzeniem.

– Szkoda – rzekł – że nie jesteś już w wieku, by mi dać potomka. Może on, zamiast mnie, stoczyłby bitwę, która cię tak pociąga.

– Nie potrzeba mi pana. Mam swego potomka. I jestem pewna, że tę walkę toczyć będzie do końca.

– Masz swego chłopaka. To prawda. Przyprowadź mi go.

– Nie.

Potrząsnęła stanowczo głową.

– Czyż nie jestem godzien? – zadrwił Tymon.

Rzekła:

– Nie.

Tymon zaśmiał się głośno.

– Podobasz mi się – rzekł. – Nie boisz się. Trzeba mi było takiej kobiety jak ty. Teraz za późno. Spóźniłaś się na pociąg.

– Wsiadłam w dobry – rzekła Anetka.

– A więc jazda!... I zobaczysz, że potrafię jeszcze uderzyć – nie mogąc dosięgnąć Nicości, która wymyka się, anonimowy łotr – na jej przeklętych prokurentów!

*

Mijały godziny twardej pracy – podkopy, minowanie, sypanie szańców – w oczekiwaniu na głos trąbki lub klaksonu, co wzywa do ataku, w oczekiwaniu natarcia... Gdyż Tymon, mimo wszystko, dotknięty słowami Anetki, wstąpił w szranki i zuchwale kruszył kopie ze swymi wielkimi rywalami... „Cóż tam robić mogła taka Anetka?" Zapytywała siebie o to w rzadkich chwilach, gdy szef pozwolił jej odetchnąć. Ale wtedy trzeba było odbić sobie tyle trudu, odespać tyle godzin! Precz z myślami. Dajcie mi spać. Do jutra...

Ale ktoś drugi – Marek – ten Marek, którym Anetka tak się pyszniła wobec Tymona – nie czekał do jutra. Nie pozwolił jej drzemać. To, że matka jego została osobistą sekretarką Tymona, Tymona–rekina, korsarza lądów, wprawiło go w przerażenie połączone z napadem szału. Rozstawszy się z nią i unikając jej – dowiedział się o tym niedawno; w tym świecie nędzy, w którym gonił za chlebem, nie mógł słyszeć o stosunkach Anetki z Tymonem. I pierwsza o nich wiadomość dotarła doń w chwilach szczególnie tragicznych.

Masson, kolega z drukarni, zabił się. Nieszczęśliwca zżarły podwójne jady: syfilisu i gazów – nabytków wojennych. Spalane ciało nie było zdolne wytrzymać wściekłego ataku du-

cha. Jego rozczarowania i urazy dolewały oliwy do ognia. Pluł krwią, szczekając daremnie na wiecach, by poruszyć obojętność dawnych kombatantów. Odwracali się odeń, rozgniewani; mieli do niego żal, że przypomina im to, o czym by woleli zapomnieć; i niejeden z nich ukrywał swój wstyd pod obelgą. Wracał wyczerpany, zdławiony boleścią i bezsilną wściekłością, z rozgorączkowanym, doprowadzonym przez bezsenność do szału mózgiem. Z całą ostrością halucynacji widział powrót wojny – nieunikniony skutek fałszu łupieżczego pokoju i współwiny (przez swą chwiejność) narodu francuskiego. Powtórne przejście tego piekła, z którego, zdawało mu się, wyszedł przed trzema laty, było dlań nie do zniesienia. Moralna zaś zdrada jego narodu odbierała wszelki sens jego istnieniu. Nic nie mógł uczynić. A gdyby mógł, dla kogóż znalazłby jeszcze siły, by walczyć? Dla tych zdrajców – zdrajców swej sprawy zdrajców swej klasy? Dla tych tchórzów? – Pewnej nocy, gnębiony rozpaczą i kaszlem, poderżnął sobie gardło swoim nożem z okopów.

Marek znalazł go na sienniku przesyconym krwią, jak gąbka; ujrzał ciało jak łachman, skurczoną twarz, otwartą jeszcze krzykiem przeciw zdradzie żywych...

I tegoż dnia spotkał na ulicy, niedaleko swej bramy, matkę, która szła go odwiedzić. Nie dostrzegł jej zmęczonej twarzy, podkrążonych oczu; dostrzegł, że śmieje się. Przynosiła mu dwa bilety na koncert; podając mu je cieszyła się, że z synem posłucha dobrej muzyki. Powiedziała mu to, uszczęśliwiona i zadyszana szybkim chodem. Żachnął się, zaśmiał szyderczo, z rękami w kieszeniach, i odparł: – Nie. – Nie zrozumiała, myśląc, że umówił się z kimś i nie chce jej tego powiedzieć; więc nie narzucając się rzekła:

– Jeśli masz przyjaciela, którego chciałbyś zabrać ze sobą na koncert, to weź go, kochanie. Ja pójdę innym razem.

Wyrwał jej bilety z ręki; zmiął je i cisnął do rynsztoka. Głosem syczącym, hamując się, by nie krzyczeć, rzucił jej w twarz szeptem:

– Nic nie chcę od ciebie.

Anetka milczała, z zakrzepłym uśmiechem i zlodowaciałym sercem. Nie dał jej przyjść do słowa:

– Nic, co pochodzi od tego łajdaka, którego chleb jesz, od tego mordercy...

Próbowała się bronić:

– Nie sądź mnie, dziecko, zanim nie wysłuchasz... Chleb, który jem, jest uczciwie zarobiony...

Wzięła go czule pod ramię. Wyrwał się gwałtownie.

– Nie dotykaj mnie.

Spojrzała nań. Drżał konwulsyjnie.

– Marku, ty jesteś nieprzytomny...

Krzyknął (nie – warczał jak wściekły pies zbliżając swoją twarz do twarzy kobiety, by nie usłyszeli przechodnie):

– Masz krew na rękach.

Odwrócił się i odszedł spiesznie.

Anetka ze zwieszonymi rękoma stała jak wryta na miejscu, gdzie ją opuścił, i patrzyła, jak się oddalał. W tym stanie osłupienia jasne jej spojrzenie badało wybuch nienawiści i odkrywało w nim pierwiastki *fas atque nefas*[179]... Niewyjawiona zazdrość... Nie rozumiała sensu jego melodramatycznego okrzyku. Spojrzała na swe ręce maszynistki. Miała na palcach atrament, nie krew. Nie widziała krwi zmarłego, która znajdowała się jeszcze za paznokciami Marka. Uśmiechnęła się smutno, wzruszyła ramionami i zawróciła...

Gdyby był wiedział, jakie były jej stosunki z Tymonem! Lecz jak mu to wytłumaczyć? Czyż umiała je samej sobie wytłumaczyć? Co robiła na tej galerze, w tej wojnie korsarzy,

[179] *Fas atque nefas* (łac.) – to co cnotliwe i to co zbrodnicze.

która nie była jej wojną, a w której stawką, wyrywaną sobie wzajem przez zgraje drapieżców, były ziemia, woda i powietrze, żywiące ją, jej syna i miliony skromnych pracowników. Chciała patrzeć. Mimo niesmaku i wstrętu zapatrzyła się, dała się wciągnąć w grę. Myśląc o tym (w dzień nigdy nie miała na to czasu; w nocy rzadko: spała, oszołomiona znużeniem; tylko od czasu do czasu, w chwilach bezsenności... Zdumienie, strach... „Co ja robię?... Dokąd idę...") – myśląc o tym wydała się sobie badaczem, który wszedł w dżunglę; zawarł umowę z jednym z grubych zwierzów i ukrywa się za jego plecami; widzi dokoła siebie walki potworów; los jego związany jest z losem olbrzymiej bestii, która przed nim wali ścianę lasu i tratuje tygrysy i pytony. Ona woła doń: „Baczność na prawo, baczność na lewo! Podnieś trąbę! Uderzaj i miażdż!" Ale przez cały czas mało brakuje, by ciężka noga zmiażdżyła i ją. Stałe niebezpieczeństwo uwalnia Anetkę od skrupułów sumienia, jakie odczuwałaby w normalnej sytuacji. Myśli tylko: „Wydostać się z lasu." I przekonywa się teraz, że w lesie tym błądzi nie tylko ona, lecz Europa, cały świat. Wtedy ocenia potężne cielsko i kły słonia, który toruje jej drogę. Nie ma czasu go sądzić, co uczyniłaby po wyjściu z dżungli. Nie ma czasu być moralną. Musi postępować za ciężkimi stopami. Jedna chwila niedbałości lub słabości, a pożrą ją krążące bestie. Ona idzie, wciąż idzie; lecz patrzy i zapisuje. Później załatwi rachunki ze sobą i wszechświatem.

Przypuszczała od początku, że prędzej czy później syn zażąda od niej wytłumaczenia. I była na to gotowa. Nie powiedziałaby mu (tego się nie mówi), że kiedy wśród tłumu impotentów, ludzi połowicznych, ludzi „na jedną tysiączną", którzy są niczym, którzy nie robią nic, którzy nie umieją niczego chcieć ani dokonać, zdarzy się spotkać siłę niezłomną, wyrosłą z drzewa dobrego i złego, kobieta pamięta zawsze o wezwaniu, z którego wziął początek ów czyn ogromny – rozwój historii ludzkiej. Nawet najczystsza, która oddaje nie swoje ciało, lecz swego ducha, ofiarowuje się mężczyźnie, który zapładnia, temu, który chce i działa. I pochlebia sobie, że organizując jego działalność, kieruje nią. A zresztą jest w tym także, pokorniejsza już, troska dobrej robotnicy, która bez względu na to, w jakim zadaniu bierze udział, nie może znieść, by zadanie to było wykonane źle, i zapala się doń. Mieć pod ręką takiego Tyrmona – jego energię i środki, i dla jakichś tam bezpłodnych skrupułów odrzucać takie narzędzie – nie, nie byłaby chyba Anetką... Dobra pracownica nie cofa się przed żadną robotą... – Nie byłaby mu powiedziała tego wszystkiego. Wiedziała, że takie wyjaśnienia nie wyjaśniłyby nic umysłowi syna, temu upartemu umysłowi młodego nietolerancyjnego chłopca. Ale powiedziałaby mu, jakie dobro społeczne mogło wyniknąć z woli walki takiego Tymona i z tej potęgi dobrze skierowanej – i że obecność jej przy nim była może potrzebna, nawet dla sprawy mas pracujących i niezależnych umysłów. Lecz jeśli spodziewała się gwałtownej dyskusji z Markiem, nie przewidziała takiego wybuchu.. Marek nie przewidział go także. Zawładnęły nim dzikie siły krążące w głębi jego duszy. I teraz nie pozwalały mu odwołać swego sądu.

Anetka napisała doń kilka słów, w których nie wspominała nawet o jego brutalności, nie czyniła żadnych wyrzutów, zapytywała o zdrowie i zapraszała na pogawędkę.

Chciała się szczerze wytłumaczyć. Gdyby tłumaczenie to nie zadowoliło go, gotowa była poświęcić posadę u Tymona. Ale nie myślała uznać się winną, jakby pragnął ten gwałtownik: nie miała do tego powodu. On zaś nie troszczył się ani o powód, ani o sprawiedliwość, ani o żadne względy... W uniesieniu swym żądał, by bez dyskusji zerwała z tym człowiekiem, którego nienawidził – natychmiast – i to ze skruchą! Posłał jej ultimatum w trzech stanowczych wierszach, bez jednego czułego słowa. Przeczytała, westchnęła i uśmiechnęła się – ona także nieugięta. Miała jak on swoją dumę. Nie znosiła żądań. Można było wszystko od niej uzyskać sercem lub rozumem. Nie rozkazem. Złożyła list i zostawiła go bez odpowiedzi. Potem ruszyła dalej poprzez dżunglę, za żywym puklerzem mamuta... „Jeśli będziesz miał ochotę porozmawiać grzecznie, mój Mareczku, czekam ciebie. Nie czekaj mnie..." Robił to samo. Cze-

kał... Możecie czekać oboje. Oba łby są jednakowo twarde. Żadno nie powie: „Pomyliłem się."

Nie czekał natomiast Tymon. Trzeba było iść za nim. Nie było czasu na jałowe rozterki sumienia. Konieczne było napięcie wszystkich zmysłów, by nie dać się prześcignąć. Naprzód... „Dokąd mnie wiedziesz?" – „Idź ciągle naprzód. Zobaczysz..." Czyż on sam to wie? Ale nie wiedząc tego, ma nieomylny węch. Nie był to tylko instynkt. Tymon pożarł mnóstwo nauk, i z doświadczenia, i z książek. Gdyż czytał o wiele więcej, niż przypuszczano, i to łakomie. Ale jeszcze żarłoczniej niż książki pochłaniał ludzi żywych. Znał ich do głębi. Od pierwszego rzutu oka wiedział, co kto krył w zanadrzu, znał słabe strony, możliwości – i cenę kupna. Za nic miał zwierzęta bez skorupy, mięczaki bezbronne, był to dla niego nikczemniejszy gatunek ludzki, wyzyskiwał ich bez skrupułów. Z siłaczami, którzy mu stawiali czoło, prowadził pojedynek na noże. Dla nich i dla niego wszelka broń była dobra. Gdyby stara Europa była dojrzała do tego (właśnie doprowadzali ją do gnicia, jak owoce nieszpułki na słomie), byliby zakasowali gangsterów z Chicago.

Lecz Anetka imponowała mu, tym więcej że nie prawiła mu niepotrzebnych morałów. Czuł, że jest niezłomna, nietykalna, a jednak pozbawiona przesądów. Nie cofała się przed najgorszymi widowiskami. Oceniała je spojrzeniem jasnym i stanowczym, nie odwołując się do żadnych zasad. Nie potrzebowała podpór moralnych czy religijnych. Wystarczały jej własne oczy: oczy kobiety, dumne i spokojne. Nie mrużyły się. Nie kłamały ani jej, ani temu, kogo przenikały. A brak złudzeń nie mącił wcale jej radosnej równowagi. Cieszyła się życiem, ale nie przedłużyłaby go (był tego pewien) o godzinę, gdyby w zamian przyjąć miała warunek naruszający jej prawa. („Jej prawa!" Tymon drwił... „Zgniótłbym je w dwóch palcach..." Ale wiedział, że choćby ją nawet zmiażdżył, czułby nadal, jak żądło po ukłuciu pszczoły, to dumne, wyzywające spojrzenie...) Twardy typ, jak on wspaniale uzbrojony do walki. Ale nie zależało jej dla siebie samej, dla siebie jednej na walce. Była kobietą. Aby się przejąć walką, potrzebowała mężczyzny, dla którego mogłaby walczyć: syna czy kochanka lub, w ich braku, szefa. Mężczyzny, z którym tworzyłaby jedno. W taki brutalny sposób patrzył na nią Tymon. Oburzyłaby się na tę zniewagę. Sądził ją oczyma samca, dla którego kobieta warta jest tyle, ile jest warta w stosunku do mężczyzny. Nie może istnieć przez siebie samą. I że ta Anetka, stworzona do walki, potrzebowała mężczyzny, by się w niego wcielić, jak klinga szuka rękojeści i ręki, która trzyma rękojeść – cenił ją za to jeszcze bardziej. Oceniał klingę jako znawca. I dla tego jednego oszczędzał ją. Nie używał jej do byle czego. Kiedy była przy nim, musiał czuwać nad własną działalnością. Sama obecność jej była dla niego hamulcem: powstrzymywała go na progu niektórych nadużyć.

*

Ale natura zatrzymuje się tylko po to, by tym dalej skoczyć. A jeśli to jest natura takiego Tymona – trzeba się mieć na baczności.

Wśród przywar Tymona – a obfita to była kolekcja – nie brakło pijaństwa. Nie był czuły na wyszukane trunki; pił nieumiarkowanie jak tragarz, który równie mocną ma głowę jak ramiona. Nie bywał nigdy całkiem trzeźwy i geniusz jego, jeśli tak rzec można, prosperował tylko wtedy, gdy był zalany. Panował dostatecznie nad swą kadzią, by znać jej pojemność i wiedzieć, do której kreski wolno mu *coram populo*[180] dopuścić fermentację, nie tylko bez szkody dla swych demagogicznych operacji, lecz nawet -na ich korzyść: gdyż ciągnął korzyść z oparów bijących mu z głowy, jak ten, co z pary uczynił sługę naszych zachcianek. Lecz od czasu do czasu czuł potrzebę wyładowania się i wtedy kocioł wyrzucał nadmiar ciśnienia:

[180] *C o r a m p o p u l o* (łac.) – w obecności ludu.

inaczej nastąpiłby wybuch! Na ogół folgował sobie przy zamkniętych drzwiach, o ile możności poza Paryżem, w miejscach odosobnionych-i nieznanych: w wypadku jakichś szkód łatwiej dawało się je zatrzeć.

Anetka, dzięki świeżym jeszcze doświadczeniom na Bałkanach, wiedziała dość dużo, by wyobrazić sobie, co się tam działo, a czego echa, wyolbrzymiałe, spotworniałe, budzące lęk i zazdrość, dochodziły do sal redakcyjnych podczas wycieczek szefa. Gdy wracał, ociężały i mroczny, jak chmura, z której lunął deszcz, by znów wznosić się gęstą mgłą sponad ziemi, Anetka marszczyła brwi, wroga, lodowata, udając obojętność maszyny wykonującej wolę pana, który ją puścił w ruch. Wiedział doskonale, co myślała. Bawiło go to. Pragnął skłonić ją do mówienia. Ale ona miała się na baczności. Nieostrożnie było otwierać drzwi. Wszedłszy nie odpowiadała za sposób, w jaki by wyszła. To właśnie go kusiło.

Przez kilka miesięcy oboje uznawali milcząco ugodę co do drzwi zamkniętych między nim a nią. W te dziedziny swego życia, na te tereny myśliwskie nie chciał Tymon wprowadzać owej kobiety o zbyt ostrym węchu; krępowałaby go; zresztą oszczędzał ją. Później, stopniowo, bardziej jej pewny, mniej ją oszczędzał; miał nawet ochotę uczynić to, czego dotychczas unikał: wsadzić jej nos w to bagno i zobaczyć, jakby się skrzywiła. W gruncie rzeczy była to zawsze owa zgubna i nieprzeparta chęć poniżenia człowieka, którego się skrycie czci za to właśnie, że nie daje się poniżyć...

Zaczął prowokować milczącą Anetkę; próbował pobudzić jej ciekawość lub miłość własną. Mówił:

– Co, boisz się?... Wolisz nie wiedzieć?... Ha, cnota jest wygodniejsza... Nie narażamy się na to, by być kuszeni...

– Przez co? Przez kogo? – odparła wzgardliwie.

– Jesteś zbyt pewna. Niedużo cię to kosztuje!... Chciałbym widzieć choć raz, jak tracisz głowę.

– Ja to za często widywałam. Dzięki Bogu, przekroczyłam wiek. Nie mam ochoty wracać.

– Skoro przekroczyłaś granicę, cóż ci szkodzi spojrzeć z drugiej strony. Czego się boisz?

Spojrzała nań gniewnie:

– Pan wie.

– Może, lecz wolałbym to usłyszeć od ciebie.

– Boję się gardzić panem.

Zaśmiał się twardo:

– Myślałem, że jest tak już od dawna.

– Lecz więcej nie mogłabym znieść.

Zacisnęła obie pięści pod brodą. Bawiła go... Mimo to miał ochotę ją spoliczkować. Wstał, zaczął chodzić, by przepędzić tę chętkę. Zatrzymał się przed Anetką:

– Więc chcę zobaczyć, ile- możesz znieść... Następnym razem wezmę cię ze sobą na taką zabawę.

– Nie, nie, szefie, niech pan tego nie robi!... Proszę bardzo... To nie żarty... Mówiłam bez zastanowienia, uraziłam pana, przepraszam...

Zaśmiał się drwiąco i zabrał się znów do pracy. Myślała, że zapomniał. Lecz po kilku dniach Tymon rzekł:

– Dziś wieczór nie wrócisz do siebie. Zabiorę cię do La Garenne moim autem.

Odmówiła. Nie chciał słyszeć o niczym.

– Nikt na ciebie nie czeka. Jesteś na moje rozkazy. Potrzebna mi jesteś.

– To poważna sprawa, szefie. Niech się pan zastanowi!... To może dużo kosztować i pana, i mnie.

Zaśmiał się drwiąco:

– Mnie?

– Tak, pana także. Gdyż przypuszczam, że nie jest pan na tyle głupi, by tracić niepotrzebnie taką jak ja pomocnicę, której jest pan pewny.

– Jeśli jestem jej pewny, czemu mam ją tracić?... A zresztą, moja droga, jeśli uważasz się za niezastąpioną, mylisz się.

– Proszę! Jak pan sobie życzy!

Z zaciśniętymi ustami usiadła znów przy maszynie. Była zdecydowana po skończonym dniu zrezygnować z pracy. A jednocześnie miłość własna; szeptała jej: „Nie masz odwagi! Zmykasz. Czy brak ci siły?..." Uczyniłaby lepiej nie słuchając. Diabeł siedzi w każdej kobiecie. Tymon wiedział o tym. Nie mówił nic, lecz oczy jego szydziły: „Boisz się... Biedna staruszko, i czegóż to?..."

Nie byłaby jednak ustąpiła, gdyby wieczorem, po skończonej pracy, nie zjawiła się jakaś młoda kobieta. Bardzo młoda, bardzo wiotka i bardzo ładna. Wyglądała jeszcze na dziecko. Anetka widziała, że Tymon czekał na nią. Dziewczyna była bardzo onieśmielona. Błyszcząca od ozdób jak kosztowny relikwiarzyk, czuła się nieswojo w swych ładnych i nowych szmatkach. Tymon powiedział do Anetki:

– Dosyć na dziś!... Zbieraj się!

I wyszedł na chwilę. Anetka wstała i włożyła kapelusz mrucząc głośno, przez zęby:

– Niedoczekanie twoje!... Nie jadę!

Rzuciła się ku wyjściu, gdy młoda dziewczyna, na którą przestała zwracać uwagę, chwyciła ją nieśmiało za ramię szepcąc:

– Ach, proszę pani! Czy pani nie pojedzie?

Anetka spojrzała na nią:

– Cóż pani po mnie?

Mała nie tłumacząc się ścisnęła jej ramię:

– Błagam, niech pani pojedzie!

Anetka, jeszcze zmarszczona, spojrzała na dziecko, rozchmurzyła się i uśmiechnęła z tego nagłego objawu zaufania. Przyjrzała się bliżej. W oczach tych było nieme błaganie. Poddając się jednemu ze swych szalonych porywów uczuła się nagle kokoszą unoszącą opiekuńcze skrzydło. Był to ułamek sekundy. Lecz w tejże chwili Tymon, wszedłszy z powrotem, jednym spojrzeniem objął sytuację i szydząc chłodno, rzekł do Anetki:

– Będziesz przyzwoitką.

Zanim Anetka powzięła postanowienie, znalazła się przed domem, przy otwartych drzwiczkach auta. Ta mała, która nie znając jej obdarzyła ją zaufaniem, błagała pomocy. Anetka wsiadła.

Niewiele zapamiętała z tego, co się mówiło po drodze Szef rozsiadł się z przodu, blokując swym cielskiem wyjście. Obie kobiety siedziały w głębi. Milczały. Mała wpijała kurczowo palce w fałdy sukni Anetki. Gdy Tymon, przypomniawszy sobie, że musi wysłać depeszę, zatrzymał auto przed urzędem pocztowym w jakiejś miejscowości, Anetka skorzystała z chwili, by wydobyć ze swej towarzyszki kilka wyjaśnień. Mała pochodziła z robotniczej rodziny włoskiej, która z Marchii wyemigrowała do Langwedocji. Jakiś naganiacz wyszperał ją w cukierni. Zawrócił jej głowę nagrodą w jednym z konkursów pięknością które organizują mistrzowie–rajfurzy, rozdawcy godności „królewskich". Z braku nagrody odszkodowanie przyszło w formie *engagement* w jakimś music–hallu, skąd dziewczyna chciała uciec co tchu pierwszego wieczoru, gdy wystawiono ją nago na żarłoczne spojrzenia sali. Zamiast uciec, popadła w taki stan odrętwienia, że była jak sparaliżowana: nic nie mogło pomóc, ani śmiechy, ani szturchańce jej menażera. Lecz widok tej śniadej dziewczyny, pochylającej szyję i kryjącej głowę w ramieniu, z rękami niezdarnie przylepionymi do ciała, który rozpętał wesołość widzów, nie uszedł uwagi Tymona: upatrzył w niej sobie ofiarę. Przez kilka tygodni na-

mawiano ją, tresowano, strojono w tak zwanym salonie mód i dostawiono w oznaczonym terminie. Mała wiedziała o Tymonie tylko tyle, co odgadywała z różnych tajemniczych napomknień: dość, by przejęło ją to drżeniem; a widok potwora dobił ją zupełnie. Oczywiście, domyślała się, na co się naraża! I nie trzeba mieć przesadnego wyobrażenia o niewinności ofiary. Jeśli nawet, zgadzając się poświęcić siebie, nie wiedziała dokładnie, co to znaczy, była na ofiarę przygotowana. Wszystko po to, by wygrzebać się z ubóstwa! Ifigenia[181] wiedziała dobrze, że będzie musiała za to zapłacić. Ale wyobraźnia małej wieśniaczki nie przewidziała inkasenta. W pierwszym odruchu (człowiek nie oblicza!) uciekła się pod opiekę, która się nadarzyła. Było to niedorzeczne, gdyż nie znała Anetki. Lecz ścigane zwierzęta zwietrzą dokoła siebie najdrobniejszą okruszynę litości. Wszystko to zostało raczej odgadnione, niż wyrażone w bezładzie pośpiesznych słów, gdzie język włoski mieszał się z francuskim. Anetka zdobyła do reszty zaufanie dziewczyny tym, że odpowiedziała jej po włosku. Powiało ku niej jakby tchnienie Adriatyku. Ucałowała dłonie Anetki:

– *Bella, buona signorina, mi rimetto nelle sue mani, come nelle santissime della Madonna!...*[182]

Tymon wrócił do auta.

Po trzech godzinach, późną już nocą, przybyli do zameczku w lesie, otoczonego dość rozległym terenem myśliwskim. Nie podobna było dowiedzieć się nazwy miejscowości. Tymon miał kilka takich punktów rozsianych po Francji i poza nią, gdzie gromadzono się dla polowań i rozrywki. Przyjęła ich i rozlokowała milcząca służba. Gdy panie, zaprowadzone do oddzielnych apartamentów, poprawiły toalety, zjawiła się po nie służba, by z szacunkiem sprowadzić je do sal na parterze, gdzie podano kolację. Dokoła okrągłego stołu siedziało ponad dwudziestu biesiadników, mężczyzn i kobiet różnych narodowości. Nikt nie myślał się przedstawiać. Mężczyźni znali się. Co do kobiet, nie dbano o to, by kogoś znały ani by je poznano – chyba pojedynczo. Anetka dopasowała imiona do trzech czy czterech męskich twarzy, które przewinęły się przed nią u szefa; i naturalnie sama została poznana. Nie bez zdziwienia przyjęli jej obecność. Nie wiedzieli, jakie właściwie łączą ją stosunki z Tymonem; i w niepewności okazywali jej względy – nieco kulejące. Anetka przyjmowała je jako należne sobie, a tym, które były niepewne, pomagała stanąć na nogach obojętnym, lekko wyniosłym sposobem bycia, zdając się niczego nie domyślać. Oczy jej nie próżnowały. Badały życie kryjące się pod maskami wszystkich tych twarzy. Katalogowała je, wspomagana wspomnieniami swych rozmów z Tymonem i obrazami osób, które przed nią odtwarzał. Oto tu stary pan z pomarszczoną czaszką, który zdawał się śmiać i szpiegować wszystkimi fałdami swej potylicy, tak jak swymi małymi oczkami o czerwonych obwódkach, chudy, zgarbiony, wątły, z miną drobnego, emerytowanego mieszczucha: amerykański król stali. Oto ten drugi, mieszczuch, bogaty, typ na wskroś francuski, wymuszony, sztywny, o manierach notariusza i oficera w cywilu: właściciel hut żelaznych i deputowany. Dalej; piękny młodzieniec, o cerze opalonej, szerokich barach obciśniętych frakiem, z wabiącym uśmiechem i oczyma ze stali, które przy pierwszym zetknięciu z wzrokiem Anetki zamieniły z nią wesołe koleżeńskie pozdrowienie; jakiej był narodowości? Mówił wszystkimi językami, z akcentem irlandzkim, zachowując się w sposób bardzo prosty, męski i uroczy... Po jednym słowie Tymona Anetka rozpoznała słynnego agenta Intelligence Service, który pod różnymi przebraniami ustanawia i obala królestwa Wschodu. Nie brak było innych agentów w tej zacnej kompanii. Byli tacy, którzy nosili wielkie nazwiska – gentleman o pięknych manierach, czaszce wąskiej i długiej, wyniosły, uprzejmy, roztargniony – inni, mniej wysoko urodzeni, którzy cuchnęli dolarami: jeden

[181] I f i g e n i a – aluzja do bohaterki mitów greckich, dziewicy złożonej na ofiarę bogini Artemidzie.

[182] *B e l l a b u o n a s i g n o r i n a, m i r i m e t t o n e l l e s u e m a n i c o m e n e l l e s a n c – t i s s i m e d e l l a M a d o n n a* (wł.) – piękna, dobra pani, oddaję się w twoje ręce jak w najświętsze ręce Matki Bożej.

posmarował właśnie na rozbrojeniowej konferencji genewskiej prasę, która bijąc na alarm miała zapewnić powodzenie planom admiralicji amerykańskiej co do rozbudowy floty. Niski grubas, typ południowca–gaduły, który pachniał czosnkiem i goździkiem, łączący w sobie Don Kiszota z Sanczem, rozpływał się w wylewach uczuć; w zapewnieniach oddania ściskał ręce obecnych w swych wilgotnych dłoniach, całował głośno dłonie Anetki, mocno przywierając do nich wargami, kłaniając się nisko, wysławiając przed nią Tymona z emfazą, z ekstazą i niemal łzami w oczach; w rozmowach swych przy stole mieszał erotykę z mistyką: mistrz szantażu, korsarz prasowy... Nie wiadomo już było, do jakiego stopnia łajdactwo ustępowało w nim kroku szczerości: on sam nie zawsze był tego pewny. Gdyż dobroduszność i niechlujstwo były w nim, nie wiadomo jakim wyrokiem boskim, złączone na całe życie. Rozdzielą się dopiero na Sądzie Ostatecznym. Na razie pan domu i sproszeni rywale korzystali z jego talentów: niebezpiecznie było nie korzystać z nich.

Całe towarzystwo było podejrzane. Lecz zabawy takie jak dzisiejsza były dla wszystkich *treuga Dei*[183]. Kiedy się jest mężczyzną, trzeba, pozwalając sobie na chwile wytchnienia, cieszyć się towarzystwem mężczyzn, choćby wrogów, przeżywać wspólnie miłosne przygody i bohaterskie czyny. Czyż samo ich współzawodnictwo nie było ostatecznie ich najlepszą racją bytu?

Z przyjemnością schodzili się, odłożywszy broń, na kilka godzin przy stole, przyglądając się sobie poprzez talerze i nagie ramiona kobiet, nie zapominając o zawartości sukien i talerzy (poza dyspeptycznym amerykańskim królem stali, dla którego wina i kobiety zdały się nie istnieć i który zachowując dietę, wysączał skrupulatnie swe jajko na miękko i popijał wodę mineralną).

Nie opisujemy kobiet: stanowiły one część uczty, a menu nic nas nie obchodzi. Były piękne lub brzydkie, lecz wszystkie niepospolite, nie wszystkie młode, lecz wszystkie godne pożądania; nie wszystkie sprzedajne: kilka z nich miało fach – teatr lub pióro, lecz wszystkie o określonym powołaniu. Mała nowicjuszka z Ankony była nowalią stołu. W tym towarzystwie obecność Anetki zdumiewała. I nawet sam Tymon zdawał się nieco zażenowany, żałując teraz, że ją zabrał ze sobą.

Ale ona rozstrzygnęła sprawę. Uprzejma i dumna, robiła honory domu. Rzekłbyś, że była u siebie. A Tymon nie miał nic przeciwko temu. Zajmując miejsce naprzeciw niego, siedziała między starym, zmarszczonym, bardzo zajętym swym zdrowiem panem, który opowiadał jej o swych wnukach, zakładach dobroczynnych, domach podrzutków: istny Wincenty à Paulo; z drugiej strony miała pięknego młodziana, który – do ucha swej sąsiadce – dobrego staruszka nazywał bez żenady starym krokodylem i opowiadał wesoło jakąś arabską czy indyjską przygodę z przebraniami: okazywał się świetnym znawcą sukien, szminek i pachnideł. Lecz sąsiedzi nie przeszkadzali Anetce czuwać nad resztą stołu; kierowała niepostrzeżenie i usługą, i tokiem rozmów. Już po kilku chwilach służba szukała rozkazów w jej spojrzeniu; a co więcej – współbiesiadnicy przyjęli ton, którego również zdawała się nie nadawać. Oczywiście – daleko było do poprawności akademickiej. Anetka była zbyt prawdziwą Galijką, by nie uznać słusznych praw swobodnego zebrania, a nawet, ponieważ w nim uczestniczyła, by sama z nich nie skorzystać. Opowiedziała spokojnie, bez podkreślania, głosem ciepłym i dźwięcznym jakąś złośliwą anegdotkę. I niejeden z mężczyzn, którzy jej słuchali, miał dość wyrobienia, by ocenić umiarkowanie słów w swobodzie opowiadania. Tymon był skrycie dumny z powodzenia swej źrebicy, którego nie przewidywał; widział ją w nowym świetle; oceniał, jako znawca, „szlachetną damę", która nie wykraczając ani o włos poza właściwą linię, walczyła zręcznie językiem i podniebieniem: gdyż nie próżnowała przy talerzu. Była zdatna do

[183] *T r e u g a D e i* (łac.) – pokój boży; aluzja do ustanowionych w wieku XI przez papieży okresów, tak właśnie zwanych, a obejmujących 230 dni w roku, w ciągu których panom feudalnym nie wolno było walczyć między sobą.

każdej walki i w każdej zachowywała równowagę. A co najciekawsze – sprawiała bez trudu, że i inni ją zachowywali.

Lecz mimo wszystko nie po tu przyszli! I w końcu Tymon, wstawszy od stołu, odciągnął na bok Anetkę. Wśród grzeczności, jakich nie okazywał jej nigdy, i kilku szorstkich komplementów, które jednak jej pochlebiły (któraż kobieta jest na nie nieczuła?), zaproponował jej, by darowała sobie dalszy ciąg hałaśliwego może wieczoru i poszła się położyć w przygotowanym dla niej pokoju. Zrozumiała, że pragnął, by zostawiła im swobodę, i trochę zanadto akcentował prawa, jakie daje jej wiek do spoczynku po dniu pełnym trudu. Lecz pod grubym brakiem galanterii kryła się życzliwość i nawet cień szacunku, do którego jej nie przyzwyczaił. Czytała w jego oczach, że chciał jej oszczędzić sytuacji, w których obecność jej byłaby nie na miejscu. Była mu za to wdzięczna. Tym bardziej że pierwszym zamiarem Tymona, gdy ją zabierał, było właśnie narazić ją na nie. Wprawdzie zostawała tam dziewczyna, nad którą obiecała sobie czuwać. Lecz (nie przesadzajmy w naiwności!) zdawała sobie sprawę, że była to rola śmieszna: nie przyjeżdżało się tu dla pilnowania panien! I w chwili gdy Tymon, składając broń, zdawał się mówić do niej: „Przepraszam! Twoje miejsce nie tutaj. Miałaś rację!" nie mogła mu odpowiedzieć: „Zostanę, aby ocalić cnotę..." Czyją? Tych owiec? Nie pozostałoby jej potem nic innego, jak wstąpić do Armii Zbawienia... Zaśmiała się i rzekła wesoło:

– Dziękuję, szefie, że mnie pan zwalnia z warty. Podaję panu hasło.

– Jak brzmi?

– Nie tracić głowy!

– Tak, to pasuje do ciebie. Ty nigdy nie tracisz głowy. Idź spać, moja cnoto!

Rozstali się serdecznie. Opuszczając salon rozejrzała się, aby uspokoić swe sumienie, za swą pupilką. Ujrzała ją w jednej z grup, roześmianą, palącą, trochę podnieconą (po dwóch łykach trunku już kręciło się jej w głowie). Nie zwróciła wcale uwagi na wyjście Anetki.

Anetka spotkała się na progu ze starym Amerykaninem, który tak samo jak ona nie był ciekawy dalszego ciągu, wieczoru i jak ona szedł cnotliwie na spoczynek. Skinął jej porozumiewawczo głową i mrugnął z uznaniem oczyma. Poszła do swego pokoju na pierwszym piętrze, na końcu spokojnego skrzydła domu, którego okna wychodziły na wielki park. Była zmęczona i z przyjemnością położyła się na świeżej pościeli, śmiejąc się jeszcze z ostatnich słów Tymona. Nie była niezadowolona z wieczoru. Nieźle się, jak na swój wiek, wycofała z gry, która nie była pozbawiona niebezpieczeństw... „Na swój wiek!..." To wiek jej pomógł wycofać się. Lecz jak ta gra skończy się dla innych? *A qui perd gagne!...*[184] „Ach! głupstwo myśleć o tym!" Wzięła na chybił trafił z oszklonej biblioteki przy łóżku ładnie oprawiony tom, by się rozerwać, czytała chwilę, uśmiechnęła się, zamyśliła i z książką w ręku zasnęła.

Przespała godzinę, może dwie, bez ruchu. Gdy się ocknęła (była jeszcze pełna noc, noc letnia, jasna, bezksiężycowa), miała wrażenie, że zbudziło ją dalekie wołanie i wyrzut sumienia. Wygodne łóżko, w które miękko zapadła, mówiło do niej: „Nie ruszaj się! Leż!" Ale nieokreślona obawa rosła. Oparła się na łokciu... Niepokój ten miał źródło nie tylko w jej wnętrzu. Noc mąciły niewyraźne głosy i światła. Natężyła słuch. Niebawem zrozumiała... „Dobrze już zaprószyli głowy!..." Wzruszyła ramionami i zagłębiła się w pościeli... A jednak bawili się hucznie!.. Słychać było ryki. I koncert naszczekujących psów... Wstała, otworzyła okno. Pokój znajdował się u zbiegu lewego skrzydła z głównym budynkiem, którego bliska masa zasłaniała z prawej strony widok na ogrody. Widziała tylko, na szczycie zasłony z drzew, odblaski ruchomych świateł. Słyszała hałas trąbki myśliwskiej i wzmagające się szczekanie... Ostre krzyki... Ubrała się szybko i wyszedłszy z pokoju zaczęła szukać w korytarzu okna, z którego by było coś widać. Obok głównych schodów znalazła drzwi wychodzące na balkon od frontu. Spojrzała i wydało się jej, że śni...

[184] *A qui perd gagne* (fran.) – gra, w której wygrywając według zwykłych reguł – przegrywa się.

Służba myśliwska z pochodniami w ręku. Psy trzymane na smyczach, ujadające wściekle, tańczące taniec świętego Wita. Na murawach nagie kobiety w ucieczce... Łowy Diany... Lecz tu polowano na Dianę... Z gaiku wyszło wśród śmiechów i fanfar czterech czerwono ubranych myśliwych; niby łanię, przywiązaną za ręce i nogi do żerdzi, nieśli oni na ramionach nagą, wiszącą w dół głową nimfę, która, mówiąc prawdę, nie krzyczała wcale w języku bogów: silna dziewa Jordaensa pieniła się wprost i dusiła z wściekłości. Grono rozbawionych widzów trzymało się za boki i odpowiadało równie nieuskrzydlonymi słowami...

Pierwszą myślą Anetki na widok tych nocnych łowów było:

„Idioci!... Ot, co wymyślili!... Ta hołota (nigdy to słowo tak słusznie nie było zastosowane) chce udawać Borgiów!... Tępe głowy podniecone scenami felietonowych powieści. Ich poezja to: poczciwiec Dumas i Octave Feuillet... Stare konie!... Ostatni romantycy z *Tour de Nesle*[185]..."

Ale pogarda jej przestała rozczulać się nad ich głupotą. Oto wprowadzono na brzeg murawy drugą ofiarę, która brała *Tour de Nesle* na serio!... Mała najada adriatycka, ledwie żywa ze strachu, zakrywała twarz dłońmi, ukazując swą delikatną, smukłą nagość. Anetka zdawała sobie sprawę, że okrutna zabawa pozostanie zabawą, że wyjąca sfora nie będzie spuszczona ze smyczy i że łowy Diany będą kosztowały nimfę tylko trochę strachu (wstyd i sromota nie wchodziły w rachubę: to było zapłacone...). Ale wszystko razem było już nad siły skurczonej z przerażenia, gotowej paść na kolana biedaczki, którą otaczały obskakujące psy i brutalny chór pijanych mężczyzn. Anetka zadrżała z gniewu, widząc, jak Tymon grzbietem swej szerokiej ręki trzepnął w tłuściutki zadek saskiej figurynki, trąbiąc jej w ucho:

– Zmykaj! Albo moje psy pożrą twoje pośladki!

Anetka nie namyślała się ani chwili. Zbiegała już pędem ze schodów, zapominając, że jest boso. Wpadła na podjazd, gdzie zgromadzili się zaproszeni, w tej samej chwili gdy mała, wystraszona, uciekała już szalonymi susami po murawie, wśród okrzyków zachwyconych widzów. Tymon zaś, trzymając za obrożę swego wielkiego psa, czekał chwili, aby go puścić. Anetka znała psa, wiedziała, że nie jest wcale niebezpieczny; był to wesoły łobuz, wywracający wszystko, co się dało, ale łagodny. Lecz uciekająca sarna nie wiedziała o tym. Anetka gwałtownie utorowała. sobie drogę wśród zdziwionych gości i wypadając wprost na Tymona, chwyciła go za klapy surduta:

– Tymonie, dość! Jesteś pijany!

Tymon potoczył straszliwymi oczyma i spuszczając psa, który rzucił się w pogoń, uderzył Anetkę pięścią w usta. Cofnęła się pod ciosem, lecz stawiając mu czoło, wśród nagłego milczenia, które zapadło dokoła, powiedziała dobitnie:

– Upiłeś się jak bydlę!

Usta jej krwawiły. Tymon podniósł znów straszną pięść. Lecz ujrzał usta Anetki. Pięść opadła. A z tyłu, przyskoczywszy doń w kilku susach, piękny chłopak z Intelligence chwycił przegub ręki Tymona niby w kleszcze. Tymon milczał, skamieniały... Na murawie mała nimfa wzywała pomocy. Wielki pies dogonił ją, oparłszy się dwiema łapami na ramionach powalił i tarzał po trawie; zadowolony, z wywieszonym językiem, skakał, szczekał... Anetka rzuciwszy Tymonowi ostatnie wyzwanie odwróciła się i pobiegła do przewróconego dziecka. Bez trudu uwolniła dziewczynę: pies nie sprzeciwiał się, tańczył dokoła, szczęśliwy, czekając, by go pochwalono. Ale niełatwo było uspokoić przestraszoną. Myślała, że już umiera. Anetka podniosła ją siłą, otarła rękoma i własną bielizną to młode ciało mokre od łez, nocnej rosy i śliny zwycięzcy. Przygarnąwszy ją ku sobie i otuliwszy, jak mogła, swoim płaszczem, powiodła, drżącą jeszcze, ku domowi. Podjazd opustoszał prawie. Tymon wydał rozkazy i zniknął. Pozostało tylko kilku służących z pochodniami, którzy spiesznie utorowali im przej-

[185] *Tour de Nesle (Wieża Nesle)* – dramat Dumasa–ojca i Gaillardeta, pełen sensacyjnych melodramatycznych scen.

ście, a w hallu kilku ciekawych przyglądających się z daleka osobliwemu powrotowi Junony, która krocząc z zakrwawionymi ustami i podniesioną głową, nie raczyła zwracać uwagi na ich obecność. Podtrzymywała kurczę ukryte pod jej skrzydłami. Stary, zawsze bardzo na miejscu służący, którego nic nie zdawało się zadziwiać, odwiózł je z szacunkiem windą do pokoju Anetki. Anetka, którą mała błagała, by jej nie opuszczała, ułożyła pupilkę w swoim łóżku. I wtedy dopiero, widząc czerwone kółko pozostałe na młodym czole po jej pocałunku, zauważyła, że ma zranione usta. Umyła je, zbadała: jeden z jej zdrowych zębów, kieł, był wybity. Rana wojenna. Miała szczęście, że reszta szczęki ocalała! Ale nieprzyjaciel uciekł. Spała na polu bitwy. Położyła się obok małej, która po długim płaczu zapadła w niespokojny sen. Anetka nie zmrużyła oka. Czuła rwący ból w twarzy, a przed oczyma przebiegały jej ogniste płatki. Miała czas dokładnie obmyślić plan na jutro.

To jutro już się zaczęło. Zbliżał się świt. Anetka wstała przed szóstą, ubrała się, zadzwoniła, wydała rozkazy, przygotowała się, potem zbudziła towarzyszkę, która opadła znów na poduszkę.

– Wstawaj! Będziesz spała w aucie!

Trzeba ją było ubierać niemal. Anetka prowadziła ją za rękę. Na dole, przed bramą, zastały potężne auto Tymona. Anetka mówiła, działała w sposób nie dopuszczający sprzeciwów. I czy zaimponowała swym tonem, czy może Tymon wydał z góry instrukcje, słuchano jej jakby swej pani. Mała zasnęła prawie natychmiast, ociężała po przejściach i libacji tej nocy; Anetka oparła jej głowę o poduszki i patrząc znużonymi oczyma, marząc, widziała jasną drogę przesuwającą się niby taśma filmowa wśród żywopłotów, pól, miast i dymów – i swoje walki z życiem. Odstawiła swą pupilkę, zbudzoną wreszcie, pod jej adres paryski, i wróciła do siebie na dobrze zasłużony spoczynek.

Ciężki sen był przerywany chwilami przytomności, w których wśród rwącego bólu wyłaniała się jasna świadomość jednej zdecydowanej myśli:

„Koniec, Tymonie!" – A jednak nie była wcale zdziwiona, gdy przed wieczorem, zdrzemnąwszy się w końcu spokojnie, ocknęła się z odrętwienia na głos dzwonka. Nie wahała się między nazwiskami możliwych gości. I kiedy wstała, by otworzyć, wydało się jej zupełnie naturalne, że we framudze drzwi zobaczyła potężną postać Tymona. Nie przywitali się. Gestem poprosiła go dalej i przeszła pierwsza. Ruszył za nią, obracając się bokiem, by przecisnąć się przez wąski korytarz. Jednym ruchem przykryła rozebrane łóżko. Lecz nie spojrzała do lustra. Owinęła się tylko ciaśniej szlafrokiem, wskazała Tymonowi niski taboret, siadła w fotelu przy oknie i bez słowa czekała. Nic w twarzy Tymona nie zdradzało jego zamiarów. Był chmurny i zasępiony. Wiedział, co ma powiedzieć. Nie chciał przepraszać. Lecz kiedy na jej twarzy patrzącej surowo ujrzał obrzmiałe usta, zapomniał o tym, co miał powiedzieć; widział tylko te usta i niezgrabnie, byle tylko zacząć mówić, spytał o jej zdrowie. Odrzekła chłodno: – Dziękuję – nie zadając sobie trudu dodania czegokolwiek. I gdy po kilku chwilach wzajemnej obserwacji widziała, że oczy jego wciąż utkwione są w ranę, rzekła wskazując na nią:

– Dobrze zrobione, co?... Czy pan zadowolony?

I pokazała wybity ząb.

Tymon zacisnął gniewnie pięści i mruknął:

– Łotr!

Anetka wciąż mierzyła go oczyma.

– Zwymyślaj mnie!

Odparła wzgardliwie:

– Nie potrzeba. Pan mnie wyręcza.

– Cóż mogę zrobić?... Zapłacić za ząb? To nie dosyć.... Gdyby który z mych psich zębów mógł go zastąpić!...

– Nie – rzekła Anetka – nie mówmy o psach.

Tymon zmieszał się:

– Czegóż chcesz? Odszkodowania?

– Na początek mógłby pan poprosić o przebaczenie.

Prosić o przebaczenie nie było zwyczajem Tymona. Człowiek miażdży innych lub inni miażdżą jego. Prosić o przebaczenie czy przebaczać – nie ma sensu: szkoda na to czasu. Uważałby za rzecz naturalniejszą, gdyby Anetka jemu wybiła ząb. Ona widząc jego wahanie rzekła:

– Ale niech się pan nie trudzi, jeśli sam pan nie wpadł na .tę myśl! Nie zależy mi na tym! I wolę uprzedzić pana, że nie zmieniłoby to mojego postanowienia.

– Jakiego?

– Nie mieć z panem nic do czynienia.

Tymon ściągnął swe groźne brwi; po jego czole i zaciskających się pięściach można było poznać, że toczy się w nim jakaś wewnętrzna walka. Potem powiedział:

– Nie mogę cię do tego zmusić... Ach, nie przeczę, że gdybym mógł... (I ręce jego znowu zaczęły się zaciskać. Anetka wyobraziła go sobie jako Assurbanipala[186] i siebie z grzbietem pod jego stopą...) Ale gdybym jednakże zażądał tego od ciebie?...

Miał już prawie zapytać: „Ile chcesz?". Ale instynkt uprzedził go, że mówienie o pieniądzach w tej chwili byłoby najpewniejszym sposobem zerwania. Rzekł, sam dziwiąc się swoim słowom:

– Gdybym cię poprosił!... Gdybym...

Od jakiejś chwili przyglądał się nagiej stopie Anetki, wysuniętej do połowy z pantofla, którym poruszała założywszy nogę na nogę, roztargniona, wyniosła.

I bez zastanowienia, schyliwszy się, chwycił ją i przycisnął do niej swe grube wargi.

Anetka nie namyślała się również. Nie kryła swej odrazy. Z gniewem cofnęła gwałtownie spod pyska stopę, której choćby dla oddania hołdu, śmiał dotknąć, a wyrywając rozcięła mu mocno usta. Była wściekła. On także. Huknął:

– Więc brzydzisz się mną?

Szepnęła:

– Tak!

Z jakąż rozkoszą zbiłby ją!... Ale pohamował się i pochylił wielki, pokonany łeb.

– Przepraszam!

Anetka ujrzała z kolei siebie w roli Assurbanipala. Ona teraz deptała piętą swą ogoloną czaszkę króla–Murzyna. Była to tylko chwilowa wizja...Miała wrażenie, jakby to uczyniła naprawdę. Podniesione palce nóg drżały z satysfakcji. Po czym, uspokojona, rzekła:

– Uczczenie stopy... Koniec polowania... No, Tymonie, skończmy z tą historią!

Tymon podnosząc głowę (ta przeklęta kobieta zbijała go z tropu) ujrzał usta Anetki, ranę, która rozjaśniła się twardym uśmiechem... Jednakże zerwany most został naprawiony. Wstąpił nań.

– Skończmy z tym! Biorę cię za słowo.

– Nie dałam go. Nie postawiłam warunków.

– Nie odejdziesz – rzekł pewniejszy już.

– Nic nie powiedziałam.

– Wspomniałaś o warunkach. Przyjmuję je. Więc nie odejdziesz.

– Zostanę – rzekła Anetka wzruszając ramionami – dopóki bieżące sprawy nie będą załatwione.

---

[186] A s s u r b a n i p a l – król Asyrii (669–629 p. n. e.), dokonał szeregu podbojów.

– Dobrze! – odparł Tymon. – To nie będzie jutro.

Anetka żałowała nieostrożnego słowa. Tymon zauważył to i przybrał ton ugodowy:

– Nie chcę cię zatrzymywać wbrew twej woli! Jeśli nie możesz mnie znosić po wczorajszej scenie, rozumiem: opuść mnie! Potrzebuję ciebie, jesteś dla mnie daleko więcej niż sekretarką. Jesteś mi wędzidłem. Ale to nie żarty być wędzidłem dla zwierzęcia mego pokroju. Przyznaję. Masz wszelkie prawo powiedzieć: „Dość!" Jesteś wolna. Nie jestem godny ciebie.

Była wzruszona. Rzekła:

– Zostanę. Ale, Tymonie, to tym gorzej dla ciebie! I tym gorzej dla nas obojga... Trudno więc: albo. pęknie wędzidło, albo wylecą zęby.

– Następnym razem postaraj się, aby to były moje!

*

Pozornie sytuacja Anetki w redakcji nie uległa żadnej zmianie. Zajęła znów swe miejsce przy stole obok biurka Tymona. Ale po niedługim czasie spostrzeżono zmianę tonu i względy szefa. Rozumie się, że zranione usta wywołały plotki i że o nocy w zamku krążyły fantastyczne legendy. Nie były zbyt zgodne z sobą; lecz faktem bezspornie ustalonym było, że ta kobieta miała ostatnie słowo... Chytra sztuka... I jak umiała maskować swą grę... Zachowała swe stanowisko, okazywała tę samą pełną uwagi gorliwość w wykonywaniu rozkazów szefa, nie wypowiadała nigdy swego zdania publicznie, zanim jej o nie nie zapytał, i wobec trzecich osób tytułowała go dalej „panem". Ale wiadomo było, że przy drzwiach zamkniętych mówiła mu „ty" i że prowadziła z nim rozmowy, w których Tymon nauczył się – najtrudniejsza rzecz dla despoty jego rodzaju – słuchać nie przerywając. Mszczono się za tę tajemną władzę (z której jednak powinni byli się cieszyć, gdyż wywierała uspokajający wpływ na Tymona) okrutnymi dowcipami. Nie znając ich treści znała Anetka dostatecznie złośliwość ludzką, aby się ich domyślać, i doszła do stanu cichej pogardy, która czyniła ją na to obojętną. Cnotę tę cenił w niej Tymon niemało: gdyż jego pogarda była druzgocąca. Tajemnica leżała w tym, że nie starając się na swoją rzecz wykorzystać sytuacji wzięła do serca sprawy Tymoma.

Sprawy czy sprawę? (W wieku klasycznym powiedziano by pompatycznie: „Sława".) Tak, chciała, by ta siła, wznosząca się na nicości, zbudowała sobie przynajmniej piramidę na piaskach. Chciała użyć tu wpływu, którym cieszyła się na razie (na jak długo?). I w tajemnicy ułożyła sobie plan drogi, na którą starała się go skierować. Żyjąc w samym centrum wszystkich tych intryg wielkich baronów–rabusiów przemysłu i interesu, nabrała pobieżnego wykształcenia politycznego; i instynkt, bezwiedny jeszcze popychał ją ku organizacjom, które starały się wzmocnić obronę i odwet wyzyskiwanych. ZSRR – tak oczerniany i zniekształcony w różnych naiwnych opowieściach ciemnych turystów, przebiegających go i opisujących w przeciągu dwu tygodni, jak też przez jadowite wymysły zawodowych kłamców z wrogiej prasy – pozostawał dla Anetki zagadką, lecz zagadką pociągającą. Czuła, że tam tylko istniała konieczna przeciwwaga dla miażdżącej masy Reakcji, pod którą uginał się grzbiet całego Zachodu; i nie mając jeszcze rozważonego dobrze zamiaru, starała się przeciągnąć na tę szalę wagi decydujący ciężar Tymona. Czy spostrzegał to? Prawdopodobnie. Może czytał lepiej niż ona sama w ślepych poszukiwaniach jej myśli, i wiedział, dokąd ta myśl musi Anetkę zawieść. Lecz ponieważ niespieszne mu było popychać ją w tym kierunku, udawał, że nie rozumie. Mówił szydząc z niej:

– Jesteś jak kornak siedzący na karku słonia. Chcesz go tresować. Lecz po co tresować? Czy wiesz to przynajmniej? By defilować po ulicach i być oklaskiwanym przez tłum idiotów? Dziękuję, mam tego dość. By stać się przedmurzem ojczyzny? Jakiej ojczyzny? Taki człowiek jak ja nie ma żadnej. By budować, co? Łuk triumfalny i przejść pod nim jak ten kurdupel Napoleon? Wszystko, co się buduje – to groby. Nie potrzeba mi grobów, by się w nich

zamykać. Potrzeba mi przestrzeni, by się w niej poruszać, dopóki żyję. Idę lasem to w lewo, to w prawo i niszczę, co mi przeszkadza. Schyl kark. Pilnuj głowy.

– Nawet jeśli jesteś stworzony po to tylko, by niszczyć, umiej niszczyć, Tymonie. Nie tak na chybił trafił. Przebijaj na wylot. Idź aż do końca. Ty drepcesz w miejscu. Zdecyduj się. Krocz na czele.

– Gdzie jest czoło?

– Ty wiesz to lepiej niż ja. Nie udawaj, że nie rozumiesz. Widzisz doskonale, że zaczął się wielki pojedynek. Za kim jesteś?

– Za sobą.

– To mało. A przynajmniej bądź sobą, ale sobą całym, Tymonie. Niech to będzie „tak" lub „nie" – ale nic pośredniego.

– Gra jest grą. W grze kolory się zmieniają.

– Ja gram na swój. Grałabym tak, gdybym siedziała jak ty u stołu gry.

– Tak, widzę ciebie z zapartym oddechem, przy zielonym stoliku w Monaco. Grałabyś do ostatniej koszuli.

– Nie grywam nigdy. Bo znam siebie. Nie ryzykowałabym koszuli, ale całe życie.

– Już je ryzykujesz, dziecko. Nie wiesz o tym. Przy mnie narażasz swoje życie lub będziesz narażała. Mają cię na oku.

– Nieraz już narażałam je. Jestem zawsze pewna wygranej...

– Jak wszyscy gracze.

– Czyż nie jesteś graczem? Powiedziałeś to przed chwilą.

– Grasz tylko o własną skórę. Możesz grać o nią. Należy do ciebie.

– A ty do kogo należysz?

– Ja nie gram sam jeden. W każdej rozgrywce należy liczyć się nie tylko z przeciwnikiem (w tym cała rozkosz), lecz z partnerami. Grupa krępuje.

– I ty to nazywasz swobodą ruchów w lesie?

– To właśnie nazywam lasem.

– Zwal go.

– Mówisz jak kobieta. Mogę w nim wyciąć sobie tylko polankę. Ale las zajmuje cały świat. Więzi nas. Zresztą... co mnie to obchodzi?

– Ale mnie obchodzi. Gdyby mnie więził, podpaliłabym go.

– I spłonęłabyś z nim razem.

– Byleby spłonął...

– I niech żyje Rewolucja. Czy chcesz dostać bilet do Moskwy?... Czerwony las płonie... I nie mówię, że oni nie mają słuszności. Po pożarze ziemia lepiej rodzi... Lecz ja nie będę już żył na tamtej ziemi. Żyję na tej. I zostaję tu.

Niełatwo było wywieść go z socjalnych gąszczów starego świata. Miał dość roboty, by wyciąć sobie w nich swój dział. A dział jego był potężny. Lecz dostawał go, ustępując innym wielkim korsarzom (ręka rękę...) ich działy. Związani byli przez sam pojedynek. Ostrze na ostrze. Anetka dowiedziała się, że można być panem świata i być mniej wolnym niż ktoś, kto nic nie posiada. Pod warunkiem, by nic nie posiadający miał duszę lub – co wychodzi na jedno – sądził, że ją ma. Ale tacy są rzadcy. Większość nie posiada jej lub (co wychodzi na jedno) nie wie nic o niej. Anetka była pod władzą duszy (jakby się powiedziało: pod władzą męża). Nie aby łączyła z nią sprawę pozagrobowego życia, rękojmię nieśmiertelności. Gdy się jest naprawdę duszą, nie ma się mentalności właśdciela–sknery, który trzyma ją kurczowo i drży wciąż, by mu jej nie skradziono. „Nie posiadam duszy. To moja dusza mnie posiada."

Tymon mógłby jej odpowiedzieć: „Więc ty także nie jesteś wolna.” To prawda. Któż jest wolny? Jesteśmy wszyscy figurami na szachownicy. A kto nami gra?

Lecz nie wszystkie figury są jednakiej wartości. Na szachownicy Anetka była damą, Tymon – wieżą. Miała wpływ na rozgrywkę. Nie było drobnostką to, że w zetknięciu z nią Minotaur uczłowieczał się, że od czasu do czasu okazywał się zdolny do szlachetnych odruchów. Niewątpliwie, nigdy nie był z nich do cna obrany, pozwalał sobie na nie jak na zbytek, od czasu do czasu; lecz, niby chorobę, leczył je, jakby dawkami chininy – dawkami cynizmu; był w nim dwojaki materiał: na łotra i na bohatera; i nie wiadomo było, który z nich był podszewką, gdyż w jednej chwili mógł odwrócić swój płaszcz na drugą stronę; na ogół aż do okresu regencji Anetki najchętniej wystawiał na pokaz łotrostwo. Anetka umiała go skłonić, by używał drugiej strony płaszcza. Bez wielkiego wysiłku; uzyskała u niego hojną pomoc dla licznych instytucji służących społeczeństwu, nie tyle dobroczynnych (nie ufał im), co zawodowych i wychowawczych, które rozwijały aktywność grup i jednostek. Co do pomocy indywidualnej, pozostawiał wolną rękę Anetce, która jednak prowadziła dla niego szczegółowy wykaz zasiłków; ale Tymon ledwo rzucał nań okiem, ona zaś wiedziała, że nie należy go nudzić. Skorzystała z nich jako jedna z pierwszych mała łania adriatycka, którą odesłano i urządzono w jej rodzinnym mieście na południu Francji; wyszła tam za mąż i karmiła teraz małego jelonka, który zasypiał u jej piersi – i który może wzdrygał się słysząc szczekanie psa w głębi lasu...

Lecz największą usługą, jaką Anetka oddawała Tymonowi, było ujęcie w karby jego działalności, niepozostawienie w niej niczego kaprysowi, kierowanie jej do celu, a kiedy został osiągnięty, kierowanie jej dalej, by nie pozwolić innym zbierać jej plonów i uchronić go przed traceniem czasu na przemijające fantazje. I oczywiście, popychała go w swoim własnym kierunku, który z instynktownego stawał się z każdym miesiącem bardziej świadomy: w kierunku społecznej, międzynarodowej przemiany, organizowanej dokoła tego zawiązka cyklonu: ZSRR. Po kilku miesiącach rezultat był tak widoczny, że partnerzy zaniepokoili się tym i nie potrzebowali długiego czasu, by dojść do źródła. Ludzie zainteresowani w kontrolowaniu tajnych planów Tymona i w podtrzymywaniu bezładu w jego działalności robili Anetce dziwne awanse, gdyż, nie łudząc się, wiedzieli, z jaką rozkoszą sprzymierzeniec ich i wspólnik skręciłby im karki, gdyby mógł, a także bali się jego inteligencji. Byłoby dla nich z korzyścią, gdyby połowę swojej energii roztrwonił po drodze. Anetka miała z mglistych słów zrozumieć, że umieliby okazać jej wdzięczność, gdyby nad tym czuwała. Ale lodowata ironia, z jaką odpowiedziała, odebrała im wszelką chęć do dalszych prób. Tymon uśmiał się dowiedziawszy się o tym; mściwy błysk zapalił się w oku słonia. Anetka wyzyskała jego zawziętość, by razem z nim zdwojonymi siłami zabrać się do roboty, i w tym rozmachu Tymon zmiótł sprzed nosa swym rywalom wspaniały interes, którego zdawali się być pewni.

– Stajesz się niebezpieczna – rzekł Tymon do Anetki. – Porwą cię, by zemścić się na twej cnocie. Muszę się z tobą, ożenić, aby strzec ciebie.

– To byłby najlepszy sposób zgubienia mnie – odparła. – Nie myśl o tym, Tymonie.

– O, nie zależy mi na tym – drwił z niej. – Lecz możesz być pewna, że nie cofną się przed żadnym środkiem, by cię usunąć. Gdybyśmy byli w Chicago (w niespełna dziesięć lat będziemy tam), już by to się stało.

Nie mówiła mu, że jeśli się to nie stało, brakowało do tego niewiele. Przysłano jej niedawno pudełko daktyli z San Francisco. Nadawca nieznany. Były tak piękne, że chciała je zjeść na śniadanie. Ale coś ją tknęło... Zaniosła owoce do pracowni analitycznej pewnego bakteriologa, Polki, która pisywała artykuły do dziennika Tymona. Analiza wykryła wstrzykniętą daturynę[187]. Anetka wyrzuciła pudełko nie mówiąc nic Tymonowi. Przysłano jej także puszkę

[187] D a t u r y n a – niebezpieczna trucizna.

kawioru z Turcji, którego nie chciało się jej sprawdzać. Potem przesyłki ustały. Zwietrzono trop. Anetka wypatrywała, z której strony może zjawić się znów niebezpieczeństwo. Tymon czuwał także, nie mówiąc jej o tym. Żadne z nich nie uważało za potrzebne niepokoić drugiego. Lecz czujność ich była obudzona, a wzajemne niebezpieczeństwo i w sekrecie przed drugim nałożony na siebie obowiązek chronienia towarzysza zbliżały ich.

Wyruszyli raz autem na wycieczkę. Wieczorem, gdy wychodzili z gospody w Wogezach, gdzie zjedli kolację, szofer Tymona, człowiek zaufany, który służył u niego od lat, dostał nagłych i gwałtownych boleści. Zbyteczne dochodzić przyczyn; nie pozostawało nic innego, jak zostawić go pod opieką lekarza. A ponieważ Tymon musiał za wszelką cenę wrócić do Paryża, znalazł się z miejsca inny szofer, by chorego zastąpić. Lecz Tymon, nieufny, przyjrzawszy mu się, odprawił go z niczym; po czym zabrawszy się do szczegółowego zbadania maszyny stwierdził, że jedna z głównych śrub wypadła. Za cenę, która odbierała wszelką ochotę odmowy, postarał się o jedyne auto miejscowe i odjechał inną trasą, niż przypuszczano. W drodze opowiedzieli sobie doświadczenia ostatnich miesięcy. Od tego czasu Tymon powierzał samej Anetce czuwanie nad bezpieczeństwem swych tajemnych wycieczek. Nauczył ją prowadzić auto, a nawet trochę awionetkę, by w razie potrzeby mogła go zastąpić.

Groźby zbierające się nad nimi rozpaliły znów jego plebejską wściekłość. W odpowiedzi atakował sam. Kontrminował swych przeciwników. Z dziką radością zwietrzył intrygi polityczne i finansowe Królewskiego Olejarza, jak nazywał (było to najsłodsze miano, gdyż używał i innych apostrof) sir Henry de Batavia[188]. W ten sposób wciągał się z dnia na dzień coraz bardziej w walkę z całym klanem antyradzieckiej koalicji. Nie dlatego, by sprzyjał komunizmowi, ale dlatego, że nienawidził jego przeciwników i gardził nimi. Nie miał już teraz wyboru. Wywiązywała się walka na śmierć i życie. Czuł się otoczony ich szpiegami, ich tajną policją i miał przeciwko nim swoich szpiegów – nieraz byli to ci sami. Politycy i aferzyści tak związali się w ostatnich piętnastu latach z policją państwową i prywatną, że wszystkie te indywidua stworzyły jedną całość. Nie wiadomo już było w tej mieszaninie, kto kogo złapał. Wzajemny szantaż neutralizuje ich najczęściej; i to całe szczęście. Czyż nie widzimy u nas przedsiębiorczych prefektów policji, którzy mogą przetrwać każdą zawieruchę dzięki tajnym aktom, szachując nimi polityków wszystkich partii, i szubienicznikow, którzy z kolei trzymają szantażystę na pętli stryczka... I tak powstają między nieprzyjaciółmi najdziwniejsze pakty tajne.

Lecz teraz pakty przestały istnieć dla Tymona. Podarł te „świstki papieru". Stanął nawet poza prawem dżungli. Trust brytyjski, który popierał Tymona, przestał utrzymywać jego dziennik – podźwignął go obóz rywala, trust amerykański, do którego Tymon przeszedł natychmiast; i zaczął podkopywać wczorajszych sprzymierzeńców. Gra było mordercza. Nowi jego sprzymierzeńcy posługiwali się nim, tylko mając na widoku własne cele. Groziło zmiażdżenie między jednymi a drugimi. Bruk paryski nie był już dlań pewny. Postawił na nogi nowe przedsiębiorstwo, ogromny kartel przemysłowy, który miał być zwrócony przeciw hegemonii interesów anglosaskich i który wymagał jego wyjazdu za granicę.

Były to miesiące intensywnej pracy, w której Anetka brała żywy udział. Nie miała czasu troszczyć się o perfidne ataki w prasie, którymi skrycie zaczęto w nią godzić. Tymon, niespokojny o Anetkę bardziej niż ona sama, grzmiał; a umiał tych rzezimieszków utrzymać w ryzach. Ale Anetka nie miała powodu, by wyżej cenić agentów Tymona niż agentów wroga...

[188] Sir Henry de Batavia – mowa o sir Henri W. A. Deteringu, prezesie Royal Dutch–Shell Company anglo–holenderskiej spółki naftowej.

„Capuletti! Montecchi[189]!...” Jednakowi bandyci. „Zrób mi przyjemność, Tymonie, i uwolnij mnie od opieki twych *bravi*[190].”

– Wolisz, by cię zniesławiono?

– Niech sobie gadają.

Wzruszyła ramionami. Cóż ją obchodziła opinia?... Tak była czuła na jednym punkcie. Miała swą piętę achillesową. Niepokoiło ją, co o niej myśli syn. I w ten sposób pogardzana przez nią opinia stawała się niebezpieczna. Gdyż wyziewy jej mogły dojść Marka. Musiała bardzo uważać, by nie dać powodu do podejrzenia, że ciągnie ze swej pracy u Tymona dwuznaczne zyski. A ponieważ nie umiałaby oszukiwać Marka, odrzucała, choć Marek nie mógł się nawet o niczym dowiedzieć (przestał przychodzić do niej), wszystkie podarki, które ofiarowywał jej Tymon i których przyjęcie, gdyby nie chodziło o jej osobę, uważałaby za słuszne i naturalne... I czemuż miałaby odmawiać? Czyż jej praca i wszystkie niebezpieczeństwa nie opłacały ich hojnie? Trzeba przyznać – żal jej było głównie kilku toalet, których nie przyjęła. Komuż odmowa jej mogła zrobić przyjemność? Gdyby szło o nią samą, nie robiłaby sobie nic z ludzkiej gadaniny. Lecz kiedy raz, jedyny raz przyjęła prostą, ładną, dobrze skrojoną suknię, która się jej podobała, spotkała nieszczęsnym trafem Marka. Jakimż spojrzeniem zmierzył ją od stóp do głów! Zarumieniła się po uszy. Wróciła spiesznie do domu, zrzuciła fatalną suknię i schowała ją do szafy, by już jej więcej nie włożyć. (Otwierała czasem szafę, by z czułością i gniewem popatrzeć na nią...) Ale stało się. Zazdrosny syn nie zapominał. Formalnie zabroniła Tymonowi ponawiać podarki. Zachowała swój skromny tryb życia i ciasne mieszkanie. Wyobrażała sobie przeszukujące wszystko inkwizytorskie oczy Marka, gdyby zjawił się u niej. Tymon, przed którym nie kryła powodów swej „abstynencji”, nie przypadającej jej do smaku (lubiłaby trochę wygody: pięćdziesięcioletnie plecy oceniają ją lepiej niż młode), szydził i wołał:

– Ależ do kroćset! Łatwiej by ci przyszło przyprawić rogi mężowi.

Odpowiadała tym samym tonem:

– Z pewnością. To się rozumie. Mąż bierze, co mu się daje. To, co Bóg daje, może odebrać. Lecz czego sam Bóg nie może, to rozłączyć się ze swym synem. Syn jego wyszedł z jego domu: i dom jego należy do jego syna. Winien mu z niego zdać sprawę. Ja winnam ją zdać z mojego domu. Mąż jest tylko lokatorem. Właścicielem domu jest mój syn.

– A tak go zaniedbuje... Ja jestem intendentem, podnoszę jego wartość.

Anetka zmierzyła Tymona wzrokiem:

– Nie jestem domem dochodowym... Nie troszcz się o mój dom. Mam klucz do niego i pilnuję go dobrze. Dziękuję ci, drogi Tymonie, lecz zajmijmy się twoim. Płacisz mi, by nim zarządzać. Nie traćmy czasu na głupstwa.

Po dniach, czasem po nocach zaciekłej pracy, gdy zmuszał ją do wzięcia krótkiego urlopu, Tymon mówił jej:

– W końcu nauczysz mnie szanować ludzkość.

Anetka odpowiadała:

– Ludzkość nie potrzebuje szacunku. Ludzkości potrzeba powietrza i chleba. Staraj się nie tratować jej zbytnio. Jesteście tak ciężcy, tak ciężcy, Tymonie. Trudno oddychać. Po co wam tyle ziemi? Wystarczy dół na cmentarzu.

*

[189] C a p u l e t t i! M o n t e c c h i! – jest to aluzja do skłóconych ze sobą rodów bohaterów dramatu *Romeo i Julia*, Szekspira.

[190] *B r a v i* (wł.) – najemni zbójcy.

Tymon postanowił założyć swą kwaterę główną w Brukseli, skąd miał robić częste wypady do Niemiec, do Londynu i dokąd inąd. Anetka zgodziła się, nie bez wahania, jechać z nim. Wyzbył się wszelkiej dumy, prosząc ją, by mu towarzyszyła. Widywała go już w złych godzinach (może to były dobre), w ponurej żądzy, by rozbić wszystko, zwalić na siebie gmach i pogrzebać wraz z sobą tych ludzi! Znużenie, wstręt, pewne nieszczęścia osobiste, o których nie mówił – piękna aktorka paryska w pełni swego rozkwitu, w której zakochał się, której zapragnął, którą kupił i wywiózł na wycieczkę morską na swym jachcie, pewnego dnia, gdy jarzmo pana stało się zbyt ciężkie, utopiła się, by mu ujść... Nieubłagany człowiek doznał głębokiego wstrząsu. On, który bez cienia wyrzutów sumienia przetrwał tyle ruin dokonanych przez siebie, nosił teraz niewytłumaczony ból w sercu. Może dlatego, że cios spadł nań w chwili słabości. Może dlatego, że był do głębi przejęty tą namiętnością, którą uważał za niekrępującą przygodę i której cenę – jedyną – poznał dopiero wtedy, gdy ją zniszczył. Zwierzył się z tego jednej tylko Anetce, po czym nastąpiło kilka spowiedzi, które ukazały słuchaczce najżałośniejszą, najlepszą, ludzką cząstkę ukrytą w cyklopie. Wysłuchując go zaciągnęła wobec niego zobowiązania. I nabyła praw. Zwracając się do niej, tym samym przyznawał je Anetce. Rozum nakazywał nie nadużywać ich. Nie czyniła tego, lecz korzystała ze swego wpływu, by zwracać ostrożnie działalność Tymona w kierunku społecznym, który uważała za właściwy. Choć nacisk dłoni jej był bardzo lekki, nie uszedł uwagi Tymona; lecz nie opierał się: nie było to zgoła przeciwne najgłębszym jego instynktom; wystarczyłoby mu tylko uwierzyć w to, by chcieć tego; nie gniewał się, że Anetka wierzyła: odświeżało go to, w jałowym żarze jego woli miotającej się bez celu; by zrobić jej przyjemność, udawał, że sam wierzy.

I stopniowo przejął się swą grą. Stał się w twierdzy kapitalizmu armią, która przechodzi na stronę nieprzyjaciela – barbarzyńcą wcielonym do legionów rzymskich gotowym otworzyć bramę najeźdźcom. Nie starając się kryć tego mieszał szyki imperialistycznej koalicji, która teraz po upadku interwencji starała się zdusić ZSRR blokadą ekonomiczną. Zmusił ich do przerwania tej blokady zawierając traktaty handlowe z Rosją, co nie działo się zresztą dla jej pięknych oczu: zapewnił w tym sobie obfitą korzyść. A rywale, oburzeni, nie chcąc jemu jednemu pozostawiać tego przywileju, musieli też nawiązać stosunki ze światem proletariackim, który chcieliby zdusić. Ich odstępstwo stworzyło wyłom w koalicji. Przeciw Tymonowi wzbierała nienawiść. Chciano mu przetrącić grzbiet. Wiedział o tym. Anetka nie mogła opuścić go w chwili, gdy miał rzucić się w ogień, zorganizować swą machinę wojenną, swój kartel stalowy stworzony dla złamania wszechpotężnej machiny anglosaskiej. Była jedyną bliską osobą, której mógł się zwierzać.

Trudno jej było zdecydować się. Nie chciała już oddalać się od syna. Chociaż pozornie trwała między nimi rozłąka moralna, mieli czas zastanowić się i nawet rzec sobie *mea culpa*. Anetka gotowa była oszczędzić Markowi pierwszego kroku. Lecz od historii z suknią podejrzliwy głuptas boczył się w swoim kącie. Czyż mieli rozstać się w tym niedorzecznym nieporozumieniu? Czas mijał. Życie mijało. A później człowiek odchodzi na zawsze... Napisała doń pewnego dnia:

„Drogi synu. Wyjeżdżam z Paryża na kilka miesięcy. Nie będę daleko tym razem. Nie dalej, niż jesteśmy od roku. Lecz nie mogę odjechać ani zostać nie ucałowawszy cię. Przyjdź, chciałabym zobaczyć twój pyszczek. Jeżeli sądzisz, że masz mi coś do wybaczenia (jestem zdania, że się mylisz, ale nie chodzi mi o to, by mieć słuszność), czy nie możesz mi tego wybaczyć? Czy wybaczysz, czy nie, przyjdź mnie ucałować!"

Nie otrzymał jeszcze tego listu, gdy zetknął ich przypadek. Przechodząc koło kościoła Św. Eustachego, spostrzegł Marek, że dają tam *Béatitudes*[191] Cezara Francka. Gorąco tęsknił do muzyki. Było to pragnienie wyschłej duszy. Przy wejściu do tańszych miejsc w absydzie,

[191] *B é a t i t u d e s* – Błogosławieństwa; jest to oratorium w ośmiu częściach z prologiem, komponowane przez Cezara Francka w latach 1869–1879.

ludzie dusili się w tłoku. Marek wśliznął się i korzystając z zamieszania przemknął nie zapłaciwszy; słyszał, że wołają za nim, wcisnął się głębiej w tłum; inni, podobnie jak on, forsowali wejście, zapomniano o nim. Jak setki ludzi dokoła, utonął od razu w morzu muzyki subtelnej, czystej, dziecięcej i mądrej jak oczy starca. Bezsłoneczna, jasność kończącego się dnia falowała w powietrzu podobna do stóp Chrystusa kroczącego po wodach. Nie znał dobrze tej muzyki; była ona już obca młodzieży dzisiejszej; lecz serce Marka było dość szczere, a jego zmysł artystyczny dość pewny, aby mógł odczuć tym żywiej piękno duszy odmiennej od jego duszy i dotkliwy brak w sobie nadziei, a nawet cierpień, które podtrzymywały tę epokę minioną, ukoronowaną, jak jej Bóg, wieńcem cierniowym. I myślał nie bez zazdrości: „Szczęśliwa boleść, która nosi w sobie obietnicę radości...!" Chór śpiewał:

„Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni."

I nagle, nie mogąc się już opanować, zaczął płakać. Zwrócił twarz do filaru, o który stał oparty, i zakrył oczy dłonią. Jeśli ktokolwiek widział go, na pewno nie pomyślał nawet, by się uśmiechnąć; lecz dumny chłopiec uczuł gniew; pociągając nosem skrzywił się i otarł palcami wstydliwe łzy. W tej samej chwili, prostując się, rozjaśnionymi płaczem oczami ujrzał po drugiej stronie filaru, o kilka kroków, tę samą rosę, te same łzy spływające po bolesnej twarzy jego matki... Stała tam. Nie widziała go wcale. Ukrył się i spoza kolumny śledził ją, przenikał; chwytał każde rodzące się w niej wzruszenie...

Muzyka ta zbudziła w duszy i w sercu Anetki zgoła inne echa niż w Marku. Zmartwychwstała ona sama, jej dawne życie. Każde dzieło trwałe uczynione jest z tego, co stanowi istotną treść swego czasu; artysta nie tworzył go sam; wypisane w nim jest to, co cierpieli, kochali, śnili jego towarzysze, cała drużyna. I Anetka wcieliła swą krew w tę muzykę. Odnajdywała się w niej jak w portrecie, który porównywa się ze swą starą twarzą, napiętnowaną przez minione od tamtej chwili lata. Słyszała w tej muzyce krzyki boleści człowieka, który stracił nadzieję sprawiedliwości, i głos Sędziego, który pociesza. Pamiętała, że słyszała ją niegdyś w niemieckim Strassburgu na dziesięć lat przed wojną. I Niemcy ówcześni w wybujałej dumie swego triumfu nie rozumieli znaczenia tego poematu o uciśnionej sprawiedliwości. Anetka, zgubiona wśród tłumu wielkich jasnowłosych postaci upojonych radością i zwycięstwem, myślała:

„My, przez was zwyciężeni, rozumiemy, rozumiemy te święte słowa; i przeto my, przez was zwyciężeni, jesteśmy waszymi zwycięzcami, obraliśmy lepszą cząstkę..."

A teraz sytuacja odwróciła się. Lud, który cierpiał niesprawiedliwość – lud Anetki – stał się tym, który zadaje cierpienia. I śpiew rozpaczy i pociechy w *Béatitudes* nie był już stworzony dla niego. Chrystus klęski przeszedł na drugi brzeg. Niestety! Ludzie posiadają zmysł sprawiedliwości o tyle, o ile godzi się ona z ich interesami. Anetka wzrosła wśród pokolenia, które żywiło się szlachetnym: *„Gloria victis!"* I widziała z rozdartym sercem, że naród jej, zwycięski, przyjął w głębi swego twardego egoizmu hasło galijskiego Brennusa[192], nie formułując go. A niewidzialne koło Przeznaczenia obraca się i obraca, jakby miało przywrócić dni smutku... Anetka była przeszyta siedmioma mieczami: wspomnieniem i zdradą, wstydem i wyrzutami, okrutną ironią i przerażeniem, pokutą, której nieuchronność widziała, i rezygnacją, i wyrzeczeniem się życia. A syn jej, skryty za filarem, chwytał w lot każdą z jej myśli i pił je, wchłaniał, przeżywał – był tego pewny – zupełnie to samo co ona; w tej samej chwili czuł tę samą gorycz i wiedział, czemu spływa łza – gdyż w jego oku błyszczała nie spływając ta sama łza. I nagle porwała go ku niej ciepła fala serca. Przebił się przez tłum i z tyłu ujął

[192] Hasło galijskiego Brennusa – według legendy gdy Brennus, wódz Gallów, zdobył Rzym, zgodził się odejść za okupem 1000 funtów złota; kiedy je ważono, a Rzymianie skarżyli się, że wagi sąfałszywe, Brennus dorzucił na szale swój miecz, z okrzykiem: *Vae victis* – biada zwyciężonym.

rękę matki. Drgnęła; odwróciwszy głowę ujrzała poprzez ramię głowę syna, który niemal opierał o nie podbródek; ucałowała go wdzięcznymi oczyma; wymienili bratnie spojrzenie; i dłoń w dłoni, bez ruchu, wysłuchali oratorium do końca.

Ręce ich rozłączyły się dopiero, gdy wyszli z kościoła. Lecz nie rozłączyły się serca. Nie padło ani słowo wyjaśnień przeszłości, wyrzutów czy przebaczenia: oboje puścili wszystko w niepamięć. Mówili o tym, co czuli przed chwilą wspólnie, o goryczy zwycięstwa... Ach, gdyby zwyciężeni Niemcy wiedzieli, że Francję o zakneblowanych ustach policzkuje niesprawiedliwość, obłuda, chciwość polityków, którzy wydają edykty w jej imieniu! Lecz ze wszystkimi narodami jest tak samo. I prawie żaden naród powojenny nie ma już siły bronić się. Wszystkie są jak piasek, w którym zatracają się dobre chęci. Marek powiedział:

– Z każdym krokiem brniemy dalej. Coś wciąga nas od dołu.

Anetka, kładąc mu dłoń na ramieniu, odrzekła:

– Wyrwijmy się górą! Jeśli mamy nogi spętane, wyzwólmy się głową i piersią! Wyzwalać się – to zadanie życia. Skończy się dopiero ze śmiercią. Większość to żywe trupy, które pozwalają robactwu toczyć się żywcem w grobie. Ale my wyrwijmy się tym bagiennym pijawkom! (Pomyślała o pijawkach rumuńskich.) Rób tak jak ja! Bądź nieznużony! I pomagaj wydobywać się grzęznącym!...

Marek czuł, jak pod pachami lepi mu się muł bagienny. Gdyby nie znajdował się na ulicy, byłby, jak dziecko, zarzucił Anetce ręce na szyję. Obecność jej skrzepiła go. I patrzył na nią z miłością, był dumny z jej słów. Jakże ja mógł podejrzewać? Wziął ją pod ramię, oparł się na nim; nie wstydził się – jak to błogo! – obciążać ją swym ciężarem.

W tej właśnie chwili Anetka powiadomiła go, że musi znów wyjechać na pewien czas z Paryża; uczuł głęboki żal i strach niemal dziecinny. Poczuła, że zadrżał, i rzekła:

– Potrzebujesz mnie? Chcesz, bym została?

Lecz on natychmiast odzyskał dumę.

– Potrafię być sam. I tyś przecież była samotna – odparł.

Myślał o długich, minionych walkach w czasie, kiedy matka jego szamotała się w Paryżu. Uśmiechnęła się:

– Nie byłam sama, bo ciebie nosiłam na rękach.

Uśmiechnął się również i rzekł:

– Mam nadzieję, że kiedyś ci się odwdzięczę.

Część trzecia

POWIEW ZBRODNI

W tym samym czasie Sylwia przypomniała sobie znów o siostrzeńcu. Jej furia pracy i zabawy zgasła. Równie nagle, jak nagle się zbudziła. Poważne uszczerbki tak w majątku jak i w zdrowiu przypomniały jej surowo, że czas się opamiętać... „Nie ma sensu szaleć. Trzeba wiedzieć...", kiedy się zatrzymać! Zbytek dobrego jadła, dobrych win; oczy przekrwione; nagłe wybuchy szalonego gniewu lub szalonego śmiechu... Raz po takim napadzie w czasie jakiejś kolacji była bliska apopleksji. Zdawała sobie sprawę, patrzyła na siebie jasno i bez pochlebstwa; nawet w takich atakach, gdy traciła zupełnie panowanie, mówiła sobie:

„Wykolejasz się! Hamuj!"

Ale hamulec odmawiał posłuszeństwa. Arterie na szyi i skroniach tętniły. Zaczyna bredzić... Stój!... Pewnej nocy powzięła postanowienie, zamknęła magazyn, sprzedała dom. spieniężyła wszystko. Jej głupi Guy Coquille rozbił się jak zgniłe jajko w bankructwie jakiegoś banku i paru państw, gdyż w owym czasie perfumiarze, pragnąc w próżności swej grać jakąś rolę w polityce, utrzymywali, jak dziewki, rządy, które zresztą kpiły ze swoich podpisów i oszukiwały ich bezwstydnie, napchawszy sobie wprzód kieszenie. Dobrze mu tak!... Nie to mąciło sen Sylwii... Ale sen jej był lichy, cały mechanizm domagał się odpoczynku, zdemontowania i naoliwienia. Brała na przeczyszczenie, przykładała synapizmy, przystawiała pijawki. I zaczęła żyć po mieszczańsku, życiem rodzinnym.

Miała taką rodzinę, gotową już, spłodzoną, którą przygarnęła i w końcu prawnie adoptowała. Troje dzieci, od czternastu do siedemnastu lat. Matka, Perpetua Passereau (przystroiła swoją gębę z Belleville – niby węzłem jedwabnej wstążki nad uchem – imieniem Carmen, które pasowało do niej jak kwiatek do kożucha), była jedną z jej starych towarzyszek pracy i przygód. Przypominała jej pierwsze walki, twarde początki w Paryżu. Dwudziestopięcioletnia wierność. Sylwia nie zapominała o swych starych psach, choćby to był pies trochę narwany, uprzykrzony, okładany pięścią, jak męcząca Perpetua, która nie obrażając się lizała ją po twarzy. Zawarła głupie małżeństwo, od którego uwolnił ją Pan Bóg, nie uwalniając niestety od jej własnej ekstrawagancji. Mąż, hulaka, pijak, zginął na wojnie. Carmen zastąpiła go pośpiesznie. Nie posiadając niebezpiecznej równowagi Sylwii naśladowała jej fantazje i zgubny przykład. Była pastwą kochanków, pozwalała się okradać i wyzyskiwać jakiemuś graczowi, który w końcu doprowadził ją (nie zmuszając, co jest szczytem sztuki) do sprzedawania się innym, aby jego utrzymywać. Zresztą – dobra kobieta, pracowita, choć wiecznie odurzona zabawą. Nie traciła nigdy, nawet w najgorszych chwilach, swego przepojonego dobrym humorem fatalizmu i – wreszcie, kiedy musiała już odejść – skończyła w sposób budujący w ramionach zacnego, bardzo ludzkiego księdza. Nie mogła jednak szczerze żałować za grzechy; powiedziała to zupełnie otwarcie proboszczowi, który udał, że nie bardzo rozumie, lecz posłusznie pod jego dyktando wyjąkała *mea culpa,* aby,

jak rzekła, „zrobić mu przyjemność". Umierała spokojnie, rozczulając się jednak na myśl o dzieciach; ale nie niepokoiła się ich losem, zostawiając je Sylwii, i niemal do ostatniej chwili rozmawiała z nią o życiu, które było dobre pomimo wszystkich brudów, o dobrej pracy i kochankach.

Każde z trojga dzieci, obdarzonych przez nią imionami Bernadety, Kolumby i Anioła, reagowało inaczej przeciw przykładowi tej egzystencji o małych radościach i małych nieszczęściach, egzystencji, z której bez osłon czerpali swe przedwczesne doświadczenie. Dwoje młodszych, Anioł i Kolumba, byli bliźniętami; w chwili śmierci matki mieli trzynaście czy czternaście lat. Bernadeta szesnaście. Chłopak, grzeczny i pilny, o rozwiniętych instynktach rodzinnych, przejawiał skłonności pobożne i mistyczne, których księża nie omieszkali wyzyskać: wcześnie postanowił zostać kapłanem. Miał duży wpływ na bliźniaczkę, brunetkę o pięknych oczach osiołka, tkliwą głupią i zmysłową. Trzymali się osobno, we dwoje. Kochali się w Bogu. Toteż Anioł kochał w Kolumbie Boga. Lecz w Kolumbie istniał już naiwny instynkt, który pozostał jej na całe życie, i aby kochać Boga, kochała chłopca: był Jego obrazem. Na tę czystą i zmysłową, bardzo niewinną grę patrzyła starsza siostra z ironiczną obojętnością. Nie była stworzona do pary. Miała swoje życie wyłącznie dla siebie. Nie wtajemniczała w nie nikogo. Nawet siebie nie bardzo. Nie zależało jej na poznaniu siebie. I nikt na świecie nie miał jej poznać. Była jedną ze „zrażonych" swym młodzieńczym zetknięciem z tymi sferami Paryża, które wprawiło w szał orgiastyczne odprężenie lat 1919–1920; widziała te szalone ptaki spalające się w ogniu; a od ognia obronił ją instynkt. Nie potępiła ich z punktu widzenia moralnego. Moralność zajmowała najmniej miejsca w jej myślach. Chodziło jej o porządek, rozsądek, czystość – przede wszystkim w tym, co na zewnątrz: ciało i dom, tryb życia... Za dużo wycierpiała z powodu bezładnego życia swojej matki. Dlatego to, nie mając prawdziwej religii w sercu, opancerzała się nią zewnętrznie. Widziała w niej siłę ograniczającą, konieczną dla uniknięcia nieszczęsnych doświadczeń, jakie stały się udziałem jej matki. Nie myśleć o niczym więcej, tylko o tym, co można dopuszczać w obręb swego życia: to była dla niej instynktowna reguła prywatnego zbawienia. Nie przeszkadzało to wcale (przeciwnie!) jej zimnemu i bystremu zmysłowi rzeczywistości, która była ciasna, surowa i uporządkowana – taka jakim bywa życie mieszczki z prowincji Maine. Tak samo nie miało to wpływu na jej życie uczuciowe, którego klucze chowała dla siebie. W szczupłej ręce zaciskała mocno rzemyczki swego mieszka. Zdolna do uczuć, czasem nawet gorących, użyczała swej energii i swego zainteresowania nawet najbliższym tylko w tej strefie ich życia, która zdawała się graniczyć z jej własną. Poza tym mało ją obchodziły mistyczne zabawy dwojga młodszych, przemijające kaprysy Sylwii, życie umysłowe Marka, którego Sylwia (powrócimy do tego) podsuwała jej na przynętę. Nie miała ochoty rozstrząsać tego, o czym myśleli. Nie wścibiała w to swego ostrego, jastrzębiego noska, którym jednak, gdyby chciała, mogłaby od razu sięgnąć dna garnka. Ale każdy ma własny garnek. Zbierała śmietankę tylko ze swojego. Była zresztą dość roztropna, by wiedzieć, że nie przystoi zbytnio zdradzać innym tak wyłącznego zainteresowania sobą. Należy udawać zainteresowanie tym, co ich interesuje. Nawet Sylwia myliła się tutaj – przynajmniej w tym, co jej tyczyło; co do innych nie gniewała się, że jej pupilka tak zgrabnie manewruje nitkami (nie lubiła ludzi, którzy dawali się nabierać - a sama dała się nabrać). Bernadeta, spostrzegłszy jej słabość, dzieliła się z nią swymi dętymi obserwacjami, których złośliwość wymierzała wedle odgady-

wanego usposobienia Sylwii, życzliwość czy nieżyczliwość względem ludzi; dla Sylwii zaś chowała pieszczoty chudej kotki, która ociera się o łydkę pana trzymającego miskę. Nie wszystko było fałszywe w jej mruczeniu i karesach: chuda kotka rzeczywiście lubiła rękę trzymającą miskę. W szesnastym roku życia Bernadeta skłonna była widzieć ideał w sułtance z *Tysiąca i jednej nocy,* którą była Sylwia dla oczu młodego światka igły w Paryżu. Choć nie miała w swej naturze popędu do naśladowania zabaw, i fantazyj swej protektorki, gotowa była zgarnąć jej oszczędności i wdzięczna była Sylwii za to, że uzbierała je, a ona z nich skorzysta. Sylwia nie kryła przed nią, że chce uczynić ją swą uprzywilejowaną spadkobierczynią – wyłączając, Anetkę i Marka, którzy z uporem nie chcieli nic od niej przyjmować. A ponieważ zapaliła się do tej gry, postanowiła zmusić Marka do przyjęcia swego grosiwa skrywając je w łóżku Bernadety. Chciała, by się pobrali. Popełniła to głupstwo (najsprytniejsze są głupie na tym punkcie), że dała to obojgu do zrozumienia. Skutek był u każdego z nich różny. Zimna Bernadeta rozpłonęła jak tyczka; Marek odwrócił się wzgardliwie od winorośli. Może – kto wie? – byłby docenił uperfumowaną jagodę, gdyby mu pozwolono poszukać jej samemu. Ale oburzył się, że rozporządzano nim nie zapytawszy nawet. To wystarczyło, by lisek odwrócił się do winogron tyłem; Od razu zaczął widzieć w Bernadecie i pod względem fizycznym, i umysłowym tylko rzeczy irytujące go. Nie była jednak pozbawiona powabów. Choć chuda, była zgrabna i dobrze zbudowana, trochę zbyt smagła, lecz ponętna. (Chudość jest lub może być matką rozkoszy.) Przede wszystkim znała paryską sztukę korzystania ze swych braków. Trochę szminki, toaleta prosta i gustowna, doskonała linia... Był to jeden z jej większych tytułów do szacunku Sylwii. Mogłaby udawać Tanagrę[193], gdyby nie jej głowa sroki. Lecz nawet głowa, mała główka, okrągła i uparta, nie psuła linii: miała styl i była w stylu całości. Zresztą twarz jej rozświetlała się – gdy chciała (było to tylko wtedy, gdy Marek patrzył na nią) – dwojgiem niebieskozielonych oczu, które stawały się tak czułe i głębokie, że czar ich zbudziłby umarłego. Lecz koniec końców Marek oparł mu się, i to tym bardziej że wbrew swej woli był poruszony; z gniewem wyrywał żądło.

Sylwia nie rozumiała, dlaczego siostrzeniec nie chce szczęścia, które mu ofiarowywała: wytworny i porządny artykuł paryski (znała się na tym!). Nie z kamlotu, lecz z dobrego, trwałego materiału: taka suknia wytrzyma długo, prędzej zedrze się człowiek, który ją nosi – dziewczyna uczciwa, pracowita, roztropna, wyposażona (poza tym, co odziedziczy) w inteligencję żywą, jasną i praktyczną, wnosząca w dodatku w wianie tej małpie nietknięte dziewictwo i serce pierwszy raz kochające, płonące tylko dla niego... A to brzydal... Gdyż Bernadeta zwierzyła się jej. I Sylwia burcząc na nią, uradowana w gruncie rzeczy, kazała jej się wstydzić, że kocha się w tym chłopcu złym, brzydkim, głupim i pysznym, biednym jak Hiob i jak Hiob swarliwym (tak myślała i kochała go tym bardziej); wychodząc za niego uczyniłaby mu zaszczyt. Ale niech no by Bernadeta wzięła ją za słowo i powtórzyła to jako swoje zdanie – zmyłaby jej głowę zapewniając, że nie jest godna rozwiązać rzemyka u trzewika jej siostrzeńca – była z niego diabelnie dumna. Tylko sobie, która wkładała mu i zdejmowała jako bąkowi pierwsze spodenki, przyznawała prawo obmawiania

[193] T a n a g r a –aluzja do wykopanych w Tanagrze figurek greckich z IV w. p. n. e., odznaczających się pięknem wykonania i linii.

go; przywłaszczała go sobie od stóp do głów. Lecz czemuż ten diabeł nie chce wejść do łoża małżeńskiego, które mu ona gotuje? Wyłajawszy Bernadetę, że zanadto kocha Marka, zwymyślała ją, że nie umie wzbudzić miłości do siebie. Był to dla dumy Bernadety punkt daleko czulszy. Głowiły się obie, jak schwytać tego nieboraka. Ponieważ cel był dobry, więc uświęcał wszystkie środki: pozwalał nawet malować myśl, jak była umalowana buzia. Sylwia uczyła Bernadetę, jak schwycić szczupaka na wędkę, okazując zainteresowanie dla jego zajęć umysłowych czy społecznych... (Biedny narwaniec! Każdy mężczyzna jest nim w mniejszym lub większym stopniu...) Bernadeta starała się sumiennie korzystać z nauk. Lecz rezultatem tych pięknych wysiłków było to, że sytuacja, która nie była dobra, pogorszyła się. Łatwiej sfabrykować sobie urodę niż umysł. Młoda mieszczaneczka była niegłupia, lecz w swoich przyrodzonych granicach; kiedy je przekraczała, stawała się wymuszona, deklamowała nie stawiając kropek ni przecinków: sroka stawała się papugą. Marek był na tyle niegrzeczny, że nie krył się ze swymi wrażeniami. Bernadeta, zmartwiona, opuściła wysuniętą placówkę; nic nie mówiąc machnęła ręką na Sylwię i jej nauki; cofnęła się na dawną pozycję i miała słuszność. Lecz w walce nie dość mieć słuszność; trzeba odnieść zwycięstwo. Ona go nie odniosła.

Nie starając się już służyć mu do mszy, postanowiła dać Markowi wszelką wolność odprawiania jej (jaką zechce – było jej wszystko jedno!), podczas gdy ona dozorowałaby, porządkowała, odkurzała kaplicę. Dla niego kazalnica i ołtarz. Dla niej troska o kropielnicę. Czy w ten sposób sprawa nie byłaby załatwiona najpomyślniej? Wolno mu było mówić i myśleć wszystko, co mu się podoba. Ona zajmowałaby się stroną materialną. To niemało. Dla niej dość – mieć męża. Nie chodziło jej o resztę.

Reszta zaś była dla Marka jedyną rzeczą, która go obchodziła... Z dziewczyną w ramionach (oczywiście!), ładną czy brzydką, byle mu się podobała. Bernadeta nie podobała mu się. A do zabezpieczenia materialnego, które ofiarowywała mu jako przynętę, nie przywiązywał wagi. Co gorsza, bał się go. Zbytnie zabezpieczenie dla takiego Marka oznacza koniec przed rozpoczęciem. Poluje on na to, co mu się wymyka i czego pochwycenie grozi właśnie niebezpieczeństwem. Bezpieczna pewność takiej Bernadety była zdobyta zbyt małym kosztem. Brak potrzeb umysłowych kazał jej zamknąć, przed dwudziestym rokiem życia, ogródek – mniej: podwórko mieszczańskiego domu i nie troszczyć się o to, co się dzieje poza jej własną dzielnicą. Jak ci małomieszczanie z rue Cassette, którzy w ogniu Komuny nie zauważyli walk wzniecających pożary w innych dzielnicach... Marek wdychał zapach prochu i węszył krew od krańca do krańca miasta. Czuł, jak pod jego stopami wali się cały świat myśli... Musiał żyć, zapadać się w otwierających się przepaściach wstrząsanej ziemi, asystować, pomagać w potwornym porodzie... Bernadeta wiedziała o tych wstrząsach; każda dziewczyna paryska czyta o nich w gazecie – po drobnych wiadomościach, kronice, felietonie, modach, sporcie i ogłoszeniach – kiedy ma czas! Naprzód trzeba robić, co jest do roboty, człowiek nie żyje dla zabawy! „Tracić czas na gadanie o tym, co dzieje się w Chinach lub u tych złodziejów naszych rosyjskich kapitałów – bolszewików, to dobre dla mężczyzn!" Wystarczy zajmować się tylko swą pracą i rachunkami, również swym stołem i łóżkiem, w swoim czystym i uporządkowanym mieszkaniu, nie troszcząc się o ekstrawagancje otaczającego świata; przejdą, jak przyszły... Teorie wydawały się jej bzdurami. Poprzestawała na zespole konwencji moralnych i społecz-

nych, wypróbowanych, utwierdzonych pracą i oszczędnością solidnych generacji mieszczańskich; religia miała tam swoje miejsce – religia katolicka, mało wymagająca, z wiarą lub bez wiary, przede wszystkim praktyczna i punktualna, popierająca i wzmacniająca porządek. Pod tym względem Bernadeta różniła się od niewierzącej Sylwii, która nie mogła nigdy powstrzymać się od docięcia „klechom", lecz pozostawiała swobodę pupilce, z wyrozumiałym szyderstwem mrucząc do siebie, że „koniec końców" u kobiety bigoteria w małych dawkach daje mężowi rękojmię większego bezpieczeństwa domowego.

To „koniec końców" nie było tak pewne!... Owa Bernadeta, pozornie tak umiarkowana, równa, zimna i rozsądna przez trzy tygodnie na miesiąc, odczuwała w czwartym tygodniu dziwne niepokoje. Zmieniał się jej temperament; przestawała sądzić, rozumować, oceniać tymi samymi oczyma i uszami ludzi i rzeczy; przestawała panować nad kierownicą: baczność na rowy i drzewa przy drodze! Wehikuł o mało nie wpadał do rowu... Ponieważ niebezpieczeństwa te zjawiały się chronicznie, Bernadeta nauczyła się je przeczuwać i gdy nadchodziły, trzymała się o ile możności na uboczu; wyrobiła w sobie ogromne zdolności maskowania się. Lecz w głębi jej świadomości w owych godzinach krążyły i czatowały nienawiść i miłość, żądze, zawiść i zazdrość, wszystkie porywy pochodzące z krwi czy z mózgu, najgorsze majaki niezaspokojonego i niczym nie hamowanego temperamentu. Była zawsze o krok od najbardziej niepojętych pomysłów. Lecz spostrzegano to tylko po różowych falach rumieńca, które nagle zalewały jej szyję lub odpływając pozostawiały na policzkach zielonawą bladość. Drżała zagryzając usta do krwi, czuła się bliska omdlenia, lecz powściągała się zawsze w czas. W gruncie rzeczy wszystko to razem – niebezpieczeństwa i cierpienia – było rozkoszą. Odczuwała ją – sama jedna.

Marek ani domyślał się tego. I kto wie, gdyby wiedział o tym, może zacząłby się nią interesować? Należał do ludzi, którzy czują niezrozumiały, instynktowny pociąg do niebezpieczeństwa, ciemności, mglistej przepaści, gdyż gorąca noc obiecuje bogactwa, których cenę płaskość dnia obniża; oni zaś niczego tak nie boją się w życiu jak jednostajności. Pod tym względem był na swoje nieszczęście rodzonym synem Anetki... Niejednokrotnie cierpiała z tego powodu; i największym wyrzutem jej sumienia było, że syn jej cierpi przez to za nią... Gdyby Marek widział w Bernadecie bezkształtne, płazie życie rojące się w mule bagiennym (roi się ono w głębi niemal każdego z nas), byłby ją zaszczycił większą uwagą, niż zaszczycał płaską powierzchnię bagna – zimne życie nudnej mieszczki.

Sylwia, mniej rozsądna od Bernadety, która prosiła ją, by się w to nie mieszała, daremnie wykazywała siostrzeńcowi zalety żony, która z rozumną oszczędnością zarządzałaby ciasną dziedziną gospodarstwa domowego pozostawiając mu tym więcej swobody poza domem. Ten rodzinny ideał „posiadacza", cieszącego się systematycznie swymi rentami i żoną i przechowującego papiery wartościowe w banku, nie ma już w obiegu w naszej epoce, która nie może zamykać się w domu: żąda ona ciągłej zmiany miejsca – wróciła epoka „*Wanderera*"[194]. Czyż kobieta może być dla owego „wędrowca" towarzyszem drogi dzielącym jego wieczną niepewność, codzienne niebezpieczeństwo ciała i myśli? W tym cała kwestia. Gdyby zapytano o to Bernadetę, byłaby odpo-

[194] *Wanderer* (niem.) – wędrowiec.

wiedziała z westchnieniem - żal jej było domu – lecz stanowczo, gdyż kochała Marka:

– Tak, chcę. Więc mogę.

I mogłaby – przynajmniej przez pewien czas. Była odważna. Za to, co chciała, za to, co kochała, byłaby stawiła czoło wszystkim niebezpieczeństwom. Lecz mimo całą szczerość tego „tak!", poszłoby za nim tylko ciało, nie umysł. Byłaby przyrzekła więcej, niż mogła dotrzymać. Daremne starania: poza ścianami swego domu byłaby zgubiona; i w końcu broniłaby się – to było jej prawo. Stałaby się u stopy mężczyzny kamieniem ciągnącym go wstecz. Koniec końców straszna siła bezwładności kobiety udaremniłaby poryw mężczyzny pchającego swą taczkę pod górę.

Instynkt Marka był mędrszy niż rachuby Sylwii, która chciała stworzyć mu szczęście wbrew niemu. Ona także chętnie skrępowałaby mu ręce i nogi, by nie pozwolić mu złamać karku. Między obiema kobietami, doświadczoną i nowicjuszką, zapanowało co do tego nieme porozumienie. Podejrzliwy nos Marka zwietrzył to. Niewiele brakowało, by Marek znienawidził Bernadetę. Im więcej pochwał śpiewała na jej temat Sylwia, tym gwałtowniej Marek odpowiadał obelgami. Doszło do tego, że Sylwia, dawszy mu do wyboru „wóz" i „przewóz", w jednym ze swych apoplektycznych wybuchów, czerwona jak burak, zatrzasnęła mu w furii drzwi przed nosem:

– Idź do diabła, żebraku! Klep dalej biedę!

I młody żebrak poszedł ją klepać.

A Bernadeta siedziała jak Kopciuszek przy tlejącym kominku – heroicznie, z zimnym wyrazem twarzy, kryjąc ogień i urazę pod stanikiem.

*

Pewnego dnia, gdy Marek, mając w kieszeni tylko kilka franków na życie, poszedł je przepić do kawiarni – (o, bardzo rozsądnie! nie miał środków, by szaleć... lecz kiedy czuł się, jak tego rana, zmęczony, pełen wstrętu, bez apetytu, nie miał odwagi jeść mięsa w lichym gatunku, źle podanego, budzącego odrazę, wolał ze szkodą dla żołądka wypić czarną kawę z kieliszkiem koniaku,. co go podniecało; dochodził do tego drugi środek podniecający – lektura prasy) – na pierwszej stronicy dziennika ujrzał sensacyjnie zdeformowaną fotografię; ale od pierwszego spojrzenia poznał oczy ukryte prawie pod niskim czołem, pobrużdżonym grubymi zmarszczkami, tę gębę zagniewanego goryla... .Szymon... Szymon Bouchard... To on! Nad fotografią tytuł – jakby napis na wystawie jatki – zapowiadał:

„Zabójstwo w ekspresie. Bandyta aresztowany..."

Marek wypił kieliszek koniaku. Czytał nie widząc. Przeczytał znowu, przeżuwając każde słowo. Fakt nie ulegał wątpliwości. W ekspresie z Paryża do Vintimille, między Dijon i Mâcon, śpiący podróżny został w nocy uduszony w łóżku. Zbrodniarz, którego przychwycono, kiedy wychodził z przedziału, wyskoczył w biegu z pociągu i upadł na nasyp, gdzie go znaleziono z poranioną twarzą i złamaną kością udową. Ofiarą była znana w Paryżu osobistość, finansista, członek licznych rad nadzorczych. Mordercą – wykolejony inteligent, anarchista, komunista... Prasa burżuazyjna nie nauczyła się nigdy rozróżniać

dwóch ostatnich... (Udaje głupszą, niż jest! Miesza ich we własnym interesie.) Naturalnie „wpływy moskiewskie były podłożem sprawy".

Marek, wstrząśnięty, wyszedł pozostawiając nie dopitą filiżankę kawy. Nie wiedział, co robi. Na bulwarze powtarzał sobie: „Szymon!... Szymon!..." Nie spostrzegał przechodniów, o których, dzięki jakiemuś lunatycznemu instynktowi, ocierał się i których wymijał nie potrącając. Przypominał sobie niejasno dnie spędzone z Bouchardem i obierając nieświadomie system obrony, jakby znajdował się w sądzie, wskrzeszał w pamięci tylko pierwszy okres znajomości, kiedy Bouchard przyjechał dopiero co z prowincji, nieokrzesany, niezepsuty, nietknięty i twardy jak krzemień. Marek czuł w nim rzetelność pełnej krwi perszerona, który nie zawodzi co do siły swego karku, swych pęcin i zdolności rozpłodu. Jakże wobec niego czuł się Marek bezbronny, nieodporny, wydany na pastwę wszystkim miazmatom zgnilizny, które grasują w wielkich miastach. Gdyby czarownice z *Makbeta* rzekły im: „Jeden z was zostanie ścięty na szafocie!", Marek, przerażony, byłby podniósł nerwowo ręce do szyi. Był tak pewny tamtego, a tak mało siebie! Cóż uczynił tamten? Co z niego zrobiono? Kto? Wszyscy! Cały ten okropny świat powojenny. I my pierwsi...

Na tarasie jakiejś kawiarni ujrzał wielkie oczy patrzącego nań Véróna–Coquarda, który uśmiechał się szyderczo. Marek przeszedł między szeregiem stołów i nie siadając rzekł doń stłumionym głosem:

– Véron, czy wiesz?

Véron nie przestając się uśmiechać rzekł:

– Wiem. Idiota, dał się złapać. Spodziewałem się tego! Zarżną go!...

Czerwień przesłoniła wzrok Marka. To krew Szymona zalała mu oczy. Rzucił .się na Vérona, chwycił go za gruby kark i przycisnął do muru kawiarni krzycząc:

– Morderco!... To tyś go zabił!...

Véron–Coquard wyrwał się, wściekły; ciężkimi pięściami grzmocił chude piersi Marka; rzucił go o stół, aż Marek usiadł na spodkach i rozlanym piwie; wśród wrzawy protestów intruz został w mgnieniu oka wyrzucony na ulicę. Z chodnika, gdzie zaczęli gromadzić się przechodnie, Marek ujrzał Vérona, który, z wytrzeszczonymi oczyma, groził mu pięścią wrzeszcząc:

– Nie waż się, bydlaku, zaczynać znowu! Albo oddam cię w ręce policji...

Dwóch policjantów przechodziło bulwarem. Marek, któremu nogi drżały z gniewu, ponad barierą dzielących ich ludzi, mierzył Vérona wzrokiem.

– Szpicel! Należysz więc do bandy? Tego tylko brakowało!

Véron ryknął i roztrącając wszystkich rzucił się nań. Marek czekał go ze skrzyżowanymi rękoma, ale nagle dłoń kobieca wsunęła się pod jego ramię. Jakaś znajoma dziewczyna odciągnęła go mówiąc:

– Zwariowałeś! Chodź! Nie chcę, żeby cię zamknęli.

Puściła go dopiero, gdy minęli zakręt ulicy. Nie słyszał nic z tego, co mówiła. Dopiero później, gdy przeszedł dwie ulice, ujrzał we wspomnieniu znużone i nabrzmiałe powieki, krwawą szminkę na cienkich wargach, które przesłały mu uśmiech braterskiego pożegnania. Pomyślał:

„Gdyby ta dobra Samarytanka spotkała była Szymona, może byłby uratowany."

Daremnie próbował przypomnieć sobie jej imię. Paląca fala tragedii uniosła je, wraz z jej obrazem, w cień zupełnego zapomnienia. Powtarzał sobie ciągle:

„Szymon, Szymon...” I szyderstwo Vérona obudziło w nim nową wściekłość. Mówił do siebie:

– Ten łotr go wykoleił. Wszczepił w niego alkohol, szał złota i głód kobiet, jak biblijnym lisom płonącą pochodnię; oszalałego z bólu puścił w zboże. Na widok pożaru i męki łajdak zaciera ręce...

I w swoich długich rękach uczuł też instynkty mordercze. Lecz spostrzegł, że ludzie patrzą na niego. Opanował się gwałtownym wysiłkiem, wbił paznokcie w dłonie i nagle, ochłonąwszy, zaczął myśleć, co robić.

Nie mogli pozwolić Bouchardowi pójść tak na dno bez próby ratunku! Trzeba było zwołać kolegów... Kolegów! Gdzie byli? Czy istnieli jeszcze?... Jan Kazimierz był w Pradze drugim attache ambasady. Adolf Chevalier osobistym sekretarzem ministra, ciągle w drodze i na bankietach... Ani myśleli troszczyć się o Boucharda!... Trzeba było zmusić ich do tego. Lecz gdzie ich złapać? O Janie Kazimierzu nie było co myśleć! Marek nagryzmolił do niego na najbliższej poczcie bezładną, rozkazującą kartkę, która odbiorcę mogła raczej urazić. Wrzuciwszy ją do skrzynki, chciał ją wycofać. Za późno!... Tak czy inaczej, nie można było liczyć na niego... Jan Kazimierz nawet dla tonącego nie poświęciłby wieczoru. Marek zaczął szukać Chevaliera Choć ten okazywał zawsze mało sympatii Bouchardowi, wyznawał jednak, przynajmniej w teorii, zasadę koleżeństwa; może miałby koleżeński interes w stłumieniu, o ile to możliwe, skandalicznej sprawy; a przez kobiety miał duże wpływy w sferach ministerialnych. Marek pobiegł do ministerstwa przy rue de Grenelle; odesłany stamtąd, popędził jak kula bilardowa do zbytkownego apartamentu Chevaliera na Avenue de Bois; nie zastał gospodarza. Wreszcie wpadłszy do Palais[195], zdołał go przyłapać na ważnej konferencji, otoczonego gadającymi togami, do których cisnęło się szukając żeru kilku dziennikarzy z żółtymi gębami wędzonych śledzi. Chevalier, nie przerywając sobie, skinął mu protekcjonalnie ręką, a kiedy skończył zdanie, wyprowadził go wielkimi krokami, roztargniony i zaaferowany:

– Słucham de, mój drogi. Cóż mi masz do powiedzenia?

Lecz po pierwszych słowach rzekł:

– Wybacz!

I odszedł uścisnąć dłoń przechodzącemu adwokatowi. Marek czekał, Chevalier nie spieszył z powrotem. Marek czekał. Chevalier zrozumiał, że bestia czekać będzie do wieczora. Wrócił i powstrzymał Marka, który chciał podjąć swoją prośbę. Zrobił patetyczny gest, który miał znaczyć:

„Co za nieszczęście!”, lecz mówił również: „Co za piła!”

– Tak, tak – rzekł – to smutne!... Lecz cóż my możemy pomóc? Teraz ma głos prawo.

Podniósł uroczyście brodę, uśmiechnął się na prawo, na lewo, po czym bąknął:

– Spieszy mi się... Wybacz... a jakże zdrowie?... Dam ci w tych dniach znać, zjemy razem śniadanie. Bądź zdrów, mój drogi.

I wymknął się.

Marek stał jak wryty. Szkoda słów. Każde zwierzę jest wierne swojej naturze. Pies jest psem. Kot kotem. Wilk wilkiem. Jestem wilkiem, cóż robię tutaj?...

---

[195] *P a l a i s* – mowa o Palais de Justice de Paris (Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu) siedzibie sądów.

Wracał do domu. Lecz nie mógł zamknąć się u siebie z tym ciężarem na sercu. Choć był bardzo znużony, szukał pozorów, by odwlec chwilę powrotu do swego pokoju. Uczepił się myśli o Ruche. Przestał odwiedzać ją od dawna. Rozdzieliła ich lodowata obcość. Rzecz ciekawa, że oziębienie to zaczęło się zaraz po owej nocy, gdy Ruche okazała się dla niego tak opiekuńcza, gdy – leżąc, posłanie przy posłaniu – trzymali się za ręce. Unikali się. Gdy się spotkali przypadkiem, Ruche udawała, że go nie widzi, lub uśmiechała się wrogo. Marek, nie rozumiejąc tego, nie starał się dochodzić przyczyny.

Lecz w tej chwili potrzebował kobiety, towarzyszki, której sercu (nawet wrogiemu) mógłby powierzyć to, co go gnębi. Kobieta jest zawsze kobietą, matką, siostrą: choćby zimna była jej głowa, ciepłe jest jej łono, które drży wszystkimi namiętnościami mężczyzny, współczuje. Można złożyć na nim czoło, kiedy zaczyna zbyt ciążyć. Kobieta jest jak gniazdo.

Wszedł na pięterko we wgłębieniu ulicy, w cieniu ogromnej masy Val de Grâce. Zapukał.

– Proszę.

Było późno. W pokoju panował już mrok. W głębi Ruche leżała w swej niszy, z gołymi smukłymi nogami, które odsłaniała krótka podciągnięta spódnica; jedna z nóg zwisała na stopnie alkowy. Nie ruszyła się, aby ją zakryć. Patrzyła obojętnie na Marka, który zbliżał się powoli. Zanim, przyzwyczajając stopniowo rozszerzone źrenice do mroku, spostrzegł, czym jest zajęta, posłyszał suche trzaskanie i poczuł woń – przygotowywała opium. Nie tracił czasu na dyskusje o tym. Najpierw musiał zrzucić swe brzemię. Mówił, mówił, zanim go zapytała. Opowiedział wszystko: o Szymonie, Véronie, Chevalierze, o przejściach tego dnia, o swej wściekłości, boleści i zgrozie. Nie czekał od niej rady (kto jednak wie, córka prokuratora mogła lepiej niż on orientować się w przebiegu sprawy), lecz jednego prostego słowa, okrzyku litości, mniej jeszcze: wyciągniętej dłoni, która ściska dłoń szukającą w mroku oparcia i zdaje się mówić: „Mój mały!...”

Nie rzekła nic, nie uczyniła nic, słuchała, czekała. On także czekał. Nic. Widział ją teraz wyraźniej, leżącą na wznak, jak długa, z głową niżej od dała, z ręką i nogą zwisającą, widział nieruchomą, bezwstydną, obojętną, wpatrzoną weń zimnym spojrzeniem. I w spojrzeniu tym wyczytał to, co zawsze podejrzewał... Nie chciał nigdy w to wierzyć, zwłaszcza wobec tak tragicznego zakończenia: nienawiść do Boucharda, nienawiść kobiety – niemą, głęboką, nieubłaganą, nieodwołalną. Nienawidziła go zawsze.

Brakło mu tchu... Cienkie, rysujące się czerwoną kreską wargi leżącej kobiety rozchyliły się zimno, by rzec;

– Chcesz fajki?... Nie?... No, to wynoś się!

Odszedł bez słowa. Za sobą usłyszał trzask parkietu pod bosymi stopami, a kiedy wyszedł, zgrzyt klucza w zamku zamykanym na dwa spusty.

*

Gdy wrócił do siebie i zrobił rachunek z całego dnia, nie wiedział, kogo z trojga nienawidził najbardziej: Vérona, Chevaliera czy Ruche. Dopiero później, już późno w nocy, uprzytomnił sobie, że twarz Ruche, którą zaciekle wywoływał w pamięci, by łatwiej móc ją nienawidzić, była bardzo zniszczona.

Tam u niej, patrząc na nią, widział tylko surowość oczu, nienawiść, która zżera. Teraz widział rysy. Ją też coś zżerało? Biedna – nie, niech cierpi!

Następne dni mijały przytłoczone nieustanną obsesją. Zmuszał się do pracy; nie można było inaczej! Wykonywał swoją robotę, lecz w myśli jego wytworzył się podział: robota wykonywana była machinalnie; każdą myśl pochłaniała obsesja. Nie miał możności działania. Jedyną ulgą było pisywanie do matki. Nie mogła mu nic poradzić. Ale dzielili swe niedole. Zawarli z sobą milczącą umowę. Marek uczuł dumę i wdzięczność w sercu, gdy Anetka pierwsza napisała do niego o sprawach, których matka nie ma zwyczaju zwierzać synowi – o sprawach zasadniczych, najistotniejszych ze swego życia i swych walk, jak pisze towarzysz do towarzysza. Nie pisał jej nic o swym wzruszeniu. Lecz odwzajemniał się Anetce w tym pojedynku dwóch ufności. Zaufanie to, z jego strony, szło bardzo daleko: Anetka była niekiedy stropiona; ale i ona nie zdradzała tego. Rozumiała, że nie był to bezwstyd, lecz dowód doznawanej ulgi; oddawał się w jej ręce cały, ze wszystkim, czego się wstydził. I nie można go było pomawiać o jakiś niezdrowy ekshibicjonizm moralny na wzór Jana Jakuba[196]. Raczej przypuszczać, że rumieni się mówiąc: „Tym razem pogardzi mną... Trudno! Muszę..." Teraz byli pewni: żadne z nich nie zaprze się niczego, co wyznawało mu drugie: „Co moje, to twoje. Co twoje, to moje..."

W dniach zamętu wielkim szczęściem jest owa komunia krwi. Marek i Anetka w niejednej godzinie winni jej byli zbawienie. Gdy ze znużenia i wstrętu krew cofa się do serca, regularny rytm mięśni, które wywołują jego skurcz, wyrzuca znów krew do arteryj. Nie trzeba nawet odpowiedzi. Wystarczy rzucić wezwanie, by odczuć wyzwalający skurcz. Napisawszy Marek czuł ulgę na całą noc.

W tydzień później ze zdziwieniem ujrzał wchodzącego Jana Kazimierza. Jego spodziewał się najmniej. Wybełkotał:

– Dostałeś?...

– Dostałem twój list – odpowiedział przybyły. – Powinienem był wyczytać o tym w dziennikach. Lecz dobrześ zrobił, żeś napisał. Sprawa uszła mej uwagi.

– Skąd przybywasz?

– Z Pragi, oczywiście. Do Strassburga leciałem samolotem. Jestem tu już trzy dni. Nie odwiedziłem ciebie wcześniej, gdyż przystąpiłem wprost do tego, co najpilniejsze. Nie masz mi tego za złe?

– Janie!

Marek uścisnął go.

– Zdaje mi się, że nie zmarnowałem czasu – ciągnął tamten. – Ale wyznaję z góry: boję się, że nic nie będziemy mogli zrobić.

– Ale to, co w naszej mocy, wszystko musimy zrobić.

– Jestem tego samego zdania. Ale możliwości nie sięgają daleko. Wiesz już, czego można spodziewać się po przyjaciołach.

– Skąd wiesz o tym?

– Obszedłem ich. Trafiłem u nich na twój ślad.

Marek obrzucił ich obelgami. Jan Kazimierz rzekł:

– Są tym, czym są. Wciąż jeszcze masz złudzenia?

[196] J a n J a k u b – mowa o Janie Jakubie Rousseau; jest to aluzja do jego *Wyznań.*

– Nie mam ich już wcale. I uparcie chcę wierzyć, że czynię tym krzywdę ludziom; ale oni są jeszcze gorsi, niż przypuszczałem. Najgorsze zaś są kobiety.

Kilka brutalnych i gorzkich słów zdradziło jego ból z powodu okrutnej nienawiści, jaką odkrył w milczeniu Ruche. Jan Kazimierz rzekł:

– Tak. Lecz ona ma może powody do nienawiści.

Marek zdziwił się:

– Co? Jakie powody? Przeciwko Szymonowi?

– Przeciw Szymonowi czy komu innemu, mnie, tobie... Wszystko jedno. Nienawidzi jednego, a może wszystkich mężczyzn... Czy przypatrzyłeś się jej? Że ma swoje powody, to pewne.

Marek zdziwiony był przenikliwością tego .człowieka, który zdawał się przechodzić ponad wszystkim bez zastanawiania się. Błyskawicznie ujrzał zniszczoną twarz Ruche, starał się ją przeniknąć i rzekł do siebie: „To prawda!" Spytał:

– Lecz co masz na myśli?

Skrzywieniem warg Jan Kazimierz uchylił się od odpowiedzi.

– Nie mam nic na myśli. Nie mam czasu myśleć o tym. Każdy pewnego dnia wpada w sidła. Zostawiła tu i tam trochę swych piórek. To jej sprawa. Z piórkami czy bez nich, da sobie radę. Kobiety zawsze dają sobie radę. Zajmijmy się sobą, naszą sprawą!

– Stałeś się twardy dla nich – rzekł Marek - uchodziłeś niegdyś za ich sprzymierzeńca.

– Właśnie dlatego. Oszukiwaliśmy razem. Znam je. One mnie oszukiwały, a ja je oszukiwałem. Zawsze padamy na cztery łapy... Myślmy raczej o tym głuptasie, co nie czekając, aż mu skręcą kark, potrafił sobie złamać łapę... Jeśli jestem babą, jak mówisz, nic dziwnego, że interesuję się tymi idiotami mężczyznami, takimi jak ty i on... Nie protestuj! Jesteś taki jak on – w lepszym gatunku, lecz równie uparty, równie zaślepiony we wszystkim, co podejmujesz. Wy, kiedy wpadacie w sidła, zostawiacie nie pióra, lecz całe cielsko. Żal mi was! Pogardza się wami trochę; lecz może właśnie dlatego lubi się was.

Marek miał ochotę go spoliczkować. Zdusił w sobie obelżywe: „Dziewka!..." Potem przełknął ślinę: „Ma słuszność..." I przypomniawszy sobie, że – dziewka czy nie – Jan Kazimierz nie wahał się ani chwili przybyć z Pragi dla ratowania nieszczęśliwego przyjaciela, stłumił wściekłe spojrzenie, którym obrzucił dwuznaczny uśmiech złośliwego chłopca, i rzekł:

– Dość gadania! Przystąpmy do rzeczy.

– A więc – podjął Jan Kazimierz – widziałem się z Szymonem... Tak, udało mi się, nie bez pukania do różnych drzwi (mniej wysokie otwierają się może szerzej), prześliznąć się przez wrota więzienia, a raczej szpitala, gdzie zlepiają mu członki, by całość była w komplecie na wielki dzień. Próbowałem z nim mówić. Lecz po pierwszych słowach obsypał mnie złorzeczeniami. Spod bandaży widoczne było tylko oko i pysk: oko nosorożca, małe, twarde, ukryte pod fałdą powieki. Lecz od pierwszego spojrzenia oko to poznało mnie: nosorożec rzucił się! Skopał wszystko: mnie, ciebie, Vérona, wszystkich przyjaciół. Nie chce przyjąć żadnego z nas. Trzeba było zawrócić na pięcie.

Marek spytał ze ściśniętym sercem:

– Mnie także? Wymienił moje imię?

– Wymienił. Nie wzruszaj się. Należysz do tego samego bloku. Stronnictwo żywych. On ma już wypisane na czole: stronnictwo umarłych.

– Czy nie ma sposobu, by go ocalić?

– Wątpię. Widziałem się z adwokatem i paroma innymi osobami. Starałem się ich zainteresować. Lecz cóż można zrobić, gdy ta bestia nie chce, by go ratowano. Nie chce nawet mówić z adwokatem i oświadcza, że zelży go przed sądem.

*

Śledztwo nie ciągnęło się długo. Sprawa była jasna. Nie można było niczemu zaprzeczyć i oskarżony nie przeczył. Jan Kazimierz przybył raz jeszcze z Pragi na rozprawę sądową. Choć interwencja ich była już daremna, dwaj przyjaciele wzięli sobie za punkt honoru stawić się jako świadkowie. Był to dla Marka ciężki obowiązek. Publiczne wystąpienia były mu nieznośne; wiedział, że wyda się zawsze gorszym, niż jest: paraliżowały go dzikość i duma. I myśl, że w światłach tego posępnego widowiska znajdzie się znów oko w oko z dawnym towarzyszem, że będzie może narażony na jego obelgi i wyrzuty, przerażała go. Miał ochotę uciec lub jak dziecko zatkać sobie oczy i uszy, dopóki „to się nie skończy...” Lecz im bardziej bał się, tym był dzielniejszy, gdyż wściekał się na samego siebie. „Ruszaj, tchórzu!” I ruszył.

Mąciło mu się w oczach, nic nie widział, nie pamiętał wcale, jak wszedł do sali świadków w zgiełkliwym Palais. Jan Kazimierz, bardzo swobodny, prowadził go zamieniając z tym lub owym ukłon czy uprzejme słowo. Jednakże co do swego spotkania z Bouchardem nie był wiele spokojniejszy od Marka. Wnet przyszła na nich kolej. Świadkowie odwodowi byli nieliczni. Wprowadzony do sali sądowej, Marek, stawiając sztywno nogi, jakby wypchane trocinami, ścisnął zęby i rzekł sobie: „Nie patrzeć! Przede wszystkim na n i e g o! Nie widzieć go!” I od razu ujrzał właśnie j e g o; a gdy ujrzał Szymona – jakby urzeczony – nie mógł już odeń oderwać oczu. Zniecierpliwiony głos przewodniczącego przypomniał Markowi, że mówią do niego. Wrócił natychmiast do roli, której od niego żądano. Lecz był tak zmieszany, że zapomniał, jak się nazywa. Usłyszał za sobą śmiechy. Przewodniczący skarcił publiczność i starał się go uspokoić. Marek odzyskał stopniowo pewność siebie: przypuszczano, że boi się – wstydził się tego; co innego paraliżowało go – owa okropna wpatrzona weń twarz – twarz znana, a tak zmieniona od ciosów losu (a także policji), że wydało mu się, jakby napotkał dziki wzrok nosorożca. .(Jan Kazimierz miał słuszność! Lecz nosorożec miał tylko jedno oko: był na pół ślepy.) Spojrzenia ich poznały się. Marek ujrzał, jak Bouchard poderwał się nagle, by wstać, i – natychmiast znowu posadzony przez żandarmów na ławie, cisnął błyskawicę gniewu z tego jedynego oka. Marek spuścił wzrok. Był przerażony. Zdawało mu się, że jest winny i że głos Boucharda zmiażdży go. Nie widział drugiego spojrzenia. Wściekłość nagle ustąpiła i oko Szymona patrzyło nań już tylko z serdeczną i posępną pogardą. Lecz Marek oczekiwał każdej chwili, że zeznania jego przerwie jakieś wyzwisko. Upłynęło kilka chwil, zanim się opanował. Po dziecinnym plątaniu się, nie bojąc się już ataku cyklopa, a z drugiej strony dotknięty do żywego przez tłumione chichoty z jego niezręczności językowych, chichoty, które raczej podsycała, niż tłumiła ironia przewodniczącego, Marek zaczął się stawiać hardo. Jak nieraz ludzie nieśmiali, gdy poczują proch – na-

brał nagle odwagi. Przeskoczył od razu wszystkie szranki rozsądku. Zaczął nie tylko bronić (czego nie żądano od niego), lecz wychwalać Szymona z wyzywającą gwałtownością. Na pierwsze próby powściągnięcia go odpowiedział jak czupurny kogut, atakując społeczeństwo. Sucha, karcąca interwencja prokuratora zamknęła mu usta i utarła nosa. Stropiony, zmuszony do cofnięcia się, kogucik spadł – po swym nieudałym wzlocie na podciętych skrzydłach – do kałuży i zaplątał się znowu. Skrócone zeznanie skończyło się bez efektu. Odchodząc, upokorzony, rzucił Marek raz jeszcze wstydliwe spojrzenie na Szymona; oko Szymona patrzyło nań z czułym szyderstwem; zdawało się mówić: „Biedny dzieciak!" Zmieszany, ale wzruszony, Marek skinął mu mężnie głową. Szymon pożegnał go podnosząc rękę ruchem protekcjonalnym i familiarnym.

W pomieszaniu swym nie wiedział Marek, co działo się potem, jakie przyjęcie zgotował Polifem Janowi Kazimierzowi. Stara nienawiść nie osłabła. Ledwo Szymon, ciałem naprzód podany, spostrzegł delikatną twarz o kobiecych rysach, warknął. Oplwał dawnego przyjaciela. W kilku słowach okrył go sromotą. Adwokat, rzucając się na ratunek, chciał zatkać mu gębę. Przewodniczący groził, że każe mu wyjść, jeśli nie przestanie lżyć świadków. Szymon odpowiedział zuchwale, że „nie pozwala się bronić", i zwymyślał wszystkich świadków od „warujących psów", a zeznającego od „suki". W końcu udało się zmusić go do milczenia. Z szyderczym uśmiechem zgodził się słuchać. Jan Kazimierz, blady, wyniosły, zaczął zeznawać jasno, chłodno, dobitnie. Przybierał ton obojętnej przedmiotowości, której wszystkie obmyślane posunięcia mogły służyć do obrony oskarżonego, pomniejszając go, przedstawiając jako wykolejonego chłopa, ofiarę szlachetnej i głupiej złudy demokratycznej, odrywającej od ziemi nieokrzesanego wieśniaka i zaprzęgającej go w szkołach do parania się myślami, którym jego umysł nie może oddawać się bezkarnie. Oświadczył, że dawne, epokowe określenie Barrèsa: *Les Déracinés* należałoby zastąpić ściślejszym: *Les Désorbités*[197] i że prawdziwie odpowiedzialnym za to rozprzężenie był system, a nie spaczeni przez niego ludzie – narzędzia systemu. Taka teza pochlebiała skrywanej próżności słuchających mieszczuchów. Chętnie zachowywali sobie (*in petto*) przywilej jedynych posiadaczy cywilizowanego rozumu. Mówiąc wodził Jan Kazimierz od czasu do czasu zimnymi i przenikliwymi oczyma po członkach trybunału, zatrzymywał je powoli, obojętnie na wzburzonej, nabrzmiałej wściekłością twarzy Szymona, oceniając ją jako przedmiot, i wracał do innych przedmiotów nie przerywając toku swych krótkich, nienagannych zdań. Pochlebne słowo przewodniczącego i nieme fale ogólnej sympatii nagrodziły wywody świadka.

Lecz nagle stała się rzecz niespodziana. O przesłuchanie poprosił ojciec oskarżonego. Chociaż otrzymał w swym Causses wezwanie, znając go, nie liczono bardzo na to, że ten zasiedziały chłop oderwie się od swych kamienistych pól dla tak niewdzięcznej roboty. Zdecydował się w ostatniej chwili. Spodziewano się oczywiście, że stanie w obronie syna. Ale zanim jeszcze wyrzekł pierwsze słowo, cała sala zadrżała. Dwaj mężczyźni, ojciec i syn, stanęli naprzeciw siebie oko w oko i wykrzywiając usta mierzyli się straszliwym wzrokiem. Powiew nienawiści przeszedł nad wszystkimi głowami. Podniósłszy rękę do złożenia przysięgi, w śmiertelnym milczeniu sali, stary zaczął mówić.

[197] *Les Déracinés* – tytuł powieści Maurice Barrèsa. *Dèracinès* – wyrwani z korzeniami, tu w znaczeniu: wyrwani ze swego środowiska; *désorbités* – wykolejeni.

Był, podobnie jak jego syn, ciężki i przysadzisty, niby siekierą wyciosany w kamieniu; szeroka pierś wspierała się na krótkich, masywnych ramionach, wielkie ręce wpijały się w stół jak kleszcze; stopy, których nie było widać, musiały równie mocno trzymać się ziemi. Nie przyglądano się głowie. Była członkiem jak tamte cztery. Kamień krzyknął: ochrypły głos i tłumiona wściekłość nie pozwalały mu mówić spokojnie.

– Panowie sędziowie, nie przyszedłem was prosić, żebyście uratowali tego człowieka. Przychodzę powiedzieć wam: „Pomścijcie mnie na nim." Od dnia gdy wyszedł z łona swej biednej matki, która przypłaciła to życiem, był moim nieszczęściem. Sprawiał mi tylko zmartwienia. Za dumny, żeby pracować rękami, wstydził się, że jest chłopem, wolał rozwalać się na ławie i tylko nabijał sobie łeb tymi przeklętymi, pełnymi plugastwa książkami, które uczyły go lżyć wszystko to, co należy szanować. Zapytuję was, wy paryscy panowie, co sobie myślicie zatruwając tak naszych chłopaków. Gdyby to ode mnie zależało, cisnąłbym na gnój wszystkie te papierzyska, wszystkie podcierki tych pismaków. Pocieszałem się myśląc, że może ten plugawy towar przyda mu się na coś. Chełpił się, że ma widoki zostać kiedyś jakimś ministrem. Został, widzicie, czym: szubienicznikiem. Bardzo możliwe, że jedno wiedzie do drugiego. On utknął w drodze. Trzymajcie go sobie. Nie chcemy go wam odbierać. Dość napsuł nam krwi. Nie ma człowieka w rodzinie czy we wsi, od którego nie wyciągnąłby pieniędzy. Gdyby można opisać sposoby, jakich ten łotr używał, żeby doić ludzi, byłoby już za co wysłać go do Nowej Kaledonii. Tylko ze mną nie udało się. Znam go. Nie dam się nabrać.

Szymon otworzył ogromne usta i krzyknął:

– Dałeś się... Stary rogaczu!

Wybuch nerwowego śmiechu zatrząsł salą. Napięcie zelżało. Trafił: zachowanie starego wskazywało to wyraźnie. Daremnie rzucał się i krzyczał. Dowodziło to tylko tym bardziej, że cios był celny. Wśród zgiełku, który nastąpił, zanim przewodniczącemu udało się przywrócić ciszę, łatwo było odtworzyć sobie wiejską tragikomedię, która wywołała wściekłą walkę między powtórnie żonatym Tezeuszem a jego Hipolitem[198]. Hultaj skalał jego gniazdo; co więcej, widać było, że Fedra dopuściła go nie tylko do łóżka, lecz i do kabzy. Stary za nic w świecie nie chciał się do tego przyznać. To, że był okradany, wściekało go jeszcze bardziej niż przyprawione rogi. Ale nie chcąc tego dać poznać po sobie – przeczył wszystkiemu. Tymczasem sam złodziej to wyjawił.

Odtąd było dla wszystkich jasne, że stary chce wydać swą krew katowi. Czekano...

Nie czekano długo. Gdy dano mu znów głos, stary potrząsając zaciśniętymi pięściami wołał:

– Nie odpowiadam za jego paskudztwa. Mam tego dość. Nie znam już tego łotra. Zbezcześcił nas wszystkich. Niech mi Bóg przebaczy, żem go spłodził. Panowie sędziowie, on do was należy. Spełnijcie swój obowiązek. Ja swój spełniłem. Zmyjcie ten kał ze mnie.

Całym ciałem zwrócił się ostatni raz w stronę syna, z czołem spuszczonym, z groźnym spojrzeniem. Splunął na ziemię, odwrócił się i drobnym truchtem, rogami naprzód, uciekł. Wśród hałasu słychać było prokuratora, który nazywał go „Rzymianinem", i ryczącego Szymona, który dusił się od śmiechu. Nastą-

[198] T e z e u s z i H i p o l i t – aluzja do mitu greckiego, według którego Fedra, małżonka Tezeusza, rozkochała się w swym pasierbie Hipolicie.

piło wrzaskliwe starcie między nim a przewodniczącym. Szymon chciał wyładować swój żal do ojca, który kiedy on walczył z nędzą, wolał widzieć, że zdycha syn niż jego świnia; nieużytość tego łotra popchnęła go do zbrodni. Aby się zemścić, chciał nie tylko odsłonić oszustwa starego na szkodę skarbu, lecz bez żenady przedstawić tłusty kawał, który mu spłatał z macochą. Publiczność na to tylko czekała. Ale sąd sprzeciwił się: osłaniał swoją tarczą w braku cnoty (trudno by było ją znaleźć) – kodeks. Wściekły zuchwalec nie chciał milczeć. Urągał przewodniczącemu, byłby się chwycił za łeb z adwokatem, gdyby nie przeszkadzały mu kajdany. Aby położyć kres awanturze, trzeba go było wyprowadzić.

Mowy prokuratora i obrońcy, po tym, co zaszło, nie robiły już żadnego wrażenia. Wezwano Szymona ponownie dla wysłuchania wyroku. Nikt nie miał wątpliwości. Jednogłośne: Tak. „Winny" – „w mej duszy i sumieniu". Bez okoliczności łagodzących. Kara śmierci.

Szymon, czerwony, lecz obojętny podczas czytania wyroku, utkwił swe ogniste oko w sędziach, zmierzył ich wszystkich okrutnym spojrzeniem i rzekł:

– Żałuję, że nie ma we Francji tuzina takich jak ja, by wypruć wam wszystkim bebechy.

Wyprowadzany z sali, ryczał:

– Mordercy!... Macie moją głowę. Zeżryjcie ją!

Publiczność ryczała z nim razem. Wpadła, zdawało się, w szał. Nigdy jeszcze żadne widowisko tak jej nie wzięło. Oto prawdziwy, tak poszukiwany „teatr ludowy". Tu przynajmniej zabija się naprawdę. Sfora nie myli się: czuje krew. I ujada. Kobiety wpadały niemal w konwulsje. Bez różnicy klas. Zbratano się. Bladego Marka, którego ciągnął Jan Kazimierz, chwyciła zmieniona do niepoznania i ogromnie podniecona Betta, wylewając potok słów bez związku, śmiejąc się i płacząc. W pewnej chwili Jan Kazimierz, który obserwował dziewczynę, podtrzymał ją, gdyż była bliska omdlenia. Posadził ją na stopniu schodów. Prawie natychmiast odzyskała przytomność tego, co jej zastępowało umysł. Po to, by dostać mdłości. Marek był też tego bliski. Sprowadzili ją ze schodów. Na dole, w kącie, zwymiotowała. Jan Kazimierz po bratersku trzymał jej głowę. Chciał ją odprowadzić, ale nie mógł opuścić Marka. Wsadził oboje do taksówki i podał adres Betty. Ale ona zaprotestowała z niespodzianą siłą: zażądała, aby odwieźć ją do Ruche. W drodze zwymiotowała znowu. Jan Kazimierz zaprowadził ją do Ruche; po chwili wrócił do taksówki i odwiózł Marka do swego hotelu. Marek, rozbity, nie sprzeciwiał się; nie śmiał otworzyć zaciśniętych ust: serce wzdragało się przed słowami. Nie wiedząc jak, znalazł się w pokoju kolegi na szezlongu. Jan Kazimierz powiedział:

– Połóż się.

Marek wstydził się. Udawał twardego.

– Dobrze grali! – rzekł. – Napatrzyliśmy się za swoje pieniądze!

Jan Kazimierz nie dał się zwieść. Był zbyt delikatny, by wrócić do tego tematu. Patrzył na kawę gotującą się w eleganckiej maszynce podróżnej. Kazał mu ją podziwiać; i kiedy chłonęli unoszący się z filiżanek aromat, przybrał swój uśmiech arlekina i spytał:

– Z kimże to Betta...?

– Nie rozumiem.

– Przypatrzyłeś się jej?

– Biedna dziewczyna! Niedobrze wygląda. Schudła.

– Nie w brzuchu.

Marek krzyknął. Zrozumiał. Nie mówili już tego dnia o Szymonie.

*

Na trzeci dzień wieczorem odwiedził Marka młody człowiek, którego brzydka, niewdzięczna, wygładzona twarz nie była mu obca. Zanim ją zidentyfikował, przybyły wymienił swe nazwisko: adwokat Szymona. Nie wyrażał się zbyt zręcznie, mowa jego pozbawiona była wszelkiego uroku. Ale okazywał szczere wzruszenie. Oświadczył, że klient jego nie chce podpisać prośby o ułaskawienie i że koniec jest bliski, a Szymon, daremnie naglony o wyrażenie swych ostatnich życzeń, przywołał adwokata w chwili, gdy ten już odchodził, i oświadczył, że miałby ochotę zobaczyć Marka.

Marek ochoty nie miał. Przejął go lęk. Lecz rzekł zdławionym głosem:

– Pójdę do niego, jeśli to możliwe.

Miał nadzieję, że to nie będzie możliwe.

Adwokat rzekł, że zapewnił sobie potrzebne upoważnienie i jeśli Marek się godzi, mogą udać się natychmiast do więzienia: taksówka czeka na dole. Jutro jest już niepewne.

Marek wstał.

– W takim razie, chodźmy!

Adwokat widział jego niepokój i rozumiał go. W taksówce starał się wyrazić niezgrabnie współczucie, jakie w nim budził jego klient; wiedział z góry, że sprawa stracona – dlatego mu ją zresztą oddano; a on ją przyjął, gdyż sam poznał rozpacz, w jaką nędza, nie dająca się nigdy zaspokoić żądza użycia i okrutne opuszczenie przez bliskich mogą wtrącić wykolejonego wieśniaka w powojennym Paryżu. Gorycz jego była głęboka, ale pozbawiona siły. Człowiek ten urodził się zwyciężony. Nie było dobrze znajdować się pod jego opieką. Marek, który słuchał słysząc niewiele, odsunął się instynktownie.

W więzieniu otrzymano już rozkaz. Przepuszczono ich. U drzwi celi adwokat uścisnął dłoń Marka i pozostawił go samego. Marek wszedł jakby do grobu.

Białe, nieżywe światło padało przez wysoko umieszczone okno, zakratowane i matowe. Nie było wcale cienia. Cień to życie.

Umarły stał w kącie. Podszedł do Marka, który stanął jak wryty na progu a cofnąwszy się mimo woli pół kroku, uderzył plecami o zamknięte drzwi. Szymon spostrzegł jego przestrach i zaśmiał się szyderczo:

– Boisz się?... Uspokój się, mój chłopcze. Nie z ciebie chcą zedrzeć skórę... Twoja skóra, szczęśliwcze, do ciebie należy.

Marek zaczerwienił się. Rzekł ze wstydem i bólem:

– Szymonie, sądzisz, że chodzi mi o moją skórę. Mój Boże, mój Boże, cóż ona warta!

Szymon rzekł dobrodusznie:

– Niedużo. Mimo to pilnuj jej! Do twarzy ci w niej.

Stał przed Markiem z rozstawionymi nogami, kołysząc zwisającymi rękoma. Marek, który nie miał dotąd odwagi spojrzeć nań, podniósłszy oczy ujrzał ostrzyżoną czaszkę i grubą twarz uśmiechającą się doń bez złośliwości. W porywie wyciągnął ręce, które trwożne kryły się dotąd za plecami. Szymon pochwycił je.

– A tom ci zadał bobu!... No i co ty na to?... Wiedziałem! Właśnie dlatego to zrobiłem... Założyłem się z sobą samym o moją głowę, że nie przyjdziesz... Przyszedłeś. Przegrałem. To cała wygrana...

– Szymonie – rzekł Marek drżącym jeszcze głosem – czym mogę ci pomóc?

– Niczym. Tym, że tu jesteś. Dowodząc mi, że w tym lupanarze, w świecie opuszczanym przeze mnie, jest chłopak, który nie sprzedał się jeszcze zupełnie, który się nie zapiera siebie, który się mnie nie zapiera... Niepotrzebnie drżysz... Tak, drżysz... Jak w sądzie... Nie byłeś silny! Przestraszyli cię. Bałeś się, poprosiłeś spiesznie o przebaczenie, cofnąłeś to, co powiedziałeś... To nic, powiedziałeś jednak. Sam wobec wilków, żbików i świń... I to nieźle jak na młodego chłopca! Jestem ci wdzięczny za to. Masz w swych flakach więcej przyzwoitości niż całe to stado razem.

Marek był bardziej upokorzony niż pogłaskany. Cofnął się nieznacznie, żachnął się i odparł gorzko:

– Dziękuję za świadectwo przyzwoitości!

– Myślisz, że nie mam kwalifikacyj do wydawania go? Mylisz się, mój drogi. Znam się na tym!... Nie nazywam przyzwoitym skastrowanego barana. Mogłeś zbrudzić swe runo w posoce i krwi – jesteś uczciwy, skoro nie uciekasz, skoro nie mówisz tchórzliwie: „To nie ja", jeśli plujesz im w pysk: „Ja! *Me, me! adsum, qui feci!*[199]" Jeżeli przyjmujesz na siebie odpowiedzialność.

– I ty ją przyjmujesz? – spytał Marek.

– I ja ją przyjmuję. I gdybym miał to zrobić po raz drugi, zrobiłbym to... Zrobiłbym drugi raz lepiej.

Marek nie miał ochoty dyskutować. Mruknął:

– Po co?

– Po co żyć? Żyć to zabijać lub dać się zabić.

– Nie! – zawołał Marek robiąc obronny gest rękami, jak dziecko.

Szymon patrzył nań z uśmiechem politowania.

– Cielaku! Trzeba ci jeszcze krowiego cycka... Dobrze! Ale i tak rogi kiełkują pod twym czołem.

– Na arenie byk jest zawsze z góry skazany.

– To staraj się przynajmniej, by widowisko było piękne, i wypruj bebechy matadorowi!... Ja, idiota, zaplątałem się rogami we wnętrznościach koni... Ty zrobisz lepiej.

– I wezwałeś mnie, aby mi to powiedzieć?

– A tak – rzekł cyklop prostując się w całej swej wysokości. – To mój testament dla społeczeństwa.

– Zapisujesz mu potwora?

Jedyne oko błysnęło wesoło, złagodniało. Szymon ściskał swymi twardymi pięściami chude ramiona młodego przyjaciela.

– Biedny potworek! Boi się własnego cienia... Na próżno się wzdragasz, znam ciebie, będziesz walczył... Czy chcesz, czy nie chcesz!... Kto rodzi się bykiem, umiera bykiem. Nie trzebią go... Ale to twoja rzecz! Nie potrzebuję się

---

[199] *M e, m e! adsum qui feci!* (łac.) – to ja, ja wszystko to uczyniłem. Słowa z ks. IX *Eneidy*. Cytowane przez wielu pisarzy, oznaczają wzięcie na siebie odpowiedzialności czy przyjęcie kary zagrażającej komu innemu.

tym zajmować... Jeśli cię wezwałem, mój chłopcze, to dlatego (nie będę w takiej chwali kłamał), że mimo wygarbowanej skóry, serca twardszego niż pięści, nienawiści do ludzi i żalu, że nie wysadziło się całej tej budy w powietrze, uchodząc z niej człowiek czuje chwilami słabość w nogach, a na języku, suchym języku bydlęcia, chęć polizania raz jeszcze sierści drugiego byczka...

Patrzył na Marka, który chciałby ujść temu spojrzeniu, Czuł drżenie jego ramion pod swymi palcami. Szepnął mu z niezgrabną czułością:

– Czy byłoby ci bardzo przykro pocałować mnie?

Marek pocałował go, półżywy.

– Dziękuję. Odejdź! – rzekł Szymon. – Ciebie jednego kochałem.

Marek nie mógł trafić do drzwi. Mocna dłoń Szymona podprowadziła go ku nim po bratersku. Nie miał nawet siły odwrócić się, by pożegnać człowieka, który miał umrzeć.

*

Nazajutrz spadła głowa.

Marek w tych dniach więcej niż kiedykolwiek wynurzał się z każdą swą myślą przed matką. Dla dusz sobie bliskich nieobecność jest największym dobrodziejstwem – uwalnia je od zawstydzenia, przełamuje między nimi wszystkie zapory.

Była to dziwna korespondencja. Nikt by nie powiedział, że to syn i matka. Oboje czuli się na marginesie społeczeństwa. Byli nie tylko wyzwoleni w głębi serca z jego przesądów, z jego konwencjonalnej moralności i praw (tysiące mężczyzn i kobiet są dziś od nich wolne), ale złączeni przymierzem, w zjednoczeniu, stworzyli sobie nieomylnym instynktem swe własne prawa, swój pakt duchowy – pakt tajemny, podyktowany przez naturę matki i dziecka, w dżungli. W miarę jak małe rosło, zmienił się charakter stosunku: matka ustąpiła niepostrzeżenie miejsca starszej siostrze – miejsce to jest bliższe: gdyż siedzą teraz na tym samym brzegu i rzeka nie płynie już pomiędzy nimi. Gaszą w niej razem pragnienie; jedno przynosi drugiemu plon łowów – swe doświadczenia w dżungli. Dzielą je z sobą, i świeże, i dawne; i wcale nie najdawniejsze wydają się młodemu najmniej nowymi; ani najświeższe nie są dla starszej siostry najmniej istotnymi.

Marek opisał matce cały dramat, o który życie jego otarło się tak blisko, iż zdawało mu się, że nóż gilotyny spadając gwizdnął tuż koło jego ucha. Pisał, że jeśli nóż nie ściął jego, jest to rzecz przypadku: Szymon mógł być Markiem, a Marek Szymonem; rozpacz i obłęd, zbrodnia – tkwią w każdym z nas: jeden opiera się, drugi ulega, czy wiadomo, dlaczego? „Był to on, mogłem być ja. Nie mam prawa nikogo potępiać..."

Nie zdziwił się, gdy mu Anetka odpisała:

– „Nie, ani ty, ani ja nie mamy prawa potępiać tego nieszczęśliwca."

Mówiła o Szymonie z wyrozumiałą litością. Lecz dodawała (serce jego zadrżało):

„Ale nieprawdą jest, mój Marku, że on mógł być tobą albo ty nim. Jesteś tym, kim jesteś: sobą... Moim owocem... Może on spaść z drzewa... Lecz nie może być robaczywy... Zbrodnia i sromota czają się, tak, wiem o tym, w tobie, we mnie. Ale nie wejdą do naszego łoża. Daremnie by cię kusiły. (Kusiły cię...

Nie powiedziałeś mi tego wcale, lecz domyślam się... I skąd wiesz, czy mnie nie kusiły?...) Ale, dzięki Bogu, nie mogą nic przeciw nam!"

Markowi robi się gorąco. Drży... „Kusiły cię..." I tę kobietę także... „Kusiły ją!" I ona mu to mówi!... Jednym gestem zniweczyła jego tajemny lęk. Jeśli otarła się o te same przepaści i jest tak pewna swych kroków, jakżeby on, mężczyzna, nie miał być pewny swoich! Jednakże aby ją wypróbować, zapuszcza się w zwierzeniach dalej niż kiedykolwiek. Opisuje jej pewne chwile tego szaleństwa, które lęgnie się we wnętrznościach młodych mężczyzn, z którego budził się wstrząsany dreszczem, dysząc, z palcami skurczonymi, nad brzegiem podłości. Potem myśli: „Co ja napisałem!" Lecz ona odpowiada:

„Stałeś nad przepaścią. Widziałeś dno. To dobrze. Nic nie zaskoczy cię już niespodzianie. Urodziłam mego Marka, aby ryzykował. Ale urodziłam go też, by stawiał opór. Ryzykuj! Ja ryzykuję i ryzykowałam. Nie wszystkim pisano zgubić się."

I dodawała ze swym swobodnym uśmiechem, poważnym i filuternym:

„Próbowałam ze dwadzieścia razy. Nigdy mi się nie udało. I ty nie będziesz zręczniejszy. Zrezygnujmy, mój mały. Całuję cię!"

Czytając te słowa Marek tupał nogami z radości. Aż drżała szyba. Zdmuchnął z warg wstyd wraz z dymem papierosa.

– Idź do innych płuc!

Tego dnia, idąc ulicami, wdychał junacko skażone powietrze miasta. Mówił:

– Mam swoje powietrze. Mam pod nogami swój ląd stały. Mam w sobie krew mojej matki – moją Rivière!

Lecz rzeka nie była złotodajna. A życie było ciężkie tej zimy. Szczęście nie sprzyjało zgoła odwadze Marka, a od niedostatku cierpiało jego zdrowie. Nie chciał prosić matki o pomoc i nawet z niedorzecznej miłości własnej odmówił przyjęcia pieniędzy, które mu ofiarowywała. Przede wszystkim nie był pewny, czy sama nie klepie biedy. Po drugie, ten głupi mały kogut uważał za niedopuszczalne przyjmowanie pieniędzy od kobiety... Czyż matka nie jest kobietą?... Dla niego, tak... W liście odmownym zażądał sucho: „Nie nalegaj!"

Nie nalegała... Ci głupi mężczyźni!... Cieszyła się, że był mężczyzną.

Lecz nie przyjmując od Anetki pieniędzy, potrzebował jej myśli; gdyby nie nosił jej w sobie podczas tej ciężkiej zimy, byłby bardzo odczuwał samotność i zimno. Grzał się przy niej jak przy ogniu niewidzialnym dla nikogo. Nawet dla mej, jak mu się wydawało. Ale nazbyt była z nim związana najtajemniejszymi włóknami, aby nie widzieć w pewnych słowach, twardych i zwartych jak bryły węgla, ziarenka skoncentrowanego ognia. Zgadywała niejasno, że jest przedmiotem potężnej i czystej, nieomal religijnej egzaltacji. Uważała ją za niedorzeczną, ale w głębi serca żywiła za nią pokorną wdzięczność. Walczącym trzeba złudzenia miłości i czci... „*Non sum digna...*[200] Ale dziękuję ci, mój mały rycerzu."

Ta dziwna komunia dusz, która ich łączyła i o której nie mówili, przeniosła młodego zapaśnika przez czarne i lodowate wody tych miesięcy samotności i niedostatku tak, że nie zatonął... Ale było mu bardzo zimno w nogi! I jednej nocy, gdy wracał do domu później niż zwykle, a odgłos jego kroków rozlegał się w pustej ulicy, poprzez mgłę spostrzegł w załomie źle oświetlonego chodnika jakby znajomą postać. Skręcił nagle w bok, by widzieć nie będąc widzia-

[200] *Non sum digna* (łac.) – nie jestem godna.

ny. Nie mylił się: to była ona – Ruche. Ukryta za zamkniętym kioskiem z gazetami, by nie padało na nią światło elektrycznej latarni, pilnowała bramy domu. Stała jakby na czatach, skulona, z głową wysuniętą z kryjówki. Marek zatrzymał się, przyczajony o kilka kroków dalej. Ulica była pusta. Zegar wybił pierwszą po północy. Ruche nie ruszała się z miejsca. Spojrzenie jej utkwione było w zamkniętej bramie. Drzwi rozchyliły się. Ruche już miała wypaść – jej prawe ramię wynurzyło się z cienia, celując, lecz natychmiast cofnęło się... Człowiek, który wyszedł, nie był tym, na którego czekała... Zaczaiła się znowu, nasłuchując oddalających się kroków obcego. I Marek cofnął się także. Ale widział ruch ramienia i rozumiał teraz. Podszedł bez szmeru, okrążył kiosk i chwycił ją. Rzuciła się w strachu i gniewie i zaczęła szamotać się bez krzyku, wpijając w napastnika paznokcie. Marek wyrwał jej broń, wykręcając rękę w napięstku. Przycisnął ją mocno do muru i podczas gdy, pochylona, gryzła go w rękę, szeptał nad karkiem rozwścieczonej dziewczyny:

– Ruche! To ja! Marek! Dziecko, nie bój się!... No, puśćże!

Po krótkiej, lecz gwałtownej walce szalona dziewczyna uległa, zwyciężona. Ostatnie szamotania uspokoiły się w ataku szlochu. Marek przycisnął, zalaną łzami, do piersi.

– Cicho już, cicho!

Podniósł jej głowę; nie mogąc wydostać chustki, gestem niańki otarł jej policzki i nos palcami; nie sprzeciwiała się, złamana. Nasunął na czoło przekręcony beret, zapiął płaszcz, a widząc jej zupełną bierność wziął ją pod rękę i trzymając mocno, pociągnął za sobą. Szła jak lunatyczka... Dokąd szli? Nie wiedzieli. Ona nie wyrażała żadnego życzenia. Szła tam, gdzie on, bezwiednie przechodziła przez ulicę, posłusznie skręcała na prawo, na lewo. Cóż ją to obchodziło? Mogła równie dobrze leżeć na dnie wody. Marek mówił machinalnie coś, czego nie rozumiała ona ani on sam. Pytał się w duchu: „Co z nią zrobić?...” – Odprowadzić do domu? Zostawić ją samą w tym stanie nie było rzeczą ludzką ani rozsądną. Kroki zawiodły go do hotelu przy rue de Cujas. Przed bramą zdecydował się:

– Wejdź!

I pomyślał głośno:

– Na każdego przychodzi kolej!...

Teraz on miał dać przytułek zrozpaczonej. Nie stawiała oporu. Bez gestu odmowy czy zgody weszła. Znalazłszy się w nędznym, brudnym, nieporządnym pokoju (on wstydził się, ale ona nic nie widziała) stanęła bez ruchu. Posadził ją na swym łóżku; robiła wszystko, co kazał, bez sprzeciwu, z ramionami opuszczonymi i bezwolnie zwisającymi dłońmi. Zmarszczył brwi, zagryzł wargi i zdecydował się. Zdjął jej beret, rozpiął płaszcz, potem zdjął buty i ułożył dziewczynę na łóżku. Ciało uległo nerwowej reakcji i drżało z zimna. Marek szepnął:

– Wejdź do łóżka!... Posłuchaj mnie!...

Podniósł ją, by rozścielić pod nią łóżko. Pozwoliła się rozebrać, z oczyma otwartymi, z nieprzytomnym spojrzeniem. Jej chude plecy nie czuły dotknięcia niezgrabnych palców, które zdejmowały z niej ubranie. Przykrył łóżko wszystkim, co miał w kufrze ciężkiego i ciepłego. Grzejąc wodę na maszynce spirytusowej siedział przy łóżku i wsunąwszy rękę pod kołdrę rozgrzewał przez pończochy palcami jej zlodowaciałe stopy. Oboje pogrążeni byli w drętwocie wyczerpania. Wyrwał go z niej syk wody przelewającej się na płomień. Wstał,

przyrządził grog i podniósł głowę leżącej, by dać jej wypić kilka łyków. Płyn zrazu wylał się jej z ust, pociekł po brodzie i szyi; sparzona, obudziła się. Spojrzała wreszcie na Marka oprzytomniałym wzrokiem. Widziała jego niespokojne oczy, dymiącą filiżankę w ręce, niezgrabne ruchy, którymi starał się wprowadzić w jej usta łyżeczkę. Jak dziecko otworzyła wargi i przełknęła. Lekki rumieniec zjawił się na jej policzkach. Niepewnym ruchem ręki odsunęła napój. Marek, ucieszony, że wraca jej życie, ujął mocno jej skronie rękoma mówiąc:

– Teraz śpij! Ciepło ci?

Niemal w tej samej chwili zauważył brudną poszewkę poduszki i zmieszał się bardzo. Nie kryjąc tego powiedział:

– Przepraszam!

i poszedł po czystą serwetkę, by ją rozpostrzeć między poduszką i głową. Ten naiwny wstyd rozbudził Ruche zupełnie. Odwinęła róg serwetki, uśmiechnęła się nawet, wyciągając ją spod głowy, opuściła na podłogę i tuląc policzek do poduszki zamknęła oczy.

Marek czekał jeszcze chwilę, po czym widząc, że Ruche śpi spokojnie, ułożył się, jak mógł, na dwóch krzesłach i zgasił lampę.

W ciemności odezwał się głos Ruche:

– Ale jak ty prześpisz tę noc?

– Nie bój się. Dobrze mi.

– Nie możesz spać na krześle.

– To nie pierwszy raz.

– Przynajmniej przysuń krzesło do łóżka, żebyś nie spadł!

Ułożył się na dwóch krzesłach wzdłuż łóżka, nogami w stronę głowy Ruche głową dotykając niemal jej stóp.

– Tak, przytrzymuj je! – powiedziała Ruche. – To tak dobrze.

Ujął je. Po chwili znów się odezwała;

– Jesteś dobry.

– Nie wiem... Nie sądzę...

– Jeśli mówię „dobry", to tylko w porównaniu.

– Z kim?

– Z innymi psami.

– Ja też nim jestem.

– A ja suka.

– Tak, byłaś nią tej nocy.

– I nie potrafiłam wypuścić mu flaków!

Kopała nogami w łóżku.

– No, dość! Nie wierzgaj! Jesteś na uwięzi!

Ściskał ją mocno za kostki.

– Słuchaj, Marku, musisz się przynajmniej dowiedzieć... skoro los zrządził, że wdałeś się w moje sprawy...

– Nie potrzebuję niczego wiedzieć.., a zresztą, cóż to takiego? Głupia historia zawiedzionej miłości, jeśli to można nazwać miłością...

– Nazywam to tak... I cóż to znaczy, czy nazwie się to tak czy inaczej?... Chciał mnie i ja go chciałam. Wziął mnie i ja go wzięłam. I rzucił mnie, ma dość. Chce innej, bierze inną. Chcę go zabić...

Marek mruknął:

– Ruche, skończyłaś z tymi głupstwami? Nie będziesz zaczynać na nowo?

Ruche przełknęła ślinę, westchnęła głęboko dwa czy trzy razy, po czym rzekła:

– Skończyłam. Tak, nie udało się. Nie ma co powtarzać... Ale muszę ci to opowiedzieć, by sobie ulżyć, by się zemścić.

– Biedaczko, wszystkie te twoje przygody budzą we mnie wstręt. Daj spokój!... Zresztą, spać mi się chce śmiertelnie...

Ruche zaśmiała się nerwowo:

– Trudno... Umieraj, a słuchaj!... Wszystko mi jedno, czy będziesz czuł wstręt czy nie. I ja to czuję. Wytrzesz to nosem. (Chwyciła go za uszy i pocierała jego nos o kołdrę.) Zabawiłeś się w psa–wodołaza, wyciągnąłeś mnie z wody wbrew mojej woli... Tym gorzej dla ciebie! Aby ratować mnie ostatecznie, musisz ulżyć mej żółci.

– No, to zaczynaj – rzekł Marek z rezygnacją. Lecz po chwili już zasypiał. Ruche, siedząc na łóżku, pochylona nad nim, z wściekłością zaczęła swą historię i by przywoływać go do przytomności, potrząsała od czasu do czasu głową chłopca targając go za włosy rozgorączkowanymi palcami. Ale sen był silniejszy. Gromy te dochodziły do świadomości Marka już tylko jako nieco burzliwa kołysanka... Myślał o nocy na morzu... Ostatnim wrażeniem, które pozostało w nim, była świadomość dwóch stóp trzymanych w rękach, stóp, które kiedy mówiła, poruszały się bez przerwy kurcząc się jak dłonie.

Choć wiedziała, że Marek już od dawna nie słyszy, dokończyła swojej historii. I dopiero wtedy, syta zwierzeń, wyrzuciwszy je z siebie, ucichła. Młyn umilkł nagle – Marek poruszył się we śnie. Krzesło, na którym leżały jego nogi, zachwiało się. Ruche przytrzymała go za pasek i otoczywszy ramionami biodra wciągnęła chłopca do łóżka, obok siebie. Był zupełnie ubrany, lecz bosy. Złożyła jego stopy na poduszce, obok swej twarzy, a głowę Marka. u swych stóp. I zasnęła także. Tak spędzili noc obok siebie, ona pod kołdrą, on na kołdrze. Oboje śmiertelnie znużeni. Spali, jak spać można tylko w tym wieku, siedem godzin z rzędu bez poruszenia. Była jedenasta rano, gdy zbudzili się oboje w tej samej pozycji.

Marek, zdumiony, usiadł na łóżku i ujrzał swe stopy przy twarzy Ruche; podciągnął je szybko pod siebie i wyjąkał:

– Przepraszam cię, przepraszam!

Ruche zaśmiała się i rzekła:

– Dziękuję!

Siadła, jak on, na piętach. Patrzyli na siebie przykucnąwszy na łóżku jak dwaj bonzowie.

– Wstyd mi... – powiedział Marek.

Ruche potarła swój nos o nos Marka.

– Wstydź się, wstydź, głuptasie!... Nie miałam nigdy wygodniejszej poduszki... Cóż za świetny sen! Jestem umyta, oczyszczona z żółci, która mnie zatruwała. Jestem pewna, żeś nic nie słyszał, nie pamiętasz nic z tego, czym cię uraczyłam tej nocy..

Marek zastanowił się.

– Ani słowa!

– Nic nie szkodzi. Wygarnęłam ci wszystko – cały zapas. I nic ci nie pomoże, mój drogi, przypomnisz to sobie po kawałku nie dziś, to jutro: bo mówiąc przyłożyłam usta do twojej czaszki i wsączyłam ci to w mózg!

– Ładny prezent!

– Cóż chcesz? Człowiek znajduje ulgę wtedy, gdy zrzuci swe brzemię na innego.

– I ulżyło ci?

– Zupełnie. Żołądek pusty. Serce swobodne. Jestem czysta i świeża.

– Więc dobrze. Już nic -nie powiem.

– Pamiętaj! Bo gdybyś poważył się teraz napomknąć o czymś, co się działo tej nocy, zaprzeczyłabym. Przeczę wszystkiemu... Spróbuj tylko... Nic się nie działo!

Wyzywała go. Stał zdumiony wobec pewności siebie tej uśmiechniętej i wypoczętej twarzy, na której nie było śladu nocnych przejść.

– Przeklęte baby! – powiedział. – Mają siedem dusz i siedem twarzy.

Ruche odrzekła:

– To jeszcze niewiele.

Ujęła w ręce jego policzki i uszczypnęła je:

– Mój chłopcze drogi... Mój mały... Jakiś ty chudy!... Ile ja ci jestem winna!... Czy możesz to sobie chociaż wyobrazić?... Nie próbuj nawet! Lepiej, że tylko ja zdaję sobie z tego sprawę.

– Ale ja także zdaję sobie z tego doskonale sprawę.

– Widzicie go!... Zarozumialec!... Głupi samochwał! Wymawia mi teraz oddane przysługi... Może każe mi jeszcze za nie zapłacić...

– Oczywiście! Nic darmo!

– Ty Żydzie!... Wymień cenę!

– Że zobowiążesz się wobec mnie nie zaczynać nigdy tej historii na nowo.

– Za każdym razem, zanim rozpocznę, przyjdę pytać cię o pozwolenie.

– A jeśli nie zgodzę się?

– Usłucham.

Nagle zaprzestała żartów. Głosem stanowczym i poważnym, ze śmiałym spojrzeniem rzekła:

– Dość tej zabawy!

– Zgoda! – rzekł Marek. – Zobowiązałaś się.

Podali sobie obie ręce.

– A teraz – powiedziała Ruche wyciągając nogi spod kołdry – chodźmy jeść! Jestem strasznie głodna...

Skoczyła na podłogę.

Marek był w kłopocie. W kieszeni miał płótno. Ruche domyśliła się tego. Dodała bezczelnie:

– Jesteś na moim utrzymaniu. Ja płacę.

Marek zaprotestował energicznie.

– Mój drogi, zrobisz, jak zechcę. Inaczej przepadło! Będę znów zabijać.

Marek opierał się.

– Zamknij gębę. Otworzysz ją, jak siądziesz do talerza.

– Ruche, chcesz mnie upokorzyć.

– Oczywiście! To ci wyjdzie na zdrowie. Pycha cię rozpiera. Trzeba jej upuścić krwi. Urządziłeś mi pranie. Teraz moja kolej!... I powiedz mi, czy nigdy nie jadłeś za pieniądze kobiety?

– Oczywiście, że nie.

– Doskonale! Zatem zjesz za moje.

Zatarła ręce, okręciła się na pięcie, wzięła go pod ramię, na schodach uszczypnęła i wyszła z nim na ulicę.

W studenckiej restauracji pożarli po kawale krwawego mięsa. Do zwykłego menu Ruche dodała jeszcze jedno danie: tłusty ser i stare dobre wino. Oczy jej błyszczały złośliwie i drwiąco. Nie trzeba jej było wyzywać! Marek nie sprzeciwiał się, zrezygnowany, zadowolony, z myślą tępą i odrętwiałą jak nażarty pies łańcuchowy. Miło było raz najeść się do syta.

Gdy wyszli i Marek musiała udać się do pracy, Ruche zwróciła się do niego:

– Daj mi swój klucz.

Wieczorem zastał ją siedzącą w jego pokoju wśród koszul i skarpetek, które cerowała. Wszystkie jego szuflady i kufer były opróżnione. Papiery i rzeczy zalegały łóżko, dwa krzesła i podłogę. A nie wszystko było czyste. Gdzież tam. Marek rzucał brudną bieliznę w kąt szafy. Ruche wydobyła wszystko, uporządkowała, policzyła, przejrzała i nawet zrobiła pranie w miednicy. Koło okna na sznurze suszyły się flanele i chustki do nosa.

Marek chciałby zapaść się pod ziemię. Nic go tak nie bolało, jak ukazywanie nędzy swego ciała i bieliźnianych niedostatków. Usiadł na łóżku zakrywając oczy dłonią. Powtarzał żałośnie:

– Ach, nie, nie, nie!

Ruche rzekła dobrodusznie;

– No, no!... Czyż to nie naturalne?

Jęknął:

– Wszystkie te łachmany...

– Właśnie. Bardzo potrzebowały moich palców.

– Ale walać je tymi brudami!

– Myślisz, że nie są przyzwyczajone? Kobieta widuje gorsze!

– Nie powinnaś. Nie, nie miałaś prawa...

– Mam prawo, przywłaszczam je sobie. Musiałam po tej nocy odzyskać nad tobą przewagę. Odzyskałam ją dziś. Ależ się narobiłam! Powiedziałam ci przecież: „Urządzę ci pranie.” I urządziłam!... Ty brudasie!

Marek chciał uciec z pokoju, dławiąc się ze wstydu. Ruche odrzuciła robotę, nad którą siedziała, schwyciła go za ramię i przyciągnęła z powrotem:

– Mój drogi chłopaku... Lubię cię teraz tym bardziej.

Marek wciąż odwracał głowę. Ruche wzięła go pod brodę i obróciła jego twarz ku sobie.

– Głuptasie!... Jesteśmy braćmi, braćmi w nędzy.

– Bracia-biedaki – mruknął Marek śmiejąc się, wzruszony.

– Cóż może być lepszego?

Pomógł jej zebrać bieliznę. Zapadał zmierzch. Trzeba było zapalić światło.

– Dość na dzisiaj – powiedziała Ruche. – Zostanie tego dosyć jeszcze na jedno popołudnie. Przyjdę znów jutro.

– Jak to? – rzekł. – Odchodzisz?

– Oczywiście. Wracam do siebie.

Widziała jego żal.

– Tak, mój drogi. Nie można ryzykować dwa razy pięknej przygody dzisiejszej nocy.

Miał zakłopotaną minę. Zaśmiała się.

– Nie sądzisz? Kiedy raz cudem tak się udało, próbować drugi raz byłoby to kusić diabła.

– Ale diabeł właśnie chce być kuszony.

– Do licha... A cóż dopiero diablica.

– Więc?

– Więc nie.

– Masz słuszność. Za dużo było dobrego.

Palcem wsuwała włosy pod beret, spoglądając w lustro wiszące na oknie; za sobą widziała Marka.

– Dobry jednak z ciebie chłopak.

– I ty nie jesteś taka zła.

– Lecz wystarczająco, zapewniam cię, dla mych kochanków.

Odwróciła się przybierając groźną postawę.

– Więc my?

– Więc my... Właśnie... Co za szczęście, że nimi nie jesteśmy... No, nie rób grzecznej miny.

– Wcale jej nie robię.

– Ależ tak, kłamczuchu... I powiedz za mną: „Co za szczęście."

Wyciągnął do niej ręce. Ujęła je.

– Co za szczęście, że jesteśmy każde sobą i że trzymamy się za ręce.

Z kpiącym uśmiechem dodała:

– Trzymaliśmy się za nogi.

– Tyś po mnie chodziła, a ja po tobie. Jeśli nie jesteśmy przyjaciółmi, kochankami, czym jesteśmy dla siebie?

– Jesteśmy dla siebie ziemią. Tonęło się w bagnie, chwyciło się grunt pod nogami; stanęło się na ziemi. Teraz rozstanie. Na odchodnym, jeden raz – to zawsze można, pocałujemy się.

Pocałowali się serdecznie jak dwaj chłopcy.

– Ale wrócisz? – spytał Marek.

– Przecież muszę cię oporządzić, nędzarzu!... Zresztą, nie mówiliśmy dziś wcale. Jutro porozmawiamy.

*

Nazajutrz jednak nie rozmawiano. Gdy Marek wrócił spóźniony z pracy, Ruche już nie było – na stole leżał stos uporządkowanej bielizny i jedna para skarpetek z ogromnymi dziurami. Była to jakby wyzywająca karta wizytowa mówiąca: „Przyjdę jutro."

Przyszła. Była to sobota i mogli rozmawiać całe popołudnie. Siedziała na łóżku, on – okrakiem na krześle. Parzyli sobie palce papierosami zapominając o paleniu. Oboje od razu znaleźli ton zażyłości. Ruche zwierzała się ze swych tajemnic. Cóż za blaga, ci jej kochankowie. Nie miała innego poza tym, na którego czatowała owej nocy. Przyznała szyderczo z robionym cynizmem, że

w swym swobodnym i narażającym ją na tyle niebezpieczeństw życiu paryskim nie mogła nigdy zdecydować się na ten krok: w ostatniej chwili wstrzymywała ją jakby fizyczna odraza. – Przecież – buntowała się – nic mi nie brakuje, jestem zdrowa, odczuwam pragnienia ciała, nie boję się ich zadowalać, przekonałam się o tym na przykładzie tego idioty... Lecz czemu to musiało być właśnie z tym bydlęciem, z tym koniem (połamałabym bat na jego grzbiecie), a nie z kimś innym, kto mi przypada do gustu... na przykład z tobą?

Marek nie przerywał. Potem rzekł:

– W gruncie rzeczy jesteś kobieciną francuską, która zmusza się grać rolę dla niej nieodpowiednią. Upierasz się przy tym na złość, na przekór twym starym. Twoje miejsce byłoby w rodzinnym mieście przy ich boku... (Protestowała.) Nie jesteś stworzona do czatowania ze strzelbą po nocy na kochanków. Stworzona jesteś, by dzielić łoże z małżonkiem dobrym, jedynym na całe życie, i płodzić-z nim sumiennie dzieci... Co rok prorok... Widzę je u twoich piersi...

– Nie mam ich wcale. Dotknij.

– Małe krowy dają najlepsze mleko.

– Nawet nie krowa. Chuda koza, która biega po polach. I ty wyobrażasz sobie, że ona da się przywiązać do-płotu na całe życie!

– Jeśli zechcesz, zostaniesz w myśli kozą skaczącą, gryzącą, żującą przy innych płotach. Zdradzisz w myśli więcej; niż dziesięć razy swego męża. I nawet, dalibóg, nie widzę; w tym nic niestosownego, byś mu raz czy dwa przyprawiła rogi. Raz czy dwa w całym życiu to nic nie znaczy...

– Chciałabym ciebie w nich widzieć, zbóju.

– Nie, nie chodzi o mnie.

– Ale powiedz mi, Marku, powiedz szczerze, czy od czasu, jak się znamy, nie pomyślałeś ó tym ani razu?

– O czym?

– O tym, że przyprawię ci rogi.

– Nie, naprawdę nie. A ty myślisz o tym?

– Próbuję w tej chwili. Nie mogę.

– Nie jesteśmy stworzeni do jednego zaprzęgu.

– A jednak rozumiemy się tak dobrze. Ty jeden czytasz we mnie, a ja w tobie... To właśnie dlatego. Łączą się tylko ci, którzy nie znają się, nie widzą się zupełnie.

– Tak, na to trzeba ciemności.

– Ty ją znajdziesz, stworzysz ją sobie: jestem pewna. Wpadniesz w sieć tej, która najbardziej będzie ci mogła zaszkodzić. Nie chciałbyś prostej, solidnej, której byłbyś pewny. Byłoby ci zbyt jasno.

– To może prawda.

– Każde z nas dwojga zna lepiej przeznaczenie drugiego i to, co drugie powinno uczynić dla swego dobra. Ale, oczywiście, drugie nie uczyni tego.

– Więc nie pomyliłem się bardzo, przyznasz, mówiąc, czym powinna byś być, czym jesteś.

– Czym nie jestem. Tak, to życie, które prowadzę w Paryżu, zabija mnie, w tym masz słuszność. Urodziłam się Ruche, sobą, ulem, w szarawym słońcu Loary. Lecz te ogromne kopce termitów, ta pleśń zatrutych myśli napełniają

mnie wstrętem i grozą. Podpaliłabym je. Gazów! I skończyć jak najszybciej z tym paskudztwem.

– A więc wynoś się. Uciekaj. Wracaj do pól.

– Nie mogę.

– Czemu?

– Tam jest mój stary. Sprowokował mnie.

– Myślisz, że nauczka, którą mu dałaś, nie poskutkowała?

– O, już się go nie lękam. Jest chory. Zachowywałby się spokojnie. Bałby się tylko, bym nie wyjechała znowu.

– A więc?

– Więc on powinien zrobić pierwszy krok.

– Ma prosić o przebaczenie?

– Ustąpić.

– A jeśli tego nie zrobi, to nie ruszysz się?

– Z pewnością nie.

– Ośli upór.

– Kozi upór.

Zaczął reprymendę. Słuchała, milczała i przyznawała w duchu, że miał słuszność. Ale postanowiła trwać przy swej niesłuszności.

By zmienić temat – sąd Marka nie przestawał drążyć umysłu Ruche – opowiedziała mu o Becie. Ciąża omal że nie skończyła się tragicznie. Szalejąca mała mieszczka: która choć stan rzeczy uderzał w oczy, zapierała się tego niedorzecznie, nie umiała ani zgodzić się na ciążę, ani się jej pozbyć. Szczęściem czy nieszczęściem, upadek ze schodów uwolnił ją od niej, lecz omal nie przypłaciła tego życiem.

– Któż był tym hultajem? – spytał Marek.

– Ona sama nie wiedziała dokładnie. Jest dobra, słaba prosta, głupia, więc robili z nią, co chcieli.

– Kto?

– Wszyscy: Véron, Szymon, Chevalier, cała banda. Ty jeden ustrzegłeś się.

– Moja biedna Ruche! Rozumiem twoją nienawiść.

– Nie warto nawet nienawidzić. Trzeba wiedzieć, że w dżungli jest tylko jedno prawo: być silniejszym. Biada tym, którzy pozwalają wziąć nad sobą górę.

– Nie można trwać zawsze w obronnej postawie.

– Więc atakuj! Nie ma innego wyboru.

– A my w tej chwili?

Uklękła przed nim i złożyła twarz w jego dłoniach.

– *Treuga Dei.*

Pogładził ją lekko po głowie:

– Tak, trzeba z tego korzystać. Ratuj się, Ruche! Uciekaj z dżungli! Zostawisz w niej kości, swe białe kostki. To byłoby żałosne. Jesteś więcej warta, niż myślisz. Daremnie próbujesz mnie o tym przekonać. Nie wierzę ci.

Ucałowała wnętrze jego dłoni.

– Lecz cóż się nam wszystkim stało? Dostaliśmy bzika!

– Wszędzie zamęt. Wojna, wojny, dzikość naszych czasów, które zniszczyły wszystkie stare gniazda i wprawiły w szał mrówki. Odbuduj swoje gniazdo, skoro możesz. To najpewniejsze. Sądzę, że nie ograniczysz się do swego gniazda. Ale potrzebne ci ono. Aby je odbudować, trzeba zaczynać od początku. Stwórz sobie swą komórkę, swój plaster, a potem swój ul.

Ruche wstała, westchnęła, przyczesała włosy, gwizdnęła, przeciągnęła się, rzekła:

– Ojcze Marku, powinieneś głosić katechizm.

Parsknęła mu śmiechem w twarz, pociągnęła go za nos i wyszła.

Nie uczyniła nic, czekała. Pewnego dnia wróciła w żałobie.

– Stary umarł. Miałeś słuszność. Za długo czekałam. Wyjeżdżam. Za późno!...

Mówiła bez wzruszenia, lecz dostrzegł mękę i gorycz wyrzutów sumienia.

– Co się stało, nie odstanie się – rzekł ściskając jej rękę. – Moja Ruche, odwagi!

– Twoja Ruche, tak, zgoda, odbuduję ul. Postaram się... Lecz niepokoi mnie to, że ty zostajesz. Przyrzeknij mi przynajmniej, że kiedyś przyjedziesz...

– Dokąd?

– Do mego ula. Do mnie, do mojej rodziny, do mego domu.

– Przyrzekam, Ruche, szykuj miód.

Uścisnęli się.

*

Marek znów zanurzył się w kadzi. Przechodził wówczas ten szał młodości, „gdy serce twe zatraca się w huraganie, gdy wszystko dzwoni w tobie i drży..." – współżył z siłami żywiołów, których wzywał młody Prometeusz z Frankfurtu[201] z rozwianym włosem, w swym *Śpiewie wędrowca wśród burzy*. Marek nie miał, niestety, jego wspaniałego talentu lirycznego. Nie posiadał także przywilejów młodego bogatego *bourgois,* który zna wszystkie głody ducha, lecz nie zna głodu żołądka i nędzy wyczerpanego ciała harującego dla zdobycia chleba. Odczuwał swą rwącą jak potok siłę, swą jedność z Naturą, dobrą czy złą, jedność krwi...

Temu, którego nie opuszczasz, Geniuszu,
Ani deszcz, ani burza
Nie przejmą serca drżeniem.
Ten, którego nie opuszczasz, Geniuszu,
Będzie śpiewał pod ulewną chmurą,
Pod gradową burzą,
Jak ty, skowronku,
W wyżynie...
Ten, którego nie opuszczasz, Geniuszu...

[201] Prometeusz z Frankfurtu – J. W. Goethe. Cytowany wiersz jest fragmentem jego *Wandrevs Sturmlied.*

Geniusz–demon nie opuszczał go... Bił wściekle skrzydłami. Jednakże (dość kłamstw, poeci!) skowronek wzlata wzwyż i śpiewa tylko dlatego, że najadł się ziarna kradzionego w dole. Nie brakło ci go nigdy, Prometeuszu znad Menu! Ale Marek musiał go szukać dla siebie jak wróble paryskie w końskim nawozie. (A nawet nawóz staje się rzadki w mieście śmierdzącym benzyną aut.) Wyczerpywał się strasznie, nie mogąc nigdy zapewnić sobie pożywienia i wypoczynku wystarczających dla młodego ciała, które całe płonie. Wreszcie zdobył na pewien czas źle płatne i męczące zajęcie instalatora aparatów radiowych. (Jak wszyscy chłopcy w jego wieku – nawet najmniej skłaniający się do nauk ścisłych – bawił się w „mechanika".) Powiększył więc grono tych, którzy obracają tę nieprawdopodobną machinę do fabrykowania mieszaniny mózgowej nowego rodzaju ludzkiego, wtłaczając weń plątaninę hałasów, dźwięków muzycznych i ich pasożytów – sykania, zgrzytów, huków, trzasków elektrycznych, świstów, od których pękają bębenki. Wieża Babel kazań i reklam aptekarzy lub trybunów, jarmark polityki i estrady, jazzy i chorały, *passo doble*[202] i symfonie, jedno obok drugiego, jedno na drugim, po dwie, po trzy, po pięć warstw, defilada kornetów i trąbek (*Dieu! que j'aime les militaires!*[203]) z *Dziewiątą* Beethovena, parada wyborcza przy melopei Debussy'ego lub ryk komiwojażera z Tuluzy współzawodniczący z wrzaskiem mediolańskiego tenora... Defilująca rzędami fal abrakadabra wszystkich krajów, która czyni z map Europy układankę–puzzle, gdzie wszystkie języki, wszystkie rasy ugniatane są pod wałkiem w jedną miazgę – jedna rupieciarnia. Ale należy pomyśleć także – wszystko ma swoje dobre strony – o nadziemskiej ekstazie starych, samotnych Schultzów[204], nie opuszczających domu, których odwiedza w łóżku ta boska zwiastunka wysłana z dalekiego świata.

Marek, zaharowany, cały dzień zmuszony do manipulowania miechami Eola, wychodził z kadzi dźwięków z uszyma dzwoniącymi aż do obłędu. Tak jakby uszy młodego Zygfryda otworzyły się na wszystkie szumy lasu.[205] Lecz nie były to piękne, świeże bory nad brzegami Sihl, gdzie odpoczywało znużone ucho Wagnera. Marek słyszał harmonie wydobywające się z żelaznych sztab na wozie frachtowym, z szyn drgających pod tramwajem, z wszystkiego, co go otaczało, czego dotykał, ze zmiętej kartki, z drżenia szyb, od którego się wzdrygał, z powietrza, które szumiało w jego uszach... Nigdzie spokoju!... Nigdzie miejsca, gdzieby można się ukryć. Czy to jest muzyka sfer, którą przyrzekali nam wielcy kłamcy Grecji i Rzymu, z uszyma zatkanymi, tak mało muzykalni (nic nie słyszeli!). Miłosierna śmierć zwróci nam milczenie, da nam dobry, cichy grób.

Marek niszczył zdrowie używając eteru, z którym zapoznał go jakiś hultaj.. Miał kurcze i dławiły go zmory; w paroksyzmach rozprzężonej świadomości zatracał swe „ja" lub odnajdywał je zwielokrotnione, rozbite na cząstki, wśród zawrotnych wirów, bez punktu oparcia. Była to zresztą choroba świadomości europejskiej wynikła z nadmiernego, szalonego, bezowocnego wysilenia lat

---

[202] P a s s o d o b l e – nazwa tańca.

[203] *D i e u! q u e j' a i m e l e s m i l i t a i r e s!* (fran.) – Boże! jak ja lubię wojskowych!

[204] S c h u l t z – jedna z postaci *Jana Krzysztofa* R. Rollanda, zamiłowany muzyk.

[205] Jest to aluzja do jednej z przygód Z y g f r y d a w *Pierścieniu Nibelungów* Wagnera. Zdobywa on czarodziejski pierścień i zabija olbrzyma Fainera, uzyskując dzięki temu możność rozumienia śpiewu ptaków.

wojennych, i którą hodowali intelektualiści, jak hodują oni wszystkie choroby umysłowe. (Czyż sam umysł nie jest jedną z nich?) Istniała ona, od mórz Północy do mórz Afryki, u Joyce'a, u Prousta, u Pirandella i u wszystkich fletniarzy, przy których muzyce tańczą mieszczanie–szlachta, nowobogaccy inteligencji. Nie to było dziwne, że choroba owa istniała, lecz to, że zawodowi myśliciele, profesorowie i krytycy, poprzestawali na zarejestrowaniu i okadzaniu jej, aby okazać się „na poziomie", zamiast zareagować z całej siły, by ocalić zdrowie ducha europejskiego, którego strzeżenie było ich racją bytu. Marka mało pociągał neurasteniczny snobizm człowieka–androginy o aksamitnych, franko–semickich oczach[206], czy paralityczne wyuzdanie Irlandczyka[207]. Był on raczej narażony na zarażenie się chorobą rozkładu osobowości od Sycylijczyka Pirandella, gdyż w tym wypadku rozkładowi towarzyszy wybuchowa gwałtowność, która wiąże się z czynem i wyzwala go. Istniało między nimi pokrewieństwo temperamentów. Lecz to szaleństwo umysłowe – nieszkodliwe u pisarza, który się go wyzbywa (zwłaszcza gdy doszedł już do dojrzałości) – odbija się na ciele młodego człowieka, ledwo ukształconym, gorączkującym, niszczonym i wyczerpywanym zmęczeniem, postami i dręczącymi brakami, które grożą mu śmiercią.

Dzielny chłopak walczył, jak mógł, nie prosząc o łaskę, nie żądając pomocy. Bez tchu, z zaciśniętymi pięściami, pochylony nisko nad przepaścią, patrzył na ten straszliwy rozkład świata leżącego w dole grobowym, wdychał zgniliznę ziejącą z trupa cywilizacji – mdlejąc niemal z grozy i zaduchu, lecz przeszywany strzałami ognistymi – z wiarą ślepą i szaloną rzucał wezwanie i czekał, by z ust trupa wyrosła prosta i zielona łodyga, kołysząca ziarno nowego życia, nowego świata, który nadchodził. Gdyż przyjdzie! Musi przyjść...

„Czuję jego płomień w mych lędźwiach. Umrę lub zasieję go! Nawet gdybym miał umrzeć – zasieję. I wzejdzie!... On jest – ja jestem, żywy czy umarły – falą materii, falą ducha, która się odnawia, odradza wieczyście..."

*

Mały hotel w Quartier Latin ział gorączką. W nocy brzęczał jak rój much. Słychać było wszystko od góry do dołu: strzelanie drzwiami, trzaski łóżek i podłogi, idiotyczne śmiechy pijanych dziewek, kłótnie i uściski na materacach. Miało się wrażenie, że się w tym bierze udział. Wszyscy za każdego! Tonęło się w pocie wszystkich tych ciał. Szukało się suchego miejsca w swej pościeli. Spało w niej całe stado...

Marek ugrzązł tam ostatecznie z powodu biedy, wyczerpania, a nawet wstrętu. Przychodzi chwila, gdy wstręt jest tak mocny, że człowiek oddaje mu się, tonie w nim – nie wybiera się już między większym a mniejszym smrodem: oba śmierdzą. Wziął sobie pokój w kącie najdalszym od schodów, w głębi korytarza, przedostatni, dokąd dochodziło najmniej hałasu, ale i najmniej światła i powietrza. Żółte szyby okna, niemal zawsze zamkniętego, by uniknąć mdlącego zapachu, wychodziły na brudny mur podwórka, dokąd nigdy nie zaglądał promień słońca. Ostatni pokój, sąsiedni, zajmowała milcząca, cały dzień jak on nieobecna osoba, która wracała późno, zamykała się, pracowała,

[206] Mowa tu o Prouście.
[207] I r l a n d c z y k – Joyce.

czytała długo w noc, nie spała, jak on (słyszał najmniejsze ruchy poprzez cienką jak papier ścianę), zachowywała się bardzo cicho. Nie znałby dźwięku jej głosu, gdyby przez sen nie mówiła, jęczała, nawet krzyczała. Był to głos kobiecy, płynny, urywany, o bogatych żałosnych i gniewnych modulacjach. W pierwszych dniach, budzony przez potok słów, którego nie rozumiał, myślał, że nie mieszka sama, i walił, wściekły, w ścianę. Wtedy milkła i słyszał potem długo, jak przewracała się bezsennie w łóżku, jak on. Żałował swej porywczości, gdyż zbyt dobrze znał cenę kilku godzin snu dla tych, którzy ciężko pracują, i czuł wyrzuty sumienia, że pozbawił ją odpoczynku. Wyobrażał sobie (i słusznie), że kobieta, której przerwał ów dręczący monolog, kuliła się ze strachu, by nie wpaść weń znowu. I rzeczywiście, nieznajomą, dla której brutalne zbudzenie było niby policzek, w ciemności paliła twarz. Nie dbała o to, że przeszkadza sąsiadom. Czuła całkowitą pogardę dla tych, którzy ją otaczali. Lecz wściekła była na siebie, że zdradzała się we śnie. I aż do rana wstrzymywała się od spania.

Z czasem przyzwyczaili się do siebie. Postanowił znosić te potoki słów w nocy, a nawet stały się one dla niego niby towarzyszem. Głos był piękny, poważny, nieco zamglony, niekiedy szorstki, niekiedy bolesny – Marek czuł litość. Jeszcze jedna istota, która dźwiga więcej niż własne brzemię życia!... Nie wiedział, że sam jest dla niej widowiskiem tego samego rodzaju. Słyszała, jak mówił i rzucał się za ścianą. Ale nie czyniła nic, by go obudzić; on zaś, zbudziwszy się, nie wiedział, że mówił. Wielu innych w tym domu mówiło głośno do siebie, rzucało się we śnie i wśród chrapania bełkotało bezkształtne słowa. Wszystkie te znużone ciała, gotując się w kadzi snu, trawiły ciężko swą skażoną duszę – zbrukaną, ranną, chciwą i zmęczoną, wołającą o łaskę lub ścigającą zwierzynę.

Te nocne deliria napadały chronicznie wyczerpany organizm Marka. Biedny, niedożywiony, w niezdrowym mieszkaniu, nadużywający swych sił, zabijający się pracą, broniący się żądzy a napastowany przez nią, z płomieniem w piersi i w głowie, opanowując z wściekłością chaos myśli, toczył swą nieustanną walkę w pustyni, z dala. od oczu ludzkich. Ta zabójcza samotność rzucała go na pastwę gorączki, która wysysała wszystkie soki jego ciała i mózgu. Nie umiał już odpoczywać. Nadużywał narkotyków. I teraz, ledwo zapadał w sen, zaczynał bredzić. W. przebłyskach świadomości zdawał sobie z tego sprawę i – już w głębi otchłani – próbował wydobyć się z niej rozpaczliwym wysiłkiem. Budził się nieprzytomny, śmiertelnie zmęczony, przejęty wstrętem, prześladowany przez halucynacje słuchowe. Wszystko szumiało, najmniejsze przedmioty, których dotykał, poręcz łóżka, szyba, poduszka. Gorączka jego chwytała niedostrzegalne wibracje i powiększała je niepomiernie. Myślał strwożony: „Napada mnie szał!" Walczył przez kilka nocy; a we dnie, wyczerpany spadkiem gorączki, leżał bez sił na pobojowisku. Ostatniej nocy nie chciał się poddać, siedział w łóżku i krzyczał: „Nie!" Wpijał paznokcie w skronie i kark, wyrywając z nich wroga...

Drzwi się otwarły... Ręce kobiece chwyciły go za przeguby dłoni. Zrazu zdziwiony, potem rozgniewany, szarpnął się. Lecz one trzymały jak kleszcze. Wpadł we wściekłość. Spuścił głowę, zaczął gryźć. Zęby jego wpiły się w ciało pod kciukiem. Lecz druga ściskająca go dłoń wymierzyła mu cios pod brodę. Puścił i oszołomiony opadł na poduszkę, a młoda kobieta, pochylona nad nim, z kolanem opartym o brzeg łóżka dla wzmocnienia równowagi, trzymała go za szyję mówiąc doń śpiewnym głosem:

– Spokojnie, mój chłopcze.

Miała ciemne oczy z rdzawymi cętkami. Zahipnotyzowany Marek wpatrywał się w te rude płomyki tęczówki. Potem rzucił ogłupiałe spojrzenie na dłoń, obok swej twarzy, małą i muskularną, o brunatnozłotej skórze, na której .powyżej wskazującego palca rysowała się blada blizna. Węchem, podnieconym gorączką, wyczuwał z chciwością i wstrętem siarkowy zapach jej skóry. Ostatnim wysiłkiem wyprężył ciało, by się uwolnić, lecz był jak przygwożdżony; i z twarzą czerwoną, z otwartymi ustami, chwycił powietrze niby wyjęta z wody ryba, rzucił rozpaczliwe spojrzenie na ogniste iskierki w jej oczach i zemdlał.

Był nagi, leżał w poprzek rozrzuconego i brudnego łóżka, jedna noga zwisała na podłogę.

Nieznajoma podłożyła ramiona pod kolana i chude lędźwie bezwładnego ciała, ułożyła je na brudnej pościeli, zbadała je, dotknęła czoła, potem poszła do swego pokoju po poduszkę, by podłożyć mu ją pod głowę – i pozostała.

*

Była średniego wzrostu, raczej niska. Wątła tylko pozornie: mocno zbudowana, miała ciało chude, lecz silne; piersi płaskie, lecz szerokie biodra, ramiona muskularne. Cerę miała bladą, twarz szeroką, czaszkę okrągłą, o wydatnych kościach policzkowych – pyszczek kotki, która się nie da nigdy oswoić. Oczy bystre, zawsze spokojne, nawet gdy ją ogarniał niepokój: było w nich coś z kamienia. Twardy fałd stanowczych ust, których dolna warga była nieco nabrzmiała od częstego zagryzania, ze śladem gorzkich wspomnień i wyrazem nieubłagania. Biła od niej energia, przejmująca, niepokojąca i nieodparta. Nie należało ufać temu zbytnio! Energia zanikała czasem. Była to dusza przeżywająca przypływy i odpływy...

Była Rosjanką osiadłą na emigracji w Paryżu. Gdy przybyła przed dwoma laty, miała lat dwadzieścia. W momencie wybuchu Rewolucji miała szesnaście. Od siedemnastego do dwudziestego roku przeżyła dwadzieścia żywotów – a ileż śmierci? Rzucały nią fale wojny domowej. W osiemnastym roku życia, będąc jeszcze. dzieckiem, została matką; a na Ukrainie, podczas jednego z ataków bandy Machny[208] na Jekaterynosław, dziecko jej, synek, zostało zabite przy piersi. W dziewiętnastym roku życia, pociągnięta przez uciekającą armię Wrangla[209], przeszła w Turcji ohydne etapy tego exodu, okrutną hańbę gościnności Europy, targującej się ze stadami ludzkimi, które reakcja europejska wpierw zużytkowała dla swych celów, wtrąciła w przepaść, a potem opuściła. Znała histerię nienawiści, która chce się mścić, by z kolei samej zadawać ból. Znała porywy szalonego buntu przeciw okrucieństwu – które tak samo kazało jej znienawidzić okrucieństwo własnej partii jak i nieprzyjaciół. Znała obłędy zmordowanego cierpieniem, szalejącego ciała. Znała godziny strachu przed sobą i światem, wstrętu do życia, niemożności istnienia. I zaznała, w sposób niewytłumaczony, zupełnego zapomnienia o tym, co widziała i przeżyła – i bezlitosnego rozpoczynania na nowo. Te straszne lata były zawrotnym wirem,

[208] M a c h n o Hektor (1886–1933) – w latach 1918–1921 przywódca kontrrewolucyjnej bandy na Ukrainie.

[209] W r a n g e l Piotr (1878–1928) – generał carski, w latach 1918–1921 jeden z przywódców oddziałów kontrrewolucyjnych.

po którym nie pozostał już niemal cień świadomości. We dnie – niezapisana karta. Noce brały odwet. Przeszłość stała się tylko sennym majakiem. Odpychała tę przeszłość. Mówiła sobie: „Kto to był?" Zostawiła za sobą tyle tych swoich „ja" zużytych, zbrukanych, zduszonych!... Nowe „ja" stąpało po nich. Daremnie pluła na życie. Życie było w niej i chciało żyć. Była kobietą o silnych biodrach, kobietą dwudziestodwuletnią.

Ojciec jej był profesorem historii prawa na uniwersytecie w Kazaniu, wysoce poważanym przedstawicielem tego odłamu inteligencji, która była szczeblem rewolucji i którą rewolucja niebawem przerosła, złamała i odrzuciła jako najgorszą reakcję. W przeciągu kilku tygodni inteligencja ta, jak oszalała busola, skoczyła od Kiereńskiego[210] do Denikina[211], od rewolucyjnego socjalizmu do niewybaczalnych konszachtów z białą kontrrewolucją. Nie miała czasu zaczerpnąć tchu i odnaleźć swej drogi; zbita z tropu zamętem i wściekłością, oślepiona huraganem, znalazła się ze zdumieniem wśród tych, którymi gardziła bardziej niż błotem na swym obuwiu. Czuła się tym zbezczeszczona, ale nie mogła się już oderwać, zlepiona z nimi zakrzepłą krwią; nawet język był spętany. Nie było innego wyjścia, jak pogrążyć się w tym bagnie, by nic już nie widzieć i nie czuć, by umrzeć. Fiedor Wołkow miał szczęście umrzeć u początku swej drogi krzyżowej (krzyże istnieją tylko dla sprawiedliwych; Chrystus miał na swej szubienicy za towarzyszy dwóch ludzi, którzy się pomylili); uwięziony podczas ucieczki, dał się rozstrzelać bez słowa, nie przebaczając ani nieprzyjaciołom, ani przyjaciołom – ani sobie samemu – z zębami zaciśniętymi, przeklinając świat... Noc, nareszcie!

Był też młodszy, czternaste- czy piętnastoletni brat, który uwielbiał Asję, dzielił jej sny o miłości i sławie, a który wyruszył na pierwszą wieść o zaciągach, z oddziałem młodych, szalonych jak on, ledwo uzbrojonych gimnazjalistów, walczyć z bolszewikami: wszyscy zostali wybici.

Asja odbywała sama dalszą drogę klęski, gdzie każda stacja była znaczona jakimś cierpieniem lub hańbą. I niejednokrotnie musiała strzelać. Za każdym razem, gdy przystawano w szalonym biegu, byłaby wyzionęła duszę, gdyby wściekła żądza życia tkwiąca w łonie młodych istot i szaleństwo wzniecone przez nią w ich mózgu nie zasłaniały jej oczu czerwoną chustą i nie dodawały bodźca. Wiedziała o tym. Chciała tego. Dławił ją wstręt do siebie i pogarda. A ponieważ, aby żyć, trzeba było żywić się pogardą, żywiła się nią do syta.

Gdy wreszcie przybiła do portu na Zachodzie – piaszczystego wybrzeża wśród skał, gdzie piraci okradali rozbitków z resztek ich mienia – do hałaśliwego Paryża, gdzie wyrzucone przez ocean, stłoczone w koszu kraby pożerały się wzajem – zaszyła się na uboczu. Po pierwszym zetknięciu z wychodźcami, którzy od początku Rewolucji rozbili tu obóz, cofnęła się, zmrożona: byli jej bardziej obcy niż cudzoziemcy; stracili związek z życiem; nie rozumieli już nic a nic; i nie przestawali rozprawiać, kłócić się, wydawać dekretów, nie spostrzegając, że umarli. Ilekroć ich widziała, cofała się z odrazą jak przed widmem: „Umarli... oni umarli... Jakże tego nie czują?..." Czuli to, wstrząsani konwulsjami rozpaczy. Wyjąc wzywali Boga, diabła, cara, śmierci – rozpaczali po śmierci swych bliskich, wzywając śmierci cudzej, śmierci całej ludzkości.

[210] K i e r e n s k i Aleksander – adwokat, premier rządu tymczasowego. Po wybuchu Rewolucji Październikowej przyłączył się do kontrrewolucji i uciekł za granicę.

[211] D e n i k i n Antoni – generał armii carskiej, w oparciu o wojska interwencyjne walczył przeciw władzy radzieckiej. Po rozgromieniu interwencji uciekł za granicę.

Ponieważ Europa, ponieważ świat nie chciał ich ocalić, niechże Europa, niechże świat zginie razem z nimi. I szał morderczy opanował te mózgi, które tonęły w obłędzie mistycznym lub w alkoholicznym delirium. Uciekała od nich, nienawidziła ich gadulstwa, ich podniecenia, ich bezużyteczności. Uciekała, nienawidziła wszystkiego, co przypominało jej własną przeszłość. Utonęła w niezmiernej otchłani samotności, która najbardziej niezmierna jest w sercu wielkiego miasta. Nie rozumiało ono tak samo Rosjan, których przygarnęło, jak Rosjanie i ona sama nie rozumieli tego miasta, którym – mieszkając w nim – gardzili. Asja była poza nawiasem żywych. Miała wrażenie, że należy do jakiegoś zaginionego: świata.

Ale nie mogła zginąć. Była z niezniszczalnego materiału: tylko forma może się zmienić. Jak owe stworzenia podmorskie, które przystosowują się do każdego ciśnienia, mogłaby żyć bez oczu, oddychać bez płuc. Nic nie zdołałoby zmusić Asji do opuszczenia pozycji wcześniej, nim nadejdzie jej godzina – nawet własna wola.

Przetrwała dwa lata w zupełnym niemal odosobnieniu, pozbawiona jakichkolwiek dochodów, utrzymując się sposobami nieprawdopodobnie przypadkowymi, żywiąc się w niektóre dnie jabłkiem, które ukradła ze straganu, w inne dnie niczym: albo też w dzień, gdy zarobiła trochę pieniędzy, najadała się na trzy, cztery dni z żarłocznością młodej wilczycy; miała kozacki żołądek, który ściąga się lub rozciąga, zależnie od tego, czy ma się co włożyć do niego, czy nie. Niezdolna była zresztą do regularnego wysiłku. Gdy zakasała rękawy, pracowała za kilku: nie odstraszała jej żadna robota; myła w kawiarni podłogę i spluwaczki; spędzała czternaście godzin z rzędu na swych stalowych nogach, spełniając obowiązki posługaczki lub też w przeciekającym obuwiu nosząc z jednego końca Paryża na drugi paczki, których sznurki wpijały się w palce. I zdarzało się, że wracając wtedy do domu nie kładła się na noc wcale: czytała do świtu, siedząc na starym, wysiedzianym krześle, w ubraniu, które czuć było zmokłym psem; zdejmowała tylko trepy i chłodziła obrzękłe stopy na podłodze. Ale zdarzało się też, że porzucała zajęcie bez uprzedzenia i leżała cały dzień w łóżku na wznak, z kolanami pod brodą, marząc, myśląc o wszystkim, i niczym, ze zmarszczonymi brwiami, zasypując pomiętą pościel popiołem z papierosów. A także, od czasu do czasu, opadała ją nagła tęsknota za ludźmi. Biegała bez celu całą noc, wstępowała do hałaśliwych lokalów, kabaretów i dansingów, ale niby dzika suka, która węszy, przechodzi i znika w ciemnościach. Nie była wcale zalotna, lecz miała barbarzyńskie upodobanie w kolorach. Żadnemu mężczyźnie nie przyszłoby na myśl uśmiechnąć się z tego powodu. Jej wyraz, ruchy nadawały styl. Zjawienie się Asji nigdy nie uszło niepostrzeżone. Inne kobiety krzywiły się, nazywały ją brzydką, wytykały szczegóły. Nic nie pomagało. Doprowadzała je do wściekłości, gdyż czuły dobrze, że którędy przejdzie, budzi dreszcz w mężczyznach. Gdyby chciała – mogłaby zarabiać ciałem. I żaden przesąd nie zdawał się krępować tego ciała chudego, płomiennego, głodnego, którego życie, zda się, niczego nie mogło już nauczyć. Ale nie sprzedała się ani razu. Nawet za darmo nie przytuliłaby wyposzczonego ciała do żadnego innego. Niemy strach przed przeszłością i dzika nienawiść do tego, co ciało to przeszło. Cierpienie, bunt, zaciekłość przeciw swej naturze. Niewyznana potrzeba ekspiacji, nieuleczalna rana w łonie istoty dumnej, istoty zdrowej, którą zelżyło bezecne życie. Z rany takiej wynika to samo, co z wyrzeczenia zakonnego. Człowiek karze swe ciało za cierpienia, za zniewagi, które przeżyło. W ciągu tych dwu lat przerażającej samotności w Paryżu Asja

zmuszała się do ascetycznej czystości. Cały świat nie mógłby jej skłonić do złamania tego niesformułowanego ślubu – nawet skurcze żołądka, dręczonego niejednej nocy brakiem jedzenia. Przeciwnie! Im bardziej niedostatek dawał się jej we znaki, tym bardziej umacniała się w swej postawie. Broniła jej surowa duma zwyciężonej, która miała tylko tę jedną rękojmię, chroniącą ją, by nie dać się powalić na obie łopatki; i postanowiła sobie nie ustępować, nawet w najgorszej potrzebie – choć wcale nie przypisywała temu takiej wagi, jaką przywiązywała do tego dawna moralność. Był to znak ostatnich resztek jej wolności. W podejrzliwej obawie, aby nie wydarto jej wolności, bezbożnica ta skazała się na Tebaidę bez wody i miłości dzikiego, upartego mnicha pierwszych wieków.

Znalazła dla swego głodu namiastkę w dziwnym intelektualizmie, który pojawiał się i znikał, lecz w nawrotach swych był równie dokuczliwy jak głód żołądka, a którego zaspokajanie przynosiło żołądkowi ulgę. Wtedy spędzała godziny, czytając nierozciętą książkę z ulicznej gabloty księgami, w galeriach Odeonu, gdzie dął lodowaty wiatr zimowy, a okutani, tupiący dla rozgrzewki subiekci nie zabraniali jej tego; znali ją już i robiło im się cieplej, gdy na nią patrzyli. Przeczytawszy książkę kładła ją skrupulatnie na miejsce, pod opaskę, z której ją wyciągnęła; ale w rękawie miała ukrytą szpilkę do włosów, której gdy odwrócił się dozorujący, używała jako noża do rozcinania. Przeczytała w ten sposób całe książki, traktaty, pewne broszury Marksa, które, ścigana w ciągu trzech lat przez rewolucję, znała tylko z szalonego rozgłosu niby jedną z siedmiu głów smoka. Spędziła tam niejeden dzień, połykając chciwie, strona za stroną, każdy rozdział. Bała się ściągnąć tom, jak robiła z pomidorami i jabłkami na wystawach kupców kolonialnych. Nagi chłopak w łóżku hotelowym, którego pilnowała w tej chwili, nie przypuszczał nawet, że ją to chwycił pewnego dnia za rękę przed sklepem na rue Caumartin. Zabrałaby również bez skrupułu jakiś tomik, którego pożądał jej głód, gdyby nie musiała zapewniać sobie możności dalszego żywienia się sianem u żłobu księgarza. Mogłaby również wyrwać kilka kartek z czytanej książki. Należała do tych niebezpiecznych barbarzyńców (wszystkie kobiety są nimi w mniejszym lub większym stopniu), którzy w chęci przywłaszczenia sobie jakiejś cząsteczki wiedzy nie wahają się podrzeć cennej książki wypożyczonej z biblioteki. „Czemu nie? Książki są po to, żebym się nimi żywiła...” Ponieważ jednak musiała zapewnić sobie i na jutro wikt – okruchy spod stołu księgarza – rozum nakazywał dbać o przeglądane książki tak samo, jak dba księgarz. Darzyli się wzajemnym zaufaniem.

Potem z pustym żołądkiem, lecz pełnym mózgiem, wracała do domu przeżuwać swój owies. I by oszukać kurcze żołądka, gryzła suchą skórkę i pestki wczorajszej pomarańczy.

Po dwóch latach tego heroicznego postu, przerywanego okolicznościowo jakimś kęsem, nie umarła, lecz stworzyła sobie nowe życie. Posiadała tę niepokojącą elastyczność Słowian, których wieki nauczyły znosić wszystko i trwać. I miała tę cudowną zdolność zmartwychwstawania, która jest darem dusz wybranych (kiedy mówię: „dusza”, mówię: „ciało”; są ciała, których – trudno by uwierzyć! – wiek i śmierć nie dosięga: żadnej rany, żadnej zmazy; zużyta, zmięta, powłoka pęka i opada i ukazuje się druga, zupełnie świeża)... Dusza kobieca jest filmem. Dusze następują po sobie i suną (są przesuwane) jak obrazy. Dusze nieraz obce sobie wzajem. Nawet najstalsze, jak Anetka, stwierdzały w sobie niejednokrotnie takie następstwo dusz. Lecz nigdy w takiej

Anetce – a rzadko u kobiet Zachodu – nie zdarzały się tak ostre odgraniczenia jednej duszy od drugiej. U Asji w jednej sekundzie następowało całkowite zaćmienie duszy panującej; zupełne zapomnienie. Zjawiała się inna dusza, inne zachcenia; nie dziwiła się temu wcale; utożsamiała się z nimi natychmiast; należała do nich, one do niej, przez cały czas zaćmienia. Potem odnajdywała się całkowicie, bez wstrząsu zdumienia, w pierwszej psyche, którą opuściła. Było to nieustanne niebezpieczeństwo. Lecz była też pewność i odpoczynek. Gdyż pierwotna dusza wracała! (Na pewno...) I przez czas swego zaniku odzyskiwała siły i świeżość; powracała, jak gdyby z mocnych objęć dobrego snu.

W ten sposób, Asja, bez rodziny, bez domu, bez boga, bez złudzeń, bez wszystkiego, co pobudza do życia, żyła niezłomna jak łuk napinany co rano do codziennych łowów, silny i wciąż nowy. Mimo przygniatających doświadczeń życiowych, które zraniły jej duszę i skórę, skóra goiła się prędko, a dusza nie tęskniła do nicości. Była z gruntu zdrowa. Daremnie rozum podkopywał wszystko; instynkt znajdował pod podkopem nową przyszłość. Jej krytyczny, rozgorzały umysł i dziko zdrowa natura, która zmierzała zawsze prosto do swych celów, nie zbaczając na manowce, zbliżały ją powoli do koncepcji nowej Rosji; zrazu nie uświadamiała sobie tego, potem mówiła sobie:

„Cóż mnie to obchodzi? Idę swoją drogą; psy też mogą po niej chodzić!..." Gdy spotkała kogoś, kto przybywał stamtąd – dawną koleżankę z pensji, obecnie komunistkę, stenotypistkę w ambasadzie sowieckiej – rozpoznawała natychmiast swą ziemię i swój klimat duchowy. Jej duma zwyciężonej, którą być nie chciała, nie przyznawała się do tego; ale czy przyznawała się, czy nie, fakt jest faktem: emigrantka ta widzi, sądzi emigrantów i Zachód, i cały świat moralny i socjalny oczyma Rosjanina z Rosji rewolucyjnej. Najbardziej przeszkadza jej przystać do nich indywidualistyczna duma, którą wzmogła jeszcze samotność wygnania. Okoliczności życia wycisnęły w jej naturze to niestarte piętno; lecz sam rdzeń natury pragnąłby włączyć się w stapiające się w jedno masy ludzkie. Stąd nachodzące ją od czasu do czasu porywy gorączkowej i drętwej tęsknoty.

Stąd te dni, o których była mowa, dni nieruchomości i wyczerpania spędzane w łóżku. Wtedy to przesiąkała zwolna poprzez ścianę niewidzialna obecność młodego sąsiada. Wśród bezwładu wyciągniętych członków słuch jej zachował wzmożoną bystrość i niby czułek olbrzymiego owada wnikał poprzez szpary do pokoju Marka. Badał wszystko po omacku, szczegół po szczególe, odtwarzając jaskinię i zwierza. Zwierz – Marek – zwiedziony bezruchem sąsiedztwa, nie pilnował się, nie podejrzewając, że wszystkie jego ruchy są śledzone: czułek bez oczu badał go uparcie od stóp do głów. Gorączkujący Marek mówił głośno do siebie nie tylko przez sen. Gdy czuł się sam, nie panował nad swoim wrzeniem: stapiały się w nim namiętne apostrofy, strzępy zdań wyłaniających się z cienia, jak grzbiety fal w słońcu, rozmowy Jakuba z Aniołem. Czatujący słuch nurzał się jak mewa pod rozsłonecznioną pianą wykwitłych słów, w. głębinie serca. Zrazu uważny na sam dźwięk głosu i obraz ust wyczarowany przez głos, tak jak woń wyczarowywa owoc, przechodził potem z ust na resztę ciała, które starał się rozpoznać w ciemności. Węszyła je. Nie iżby czuła doń pociąg, lecz ze zwierzęcego instynktu samicy i z bezczynności. Gdy skończyła badania i węchem, dotykiem, smakiem wzięła w posiadanie sąsiadującą z sobą istotę, zapragnęła, lecz bez pośpiechu, sprawdzić *de visu* wytworzony w sobie obraz. Nie szukała go; lecz pewnego wieczoru spotkała na schodach; przeszła tak, że on nie widział jej w cieniu, lecz ona widziała go i od razu

poznała chłopca z rue Caumartin, który jak w potrzask chwycił, a potem puścił jej dłoń. W tej chwili, przy jego łóżku, pochylona nad rozpalonym w gorączce Markiem, patrzyła na tę piękną młodzieńczą dłoń o długich palcach, która trzymała ją w kleszczach; pogłaskała ją. Poza tym obraz rzeczywisty nie wydał się jej zbyt odmienny od tego, jaki sobie stworzyła. W takich wypadkach rzeczywistość zastępuje natychmiast zmyślenie do tego stopnia, że umysł wyobraża sobie, iż nigdy nie przedstawiał jej sobie inaczej.

Lecz to pewne, że od tej chwili sąsiad ciekawił ją bardziej; i śledziła jego egzystencję tym jeszcze przenikliwszym niż dotąd spojrzeniem – słuchu. Była zdumiona, powagą tego młodego życia, a osobiste doświadczenie otworzyło jej ustronie tej samotności nieludzkiej, jak jej własna, i odkryło cierpienia, do których stoicka duma broniła dostępu. Teraz, kiedy w niektóre noce zmuszała się, by nie spać i nie zdradzać tajemnic swego snu, śledziła tajemnice tamtego snu i wzbierającą falę gorączki. Widziała, jak unosi się nad młodym ciałem niechybna choroba, która niby krogulec zatacza koła, zacieśniając je za każdym razem. Czekała chwili, by wystąpić w jego obronie. Chwila nadeszła.

*

Widziała dość chorób w latach okrutnego odwrotu, kiedy niosły ją wiry rozprzężonej armii – musiała leczyć przypadkowymi środkami na los szczęścia (najohydniejszego nieszczęścia) wszystkie nędze i sromoty ranionych ciał – więc żadna choroba nie była dla niej niespodzianką. Uznała, że nie trzeba wzywać lekarza. Była zdania, że sama da radę. Marek wyzdrowieje lub umrze tak samo w jej rękach jak w rękach Fakultetu. Sądząc zresztą o nim wedle siebie, mniemała, że przede wszystkim należy bronić go przed szpitalem, a szpital byłby pierwszą rzeczą, jaką nakazałby lekarz... Nie! Umierając, pragnie się umrzeć samotnie. Jest to ostatni zbytek.

Zastosowała energiczne środki. Przyłożyła mu synapizmy na uda, a lód na głowę. Czuwała nad nim, żywiła go, myła. Spełniała najniższe usługi. Pokój był brudny, a powietrze zepsute. Dopływ światła z okna wychodzącego na podwórze był odcięty przez przeciwległy mur, tak bliski, że wychyliwszy się można było dotknąć jego trędowatej ściany. Pokój narożny, gdzie mieszkała Rosjanka, miał szczęściem wyzior na ulicę. Asja otworzyła – wyważyła wewnętrzne drzwi łączące oba pokoje i przeniosła chorego do siebie.

Był wyższy od niej; jego długie, chude nogi zwisały bezwładnie, a jedna z rąk wlokła się po podłodze; wyglądał jak młody Chrystus niesiony do grobu. Asja wspierając łuki swych szerokich bioder na kolumnach nóg kroczyła, z wysuniętą wargą dolną, zaciśniętymi ustami i zmarszczoną brwią, ogarniając tkliwym spojrzeniem surowych oczu wydane jej ramionom ciało. Coś macierzyńskiego budziło się w jej jałowej piersi, skąd wraz z ustami zabitego dziecka znikło mleko ludzkiej tkliwości. Wyschła fala wzbierała pulsując. Asja ułożyła nieprzytomnego chłopca w swym łóżku. Gdy nocą, w przebłysku świadomości, otworzył oczy wołając jak ci, którzy toną: „Mamo!", ujrzał się w obcym pokoju, a nad sobą zobaczył piękne usta pocieszycielki, które, pochylając się, rzekły z litością: „Jestem, mój mały..." i ucałowały jego spieczone wargi.

Posprzątała w opuszczonym pokoju. W ciągu tygodni poprzedzających chorobę nagromadziło się tam dużo brudu, a rozrzucone papiery zalegały wszyst-

kie kąty. W godzinach czuwania miała dość czasu, by je uporządkować. Było tam dużo listów. Przeczytała je. Chłopiec w łóżku był jej zdobyczą, chwilową co prawda, ale liczy się tylko chwila obecna; to, co przedtem i potem, jest niczym. Wszystko, co należało do więźnia, było częścią łupu.

Wiele listów pochodziło od „mamy". Z tego śmiałego, zamaszystego pisma, które wznosiło się mocnymi, miarowymi uderzeniami skrzydeł, jak ptak pewny swej drogi, wyłania się Anetka. Namiętna jej twarz zarysowała się w nędznym pokoju, odbita w oczach Asji. Z każdą kartką, którą odwracały jej zaborcze palce, obraz ten, dumny i tkliwy, stawał się coraz wyraźniejszy. Wkrótce stały naprzeciw siebie, mierząc się oczyma. Nie mówiły do siebie nic. Asja odłożywszy listy węszyła, starała się poznać nieznaną kobietę. Oceniła jej energię w miłości i walce: siłę życiową. Znała się na tym. Nie myliła się w tym względzie. Mężczyzna leżący w jej pokoju był tym więcej wart, że pochodził od tej kobiety.

Z listów matki odtwarzała sobie listy syna. Przenikała najgłębsze zakamarki tego skrytego serca, żyjącego w ciągłej walce, jego wybuchy gniewu na świat i na siebie, jego istotną czystość i codzienne zmazy, które przejmowały go wstrętem, jego słabości i klęski, które czyniły go bliższym jej i bardziej ludzkim... I swobodną zażyłość z tą matką, której męska zdolność rozumienia tłumaczyła chłopcu jego samego i uspokajała. Czuła zazdrość o tę kobietę. I było to dla niej pierwszym znakiem, że kocha mężczyznę.

Rozpoznała ten znak. Nie uszło jej uwagi nic z tego, co jej skryta natura starała się przesłonić. Wzruszyła ramionami i wstała. Stojąc przy łóżku patrzyła na ciało, które szamotało się ciągle w gorączce. Mimo starań choroba nie ustępowała, przybierała na sile. Groziło fatalne rozwiązanie. Asja pogładziła płonące czoło, potem wsunęła dłoń pod kołdrę ściskając czule stopy chorego. Zastanowiła się, rzuciła spojrzenie na listy pozostawione na stole. Wyszła i zatelegrafowała do matki. Anetka bawiła z Tymonem w Anglii. Otrzymawszy krótki i brutalny telegram bez podpisu, zachwiała się. Tymon wyjął jej papier z rąk i-przeczytał (nie miała siły mówić); i twardy ten człowiek, który patrzyłby bez drgnienia na śmierć całych ludów, okazał nieoczekiwaną dobroć. Oszalała Anetka zarzuciła płaszcz na ramiona, chciała biec na najbliższy dworzec, zapomniała o wszystkim, pieniądzach, paszporcie, rzeczach. Zatrzymał ją, z serdecznością posadził z powrotem:

– No, moja mała! Nie trać głowy! Przygotuj się, ale spokojnie. W niespełna cztery godziny będziesz przy swoim chłopcu.

Zatelefonował do aerodromu, by natychmiast przygotowano jego samolot. Odwiózł Anetkę swym autem na lotnisko. Po drodze uspokajał ją z brutalną dobrodusznością, która nie przekonywała jej, lecz ją wzruszała. Żegnając ją był bardziej wzruszony, niżby to chciał okazać. Powiedział jej:

– Uratujesz go. Lecz kiedy uratujesz, wracaj! Czy wytrzymam tak długo?

– Nic ci nie grozi... – odparła – (słowa te przeraziły ją, lecz przerażenie to było dalekie; pochłaniały ją inne myśli).

– Ja sam – rzekł Tymon. – Kiedy pozostanę sam ze sobą. Wiesz o tym. Czyż wytrwałbym do dziś dnia bez ciebie?

Widział, że kobieta jest już nieobecna myślą.

– No, dziękuję! – dodał. – Zrobiłaś więcej, niż mogłem żądać od ciebie. I nie pamiętaj o tym, co we mnie raziło twoje oczy!

– Pamiętam tylko o twojej przyjaźni. Miała zawsze czyste ręce.

– Więc złóż w nie swoją rękę!

Uścisnęła je. Motor samolotu zawarczał. Spojrzała na człowieka o twarzy atlety, jakby wykutej ciosami pięści, rzeźbionej brutalnymi palcami namiętności (kilka szlachetnych, reszta nikczemnych – nie brakowało żadnej), o czole byka i ociężałych oczach, które natężonym spojrzeniem chłonęły jej obraz, aby go zawrzeć w sobie. Zbliżyła ku niemu swą twarz i powiedziała:

– Pocałujmy się!...

Drzwi do pokoju były otwarte. Asja nie bała się, że ktoś może wejść. Nie posiadała nic, co by można ukraść. I nie zwracała na sąsiadów uwagi. Lecz gdy ujrzała wchodzącą matkę (poznała ją na pierwszy rzut oka), zdumiała się; nie przypuszczała, że przybędzie tak szybko. Nie zamieniły ani słowa. Anetka podeszła wprost do łóżka, nie zdejmując płaszcza, i rzuciła się na syna, tak jak to czynić umie matka – w porywie ramion, ale dłońmi łagodnymi jak powiew, który pieści spalone łodygi polne. Dotknięcie ich zdało się przynosić ulgę rozpalonym członkom. Chory poruszył wargami. Westchnął. Anetka złożyła ostrożnie na poduszce głowę, którą podniosła. I odwracając się, by się rozebrać, ujrzała tamtą kobietę, która została, zdecydowana nie ustępować miejsca. Skrzyżowały się szybkie spojrzenia, szczere i surowe. Anetka spytała:

– To pani telegrafowała do mnie?

Asja odrzekła nie skinąwszy głową:

– To ja.

Anetka podała jej rękę. Asja przyjęła ją. Obie dłonie były chłodne. Zawierały pakt. Anetka przeszła do sąsiedniego pokoju, zapraszając gestem Asję do pójścia za sobą, i rzekła:

– Niech pani opowie mi wszystko!

Rzecz naturalna, że matka posiada prawa. Lecz natrafiały one na prawa, które przywłaszczyła sobie Asja. Jej instynkt zbuntował się mimo woli przeciw rozkazującemu głosowi i gestowi. Wole dwóch kobiet toczyły z sobą przez chwil kilka niemą walkę. Świadomość ich niemal o tym nie wiedziała, lecz ich siły były naprężone jak koń pod ręką, która ściąga uzdę. Wreszcie koń ustąpił. Asja przemówiła. Przedstawiła krótko przebieg choroby. Nie napomknęła o stosunkach, istniejących czy nie, między nią i Markiem. Ale z podświadomą przyjemnością wspomniała Anetce, że łóżko, na którym leży jej syn, należało do niej. Anetka, która podczas gdy Asja mówiła, szybkim spojrzeniem zbadała oba pokoje, nie miała wątpliwości, że kobieta ta była kochanką Marka. Dla jej pozbawionego przesądów umysłu Asja przestawała być od tej chwili obca. Anetka przybrała swobodniejszą postawę. Asja nie umiała wytłumaczyć sobie przyczyny. Pozostała chłodna i sztywna wobec poważnych, łagodniejących oczu Anetki.

Obie kobiety nie myślały o tym, aby dać się poznać sobie wzajemnie. Trzeba było ratować chłopca. Sprzymierzyły się dla jego obrony. Złączyły swe doświadczenie. Anetka zdumiona była dojrzałością Asji i pewnością jej zabiegów. Spokojnie, szybko i dokładnie młoda kobieta czyniła bez wahania, co trzeba. Ani jednego zbytecznego gestu, ani jednego fałszywego. W obecności matki postępowała, jakby była sama, nie okazując zakłopotania przy najbardziej osobistych usługach, i obchodziła się z tym nędznym, bezsilnym ciałem, jakby było na łożu szpitalnym, gdzie cierpiący jest własnością pielęgniarza. Anetka, zaskoczona i ujęta, przyglądała się tej pozornej nieczułości, uznając jej

skuteczną trafność. Z kolei poddała się przewadze i słuchała ulegle, gdy tamta mówiła krótko:

– Podtrzymać tę nogę! Podnieść plecy! Czy pani nie widzi?

Chociaż była również zaprawiona do tych usług (któraż kobieta w Europie nie przeszła podczas wojny tej szkoły?), ręce jej dotykając ciała syna zdradzały wzruszenie. Podziwiała obojętną dokładność ruchów Asji. Obojętność ta dziwiła ją tym bardziej, że szybko odkryła gwałtowność wypisaną na tej namiętnej twarzy: lepiej niż sama Asja – zanim ta ostatecznie stwierdziła to i przyjęła – dostrzegła z przebłysków przebiegających po jej twarzy, że kobieta ta wzięła jej syna w posiadanie.

Czuwały na przemian. Raz jedna, raz druga pełniła straż przy Marku i korzystała potem ze swej cząstki spoczynku. Asja, która poprzednich nocy nie spała wcale, zapadała w sen jak kamień. Anetka miała czas przetrawić swe myśli, słuchając gorączkowego oddechu dwóch istot – jeden był nierówny i urywany, drugi szybki i ostry, jakby spieszył się spożyć swą część. I istotnie, gdy przyszła chwila czuwania, Asja budziła się nagle i zajmowała swe miejsce przy łóżku Marka, zmuszając Anetkę, by położyła się do łóżka, które ona opuściła i które było jeszcze ciepłe od jej dręczonego majakami snu.

*

Kiedy po kilku dniach niepokoju Marek odzyskał przytomność, zamglone jeszcze spojrzenie jego rozjaśniło się na widok tkliwej twarzy matki. Uśmiechnął się do niej: sprawiło to jej rozkosz. Lecz szukające spojrzenie za ramieniem Anetki napotkało zmarszczone brwi i cętkowane oczy Asji; i znieruchomiało, zdziwione, badawcze, pytające siebie, próbujące zrozumieć; w końcu zwróciło się ku oczom matki z niemym pytaniem. Asja, stojąca poza nią, nie przemówiła ani słowem. Więc jakże? Nie znali się wcale? Anetka obserwowała w milczeniu. Chmurna powściągliwość Asji nie pozwalała jej pytać. Asja w dalszym ciągu poprawiała Marka na poduszkach, rozporządzała nim, jakby miała do niego prawo. A Marek, niemy, nie sprzeciwiał się, nie śmiejąc pytać, jak urzeczony tą obecnością, której nie umiał sobie wytłumaczyć, i starając się odnaleźć klucz zagadki w rzadkich przebłyskach świadomości wśród swych gorączkowych nocy. Czuł dziwną obawę, że gdy zada pytanie, zjawisko zniknie. Po daremnych wysiłkach umysł znalazł trop. Półmrok rozjaśnił się. Lecz Marek pragnął pewności, a w osiągnięciu jej przeszkadzała mu obecność matki. Wreszcie, korzystając z chwili, gdy Anetka oddaliła się, Asja zaś stała nad nim pochylona, szepnął:

– Czy pani jest moją sąsiadką z tamtego pokoju?

Odrzekła:

– To pan jest z tamtego pokoju. Jest pan u mnie.

Nie zauważył tego... Spojrzeniem powiódł po pokoju. Jego słabą jeszcze głowę zalała ciepła fala i czoło mu poczerwieniało. Asja położyła na nim silną rękę.

– Leż cicho! Będziesz myślał o tym później.

I dalej pochylona, jakby poprawiając poduszkę, tłumaczyła wypadki ogólnikowymi słowami, które nie dopuszczały odpowiedzi:

– W tym pokoju jest więcej powietrza. Przeniosłam cię tutaj. Teraz spokój! Nie ma o czym myśleć.

Mówiła półgłosem, szybko; lecz Anetka słyszała to władcze „tykanie", które urzekającym zdziwieniem przygważdżało jej syna do poduszki. I kiedy Asja odwróciwszy się napotkała spojrzenie tamtej kobiety, odczytała je. Mało ją to obchodziło! Nie miała nic do ukrywania. Lecz nie chciało się jej mówić. Anetka zaś szanując to milczenie czekała, aż nieznajoma zechce powiedzieć coś więcej.

Tak to obserwowali się we troje, nie zdradzając się. Marek poznawał powoli to ciało, które stopniowo ogarniało go kręgiem niewytłumaczonego czaru. Każdy z rysów, oddzielnie, był mu obcy, wydawał się niemal wrogi: całość zaś była jak sieć nie do rozwikłania, która zaciskała swe oka, pętając jego wolę. Gniewał się, zawzięcie szukał powodów, gromadził wszystkie swe krytyczne sądy; dochodził tylko do sumy różnej od dodawanych jedności. I spostrzegał, że nie chciałby usunąć ani zmienić żadnego szczegółu. Każdy, był koniecznym okiem sieci. Kobieta ta nie była jak inne, które kocha się za usta, nos, szyję, za cząstki. Ona istniała w całości i kochało się ją lub nienawidziło za nią całą, za stworzenie jedyne w swym rodzaju, którym była i które narzucało się swą siłą istnienia. I każdy z jej szczegółów pięknych lub brzydkich – może przede wszystkim brzydkich – pętał tym bardziej, że był jej właściwością... „Ty... I nikt inny..."

Zachowując milczącą umowę, mówił jak najmniej wprost do niej: i nigdy nie ważył się jej „tykać", jak ona to ciągle czyniła z zuchwałą swobodą (rzekłbyś: w zamiarze wyzwania). Do porozumienia się służyła im Anetka. Mieli tak dobry słuch, że słyszeli z pokoju do pokoju, co każde z nich z osobna mówiło do matki. Lecz ponieważ Asja wiedziała o tym, miała się na baczności i udaremniała cierpliwe wysiłki Anetki, która chciała ją poznać. Wymykała się przemyślnie, lecz delikatnie, gdyż ujmowały ją szczere oczy Anetki i jej serdeczność. Uciekała się do zręcznych wybiegów, które otwierając na chwilę jakieś perspektywy – zanikające, nim zdołano je ogarnąć – zwiększały jeszcze niepewność. Lecz zawód młodego słuchacza nagradzała radość, jaką sprawiał mu śpiewny i harmonijny głos. Był piękniejszy i bardziej ponętny niż najpiękniejsze ciało. Zamknąwszy oczy Marek czuł go jakby na ustach i pod palcami. Był gorący i pełen rozkoszy. Potem, kiedy kobieta mówiąca doń „ty" zbliżyła się do jego łóżka, dotykając go miękkimi dłońmi, które paliły, odwracał się do niej plecami, by nie otworzyć jej tych krnąbrnych ust i nie wpić się w nie...

Kiedy był sam z matką, nie umiał się tak ukrywać. Powracające zdrowie i żądza, która wzbierała wraz z siłami jego młodych członków, wydawały go spojrzeniom. Może w skrytości ducha nie gniewałby się, gdyby poprzez ramię matki, do której jedynie zdawał się mówić, mogły przeniknąć go, do głębi oczy nieznanej kobiety. Anetka nie myliła się co do tego. Bezkresne zaufanie, jakie jej okazywał syn, było tylko w połowie przeznaczone dla niej...

„Ty mały spryciarzu! Masz! Całuję cię pół na pół z tamtą... Ale tobie nie o to chodzi..."

Marek mówił o sobie, wciąż i wciąż o sobie... Nie chwalił się. Mówił źle i dobrze. Ale robił to z namiętnością cierpką i nienasyconą. A mówić o sobie namiętnie to podstęp. Mówiąc za czy przeciw zagarnia się wszystko dla siebie. Zjada się drugiego. Lub mówi się jemu: „Zjedz mnie!" (co na jedno wychodzi). Marek, chciwy, naiwny, nie chcąc czy nie mogąc wyznać sobie tego, proponował zamkniętym i upartym ustom nieznajomej: „Otwórzcie się! Zjedzcie mnie!" A ponieważ usta te były głodne, nie traciły ani kęsa.

Żuła swymi silnymi zębami tę duszę płomienną, gwałtowną, gorzką i delikatną, jak młody, zielony jeszcze pąk. Był dla ust rzeźwiący i zdrowy. W całym tym pączkującym życiu, nieporządnym, pełnym sprzeczności, które wystawiał na pokaz, które oskarżał z zapamiętałą szczerością, wzbudzającą wzruszenie i uśmiech w obu kobietach („Biedna psina!") nie było nic zepsutego – trochę brudów rynsztokowych w sierści („Chodź, niech cię umyję!...") – lecz ciało zupełnie świeże, jak u noworodka; przyczyniała się do tego rekonwalescencja, która jest nowymi narodzinami... Niewzruszona Asja drżała w ciszy swego pokoju. Ręce jej płonęły pragnieniem dotknięcia tego młodego bezwstydnego ciała. Lubiła w niewinnym i zuchwałym chłopcu tę szczerość potoku górskiego i te sprzeczne przeskoki. W owych sprzecznościach myśli i – co więcej – biegunowo różnych instynktów, które wyrywają sobie człowieka i narażają go na najprzykrzejsze przejścia, Asja też żyła sama ustawicznie. Ale była do tego przyzwyczajona, przystosowywała się; stało się to jej naturą. Marek starał się wyrywać i ranił się o mury. W cierpkiej, przez pogardę dla siebie i życia, obojętności, wywołanej w niej przez szaleńczy bieg wypadków, Asja przejmowała się tragiczną powagą w grze chłopca. Asja miała ochotę przycisnąć do piersi tego wielkiego głuptasa, gwałtownego i szczerego aż do niedorzeczności, którego kochało się za tę niedorzeczność.

Zbliżało ją do niego wspólne im odosobnienie umysłowe, zerwanie ze swym środowiskiem, którego nieuleczalną próżność i fałsz życia przeniknęli na wskroś. Jak ona spaliła mosty między sobą i całym obozem emigracji rosyjskiej, nie mogąc przejść do drugiego obozu, który zabił jej bliskich, który ją ścigał i znieważał, którego nienawidziła z całą gwałtownością swej podeptanej dumy – tak samo Marek odrzucał z wściekłością wszystkie tendencje swego pokolenia, całą tę młodzież francuską, w której widział wyraźnie bezwład, lekkomyślność, egoizm, naiwne, cyniczne i obłudne karierowiczostwo, kłamstwo sztuki, kłamstwo myśli, kłamstwo czynu, kłamstwo polityki, fałszywy „intelektualizm", fałszywy „realizm", fałszywy „europeizm", wszystkie te maski i kłamstwa służalczości („Intelligence service!"), niemocy i interesu...

Był niesprawiedliwy aż do okrucieństwa i na nic by się zdało dowodzić mu tego: wiedział, że jest niesprawiedliwy, chciał nim być; zbyt wiele wycierpiał od niesprawiedliwości i sam krzywdził innych; chciał się zemścić, zedrzeć ze skóry ten lepki szlam. Anetka nie próbowała dyskutować. Mówiła:

– Zła krew wychodzi z ciebie. Ulżyj sobie!... Gryź! Gryź i mnie, jeśli ci to pomaga! Nie pierwszy raz pogryziesz mi pierś.

Asja pozwoliłaby gryźć i swoją. Podobały się jej te młode zęby. Umiały nienawidzić i kochać, jak jej własne. Niesprawiedliwość Marka, z której zdawała sobie sprawę, była jej bliższa i milsza niż równowaga tych małp na linie, łowiących pieniądz i powodzenie. Francuz, który obnażał z mściwym bezwstydem obłudę matki Francji (nie matki, lecz macochy!), nie był pospolitym zwierzęciem. Niewątpliwie, Francuzi chełpili się zawsze (inne narody również), że oni jedyni oskarżają się wzajem, podczas gdy inne narody chwalą się. Lecz jest to u nich znowu (u innych narodów również) odwrotny sposób chwalenia się, gdyż przypisują sobie niebezpieczny przywilej umiejętności krytykowania samych siebie. Ale krytyka ich nie sięga daleko. Otaczają ją kadzidlanym dymem. Wychodzą z niej owiani tą przyjemną wonią: gdyż wyłączają siebie spośród krytykowanych. Marek nie wyłączał siebie bynajmniej. Smagał z całej siły swych rodaków na swym własnym grzbiecie. Asja, jak

wszyscy Słowianie, uprawiała autoanalizę z tą cierpką rozkoszą, która zdejmuje ostatnie zasłony (spowiedź jest manią, która rozwija u najbardziej uzdolnionych jednostek tego narodu zmysł psychologiczny ze szkodą moralnego), więc oceniała ze znawstwem to obnażanie samego siebie, to śmiałe spojrzenie i tę nagą duszę. Przeczuwała niejasno, że on obnaża ją dla niej. I była to prawda. Ukryty instynkt zwierzęcy kazał Markowi drażnić sobą spojrzenie i węch tej, której instynkt kazał mu pożądać... „Obnażam się. Obnaż się też!"

Słyszała wezwanie. Odczuwała teraz gorące fale pragnienia, by odpowiedzieć, stanąć nago i krzyknąć mu: „Patrz!"

Znała go dużo bliżej niż on ją. Nie miał w sobie nic dla mej skrytego. Każdy szczegół jego ciała był utrwalony w jej oczach. I teraz, gdy w ciele tym wzbierało odradzające się życie, życie to wzmagało się i w odbiciu, które zachowywały jej oczy. Odbicie paliło. Więzień brał w niewolę z kolei. Zaczynał być krępujący...

Mężczyzna i kobieta – dwoje dzieci – śledzili się spode łba, nie tracąc żadnego ze swych ruchów. I teraz niemi (Marek zamilkł, czekając odpowiedzi na wezwanie) wsłuchiwali się we wzbierającą w nich żądzę. Wyostrzony słuch rekonwalescenta słyszał, jak wzbierała ona w kobiecie. Lecz w miarę, jak ona to czuła, stawała się coraz twardsza i skrytsza.

I nadszedł wieczór, gdy mężczyzna posiadł pewność, że kobieta wyda swą tajemnicę. Krążyła dokoła niego, zbliżała się, oddalała – zmierzch zalewał pokój. Anetka wyszła, zostali sami – kobieta zawahała się, powzięła postanowienie, przystąpiła nagle i pochyliła się, jak tyle razy, by poprawić pościel – lecz tym razem był pewny, że ramiona jej otoczą go, że usta spadną jak jastrząb, i z wyprężonym grzbietem, z natężonym ciałem, czekał, gotów je gryźć...

Nagłym ruchem wyprostowała się i cofnęła pod ścianę; oparła się o nią i rzekła zimno:

– Jest pan zdrów. Czas, aby każde wróciło do swego pokoju.

To go zmiażdżyło. Z osłupienia zaniemówił. Potem gniew przywrócił mu głos i wyrzucając nogi z łóżka rzekł zduszonym głosem:

– Choćby zaraz.

Wzruszyła ramionami nie ruszając się z miejsca.

– Wystarczy jutro.

– Po co czekać?

Nie wstrzymywała go. Deptał już po podłodze, ciągnąc za sobą kołdrę, w której z wściekłości zaplątały się jego nagie stopy. Weszła Anetka. Zdumiała się. Marek powiedział:

– To rzecz postanowiona.

Nieprzeniknione milczenie Asji wyrażało zgodę. Anetka nie nalegała. Domyślała się.

– Dobrze – odparła – przeprowadzka nie potrwa długo. Trzeba tylko zmienić pościel.

– Po co zmieniać? – rzekła Asja. – Ta czy tamta... Zostawiliśmy już za sobą wszystkie te ceremonie.

Mimo swej zimnej wściekłości Marek był jej za to wdzięczny. Przeszedł już do drugiego pokoju. Później pomyślał, że obojętność jej była, w swym chłodzie, jeszcze obelżywsza. I odwrócił się plecami do opiekunki.

Anetka uśmiechnęła się na widok dwojga nadąsanych i rzekła do Asji, która, z zachmurzoną twarzą, ciągle stała oparta o ścianę:

– Moja droga, nadużywaliśmy w sposób niegodny gościnności pani. Proszę przebaczyć! Nigdy nie będę mogła odwdzięczyć się pani dostatecznie miłością za to wszystko, co pani uczyniła dla mego syna.

Asja odburknęła:

– Nic nie uczyniłam.

(Była wzruszona do głębi tym głosem – paroma słowami.)

– Uratowała go pani! – rzekła Anetka.

Wyciągnęła do niej ramiona. Asja rzuciła się w nie z pochylonym czołem, które ukryło się na matczynej piersi. Nie można było podnieść tego upartego czoła. Anetka mogła całować tylko włosy.

– Teraz – rzekła – pomyślmy, co zrobić! Ponieważ chłopak może już wychodzić, uważam, że lepiej będzie poszukać mu zdrowszego mieszkania.

– I ja tak myślę – potwierdziła Asja.

Marek mruknął:

– Jeszcze czas!

– Po co czekać? – powiedziała Asja, zaciskając wargi.

Marek, wściekły, spostrzegł, że ona powtarzając jego słowa bije go jego własną bronią.

– Doskonale! – odparł. – Więc jutro.

– Pozwól mi czegoś poszukać! – rzekła Anetka.

– Już znalezione – powiedziała Asja. – Jeśli państwo chcecie, wskażę przy rue Châtillon wolne mieszkanie, które jedna z mych znajomych musiała w tych dniach opuścić.

– Zobaczymy jutro – zakończyła Anetka. Podała rękę Asji, która przeszła do swego pokoju i zamknęła się; rzuciła litościwe i ironiczne spojrzenie na syna i powiedziała mu dobranoc, nie zwracając uwagi na jego zły humor. Wróciła do swego pokoju, wynajętego w tym samym hotelu, o dwa piętra niżej.

Marek został sam. Miał czas ochłonąć z gniewu i utracić wszelką dumę, by zachować tylko żal. Ale pożądanie zostało. Wił się we wściekłym pragnieniu. Źródło było tuż, blisko. Oddzielała go tylko ściana. Cienkie przepierzenie, ściana niejasnych nieporozumień. Ale jutro będzie to całe miasto. Nie miał czasu zastanawiać się. Ręka jego zastukała w ścianę. Ledwo to uczynił, pożałował. Chciał krzyknąć: „Nie przychodź!" Nie potrzebował tego mówić. Nie przyszła. Nic nie poruszyło się poza ścianą. Marek, oburzony, zawstydzony, gryzł pięści... Czekał... Zapadał mrok. Nadeszła noc. Ponad dachami piskliwy zegar Sorbony wybił jedenastą, dwunastą, pierwszą. Marek męczył się, zwrócony twarzą do ściany, skulony gorączkowo pod kołdrą, z kolanami pod brodą, jak pies zwinięty w kłębek... Czego chciał! Brutalnego uścisku? Nie. Nie, nie umiałby powiedzieć – czego. Tej kobiety, tego, co ona nosi w swym łonie, co kryje, tajemnicy jej życia, jej ducha, dobra i zła. Chce wszystkiego. Potrzeba mu tego strumienia, aby połączyć jego wody ze swoim. Co toczą te wody? On nie wie. Potrzeba mu ich. Potrzeba mu wszystkiego... I aby to mieć, konieczny będzie brutalny uścisk. To jedyna droga. Ale cała krew wzburzyłaby się w chłopcu, gdyby mu rzec, że tego właśnie chce. Krzyknąłby: „Nie"!, i byłby szczery. Jak strumień, który wpada do rzeki. Nie płynie do niej, płynie do morza. I trzeba mu tej transfuzji krwi, tego dopływu, by nie skonać przedwcześnie

w piasku. Usta Marka pragną pić krew Asji... Nagle usta te o suchych wargach przylgnęły do ściany; szepnęły:

– Asju!

Najczulsze ucho nie mogłoby tego usłyszeć. Minęło kilka minut. Powtórzył silniej:

– Asju!... — Śmiertelne milczenie. Marek nienawidzi. Nienawidzi do utraty tchu. Opadł znów na; łóżko, z rękoma na karku, starając się zerwać niewidzialną pętlę, która go dusiła... Oddech wrócił. Zanim usłyszał, zobaczył... Drzwi otwarły się, weszła kobieta.

*

Od chwili, gdy wróciła do swego pokoju, siedziała w ciemności, skulona na łóżku, niema, nieruchoma. Słyszała wszystko, od pierwszego stuknięcia w ścianę, które rozpłomieniło w niej gniew, aż do pierwszego nieuchwytnego szeptu, który wprawił ją w słodkie omdlenie. Była kolejno, nagle i niemal jednocześnie, ogniem i lodem, strugą płonącej krwi, która napływa i która cofa się jakby wpychana tłokiem, i najzupełniejszą obojętnością... Postanowiła nie ruszyć się z miejsca... Ale dlaczego? Cóż by ją kosztowało wziąć sobie tego mężczyznę, jeśli go pragnęła? Brała innych... Ale tego nie! To ona była pojmana! A już nie chciała tego. Nie chciała być znów ofiarą złudy... A ponieważ tym razem kochała prawdziwie (nie chciała się do tego przyznać), niepokoiła się nie tylko o siebie, lecz o niego i o krzywdę, którą by mu wyrządziła. Gdyż wiedziała (do tego przyznawała się), że mogła być niebezpieczna. Kto by ją wziął, musiałby ją wziąć z ciałem, z duszą, z duszą udręczoną, zmęczoną, zgłodniałą, ze stopami rannymi, palącymi, które nie przystaną aż do ostatniego tchu – musiałby wziąć przeszłość i przyszłość. Było to nazbyt wiele na młode barki chłopca trawionego gorączką, które znowu widziała wśród nocy i które obejmowała ramionami. Dotykała smukłych pleców. Czuła je pod dłonią naprężone jak łuk, napięte do ostateczności... Odsuwa je, lecz ręka powraca. Nie może się oderwać.

To uparte „nie" i to odpychanie – szukanie go – pociągnęły jej ręce, ramiona, kolana. Boso na progu drugiego pokoju, oburzona, opierała się zadawanemu sobie gwałtowi nienawidząc tego, który jej nienawidził, gotowa krzyczeć wrogim głosem: „Czego chcesz ode mnie?..."

Pobiegła ku niemu i wpadła w otwarte ramiona...

*

Teraz sprzężone ich ciała rozplotły się. Lecz dusze były złączone. Przytuleni do siebie, czuli, jak w piersiach ich tętni ta sama krew i rozlewa się po członkach spokojnym ciepłem, falą złotą. Marek, upojony zdobyczą, mówił śmiejąc się i ściskając ją:

– Mam cię, mam cię!... Jesteś moja...

Asja milcząc myślała:

„Nie jestem twoja. Nie jestem swoja ani niczyja."

Lecz obejmowała go ramionami... Delikatne lędźwie, smukłe plecy... Zdawało się jej, że mogłaby je złamać... Zalewała ją czułość. Schyliła się gwałtownie i okryła je pocałunkami.

Młody towarzysz wzdychał, wodząc długimi, drżącymi palcami po płomiennej twarzy Asji, której żarłoczne wargi chwytały je. I w szalonej wdzięczności mówił, mówił, świergotał jak ptak, zwierzał się słowami naiwnymi i bez związku, wylewał głąb serca, wyjawiał szczerze swoją samotność, najgłębszą tajemnicę swego istnienia i losu, składał je w ręce tej nieznanej kobiety, która słuchała go z twarzą ukrytą na jego piersi. Słuchała, rozczulona, z goryczą i ironią. Oddawał się, myśląc, że ją zna: nie wiedział nic o niej, o jej życiu, o bliznach i niezatartych piętnach, które na niej pozostawiła przeszłość, nic o osadzie duszy na mulistym dnie, nic o dnie... Gdyby mógł usłyszeć jej myśli, byłby odpowiedział:

„Znam twoje dno lepiej niż ty. Jeśli nie mogę zliczyć dni i nocy, które przeszły po twej powierzchni, dotknąłem dna."

Któż mógłby powiedzieć, które z nich miało słuszność? Ostroga miłości przenika poza świadomość. Ale prawdą jest, że miłość jest ślepa. Dotyka, trzyma, nie umiałaby rzec, co trzyma, nie widzi nic.

Jednakże trzyma... Gdy żółte szyby pokoju zajaśniały światłem jeszcze bardziej żółtym niż zwykle – padał deszcz – Asja pochyliła się nad młodym towarzyszem, który nad ranem zasnął wreszcie. Sama nie zmrużyła oka... Patrzyła na znużone policzki, na szczęśliwe usta, smukłe, bezwładne ciało; nogi ich były splątane; nie mogła ich uwolnić; pomyślała:

„Gdzie ja? Gdzie ty? Jesteśmy teraz stopieni..."

Ze znużenia i rozkoszy chciała znów opaść na poduszki... Ale wyprostowała się. Mówiła sobie:

„Nie! Nie trzeba! Cóż on ma ze mną wspólnego? A ja z nim? Niech każde z nas wraca do swego życia!..."

Wyrwała się. Było jej ciężko. Otworzył oczy, a ona omal nie omdlała pod tym spojrzeniem. Nagle, gwałtowna, ustami zamknęła mu powieki. Powiedziała:

– Śpij... Muszę wyjść na chwilę; ale nie opuszczam cię: zabieram ciebie, zostawiam siebie...

Zapadł znów w sen, zbyt zmęczony, by odpowiedzieć. Wymknęła się. Mówiła prawdę: zabrała w głębi swego serca cząstkę jego. Za późno było, by uciec. Zapukała do drzwi Anetki.

– Mówiłam pani o wolnym mieszkaniu. Pokażę je pani. Wyjdźmy razem!

Anetka, już ubrana, wkładała rzeczy do walizy. Zdawała się gotowa do odjazdu. Zwróciła się ku Asji. Dość jej było spojrzeć, by usłyszeć szalejące w tej piersi potężne, ciepłe wiatry; nie był to już zimny wiatr wczorajszego wieczoru – burza, lecz huragan zmienił kierunek. Powiedziała: „Wyjdźmy!" Asja nie usłyszała w piersi tamtej kobiety innej burzy – burzy boleści. Płomienny jej wzrok odczytał otwarty telegram leżący na stole:

„*Timon dead...*"[212]

Siłowa, ledwo odczytane, zatarły się. Cóż ją to obchodziło?... Wyszły.

Kroczyły zamieniając zrazu krótkie, niepotrzebne uwagi o padającym deszczu. Potem umilkły, przecinając Luksemburg, od bramy przy rue de l'Abbé–de–1'Épée do bramy przy rue Vavin. Zielone murawy zwilżał drobny, zimny deszcz. Nagle Asja zatrzymała się, wzięła krzesło i rzekła do Anetki:

– Niech pani siądzie. Chcę z panią pomówić.

---

[212] *T i m o n d e a d* (ang.) – Tymon nie żyje

Padał deszcz drobny, uparty, przenikliwy. Ani jednego przechodnia. Stały u stóp kamiennej pasterki z kozą. Anetka nie sprzeciwiała się. Siadła na ociekającym wodą krześle. Asja koło niej. Anetka miała na sobie nieprzemakalny płaszcz, Asja zwykły swój czerwony, bardzo zniszczony szal, którym nie próbowała nawet okryć ramion; jej szara, wycięta, bawełniana suknia nasiąkała wodą. Anetka pochyliła się, dzieląc się z nią parasolem. Asja powiedziała:

– Niech pani się o mnie nie kłopocze! Widywałam i gorszy deszcz! Ta suknia także...

Anetka mimo to osłaniała ją. I w miarę jak Asja opowiadała, dwie kobiety, siedzące obok siebie, równie przejęte opowiadaniem, zbliżały się coraz bardziej, wreszcie musnęły się głowami.

Asja zaczęła *ex abrupto*[213]*:*

– Od pięciu lat brnę przez wszystkie rynsztoki Europy. Nie boję się jednej ulewy więcej. Znam smak błota i sadzy zmieszanych w waszym deszczu. Woda wielkich miast nie myje, lecz brudzi. Ale nie bronię już przed nią mych gronostajów. Nie ma na nich jednego niezaszarganego miejsca. Wchłonęły w siebie odór różnych ludzkich trzód. Niech pani powącha. (Podsunęła jej szal pod nos...) Tarzał się w tłustym błocie Ukrainy, w tysiącletnim brudzie Konstantynopola i jego okropnych targowisk, nim zaczął wchłaniać kurz waszej straszliwej obojętności...

– Mojej? – szepnęła Anetka.

– Waszego Zachodu.

– Moja jestem tylko ja – rzekła Anetka.

– Ma pani szczęście! – odparła Asja. – To więcej, niż ja kiedykolwiek miałam... Niech pani posłucha! Muszę mówić... Jeśli moje opowiadanie będzie dla pani wstrętne lub nudne, odejdzie pani... Nie będę pani zatrzymywała... Nie zatrzymuję nikogo... Ale proszę spróbować!...

Anetka milczała, obserwując profil młodej kobiety o wypukłym czole, która z podniesioną głową moknącą na deszczu, z brwią zmarszczoną i twardym spojrzeniem utkwionym w przestrzeń, nie widziała nic przed sobą, wszystko w sobie, schodząc do ciemnicy swych wspomnień.

– Ma pani – rzekła Asja – więcej niż dwa razy tyle lat, co ja. Lecz ja jestem starsza od pani. Przeżyłam wszystko.

– Jestem matką – rzekła Anetka łagodnie.

– Byłam nią – odparła szorstko Asja.

Anetka zadrżała. Delikatnie szepnęła:

– Umarło?

– Zabili mi je w moich ramionach.

Anetka stłumiła okrzyk. Asja patrzyła na fałd splamionego szala.

– Czy pani widzi?... Zbóje!... zarżnęli je jak jagnię...

Anetka, nie znajdując słów, by dać wyraz swemu uczuciu, położyła instynktownym ruchem dłoń na ramieniu Asji:

– Moje biedactwo.

Asja usunęła ramię i rzekła sucho:

– Niech pani da pokój!... Nie trzeba się litować... To, co oni zrobili, zrobiłabym może i ja.

---

[213] *E x a b r u p t o* (łac.) – bez przygotowania.

Anetka krzyknęła:

– Nie!

– Chciałam to zrobić – podjęła Asja – Przysięgłam potem, że zabiję każde ich dziecko, które mi wpadnie w ręce. Ale nie mogłam... I gdy zobaczyłam, jak człowiek, który aby mnie pomścić... omal go nie zabiłam.

Zacisnęła usta. Przez kilka chwil słychać było tylko szelest drobnego deszczu, który padał i padał. Anetka położyła rękę na kolanie Asji:

– Niech pani mówi!

– Czemu mi pani przerwała? I zaczęła znowu:

– Nie urodziłam się dla takich czasów. Musiałam się do nich przystosować. Czasy te nadeszły. Zgwałcili mnie. Nie mnie jedną. Było tam nas tysiące dziewczyn jak ja, które wzięto siłą. Przyjdzie kolej i na wasze dziewczyny, na Zachodzie... Płynęła krew... Cała krew naszych serc, naszych złudzeń – upłynęła... Wiele z nich umarło. Ja żyłam. Czemu? Nie wiem. Czy pani wie?... Kto by powiedział, kiedym konała, że żyć będę jeszcze dzisiaj? Plunęłabym mu duszę w twarz. Krzyknęłabym: „Nie!" A ja żyłam!... I żyję!... I chcę żyć... Czy to nie straszne? Czego chcą od nas? Kto nas potrzebuje – kiedy my, my nie potrzebujemy siebie?

– Nasze przeznaczenie – rzekła Anetka. – Przeznaczenie dusz, które mają odbyć długą drogę. Znam je. Przeznaczenie kobiet, które nie mają prawa do śmierci, póki nie zaznały potrójnego sakramentu miłości, rozpaczy i wstydu. Mów dalej.

Asja opowiedziała o swym słodkim, obezwładniającym. dzieciństwie spędzonym w spokojnym gnieździe życia rodzinnego. Taka wyczerpująca błogość poprzedza często brutalny cios... Dobroć, słabość, rozkład – zapach lilii bagiennych... Cukrzane emanacje szczerego nic nie kosztującego umiłowania jakiejś nieokreślonej ludzkości i zmysłowej obojętności dogadzającej sobie w spokoju,, podczas gdy robak umysłu toczy już dojrzały owoc, który ma spaść z gałęzi. Za mało siły, aby być złym. Sama myśl o okrucieństwie gotowa przyprawić o konwulsje. Lubowano się w ciężkiej, miękkiej, ciepłej i mdłej atmosferze dorodnych, gnijących w spiżarni jabłek... Nazywano się tołstojowcami, a zblazowany smak rozkoszował się Skriabinem[214] i elastycznością androgynicznych piruetów Niżyńskiego[215], dodając jako ostrą przyprawę złowróżbne akordy Strawińskiego[216]. Tak, wojna wybuchła. Wybuchła t a m... T a m, to było tak daleko! Niby dekoracja na dalszym planie. Wojna także była przyprawą...

A piętnastoletnia dziewczyna patrzyła na pączki swych piersi i w krzewie swojej istoty słuchała nieśmiałego śpiewu ptaka miłości... Egoistyczna sielanka trwała. Na wsi, dokąd schroniła się jej rodzina, życie płynęło bez ofiar i braków. W wielkim, zapuszczonym ogrodzie, pełnym malin, porzeczek i chwastów, dwoje dzieci, brat i siostra, gryząc ziarnka słonecznika, zwierzało sobie swe doświadczenia, swe nadzieje; objadało się aż do mdłości pierożkami i wierszami, Błokiem i Balmontem[217]. Bawiono się estetyzmem przyprawionym

[214] S k r i a b i n Aleksander (1872–1915) – kompozytor rosyjski.

[215] N i ż y ń s k i – tancerz rosyjski (ur. 1892 r.)

[216] S t r a w i ń s k i Igor (ur. 1882) – kompozytor rosyjski, twórca wielu baletów oraz oper.

[217] B ł o k Aleksander (1880–1921), B a l m o n t Konstanty (ur. 1867) – poeci rosyjscy.

kilku szczyptami teozofii i uprawiano frazeologiczne „narodnictwo" pełne nieokreślonej litości, miękkiej, idyllicznej wiary w lud biedny, ciemny, brudny, bogaty nieznaną mądrością i dobrocią, które śpią jak zwierciadło wody pod powlekającą je skorupą osadu. Papierowy idealizm, który był religią jej ojca – zdawał się na dobrą Naturę, na Postęp ludzki, kroczący wciąż bez wstrząsów swą poczciwą drogą, na mądrość wypadków, nawet wojny i klęski, które bez zbytnich wysiłków zrealizują wiek złoty. Będzie to święta Rosja liberalnego rozumu i oświecenia – mieszczańskiego serca, z Korolenką[218], tym dobrym duchem, wymarzonym prezydentem przyszłej, idealnej republiki... Nawet w przeddzień wielkiego szturmu październikowego w Piotrogrodzie ludzie nie wierzyli w powagę groźby; byli tak pewni swej siły, że nie przedsięwzięli żadnych środków dla swej obrony. I zbudzili się zwyciężeni, zanim zaczęli walczyć... Oblicze świata zmieniło się. Jakby kraj cały, od końca do końca, przebiegło trzęsienie ziemi. Wszystko runęło, a potężny podmuch powietrza rozniósł w strzępy tysiące gniazd. Roje oszalałych ptaków krążyły bezładnie, spadały na ziemię. Uciekający znaleźli się w wirze armij. I z dnia na dzień zdarte zostały wszystkie zasłony życia. Odkryto z przerażeniem zwały uraz i nienawiści nagromadzonych w sercu tego ludu, wczoraj jeszcze dobrodusznego i jęczącego. Ujrzano zwierzę o dzikich oczach, o krwawej paszczy, o oddechu ziejącym śmiercią, zwierzę w rui... Służący, którego byli pewni, który z pokorą i zażyłą troskliwością patrzył, jak dzieci wzrastały, okazał się jednego dnia brutalnie groźny... próbował zgwałcić dziewczynę...

A potem ucieczka wśród Kiereńczyków zmieszanych z białymi. Pośród nich, w jej własnym obozie, wybuchły te same instynkty. I nagle uległa ostatnia linia obronna, strażnica: w młodą dziewczynę wtargnęło to samo szaleństwo. Zwierzę dyszało jej w twarz... A ona ujrzała się podobną do niego...

– I stałam się nim. I (co najstraszniejsze) stałam się bez trudu. Od razu... Czyż mam sądzić, że byłam nim i że maska kultury, która przylgnęła do naszej skóry, ciążyła nam, a palce nasze pragnęły ją zerwać?... Ojciec mój patrzył na mnie z przerażeniem... Starzy nie mogą już zmieniać skóry... Obecność jego krępowała mnie jeszcze. Niewiele! Gdy umarł, byłam w ciąży. Na swoje szczęście, umarł, zanim to spostrzegł... Wraz z nim pochowałam tę, którą byłam. Pozostawiłam ją z nim za sobą, w drodze, na pastwę gnicia. Zapomniałam o niej, zapomniałam aż do nazwiska, aż do poczucia mej tożsamości... Przez dwa lata byłam istotą bezimienną, szaloną, porwaną przez wściekły galop stada... Dziś jeszcze, w tej chwili, oczy moje są pełne kurzu. Co widziałam? Co robiłam? Co przeszłam?

– Przestań, nieszczęśliwa – rzekła Anetka przyciskając dłonią kolano Asji. – Nie budź wspomnień.

– Chcę tego – odparła Asja. – Nie daruję sobie. Powiedziałam pani, że jeśli to drażni pani powonienie, niech pani odejdzie.

Nie darowała Anetce. Nie darowała sobie. Opisała okropny *exodus*, ślepe staczanie się po linii spiralnej, wśród podrywów i upadków, na dno stromego kręgu. Nie oszczędziła sobie żadnego upokorzenia. Nie okazywała ani żalu, ani wstydu. Mówiła z suchą, zwięzłą dokładnością, z głową podniesioną, z twardym spojrzeniem: deszcz, zastępując łzy, spływał jej po policzkach. Anetka, przejęta, wstrzymywała oddech, podziwiała powściągliwą siłę opowiadania,

[218] K o r o l e n k o Włodzimierz (1853–1921) – znakomity pisarz rosyjski, przedstawiciel radykalnej, demokratycznej inteligencji, zbliżonej do narodnictwa.

bezlitosnego, mocnego, ścisłego, bez intencji poprawiania swych błędów i nie poprawiając się – znajdując zawsze właściwy wyraz, opowiadania, które w tym akwarium deszczowego poranka kwietniowego rozwijało przed nią film koszmarnych losów dziewczyny. Była tak oczarowana magią obrazów, że nie myślała oceniać strony moralnej, i z bijącym sercem śledziła tę piekielną pogoń, nie wiedząc, czy spłaszczony profil, któremu się przyglądała, był profilem Diany scytyjskiej, czy ściganej ofiary. Z przechylonego w nieuważnej, ręce parasola spływała na jej ramię strużka wody.

Strażnik Luksemburgu przeszedł mimo, mierząc ciekawym spojrzeniem obie kobiety, które nie zauważyły go wcale; po kilku krokach odwrócił się, przypatrzył się ich znieruchomiałym pozom, pokiwał głową i odszedł. Jest tylu narwanych. Człowiek przywykł, w Paryżu...

A Asja opowiadała o wygnaniu z jego hańbami i upodleniem, o niewolniczych i poniżających pracach, które łamały tyle jeszcze hardych dusz emigracji lub rzucały je w szaleństwo – ale które podnieciły jej własną duszę i podniosły ją dzikim wybuchem dumy i pogardy. Opowiadała o okrutnej samotności, w której się zamknęła, i o nagłym objawieniu, które się dokonało w tym strasznym okresie, gdy odcięła się dobrowolnie od żyda z ludźmi – o radosnej afirmacji tego „ja", samotnego i zagubionego, afirmacji niezrozumiałej potęgi tego nieznanego „ja", które rzucało wyzwanie światu i stawiało mu czoło. Opowiadała o okrutnej dwuletniej walce, w której udało się jej obronić nie tylko przed ludźmi, lecz i przed własnymi zasadzkami, własną zdradliwą głębią. Anetka odgadywała to, o czym nie mówiła Asja – niewiarogodną, lecz pozbawioną busoli i punktu zaczepienia energię. Energię, która – samotna – szalała nie znajdując tego punktu, która szukała, szukała swego kierunku i celu wśród wstrętnych konieczności i upokorzeń codziennych, najniższych prac i wśród strachu przed głodem – wolałaby głód od pasztetu, gdyby go jej ofiarowano za cenę poddania się jakiemuś stronnictwu czy człowiekowi. Twarda duma, ten czysty diament, i szał niezależności, który ją ocalił, uderzyły natychmiast doświadczone oko Anetki wśród chaosu tej duszy kobiecej, którą wstrząsnął kataklizm. Anetka umiała dojrzeć wśród warstwie osadów kruszcowe żyły siły moralnej i duchowej, zasypane ruinami tego całego świata, który runął. Widziała je lepiej niż Asja, która podniecona swą namiętną spowiedzią, znęcała się nad sobą. Asja mówiła, mówiła, a Anetka słuchała, słuchała i myślała... Jak długo?... Jak długo to trwało?... Godzinę czy dłużej?... W przerwie między jednym i drugim zdaniem wpadło, jak szczypta ziaren ołowianych na wklęsłą szalę wagi, kilka uderzeń zegara małego seminarium. Asja urwała i wyczerpana przesunęła dłoń po mokrym czole... Wyszedłszy z otchłani nie wiedziała już, co tam robiła, po co opowiedziała to wszystko. Spytała szorstko:

– Po co mnie pani słucha?

Anetka nie była w stanie dać odpowiedzi. Pamięć wracała. Asja rzekła:

– Od lat nigdy nie dotykałam tego... Co mnie napadło dzisiaj? Co ja zrobiłam?...

Odetchnęła; machinalnie wyżęła nasiąkło deszczem włosy, nie zważając, że strumienie spływały jej wzdłuż pleców. I powiedziała:

– No, tak... Teraz pani wie, kim jestem. Niech pani zabierze swego syna.

– Naturalnie – odparła Anetka. – Poszukamy dla niego mieszkania.

– Ale natychmiast. Niech mnie już nie widzi i niech ja go nie widzę.

– Czym to grozi?

– Kocham go.

– A on kocha panią?

Asja wzruszyła ramionami:

– Jeśli kocham, jestem kochana.

– Jeśli więc panią kocha, cóż mogę zrobić?

– Może pani. Pani jedna ma na niego wpływ. Znam go. Znam was oboje. Znam węzły, które was łączą. Są one ciaśniejsze i serdeczniejsze, niż zwykle bywa między matką a synem.

– Skąd pani to wie?

– Czytałam pani listy.

Anetce zabrakło tchu.

Asja ani myślała się usprawiedliwiać.

– Za długo czekałam. Postanowiłam go wczoraj oddalić od siebie. Było za późno. Zło stało się.

– Zło?

– On rzekłby: dobro... Ja także, gdybym siebie miała na względzie, gdybym nie wiedziała, co wiem, co przewiduję... Niech go pani zabierze, póki jeszcze czas; i to prędko. Jutro nie będę już za to odpowiadać... Zabiorę go pani i zrobię mu krzywdę. Nie chcę tego. Lecz to nieuniknione.

Anetka spytała:

– A pani?

– Ja? O co chodzi?

– Jakie jest pani dobro? Jakie pani zło?

– Cóż to znaczy dla pani?;

– Proszę odpowiedzieć.

– To rzecz nieważna.

– Powiedziała pani, że go pani kocha.

– Naturalnie. Inaczej, po cóż bym pani mówiła o tym wszystkim?

– Czy ma pani zwyczaj odpędzać tych, których pani kocha?

– Nie kochałam nikogo przed nim... Tak, po tym, co pani powiedziałam, wzruszy pani ramionami. I ja także... Zresztą, dosyć o tym. To nie ma nic wspólnego ze sprawą. To obojętne dla pani.

– To zależy – rzekła Anetka.

Spojrzała na przemokłą do suchej nitki Asję. Suknia jej nasiąkła wodą jak gąbka. Piersi rysowały się pod przylepionym do ciała materiałem. Wyglądała jak po wyjściu z kąpieli. Wszystka krew uciekła z jej twarzy. Zaciskała zęby, blada, zlodowaciała. Anetka podniosła się.

– Wracajmy Pomówimy o tym u mnie.

Zarzuciła jej przemocą na ramiona swój nieprzemakalny płaszcz i wzięła pod ramię. Asja próbowała stawiać opór, lecz po tak wielkim wydatku energii była wyczerpana.

Nie należało w jej chęci zerwania z Markiem widzieć bezinteresownej miłości pragnącej ocalić Marka przed sobą. Miłość takiej Asji, choćby najgorętsza, nie mogła być bezinteresowna. Chciała istotnie (nie kłamała) ocalić go. I była przerażona tym aktem wyrzeczenia: to była zdrada miłości... Ale przede wszystkim myślała o ocaleniu siebie. Niezrozumiałym wydawało się jej, że znów dała się porwać namiętności, choć przysięgała sobie nie wracać do tego

koła, które ją zmiażdżyło. Po minionych zetknięciach z namiętnością pozostał jej lęk i groza, niemal nienawiść do tej niewoli. Ale czyż uczucia te byłyby tak gwałtowne, gdyby nie pozostała w niej także pamięć oszołomienia? Odczuła pokusę powrotu. Znała niebezpieczeństwo otchłani i jej nieprzezwyciężony urok. Marek był przepaścią. Wziął ją całą: całe jej ciało, które płonęło jak pochodnia – całe jej serce, które spalało się dla tego chłopca w tkliwości, w litości, którą budził, w tajemnym macierzyństwie, w owych zmieszanych uczuciach: wyższości, która panuje, i słabości, która wzywa pomocy. I po tej nocy nie była już zdolna wyzwolić się sama. Była jeszcze tylko zdolna uciec się do Anetki, aby ją wyzwoliła. Ale wysiłek ten złamał ją. Anetka, trzymając ją pod rękę, prowadziła do hotelu. Po drodze Asja wybuchnęła raz jeszcze. Stanęła i zatrzymała Anetkę na środku bulwaru, wśród tłumu. Krzyknęła z gniewem:

– Niech pani uwolni mnie od swego syna. Niech go pani zabierze!

– Ładnie bym wyglądała – rzekła Anetka – gdyby pani przyszła go odebrać.

– To pani rzecz, abym nie mogła go odebrać.

Anetka czuła, jak pod jej dłonią drży ramię Asji, jak drży tuż przy jej ciele skurczone ciało dziewczyny. Potem napięcie nerwów ustąpiło. Anetka dźwigała tylko mokry, bezwolny i posłuszny ciężar. W hotelu kazała Asji przebrać się. Lecz Asja zamknąwszy swój pokój zostawiła klucz wewnątrz. Aby się tam dostać, trzeba było przejść przez pokój Marka, a bała się, by jej nie zobaczył w tym stanie. Anetka wprowadziła ją do siebie i poszła do pokoju Asji po bieliznę do zmiany. Asja nie chciała do tego dopuścić. Anetka wątpiła trochę, czy to, po co szła, istnieje. Przeszła na palcach przez pokój syna. Spał ciągle jak zabity. Przystanęła na chwilę, aby mu się przyjrzeć. Z pewnością nie ruszył się, odkąd opuściła go Asja. Anetka cicho przeszukała zbutwiałą szafę Asji: ubóstwo szmatek, które znalazła, wzbudziło w niej litość, ale względna ich czystość świadczyła o wytrwałości walki, by utrzymać się nad powierzchnią błota. Anetka znała się na tym.

Wróciwszy zastała Asję w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiła, opartą o ścianę. Dokoła jej stóp utworzyła się mała kałuża. Anetka chwyciła ją za ramię i ściągnęła z niej odzienie, które przylepiło się do ciała. Asja otrząsnęła się z drętwoty i wyrwała się nagłym ruchem. Anetka pochwyciła ją znowu:

– Niech pani stoi spokojnie... Proszę podnieść ramię. Dalej! Spieszmy się.

Asja odburknęła:

– Głupstwo... Czy pani myśli, że ze dwadzieścia razy nie spałam tak przemoczona jak dziś?

Anetka, nie odpowiadając na to, zaczęła mówić o śnie Marka i natychmiast buntownicze ciało znieruchomiało. W pokrytym plamami lustrze, na przeciwległej ścianie, ujrzała uśmiech Asji i odpowiedziała nań uśmiechem. Był ich dzieckiem, ich obu. Obie zgadzały się w tym...

Zwinnymi palcami rozebrała Anetka Asję od stóp do głów. Ujrzała ciało silne i gibkie, które nie odpowiadało prawom estetycznej piękności, które było stworzone do marszu, walki, miłości, rodzenia. Stawy mocne. Skóra bardzo smagła, gładka, jędrna o połyskach starego złota. Błyszczała od wody... Anetka otarła ją gąbką. Asja nie sprzeciwiała się. Nie miała już nic do ukrycia. Pokazała wszystko: to co wewnątrz i zewnątrz. Podczas gdy Asja stała naga, kobiety rozmawiały:

– Czemu pani kocha Marka?

– Kocham go, bo kocham.

– Pytam, za co?

Asja zrozumiała dobrze:

– Za co? Jak go kocham?... Kocham go, tak jak się kocha – gdyż jest się głodnym. Ale czuje się nie tylko głód ciała. Ten głód można oszukać. Oszukałam go niejednokrotnie. Ale istnieje głód inny, którego nie można oszukać i który nie da się oszukać – czuję głód prawdy, głód czystości. A pani syn jest prawdziwy, jest czysty myślą. Jest czysty jak pani... Tak, wiem, co mówię. I pani wie także... Czyż myśli pani, że można się mylić, jeśli spędziło się, jak ja, sześć lat wśród zgnilizny dzisiejszych dusz? I że kiedy wynurzy się z niej dusza nieskalana – człowiek nie rzuci się na nią?

– Syn mój nie jest może niewinniejszy i bardziej nieskalany niż pani. Dużo błądził. Będzie błądził jeszcze. Dałam mu, na jego nieszczęście, niespokojną naturę i choć mam dość zaufania do jego głębokiej prawości i woli, by wierzyć, że osiągnie kiedyś wewnętrzną harmonię, nie obejdzie się to bez niebezpieczeństw i nie nastąpi jutro...

– Wiem, wiem! I na cóż mi ta harmonia? Tak, brak mu jej, dzięki Bogu! Widziałam pani syna nagiego, jak pani mnie widzi, nagiego ciałem i duszą. Odkąd go śledzę, i w czasie jego choroby, nie ma rzeczy, której by mi nie zdradził... Tak, jagnię pani nie jest bez skazy! Wiem o tym... Gdyby był bez skazy, nie kochałabym go tak. Nie lubię (jak i pani) białych jagniąt, które beczą i mają mleko pod nosem. Nie jest człowiekiem ten (czy to pani, ja, czy on), kto nie stawiał życiu czoła w jego norze i nie pozostawił w niej kawałka swej skóry. .Trzeba, trzeba przejść przez brud i ciernie! Pani przeszła przez nie. Marek przeszedł. Ale nie ugrzązł tam. Jest zdrów. Jest prawdziwy w swojej nienawiści. Jest prawdziwy w miłości. Jest wolny. Ma w sobie zbyt wiele zdrowej goryczy, by mogła go tknąć zgnilizna.

– Jest taki jak pani.

Asja przerwała nagle potok słów. Patrzyła, zmieszana, na Anetkę, która patrzyła na nią, Obie kobiety przyglądały się sobie w milczeniu. Wreszcie Anetka otworzyła usta. Asja uczyniła gest, by jej przeszkodzić.

– Nie chcę – rzekła Anetka, ważąc słowa, z twarzą stanowczą – rozłączać go z panią.

Asja chciała przemówić. Anetka ręką nakazała jej milczenie:

– Wiem, co ryzykuję. Ryzykuję na dwie strony. Bo mam teraz dwa obowiązki zamiast jednego. Panią i jego. Przyjmuję je. Mam zaufanie do was obojga. Zostańcie razem!

Asja, obezwładniona wzruszeniem, słuchała nie rozumiejąc... Sens słów przeciekał poprzez jej myśli lodowatymi kroplami stalaktytów... Zaczęła drżeć, naga jeszcze, pod koszulą, którą Anetka wkładała na nią macierzyńskim gestem... Spuściła głowę, odwróciła się do ściany, oparła o nią czoło i ramiona i z ukrytą twarzą, jak mała dziewczynka, łkała.

*

Anetka położyła ją na łóżku. Płaszczem swym okryła nagie nogi Asji, która szczękała zębami. Powiedziała jej:

– Drżysz; z zimna...

– To nie z zimna – odrzekła Asja. – Proszę, niech mi pani pozwoli zostać przy sobie jeszcze chwilę.

– Więc niech pani wejdzie do łóżka.

Asja trzymała ją za ręce. Anetka usiadła przy niej.

– Niech pani posłucha! Odjeżdżam dzisiaj. Człowiek, szef, przyjaciel, z którym pracowałam, zmarł nagle. Wracam na posterunek, który opuściłam. Będę nieobecną przez kilka tygodni. Zostawiam pani Marka, zostawiam panią Markowi. Czuwajcie oboje!... Rozumiesz mnie, moja droga? Czy zrozumiałaś mnie dobrze? Powtarzam ci: czuwajcie, bądźcie razem, lecz czekajcie, zanim się skujecie łańcuchem. Brońcie oboje swej wzajemnej wolności! Pani niech broni jego wolności, jeżeli on sam nie będzie umiał! Obserwujcie samych siebie. Dużo minie czasu, zanim będziecie mogli czytać nie w duszy drugiego, lecz w swojej własnej. Nie śpieszcie się! Bądźcie szczerzy...

– Jestem nią i będę – rzekła Asja. – Rozumiem panią. Nie pomyliłam się... Pani, która umie kochać, pani myśli, że ponieważ kocham, boję się, abym łudząc siebie nie łudziła jego. Lecz jeśli on kocha mnie i łudzi się, czyż będę dość silna, by otworzyć mu oczy? Byłoby może rozsądniej zabrać go.

– A gdybym panią wzięła za słowo? – spytała Anetka.

– Nie, nie! Niech pani tego nie robi! Nie mogłabym już... Już teraz za późno.

Pomyślała chwilę, uczuła wstyd z powodu swej słabości i dodała:

– Ale powiem mu wszystko. Dowie się o wszystkim.

Anetka uśmiechnęła się melancholijnie:

– Nie, droga Asju. Nie radzę pani tego.

Leżąca kobieta zerwała się, odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku patrząc na Anetkę:

– I to pani radzi mi nie wyznać mu całej prawdy?

– Tak, to dziwne, rzeczywiście. Ze strony matki...

– Ze strony pani.

– Dziękuję... Tak, zdaje mi się, że jestem prawdomówna i że zawsze nią byłam, zwłaszcza gdy było mi to niedogodne. To daje mi dziś prawo radzenia pani. Chce pani opowiedzieć Markowi wszystko, czym pani była...

– Czym jestem – rzekła Asja.

– Czy jest tym pani? Czy też przeszła pani po tym, jak po błocie swych dróg, stopami, które są teraz obmyte?... Ale dobrze! I ja chowam wspomnienie błota, po którym przeszły moje stopy. Jestem solidarna z tą, którą byłam. I nie lubię tych, którzy gdy wyłoni się krępujący obraz ich przeszłości, mówią: „Nie znam tego człowieka!" Ale że pani go zna, to tylko pani sprawa. Nie jest pani obowiązana zapoznawać z nim innych.

– Nie innych – rzekła Asja. – Lecz jego.

– Mniejsza o to jeszcze – ciągnęła Anetka z lekkim uśmiechem trochę gorzkiej ironii – mniejsza o to, że mówiąc mu o tym może go pani od siebie oddalić! Lecz jeśli on panią kocha, czego jest pani pewna (zbyt pewna), to nie oddali go pani, tylko zada mu ranę; i rana ta, niewątpliwie pełna goryczy, stanie się jeszcze jednym z pęt, które wpijają się w jego ciało. Nie będzie kochał pani mniej, powie pani: „Zapomnę o wszystkim." Nie zapomni o niczym. Po roku, po dwóch, po dziesięciu rana otworzy się znowu i zacznie ropieć. Gdy pani nie będzie już wiedziała, kto była ta kobieta, która zmordowana boleścią, z rozszalałym umysłem, patrząc ciągle na śmierć wokół siebie, oddawała się w nocy, by spadając w przepaść uczepić się jakiegokolwiek ciała, które – żywe –

i ją związałoby z życiem – on, Marek, będzie tę kobietę widział oczyma ptaka nocnego, których miłość pożycza od zazdrości, i zmusi panią ujrzeć ją w jego oczach. Skaże panią na to, że będziesz na całe życie związana z tym ciałem przeszłości, które zrzuciłaś – które zrzucamy wszystkie – jak starą suknię. Oni chcą, byśmy zachowywały gnijące pod naszą skórą nasze stare dusze, które – dzięki Bogu! – zrzucałyśmy w miarę, jakeśmy się odnawiały. Mężczyźni, droga moja, niezdolni są zrozumieć tej siły, która w nas tkwi i która jest naszym obowiązkiem, siły wiecznego odmładzania się.

Głos jej nie podnosząc się nabrał akcentu pogodnej goryczy. Asja milcząc przyglądała się jej, zdziwiona. Anetka, która nie patrzyła na nią i od kilku chwil mówiła już nie do Asji, lecz do samej siebie, przypomniała sobie o istnieniu słuchaczki i zwracając się do niej, zamieniła z nią uśmiech porozumienia:

– *„La donna è mobile..."* oto, co mówią o nas. Oto, co by rzekli, gdyby mnie słyszeli. Nie rozumieją, że w prawdziwej kobiecie to, co prawdziwe, nie zmienia się wcale. Nic z tego, cośmy przeżyły, nie ginie; jeśli było pokarmem naszego życia, jest cząstką naszej krwi; a my wydalamy z siebie tylko to, co nieużyteczne i nieczyste...

Asja powiedziała:

– Nie przypuszczałam, że znajdę pokrewną sobie istotę.

– Ja nie znalazłam jej nigdy – odparła Anetka. – Dlatego współczuję tym, które jej nie znalazły.

– Więc niech pani będzie nią dla mnie! Nie nadużyję tego. I proszę pomagać mi nie przeciw Markowi, lecz dla niego. Ponieważ nie chce pani, abym opowiedziała mu wszystko (czuję, że pani ma słuszność; ale nie ręczę, czy będę milczała!), składam w pani ręce wszystko, co mi ciąży. Zrzuciłam dziś to, co najgorsze, lecz jest tego dość jeszcze: dowie się pani o wszystkim. Będzie pani mogła użyć tego w chwili, którą pani wybierze, przeciwko mnie, na rzecz swego syna. Nie będę niczemu przeczyć.

Anetka rzekła z błyskiem przekory:

– Doskonale! Ale niech się pani ma na baczności! Mam teraz panią w ręku.

– Niech mnie pani trzymał Chcę tego. Czynię panią sędzią. Jest to jedyny sposób wywdzięczenia się pani za to, co od niej otrzymałam.

– Za co?

– Niech pani nie udaje, że nie wie! Wie pani... Dała mi pani to, czego mi nikt nie dał... Nie miłość: miałam ją, mam i mieć będę... Daleko więcej: ufność. Uwierzyła pani we mnie. I czy wie pani, jaki jest tego skutek? Pani mi zwróciła ufność w siebie – jeśli miałam ją kiedykolwiek... Odzyskałam wiarę, wiarę w siebie. Dziękuję! Zmartwychwstaję...

Wyszła z łóżka i padając na kolana ucałowała gwałtownie kolana Anetki.

- I obiecuję – mówiła – że nie pozwolę Markowi zaślubić mnie, zmuszę go, by pozostał wolny, wolny jak ja...

Anetka wzięła ją pod ramiona i podniosła, mówiąc z ironicznym uśmiechem:

– Na próżno obiecuje ten, kto nie wie, czy dotrzyma...

Ucałowała ją, dotknęła jej palców i ramion i powiedziała:

– Jesteś już sucha... Ubierz się!... On czeka na nas.

*

Asja była zdecydowana nie wychodzić za mąż za Marka. Nie była to kwestia lojalności wobec Anetki. Była to stanowcza wola, niechęć jej natury do wspólnego jarzma...

„Kocham, kocham cię, oddam ci dzisiaj moje życie, moją śmierć, ale nie oddam ci mego jutra, nie dam się przykuć!"

Anetka, która, nie miała tych, co Asja, powodów, by łudzić się, wiedziała lepiej, jak jest i jak będzie...

Dwoje kochanków, powtarzając sobie szczerze: „Będziemy się kochać, wolni", czyniło wszystko, co mogło, by nie być nimi. Pragnęli związać jedno drugie i siebie samego.

Anetka wróciła po trzech tygodniach spędzonych w Londynie dla zbadania sprawy. (Tymon udając się z Londynu do Brukseli zginął tajemniczo, wypadłszy z samolotu: morderstwo czy samobójstwo? Tajemnicza ręka uprzątnęła wszystkie papiery, które mogłyby pomóc w odcyfrowaniu okoliczności.) Przez tygodnie te więziły ją obowiązki wobec zmarłego, porządkowanie ruin i wyrzuty sumienia (gdyby nie zostawiła go samego, czy byłby zginął?). Anetka, dręczona tymi myślami, ale kryjąc je w sobie, zastała w Paryżu Marka i Asję w pętach namiętności, która dzień po dniu przędła dokoła nich swą sieć. Cóż teraz mogła uczynić? Rozdzielić ich? Za późno! Uprzedzić ich o niebezpieczeństwie? Wiedzieli o nim. I to, co sama wiedziała, co – być może – ona jedna mogła wiedzieć o tych dwojgu dzieciach – wciągało ją też w ową sieć. Ta Asja, która w swych niepohamowanych jak powódź spowiedziach zdradziła jej wszystko – nie tylko najgorsze, lecz i najlepsze, najrzadsze, najtajniejsze, co dumnej kobiecie najtrudniej odsłonić – wdarła się także w jej serce. Anetka umiała przejrzeć jednym spojrzeniem i ocenić ze znawstwem dzikuskę w całej jej prawdzie i surową dyscyplinę, którą zdołała narzucić sobie podczas tych lat wygnania w Paryżu; jej samotność i nędza znoszone niezłomnie, jej nieprzejednana potrzeba prawdy, ta prawość umysłu wobec samego siebie – Anetka na nic nie była czulsza. Wobec tej niebezpiecznej cnoty „czystość" w mieszczańskim znaczeniu była dla niej cnotą drugorzędną. To, że Asja błądziła lub mogła jeszcze błądzić ulegając namiętnościom, było jak wiatr, co muska powierzchnię nie dotykając tego, co zasadnicze: czystości duszy szczerej i pewnej. Umiała o tym zapomnieć. (Ale wiedziała, że syn jej nie umiałby... I to było jednym z niebezpieczeństw...)

Niebezpieczeństw, co prawda, nie brakło, było ich pod. dostatkiem; i nie wszystkie zagrażały z jednej strony. Marek był też niebezpieczny – w sposób inny niż Asja. Niechętnie oddałaby mu w ręce (o czym mówiła Asja, nie wierząc, by się tak stało) dziewczynę świeżą i niedoświadczoną. Brak mu było hamulca i równowagi, brak mu było roztropności i sprawiedliwości, brak mu było dobroci i prawdziwej ludzkości. Anetka widziała to wszystko. Sądziła swego syna. Był zbyt młody i zbyt napiętnowany przedwczesnym doświadczeniem, niezupełnym i gwałtownym. Mógłby stać się mądrym i prawdziwie dobrym kiedyś, później, w czterdziestym roku życia: wtedy byłby może zdolny rozumieć i prowadzić młodą kobietę. Obecnie doszłoby do tego, że oboje doprowadziliby się do szału, zadawali sobie ból i niszczyli się wzajemnie. A jednak niedobrze było, by Marek został sam. Samotność ta w ostrej walce z zatrutym środowiskiem była na dłuższy przeciąg czasu przeciwna naturze i mło-

de jego, nadszarpnięte siły nie wystarczały już. Trzeba mu było pomocy, towarzyszki już zahartowanej w zetknięciu z życiem, starszej siostry, trochę matki, trochę brata, która by umiała opatrywać jego rany i w razie potrzeby walczyć u jego boku. Czy Asja mogła nią być? Mogła. Lecz czy będzie umiała? Można było o tym wątpić. Jakże bowiem oczekiwać po młodej kobiecie bezinteresowności, której brak mężczyźnie, zresztą tej rzekomej bezinteresowności namiętnego uczucia? (Gdyż jest ona przeciwieństwem bezinteresowności – rozporządza drugim jak sobą.) Tylko wiek i długie bolesne doświadczenie może jej nauczyć tych, którzy są zdolni do tego. Czemuż więc i oni nie mieliby się jej nauczyć? Anetka ufała synowi. A dziewczynie? Dlaczegożby nie? Asja zdobyła prawo do jej zaufania. Właśnie (i przede wszystkim) zwierzając jej to, co w jej naturze mogło Anetkę najbardziej oddalić od niej. Niebezpieczeństwa były przynajmniej odkryte, były jawne, nie przybrane małymi cnotami, jak u tylu kobiet i dziewczyn, o których nie wiadomo, co kryje się pod gładką powierzchnią wody. A wynagradzały je inne cnoty – silniejsze i równie jak niebezpieczeństwa szczere, równie śmiałe. Więc szansę te same; gdyby Anetka była Markiem, wiedziałaby, co wybrać. Mogła zatem spodziewać się, jaki będzie jego wybór. I gdyby mu go wyrzucała, postąpiłaby nieuczciwie. Choćby matka chciała oszczędzić synowi udręczeń, które przewiduje, nie mogła mu oszczędzić udręczonej duszy i przeznaczenia, które mu zgotowała... Idźcie, moje dzieci, ku swemu przeznaczeniu! Daremnie zagradzać Markowi drogę; mądrzej jest i skuteczniej podać mu rękę, odwołać się do jego najszlachetniejszych uczuć, zaufać mu i rzec: „Wierzę w ciebie. Moja wiara cię zobowiązuje."

Wreszcie Asja, zmieszana i szorstka zarazem, wyzywająca i pragnąca zgody Anetki lub jej przebaczenia, przyszła oznajmić to, czego Anetka od kilku tygodni oczekiwała.

– Cofam moje słowo... Nie! Nic nie cofam, nic nie przyrzekałam... Muszę mieć pani syna. On musi mieć mnie. Chcemy się pobrać.

Anetka nie odpowiadała – uśmiechnęła się wpatrując się w jej źrenice. Asja czekając, by przemówiła, zaczęła mówić sama, chcąc przełamać to niepokojące ją milczenie,

Oznajmiła, że powzięli już postanowienie, że nie można przeciwstawić mu nic takiego, o czym by już nie wiedziała, że widzi jasno, iż w małżeństwie ich nie zbraknie niepokojów, że będą sobie wzajemnie sprawiali ból, że ona będzie mu go sprawiała... „Tak, to możliwe. To nawet pewne, Ale nie mogła inaczej! Tak było pisane..." (Fatalność zjawiała się u niej zawsze jako ostatnia instancja, gdy własna jej gwałtowna wola przestawała się opierać.) „I teraz przychodzi obwieścić o tym Anetce, i pozwala jej sprzeciwić się temu, gdyż wie, że Anetka nie może już tego uczynić..."

– I czemuż pani nic nie mówi? Pani milczy, patrzy na mnie. Proszę się odezwać!

– Po wszystkim, co mi pani powiedziała, po cóż pani. mnie pyta? Chce pani Marka. Marek chce pani. Czegóż wam jeszcze potrzeba?

– Trzeba mi pani. Aby pani powiedziała: tak!

– Gdybym powiedziała: nie, nie robilibyście sobie nic z tego. Nie zadawalibyście sobie trudu, by skryć to przede mną. Moje „nie" sprawiłoby, że tym głębiej nabilibyście się na haczyk. Połknęliście go. Nie ma rady, moje biedne płotki! Nie pozostaje wam nic innego, jak strawić przynętę. Składa się na nią

zarówno to, co was dzieli, jak to, co was zbliża – w waszych naturach i w waszych rasach (odmienność tych ras jest jednym z powabów); będziecie mieli czas odczuć jej ości, które wam staną w gardle. Byłoby może mądrzej nie brać się na przynętę. Po co wam małżeństwo? Kochalibyście się tym bardziej... Lecz ponieważ to postanowione – stało się, i nie odstanie się bez waszego i mojego bólu. Cokolwiek bym wam mówiła, czy nie powiedziałabym nic – wszystko jedno. Więc, moje dzieci, kochajcie się! Na swój sposób, nie na mój. Wiem, że jesteście oboje lepsi niż wasze czyny. Każde z was z osobna jest słabe, słabe... Starajcie się z dwóch słabości stworzyć jedną siłę! Powierzam cię memu synowi. Powierzam mego syna tobie, moja córko.

Asja dotknęła ustami ramienia Anetki i zdołała wyszeptać jedynie:

– *Mamoczka...*

Z twarzą przy twarzy trwały tak bez ruchu. Asja z niezwykłą jasnością i szczerością samokrytyki wewnętrznej, (bezsilnych jednakże wobec buntów jej natury) przetrawiała to, co powiedziała przed chwilą Anetka; przyznawała, że to prawda – szaleństwem jest, że ona, która uważa małżeństwo za przestarzałą instytucję, poddaje się jej, aby się związać. Nawet gdyby małżeństwo zamiast być, jak dzisiaj, bramą bez zasuwy, którą rozwód otwiera wedle życzenia, było, jak niegdyś, klatką bez wyjścia, sądzę, że oboje, ona i Marek, wybraliby je także. Są godziny miłości, kiedy tęskni się do więzienia wiecznego. Mówi się do dnia: „Nie miniesz..." Szaleństwo gwałcenia natury...

Anetka znała je. Opierając głowę na tętniącej skroni Asji słyszała, rozumiała, co dzieje się pod tym czołem. W przyzwoleniu jej na to, czemu nie mogła przeszkodzić, było – poza pewnym *Amor fati*[219], będącym owocem lat, poddaniem się wielkim prądom, które nas unoszą i wymykają się nam, wymykając się zrozumieniu – tajemnicze widzenie losu Marka. Ta kobieta, której przyjaźń z Tymonem dała poznać rzeczywistość społeczną i przewidywać bliskość wielkiego konfliktu, dostrzegała niejasno miejsce swego syna na froncie walki – po tamtej stronie. Nie formułując tego nawet, przeczuwała to, zanim Marek i Asja mieli zdać sobie jasno sprawę (byli zbyt zajęci swą namiętnością). Wyprzedzała oboje na pół świadomie jeszcze, spodziewała się, że ich związek ukształtuje to przeznaczenie. Czuła, że związek ten, bez względu na próby i klęski ich wspólnego życia, leży na właściwej linii ich pochodu w przyszłość. Idź na próby i klęski! Naprzód!

*

Dwoje kochanków patrzyło na siebie, a spojrzenia ich były jak muszla fontanny, gdzie wpada tryskająca woda. Każde z nich opróżniało muszlę, by przyjąć wytryskającą falę drugiego. I tonąc w radości, każde pełne było drugiego: aby się odnaleźć, padali sobie w objęcia. Mówili:

– Mam ciebie. Ty masz mnie. Nie oddawaj mi tego. I ja ci nie oddam... Jak dobra jest taka wymiana. I jakże kocham życie teraz, kiedy jest ono twoim życiem. Mam je. Będę umiał go strzec!

Każde z tych dwojga dzieci musiało dotąd strzec tylko samego siebie... I nie było to mało. Dzięki jakim walkom i za jaką cenę udało im się ocalić siebie od rozkładu tego konającego świata! Lecz czyż warto było tak walczyć, tyle

[219] *A m o r f a t i* (łac.) – miłość przeznaczenia.

znieść, tyle wyrzeczeń, tyle poniżeń, tyle hańb, i codziennie rozpoczynać na nowo, aby obronić to jedno „ja", to „ja" biedne, nagie, zbrudzone, płonące, złamane, znużone „ja", które cię dzierży, pęta, a którego nie kochasz... Ach, a teraz co za wzniosłe, upajające uczucie, jaki napływ energii, teraz; kiedy się mówi:

„Ocalić drugie ja... Ono do mnie należy..." Należy do mnie, czy ja do niego? Czy ja je zagarnąłem, czy ono mnie? Nie jestże to oszustwo namiętności, które nie przyznaje się do swego egoizmu? – W każdym razie jest to egoizm szczery, indywidualizm we dwoje. Brama otwiera się na pełne morze. Ale otworzyć ją trzeba od strony fiordu. Barka miłości musi wypłynąć za bramę.

A barka miłości nie chce wypłynąć. Wielkie wichry wpadły nagle w zacisze fiordu. Barka nieruchomieje w swej złotej kałuży.

Skąd może przyjść zbawienie? Czy przyniesie je nieprzewidziana zawierucha, której wir znajdzie swoje centrum w samym sercu miłości? Czyż więc walka musi rozgorzeć między dwojgiem ludzi? Czyż nienawiść musi wichrem uderzyć w miłość, by miłość skrzepiła się, by żagle nabrzmiały i aby barka zanurzyła swój dziób w morzu? „Nuże, naprzód! Twardy rycerzu dosiadający życia, wbij ostrogi w jego boki. Wbij ostrogi w boki jego dzieci! Świat kroczy naprzód tylko pod ostrogą. Trzeba iść naprzód. Jeśli zatrzymasz się, padniesz... Nie padniesz! Podniosę cię przez boleść.

*

Boleści świata! W tej samej chwili narody konają w nędzy i ucisku. Wielki głód pożera ludy Wołgi. Nad Rzymem wisi topór i rózgi czarnych liktorów. Więzienia Węgier i Bałkanów głuszą krzyk torturowanych. Stare kraje wolności: Francja, Anglia, Ameryka, pozwalają ją gwałcić i tolerują rozpruwaczy. Niemcy pomordowały swych „prekursorów". W brzozowym lesie pod Moskwą gaśnie jasna źrenica Lenina, świadomość jego zamiera. Rewolucja traci swego pilota. Noc zda się zapadać nad Europą.

Cóż znaczą losy dwojga dzieci – ich radości, ich męki – te dwie krople wody zlane w jedną – w tym morzu? Natęż słuch! Usłyszysz huk morza. W każdej kropli jest całe morze. Rozbrzmiewają w niej wszystkie udręki. Gdyby tylko każda z tych kropel umiała, chciała słuchać... Pójdź, pochyl się! Przyłóż ucho do ociekającej muszli, którą podniosłem na brzegu. Świat w niej płacze. Świat w niej kona.

Lecz ja słyszę w niej już kwilenie dziecka.

Wrzesień, 1932.